

BERNARD MINIER

# NOC



Wyczekiwany powrót komendanta  
Serafa i jego przerażające  
starcia z Hirtmannem

BERNARD MINIER



Przełożyła  
Monika Szewc-Oslecka



Dom Wydawniczy REBIS

Tytuł oryginału: *La nuit*

Copyright © XO Editions 2017

*All rights reserved*

Copyright © for the Polish translation by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań  
2017

Redaktor prowadzący: Elżbieta Bandel

Projekt i opracowanie graficzne okładki Michał Pawłowski/www.kreskaikropka.pl

Fotografie na okładce © Xiao Yang

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Noc*, wyd. I, Poznań  
2018)

ISBN 978-83-8062-872-4

**Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.**

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

Dedykacja

\*\*\*

Preludium

KIRSTEN

1. Mariakirken
2. Osiemdziesiąt trzy dusze
3. Teleobiektyw

MARTIN

4. Porażony
5. W strefie nadgranicznej śmierci
6. Przebudzenie
7. Sefar
8. Nocna wizyta

KIRSTEN I MARTIN

9. Było jeszcze ciemno
10. Grupa
11. Wieczór
12. Wieczór 2
13. Sen
14. Saint-Martin

15. Szkoła
16. Powrót
17. Ślady
18. Zmartwienia

19. Strzał

20. Gold dot

21. Belweder

22. Portret pamięciowy

MARTIN

23. Matka Natura, ta krwawiąca suka

24. Drzewo

25. Spotkanie

GUSTAV

26. Kontakty

27. Zjawy

28. Willa

29. Bez litości

30. Ptaszki

31. Porzuć wszelką dumę, który tutaj wchodzisz

32. Jasnooka zakładniczka

33. Pokerowa zagrywka

34. Pokarmy

35. Żółć

36. H

MARTIN I JULIAN

37. Dziecko sprawia, że stajesz się kruchy

38. Jak wilk wśród owiec

39. Margot

40. O dwoje mniej

41. Zaufanie

42. Alpy

43. Przygotowania

44. Przynęta

45. Żywy albo martwy

46. Żywy trup

Epilog

Podziękowania

*Dedykuję Laurze Muñoz.  
To także jej książka.*

*Dla Jo.*

*Czyj galop tak tętni w wichrze i ćmie?*

*To ojciec z swym synem na koniu w cwał rwie.*

Johann Wolfgang Goethe, *Król Olch*,  
przeł. Jadwiga Gamska-Łempicka

*Innym razem. Była jeszcze noc.*

Yves Bonnefoy, *Rodzinny dom*,  
przeł. Adam Wodnicki



Patrzy na zegarek. Niedługo północ.

Jedzie nocnym pociągiem. Nocne pociągi są jak uskoki w czasoprzestrzeni, światy równoległe: życie, które nagle zostaje zawieszona, cisza, bezruch. Zdrętwiałe ciała; drzemki, sny, pochrapywania... I ten miarowy tętent kół na szynach, prędkość, która unosi ciała – istnienia, wraz z ich „przed” i ich „po” – ku skrywającemu się jeszcze pośród mroku „gdzie indziej”.

Bo kto wie, co się może zdarzyć między punktem A i punktem B? Drzewo przewrócone na tory, kłopotliwy pasażer, przysypiający maszynista... Takie myśli przychodzą jej do głowy, ale specjalnie się nad nimi nie zastanawia, to raczej z braku zajęcia niż z lęku. Od Geilo jest sama w wagonie i na ile była w stanie to ocenić, nikt w tym czasie nie wsiadł do pociągu. A pociąg zatrzymuje się wszędzie. Asker. Drammen. Hønefoss. Gol. Ål. Perony niektórych stacji wkrótce znikną pod śniegiem i będzie je można rozpoznać tylko po jednym czy dwóch symbolicznych barakach – jak w Ustaoset, gdzie wysiadła jedna osoba. W oddali widzi światła. Wyglądają śmiesznie pośród bezkresnych norweskich ciemności. Kilka samotnych domów, w których na całą noc pozostawiono zapalone lampy nad wejściami.

Jest środa i wagon świeci pustkami. Zimą od czwartku do poniedziałku pociąg niemal pęka w szwach, głównie za sprawą młodzieży i azjatyckich turystów, ponieważ obsługuje ośrodki narciarskie. Latem mająca czterysta osiemdziesiąt cztery kilometry linia Oslo–Bergen, ze stu osiemdziesięcioma dwoma tunelami, wiaduktami, przebiegająca wśród jezior i fiordów, uchodzi za jedną z najbardziej malowniczych tras kolejowych na świecie. Ale w środku skandynawskiej jesieni, w noc mroźną jak ta, w tygodniu, na pokładzie nie ma żywej duszy. Cisza, jaka panuje na całej długości przejścia między rzędami foteli, jest oczywiście odrobinę

przytłaczająca. Jakby pociąg opustoszał po jakimś sygnale alarmowym, którego ona nie usłyszała.

Ziewa. Mimo koca i maski na oczy udostępnionych przez przewoźnika nie potrafi porządnie zasnąć. Zawsze gdy przebywa poza domem, jest czujna. Tego wymaga jej zawód. A ten pusty pociąg bynajmniej nie pomaga się rozluźnić. Nasłuchuje. Nie dochodzą do niej żadne odgłosy. Nawet szmer poruszającego się ciała, popychanych drzwi czy przekładanego bagażu. Przesuwa wzrokiem po niezajętych fotelach, szarych ściankach, głównym przejściu i ciemnych oknach. Wzdycha i próbuje zamknąć oczy.

W mroźnym krajobrazie czerwony pociąg wyłaniający się z czarnego tunelu przypomina język, który wysuwa się z ust. Łupkowa szarość nocy, matowa czerń tunelu, niebieskawa biel śniegu i odrobinę ciemniejszy odcień lodu. I nagle ten intensywnie czerwony obiekt, jak strumień krwi podpływający do krawędzi peronu. Stacja Finse. Tysiąc dwieście dwadzieścia dwa metry nad poziomem morza. Najwyższy punkt trasy.

Zabudowania dworcowe były oblepione śnieżno-lodową skorupą, a dachy okrywała biała pierzyna. Na peronie, który przypominał oświetlony żółtymi latarniami tor narciarstwa biegowego, czekała jakaś para oraz samotna kobieta. Kirsten odkleiła twarz od szyby i wszystko na zewnątrz z powrotem pogrążyło się w ciemności, z którą kontrastowało oświetlenie w wagonie. Usłyszała jęk drzwi i w kącie swojego pola widzenia, na końcu głównego przejścia zauważyła jakiś ruch. Kobieta około czterdziestki, jak ona. Kirsten wróciła do lektury. Zdołała się zdrzemnąć zaledwie godzinę, choć już cztery godziny temu wyjechała z Oslo. Wolałaby podróż samolotem albo wagonem sypialnym, ale przełożeni wręczyli jej bilet na zwykłe miejsce siedzące w nocnym pociągu. Cięcia budżetowe. Na ekranie jej tabletu widniały teraz notatki, które zrobiła podczas rozmowy telefonicznej: ciało znalezione w kościele w Bergen. Mariakirken, kościół Najświętszej Maryi Panny. Kobieta zmasakrowana na ołtarzu, pośród przedmiotów liturgicznych.

Amen.

– Przepraszam.

Podniosła wzrok. Obok niej stała kobieta, która przed chwilą wsiadła. Z bagażem w dłoni. Uśmiechała się.

– Nie będzie ci <sup>1</sup> przeszkadzać, jeśli usiądę naprzeciwko? Nie będę ci zawracać głowy, ja tylko... chodzi o to, że nocny pociąg jest pusty. Nie wiem, będę się czuła bezpieczniej.

Owszem, przeszkadzało jej to. Bez przekonania odwzajemniła uśmiech.

– Nie, w porządku. Jedziesz do Bergen?

– Eee... tak, tak, do Bergen. Ty też?

Jeszcze raz przeczytała notatki. Facet z Bergen nie był zbyt rozmowny przez telefon. Kasper Strand. Zastanawiała się, czy do śledztw podchodzi tak samo niedbale. Powiedział, że gdy zaczynało zmierzchać, bezdomny, który przechodził obok Mariakirken, usłyszał dobiegające ze środka krzyki. Zamiast zajrzeć, uznał za rozsądniejsze wziąć nogi za pas i niemal wpadł na przechodzący tamtędy patrol. Gliny zapytały, dlaczego tak szybko ucieka, a on opowiedział im o krzykach w kościele. Zdaniem Kaspra Stranda patrolujący mu nie uwierzyli (z intonacji rozmówcy i pewnych aluzji wywnioskowała, że bezdomny był dobrze znany policji), ale było zimno i wilgotno, a oni potężnie się nudzili; ostatecznie lepsza lodowata kościelna nawa niż ten wiatr i deszcz „z otwartego morza” (tak właśnie wyraził się Kasper Strand. Poeta w policji, skwitowała w duchu).

Wahała się, czy odtworzyć na tablecie nakręcony w kościele filmik, który przesłał jej Strand. Naprzeciw siedziała ta kobieta. Kirsten westchnęła. Miała nadzieję, że sąsiadka utnie sobie drzemkę, ale tamta wyglądała na wyjątkowo ożywioną. Kirsten rzuciła jej ukradkowe spojrzenie. Kobieta na nią patrzyła. Na jej ustach malował się uśmieszek – Kirsten nie wiedziała, czy jest przyjazny, czy kpiący. Miała zmrużone oczy. Przeniosła wzrok na ekran tabletu i zmarszczyła brwi, najwyraźniej usiłując odczytać, co tam jest napisane.

– Pracujesz w policji?

Kirsten powstrzymała irytację. W rogu ekranu zauważyła znaczek przedstawiający lwa w koronie z podpisem POLITIET. Podniosła na kobietę obojętne spojrzenie, a jej wąskie usta skrzywiły się w możliwie najbardziej powściągliwym, jednak nieopryskliwym uśmiechu. Na komisariacie w Oslo Kirsten Nigaard nie uchodziła za szczególnie ciepłą osobę.

– Tak.

– W jakim wydziale, jeśli to nie jest niedyskretne pytanie?

Jest, pomyślała.

– Kripos<sup>2</sup>.

– Ach, rozumiem. To znaczy nie, nie rozumiem... Ciekawy zawód, co?

– Można tak powiedzieć.

– I jedziesz do Bergen w sprawie... w sprawie...

Kirsten postanowiła nie ułatwiać jej zadania.

– W sprawie... no wiesz, no... w sprawie *morderstwa*, tak?

– Tak – odparła sucho.

Kobieta chyba zrozumiała, że posunęła się zbyt daleko, ponieważ pokręciła głową, zaciskając wargi.

– Wybacz, właściwie nic mi do tego. – Wskazała na swój bagaż.

– Mam kawę w termosie. Chcesz?

– Zgoda – odpowiedziała Kirsten po chwili wahania.

– To będzie długa noc. Mam na imię Helga.

– Kirsten.

– A więc mieszkasz sama i nikogo w tej chwili nie masz, tak?

Kirsten rzuciła tamtej ostrożne spojrzenie. Powiedziała za dużo. Nieopatrznie pozwoliła, by kobieta wyciągnęła ją na zwierzenia. Ta cała Helga jest bardziej wścibska niż dziennikarka. Jako wywiadowczyni Kirsten wiedziała, że nawet w najzwyklejszych relacjach międzyludzkich słuchanie drugiego zawsze ma jakiś związek z szukaniem prawdy. Przemknęło jej przez myśl, że Helga świetnie nadawałaby się do prowadzenia przesłuchań. W pierwszej

chwili się uśmiechnęła. Znała w Kripos śledczych, którzy mieli mniejszy talent do tej roboty. Ale przestała się uśmiechać. Niedyskrecja Helgi zaczęła jej działać na nerwy.

– Wiesz, Helgo, chyba się trochę zdrzemnę. Jutro czeka mnie długi dzień. A raczej dzisiaj – poprawiła się, spojrzawszy na zegarek. – Do Bergen już tylko niecałe dwie godziny. Muszę się przespać.

Helga popatrzyła na nią z dziwną miną.

– Oczywiście. Jak chcesz.

Jej oschły ton zbił Kirsten z tropu. Ta kobieta miała w sobie coś, czego policjantka na początku nie zauważyła, ale teraz było to widać jak na dłoni: nie lubiła, gdy ktoś się jej sprzeciwiał, stawiał opór. Niska tolerancja na frustrację, wyraźna tendencja do wzburzenia, manichejska wizja świata: osobowość histrioniczna, wywnioskowała. Przypomniała sobie wykłady w szkole policyjnej na temat podejścia, jakie należy zastosować wobec poszczególnych typów osobowości. Zamknęła oczy, z nadzieją, że w ten sposób przerwie dyskusję.

– Przykro mi – odezwała się nagle Helga, nie zważając na jej opuszczone powieki.

Kirsten otworzyła oczy.

– Przykro mi, że ci przeszkodziłam – powtórzyła Helga. – Usiądę gdzie indziej. – Prychnęła, uśmiechając się z wyższością i patrząc na policjantkę rozszerzonymi źrenicami. – Ty chyba nie masz wielu przyjaciół.

– Słucham?!

– Z takim paskudnym charakterem. To twoje odtrącanie ludzi, ta arogancja. Nic dziwnego, że jesteś sama.

Kirsten zeszywniała. Już miała zaoponować, gdy Helga szybko wstała i chwyciła bagaż, który leżał pod fotelem.

– Przepraszam, że ci przeszkodziłam – rzuciła raz jeszcze ostrym tonem i odeszła.

Świetnie, znajdź sobie inny cel, pomyślała Kirsten.

Zasnęła. Coś jej się śniło. Jakiś natarczywy, jadowity głos, który szeptał jej do ucha: „szszmata, parszszywa szszmata”. Przeszył ją dreszcz i obudziła się. Zadrżała po raz drugi, gdy tuż obok ujrzała Helgę. Kobieta siedziała na sąsiednim fotelu. Pochyliła głowę nad twarzą Kirsten i przyglądała jej się okiem naukowca, który obserwuje amebę pod mikroskopem.

– A ty tu czego? – zapytała ostro.

Czy Helga naprawdę to powiedziała? Szmata? To słowo rzeczywiście padło czy Kirsten usłyszała je we śnie?

– Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś poszła się pieprzyć.

Kirsten poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Wściekłość czarna jak burzowa chmura.

– Coś ty powiedziała?

O siódmej zero jeden pociąg wjechał na dworzec w Bergen. Dziesięć minut opóźnienia, dla NSB, kolei norweskich, to tyle co nic, pomyślał Kasper Strand, przestępując z nogi na nogę na peronie. Było ciemno jak w nocy i zważywszy na pogodę, miało tak pozostać aż do dziewiętej. Kobieta zeszła po stopniach wagonu i czubkiem buta dotknęła twardego gruntu. Podniosła głowę i od razu go zauważyła wśród nielicznych osób, które o tej godzinie przyszły na dworzec.

„Glina”, wyczytał w spojrzeniu, które się na nim zatrzymało. Był świadom, co zobaczyła: trochę mułowatego policjanta o łysej czaszce, niedogolonej brodzie i wyhodowanym na hansie brzuszysku, rozpychającym się pod niemodną skórzaną kurtką. Podszedł do niej. Starał się nie przyglądać zbyt jej nogom. Był nieco zaskoczony jej strojem. Miała na sobie dość krótki zimowy płaszcz z kapturem obszytym futerkiem, nienaganną garsonkę, rajstopy w cielistym kolorze i kozaczki na obcasie. Może taka moda obowiązuje w policji w Oslo tej jesieni? Wyobraził sobie, że w tym stroju mogłaby wychodzić z sali konferencyjnej hotelu Radison Plaza mieszczącego się w pobliżu dworca głównego albo z budynku DnB NOR Banku. Jakkolwiek by było, bez dwóch zdań ładna.

Szacował, że ma między czterdzieści a pięćdziesiąt lat.

– Kirsten Nigaard?

– Tak.

Podawała mu dłoń w rękawiczce, a on zawahał się, czy ją uścisnąć, gdyż była dziwnie miękka, jakby pozbawiona kości. Jak gdyby rękawiczkę wypełniało powietrze.

– Kasper Strand, policja w Bergen – przedstawił się. – Witaj.

– Dzień dobry.

– Podróż nie była zbyt długa?

– Owszem, była.

– Dałaś radę się przespać?

– Właściwie to nie.

– Chodź za mną. – Wyciągnął czerwoną łapę w kierunku uchwytu jej torby, ale Kirsten ruchem podbródka dała mu do zrozumienia, że nie trzeba, woli ponieść sama. – Na komendzie czeka na ciebie kawa. Są też chleb, wędliny, soki owocowe i brunost. A potem do ataku.

– Wolalabym najpierw zobaczyć miejsce zbrodni. To niedaleko, jeśli się nie mylę?

Przechodzili właśnie pod dużym świetlikiem. Odwrócił się do niej, uniósł brew i podrapał się po sześciodniowym zarostcie.

– Co? Tak od razu?

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Kasper próbował ukryć irytację, ale był słaby w udawaniu. Zobaczył, że Kirsten się uśmiecha. Uśmiechem bez serdeczności i adresowanym nie do niego. Z pewnością uśmiechała się do własnych myśli, ponieważ właśnie potwierdziła się opinia, którą miała na jego temat od pierwszej chwili. Cholera.

Wielki podświetlany zegar reklamujący „Bergens Tidende” zasłaniało rusztowanie i ogromna plandeka. Ten najważniejszy dziennik zachodniej Norwegii na pewno zamieści na pierwszej stronie informację o morderstwie w kościele. W holu skręcili w prawo, minęli fast food Deli de Luca i skierowali się w stronę sklepionego łukowato wietrznego i wilgotnego wyjścia, przed

którym znajdował się postój taksy. Jak zwykle, mimo sześciorga klientów smaganych strugami zacinającego deszczu, na horyzoncie nie było ani jednej taksówki. Zaparkował swojego saaba 9-3 na bruku po drugiej stronie ulicy. Tutejsze ogródki i skromne zabudowania miały w sobie coś niezaprzeczalnie prowincjonalnego. W każdym razie tak musiała je postrzegać mieszkanka Oslo. Był głodny. Całą noc spędził na placu boju razem z resztą grupy dochodzeniowej okręgu Hordaland.

Kiedy usiadła obok niego, jej ciemny płaszcz się rozchylił i w blasku sufitowej lampki Kasper ujrzał śliczne kolana. Jasne włosy pasażerki układały się na kołnierzu płaszcza w niesforne fale, poza tym jednak były gładkie, po lewej stronie głowy rozdzielone wyraźnym przedziałkiem. Bynajmniej nie była naturalną blondynką; dostrzegł ciemną nasadę włosów i ciemne brwi, wydepilowane tak, by tworzyły węższą kreskę. Miała wręcz drażniąco niebieskie oczy, prosty, dość długi nos i wąskie, ale ładnie zarysowane wargi. Na czubku podbródka, lekko z lewej strony, pieprzyk. Wszystko w tej twarzy świadczyło o determinacji. Kobieta kontrolująca, spokojna, bezkompromisowa.

Znał ją dopiero od dziesięciu minut, ale przyłapał się na myśli, że nie chciałby takiej partnerki. Nie był pewien, czy na dłuższą metę zniósłby jej charakter ani czy potrafiłby ciągle odwracać wzrok od jej nóg.

1. Norwegowie zwracają się do siebie w drugiej osobie liczby pojedynczej nawet wtedy, gdy się nie znają. ↵
2. Norweska policja kryminalna zajmująca się zwalczaniem przestępczości zorganizowanej i innych przestępstw. ↵



Nawa była słabo oświetlona. Kirsten zdziwiła się, że w pobliżu miejsca zbrodni, za pomarańczowo-białym sznurem odgradzającym wejście do prezbiterium, pozostawiono zapalone świece. Zapach ciepłego wosku drażnił jej nozdrza. Z kieszeni płaszcza wyjęła płaskie metalowe pudełko; w środku znajdowały się trzy skręcone wcześniej papierosy. Wetknęła sobie jednego w usta.

– Tutaj nie wolno palić – odezwał się Kasper Strand.

Uśmiechnęła się do niego bez słowa i tanią zapalniczką przypaliła koniec cienkiego, nierównego wałeczka. Omiotła spojrzeniem nawę i zatrzymała wzrok na ołtarzu. Ciało już zabrano. Został tylko biały obrus, najpewniej służący jako nakrycie ołtarza – wyobrazila sobie brązowe ślady i wielkie plamy wsiąkające w tkaninę, która po wyschnięciu stała się gruba i sztywna.

Kirsten przestała chodzić na mszę w dzieciństwie, ale pamiętała jak przez mgłę, że kapłan, po wejściu do prezbiterium, skłaniał się i całował ołtarz i że po zakończeniu, zanim wyszedł z kościoła, powtarzał ten gest.

Zamknęła oczy, pomasowała powieki, przeklęła w duchu kobietę z pociągu, zaciągnęła się papierosem i otworzyła oczy. Krew tryskająca z tętnicy nie dosięgła dużego krucyfiks na górze, ochlapała jednak Matkę Boską z Dzieciątkiem i tabernakulum znajdujące się niżej. Kirsten zauważyła konstelacje małych, czerwono-brunatnych plamek i długich czarniawych smug na złoceniach i obojętnym obliczu Maryi. Prawie trzy metry: na taką odległość trysnęła krew.

Wikingowie palący swoich zmarłych nocą na łodziach

pogrzebowych, Loki, bóg ognia i kłamstw, Jezus obok Odyna i Thora, chrześcijanie, którzy przemocą ewangelizowali pogan z Północy, obcinając im dłonie i stopy, wyłupiając oczy i okaleczając, wikingi księżęta nawróceni na chrześcijaństwo wyłącznie z przyczyn politycznych. Koniec pewnej cywilizacji. O tym właśnie rozmyślała w ciszy kościoła.

Miasto jeszcze spało, zalewane strugami deszczu. Podobnie jak port, przy którego nabrzeżu, naprzeciw drewnianych domów Bryggen, cumował olbrzymi masowiec, najeżony antenami i żurawiami, pomalowany na szaro jak statki wojenne. Czy powinno się przywoływać ducha tego miejsca? Historia Mariakirken sięga czasów znacznie odleglejszych niż dzieje zabudowań Oslo. W Bergen nie ma Teatru Narodowego, Pałacu Królewskiego, pokojowej Nagrody Nobla ani parku Vigelanda. Początek XII wieku. Dzikość dawnych dziejów zawsze była tu obecna. Każdej oznace cywilizacji towarzyszy symbol barbarzyństwa, każde światło zwycięża jakąś noc, każde drzwi, przez które wchodzi się do zalanej światłem izby, kryją drzwi prowadzące do innego wnętrza, pogrążonego w ciemnościach.

Miała dziesięć lat, gdy razem z siostrą spędzała ferie zimowe u dziadka w miasteczku niedaleko Trondheim. Mieścina nazywała się Hell. Uwielbiała dziadka. Był niesamowity, opowiadał im śmieszne historie i lubił brać je obie naraz na kolana. Tamtego wieczoru poprosił ją, by zaniósła jedzenie Heimdallowi, owczarkowi niemieckiemu, który mieszkał w stodole. Kiedy wyszła z dobrze ogrzanego domu w mroźną grudniową noc, było tak straszliwie zimno, że krew ścinała się w żyłach. Ruszyła w kierunku stodoły. Jej ocieplane botki skrzypiały na śniegu, a własny cień poprzedzał ją jak wielki motyl. Kiedy znalazła się w środku, było zupełnie ciemno i dziewczynka czuła się nieswojo. To był sadyzm ze strony dziadka, że wysłał ją tam w środku nocy. Heimdall powitał ją, ujadając i rzucając się na łańcuchu. Z wdzięcznością przyjął jej pieśczęty, czule polizał Kirsten po twarzy. Dziewczynka przywarła

do ciepłego, pulsującego ciała, wtulając buzię w pachnące futro. Pomyślała, że to okrutne kazać mu spać poza domem w taką noc. A potem usłyszała poszczekiwanie. Tak ciche, że gdyby Heimdall na chwilę nie umilkł, nie zwróciłaby na nie uwagi. Dochodziło z zewnątrz i zaczęła mieć porządnego stracha, ponieważ bujna dziecięca wyobraźnia podsunęła jej myśl, że jakiś stwór udaje skomlenie, by wywabić ją na zewnątrz i się na nią rzucić. Wyszła jednak. Po lewej stronie, w kącie między stodołą a dobudówką, zauważyła połyskujące słabo w ciemności pręty klatki. Kirsten podeszła bliżej z walącym sercem. W miarę jak piskliwe szczekanie – prawie skomlenie – stawało się głośniejsze, czuła narastający niepokój. Miała złe przeczucia. Przeszła kilka kroków po śniegu i jej palce trafiły na pręty. Zajrzała do środka. W głębi, pod betonową ścianą, znajdował się jakiś kształt. Zmrużyła oczy, by lepiej widzieć. Młody pies, ledwie starszy od szczeniaka. Kundelek o długim pyszczku, klapniętych uszach i krótkiej, płowej sierści. Jego łeb prawie przylegał do ściany, ponieważ obrozę przypięto do metalowego pierścienia w murze. Siedział na przysypanej śniegiem trawie i patrzył na nią, a jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze. Do dziś pamięta łagodne, czułe spojrzenie pieska. Spojrzenie, które mówiło: „Błagam, pomóż mi”. Była to najsmutniejsza scena, na jaką kiedykolwiek przyszło jej patrzeć. Poczowała, jak jej młode, niewinne serce rozpada się na tysiąc jeden kawałków. Kundelek nie miał już siły szczekać, z trudem wydawał z siebie słabe, rozdzierające piski, a jego oczy to się otwierały, to zamykały ze zmęczenia. Chwyciła lodowate pręty. Chciałaby otworzyć klatkę, rozbić ją i uciec z uwolnionym zwierzęciem w ramionach. Już, teraz. Zataczając się, oszołomiona bólem i rozpaczą, dobiegła do domu i błagała dziadka. Ale okazał się nieprzejednany. Pierwszy raz nie uległ jej kaprysom. Powiedział, że ten pies to włóczęga, bezpański kundel i musi ponieść karę: ukradł mięso. Miała świadomość, że jeśli nic nie zrobi, psiak umrze przed świtem, pomyślała o jego cierpieniu, smutku i samotności i zaczęła płakać, krzyczeć, wydzierać się na oczach ogłupiałej i przestraszonej siostry, która także się rozpłakała. Babcia

usiłowała ją uspokoić, ale gdy dziadek spojrział na dziewczynkę surowym wzrokiem, ta w krótkim przebłysku ujrzała siebie na miejscu pieska, zamkniętą w klatce, w obroży przytwierdzonej do stalowego pierścienia w ścianie.

– Wsadź mnie do tej klatki! – zawołała. – Wsadź mnie razem z nim!

– Oszalałaś, biedne dziecko – podsumował twardo i bezlitośnie dziadek.

Przypomniała sobie to zdarzenie, gdy dowiedziała się, że norweski rząd powołał policję do spraw walki z przemocą wobec zwierząt. Pierwszą na świecie.

Kiedy z siostrą i resztą rodziny odwiedziła dziadka w szpitalu krótko przed jego śmiercią, zaczekała, aż pozostali znajdą się trochę dalej od łóżka i zbliżyła się, by szepnąć mu coś do ucha. Gdy pochylała się nad starcem, widziała jego kochające spojrzenie.

– Ty stary łajdaku. Mam nadzieję, że pójdziesz do piekła – wyszeptała. Użyła angielskiego słowa Hell, nazwy miasteczka, w którym mieszkał, ale była pewna, że dziadek zrozumiał.

Spojrzała na ambonę, nastawę ołtarza, wielki krzyż powyżej i ścienne malowidła, i przypomniała sobie, że nawet Agnes Gonxha Bajaxhiu – bardziej znana jako Matka Teresa – przez większość swojego życia pogrążona była w głębokiej nocy wiary, że pisała o „tunelu”, o tym, że ma w sobie „tak straszną ciemność, jak gdyby wszystko obumarło”<sup>1</sup>. Ilu wierzących żyje w ten sposób, w najgłębszej ciemności? Jak wielu idzie przez duchową pustynię, trzymając ten fakt w tajemnicy?

– Wszystko w porządku? – zapytał Strand, który stał obok.

– Tak.

Dotknęła wyświetlacza tabletu. Znowu pojawiły się na nim obrazy sfilmowane przez policję z Bergen.

*Ecce homo.*

1° kobieta spoczywająca na ołtarzu na wznak, wygięta w pałąk, jakby rażona łukiem elektrycznym albo będąca u progu orgazmu,

2° jej głowa zwisa z ołtarza, usta są szeroko otwarte, język

wystawiony – wygląda, jakby w takiej odwróconej pozycji miała przyjąć gościę,

3° na białym tle, które technik musiał sfilmować, używając dużego zbliżenia na kamerze HD, widać, że twarz jest czerwona i obrzmiała, prawie wszystkie kości twarzoczaszki – nosowa, jarzmowe, sitowa, kości górnej szczęki i żuchwy – zostały połamane, jest też głębokie, prostokątne zagłębienie na środku kości czołowej przypominające wydrążoną rynienkę, bez wątplenia powstałe w wyniku niezwykle silnego uderzenia tępym, podłużnym przedmiotem, być może żelaznym prętem,

4° i wreszcie, jej ubrania są częściowo podarte, brakuje prawego buta, na prawej stopie biała, wełniana skarpetka, brudna od spodu.

Chłonęła każdy szczegół. Ta scena jest przepojona głęboką prawdą, pomyślała. Prawdą na temat ludzkości. Dwieście tysięcy lat barbarzyństwa i nadziei na hipotetyczne niebo, w którym ludzie niby to mieliby być lepsi.

Według pierwszych ustaleń kobieta została śmiertelnie uderzona – najpierw żelaznym prętem, którym napastnik przedziurawił jej klatkę piersiową i czaszkę, a następnie monstrancją. Ostatni wniosek nasunął się technikom po znalezieniu na ołtarzu tego przewróconego i zakrwawionego przedmiotu, a zwłaszcza na podstawie osobliwego kształtu ran: monstrancję otaczały promienie, na podobieństwo słońca; pozostawiły one głębokie szramy na twarzy i dłoniach ofiary. Podcięcie gardła, z którego krew trysnęła w stronę tabernakulum na chwilę przed ustaniem akcji serca, musiało nastąpić potem. Skoncentrowała się. W każdej scenie zbrodni jest jeden szczegół, który ma większe znaczenie od pozostałych.

But... But marki North Face do biegania w terenie, czarny z białym wzorem i odblaskową żółtą podeszwą, leżał przewrócony u stóp podwyższenia, dobre dwa metry od ołtarza. Dlaczego?

– Miała przy sobie dokumenty?

– Tak. Nazywała się Inger Paulsen. Nie figurowała centralnym rejestrze spraw kryminalnych.

- Wiek?
- Trzydzieści osiem.
- Mężatka, dzieci?
- Wolna.

Spojrzała na Kaspra. Nie nosił obrączki, ale może zdejmował ją do pracy. Zachowywał się jak żonaty mężczyzna. Podeszła do niego bliżej, zmniejszając dystans z osobniczego do intymnego – poniżej piętnastu centymetrów – i poczuła, jak zeszywniał.

– Dowiedzieliście się, czym się zajmowała?

– Pracowała na platformie wiertniczej na Morzu Północnym. I, o, badanie krwi wykazało dużą zawartość alkoholu...

Kirsten знаła wszystkie statystyki na pamięć. Wiedziała, że liczba morderstw w Norwegii jest znacząco niższa niż w Szwecji, półtora raza niższa niż we Francji, prawie dwa razy niższa niż w Wielkiej Brytanii i siedmiokrotnie niższa niż w Stanach Zjednoczonych. Wiedziała, że nawet w Norwegii, kraju, który według Organizacji Narodów Zjednoczonych ma najwyższy wskaźnik rozwoju społecznego, przemoc skorelowana jest z wykształceniem: że tylko trzydzieści cztery procent zabójców nie było osobami bezrobotnymi, że osiemdziesiąt dziewięć procent było mężczyznami, a czterdzieści sześć procent w chwili popełnienia zbrodni było pod wpływem alkoholu. Istniało więc duże prawdopodobieństwo, że morderca był mężczyzną i pięćdziesiąt procent szans, że podobnie jak ofiara był nietrzeźwy. Istniało też inne prawdopodobieństwo, nie mniejsze, że był dla niej kimś bliskim: współmałżonkiem, przyjacielem, kochankiem, kolegą... Jednak błędem, którzy popełniają wszyscy początkujący policjanci, jest ślepe zaufanie do statystyk.

– I co o tym sądzisz? – zapytała, wydmuchując mu dym prosto w twarz.

– A ty?

Uśmiechnęła się. Pomyślała chwilę.

– Bójka. Potajemne spotkanie i bójka, która się źle skończyła – powiedziała. – Popatrz na podarte ubrania, kołnierz bluzki pod

swetrem jest prawie oderwany, a przede wszystkim ten but daleko od ołtarza. Szarpali się i tamten miał przewagę. A potem zabił ją w przypiływie wściekłości. Cała ta scenografia służy po prostu uciechu widzowi. – Zdjęła z wargi drobinę tytoniu. – A co oni według ciebie robili w tym kościele? Nie powinien być zamknięty?

– Wygląda na to, że jedno z nich miało dorobione klucze – potwierdził. – Bo przez większość czasu kościół jest zamknięty. I jeszcze coś.

Dał znak, by szła za nim. Strzepnęła popiół, który spadł jej na płaszcz, zapięła guziki, bo było zimno, i ruszyła za Kasprem. Wyszli bocznymi drzwiami – tymi samymi, którymi weszli. Wskazał na ślady na cienkiej warstwie śniegu – pierwszego, spadł w tym roku bardzo wcześnie – które zmywał już deszcz. Zauważyła je, gdy szła tu drogą między nagrobkami, którą wytyczyła policja. Podwójny ślad w jedną stronę i pojedynczy w drugą.

– Morderca wszedł do kościoła za ofiarą – powiedział, jakby czytał w jej myślach.

Przyszli razem czy jedno po drugim? Rabusie, którzy pokłócili się o łup? Dwie osoby, które umówiły się tu na spotkanie? Narkomanka i jej diler? Ksiądz? Kochankowie, których kręciło bzykanie się w kościele?

– Czy ta Paulsen była praktykującą chrześcijanką?

– Nie mam pojęcia.

– Na której platformie pracowała?

Powiedział jej. Zgasiła papierosa, pocierając nim o mur kościoła. Na kamieniu pozostała czarna smuga. Ukryła niedopałek w zagłębieniu dłoni i rzuciła okiem na oświetlone okna budynku naprzeciwko. Była dziewiąta rano i ciągle panowały ciemności. Typowe dla dzielnicy Bryggen osiemnastowieczne drewniane budynki lśniły w deszczu. Strugi wody połyskiwały w świetle latarni i moczyły jej włosy.

– Zakładam, że przesłuchaliście sąsiadów?

– Rozpytanie wśród sąsiadów nic nie dało – przyznał Kasper. – Poza bezdomnym nikt niczego nie widział i niczego nie słyszał.

Zamknął drzwi kościoła na klucz i wrócili do samochodu przez małą furtkę, która była otwarta.

– A proboszcz?

– Wyciągnęliśmy go z łóżka. Przesłuchanie właśnie trwa.

Pomyślała o żelaznym pręcie, który morderca miał z sobą. W jej głowie zrodził się pewien pomysł.

– A jeśli było odwrotnie?

Kasper spojrział na nią, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– Odwrotnie niż co?

– Jeśli to morderca przyszedł pierwszy, a ofiara za nim?

– Pułapka? – Zmarszczył brwi.

Popatrzyła na niego bez słowa.

Komenda policji okręgu Hordaland, siódme piętro. Szefowa policji kryminalnej Birgit Strøm lustrowała Kirsten małymi oczami osadzonymi w szerokiej i płaskiej rybiej twarzy. Jej usta wyglądały jak szczelina, której kąciki uparcie nie chciały się skierować ani w górę, ani w dół.

– Bójka? – podchwyciła głosem, który przypominał dźwięk zardzewiałej raszpli. Za dużo papierosów, pomyślała Kirsten. – W takim razie, skoro to nie było morderstwo z premedytacją, dlaczego zabójca przyniósł z sobą żelazny pręt?

– Było, z całą pewnością – odparła. – Ale Paulsen walczyła. Na dłoniach ma rany od monstrencji. To znak, że się broniła. Bili się i w pewnym momencie ona zgubiła but.

Kirsten dostrzegła w rybich oczach rozmówczyni przelotny błysk. Szefowa policji zerknęła na Kaspra, by po chwili znowu skupić wzrok na niej.

– Świetnie. Jak w takim razie wyjaśnisz fakt, że w kieszeni ofiary znaleźliśmy to?

Odwróciła się i pochyliła, by z blatu biurka, na którym spoczywał jej obfity zadek, podnieść przezroczystą torebkę. W wyniku tego manewru oczom zebranych ukazał się jej równie bujny biust. Kasper i pozostali oficerowie z grupy śledczej policji okręgu Hordaland



śledzili jej ruchy, jakby była Sereną Williams i właśnie miała wykonać asa serwisowego, który rozstrzygnie o jej zwycięstwie w meczu.

Kirsten wzięła do ręki woreczek na dowody, który podała jej szefowa policji. Wiedziała już, co jest w środku. To z tego powodu zadzwonili właśnie do niej, do Oslo. Wprowadzili ją do budynku komendy nie głównym wejściem od Allehelgens gate, ale małymi pancernymi drzwiami otwieranymi na kod, znajdującymi się z tyłu, od strony Halfdan Kjerulfs gate – jakby obawiali się, że ktoś ją zauważy.

Skrawek papieru. Odręczne pismo. Dużymi literami. Kasper obwieścił jej tę nowinę przez telefon poprzedniego dnia, gdy znajdowała się jeszcze w siedzibie Kripos, niecałą godzinę po znalezieniu ciała. Nie mogła być zaskoczona, wiedziała. Na kawałku papieru figurowało jej nazwisko.

## KIRSTEN NIGAARD

1. Matka Teresa, *Pójdź, bądź moim światłem. Prywatne pisma Świętej z Kalkuty*, przeł. M. Romanek, Kraków 2008, s. 205 (przyp. tłum.).



Helikopter pruł wśród podmuchów wiatru, ciągnięty dwiema potężnymi turbinami Turbomeca. W półmroku Kirsten widziała karki dwóch pilotów, ich słuchawki i hełmy.

Przy takiej nawałnicy pilot będzie musiał użyć wszystkich swoich zdolności, pomyślała, siedząc z tyłu, wciśnięta w kombinezon ratunkowy, gdy tymczasem jedyna wycieraczka radziła sobie jak mogła z falami deszczu chłuszczącymi przednią szybę, za którą rozciągały się głębokie ciemności. Wielkie krople widoczne w blasku urządzeń pokładowych turlały się w górę wciągane ciśnieniem powietrza. Kirsten wiedziała, że do ostatniego wypadku helikoptera obsługującego morskie platformy wiertnicze doszło w 2013 roku. Super puma L2. Osiemnaście osób na pokładzie. Czworo zabitych. Przedtem, w 2009, był wypadek pumy AS332 u wybrzeży Szkocji. Szesnaścioro zabitych. I jeszcze dwa w 2012, bez ofiar.

W ostatnich dniach warunki pogodowe uziemiły ponad dwa tysiące pracowników morskich platform między Stavanger, Bergen i Florø. Tego wieczoru maszyny wreszcie mogły wystartować ze wszystkimi zabłąkanymi owieczkami na pokładzie. Ale warunki były graniczne.

Rzuciła okiem na Kaspra, który siedział po jej prawej stronie. Miał szkliste oczy i otwarte usta. Znowu spojrzała przed siebie. I wtedy ją zobaczyła. Wyłaniająca się z mroków, wystająca dwadzieścia metrów ponad niewidoczną powierzchnię morza, wyglądała jak statek kosmiczny, który unosi się na nocnym niebie.

Szerokość geograficzna: 56.07817°N.

Długość geograficzna: 4.232167°E.

Dwieście pięćdziesiąt kilometrów od brzegów. Niewiele mniej oddalona od ludzkich siedzib, niż gdyby leżała gdzieś w kosmosie... Poniżej panowały absolutne ciemności i Kirsten na próżno usiłowała wypatrzeć wysokie stalowe słupy, które powinny schodzić pionowo w dół, w rozszalałe fale. Wiedziała, że sto czterdzieści sześć metrów niżej stykają się z dnem – to tyle, ile wynosi wysokość czterdziestoosmiopiętrowej wieży, z tą różnicą, że nie był to solidny budynek, ale cztery słabe metalowe filary otoczone rozszalałym, wzburzonym morzem, dźwigające ciężar pływającej wyspy...

Im bliżej byli celu, tym bardziej platforma Statoil przypominała jej nieopisany bardach, tymczasową, chaotyczną kotłownię. Między pokładami, kładkami, schodami, żurawiami, kontenerami, kilometrami przewodów, rur, barierek, wieżami wiertniczymi nie było centymetra kwadratowego wolnej przestrzeni, a całości dopełniało sześć pięter zabudowań mieszkalnych przypominających kontenery Algeco na budowie. Liczne lampy oświetlały tylko pewne obszary, przez co jasne miejsca występowały na przemian z niewidocznymi, pograżonymi w ciemności. Mocniejszy powiew wichury zepchnął helikopter z kursu. Kurewska noc, pomyślała Kirsten.

Na platformie przebywało trzydzieści narodowości: Polacy, Szkoci, Norwegowie, Rosjanie, Chorwaci, Litwini, Francuzi... Dziewięćdziesięciu siedmiu mężczyzn i dwadzieścia trzy kobiety. Podzieleni na nocne i dzienne zmiany. Tydzień na noc, tydzień na dzień, praca przez dwanaście godzin z rzędu, i tak przez miesiąc. Po czterech tygodniach – bingo! – prawo do dwudziestu ośmiu dni urlopu. Niektórzy wyjeżdżali do Australii na deskę, inni w Alpy na narty, jeszcze inni wracali do rodzin, a rozwiedzeni – najliczniejsi – imprezowali na całego, przepuszczając większość zarobionego siana, albo udawali się do Tajlandii na poszukiwanie nowej, ledwie dojrzałej towarzyszkii życia. To jest plus tego zawodu: wysokie zarobki, dużo wolnego czasu i możliwość podróży samolotem dzięki milom zebranych w programach lojalnościowych. Stres, problemy

psychiczne i konflikty niewątpliwie często zdarzają się na pokładzie, więc zatrudniający muszą unikać zadawania zbyt wielu pytań, pomyślała. Na pewno nie brak tu narwańców, borderlajnowców i osobowości typu A. Zastanawiała się, czy Kasper zakwalifikował ją już do jakiejś kategorii. Na pewno do upierdliwych. A on, z tym swoim wyglądem wielkiego pluszowego misia, na pewno ma osobowość typu B: niska potrzeba samorealizacji, brak agresji, tolerancja... Spokojny, zbyt spokojny. Choć tego wieczoru tak nie było – gdy tylko oderwali się od stałego lądu, wreszcie zrezygnował ze swojej dobrotliwej miny i mimo potężnej sylwetki przypominał małego chłopca.

Poniżej trzydziestu metrów. Lądowisko – a może raczej „wodowisko”? – znajdowało się na słabo oświetlonej sześciokątnej płaszczyźnie z wielkim „H” pośrodku, przykrytej rozciągniętą na ziemi siecią i zawieszoną na skraju platformy wysoko nad wodą. Na górny pokład prowadziły metalowe stopnie. Kasper wpatrywał się w literę „H”, która ze względu na bujanie helikoptera balansowała w mroku jak ruchomy cel w grach wideo – i oczywiście dosłownie wychodziły mu z głowy.

Kirsten zauważyła płonącą flarę na jednej z wież wiertniczych. Sześciokąt był coraz bliżej. Helikopter H225 obrócił się wokół własnej osi i na chwilę lądowisko zniknęło im z pola widzenia. Następnie, po ostatniej gwałtownej nawrotce, płozy maszyny dotknęły powierzchni i kobiecie wydawało się, że mimo huku usłyszała czknięcie policjanta. Pilot to mistrz, bez dwóch zdań, pomyślała.

Rzeczywistość, która czekała na nich na zewnątrz, nie mniej napawała grozą: gdy tylko postawili stopę na twardym gruncie, chlusnął na nich lodowaty deszcz, a wiatr, który zaczął szarpać jej włosy, był tak silny, że zastanawiała się, czy przy okazji nie zepchnie jej z pokładu. Gdy ruszyła przed siebie, poczuła siatkę pod podszewkami butów. Poza oświetleniem pochodzącym z reflektorów umieszczonych tuż przy powierzchni, miejsce pogrążone było w półmroku. Nagle znikąd wychynął jakiś gość w kasku i wielkich

nausznikach i złapał ją za ramię.

– Plecami do wiatru! – zawołał, kręcąc nią jak bakiem. – Plecami do wiatru!

Dobrze, ale z której strony wieje? Wydawało jej się, że czuje gwałtowne podmuchy ze wszystkich kierunków jednocześnie. Mężczyzna pchnął ją ku metalowym schodom. Między stopniami widać było pustą przestrzeń. Ujrzała trzydziestometrową otchłań dzielącą ich od wody oraz rozszalałe, wzburzone fale, które rozbijały się o filary platformy, a potem przetaczały się dalej po powierzchni Morza Północnego, i zakręciło jej się w głowie.

– Kurwa! – zaklął Kasper za jej plecami.

Gdy się odwróciła i podniosła wzrok, zobaczyła, jak kolega czepia się poręczy. Chciała zejść na kolejny stopień, ale nie była w stanie. Nie dało się. Wiatr wiejący od frontu był jak ściana; deszcz z gradem siekł jej policzki. Czuła się tak, jakby przez pomyłkę znalazła się w tunelu aerodynamicznym.

– Szlag, szlag, szlag! – darła się upokorzona, ale niezdolna, by zrobić krok do przodu.

Czyjeś dłonie naparły na nią od tyłu i wreszcie, schodząc jeden stopień za drugim, pokonała barierę.

Na dole czekał na nich kapitan platformy – brodaty dryblas około czterdziestki – w towarzystwie innego gościa, który podał im pomarańczowe ubrania z odbłaskowymi taśmami.

– Wszystko w porządku? – zapytał brodac.

– Dzień dobry, kapitanie. Kirsten Nigaard, oficer Kripas, a to jest Kasper Strand, śledczy z policji kryminalnej okręgu Hordaland – przywitała się, podając mu rękę.

– Jesper Nilsen. Nie jestem kapitanem, jestem operatorem platformy! Włóżcie to. To tutaj obowiązkowe!

Rozkazujący ton, zacięta twarz. Kirsten chwyciła ciężką kapotę, niewygodną i o wiele za dużą: jej dłonie zniknęły we wnętrzu rękawów.

– Gdzie jest kapitan?

– Jest zajęty! – ryknął Nilsen, by przekrzyczeć huk, i dał im znak,

by szli za nim. – Mamy tu wieczny pośpiech, bez końca! Biorąc pod uwagę dzienny koszt utrzymania platformy, nie ma żartów, nie możemy tracić czasu!

Chciała iść za nim, ale podmuch wiatru rzucił ją na poręcz i niemal zgiął w pół. Ruszyła, czepiając się barierki, miotana na wszystkie strony, oślepiąca strugami deszczu. Poszli w lewo, a potem w prawo, zeszli kilka stopni, pokonali kładkę zrobioną z metalowej kratownicy, skręcili za duży kontener, który na chwilę osłonił ich przed porywami wiatru. Ludzie w kaskach i okularach ochronnych chodzili w tę i z powrotem. Podniosła wzrok. Wszystko tutaj było pionowe, przyprawiające o zawrót głowy, nieprzyjazne. Labirynt z neonów i stali, nawiedzany morskimi nawałnicami. I wszędzie zakazy: NIE PALIĆ, NIE ZDEJMOWAĆ KASKU, NIE GWIZDAĆ (być może dlatego, że mimo panującego hałasu każdy niecodzienny dźwięk mógł oznaczać niebezpieczeństwo, był zatem ważną informacją), NIE PRZEKRACZAĆ. Ze wszystkich stron wibrowało, huczało i wyło – do tego dochodził brzęk objających się o siebie rur, odgłosy maszyn i uderzenia morza w dole. W prawo, w lewo, w prawo... Wreszcie jakieś drzwi. Weszli do suchego pomieszczenia przypominającego śluzę, w którym znajdowały się siedziska i szafki. Kierownik otworzył jedną z nich, zdjął kask, rękawice i buty ochronne.

– Tutaj o bezpieczeństwo muszą dbać wszyscy – powiedział. – Wypadki nie zdarzają się często, ale bywają groźne. W każdym miejscu platformy czai się niebezpieczeństwo. Teraz trwa spawanie w obrębie podłogi wiertniczej, pilna naprawa. Mówimy na to *hot work*, gorąca robota. To delikatna praca, której nie można odłożyć. Nie chcę, żebyście nas w tym czasie niepokoiли. Dlatego będziecie robić to, co wam powiemy – dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie ma problemu. Pod warunkiem, że do wszystkiego będziemy mieć dostęp – odparła.

– Nie sądzę, żeby to było możliwe.

– Cóż... Jesper, tak? To jest śledztwo kryminalne, a ofiara była jedną z waszych...

– Nie rozumiecie, co powiedziałem – uciął ostro. – Dla mnie priorytetem jest bezpieczeństwo. Nie wasze śledztwo. Czy teraz wyraziłem się dość jasno?

Kirsten otarła twarz i zobaczyła posępną minę Kaspra. Podobnie jak ona przejrzał operatora i jego kapitana: byli jak kocury, które przed ich przyjazdem nasikały w każdy kąt, by zaznaczyć swoje terytorium. Musieli ustalić strategię z grubymi rybami w firmie: są jedynymi panami na pokładzie, a zatem norweska policja miała działać w zakresie i na warunkach, które oni ustalą. Miała się odezwać, gdy Kasper zapytał spokojnym głosem:

– Czy waszemu kapitanowi zdarza się spać?

Brodacz o wyglądzie zawadiaki rzucił mu wyniosłe spojrzenie.

– Oczywiście.

– I kto go wtedy zastępuje?

– Do czego zmierzasz?

– Zadałem ci pytanie – odparował policjant, a operator i Kirsten aż drgnęły.

Nie taki znowu typ B z tego Stranda, pomyślała.

– Oczywiście.

Kasper podszedł do wyższego o dobre pół głowy mężczyzny tak blisko, że tamten musiał się cofnąć.

– Do czego zmierzam? Do czego zmierzam? Macie tu jakieś miejsce, gdzie zbiera się cały zespół?

Brodacz nieufnie skinął głową.

– Świetnie. A więc zrobisz tak...

– Chwileczkę, słyszeliście, co powiedziałem? Mam wrażenie, że oboje nie kumacie. Będziecie musieli...

– Zamknij się.

Kirsten się uśmiechnęła. Nilsen otworzył szeroko oczy i poczerwieniał.

– Słuchasz mnie uważnie? – wycedził Kasper.

Nilsen przytaknął, zaciskając szczęki i patrząc na niego ponuro.

– Znakomicie. Zaprowadzisz nas do tego pomieszczenia. Następnie chcę, żeby przyszedł tam do nas kapitan i wszystkie

osoby odpowiedzialne za zarządzanie personelem. Wszyscy, których praca w tej chwili nie jest absolutnie konieczna, zrozumiałeś? Robotę gorącą czy nie mam gdzieś. To norweska platforma i władza jest tutaj tylko jedna. Norweskie Ministerstwo Sprawiedliwości oraz norweska policja. Czy wyraziłem się dość jasno?

Kapitan Tord Christensen miał tik, którego prawdopodobnie nie był świadomy. Gdy coś go denerwowało, łapał się za nos. A obecność dwójki glin bardzo go denerwowała. Zespół stawił się w składzie: on, Nilsen, lekarz pokładowy, kilkoro szefów brygad, którzy nie byli zaangażowani w trwającą akcję, jakaś brunetka – jeśli Kirsten dobrze zrozumiała, kontrolerka prac konserwacyjnych – i blondynka, którą przedstawiono jej jako kierowniczkę do spraw bhp.

– Ponad dwadzieścia cztery godziny temu Inger Paulsen, tutejsza pracownica, została śmiertelnie pobita w pewnym kościele w Bergen – zaczęła Kirsten. – Dysponujemy stosownym nakazem sądowym, by prowadzić przesłuchania na tej platformie. Nakaz zobowiązuje cały personel, by był do naszej dyspozycji w celu ułatwienia nam śledztwa.

– Hmm. Pod warunkiem, że śledztwo w żaden sposób nie narazi pracowników platformy na niebezpieczeństwo – zaproponowała ostro blondynka ubrana w białą bluzę i niebieski bezrękawnik. – Gdyby do tego doszło, osobiście mu się sprzeciwię.

Wygląda na to, że każdy tu chce wygrać konkurs na najdłuższego fiuta, pomyślała Kirsten. Jajniki tych kobiet produkowały tyle testosteronu, że wystarczyłoby go na cały pułk Mister Universum.

– Nie mamy zamiaru narażać nikogo na niebezpieczeństwo – odparł dyplomatycznie Kasper. – Wszyscy, którzy nie mogą opuścić stanowiska pracy, zostaną przesłuchani później.

– Czy Inger Paulsen mieszkała w kabinie jednoosobowej? – zapytała Kirsten.

– Nie. Technicy produkcji mają kabiny dwuosobowe: jedna osoba pracuje na dziennej zmianie, druga na nocnej – wyjaśnił



Christensen.

– Macie listę ludzi, którzy wczoraj byli na łądzie?

– Tak. Znajdę ją.

– Wszyscy wrócili?

Kapitan odwrócił się w stronę Nilsena.

– No... nie – odpowiedział tamten. – Jest zła pogoda, helikopter nie przywiózł jeszcze ostatniej tury: na łądzie zostało siedem osób. Niedługo powinny tu być.

– Doktorze, czy są tu pacjenci poważnie zaburzeni psychicznie?

– Kirsten zwróciła się do pokładowego medyka.

– Tajemnica lekarska – odpowiedział, mierząc ją wzrokiem zza okrągłych okularów.

– W przypadku śledztwa w sprawie kryminalnej zostaje uchylona – odparowała.

– Gdybym uznał, że tak jest, natychmiast poprosiłbym o zwolnienie pacjenta z obowiązków.

– W takim razie czy masz pacjentów z lżejszymi problemami psychicznymi?

– Możliwe.

– To znaczy tak czy nie?

– Tak.

– Będzie mi potrzebna lista.

– Nie wiem, czy mogę...

– Biorę to na siebie. Jeśli odmówisz, zostaniesz aresztowany.

To był oczywiście bluff, ale doktorek zadrżał.

– Ile osób jest dziś na pokładzie?

Kapitan wskazał jej przedmiot, który początkowo wzięła za wiszący zegar cyfrowy. Liczba 83: wielkie białe cyfry na czarnym tle. Później zauważyła napis pod spodem, po angielsku: *Souls on platform*.

– To konieczne ze względów bezpieczeństwa. W każdej chwili musimy znać dokładną liczbę osób znajdujących się na pokładzie – wyjaśnił kapitan.

– Ile jest kobiet? – zapytał Kasper.

– W sumie dwadzieścia trzy.

– A kabin?

– Pięćdziesiąt kabin dwuosobowych. Plus kabiny jednoosobowe dla kapitana, kierowników, brygadzystów, inżynierów.

Kirsten zastanawiała się przez chwilę.

– Jak to robicie, żeby wiedzieć, gdzie w danym momencie znajduje się każda z osób?

Przyszła kolej na blondynkę:

– Stanowisko kontrolne. Wszystkie prace wykonywane na pokładzie muszą być wcześniej zatwierdzone. Pozwala to osobom ze stanowiska kontrolnego wiedzieć, gdzie znajduje się każdy pracownik i co robi.

– Rozumiem. A co robią ci, którzy w tym momencie nie pracują?

Christensen uśmiechnął się pod nosem.

– Zważywszy na porę, sędzę, że śpią.

– Dobrze. Obudźcie ich, wyciągnijcie z kabin i zbierzcie w jakimś miejscu. Zabrońcie wstępu do kabin.

– Żartujesz!

– A tak wyglądam?

Kabina Inger Paulsen miała niespełna dziewięć metrów kwadratowych. Druga lokatorka nazywała się Pernille Madsen. Akurat była na stanowisku pilotażu, więc kabina była pusta. Dwie koje z niebieską pościelą, jedna nad drugą, pod spodem białe szuflady oznaczone literami A i B. Każde łóżko wyposażone było w zasłonkę i małe telewizor w rogu, w przypadku górnej koi pod sufitem, w przypadku dolnej – pod górną. Na środku mały bulaj, kilka półek, biurko z dwoma laptopami i dwie szafy za drzwiami wejściowymi.

– Może wyglądać spartańsko – odezwała się za plecami Kirsten blondynka, która ich tu przyprowadziła – ale spędzają na morzu tylko pięć miesięcy w roku, z czego sporo czasu poza pracą w stołówce i kawiarence. Można też oglądać telewizję satelitarną na dużym ekranie, są trzy bilardy, sala kinowa, siłownia, biblioteka,

a nawet miejsce do gry na instrumentach muzycznych i sauna.

Kirsten zdjęła kurtkę z taśmami odblaskowymi i przewiesiła ją przez oparcie krzesła. W porównaniu z przenikliwym zimnem na zewnątrz tutaj panowała duchota.

– Najtrudniej jest na Boże Narodzenie i Nowy Rok, kiedy jest się daleko od rodziny – dodała kobieta. Jej głos był monotony, bezbarwny, pełen tłumionej wrogości.

Kirsten przejrzała szuflady pod kojami i w biurku oraz półki. Damska bielizna, T-shirty, dzinsy, trochę papierów, kieszonkowy kryminał z oślimi uszami, gry wideo... Nic. Niczego tutaj nie było. Przez ściankę przenikała lekka wibracja – maszyny, dmuchawy, silnika. Kobieta za jej plecami wciąż mówiła, ale Kirsten przestała jej słuchać. Zauważyła, że jedno łóżko jest starannie zaścielone, a drugie w nieładzie. Było gorąco. Bardzo gorąco. Pot spływał jej pod paskiem stanika. Zaczynała ją boleć głowa.

– Pokaż nam kabiny mężczyzn, którzy w dniu zabójstwa byli na łodzi – powiedziała.

Blondynka przeszła ją wzrokiem. Mrugnęła. Cała jej mowa ciała świadczyła o wrogości. Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed nimi korytarzem po grubej niebieskiej wykładzinie tłumiącej kroki. Wskazała na kilkoro drzwi. Kirsten dała jej znak, by otworzyła. Zobaczyła, jak Kasper znika w jednej z kabin i sama weszła do następnej. Kobieta stała bez ruchu. Kirsten zauważyła, że blondynka obserwuje ją z korytarza przez otwarte drzwi. Ją – nie Kaspra. Zmusiła się do przeszukania kabiny. Przed upływem pięciu minut musiała uznać, że tutaj także niczego nie znajdzie.

I wciąż ta wibracja, pulsowanie dochodzące z wnętrzości platformy. Miała wrażenie, że drgania przenikają jej wprost do mózgu. Było jej gorąco i czuła lekkie zawroty głowy. I to nieustanne ostre spojrzenie tej kobiety za jej plecami. Przeszła do kolejnych drzwi. Najpierw obejrzałaabinę. Była identyczna jak pozostałe. Otworzyła szuflady pod łóżkiem. I od razu zobaczyła. Wśród ubrań leżała damska bielizna. Brudna. Odwróciła się.

– W tej kabinie mieszkają kobiety?

Blondynka zaprzeczyła ruchem głowy. Kirsten wróciła do przeszukania. Męskie ciuchy, markowe. Boss, Calvin Klein, Ralph Lauren, Paul Smith... Otworzyła inną szufladę. Znowu damska bielizna. Jedna ze sztuk była poplamiona krwią... Co to jest? Poczowała, jak jej puls przyśpieszył.

Odwróciła się w stronę drzwi. Oszła blondynka ją obserwowała. Może coś wyczuła. Może samą mową ciała Kirsten dała jej do zrozumienia, że coś się dzieje. Schyliła się, przejrzała bieliznę. Każda sztuka miała ten sam albo prawie ten sam rozmiar... Kirsten znowu się odwróciła. Wydawało jej się, że usłyszała dochodzący z tyłu dźwięk. Kobieta się przesunęła. Stała teraz bardzo blisko, opierając się ramieniem o futrynę. I nie przestawała na nią patrzeć. Kirsten zadrzała. Zaczęła szybciej oddychać. Spojrzała na kobietę.

– Do kogo należy ta kabina?

– Nie wiem.

– Ale można się tego jakoś dowiedzieć?

– Oczywiście.

– Więc chodźmy. Pokaż nam.

Kasper usłyszał głos Kirsten i dołączył do kobiet. Pokazała mu otwartą szufladę, majtki poplamione od środka krwią, i popatrzyła na niego. Skinął głową. Zrozumiał.

– Coś tu nie gra. To zbyt łatwe – powiedziała. – Wygląda to jak zabawa w podchody.

– Jeśli tak, to komunikat skierowany jest do ciebie – odparł Kasper.

Spojrzała na niego. Niegłupie.

– Proszę za mną – odezwała się kobieta. – Mieszkają tu Laszlo Szabo i Philippe Neveu.

Znajdowali się w niewielkim gabinecie bez okna, pełnym papierów. Neveu, francuskie nazwisko...

– Który z nich był ostatniej nocy na łodzi?

– Neveu.

– Gdzie jest teraz?

Kobieta spojrzała na ścienny grafik z okienkami, w które

wsunięte były kolorowe kartoniki.

- W tej chwili na stanowisku spawania. Na podłodze wiertniczej.
- To Francuz?

Blondynka poszperała w szufladzie metalowej komody, wyjęła z niej teczkę i podała im. Kirsten zobaczyła zdjęcie mężczyzny o szczupłej twarzy. Krótko obcięte ciemne włosy. Dałaby mu jakieś czterdzieści pięć lat.

– Tak, tak twierdzi – odparła kobieta. – A co się właściwie dzieje?

Kirsten zerknęła na torebkę z zakrwawionymi majtkami, a następnie podniosła wzrok na Kaspra. Gdy ich oczy się spotkały, poczuła zastrzyk adrenaliny. Wyraz jego twarzy z pewnością pokrywał się z tym, co malowało się na jej obliczu. Wyglądali jak dwa psy, które zwęszyły zwierzynę.

- Co robimy? – zapytała cicho.
- Trudno będzie wezwać posiłki – odparł policjant.

Zwróciła się do kobiety:

– Czy na pokładzie jest jakaś broń? Kto jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo? Na pewno macie procedury na wypadek ataku piratów lub zamachu terrorystycznego.

Kirsten wiedziała, że morskie kompanie wydobywcze zachowują w tym względzie niezwykłą dyskrecję. Nikt nie ma ochoty opowiadać o tak delikatnych sprawach, przyznać się do słabości tych wysoce strategicznych celów w zetknięciu z dobrze przygotowanymi terrorystami. Dwukrotnie brała udział w dorocznych ćwiczeniach Gemini, obejmujących policję, siły specjalne, straż przybrzeżną i kilka kompanii zajmujących się wydobywaniem ropy i gazu. Uczestniczyła też w konferencjach. Wszyscy specjaliści mówili jednym głosem: Norwegia jest gorzej przygotowana od swoich sąsiadów, by stawić czoło atakowi terrorystycznemu. Do niedawna naród tego kraju naiwnie sądził, że terrorizm go nie dotyczy i zawsze będzie go omijał. Jednak ta iluzja runęła z hukiem 22 lipca 2011, gdy Anders Breivik dokonał masakry na wyspie Utøya. Jednak nawet obecnie, podczas gdy

w Szkocji policja zapewnia ochronę instalacji wydobywczych, umieszczając na ich pokładzie uzbrojonych ludzi, Norwegia wciąż nie zdaje sobie wystarczająco sprawy z zagrożenia, choć na przykład Statoil wzmocnił zabezpieczenia w 2013 roku w następstwie ataku na rafinerię w In Amenas w południowej Algierii. Co by było, gdyby dobrze wytrenowani ludzie uzbrojeni w karabiny szturmowe wylądowali na platformie swoim helikopterem i zajęli ją? Gdyby ją naszpikowali ładunkami wybuchowymi? Na Morzu Północnym jest ponad czterysta instalacji *offshore*. Czy przestrzeń powietrzna jest nieustannie strzeżona? Kirsten w to wątpiła. Czy pracownicy wracający z lądu są przeszukiwani? Jaki to dla nich problem przemycić na pokład broń?

Zobaczyła, że kobieta naciska jakiś guzik i pochyła się nad mikrofonem.

– Mikkel, czy możesz tu przyjść? Natychmiast?

Trzy minuty później do niewielkiego biura wkroczył mięśniak poruszający się jak kowboj.

– Mikkel, ci państwo są z policji – zwróciła się do niego blondynka. – Chcą wiedzieć, czy jesteś uzbrojony.

Mikkel spojrzał na nich, marszcząc brwi, i poruszył napakowanymi barkami.

– Tak, a o co chodzi?

Kirsten spytała go o rodzaj broni. Usłyszawszy odpowiedź, skrzywiła się.

– Czy ktoś jeszcze na pokładzie jest uzbrojony?

– Kapitan ma broń w swojej kabinie. To wszystko.

Cholera, pomyślała. Popatrzyła na czarny bulaj smagany ulewą, a potem znowu na Kaspra. Jego wzrok dokładnie odzwierciedlał jej opinię na temat całej sytuacji.

– Jesteśmy sami – podsumowała.

– A on, w przeciwieństwie do nas, jest na swoim terenie.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, o co chodzi? – zapytał osiłek.

Kirsten odpięła kaburę przypiętą na biodrze, ale nie wyjęła pistoletu.

– Weź swoją broń. Ale nie używaj jej, chyba że ci powiem.

Mięśniak zbladł.

– O czym wy mówicie?

– Zamierzamy dokonać aresztowania... – Znowu zwróciła się do kobiety, która stała teraz z szeroko otwartymi oczami. – Prowadź.

Tym razem blondynka bez ociągania spełniła prośbę. Zdjęła z wieszaka nieprzemakalną kurtkę. Cała jej agresja się ulotniła. Najwyraźniej się bała. Opuścili gabinet gęsiego i wąskim korytarzem doszli do metalowych schodów równie stromych jak pozostałe. Na górze Kirsten zauważyła światło zewnętrznych reflektorów. Wyszli w noc i w jej uszach znowu wezbrał ryk wzburzonego morza. Blondynka prowadziła ich przez smagany deszczem labirynt. Lało jak z cebra. Strugi deszczu lśniły na nieprzeniknionym, czarnym tle i w blasku lamp. Kirsten postawiła kołnierz płaszcza. Poczowała, jak lodowata woda pryska jej na kark i spływa po plecach. Od ich kroków drżały kratownice, ale odgłos butów pochłaniał zwykły huk platformy.

Gigantyczne rury zawieszane w szeregu na nadbudowie wznosiły się nad nimi niczym organy. Każda z nich była wyższa niż dom. Wichura sprawiała, że tańczyły, dźwięczały i obijały się o siebie jak dzwonki wietrzne. Następne schody... Weszli po stopniach i znaleźli się na pokładzie uwalanym tłustą, oleistą mazią, pełnym maszyn i rur. W głębi, w świetle przerywanych rozbłysków, Kirsten zauważyła klęczącą postać. Adrenalina rozchodziła się po jej żyłach. Policjantka dyskretnie dotknęła dłonią biodra, by sprawdzić, czy ma łatwy dostęp do broni. Ciemna maska spawacza rozjaśniała się za każdym razem, gdy łuk elektryczny tryskał potężnym białym światłem. Wszędzie dookoła unosiły się iskry i dym. Kask robotnika przypominał Kirsten hełm rycerza. Skupiony na swojej pracy, nie zauważył ich obecności.

– Neveu! – krzyknęła blondynka.

Kask i zasłona się podniosły, białe światło zgasło. Kirsten przez chwilę wydawało się, że mężczyzna się uśmiecha.

– Proszę się odsunąć – powiedziała spokojnie, przesuwając

kobietę. – Philippe Neveu? *Norway Police!* – rzuciła po angielsku.

Mężczyzna nie zareagował. Zastygł, nie wypuszczając spawarki z dłoni. Milczał. Kirsten nie widziała jego oczu ani twarzy. Wciąż klęcząc, odłożył palnik urządzenia na metalową podłogę i powoli zdjął grube rękawice. Podniósł blade dłonie do kasku. Policjantka śledziła każdy jego ruch. Prawą rękę trzymała z tyłu, tuż przy biodrze. Dłonie mężczyzny w końcu znalazły się nad głową i wtedy ujrzała jego twarz. Tę samą, którą widzieli na zdjęciu. Miał dziwnie błyszczące oczy i wszystkie zmysły Kirsten natychmiast znalazły się w stanie pogotowia. Mężczyzna wstał z wielkim ociąganiem, miała wrażenie, że uniesie się w powietrze, tak był wysoki i chudy, choć każdy ruch wykonywał w zwolnionym tempie.

– *Pomalu. Slowly* – powiedziała.

Sięgnęła do prawej kieszeni po kajdanki zaciskowe, ale ich nie znalazła. Szlag! Poszukała w lewej. Są. Rzuciła okiem na Kaspra. Był tak samo napięty jak ona, nie spuszczał mężczyzny z oczu i Kirsten zobaczyła mięśnie jego żuchwy poruszające się pod skórą.

Sześć metrów. Taki dystans ich dzielił. Jeśli chce założyć mu kajdanki, będzie musiała pokonać tę odległość. Rozejrzała się dookoła. Kasper wyjął pistolet. Ochroniarz trzymał dłoń na kaburze jak kowboj z filmów o Dzikim Zachodzie. Blondynka stała przerażona, szeroko otwierając oczy.

– *Keep quiet!* – rzuciła Kirsten, wyciągając kajdanki.  
– *Understand me?*

Mężczyzna się nie poruszył. Wciąż patrzył wzrokiem osaczonego zwierzęcia.

Cholera. Nie podobało jej się to. Odsunęła mokry kosmyk włosów, który wpadał jej do oka. Deszcz lał jej się na głowę i ściekał na czubek nosa.

– *Ręce za głowę!* – zawołała.

Wykonał polecenie. Znowu z tą podejrzaną powściągliwością. Jakby się bał, że sprowokuje policjantów do użycia przemocy. A przy tym nie przestawał na nią patrzeć. Na nią. Na nikogo innego.

Był naprawdę wysoki. Podchodząc, będzie musiała się wykazać



największą ostrożnością. Woda odprowadzana przez rynnę ze stalowych belek ściekała mu wprost na głowę, ale jakby tego nie zauważał. Wpatrywał się w nią błędnym wzrokiem.

– Teraz odwrócisz się bardzo powoli i uklękiesz. Ręce cały czas za głową. Zrozumiano?

Nie odpowiedział, ale wykonał rozkaz, wolno obracając się wokół własnej osi. Chwilę później już go nie było. Zniknął z ich pola widzenia z taką łatwością, jakby stało się to za sprawą jakiejś sztuczki. Pomknął na prawo, za dużą cylindryczną cysterne i tablicę elektryczną.

– CHOLERA!

Kirsten wyjęła broń, załadowała pocisk i ruszyła w pościg. Okrążyła cysterne. Metalowa kratownica wibrowała pod jej stopami. Zobaczyła, jak mężczyzna skręca w lewo za czymś w rodzaju wygiętej rury połączonej z drugą, identyczną, i zbiega po schodach. Dzieliło ich około dziesięciu metrów. Popędziła za nim. Na końcu schodów znajdowała się wąska kładka prowadząca na inną, znacznie słabiej oświetloną część platformy. Poniżej szalało morze.

– Kirsten, wracaj! – krzyknął Kasper. – Wracaj! Nie ucieknie daleko!

Zbyt zdenerwowana, by się zastanawiać, zbiegła na dół i ruszyła długą kładką ku ciemnościom po drugiej stronie.

– Kirsten! Wracaj, do cholery!

Przez kratę podłogi zobaczyła w dole gigantyczne fale z grzebieniami piany. Co ty wyprawiasz? W co ty pogrywasz? Biegła co sił w nogach, z pistoletem w dłoni, na drugi koniec platformy, który wyglądał na wyjątkowo ciemny i opustoszały.

Labirynt – tak, to był labirynt. Płatanina stalowych belek, schodów i barierek. Tak, wiedziała, że nie powinna tam iść, ale ostatecznie ten typ o głupkowskim uśmiechu był w kombinezonie, który musiał cholernie dużo ważyć i mocno ograniczać jego ruchy, no i w przeciwieństwie do niej nie miał broni. To właśnie zamierzała im odpowiedzieć, gdy zapytają, dlaczego naraziła się na takie ryzyko. W tej chwili wydawało jej się, że tak właśnie myśli.

Kiedy stawiała stopę po drugiej stronie (przypomniały jej się narożne baszty zamku połączone galerią obronną), wyjątkowo wysoka fala uderzyła w jeden z filarów poniżej i lodowaty bryzg zmoczył jej twarz. Szukała mężczyzny wzrokiem. Na próżno. Mógł się jednak kryć w którymkolwiek z otaczających ją cieni. Wystarczyło, że się nie ruszał.

– Neveu! – krzyknęła. – Nie rób głupstw! Nie masz dokąd uciec!

Odpowiedział jej tylko wiatr. Odwróciła głowę dokładnie w chwili, gdy jeden z cieni oderwał się i pobiegł w głąb pokładu.

– Hej, hej! Wracaj, kurwa!

Ruszyła za nim, ale znowu zniknął, a wtedy uświadomiła sobie, że jest sama. Wyłącznie ona i on. Ani Kasper, ani ochroniarz nie poszli za nią. Zrobiła jeszcze kilka kroków. Otaczały ją tylko cienie i rozbłyski. Zasłona nocy to opadała, to się uchylała. Kirsten szła na lekko ugiętych nogach, oburącz trzymając przed sobą pistolet. Było tak ciemno, że nic nie widziała. Cholera, chyba zwariowałam. Po co ja się tam pcham? – pomyślała. Dobrze wiedziała, że robi to dla poklasku. A może ją to kręci?

Natrafiła stopą na coś miękkiego i spojrzała w dół: na kratownicy leżała jakaś zwinięta plandeka. Próbowwała ostrożnie przejść nad nią okrakiem, nie przestając rozglądać się dookoła. Właśnie przełożyła stopę na drugą stronę, gdy poczuła, jak na jej kostce zaciskają się czyjeś palce. Zanim zrozumiała, co się dzieje, ktoś gwałtownie pociągnął jej nogę do tyłu. Przewróciła się. W języku bokserkim nazywa się to „zaliczyć matę”. Uderzyła plecami i łokciem o metalowe podłoże. Jej pistolet z brzękiem potoczył się kawałek dalej. Jakaś postać odrzuciła plandekę, wstała i z zaskakującą zwinnością rzuciła się na Kirsten. Policjantka dostrzegła skrzywioną twarz napastnika. Zamierzała właśnie wymierzyć mu kopniaka, gdy nocne niebo eksplodowało. W tej samej chwili rozbłysły dziesiątki lamp, które oświetliły pochyloną nad nią postać. Rozległ się głos Kaspra:

– DO TYŁU! DO TYŁU! RĘCE ZA GŁOWĘ! NEVEU! NIE UDAWAJ GŁUPKA!

Kirsten odwróciła głowę w stronę policjanta. Po chwili znowu spojrzała na Francuza. Mężczyzna patrzył na nią zaniepokojony. Podniósł ręce i nie spuszczał jej z oczu.

Kirsten i Kasper od ponad trzech godzin siedzieli twarzą w twarz z Francuzem. Wybrała możliwie najbardziej neutralne pomieszczenie, pokój bez dekoracji ani okien, tak by nic nie rozpraszało uwagi ich rozmówcy, żeby mógł się skupić na niej i zadawanych przez nią pytaniach.

Najpierw mu schlebiała, podkreślając wyjątkowość scenografii w kościele i pytając o jego fach spawacza, a następnie wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zaczęła kpić z jego słabości, wyśmiewając łatwość, z jaką dał się schwytać, i liczbę śladów, które za sobą pozostawił. On zaś przez cały czas przekonywał o swojej niewinności.

– To jest bielizna mojej dziewczyny – wyjęczał po raz kolejny. – Przypomina mi o niej i pomaga się... no wiecie...

Popatrzyła na niego. Jego wzrok – błagalny, wilgotny, załzawiony – podziałał na nią tak, że miała ochotę go spoliczkować.

– A krew? – zapytał Kasper.

– Cholera, to jest krew miesięczkowa! Tacy jesteście uczeni, powinniście chyba wiedzieć, jak to sprawdzić!

Oczami wyobraźni ujrzała Francuza wążającego nocą majtki na swojej koi i przeszedł ją dreszcz.

– Okay. W takim razie dlaczego uciekałeś?

– Już mówiłem.

– Okay. Powtórz.

– Powtarzałem już dziesięć razy!

Wzruszyła ramionami.

– To teraz będzie jedenasty.

Zamilkł na tak długo, że Kirsten miała ochotę nim potrząsnąć.

– Przywożę tu po cichu trochę shitu, rozprawdam wśród kolegów na pokładzie.

– Zajmujesz się dilerką?

– Nie, to prezent.

– Przestań mnie traktować jak idiotkę.

– Tak. No dobra, prawie: robię im przysługę. Życie na pokładzie nie zawsze jest łatwe. Ale, do cholery, nie jestem mordercą! Nigdy nikogo nie skrzywdziłem!

Znowu chlipanie, zaczerwienione oczy. Wyszli z pomieszczenia.

– A jeśli postawiliśmy na złego konia? – zapytała.

– Żartujesz?

– Nie.

Ruszyła korytarzykiem i pokonała schody prowadzące do kabiny dowodzenia. Zaczynała się orientować w tym labiryncie. Christensen spojrział na nią.

– No i?

– Musimy sprawdzić kabiny robotników, którzy jeszcze nie wrócili.

– Ale po co?

Kirsten nie odpowiedziała.

– W porządku. Pokażę wam – zgodził się, chcąc nie chcąc. Wyczuł jej bezwzględny upór i wiedział, że próbując przywieść ją do rozsądku, straciłby tylko czas.

W czwartej kabinie znalazła. Wśród ubrań spoczywała koperta z szarego papieru. Format A4. Wyjęła ją i otworzyła. Zdjęcia. Na pierwszym portret jasnowłosego dziecka. Cztery, może pięć lat. Odwróciła fotografię. Gustav. Tak była podpisana. Za plecami chłopca znajdowało się jezioro i miasteczko wśród ośnieżonych gór. Obejrzała pozostałe zdjęcia. Wykonano je z teleobiektywem...

Mężczyzna. Na wszystkich ten sam. Mniej więcej czterdzieści pięć lat. Ciemne włosy. Kirsten przejrzała odbitki. Było ich około dwudziestu. Obiekt parkuje samochód, wysiada, zamyka go. Idzie

ulicą wśród tłumu. Siedzi za szybą kawiarni. Kirsten zauważyła tabliczkę z nazwą ulicy. Zdjęcia wykonano we Francji.

Na jednym z ostatnich mężczyzna wchodził do budynku wykonanego z cegły, poza głównym holem, do którego prowadził półokrągły metalowy westybul. Niebiesko-biało-czerwona flaga. Francuska. A nad wejściem napis: HÔTEL DE POLICE. Nie znała francuskiego, ale nie musiała, by zrozumieć ostatnie słowo. *Police* – policja.

Mężczyzna miał przyjemną twarz, ale wyglądał na zmęczonego, zmartwionego. Kirsten zauważyła worki pod oczami, gorzko wykrzywione usta. Niektóre zdjęcia wyraźnie ukazywały jego twarz, na innych cała sylwetka była trochę zamazana, na jeszcze innych między nim a fotografem znajdował się jakiś samochód, gałęzie drzewa, przechodnie. Obiekt żył w absolutnej nieświadomości cienia, który chodził za nim krok w krok.

Jeszcze raz odwróciła zdjęcie dziecka.

## GUSTAV

Ten sam charakter pisma co na karteczce znalezionej w kościele, w kieszeni Inger Paulsen.

Na której znajdowało się jej nazwisko.

W Tuluzie także padało, ale nie było śniegu. W pierwszych dniach października temperatura dochodziła tu do piętnastu stopni.

– *Dom na końcu ulicy* – odezwał się porucznik Vincent Espérandieu.

– He?

– Nic. To tytuł horroru.

Siedząc w półmroku samochodu, komendant Martin Servaz przez dłuższy czas przyglądał się wysokiemu budynkowi w pobliżu nasypu kolejowego. Dwupiętrowy dom o lśniącym dachu i fasadzie tonącej w mrocznym cieniu dużego drzewa wyglądał ponuro. Zapadł zmrok i ściana deszczu siekającego pustą przestrzeń, która dzieliła ich od budynku, sprawiała wrażenie, jakby znaleźli się na końcu świata. Dziwne miejsce do mieszkania, wciśnięte między tory kolejowe i rzekę, sto metrów od ostatnich zabudowań tej nędznej dzielnicy, którego jedynym sąsiedztwem są magazyny pokryte graffiti, pomyślał. Zresztą przyprowadziła ich tutaj właśnie rzeka: trzy kobiety uprawiające jogging na brzegu Garonny. Dwie pierwsze napadnięte i zgwałcone. Trzecia, wielokrotnie ugodzona nożem, właśnie zmarła od ran w Szpitalu Uniwersyteckim w Tuluzie. Do wszystkich trzech napaści doszło w odległości niespełna dwóch kilometrów od tego domu. A mężczyzna, który tutaj mieszkał, figurował w FIJAIS<sup>1</sup>, rejestrze brutalnych przestępców seksualnych. Multirecydywista, który niedawno wyszedł z więzienia na mocy decyzji sędziego penitencjarnego, po odbyciu dwóch trzecich kary.

– Jesteś pewien, że to tutaj?

– Florian Jensen, chemin du Paradis 29 – potwierdził Espérandieu, który siedział z włączonym tabletem na kolanach.

Nie odrywając czoła od zalanej deszczem szyby, Servaz skierował wzrok na niezagospodarowany kawałek ziemi po lewej stronie – ponury ugór porośnięty wysokimi trawami i samosiejkami akacji. Słyszał, że jakaś duża firma zajmująca się budową autostrad, dystrybucją energii i kosmicznie drogimi parkingami planuje tu wybudować sto osiemdziesiąt pięć mieszkań, żłobek i dom starców. Była to jednak ziemia przemysłowa o zawartości ołowiu i arsenu dwukrotnie przekraczającej normę. Część lokalnych organizacji ekologicznych twierdziła wręcz, że zanieczyszczenie sięga zwierciadła freaticznego, co nie przeszkadzało tutaj mieszkającym podlewać ogródków warzywnych wodą czerpaną ze studni.

– Jest w środku – oznajmił Vincent.

– Skąd wiesz?

Espérandieu wskazał na tablet.

– Kretyn jest na Tinderze.

Servaz spojrział na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– To taka aplikacja randkowa – wyjaśnił z uśmiechem jego zastępca. (W przeciwieństwie do niego Martin ani trochę nie był geekiem ani nerdem). – Ten gość to gwałciciel. Pomyślałem, że może ściągnął sobie Tindera. Tinder wyszukuje w promieniu kilku kilometrów wszystkie laski, które mają tę apkę w swoim telefonie. Praktyczne dla takich drani jak on, prawda?

– Aplikacja randkowa? – powtórzył Servaz, jakby podwładny mówił mu o jakiejś zagubionej planecie na końcu wszechświata.

– Tak.

– No i?

– No i założyłem sobie fałszywy profil, żeby zwabić rybkę w moje sieci. Zadziałało. Patrz.

Servaz pochylił się nad ekranem, który jasno lśnił w półmroku, i zobaczył zdjęcie młodego mężczyzny. Rozpoznał podejrzanego. Obok znajdował się portret ładnej blondynki, która nie miała nawet



dwudziestu lat.

– Tylko że teraz musimy tam iść. Zostaliśmy namierzeni. A raczej nie my, tylko Joanna.

– Joanna?

– Mój fałszywy profil. Blondynka, metr siedemdziesiąt, osiemnaście lat, wyzwolona. O kurwa, mam już ponad dwieście matchów! W mniej niż trzy dni... Ta sztuczka zrewolucjonizuje randkowanie.

Servaz nie ośmielił się zapytać, o czym kolega mówi. Vincent miał zaledwie dziesięć lat mniej niż on, ale nie mogli się bardziej różnić. Podczas gdy Servaz, czterdziestosześcioletek, czuł tylko osłupienie i bezradność w obliczu nowoczesności, którą postrzegał jako spisek technologii, podglądactwa, reklamy i masowego handlu przeciwko naturze, jego zastępca poruszał się po forach i sieciach społecznościowych jak ryba w wodzie i więcej czasu spędzał przy komputerze niż przed telewizorem. Servaz wiedział, że jest człowiekiem starej daty i że jego sposób na życie już nie działa. Był podobny do bohatera, w którego wcielił się Burt Lancaster w filmie *Portret rodzinny we wnętrzu* – tego starego profesora, który prowadzi samotniczy żywot w swojej rzymskiej rezydencji wypełnionej dziełami sztuki aż do dnia, gdy na swoją zgubę wynajmuje ostatnie piętro hałaśliwej i wulgarnej nowoczesnej rodzinie. I oto mimo woli staje twarzą w twarz ze światem, którego nie rozumie, który jednak ostatecznie zaczyna go fascynować. Podobnie było z Servazem – musiał przyznać sam przed sobą, że nie rozumie już tego stada ludzi, ich dziecinnych gadżetów i infantylnej ekscytacji.

– Wysyła jedną wiadomość za drugą. Jest podjarany – podsumował Vincent i schylił się, by sięgnąć do schowka.

Servaz go powstrzymał.

– Tam jest twój pistolet – zdziwił się Espérandieu.

– Wiem.

– Nie bierzesz?

– Po co? Ten gość zawsze działał w ten sam sposób: używał

białej broni. I za każdym razem kiedy go zatrzymywano, nie stawiał oporu. Poza tym ty masz spluwę...

Po tych słowach wysiadł. Espérandieu wzruszył ramionami. Upewnił się, że jego pistolet jest w kaburze, odbezpieczył go i również wyszedł z samochodu. Zacinający deszcz od razu zmoczył mu czoło.

– Jesteś uparty jak osioł, wiesz o tym? – rzucił, zanurzając się w strugi deszczu.

– *Cedant arma togae*. Niech oręż ustąpi przed togą.

– W szkole policyjnej powinni uczyć łaciny – zażartował Espérandieu.

– Mądrości starożytnych – poprawił go Servaz. – Znam takich, którym mogłoby się to przydać.

Pokonali błotnisty teren i doszli do siatki. Przed domem znajdował się niewielki ogród. Ogromny tag wykonany sprayem zdobił prawie całą południową ścianę budynku. Jedyne znajdujące się w niej okno zostało zamurowane. Na froncie, od strony ogrodu widać było po dwa okna na każdym piętrze, jednak okiennice były zamknięte.

Bramka odpowiedziała rdzawym skrzypnięciem, gdy Servaz ją pchnął. Dźwięk był tak wysoki i przenikliwy, że policjant nie miał wątpliwości, że mimo ulewy było go słychać w domu. Zerknął na Vincenta, a ten skinął głową. Ruszyli krótką alejką wśród pozostawionych na pastwę losu sadzonek warzyw, między którymi rozpleliły się chwasty. Nagle Servaz znieruchomiał. Po prawej stronie zauważył jakiś kształt. Molos wyszedł z budy i patrzył na nich. W milczeniu. Bez ruchu.

– Pitbull – skomentował Espérandieu pełnym napięcia szeptem, podchodząc do szefa. – Normalnie nie powinno już być ani jednego psa z pierwszej kategorii, bo od 1999 roku zgodnie z prawem nie wolno ich rozmnażać i należy sterylizować. Ale wiesz, że w samej Tuluzie żyje ich sto pięćdziesiąt? I ponad tysiąc psów drugiej kategorii...

Servaz przyjrzał się łańcuchowi: był wystarczająco długi, by pies

mógł ich dosięgnąć. Vincent wyjął broń. Martin zastanawiał się, czy to wystarczy, by powstrzymać impet zwierzęcia, gdyby przyszła mu ochota rozszarpać im gardła.

– Gdybyśmy mieli dwie spluwy, byłyby większe szanse, żeby go zastopować – zauważył rozsądnie jego podwładny.

Ale pies ani drgnął. Nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, jak cień o dwojgu małych, lśniących ślepiach. Servaz wszedł na jedyny stopień, o który rozbijały się krople deszczu. Nie spuszczając psa z oczu, wcisnął metalowy guzik dzwonka. Przez matową szybkę usłyszał ostry dźwięk rozchodzący się po całym domu. Za drzwiami panowały ciemności. Jak w grobie. Potem usłyszał kroki. Drzwi się otworzyły.

– Czego, kurwa?

Mężczyzna był niższy od niego. Bardzo szczupły, prawie chudy. Przy wzroście metr siedemdziesiąt musiał ważyć jakieś sześćdziesiąt kilogramów. Był też młodszy, około trzydziestki, i miał kompletnie ogoloną głowę. Servaz zwrócił uwagę na pewne charakterystyczne cechy: zapadnięte policzki, oczy głęboko osadzone w oczodołach i źrenice wielkości główki od szpilki, choć do miejsca, w którym stał, prawie nie dochodziło światło.

– Dobry wieczór – przywitał się grzecznie, odsłaniając blachę. – Policja kryminalna. Możemy wejść?

Zobaczył, że łysy się waha.

– Chcemy tylko zadać kilka pytań w związku z tymi trzema kobietami, które napadnięto nad rzeką – dodał czym prędzej. – Na pewno czytał pan o tym w gazetach.

– Nie czytam gazet.

– No to w Internecie.

– Też nie czytam.

– Ach tak. Odwiedzamy wszystkie domy w promieniu kilometra, rutynowe rozpytanie – skłamał.

Spojrzenie oczu o źrenicach jak główki szpilek przesunęło się z Servaza na Vincenta i z powrotem. Mężczyzna miał kredowobiałą skórę. Spomiędzy jego kościstych obojczyków wyrastała chuda

szyja. Servaz pomyślał, że łysy na pewno ma teraz w głowie dziewczynę, którą zbajerował na Tinderze (prawdziwy cud, nieprawdaż, gość z taką gębą!), i że zależy mu tylko na jednym: splewić ich i wrócić do wirtualnego podrywu. Co by z nią zrobił, gdyby rzeczywiście połknęła haczyk? Martin czytał jego kartotekę.

– Jakiś problem, proszę pana? – Servaz celowo przybrał podejrzliwy ton i zrobił zakłopotaną minę, unosząc brwi.

– Co? Nie... nie, żaden problem... Wchodźcie. Ale pośpieszcie się, okay? Muszę podać mamie leki.

Jensen cofnął się o krok i Servaz przekroczył próg. Wszedł do przedpokoju, który był ciemny i wąski jak kopalniany chodnik. Na jego końcu majaczyła słaba poświata, a od drzwi znajdujących się dwa metry dalej po lewej stronie bił szary blask. Pomyślał o sieci jaskiń przelotnie oświetlonych lampami speleologów. Śmierdziało kocim moczem, pizzą, potem i papierosowym dymem. Servaz wyczuł jeszcze jeden zapach. Znał go, ponieważ wielokrotnie spotykał się z nim w mieszkaniach w centrum miasta, w których znajdowano zwłoki starych kobiet zapomnianych przez Boga i ludzi: była to słodkawa woń lekarstw i starości. Zrobił jeszcze jeden krok. Po obu stronach korytarza wznosiły się ściany kartonów, zapadniętych pod ciężarem własnej zawartości: starych abażurów, stert zakurzonych czasopism, wiklinowych koszy pełnych bezużytecznych przedmiotów. Oprócz kartonów w przedpokoju stały brzydkie, masywne meble, zostawiając przejście dla najwyżej jednej osoby. Wnętrze bardziej przypominało magazyn niż mieszkanie...

Gdy znalazł się na wysokości drzwi, rzucił okiem na lewo. Początkowo dostrzegł tylko czarne kształty zbyt licznych mebli, a na środku niewielką plamę światła pochodzącego od lampki na szafce nocnej. Kiedy obraz stał się wyraźniejszy, Servaz zauważył, że w łóżku leży jakaś postać. Chora matka, bez cienia wątpliwości. Nie był na to przygotowany – a któż by był? – i mimowolnie przełknął ślinę.

Stara kobieta spoczywała w pozycji pólleżącej na niewiarygodnie

spiętrzonem stosie poduszek, które z kolei opierały się o wykonane z rzeźbionego dębu wezglowie łóżka. Dekolt wystrzępionej koszuli nocnej odsłaniał kościstą klatkę piersiową. Wystające kości policzkowe, oczy głęboko zapadnięte w czarnych oczodołach i kępki rzadkich włosów na skroniach z niejaką bezwstydną pozwalały się domyślać czaszki, która wkrótce się spod nich wyłoni. Na serwetce okrywającej blat szafki Servaz ujrzał dziesiątki fiolek z lekarami. Zobaczył też wężyk, który łączył sękatą rękę staruszki z wiszącą na stojaku kroplówką. Śmierć zaczęła już zbierać swoje żniwo w tym pomieszczeniu, stopniowo zajmując w nim więcej miejsca niż życie. Najbardziej wstrząsające były jednak załzawione oczy, którymi staruszka wpatrywała się w Servaza. Mimo zmęczenia, znużenia, choroby widać w nich było zło. Martin przypomniał sobie nazwę zaułka – chemin du Paradis<sup>2</sup> – i pomyślał, że to raczej ścieżka do piekieł. Do tego między spękanyimi wargami mumii spoczywał pożółkły niedopałek. Servaz zauważył stojącą obok pełną popielniczkę i gęstą chmurę dymu unoszącą się nad łóżkiem: starowinka kopciła jak lokomotywa.

Poruszony tym obrazem poszedł w kierunku salonu oświetlonego słabym blaskiem telewizora i monitorów komputerowych, rozstawionych na dużym blacie. Jego oczom ukazała się cała sieć pomieszczeń połączonych niskimi łukami, drewniane schody, różne zakamarki. Coś musnęło jego nogi i dostrzegł kształty poruszające się w tę i z powrotem, przeskakujące z jednego mebla na drugi. Były ich dziesiątki, miały rozmaite rozmiary i umaszczenie. Koty... W tych ciemnościach roilo się od kotów. Servaz zauważył też rozstawione na całej podłodze jasne miski wypełnione wysychającym i czerniejącym jedzeniem, i zaczął zwracać uwagę, gdzie stawia stopy. Powietrze było tu jeszcze cięższe i bardziej duszące niż w korytarzu. Miał wrażenie, że oprócz smrodu rozkładającej się kociej karmy czuje też coś innego – zapach ryby? Chloru? – i zatkał nos.

– Nie można by zapalić światła? Ciemno tu jak w grobie.

Gospodarz wyciągnął rękę. Słaby blask lampy biurkowej

oświetlił zastawiony monitorami blat, pozostawiając w cieniu pozostałą część pokoju. Servaz dojrzał jednak wyłaniającą się z półmroku sofę i kredens.

– Te pytania: zadajecie mi je czy nie? – Jensen odrobinę sepleniał. Za jego pozorną zadziornością Servaz wyczuł głęboki lęk.

– Zdarza się panu spacerować drogą, która biegnie brzegiem rzeki? – odezwał się Espérandieu za plecami mężczyzny, zmuszając go, by się odwrócił.

– Nie.

– Nigdy?

– Powiedziałem, że nie – odparł Jensen, kątem oka obserwując Servaza.

– Nie słyszał pan plotek na temat tego, co się tam stało?

– No nie, jaja sobie robicie czy co? Widzicie, gdzie my mieszkamy, moja matka i ja? Kto miałby przynieść te plotki waszym zdaniem? Może listonosz? Nikt tu nie zachodzi. Nigdy.

– Oprócz ludzi, którzy biegają nad rzeką – zauważył Servaz.

– Nooo... to prawda, niektórzy parkują samochody na tym pieprzonym ugorze.

– Mężczyźni? Kobiety?

– No, jedno i drugie. Niektóre babki przywożą psy, które drą się, jakby zobaczyły ducha.

– Widzi pan, jak przechodzą przed pańskimi oknami.

– No i co z tego?

W półmroku pod kredensem ciał się jakiś kształt. Servaz zauważył go, gdy tylko tu weszli. Nieruchomy lub prawie nieruchomy. Zrobił jeszcze jeden krok.

– Hej! Dokąd? Jeśli to jest przeszukanie, powinniście...

– Trzy kobiety zostały napadnięte mniej niż dwa kilometry stąd – włączył się Vincent, zmuszając Jensena, by odwrócił się w jego stronę. – Wszystkie podały ten sam rysopis...

Servaz poczuł, że mężczyzna się usztywnił. Jeszcze odrobinę zbliżył się do kredensu.

– Opisały mężczyznę w bluzie z kapturem, wzrost około metra

siedemdziesięciu, waga na oko sześćdziesiąt kilogramów.

W rzeczywistości, jak często bywa, ich opisy dość mocno się od siebie różniły. Jedyne wspólne: napastnik był niewysoki i szczupły, ale bardzo silny.

– Co pan robił wieczorem jedenastego sierpnia, dwudziestego trzeciego sierpnia i ósmego września między siedemnastą a osiemnastą?

Jensen zmarszczył brwi, udając głęboki namysł, jak ktoś, kto intensywnie szpera w pamięci, i Servaz pomyślał o grze japońskich aktorów w *Siedmiu samurajach*.

– Jedenastego byłem z kumplami Angelem i Rolandem. Graliśmy w karty u Angela. Dwudziestego trzeciego tak samo. Ósmego września oglądałem z Angelem film.

– Jaki film?

– Coś z zombie i skautami w tytule.

– Zombie i skauci? – podjął Vincent. – *Scout's Guide to the Zombie Apocalypse*. Miał premierę w Halloween ubiegłego roku. Ja też go widziałem.

Servaz spojrział na zastępcę jak na Marsjanina.

– To ciekawe, zasadniczo mam dobrą pamięć – powiedział cicho i Jensen po raz kolejny był zmuszony odwrócić głowę. – Ale nie jestem pewien, czy ot tak, z marszu, mógłbym powiedzieć, co robiłem wieczorem jedenastego albo dwudziestego trzeciego sierpnia, wiesz? Pamiętam dwudziestego piątego, bo wtedy jeden z kolegów odchodził na emeryturę. Ten dzień był, że tak powiem, szczególny... Ale czy wyjście do kina albo gra w karty z kumplami to coś szczególnego?

– Wystarczy ich zapytać, a się przekonacie – odparował Jensen z nadąsaną miną.

– O, jestem przekonany, że potwierdzą – powiedział Servaz, pewien, że obu dostarczycieli alibi znajdą w policyjnych rejestrach.

– Znasz ich nazwiska?

Zgodnie z jego oczekiwaniem, Jensen natychmiast je podał.

– Słuchajcie – dodał, jakby nagle odzyskał pamięć. – Powiem

wam, dlaczego tak dobrze sobie to przypominam...

– Ach tak?

– Dlatego, że kiedy zobaczyłem w gazecie tę dziewczynę, która została zgwałcona, od razu zapisałem sobie, co robiłem tamtego dnia...

– Sądziłem, że nie czytasz gazet?

– No dobra, kłamałem.

– Dlaczego?

Jensen wzruszył ramionami. Jego łysa czaszka błyszczała w półmroku. Dłonią z mnóstwem obrączek pogładził się po głowie od czoła do karku, na którym miał tatuaż.

– Bo nie chciałem zaczynać rozmowy z wami, dlatego. Chciałem tylko jednego: żebyście spadali.

– Byłeś może zajęty?

– No, może i tak.

– A więc zapisałeś sobie, co robiłeś każdego z tych dni, tak?

– Tak. Wiecie, że często się tak robi.

– „Się?” Kogo masz na myśli?

– Facetów takich jak ja, którzy już za to siedzieli... Dobrze wiemy, że pierwsza rzecz, o którą zapytają gliny, to gdzie byliśmy w tamtym momencie. Jeśli gość, który już był skazany, nie jest w stanie sobie przypomnieć, co robił, gdy w okolicy została zgwałcona jakaś laska, są duże szanse, że to on ją wyruchał, kumacie?

– A ci twoi kumple, Angel i ten drugi, byli już skazani?

Jensen się nachmurzył.

– Tak. No i?

Servaz zerknął pod kredens. Cień się poruszył. Dwoje przestraszonych oczu obserwowało policjanta.

– Ile miałeś lat, kiedy zrobiłeś to pierwszy raz?

Nagle rozległ się grzmot, od którego zadrżały szyby, a salon na chwilę rozjaśnił blask błyskawicy.

– Pierwszy raz?

– Pierwszy raz, gdy użyłeś przemocy seksualnej wobec



kobiety...

Servaz dostrzegł wzrok Jensena. Wyraz jego oczu się zmienił, teraz dosłownie lśniły.

– Czternaście. – Jego głos stał się nagle bardzo zimny i dobitny.

Servaz nieco się pochylił. Mały biały kot przyczajony pod kredensem podniósł głowę i patrzył na niego, rozdarty między lękiem a ochotą, by podejść i pocierać się o jego nogi.

– Czytałem twoje papiery. To była koleżanka z klasy. Zgwałciłeś ją na tyłach gimnazjum.

– Sprowokowała mnie.

– Wyzywałeś ją. A potem ją spoliczkowałeś, uderzyłeś...

– To była szmata, puszczała się już ze wszystkimi. Jeden fiut więcej czy jeden mniej, jaka to dla niej różnica?

– Kilka razy... W głowę... Z wielkim okrucieństwem... Uraz czaszki... A potem zgwałciłeś ją pompką wyniesioną ze szkoły, pompką do piłki... Nigdy nie będzie mogła mieć dzieci, wiesz o tym?

– To było dawno temu.

– Co wtedy czułeś, w tamtej chwili, pamiętasz?

– Nie jesteście w stanie tego zrozumieć – oświadczył Jensen nieprzyjemnym głosem, nagle przepojonym pychą.

Servaz zeszywniał. Ten głos. Arogancja i egoizm w najczystszej postaci. Wyciągnął rękę w stronę kredensu. Powoli wynurzył się spod niego biały kot. Lękliwie zbliżył się do jego dłoni i Servaz poczuł na koniuszkach palców dotknięcie małego szorstkiego języka. Natychmiast zaczęły podchodzić pozostałe koty, ale odsunął je, skupiając się na białej kulce.

– Wyłumacz mi – powiedział Espérandieu i Servaz usłyszał wściekłość i obrzydzenie brzmiące jak echo w cierpliwym głosie kolegi.

– Po co? Mówicie o rzeczach, o których nic nie wiecie, nie macie bladego pojęcia o tym, co czują ludzie tacy jak my... o *intensywności* naszych emocji i o *sile* naszych doświadczeń. Wyobrażenia ludzi waszego gatunku, którzy stosują się do wymagań

prawa i moralności, którzy żyją w strachu przed sprawiedliwością i spojrzeniem innych, będą zawsze lata świetlne za prawdziwą wolnością, za prawdziwą władzą. Nasze życie jest o wiele bogatsze, o wiele intensywniejsze od waszego – głos Jensena był teraz świszczący. – Byłem w więzieniu, zapłaciłem, nic już na mnie nie macie. Dzisiaj przestrzegam prawa...

– Ach tak? A jak to robisz? To znaczy jak powściągasz swoje popędy? Żeby nie przejść do czynu? Masturbujesz się? Odwiedzasz prostytutki? Bierzesz jakieś leki?

– Ale niczego nie zapomniałem – ciągnął Jensen, nie zważając na wtęret policjanta. – Niczego nie żałuję, niczego się nie wypieram, nie mam żadnego poczucia winy. Nie będę się przed wami tłumaczył z tego, że jestem taki, jakim stworzył mnie Bóg.

– To właśnie czułeś, kiedy usiłowałeś zgwałcić te trzy kobiety nad Garonną? – dopytywał cierpliwie Espérandieu. – Powiedziałem: *usiłowałeś*. Bo nawet się nie spuściłeś. Uderzyłeś tę dziewczynę z taką wściekłością, bo nie zdołała sprawić, żeby ci stanął, tak?

Servaz wiedział, co próbuje zrobić jego zastępca: obrazić Jensena, zmusić go do reakcji, skłonić do usprawiedliwiania się, do przechwałek. To się nie uda...

– Zgwałciłem cztery kobiety i zapłaciłem za to – odpowiedział tamten chłodno. – Trzy posłałem do szpitala – mówił to tonem piłkarza, który chwali się strzelonymi bramkami. – Powinniście wiedzieć, że nie mam w zwyczaju działać na pół gwizdka. – Zachichotał zgrzytliwie, aż Servazowi zjeżyły się włosy na karku. – Rozumiecie więc, że to nie mogłem być ja.

Ten śmieć mówił prawdę. Od pierwszej chwili Servaz był przekonany, że to nie on. Przynajmniej nie tym razem... Spojrzał na białego kota. I zadrżał. Zwierzęciu brakowało jednego ucha. Zamiast niego miało w tym miejscu różową bliznę. Biały kot bez ucha... Gdzie on już coś takiego widział?

– Niech pan zostawi mojego kota w spokoju – powiedział Jensen.

Niech pan zostawi mojego kota w spokoju... I nagle wróciło. Kobieta zamordowana w czerwcu w swoim letnim domku w pobliżu

Montauban. Czytał sprawozdanie. Żyła samotnie, została zgwałcona i uduszona. Po śniadaniu: w mieszance połkniętego pokarmu lekarz sądowy znalazł kawę, resztki chleba z ziarnami oraz dżemu z cytrusów i kiwi. Było gorąco. Szeroko otworzyła wszystkie okna, by wpuścić poranny chłód. Napastnik bez trudu wszedł jednym z nich. Była siódma rano, a sąsiedzi mieszkali niecałe trzydzieści metrów dalej. Jednak nikt niczego nie widział ani nie słyszał, a żandarmi nie mieli żadnego tropu. Żadnych śladów. Odnotowali jedynie, że zniknął biały kot ofiary. Biały kot z jednym uchem...

– To nie jest twój kot – powiedział cicho Servaz, wstając z kucek.

Miał poczucie, jakby powietrze zgęstniało. Skrzywił się. Poczul, że jego mięśnie stwardniały od napięcia. Jensen ani drgnął. Milczał. Salon rozświetliła kolejna błyskawica. Jedynym ruchomym elementem jego twarzy były źrenice, które przesuwały się z jednego policjanta na drugiego.

– Cofnijcie się – odezwał się znienacka.

W dłoni z obrączkami trzymał broń. Moja wina, pomyślał Servaz, zerkając na Vincenta.

– Cofnijcie się.

Wykonali polecenie.

– Nie rób głupstw – powiedział Espérandieu.

Nagle Jensen skoczył. Z kocią zwinnością ominął liczne komody, otworzył tylne drzwi i zniknął, a deszcz i wichura wdarły się do pokoju. Servaz na chwilę zamarł ze zdumienia, a potem rzucił się w pościg.

– Gdzie idziesz?! – krzyknął za nim Vincent. – Martin! Dokąd? Nawet nie masz broni!

Drzwi balkonowe kołysały się na wietrze, obijając się o tylną ścianę domu. Wychodziły na nasyp kolejowy, ale drogę zagraadzała siatka. Jensen nie wspiął się na płot, ale pobiegł wzdłuż niego, a potem ruszył przed siebie przez smagany ulewą nieużytek. Servaz wypadł na zewnątrz. W świetle błyskawicy spojrzął na nasyp kolejowy i biegnącą w górze linię elektryczną, szukając wzrokiem Jensena. Następnie odwrócił głowę i zobaczył, jak mężczyzna

ucieka w kierunku niewielkiego tunelu, którym tu przyjechali; tunel biegł pod innymi torami, które łączyły się z główną linią. Na prawo od tunelu, poniżej miejsca połączenia, znajdowała się bramka. Za nią zaczynała się betonowa rampa prowadząca w górę ku barakowi, prawdopodobnie nastawni. Ani bramka, na której znajdowało się całe mnóstwo ostrzeżeń przed porażeniem prądem, ani płot nie zniechęciły jednak grafficiarzy: każdy centymetr kwadratowy betonowych ścian pokrywały wielkie, kolorowe napisy. Co chwilę słyhać było grzmoty, a na tle czarnego nieba, raz po raz rozjaśnianym przez błyskawice, migotały krople deszczu: nad Tuluzą przewalała się burza. Strużki wody ściekały po trawie nasypu, spływały pod siatką i rozlewały się po błotnistym nieużytku, tworząc deltę strumyczków i kałuż.

Servaz ruszył przez zalany teren, rozchlapując wodę. Jensen już wspinał się na bramkę, a potem pobiegł w górę betonowej rampy, minął nastawnię i pognął w kierunku torów. Znajdowały się tam liczne stalowe słupy podtrzymujące skomplikowaną sieć kratownic, linii elektrycznych, transformatorów i sieci łańcuchowych. Wyglądało to jak podstacja trakcyjna i Servaz natychmiast pomyślał o wysokim napięciu. A także o burzy, piorunach, błyskawicach oraz o tysiącach woltów, amperów i sam Bóg wie czego jeszcze, które krążyły w tych liniach. Śmiertelna pułapka. Ja pierdołę, na Boga, gdzie idziesz? – pomyślał. Wydawało się, że Jensen nie jest świadom zagrożenia. Jedyńm jego problemem był pociąg towarowy, który toczył się w ślimaczym tempie i zagradzał mu drogę.

Servaz dotarł do bramki. Chlupotało mu w przemoczonych butach. Jego golf przesiąkł wodą, włosy kleiły się do czoła. Otarł twarz i wspiął się na przeszkodę. Zeskoczył po drugiej stronie. Musiał o coś zahaczyć kurtką, bo kiedy lądował na betonowym podłożu, usłyszał odgłos rozdzieranego materiału.

Zobaczył, że Jensen się waha. Najpierw się schylił i zajrzał pod podwozie, potem między dwa wagony. Mimo że pociąg jechał bardzo wolno, mężczyzna najwyraźniej obawiał się, że może zostać

zmiażdżony, bo uchwycił się w biegu stopni i zaczął się wspinać na dach. Nie! Nie rób tego! Nie wchodź tam, to głupie!

– Jensen! – zawołał.

Mężczyzna się odwrócił, zauważył go i zaczął się wspinać dwa razy szybciej. Szyny lśniły w deszczu. Servaz był już na górze nasypu. Po tłuczniu dobiegł do wagonu i uczeplił się metalowych stopni.

– Martin! Co ty wyprawiasz? – dobiegł go z dołu głos Espérandieu.

Stawia stopę na schodku, podciąga się na rękę, którą trzyma wilgotny pręt, stawia drugą stopę... Słyszy teraz szum elektryczności w przewodach, które ma nad głową, jakby brzęczenie tysiąca os. Pyskają na niego krople deszczu dudniącego o dach wagonu. Woda ścieka mu na włosy, na brwi...

Wreszcie wynurza się na wysokości dachu. Jensen wciąż tam jest. Waha się, co robić dalej. Błyskawice oświetlają jego wyprostowaną postać – znajduje się zaledwie o kilka metrów od przewodów i sieci trakcyjnej. Nagle przepięcie: biegnie z jednego końca na drugi, FFFF-SZSZSZSZSZSZ... Włosy na całym ciele Servaza stają dęba. Policjant znowu ociera mokrą twarz. Stawia stopę na dachu. Deszcz wali w wagon jak w werbel. Jensen kręci głową na prawo i lewo jakby sparaliżowany niepewnością, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, odwrócony plecami do Servaza...

– Jensen, sfajczymy się obaj, jeśli tu zostaniemy.

Zero reakcji.

– Jensen!

Daremny trud przy tym hałasie.

– JENSEN!

Dalszy ciąg...

Dalszy ciąg dociera do niego spowity mgłą zderzających się i wzajemnie sprzecznych odczuć, w brutalnie przyśpieszonym tempie, jako nagły, zdumiewający i niewytłumaczalny zwrot zdarzeń: w chwili, gdy Jensen odwraca się w jego stronę z bronią

w ręku (i kiedy z czarnego otworu lufy wydobywa się płomień), biały łuk elektryczny, tak jasny, że parzy mu rogówkę, odrywa się od sieci łańcuchowej i spada na Jensena, uderza go – co ciekawe, nie w czubek głowy, ale w lewą część twarzy, między uchem a żuchwą, toruje sobie drogę w jego ciele, przez nogi i stopy łączy się z mokrym dachem wagonu, zmieniając uciekiniera w grzanekę i natychmiast wystrzeliwując go na odległość kilku metrów... Gdy resztkowe wyładowanie elektryczne dociera po dachu wagonu do stóp Servaza, włosy na jego głowie stają dęba – w tej samej chwili następuje jednak inne zdarzenie, znacznie istotniejsze dla jego przyszłości: jedną dziesiątą sekundy później pocisk wystrzelony z broni wchodzi w kontakt z jego przemoczoną wełnianą kurtką, przechodzi przez nią z prędkością trzystu pięćdziesięciu metrów na sekundę, czyli dziesięć razy większą niż prędkość dźwięku, w podobny sposób przechodzi przez tkaninę jego golfu (czterdzieści dwa procent poliamidu, trzydzieści procent wełny i dwadzieścia osiem procent alpaki), przez wilgotny naskórek, skórę właściwą i tkankę podskórną w odległości kilku centymetrów od lewego sutka, przez mięsień skośny zewnętrzny i mięśnie międzyżebrowe, muskając tętnicę piersiową i mostek, następnie przebija przedni bok lewego płuca o elastycznej gąbczastej strukturze, potem osierdzie, by na wysokości lewej komory wbić się w jego serce, które ze strachu w przyśpieszonym tempie pompuje i wyrzuca z siebie krew – a następnie wyjść z drugiej strony.

Uderzenie odrzuca go do tyłu.

Ostatnimi rzeczami, jakie docierają do Martina Servaza, są napięcie statyczne pod stopami, krople zimnego deszczu na policzkach, unoszący się w powietrzu zapach ozonu i krzyki zastępcy stojącego u podnóża nasypu – a wszystko to dzieje się dokładnie w tej samej chwili, gdy jego serce przebija śmiercionośna metalowa osa.

1. FIJAIS (Fichier judiciaire automatisé des auteurs d'infractions sexuelles ou violentes) – elektroniczny rejestr przestępców

seksualnych. ↵

2. *Paradis* (franc.) – raj (przyp. tłum.). ↵

– Rana postrzałowa i uraz penetrujący do klatki piersiowej – odezwał się żeński głos. – Powtarzam: rana postrzałowa i uraz penetrujący do klatki piersiowej. Mocno podejrzana rana penetrująca do serca. Otwór wlotowy w okolicy przedsercowej. Otwór wylotowy od strony pleców. CRT powyżej trzech sekund. Tętno powyżej stu dwudziestu. Brak odpowiedzi na bodźce bólowe i brak reakcji źrenic na światło. Sinica warg, kończyny zimne. Należy jak najszybciej operować.

Głos dociera do niego przez kilka warstw gazy. Jest spokojny, ale daje się w nim wyczuć pośpiech. Słowa są skierowane do innej osoby, Martin słyszy jednak tylko ten jeden głos.

– Jest drugi ranny – dodaje głos. – Poparzenie trzeciego stopnia w wyniku porażenia prądem wysokiego napięcia. Ustabilizowany. Potrzebne miejsce na oparzeniówce. Ruszajcie się. Mamy tu armagedon.

– Gdzie jest ten drugi glina? – krzyczy inny głos nieco dalej. – Chcę wiedzieć, jaki jest kaliber tej pieprzonej sploty i co to za amunicja!

Po swojej prawej stronie, w świetle raz po raz przecinających niebo błyskawic, spod półprzymkniętych powiek dostrzega kolorowe, regularne błyski. Słyszy też różne dźwięki: z oddali dobiegają ludzkie głosy, echo syren, łomot i pisk pociągu na zwrotnicy.

*Pogoń bez broni za tym gościem to był idiotyzm.* Nagle czuje się kompletnie dezorientowany. To jego ojciec. Ojciec stoi obok i patrzy, a on leży na noszach. A ty tu czego? Skończyłeś z sobą,



kiedy miałem dwadzieścia lat, to ja cię znalazłem. Popełniłeś samobójstwo jak Sokrates czy Seneka, w tym samym gabinecie, w którym pracowałeś nad swoimi tekstami. Z Mahlerem w tle. To było tego dnia, gdy przyjechałem ze studiów... Więc powiedz mi, skąd się tu, psiakrew, wzięłeś?

*To było naprawdę idiotyczne.* Tata? Tata? Cholera, gdzie ja jestem? Wokół niego panuje duży ruch. Krępuje go ta maska, ma wrażenie, jakby na jego twarzy spoczywała wielka łapa, ale czuje, że właśnie tamtędy do jego płuc wpada powietrze. Słyszy inny, znajomy głos, straszliwie przerażony: *Żyje? Żyje? Będzie żył?* Vincent, to Vincent. Dlaczego Vincent panikuje? Przecież czuję się dobrze. Naprawdę, czuję się zaskakująco dobrze. Wszystko w porządku – ma ochotę powiedzieć koledze. Ale nie może ani mówić, ani się poruszyć.

– Po pierwsze utrzymać wolemię! Napełniamy! – rozlega się znowu głos obok niego. – Przynieście wenflony! Dajcie mi pompy krwi!

Ten głos także jest na granicy paniki. Wszystko w porządku – chciałby ich uspokoić. Wydaje mi się nawet, że nigdy w życiu nie czułem się lepiej. Nagle ma wrażenie, że coś się zmieniło, jakby unosił się nad własnym ciałem. Wisi w powietrzu. Widzi, jak się wokół niego krzątają – metodyczni, dokładni, zdyscyplinowani. Wokół „tego drugiego niego”, leżącego tam w dole. Widzi siebie tak, jak widzi innych. Psiakrew, ależ ty kiepsko wyglądasz! Jak trup! Nie czuje najmniejszego bólu. Jedyne, co odczuwa, to wewnętrzny spokój, jakiego nie zaznał nigdy dotąd. Patrzy, jak się uwijają. Kocha tych ludzi. Wszystkich. To także chciałby im powiedzieć. Jak bardzo ich kocha. Jacy są dla niego ważni, wszyscy, nawet ci, których nie zna. Dlaczego nigdy nie potrafił mówić ludziom, których kocha, że ich kocha? Teraz jest już za późno. O wiele za późno. Chciałby, żeby była tutaj Margot. I Alexandra. I jeszcze Charlène. I Marianne... Poczłł się tak, jakby ktoś ukłłłł go piką. Marianne <sup>1</sup>... Gdzie ona jest? Co się z nią stało? Żyje czy nie? Miałby odejść, nie otrzymawszy odpowiedzi?

– No to jazda! – odezwał się głos. – Na trzy: raz... dwa...

W karetce, gdy już naprawdę zaczyna żegnać się z tym światem, widzi, że pielęgniarka, która się nad nim nachyla, ma pofarbowane włosy. Powstaje dziwny kontrast między jasnymi kosmykami a jego zniszczoną, pokrytą zmarszczkami twarzą. Servaz widzi go z góry, jakby był przyklejony plecami do sufitu. Jego drugie ja leży przywiązane do noszy, z rękami podpiętymi do kroplówek i maską tlenową na twarzy, a ratownik kontynuuje przekazywanie informacji pogotowiu. Ile może mieć lat? Powinieneś przestać się przejmować własnym wyglądem, myśli. Są w życiu ważniejsze rzeczy. Na przykład mówić ludziom, których kochamy, że ich kochamy. Gdzie jest Marianne? – powtarza w duchu. Jest żywa czy martwa? Uświadamia sobie, że wkrótce się tego dowie.

Chwilami – jak teraz – odłącza się całkowicie. Nie ma wątpliwości: przygotowuje się do Wielkiej Podróży. Czuję się dobrze. Czuję się bardzo dobrze. Jestem gotowy, chłopaki, nie martwcie się. Drzwi karetki otwierają się na oścież. Szpital.

Blook operacyjny numer trzyyy!

Hemostaaaza!

Trzeba zapewnić hemostaaazę!

Stukanie. Głosy. Blask defilujących światełek, który dociera do niego przez szparę między powiekami. Korytarze... Słyszy pisk kółek noszy na podłodze... trzaśnięcie drzwiami... w nozdrza uderza go zapach etanolu... Ma półprzymknięte oczy, nie powinien niczego widzieć – „śpiączka drugiego stopnia”, powiedział ktoś w pewnym momencie. Nie powinien też słyszeć. Ale czy można sobie wyobrazić słowa takie jak „hemostaza”, których się nigdy wcześniej nie słyszało, a które jednak mają bardzo konkretne znaczenie? Będzie musiał kiedyś wyjaśnić tę kwestię. Skrzywienie zawodowe, uśmiechnął się – w duchu oczywiście.

Bez ustanku krąży między bardzo nieostrą świadomością

a niemal kompletną mgłą. Nagle zauważa kilka pochyłonych osób w niebieskich czepkach i bluzach. Wszystkie spojrzenia skupione są na nim niczym promienie światła w soczewce.

– Chcę mieć pełny bilans obrażeń. Gdzie są koncentraty czerwonych krwinek, płytki, osocze?

Podnoszą go i ostrożnie układają. Znowu zanurza się we mgle.

– Przygotujcie narzędzia do lewostronnej torakotomii przednio-bocznej.

Wynurza się po raz ostatni. Przed jego źrenicami, z lewej strony na prawą, przesuwa się jakieś światło.

– Brak reakcji źrenic. Brak reakcji na ból.

– Mamy znieczulenie?

Znowu ta maska na twarzy, jak łapa niedźwiedzia grizzly. Słyszy głos donośniejszy od pozostałych:

– Jedziemy!

Nagle widzi długi tunel, który wznosi się i wznosi. Jak na tym cholernym obrazie Hieronima Boscha – jak on się tam nazywał? Wchodzi do tunelu. A to co? Ja... latam. Na końcu jakieś światło. Cholera, dokąd ja lecę? Im bardziej się zbliża, tym światło staje się JAŚNIEJSZE. Jaśniejsze niż wszystkie światła, jakie widział w życiu.

*Gdzie ja jestem?*

Leży na stole operacyjnym, ale przecież idzie przez zalany światłem, niezwykły krajobraz. Jak to możliwe? Krajobraz jest tak piękny, że zapiera dech w piersiach („zapiera dech w piersiach”, niezły dowcip, stary! – myśli, przypominając sobie o masce tlenowej). W oddali widzi niebieskie szczyty, absolutnie czyste niebo, pagórki I ŚWIATŁO. Dużo lśniącego, mieniącego się, cudownego, namacalnego światła. Dobrze wie, gdzie jest: w strefie nadgranicznej śmierci, może nawet już po drugiej stronie. Nie odczuwa jednak najmniejszego strachu.

Wszystko jest piękne, świetliste, fantastyczne. *Pociągające.*

Stoi powyżej pagórków. Migocące strumienie opływają nierówności terenu. W dole, około pięciu metrów niżej, widzi rzekę, która powoli płynie w jego stronę od linii horyzontu. Schodzi drogą prowadzącą na jej brzeg, a im bardziej schodzi, tym bardziej rzeka wydaje mu się niezwykła. Jest niewyobrażalnie wspaniała! Piękniejsza niż wszystko, co widział w życiu. I nagle, w miarę jak się do niej zbliża, zaczyna pojmować: rzeka składa się z idących ramie przy ramieniu ludzkich istot. Patrzy na strumień ludzkości – minionych, obecnych i przyszłych pokoleń... Setki tysięcy, miliony, miliardy ludzkich istnień...

Biegiem pokonuje ostatnie sto metrów. Kiedy wchodzi w ten potężny tłum, czuje, jak zalewa go i ogarnia dotykalna miłość. Zanurzony w tym nieprzebranym strumieniu ludzi zaczyna szlochać z radości. Uświadamia sobie, że nigdy dotąd, nawet przez minutę swego życia, nie był taki szczęśliwy. Nigdy też nie odczuwał tak głębokiego spokoju w swoim sercu i w kontakcie z innymi. Życie nigdy nie pachniało tak słodko, a ludzie nigdy nie wyrażali wobec niego tyle miłości. Miłości, która wypełnia aż po najodleglejsze głębiny duszy.

*Życie?* – odezwał się przekorny wewnętrzny głos. – *Nie rozumiesz, że to światło, ta miłość to śmierć?* Zastanawia się, skąd pochodzi ten dysonans, nagły fałszywy akord, tak potężny jak ten, który wybrzmiewa w końcówce adagia *X Symfonii* Mahlera. Przez zasłone rzęs na granicy pola widzenia dostrzega jakąś osobę stojącą u wezglowia łóżka. Przez chwilę nie wie, jak się nazywa ta kobieta o smutnym spojrzeniu. Musi mieć jakieś dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata. Później mgła ustępuje i powraca świadomość. Margot. Jego córka. Kiedy przyjechała? Powinna być w Quebecu.

Margot płacze. Siedzi obok jego łóżka i ma policzki mokre od łez. Servaz czuje myśli córki, czuje, jak bardzo jest nieszczęśliwa – i nagle robi mu się wstyd. Uświadamia sobie, że nie znajduje się już na bloku operacyjnym, ale w szpitalu. OIOM, myśli. Oddział Intensywnej Opieki Medycznej. Potem drzwi się otwierają i wchodzi mężczyzna ubrany w białą bluzę, jest w towarzystwie

pielęgniarki. Na moment Servaza ogarnia panika: Mężczyzna w białej bluzie z poważną miną zwraca się do Margot. Zamierza jej powiedzieć, że jej ojciec nie żyje.

Nie, nie, ja nie umarłem! Nie słuchaj go!

– Śpiączka – oświadcza tamten.

Słyszcy, jak Margot zadaje pytania. Stoi teraz poza jego polem widzenia, a on nie może się ruszyć. Nie jest w stanie usłyszeć wszystkiego, o czym rozmawiają, ale zaczyna dostrzegać w głosie córki znajome nuty: Margot złości się na techniczny i niezrozumiały język lekarza. Prosi go, żeby wyjaśnił jej wszystko w prosty sposób. I udzielił precyzyjnych informacji. W odpowiedzi specjalisty słyhać tę mieszankę zawodowego współczucia, wyższości i pobłażliwości, którą Servaz dobrze zna, ponieważ pracując jako glina, często miał do czynienia z lekarzami. A Margot, jego kochana Margot, się wścieka.

*No, dawaj – zachęca ją w duchu. – Niech się udławi swoim poczuciem wyższości!*

W końcu lekarz zmienia podejście. Zaczyna mówić innym tonem, używa prostszych słów. *Hej, hej, ja tu jestem!* – chciałby zawołać Servaz. – *Hej, tutaj! To o mnie rozmawiacie!* Nie jest jednak w stanie wydobyć z siebie dźwięku, zresztą i tak ma coś w ustach.

– Słyszysz mnie?

Nie przypomina sobie dobrze, gdzie był ani jak długo. Ma niejasne poczucie, że widział światło i rzekę ludzi, ale nawet tego nie jest już pewien. W każdym razie znowu jest w szpitalnym pokoju. Rozpoznaje sufit z brązową plamą, której kształt przypomina nieco kontynent afrykański.

– Słyszysz mnie?

*Tak, tak, słyszę!*

– TATO, SŁYSZYSZ MNIE?

Chciałby wziąć ją za rękę, dać jej znak, jeden jedyne, wszystko jedno jaki – mrugnięcie, ruch palcem, dźwięk – żeby zrozumiała, ale

jest uwięziony w nieruchomym sarkofagu ciała. Nie potrafi sobie przypomnieć, gdzie był przed chwilą. To światło, ludzie, krajobraz – czy to było... naprawdę? Bo sprawiało wrażenie diabelnie, cholernie, szalenie rzeczywistego. Margot mówi, lekarz mówi, a on postanawia słuchać. *Córko, jakaś ty piękna!* – myśli, gdy dziewczyna nachyla się nad nim.

Zaczyna nabierać orientacji. Na oddziale są jeszcze inne pokoje i inni pacjenci. Słyszy ich od czasu do czasu, gdy wołają pielęgniarki albo wzywają je za pomocą ostro dźwięczącego elektrycznego dzwonka. Słyszy pośpieszne kroki personelu przed swoimi drzwiami i pełne zakłopotania szepty odwiedzających. Dźwięki dochodzą do niego jak przez mgłę. W trakcie tych krótkich przeblysków świadomości zdaje sobie jednak sprawę z pewnego ważnego faktu: oto znajduje się w samym środku pajęczyny kroplówek, bandaży, przewodów elektrycznych, elektrod i pomp, a dźwięk maszyny po prawej stronie – wkrótce nazwie ją „maszyną-pająkiem” – jawi mu się jako symbol współczesnej sztuki czarnoksiężskiej, złego uroku, który trzyma go w niewoli i którego największą perwersją jest silikonowy wąż w ustach ofiary. Servaz jest pozbawiony autonomii, możliwości ruchu i obrony, wydany na łaskę maszyny obojętnej jak śmierć.

Ale może on nie żyje? Bo gdy nadchodzi wieczór i jego pokój pustoszeje, miejsce żywych zajmują zmarli...

Jego pokój i cały oddział spowija nocna cisza i nagle pojawiają się oni. Na przykład jego ojciec, który pyta:

*Pamiętasz wujka Ferencą?*

Ferenc, brat mamy, był poetą. Tata mawiał, że mama i wujek Ferenc dlatego tak bardzo kochają język francuski, że pochodzą z Węgier.

*Umrzesz, stwierdza uprzejmie ojciec. Dołączysz do nas. Zobaczysz, to nie takie straszne. Będzie ci z nami dobrze.*

Patrzy na nich. Bo nocą, podczas tych wizji, może kręcić głową.

Są wszędzie w jego pokoju: stoją pod ścianami, przy drzwiach, koło okna, siedzą na krzesłach i na brzegu jego łóżka. Zna ich wszystkich. Na przykład ciotkę Cezarinę, piękną brunetkę o obfitych piersiach, w której kochał się jako piętnastolatek.

*Chodź, mówi teraz ciotka Cezarina.*

Jest i Matthias, jego kuzyn, który umarł w wieku dwunastu lat na białaczkę. I madame Garson, nauczycielka francuskiego, która w przedostatniej klasie gimnazjum czytała jego wypracowania na głos przed resztą uczniów. A także Éric Lombard, miliarder, który zginął w lawinie – człowiek, który kochał konie – oraz Mila, astronautka, która podcięła sobie żyły w wannie – na pewno ktoś był przy niej tamtej nocy, ale Servaz postanowił tego nie dochodzić<sup>2</sup>. Jest i Mahler we własnej osobie – wielki Mahler, mistrz o zmęczonej twarzy, w binoklach i dziwnym kapeluszu, opowiada mu o przekleństwie ciążyącym na cyfrze dziewięć: *Beethoven, Bruckner, Schubert... wszyscy zmarli po napisaniu Dziewiątej Symfonii... Więc ja po ósmej przeszedłem prosto do dziesiątej... chciałem przechytryć Boga, cóż za pycha! Ale to nie wystarczyło...*

Za każdym razem, gdy się pojawiają, ogarnia go ta sama miłość. Nigdy nie sądził, że taka miłość jest możliwa. Zaczyna jednak traktować ją podejrzliwie. Wie, czego od niego oczekują: żeby odszedł z nimi. Ale nie jest gotowy. Jego godzina jeszcze nie nadeszła. Próbuje im to wytłumaczyć, ale nie chcą o niczym słyszeć, tylko się uśmiechają, z tą wszechogarniającą miłością i rozdzierającą łagodnością. To prawda, tam, skąd przychodzą, trawa jest bardziej zielona, niebo bardziej niebieskie, a światło tysiąckroć intensywniejsze – ale od chwili, gdy zobaczył Margot obok swojego łóżka, nie ma mowy, by z nimi został.

Pewnego ranka zjawia się Samira, jak zwykle ubrana w dziwaczne ciuchy. Kiedy się nad nim nachyla i znajduje się w jego polu widzenia, Servaz przelotnie dostrzega wielką trupa czaszkę na jej bluzie i schowaną w cieniu kaptura głowę. Potem kobieta zdejmuje

kaptur i Servazowi potrzeba trzydziestu sekund, by rozpoznać niewyobrażalnie brzydką twarz, choć tak naprawdę jest to brzydota trudno uchwytna, ponieważ jej istota tkwi w szczegółach: tu zbyt krótki nos i wyłupiaste oczy, tam za duże usta, drobna asymetria rysów... Samira Cheung. Obok Vincenta najlepszy członek jego grupy śledczej.

– Kurwa, szefie, gdyby pan mógł siebie zobaczyć...

Chętnie by się uśmiechnął. Robi to w głębi duszy. Cała Samira... Uparcie zwraca się do niego „szefie”, choć tyle razy mówił jej, jak śmieszny jest według niego ten tytuł. Kobieta obchodzi łóżko i znika z jego pola widzenia. Idzie odsunąć roletę i Servaz w przelocie zauważa, że Samira wciąż ma najładniejszy tyłek w całej brygadzie. Na tym polega jej paradoks. Doskonałe ciało i jedna z najbrzydszych twarzy, jakie kiedykolwiek widział. Czy takie podejście jest seksistowskie? Być może. Ale Samira też się nie krępuje wyrażać swojego zdania na temat anatomicznych szczegółów napotykanym mężczyznom.

– *A jak tam pielęgniarki... fantazje o pielęgniarce nagiej pod fartuszkami... wie pan coś na ten temat... szefie?... przyjdę jutro... szefie... obiecuję...*

Mijają dni. I noce. Są górki i dołki. Poranny spokój oddziału i wieczorny niepokój. Ile dni, ile nocy – nie potrafiłby powiedzieć. Bo czas tutaj nie istnieje. Jedynym punktem odniesienia są pielęgniarki. To one dyktują rytm, zmieniając się przy jego łóżku.

Jest doskonale świadom ich nieograniczonej władzy nad własną osobą. Są wszechmocne, w tej chwili ważniejsze dla niego niż sam Bóg. I nawet jeśli ogólnie rzecz biorąc są kompetentne, oddane, skrupulatne, *przepracowane*, nie marnują okazji, by dać mu to odczuć poprzez gesty, ton głosu, rozmowy, które oznaczają jedno: „Jesteś ciężko chory i zależysz całkowicie, wyłącznie od nas”.

Inny dzień, inne odwiedziny. Dwie niewyraźne twarze przy łóżku. Jedna z nich należy do Margot, druga... do Alexandry, jej matki. Jego eksmałżonka wreszcie ruszyła się z domu. Ma



zaczerwienione oczy. Czy odczuwa smutek? Servaz przypomina sobie, jak się kłócili po rozwodzie. Potem porozumienie częściowo wróciło – na pewno dzięki wspólnym wspomnieniom szczęśliwych dni spędzanych razem, czasów, gdy Margot dorastała, a oni tworzyli zgraną, spójną drużynę... Alexandra przybrała od tamtego czasu sporo kilogramów i Servaz mówi sobie – tak, wie, że to dość perfidne – że mężczyźni starzeją się lepiej niż kobiety. Sądzi, że tym razem się zaśmiał (niechybnie jednak był to śmiech wewnętrzny): cholera, wiele by dał, żeby móc siebie teraz zobaczyć!

– ...mówią, że nic nie słyszysz – rzuca siedzący na krześle Vincent.

Są w pokoju sami. Drzwi na korytarz jak zawsze są otwarte. Zastępca Servaza wstaje. Podchodzi do łóżka i wkłada na jego uszy słuchawki. *I... o Chryste! Ta muzyka! Ten temat, najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek napisano! Ta wrzawa, te krwotoki, te wyznania miłości!* Mahler. Jego ukochany Mahler. Dlaczego nikt nie pomyślał o tym wcześniej? Ma wrażenie, że łzy napływają mu do oczu i toczą się po policzkach. Widzi jednak twarz Vincenta, który pochyła się nad nim – najwyraźniej wypatrując jakiejś oznaki, najdrobniejszego przejawu emocji – i jedyne, co może wyczytać w jego oczach, to zawód. Espérandieu zdejmuje słuchawki i z powrotem siada na krześle. Servaz chciałby krzyknąć: „Jeszcze! Jeszcze! Ja płakałem!”. Ale krzyczy tylko jego mózg.

Inna noc. Jego ojciec znowu jest tutaj, w pokoju. Siedzi na krześle. Czyta na głos jakąś książkę. Jak wtedy, gdy Servaz był dzieckiem. Martin słyszy znajomy fragment: „Kilka osób, między innymi wielmożny pan Trelawney i doktor Livesey, zwracało się do mnie z prośbą, żebym spisał od początku do końca wszystkie szczegóły i zdarzenia odnoszące się do Wyspy Skarbów, nie pomijając niczego oprócz położenia samej wyspy, a to dlatego, że znajduje się tam skarb dotychczas jeszcze niewydobyty. A więc dziś, Roku Pańskiego 17..., biorę pióro do ręki i cofam się do czasów, gdy mój ojciec prowadził gospodę «Pod Admiralem Benbow» i gdy pod naszym dachem rozgościł się stary, ogorzały

marynarz z bliźną od szabli”<sup>3</sup>.

*Co ty na to, synku? Zazwyczaj czytujesz jednak co innego, prawda?* Ojciec chyba czyni aluzję do jego sporej kolekcji literatury science fiction, a może do aktualnych lektur. I nagle Servazowi przypomina się inna książka, przerażająca. Musiał mieć wtedy dwanaście, trzynaście lat: „Dla zaginionego Herberta Westa, jak i dla mnie, reakcją na ten fakt było bezgraniczne obrzydzenie i zgroza. Wzdragam się, jeszcze dzisiaj, kiedy o tym myślę, bardziej nawet niż tamtego ranka, kiedy West mruknął przez bandażę:

– Do diaska, nie było dość świeże”<sup>4</sup>.

Dlaczego to wspomnienie pojawia się akurat teraz? Z pewnością dlatego, że w ten wieczór bardziej niż kiedykolwiek Servaz drży, gdyż czuje, że w ciemnych zakamarkach czai się ona: wyczuwał jej obecność w tym mrocznym domu obok torów – na chemin du Paradis – to wtedy przyczepiła się do niego niczym cień i przyszła za nim aż tutaj, jak przekleństwo, które w historiach z filmów przechodzi z jednej ofiary na drugą.

*Psiakrew*, mówi pewnie sama do siebie, *on nie jest jeszcze w pełni gotowy*.

1. Zob. *Krąg*, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2013. ↵
2. Zob. *Bielszy odcień śmierci*, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2012 i *Nie gaś światła*, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2014. ↵
3. Robert Louis Stevenson, *Wyspa Skarbów*, przeł. Józef Birkenmajer, za serwisem Wolne Lektury <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/wyspa-skarbow.pdf> (dostęp 15.05.2017), s. 4. ↵
4. H.P. Lovecraft, *Reanimator*, przeł. Robert P. Lipski, w: *Reanimator*, Wydawnictwo S.R., Warszawa 1995. ↵

Otworzył oczy.

Mrugnął.

Mrugnął... I tym razem nie w wyobraźni. Jego powieki naprawdę się poruszyły. Dyżurna pielęgniarka stała tyłem do niego. Widział jej fartuch napinający się pod wpływem ruchów barków i bioder, gdy kobieta sprawdzała jego kartę.

– Pobiorę panu krew – poinformowała, nie odwracając się i nie oczekując odpowiedzi.

– Mhmmm.

Tym razem się odwróciła. Przyjrzała mu się. Mrugnął. Zmarszczyła brwi. Mrugnął jeszcze raz.

– O cholera – powiedziała. – Słyszysz mnie pan?

– Mhmmm.

– O cholera...

Wybiegła z sali. Usłyszał szelest fartucha ocierającego się o nylonowe rajstopy. Po kilku sekundach wróciła z młodym internistą. Obca twarz. Okulary w metalowej oprawie. Rzadki zarost na podbródku. Lekarz podszedł do niego. Pochylił się. Był tak blisko, że jego twarz wypełniła całe pole widzenia Servaza, który wyczuł w jego oddechu zapach kawy i papierosów.

– Słyszysz mnie pan?

Martin skinął głową i poczuł, że boli go szyja.

– Mhm.

– Jestem doktor Cavalli – przedstawił się lekarz, chwytając go za prawą dłoń. – Jeśli rozumie pan, co mówię, proszę ścisnąć.

Servaz ścisnął jego rękę. Słabo. Dostrzegł jednak, że tamten się

uśmiechnął. Lekarz i pielęgniarka wymienili spojrzenia.

– Niech pani idzie do doktora Cauchois. Proszę mu powiedzieć, żeby natychmiast tu przyszedł – zaordynował lekarz. Następnie odwrócił się do niego i wyciągnął długopis, który zaczął przesuwając przed jego oczami z prawa na lewo i z powrotem. – Czy mógłby pan podać wzrokiem za tym długopisem? Proszę się nie ruszać, tylko wodzić oczami.

Servaz wykonał polecenie.

– Genialnie. Teraz wyjmę panu tę rurkę i pójdę po wodę. Tylko proszę się nie ruszać. Zaraz wracam. Jeśli rozumie pan, co mówię, niech pan ścisnie moją dłoń dwa razy.

Servaz ścisnął.

Znowu się obudził. Otworzył oczy. Zobaczył twarz Margot. Oczy jego córki były wilgotne od łez, odgadł jednak, że tym razem są to łzy radości.

– Och, tato. Obudziłeś się. Słyszysz mnie? – zapytała.

– Oczywiście.

Ujął córkę za rękę. Ciepłą i suchą w przeciwieństwie do jego dłoni, która była zimna i mokra.

– Och, tato, tak się cieszę!

– Ja też... – odchrząknął. Miał wrażenie, że jego gardło jest wyłożone papierem ściernym. – Ja też... się cieszę, że tu jesteś.

Udało mu się wypowiedzieć to zdanie praktycznie na jednym oddechu. Wyciągnął rękę w kierunku szklanki z wodą stojącej na szafce przy łóżku. Margot sięgnęła po nią i przystawiła do jego wyschniętych warg. Spojrzał na córkę.

– Długo... długo już tutaj jesteś?

– W tym pokoju czy w Tuluzie? Parę dni, tato.

– A co z twoją pracą w Quebecu?

W ostatnich latach Margot próbowała sił w kilku zawodach i ostatecznie zapuściła korzenie w pewnym kanadyjskim wydawnictwie. Zajmowała się działem zagranicznym. Servaz odwiedził ją tam dwukrotnie i za każdym razem podróż samolotem

była dla niego trudnym przeżyciem.

– Wzięłam urlop bezpłatny. Nie martw się, wszystko pod kontrolą. Tato, to genialnie, że... że się obudziłeś.

Genialnie. To samo słowo, którego użył ten lekarz. Moje życie jest genialne. Ten film jest genialny. Ta książka jest naprawdę genialna. Wszystko jest genialne, wszędzie, zawsze.

– Kocham cię – oświadczył. – To ty jesteś genialna.

Dlaczego powiedział coś takiego? Spojrzała na niego zaskoczona. Zaczerwieniła się.

– Ja ciebie też... Pamiętasz, co ci powiedziałam, kiedy wylądowałeś w szpitalu po tamtej lawinie?

– Nie.

– „Nigdy więcej mi czegoś takiego nie rób”.

Przypomniał sobie. Zima 2008/2009. Pościg w górach na skuterze śnieżnym i lawina. Gdy się ocknął, Margot siedziała przy jego łóżku. Uśmiechnął się do niej z przeproszającą miną.

– Kurwa, szefie. Ależ nam pan napędził stracha!

Siedział oparty o poduszkę. Jadł właśnie śniadanie złożone z podłej kawy, grzanek z konfiturą truskawkową oraz lekarstw, czytając gazetę, gdy do jego pokoju z impetem wpadła Samira. Za nią wszedł Vincent. Servaz podniósł oczy znad artykułu, który informował, że Tuluzę co roku przyjmuje dziewiętnaście tysięcy nowych mieszkańców i być może za dziesięć lat prześcignie Lyon, że jest tu pięćdziesiąt pięć tysięcy siedmiuset osiemdziesięciu studentów, dwanaście tysięcy naukowców, połączona jest siecią lotniczą z czterdziestoma trzema miastami europejskimi, a ponad trzydzieści lotów dziennie łączy ją z Paryżem. Ale – *in cauda venenum* – w dalszej części autor artykułu informował, że w latach 2005–2011 liczebność sił policji zarówno w Tuluzie, jak i w całym kraju sukcesywnie spadała z przyczyn ściśle budżetowych oraz że ten dramatyczny spadek do tej pory nie został całkiem wyrównany. Z powodów finansowych w 2014 roku trzeba było nawet zwolnić niektórych funkcjonariuszy policji kryminalnej ze

szkolenia technicznego. Jednak wydarzenia z 13 listopada w Paryżu radykalnie zmieniły sytuację. Nagle policja i wymiar sprawiedliwości znowu nabrały największego znaczenia, nocne rewizje stały się legalne (Servaz zawsze się zastanawiał, dlaczego, u licha, nie można zatrzymać podejrzanego osobnika przed szóstą rano – to tak jakby w trakcie wojny każdej nocy obowiązywał rozejm przestrzegany tylko przez jedną stronę), procedury zostały znacznie uproszczone. Nie trzeba było jednak długo czekać, a rozgorzała debata na temat ograniczenia swobód publicznych i możliwości przedłużenia wprowadzonych środków ostrożności – zdrowa i normalna rzecz w demokratycznym społeczeństwie, pomyślał.

Głośno zamknął gazetę. Samira krążyła wokół jego łóżka jak lew po klatce, ubrana w czarną skórzaną bluzę ozdobioną mnóstwem suwaków i ćwieków. Vincent miał na sobie kurtkę z szarej wełny, a pod nią dzinsową marynarkę. Jak zwykle można by pomyśleć, że są wszystkim, tylko nie glinami. Vincent wyjął smartfon i wycelował w kolegę.

– Żadnych-zdjęć – wyartykułował Servaz, spoglądając na tabletki, które leżały przed nim na stoliku: dwie przeciwbólowe i jedna przeciwzapalna. Małe pigułki są najbardziej niebezpieczne, pomyślał.

– Nawet na pamiątkę?

– Mhmmm.

– Kiedy pan wychodzi, szefie? – zapytała Samira.

– Przestań nazywać mnie szefem. To idiotyczne.

– Dobrze.

– Nie wiem... To zależy od wyników badań.

– A potem? Zalecą panu odpoczynek?

– Jak wyżej.

– Szefie, potrzebujemy pana w brygadzie.

Westchnął. A potem jego twarz się rozjaśniła.

– Samira?

– Tak?

– Bardzo dobrze sobie beze mnie radzicie.

Otworzył gazetę i znowu pogrążył się w lekturze.

– Taaak... Być może. Ale mimo wszystko... – Odwróciła się na pięcie. – Idę po colę.

Usłyszał oddalające się stukanie piętnastocentymetrowych obcasów na szpitalnej podłodze.

– Ona ma trochę problem ze szpitalami – powiedział Vincent tytułem wyjaśnienia. – Jak się czujesz?

– W porządku.

– To tylko taka gadka czy naprawdę w porządku?

– Jestem gotowy.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś gotów do roboty?

– A do czegoś by innego?

Espérandieu westchnął. Z tą nadąsaną miną i kosmykiem włosów opadającym na czoło wyglądał jak gimnazjalista.

– Kurwa, Martin, jeszcze parę dni temu byłeś w śpiączce. Być może wcale nie jesteś taki gotowy, jak mówisz. Psiakrew, przecież nawet jeszcze nie wstałeś z łóżka! I przeszedłeś operację serca.

Ktoś delikatnie zastukał w skrzydło otwartych drzwi i Servaz odwrócił głowę. Żołądek podskoczył mu do gardła. Na progu stała Charlène, stanowczo zbyt piękna żona jego zastępcy. Charlène, której włosy – długie i rude niczym płomień jesiennego ognia – opadały na gruby płowo-biały futrzany kołnierz i której mleczna skóra i ogromne zielone oczy były obietnicą rajy dla każdego. Gdy się nad nim nachyliła, poczuł to prymitywne pożądanie, jakiego zawsze doświadczał w jej obecności. Wiedział, że ona wie. Była doskonale świadoma gwałtownej żądzy, jaką w nim budzi. Budziła ją we wszystkich mężczyznach. Przesunęła palcem po policzku Servaza, prawie wbijając weń paznokieć. Uśmiechnęła się do niego.

– Cieszę się, Martin.

To wszystko. Cieszę się. Nic więcej. Wiedział, że powiedziała to absolutnie szczerze.

W kolejnych dniach przez pokój przedefilowali wszyscy członkowie

grupy śledczej i duża część brygady kryminalnej, ale także brygady antynarkotykowej i reszta wydziału kryminalnego, a nawet koledzy z laboratorium. Zmienił się status Servaza: wcześniej traktowany był jak zadżumiony, obecnie jako cudownie ocalały. Dostał kulkę i wyszedł z tego. Wszyscy tuluscy gliniarze mieli pewnie nadzieję, że w ich przypadku będzie tak samo. Przejście przez jego pokój było rodzajem pielgrzymki, aktem niemal religijnym. Chcieli dotknąć, zobaczyć, porozmawiać z tym, który powrócił z krainy umarłych. Chcieli, by jego *baraka przeszła na nich*.

Pewnego dnia, późnym popołudniem, przyjechał do niego sam Stehlin, dyrektor policji kryminalnej.

– Psiakrew, Martin, dostałeś kulkę w serce i wyszedłeś z tego. To cud, nie?

– Ponad sześćdziesiąt procent osób z urazem serca ponosi śmierć na miejscu – odparł spokojnie Servaz. – Ale osiemdziesiąt procent tych, którzy trafili do szpitala, przeżywa. Wprawdzie śmiertelność w wyniku ran postrzałowych jest czterokrotnie wyższa niż w przypadku ran z broni białej... Rany serca w wyniku penetrującego urazu do klatki piersiowej dotyczą, w kolejności występowania, prawej komory, lewej komory, przedsionków. Lekka amunicja jest bardziej niestabilna i po wejściu w tkankę ma tendencję do zbaczania z toru. Naboje nieopancerzone mają rozszerzony kanał kawitacyjny, ponieważ kula w wyniku uderzenia zwiększa średnicę. I wreszcie śrut wywołuje różne skutki zależnie od odległości: gdy wynosi ona poniżej trzech metrów, powstaje jedna rana, gdy ponad dziesięć, wiele drobnych ranek.

Stehlin wpatrywał się w niego oszołomiony, a potem się uśmiechnął. Jak w przypadku każdego prowadzonego śledztwa Martin dogłębnie przestudiował temat, może nawet przepytął na tę okoliczność lekarzy.

– A ten gość, Jensen. Nie żyje? – zapytał Servaz.

– Żyje – odpowiedział przełożony, wieszając szarą kurtkę na oparciu krzesła. – Był leczony na oparzeniówce. Myślę, że teraz przechodzi rehabilitację w jakimś ośrodku.



– Serio? Ten facet jest na wolności?

– Martin, on został oczyszczony z zarzutów w sprawie gwałtów i śmierci tamtej biegaczki.

– To morderca – oświadczył.

– Sprawca został zatrzymany, przyznał się. Znaleźli u niego dowody obciążające. Jensen jest niewinny.

– Nie aż tak bardzo. – Pochylił się, by wypić rozpuszczoną w szklance wody tabletkę steroidu. – Ten gość zabił kogo innego...

– Co?

– Ta kobieta zamordowana w Montauban: to on.

Zobaczył, jak jego szef marszczy brwi. Przez te wszystkie lata Stehlin nauczył się brać pod uwagę jego zdanie.

– Na jakiej podstawie to mówisz?

– Co zrobiliście z matką i stadem kotów?

– Matka jest w szpitalu, koty zostały oddane do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

– Zadzwońcie do nich zaraz. Zobaczcie, czy mają jeszcze białego kota bez jednego ucha. Czy może komuś go oddali. Sprawdźcie, co robił Jensen w chwili napadu. I czy jego telefon nie logował się w tym czasie w tamtej okolicy.

Servaz opowiedział Stehlinowi o wizycie w domu na chemin du Paradis, o kociaku schowanym pod kredensem i o ucieczce Jensena, kiedy Servaz powiedział (z pewnością zbyt cicho, by Vincent zdołał go usłyszeć), że to nie jego kot.

– Biały kotek – podjął Stehlin, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Właśnie.

– Psiakrew, Martin, jesteś pewien tego, co widziałeś? To znaczy... Cholera, to tylko kot! Chyba nie chcesz, żebyśmy zatrzymali gościa dlatego, że widziałeś u niego kota?

– A dlaczego nie?

– Żaden sędzia tego nie łyknie, psiakrew!

Stehlin mówił „psiakrew” w sytuacjach, w których inni powiedzieliby „kurwa”.

– Może dałoby się go zamknąć w areszcie, co?

– Na jakich podstawach? Facet ma adwokata, który nas atakuje.

– Co?

Stehlin chodził po niewielkim pokoju w tę i z powrotem, jak to zwykł robić w swoim przestronnym gabinecie, było tu jednak za mało miejsca i raz po raz wpadał na ścianę.

– Twierdzi, że groziłeś mu bronią i zmusiłeś go, żeby wszedł na ten pociąg, że doskonale wiedzieliście, iż może zostać śmiertelnie porażony, oraz że zrobiliście wszystko, żeby tak się stało.

– Nie śmiertelnie. Wyszedł z tego.

Złapał się za klatkę piersiową. Miał wrażenie, że szwy naciągają ranę. Chirurdzy rozcięli mu mostek i teraz trzeba będzie tygodni, aż kość całkowicie się zrośnie, a on przez cały ten czas nie będzie mógł nadwerężyć ręki ani niczego dźwigać.

– Nieważne. Według adwokata zaistniała „intencja złamania prawa” oraz doszło do „rozpoczęcia popełniania przestępstwa, na które składało się podjęcie kroków zmierzających wprost do jego popełnienia”.

– Jakiego przestępstwa?

– Usiłowanie zabójstwa...

– Hę?

– Jego zdaniem usiłowałeś go zabić, rażąc go prądem. Padał deszcz, nie mogłeś nie zauważyć tablic ostrzegawczych na furtce, a mimo to pobiegłeś za nim i zmusiłeś go, żeby wszedł na dach pociągu, grożąc bronią. – Stehlin zamachał rękami. – Wiem, wiem, to się kompletnie nie trzyma kupy, nawet nie miałeś przy sobie pistoletu. Ale on utrzymuje, że było inaczej, próbuje nas zastraszyć. W tej chwili nie możemy sobie pozwolić na dolewanie oliwy do ognia.

– Ten facet jest zabójcą.

– Jakie masz dowody? Poza kotem?

– Relacje na temat doświadczeń z pogranicza śmierci nie są już przez nikogo kwestionowane – powiedział doktor Xavier. – Natomiast istnienie życia po śmierci oczywiście jest. Osoby, które tak jak ty otarły się o śmierć, z definicji nie są martwe. Bo ty przecież żyjesz.

Wargi psychiatry otoczone szpakowatym zarostem rozciągnęły się w serdecznym uśmiechu, jakby chciał powiedzieć: „I wszyscy się z tego cieszymy”. Servaz doszedł do wniosku, że wydarzenia z zimy na przełomie 2008 i 2009 roku zmieniły Xaviera, zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym. Kiedy się poznali, psychiatra kierował Instytutem Wargniera. Był niewysokim pedancikiem i wykwintnisem, który farbował włosy i paradował w czerwonych okularach.

– Wszystkie doświadczenia z pogranicza śmierci można wyjaśnić zaburzeniem funkcjonowania mózgu, neuronalny korelat świadomości.

Neuronalny korelat świadomości. Servaz smakował to określenie. Odrobina pedanterii nie zawadzi, by ugruntować swój autorytet. Od czasów molierowskich lekarzy nic się nie zmieniło. Pod tym względem Xavier wciąż był taki sam. Niezależnie od tego jednak przed Servazem siedział już inny człowiek. Psychiatra miał teraz zmarszczki na czole i w kącikach oczu, które zmatowiały jak dwa kawałki starego metalu. Zachował dawne upodobanie do uczonych słów, ale używał ich z większą ostrożnością. Między nim i Servazem powstała dość bliska i naprawdę przyjacielska więź. Po pożarze w Instytucie Wargniera Xavier otworzył gabinet w Saint-

Martin-de-Comminges w Pirenejach, zaledwie kilka kilometrów od ruin ośrodka, którym niegdyś kierował. Servaz spotykał się z nim jakieś dwa, trzy razy w roku. Wybierali się na długie górskie wycieczki i starannie unikali mówienia o przeszłości, która jednak wisiała nad wszystkimi ich rozmowami jak cień góry spadający na miasto o czwartej po południu.

– Byłeś w śpiączce. Specjaliści od neuronauki z uniwersytetu w Lozannie zdołali wywołać to doświadczenie eksterioryzacji, o którym mówisz, u zdrowych ludzi, stymulując pewne obszary mózgu. Podobnie słynny tunel miałyby być wynikiem niedotlenienia, które powoduje hiperaktywność kory wzrokowej. Ta hiperaktywność miałyby wytwarzać wrażenie znajdującego się z przodu światła, doprowadzając do widzenia tunelowego i upośledzając widzenie peryferyczne.

– A to poczucie pełni i bezwarunkowej miłości? – zapytał Servaz, pewien, że psychiatra zaraz wyciągnie z kapelusza kolejne wyjaśnienie.

Psiakrew, gdzie się podziało twoje racjonalne myślenie? – zastanawiał się. Na Boga, przecież jesteś agnastykiem, nigdy nie wierzyłeś w małe zielone ludziki ani w telepatię.

– Sekrecja hormonów – odparł Xavier. – Wyrzut endorfin. W latach dziewięćdziesiątych niemieccy naukowcy, którzy badali zjawisko omdlenia, zauważyli, że po utracie świadomości wielu pacjentów twierdzi, iż czuli się znakomicie, oglądali sceny z przeszłości, a nawet doświadczyli oddzielenia od własnego ciała.

Servaz rozejrzał się po pomieszczeniu: eleganckie meble, strategicznie rozstawione lampy. Okna wychodziły na brukowaną ulicę i salon fryzjerski. Prywatny gabinet mieszczący się na parterze szeregowca, który doktor kupił, dobrze prosperował. Stawki Xaviera były znacznie wyższe niż zarobki stu sześćdziesięciu dwóch oficjalnych policyjnych psychiatrów. Widelki płacowe tej grupy w okresie 1982–2011 pozostawały niezmiennie i dopiero w ostatnim czasie jej wynagrodzenia nieznacznie wzrosły. No ale Servaz sam zdecydował, że przyjedzie właśnie tutaj. On, który w okresie kilku

tygodni, gdy sądził, że Marianne nie żyje, a także podczas pobytu w ośrodku dla policjantów przechodzących depresję unikał psychiatrów jak zarazy.

– A ci zmarli, których widziałem? Cały ten tłum?

– Po pierwsze, nie zapominaj o skutkach ubocznych narkotyków, które ci podawano, nie tylko podczas znieczulenia, ale także na intensywnej terapii. Po drugie, pomyśl o snach. Kiedy śnimy, doświadczamy rzeczy niewiarygodnych: latamy, spadamy z klifu i wychodzimy z tego bez szwanku, przenosimy się z miejsca na miejsce, spotykamy zmarłych albo ludzi, których nie znamy w życiu na jawie.

– To nie był sen.

Psychiatra kontynuował, nie zwracając uwagi na ten wtęt.

– Czy w niektórych snach nie czułeś się bardziej błyskotliwy, bardziej inteligentny niż w rzeczywistości? – Machnął ręką. – Czy czasem podczas snu nie miałeś wrażenia, że wiesz więcej, że rozumiesz rzeczy, których normalnie nie pojmujesz, że jesteś silniejszy, sprawniejszy, że masz większą moc? A kiedy się budzisz i wspomnienie jest jeszcze bardzo świeże, jesteś zadziwiony siłą tego snu, który wydawał się... taki realny.

Tak, pomyślał Servaz. Oczywiście. Jak wszyscy. W czasach studenckich, gdy próbował swych sił jako literat, nocami śniło mu się, że spod jego pióra z zaskakującą łatwością wychodzą najpiękniejsze stronicie, jakie kiedykolwiek napisano, i budził się z niepokojącym uczuciem, że te słowa, te zdania kilka sekund temu naprawdę istniały w jego umyśle. Wściekał się, nie mogąc ich sobie przypomnieć.

– Jak w takim razie wyjaśnisz fakt, że wszyscy, którzy przeżyli takie doświadczenia, nawet ci najbardziej racjonalni, najzatwardziałości ateiści wychodzą z nich trwale odmienieni?

Psychiatra skrzyżował smukłe dłonie na udach.

– Czy rzeczywiście byli ateistami? Według mojej wiedzy nie było poważnych badań naukowych na temat przekonań filozoficznych i religijnych tych ludzi przed doświadczeniem

śmierci klinicznej. Przyznaję jednak, że tej zmianie, która zachodzi prawie u wszystkich, nie można zaprzeczyć. Wyjąwszy zwykły odsetek mitomanów i dziwaków, którzy dzwonią na policję, by oskarżyć samych siebie o popełnienie zbrodni, albo może upatrują w swojej sytuacji szansy na wygłoszenie kilku, wybaczyć złośliwość, płatnych wykładów, mamy bardzo poważne świadectwa zacnych osób, o których uczciwości nie można powątpiewać, na temat owych radykalnych zmian osobowości i systemu wartości po doświadczeniu śpiączki lub śmierci klinicznej...

To ja powinienem wieść prym w tej rozmowie, pomyślał Servaz. Kiedyś by tak było. Co się ze mną dzieje?

– Dlatego trzeba słuchać tych świadectw – ciągnął psychiatra uspokajającym tonem, prawie mrużąc, jak kot zwinięty w fotelu. – Nie powinno się ich zbywać zwykłym wzruszeniem ramion. Domyślam się, przez co przechodzisz, Martin. Nieistotne, czy to, co przeżyłeś, można wytłumaczyć czy nie. Ważne jest, jak to doświadczenie cię zmieniło.

Blady promień słońca wpadł do pomieszczenia i spoczął na chińskiej wazie z bukietem kwiatów. Servaz wpatrywał się w to zjawisko zachwycony. Nagle wobec takiego ogromu piękna zachciało mu się płakać. Za oknem widać było przechodzących ludzi. W czapkach i śniegowcach, z nartami przerzuconymi przez ramię.

– Wróciłeś i wszystko się zmieniło. To trudny moment. Bo oto znalazłeś się z powrotem w życiu, które nie współgra z tym, co widziałeś tam. Będziesz musiał znaleźć nową drogę. Czy rozmawiałeś o tym z bliskimi?

– Jeszcze nie.

– A czy jest ktoś taki, z kim możesz porozmawiać?

– Córnica.

– Spróbuj. Jeśli będzie trzeba, przyślij ją do mnie.

– Nie jestem pierwszą ani ostatnią osobą, która przez to przeszła. Nie ma w tym nic wyjątkowego.

– Ale to dotyczy ciebie. I jest dla ciebie ważne, skoro tutaj

przyszedłeś.

Servaz nie odpowiedział.

– Dokonało się w tobie prawdziwe trzęsienie ziemi. Przeżyłeś traumatyczne doświadczenie, które spowoduje głębokie modyfikacje w twojej osobowości. Masz poczucie, że uzyskałeś wiedzę, o którą nie prosiłeś. Ta wiedza w pewien sposób na ciebie spadła i ten fakt nie pozostanie bez konsekwencji. Ale mogę ci pomóc się z nimi zmierzyć. Wiem, przez co będziesz przechodził. Miałem już takich pacjentów. Będziesz miał wrażenie, że jesteś bardziej żywy, bardziej świadomy i uważniejszy w stosunku do innych. Wrócisz do dawnej rutyny, ale wyda ci się ona pozbawiona sensu. Wszystkie sprawy materialne stracą znaczenie. Na pewno będziesz czuł potrzebę, by opowiedzieć o tym ludziom, których kochasz, ale oni nie będą rozumieli ani tego, co się z tobą dzieje, ani tego, co robisz. Często tak właśnie to przebiega... Będziesz doświadczał okresów euforii i wielkiej żywotności, ale będziesz również bardzo kruchy i podatny na depresję.

Drobny mężczyzna zacisnął węzeł krawata marki Ermenegildo Zegna, wstał, naciągnął marynarkę do przodu i zapiął guziki. Nie miał w sobie nic kruchego, euforycznego ani depresyjnego.

– Jakkolwiek by było, jesteś z nami, cały i zdrowy. Jak rozumiem, lekarze zalecili ci odpoczynek.

– Chciałbym wrócić do pracy.

– Co? Tak od razu? Sądziłem, że... twoje priorytety się zmieniły.

– Myślę, że każdy ma na tej ziemi swoją misję do spełnienia.

A moja polega na łapaniu złych ludzi – odpowiedział Servaz z uśmiechem na twarzy.

Psychiatra zmarszczył brwi.

– Misję? Mówisz poważnie?

Servaz posłał mu swój uśmiech numer trzy, który oznaczał „i tu cię mam”.

– Przecież to właśnie miałem powiedzieć, prawda? Skoro jestem przekonany, że wróciłem z krainy umarłych... Nie martw się, doktorze: ciągle jeszcze nie wierzę w UFO.

Psychiatra uśmiechnął się słabo, ale nagle jego spojrzenie stało się bystrzejsze, jakby przypomniał sobie coś ważnego.

– Znasz Tasili Wan Ahdżar na Saharze w Algierii?

– Sefar – odpowiedział Servaz.

– Tak, Sefar. Odwiedziłem to wyjątkowe miejsce, jedyne takie na świecie, ponad trzydzieści lat temu. Miałem wtedy dwadzieścia dwa. Podziwiałem piętnaście tysięcy malowideł skalnych, tę wielką, wspaniałą księgę pustyni, która opowiada przyszłym tysiącleciom o wojnach i cywilizacjach, które istniały w czasach neolitu. I to trzymetrowe dzieło, nazwane przez niektórych „Wielkim bogiem marsjańskim” albo „Wielkim bogiem Sefaru”. Do dziś nie wiem, co widziałem. I mówi ci to naukowiec.

Piąta po południu. Gdy wyszedł z gabinetu na ulice Saint-Martin, od jakiegoś czasu zmierzchało. Miasteczko nie napawało go już takim przerażeniem, jakie przypominał sobie z ostatnich lat. Wtedy wystarczyło, by przywołał je w myślach, a serce zaczynało mu bić jak szalone. Tego wieczoru nic takiego się nie działo. Saint-Martin odzyskało w jego oczach odrobinę staroświecki urok termalnego kurortu i wczasowiska z przycupniętymi w pobliskich górach ośrodkami narciarskimi oraz pamiętającymi jeszcze minioną świetność hotelami, alejkami i ogrodami. Przemowa Xaviera nie przekonała go w pełni, ale zdołała go sprowadzić na płaszczyznę nieco bardziej przyziemnej rzeczywistości.

Ruszył w kierunku samochodu. Lekarze dopiero niedawno pozwolili mu prowadzić, i to tylko na niewielkich odległościach: cztery godziny jazdy w tę i z powrotem zaliczył do tej kategorii. Gdy wyjechał z miasta wąską doliną Saint-Martin, która dwadzieścia kilometrów niżej łączyła się z inną, szerszą, a następnie jechał wśród coraz niższych gór ku równinie rozciągającej się między Montréjeau i Tuluzą – poczuł, jak wypełnia go dziecięcy zachwyty dla szczytów zanurzających się w błękitnym mroku, dla ich przyjaznej obecności, dla słabych światełek wsi położonych na tym końcu świata, które droga omijała, nie przechodząc przez ich



środek, dla dostrzeżonych w przelocie koni stojących w mglistym półmroku, których jeszcze nie sprowadzono z pastwisk, a nawet dla tego zwykłego miejsca postojowego z lśniącymi oknami baru szybkiej obsługi.

Półtorej godziny później wjechał do Tuluzy przez port de l'Embouchure, minął fasady z różowej cegły nad kanałem Brienne'a i zaparkował volvo na jednym z poziomów parkingu Victor-Hugo, górującego nad targowiskiem o tej samej nazwie. Gdy wystukiwał kod przy drzwiach swojej kamienicy, nagle ogarnęło go wrażenie, że ten rzeczywisty świat jest podobny do snu, sen zaś, który zostawił w szpitalnym pokoju – do rzeczywistości.

Czyżby *Réa*, francuski skrót, którym określa się Oddział Intensywnej Opieki Medycznej, pochodził od słowa „realność?” – zapytał samego siebie. Rozumiał, że to, co widział w trakcie śpiączki, może być wynikiem działania substancji chemicznych, które mu podawano, oraz dysfunkcji pozbawionego hamulców umysłu. Dlaczego więc ma tak wielkie poczucie straty? Dlaczego tkwi w nim ta przemożna tęsknota za stanem pełnego szczęścia, którego *tam* doświadczył? Od czasu, gdy się przebudził, przeczytał kilka książek na ten temat. Jak podkreślał psychiatra, prawdziwości i szczerości tych świadectw nie można podawać w wątpliwość. Jednak Servaz nie był gotów przyznać, że to, co widział, to nie fantasmagoria. Był na to stanowczo zbyt racjonalny. I jeszcze, do cholery, ta rzeka szczęśliwych ludzi. To jakiś absurd.

Wszedł na górę. Margot miała na sobie sweter z brązowej wełny i jasne spodnie. Patrzyła na niego z łagodną wyższością, tak jak zdrowy patrzy na chorego, i Servaz miał ochotę jej powiedzieć, że dobrze się czuje, ale się powstrzymał. Na nakrytym stole płonęły świece. Nad kuchenką unosiły się zapachy przypraw. Od razu rozpoznał muzykę dochodzącą z głośników. Mahler... Ten przejaw serdeczności wzruszył go do łez. Próbował ukryć ten fakt, ale Margot zdążyła go zauważyć.

– Tato, co się z tobą dzieje?

– Nic. Ładnie pachnie.

– Kurczak tanduri. Ostrzegam, nie jestem mistrzynią kuchni.

Znowu powstrzymał się od wynurzeń. Miał ochotę jej powiedzieć, jak bardzo zawsze była dla niego ważna, że żałuje tych wszystkich sytuacji, kiedy w ten czy inny sposób zepsuł to, co było między nimi. Tylko spokojnie, pomyślał.

– Margot, chciałbym cię przeprosić...

– Ciiiicho. Nie trzeba, tato. Wiem.

– Nie, nie wiesz.

– Czego nie wiem?

– Tego, co tam widziałem.

– Jak to? Gdzie?

– Tam... W sypialni.

– Tato, o czym ty mówisz?

– Widziałem różne rzeczy... tam... w trakcie sypialni.

– Nie mam potrzeby tego wiedzieć – powiedziała.

– Nie chcesz o tym słuchać?

– Nie.

– Dlaczego? Nie interesuje cię, co mi się przydarzyło?

– Nie, nie, nie o to chodzi, ale nie chcę wiedzieć, tato. To mnie wytrąca z równowagi.

Nagle zapragnął być sam. Córka powiedziała mu, że wzięła bezpłatny urlop i zostanie tak długo, jak będzie trzeba. Ale co to oznacza? Jak długo? Dwa tygodnie? Miesiąc? Dłużej? Kiedy po powrocie ze szpitala pierwszy raz wszedł do swojego gabinetu, zirytowało go, że zrobiła tu porządki, nie pytając go o zdanie. Tak samo postąpiła z kuchnią, salonem, łazienką – i to również go zezłościło. Ale nie na długo. Tak to wyglądało, odkąd wyszedł ze szpitala: w jednej chwili miał ochotę przytulać ludzi, brać ich w ramiona, rozmawiać z nimi bez końca, a zaraz potem pragnął tylko jednego: schronić się w ciszy i samotności, odizolować, zostać sam ze sobą. Znowu poczuł to ukłucie w sercu na wspomnienie krajobrazu wypełnionego światłem, tych wszystkich ludzi i ich bezwarunkowej miłości.

Spojrzał na lekarstwa, które spoczywały na jego dłoni. Duże kapsułki i małe tabletki. Odkąd je zażywał, miał nudności, biegunki, zimne poty. A może to były następstwa śpiączki? Wiedział, że powinien porozmawiać o tym z lekarzami, ale miał już powyżej uszu doktorów i szpitali. Przez dwa miesiące dwa razy w tygodniu odwiedzał kardiologów, dietetyków, psychologów, fizjoterapeutów i pielęgniarzy. A przecież nie wszczepiono mu nowego serca. Ani nawet nie wstawiono bajpasów. Nie było ryzyka nawrotu choroby ani odrzucenia przeszczepu, żadnego ryzyka sercowo-naczyniowego. Ukończył z sukcesem program rehabilitacji ruchowej i kinezyterapii oddechowej, a podczas drugiej próby wysiłkowej okazało się, że jego wyniki znacznie się poprawiły.

Otworzył dłoń i tabletki potoczyły się do zlewu. Odkręcił zimną wodę i patrzył, jak znikają w odpływie. Nie potrzebował ich. Przeżył śpiączkę, otarł się o tamten świat. Nie miał ochoty faszerować się lekami. Nie teraz. Chciał być w pełni swoich władz, by wrócić do życia. Nie czuł już nic w rejonie klatki piersiowej – widział tylko paskudną bliznę, kiedy się rozbierał – i prawie miał wrażenie, że wszystko to przytrafiło się komuś innemu.

Nie chciało mu się spać. Za kilka godzin miał wrócić na komendę i wiedział, jaką ciekawość wzbudzi jego powrót. Czy dalej będzie dowodził grupą? Komu powierzyli jego obowiązki, gdy go nie było? Do tej pory nawet o tym nie myślał. Zastanawiał się, czy powrót do dawnego życia jest tym, czego naprawdę chce.

Była noc. Zaparkował przed domem pogrążonym w zupełnej ciemności. Budynek wyglądał na porzucony i pusty, zza zamkniętych żaluzji nie dochodziło żadne światło. W górze pociągi w tym samym ślimaczym tempie pełzły przez zwrotnice, zgrzytając i kołysząc się na torach. Z każdym przejeżdżającym składem Servaz czuł, jak włosy na całym ciele stają mu dęba.

Siedząc za kierownicą, tak jak wtedy, gdy był tu ostatnim razem, obserwował kawałek niezagospodarowanej ziemi, magazyny pokryte tagami i duży samotny dom. Nic się nie zmieniło. A przecież zmieniło się wszystko. W nim. Jak w tym słynnym zdaniu Heraklita. Nie był już człowiekiem, który odwiedził to miejsce dwa miesiące wcześniej. Zastanawiał się, czy jego koledzy zauważą te zmiany, gdy nazajutrz po tak długiej nieobecności wróci do pracy.

Otworzył drzwi i wysiadł. Niebo było bezchmurne, księżyc w pełni oświetlał nieużytek. Kałuże zniknęły. Jeśli pominąć daleki szum miasta i odgłos przejeżdżających pociągów, okolica pogrążona była w ciszy. Rozejrzał się dookoła. Był sam. Potężne drzewo tak jak ostatnio rzucało niepokojący cień na fasadę budynku. Poczuł, jak opanowuje go zdenerwowanie, ruszył w kierunku niewielkiego ogródka przed domem i pchnął bramkę, która otworzyła się z piskiem. Gdzie jest pitbull? Buda wciąż stała na swoim miejscu, ale łańcuch leżał porzucony na ziemi jak wylinka węża. Psa nie było. Pewnie został uspiiony.

Przeszedł alejką wśród uschniętych warzyw, stanął na schodku i zadzwonił. W pustych pomieszczeniach po drugiej stronie drzwi

rozległ się ostry dźwięk, ale nic się nie poruszyło. Żadnej odpowiedzi. Położył dłoń na klamce, przekręcił. Zamknięte. Gdzie się podział Jensen? Stehlin wspominał o leczeniu, o uzdrowisku termalnym. Serio? Facet, który zgwałcił i zabił, teraz zażywa pieszczot delikatnych dłoni, biczy wodnych i kąpeli z bąbelkami w jakimś kurorcie? Servaz rozejrzał się wokół siebie. Nikogo w zasięgu wzroku. Wyjął z kieszeni kurtki dziesięć wytrychów zawiniętych w brudną szmatę. Takich samych zestawów do otwierania zamków patentowych używają włamywacze. „Meksykanka” – tak się nazywa nielegalne przeszukanie. Miał już okazję zasmakować tego sportu w domu astronauty Léonarda Fontaine’a, przy okazji innego śledztwa. Jeszcze nie wróciłem do roboty, a już się oddaję nielegalnym praktykom, pomyślał.

Zardzewiały zamek dał mu popalić. W domu unosił się ten sam zapach kocich siuszków, dymu tytoniowego i starości i Servaz zatkał nos. Żarówka w korytarzu wciąż nie wymieniono, musiał więc poszukać innego włącznika. Wymacał go na ścianie za drzwiami po lewej stronie i mroczną norę rozjaśniło słabe światło. W pokoju staruszki nic się nie zmieniło. Nawet sterta poduszek na niepościelonym łóżku i kroplówka były na miejscu, tak jakby kobieta miała wrócić nazajutrz. Choć była chuda jak kościotrup, na łóżku pozostał odciśnięty kształt jej rachitycznego ciała. Zadrżał. Może stara rzeczywiście wróci, skoro jej parszywy synalek znowu jest na wolności?

Wszedł do salonu. Czego właściwie szuka? Jaki dowód ma nadzieję tu znaleźć? Zaczął przekopywać szuflady biurka. Nic poza papierami i odrobiną shitu zawiniętego w folię aluminiową. Spojrzał na monitory ustawione na dużym blacie. Być może odpowiedź znajdowała się na twardych dyskach, ale Servaz nie był ekspertem od komputerów. W przeciwieństwie do Vincenta nie był nawet geekiem. Nie było mowy o telefonie do pracowni badań informatycznych, żeby przejąć dane z twardego dysku. Na chybił trafił włączył jedno z urządzeń, które natychmiast zażądało od niego hasła. Cholera...

Warkot samochodu za oknem. Servaz usłyszał, jak się zatrzymuje. Silnik zgasł, trzasnęły drzwi. Samochód zaparkował na niezagospodarowanym terenie. Żaluzje były zamknięte, tak że policjant nie miał szans zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Męskie głosy. Wydawało mu się, że rozpoznaje jeden z nich, i natychmiast napiął się jak sprężyna. Głina z policji kryminalnej. Wygląda na to, że ktoś postanowił wznowić śledztwo.

Pogasił wszystkie światła i w zupełnych ciemnościach rzucił się do tylnych drzwi. Uderzył kolanem o komodę i skrzywił się z bólu. Zamknięte. Cholera! Nie miał czasu na zabawę wytrychem. Usłyszał odgłos kroków zbliżających się alejką. Pobiegnął korytarzem, wszedł do pokoju, zapalił światło, otworzył okno i żaluzję. Już miał wyskoczyć, ale nagle się rozmyślił. Na pewno spisali numer rejestracyjny jego samochodu.

Zamknął okno, wrócił do salonu. Usłyszał dzwonek do drzwi. Spróbował uciszyć bicie serca, gotów rzucić im: „Siema, chłopaki” z całą niefrasobliwością, na jaką było go stać. Zorientował się jednak, że mężczyźni zeszli z ganku i wracają do bramki. Najwyraźniej nie mieli nakazu. Usłyszał oddalający się odgłos silnika. Z walącym sercem odczekał chwilę w ciemnościach i wyszedł.

Kiedy w poniedziałkowy rano wysiadł z metra na stacji Canal du Midi, było jeszcze ciemno. Przeciął plac i przeszedł między strażnikami w kamizelkach kuloodpornych, którzy od czasu wydarzeń z 13 listopada 2015 w Paryżu pilnowali dostępu do budynku. Wszedł przez przeszklone drzwi i skręcił w lewo w stronę wind. Przy recepcji nie było jeszcze ogonka petentów i pokrzywdzonych, ale wkrótce miało się to zmienić.

Tuluza jest miastem, które wydziela przestępczość na podobieństwo gruczołu wydzielającego hormon. Jeśli uniwersytet jest mózgiem, ratusz sercem, a aleje tętnicami, to policja pełni rolę wątroby, płuc i nerek. Jak one zapewnia równowagę organizmu, filtrując zanieczyszczenia, eliminując ewentualne toksyny, tymczasowo przetrzymując niektóre brudy. Odpady niemożliwe do odzyskania trafiają do więzienia lub na ulicę – innymi słowy do jelit miasta. Oczywiście jak w wypadku każdego organizmu zdarza się, że funkcjonowanie policji szwankuje.

Nie całkiem przekonany wymyśloną właśnie analogią Servaz wysiadł na drugim piętrze i ruszył w stronę gabinetu dyrektora. Stehlin zadzwonił do niego poprzedniego wieczoru. Zapytał, czy czuje się gotowy. Servaz był zaskoczony. Czuł, że jest gotów, by wrócić do gry, choć wiedział, że będzie musiał ukrywać zmiany, jakie w nim zaszły, i nie powinien nikomu opowiadać o tym, co widział w trakcie śpiączki. Ani o tych dziwnych wahaniach nastroju, które sprawiały, że przechodził od euforii do smutku i odwrotnie. Ani tym bardziej nie powinien wspominać słów kardiologa: „Nie ma mowy. Jeśli koniecznie chce pan pracować, niech pan posadzi cztery

litery za biurkiem. Ale zabraniam panu, słyszy pan, zabraniam wykonywania jakichkolwiek czynności, które nadwerężyłyby pana serce. Jest jeszcze słabe. Był pan operowany zaledwie dwa miesiące temu, chyba pan nie zapomniał? Jednak niecierpliwość Stehlina, by zobaczyć go z powrotem na stanowisku, trochę go zdziwiła.

Zapach kawy unoszący się w opustoszałych korytarzach, nieliczni funkcjonariusze, którzy już przyszli albo jeszcze nie wyszli, prawie bezgłośni, jak gdyby jakiś milczący pakt zakazywał krzyków, potoków słów i wszelkiego nadmiaru o tak wczesnej porze, tu i ówdzie w tajemniczym półmroku gabinetu słaba lampka i odgłos deszczu docierający do korytarzy przez jakieś otwarte okno: wszystko to nagle do niego wróciło, przenosząc go dwa i pół miesiąca wstecz, jakby cała ta przerwa trwała najwyżej jeden dzień. Dobrze znał każdy element tej rzeczywistości, choćby te kosze na śmieci przykręcone co kawałek do ściany. Tak naprawdę były to wyściełane kevlarem pojemniki na amunicję: aby uniknąć wypadku, każdy glina wracający z misji powinien wrzucić tam zawartość magazynka swojej broni i sprawdzić, czy komora naboju jest pusta. Cóż, skoro większość funkcjonariuszy policji kryminalnej rozwija w sobie przeciwności odporne na władzę i wcale nierzadko można usłyszeć dochodzący z pokoju szcęk zamka pistoletu.

Servaz skręcił w prawo, przeszedł przez zawsze otwarte drzwi przeciwpożarowe i minął skórzane sofy w poczekalni. Zapukał do podwójnych drzwi gabinetu dyrektora.

– Proszę.

Wszedł do środka. Powitały go dwa spojrzenia. Pierwsze należało do komisarza Stehlina. Drugie do nieznannej mu blondynki, która siedziała na krześle przy dużym biurku dyrektora i odwróciwszy się, patrzyła na Servaza przez ramię. Zimnym, analitycznym wzrokiem profesjonalistki. Miał nieprzyjemne wrażenie, że jest rozkładany na czynniki pierwsze. Glina – wywnioskował. Nie uśmiechała się. Nie czyniła najmniejszego wysiłku, by jej twarz – której jedna połowa oświetlona była biurową lampką, a druga tonęła w cieniu – wyglądała sympatycznie.



Każdy element jej fizjonomii mówił o determinacji i Servaz zastanawiał się, czy kobieta trochę nie nadrabia miną. Jest z innego wydziału? Spod innej jurysdykcji? Służba Celna? Prokuratura? Jakaś nowa? Stehlin wstał. Poszła w jego ślady i obciągnęła spódniczkę. Miała na sobie ciemnogrnatową garsonkę ze spódnicą dość ciasno opinającą biodra, jasnoszary szal i białą bluzkę zapinaną na perłowe guziki oraz lśniące czarne buty na obcasie. Czarny płaszcz z wielkimi guzikami wisiał na oparciu sąsiedniego krzesła.

– Jak się masz? – zapytał Stehlin. Wyszedł zza biurka, by się z nim przywitać. Mijając dużą komodę, w której trzymał pod kluczem wrażliwe dokumenty, nie omieszkał zerknąć na klatkę piersiową Servaza. – Czujesz się gotów? Co mówią lekarze?

– W porządku. Co się dzieje?

– Wiem, trochę się pośpieszyłem. Martin, jak się domyślasz, nie ma mowy, żebyśmy cię od razu wysyłali w teren. Pozwolimy ci powoli wrócić do obowiązków. Ale dziś rano absolutnie musiałem cię tu ściągnąć. – Spojrzał na Servaza, a następnie w nieco teatralny sposób odwrócił się do kobiety. Mówił cicho, jakby byli jeszcze w szpitalu i nie chciał męczyć kolegi albo jakby tak wczesna godzina i tutaj narzucała szept i dyskrecję. – Martin, przedstawiam ci Kirsten Nigaard z norweskiej policji. Kripos, jednostka do walki z przestępczością kryminalną; Kirsten Nigaard, oto komendant Martin Servaz, brygada kryminalna w Tuluzie.

Drugą część zdania powiedział po angielsku. To jest ta delikatna sprawa? – zastanawiał się Martin. Norweska policjantka w Tuluzie. Co zamierza tutaj robić, tak daleko od domu? Zauważył duży pieprzyk na jej podbródku.

– Dzień dobry – powiedziała z lekkim akcentem.

On również się przywitał i uścisnął wyciągniętą dłoń. Norweżka skorzystała z okazji i utkwiała swój lodowaty wzrok w jego oczach. Servaz znowu poczuł się oceniany, osądzany, szacowany. Zważywszy na swoje niedawne przejścia, zastanawiał się, co w nim zobaczyła.

– Siadaj, Martin. Jeśli ci to nie przeszkadza, będę mówił po

angielsku – uprzedził Stehlin, wracając za biurko.

Dyrektor miał dziwnie zatroskaną minę. Ale może był to wyraz twarzy, jaki przybiera w obecności przedstawicielki norweskiej policji (a swoją drogą nie powiedział, jaki jest jej stopień), aby nie wyszło na to, że francuska podchodzi do rzeczy niefrasobliwie.

– Najpierw otrzymaliśmy prośbę o informacje od sekcji Kirsten za pośrednictwem Scopolu. – (Policyjne służby międzynarodowej współpracy technicznej z siedzibą w Nanterre; stanowią łącznik między Europolem, policjami krajów europejskich i służbami francuskimi). – Potem wniosek o pomoc prawną z norweskiego sądu. W tym samym czasie zadzwonił do mnie szef Kirsten z Kripos i podczas kilku rozmów oraz wymiany maili uzgodniliśmy sposób działania.

Servaz skinął głową: taka procedura była zazwyczaj stosowana w przypadku śledztw międzynarodowych.

– Nie wiem, od czego zacząć... – ciągnął Stehlin, spoglądając to na blondynkę, to na niego. To, co się wydarzyło, jest dość... niewiarygodne. Oficer Nigaard pracuje w policji w Oslo, ale została wezwana do włączenia się w śledztwo w Bergen. – (Servaz stwierdził, że akcent Stehlina jest jeszcze śmieszniejszy niż jego własny). – Czyli na zachodnim wybrzeżu Norwegii. – Dyrektor uznał, że koledze przyda się uściślenie. – To drugie co do wielkości miasto w kraju. – Zerknął na norweską policjantkę w poszukiwaniu aprobaty, ale kobieta ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła. – Zostało tam popełnione morderstwo. Ofiara, młoda kobieta, pracowała na platformie wiertniczej na Morzu Północnym.

Stehlin zakasłał, jakby drapało go w gardle. Spojrzał na Martina, który natychmiast wzmógł czujność. Domyślił się, o co chodzi: Stehlin poprosił go, by przyszedł, nie dlatego, że sprawa jest delikatna, ale dlatego, że dotyczy jego.

– Oficer Nigaard udała się na miejsce, ponieważ w kieszeni ofiary znajdowała się... hmm... karteczka z jej nazwiskiem – ciągnął dyrektor, wciąż zerkając w kierunku Norweżki. – Jeden z robotników, którzy byli na łądzie, nie wrócił do pracy. W jego

kabinie oficer Nigaard znalazła zdjęcia wykonane przy użyciu teleobiektywu – powiedział i tym razem wlepił wzrok w Martina.

Servaz poczuł się tak, jakby w nadsцениu siedział jakiś demiurg, który pociągał za niewidzialne sznurki i manipulował całą trójką jak marionetkami – i zanim jeszcze jego imię zostało wypowiedziane, on już wiedział, o kogo chodzi, i miał świadomość, że cień będzie rósł, aż ich wszystkich ogarną ciemności.

– Na tych zdjęciach jesteś ty – oświadczył Stehlin, podsuwając Servazowi odbitki. – Jeśli sądzić na podstawie zmian światła i wyglądu drzew, które wskazują na różne pory roku, wygląda na to, że robiono je przez dłuższy czas. – Stehlin przerwał na chwilę. – Jest też zdjęcie dziecka, cztero-, pięciolatka. Na odwrocie znajduje się napis „Gustav”. Podejrzewamy, że to jego imię.

GUSTAV. Imię eksplodowało w jego uszach jak odbezpieczony granat. Czy to możliwe?

– To zdjęcia znalezione wśród jego rzeczy – odezwała się Kirsten po angielsku, głosem jednocześnie melodyjnym, matowym i ochrypłym. – To one nas tutaj doprowadziły. Najpierw rozpoznaliśmy francuskie słowa *hôtel de police*. Potem wasze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych powiedziało nam, o który *politistasjonen*, to znaczy... komisariat chodzi. A twój... obecny tutaj szef cię... ekhm... zidentyfikował.

I stąd ten telefon w niedzielę, dopowiedział sobie Servaz z walącym sercem. Wstrzymał oddech, wlepiając wzrok w zdjęcia. Mózg to sprawny komputer. Nigdy nie widział siebie z tej perspektywy, a jednak wystarczył ułamek sekundy, by rozpoznał się na fotografiach. Zdjęcia były wykonane z daleka, za pomocą teleobiektywu. Rano, w południe, wieczorem. Servaz wychodzący ze swojej kamienicy albo z komendy; wsiadający do samochodu; wchodzący do księgarni; idący chodnikiem; jedzący lunch w restauracyjnym ogródku na place du Capitole. Były nawet ujęcia z metra i podziemnego parkingu w centrum miasta, to ostatnie z daleka, zza samochodów.

Od kiedy był śledzony? Jak długo? Pytania przewalały się przez

jego głowę. Wystarczyło, że spojrział na zdjęcia, by zrozumieć, że ktoś chodził za nim jak cień, krok w krok, obserwował go, szpiegował. O każdej porze dnia i nocy. Przez chwilę miał wrażenie, jakby ktoś głaskał go po karku lodowatymi palcami. Gabinet Stehlina był przestronny, ale nagle wydał mu się mały i duszny. Dlaczego nie zapalono świetlówek? Tak tu ciemno. Podniósł wzrok i spojrział w stronę okien. Zaczynało szarzeć. Instynktownie położył dłoń na lewej stronie klatki piersiowej, co nie umknęło uwagi Stehlina.

– Wszystko w porządku, Martin?

– Tak. Kontynuuj.

Z trudem łapał oddech. Cień, który go śledził, miał imię. Imię, o którym przez ostatnie pięć lat Servaz starał się zapomnieć.

– W kabinie i częściach wspólnych przeprowadzono analizy DNA – ciągnął zakłopotany Stehlin, a Servaz domyślał się, co będzie dalej. – Zdaje się, że mieszkaniec kabiny często ją sprzątał. Ale nie dość dokładnie. Jeden fragment DNA przemówił. Jak wiesz, nauka poczyniła w tej dziedzinie wielki postęp. – Dyrektor po raz kolejny odchrząknął i znowu spojrział Servazowi głęboko w oczy. – Cóż, Martin. Krótko mówiąc, wygląda na to, że norweska policja trafiła na ślad... Juliana Hirtmanna.

Czyżby to było kolejne złudzenie? Czyżby znowu trafił na intensywną terapię i leżał podłączony do maszyny-pajaka, oglądając i słysząc rzeczy, które nie istnieją?

Ostatnią wiadomość od Szwajcara otrzymał przed pięcioma laty. Hirtmann wysłał mu wtedy serce, które Servaz wziął za wyjęte z piersi Marianne. Pięć lat... I od tego czasu nic. Żadnego znaku. Najmniejszego śladu. Były prokurator genewskiego sądu, sprawca podejrzany o zamordowanie ponad czterdziestu kobiet w co najmniej pięciu krajach zniknął z ekranów radarów francuskiej policji i – jeśli Servaz dobrze się orientował – także policji innych państw. Ulotnił się. Wyparował. I nagle zjawia się jakaś policjantka z Norwegii, twierdząc, że przez przypadek trafili na jego ślad. Serio?

Z rosnącym niepokojem słuchał Stehlina, relacjonującego morderstwo w Mariakirken. Rzeczywiście, sprawa pasowała do Hirtmanna, jakiego Servaz znał. W każdym razie jeśli chodzi o profil ofiary. Co do reszty, to poza śladami odkrytymi w pewnym wiejskim domu na terenie Polski ofiar Szwajcara nigdy nie znajdowano. Dlaczego więc teraz miałby zostawić tyle wskazówek? Jeśli Servaz dobrze zrozumiał, kobieta pracowała na tej samej platformie wiertniczej co Hirtmann. Może odkryła coś na jego temat? A on postanowił ją uciszyć, a potem uznał, że najwyższy czas, by się ulotnić. A może widując ją codziennie, od dawna jej pożądał, i kiedy przyszła pora, by zniknąć, wykorzystał okazję i zrealizował swoje pragnienie. Nie. Coś tu się nie kleiło. A ta historia z karteczką w kieszeni ofiary? Co to miało znaczyć?

– To nie jest do niego podobne – oświadczył w końcu.

Zauważył, że wzrok norweskiej policjantki się wyostriżył.

– Co masz na myśli?

– Zostawianie tak wielu wskazówek nie jest w stylu Hirtmanna.

Skinęła głową twierdząco.

– Zgoda. Hmm... Naturalnie nie znam go tak dobrze jak ty – stwierdziła, wykonując gest, który z pewnością miał za zadanie wyrazić jej niższość w hierarchii wobec Servaza – ale mimo wszystko odrobiłam zadanie i przestudiowałam jego akta. Jednak...

Bez słowa czekał na dalszy ciąg.

– ...zważywszy na to, jak wyglądało miejsce zbrodni oraz na ślady na śniegu, a także na prawdopodobne użycie żelaznego pręta, zastanawiałam się, czy to nie była pułapka...

– Jak to?

– Dajmy na to, że Hirtmann odkrył, że kobieta go zdemaskowała albo że zamierza go szantażować i że w jakiś sposób umówili się w tym kościele.

Przez chwilę cała trójka milczała.

– Zabija ją, a potem się ulatnia – podsumowała, wciąż patrząc mu prosto w oczy.

– Coś tu się nie trzyma kupy. Jeśli postanowił zniknąć, nie musiał jej zabijać – stwierdził Servaz.

– Może chciał ją ukarać. Albo się zabawić. Albo jedno i drugie.

– Po co w takiej sytuacji zostawiałby wszystkie te zdjęcia? I co ma oznaczać ta historia z karteczką w kieszeni ofiary? Było na niej pani nazwisko, prawda?

Skinęła głową i nadal patrzyła na niego bez słowa. Położyła dłoń na jego nadgarstku. Poufałość tego gestu zaskoczyła Servaza. Kobieta miała długie paznokcie pomalowane na perłowy, różowokoralowy kolor. Zadrżał.

– Nie wiem, co to znaczy. Dlaczego ja? Nie mam pojęcia. Za to, jeśli dobrze zrozumiałam, ty i on macie długą wspólną historię – szepnęła, wpatrując się w niego. – Może właśnie chciał, żeby te zdjęcia zostały odnalezione. Może chciał ci w ten sposób przesłać –

przez chwilę szukała odpowiednich słów – przyjacielskie pozdrowienia?

– Kim jest ten chłopiec? – zapytał, wskazując na zdjęcie Gustava. – Coś o nim wiemy?

– Nic. Może to jego syn?

Spojrzał na nią.

– Jego syn?

– Dlaczego nie?

– Hirtmann nie ma dzieci...

– Może dziecko urodziło się po jego zniknięciu. Jeśli to zdjęcie jest świeże, chłopiec ma cztery albo pięć lat. Hirtmann nie był widziany od sześciu lat, prawda?

Skinął głową. I nagle zaschło mu w gardle. Sześć lat... Przed sześcioma laty została porwana Marianne...

– Być może od tamtego czasu zrobił dziecko jakiejś kobiecie – ciągnęła. – Pracę na platformie zaczął dwa lata temu. Nie wiemy, co robił wcześniej. A personelowi platform przysługuje dużo urlopu.

Popatrzył na Kirsten zaczerwienionymi, błędnymi oczami. Kobieta odwzajemniła jego spojrzenie. Jakby rozumiała, co się z nim dzieje. Wciąż dotykając palcami jego nadgarstka, rzekła:

– Powiedz, o co chodzi. Nie będziemy mogli razem pracować, jeśli będziemy mieli przed sobą tajemnice. Opowiedz o wszystkim, co ci przychodzi na myśl.

Zerknął na nią i zawahał się, a potem skinął głową.

– Pierwszy raz spotkałem Hirtmanna w ośrodku psychiatrycznym w Pirenejach – wyartykułował po angielsku.

– Pi-ré-né?

Wskazał na okno.

– *Mountains... close...*

Teraz ona skinęła głową.

– Bardzo dziwne miejsce, głęboko w górach. Ośrodek dla psychicznie chorych kryminalistów. Hirtmann był zamknięty w specjalnym skrzydle, dla najgroźniejszych pacjentów. Jego DNA

znaleziono na miejscu zbrodni kilka kilometrów stamtąd. Dlatego go odwiedziłem.

Kirsten uniosła brew.

– Mógł wychodzić na zewnątrz?

– Nie. Wykluczone. Zabezpieczenia były potężne.

– Więc jak? *How?*

– To długa historia – odparł, myśląc o zimie z przełomu lat 2008 i 2009, kiedy to o mało nie stracił życia, o pozbawionym głowy koniu i elektrowni mieszczącej się na wysokości dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza, w środku góry, siedemdziesiąt metrów poniżej powierzchni skalistego gruntu.

Miał wrażenie, jakby spoczywające na jego nadgarstku palce Norweżki go parzyły. Wzdrygnął się lekko i kobieta cofnęła dłoń.

– Kiedy wszedłem do jego celi, słuchał muzyki. Swojego ulubionego kompozytora... I mojego. Okazało się, że lubimy tę samą muzykę. *Same music*. Tego samego kompozytora: Mahlera. *Gustava Mahlera*.

– Och – wtrąciła. – Muzyka. W jego kabinie były płyty CD.

Wyjęła smartfon, przewinęła galerię zdjęć, palcem wskazującym otworzyła jedno z nich i pokazała Servazowi ekran.

– Gustav Mahler – potwierdziła.

Servaz wskazał na jezioro, wysokie góry i smukłą dzwonnice w tle fotografii.

– Czy udało się zidentyfikować to miasteczko i jezioro?

Przytaknęła.

– To było łatwe. To Hallstatt, jedna z najpiękniejszych miejscowości w Austrii. Zachwycające miejsce, wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Austriacka policja federalna i policja Styrii prowadzą tam swoje śledztwo. Nie wiemy jednak, czy chłopiec tam mieszka, czy był tam tylko przez krótki czas. Miasteczko jest bardzo cenione przez turystów.

Servaz usiłował wyobrazić sobie Hirtmanna na wycieczce, trzymającego za rękę pięciolatka. Stehlin spojrział na zegarek.

– Czas na zebranie – powiedział.



Servaz popatrzył na niego pytająco.

– Pozwoliłem sobie zwołać twoją grupę, Martin. Jesteś gotów?

Servaz znowu potwierdził skinieniem głowy, ale to nie była prawda. Czuł, że Kirsten przejrzała go na wylot.

Dziesiąta rano. Na zebraniu stawili się Vincent Espérandieu, Samira Cheung, Pujol i trzech innych członków grupy śledczej numer 1, a do tego Malleval, który kierował wydziałem spraw kryminalnych, Stehlin, Escande, jeden z pięciu policjantów z wydziału finansowego zajmującego się cyberprzestępczością oraz Roxane Varin, która zeszła z piętra wydziału bezpieczeństwa publicznego jako przedstawicielka brygady do spraw nieletnich.

Kirsten ukradkiem obserwowała całą tę gromadkę oraz Servaza, który siedział po jej lewej stronie z nieobecną miną. Pobieźnie opowiedział jej o swojej relacji na odległość z Hirtmannem. O ucieczce szwajcarskiego mordercy ze szpitala psychiatrycznego w Pirenejach. O porwaniu kobiety, którą Servaz znał (usłyszawszy wahanie w jego głosie, domyśliła się, że ta znajomość nie była zwykłą przyjaźnią). O tym, jak Hirtmann i kobieta zniknęli bez śladu, a jedynym znakiem ze strony Szwajcara było pudełko izotermiczne wysłane z Polski przed pięciu laty, pudełko, w którym znajdowało się serce – początkowo Servaz sądził, że należy ono do jego przyjaciółki Marianne, ale przeprowadzone później badania DNA wykluczyły taką możliwość.

Całą tę niewiarygodną historię francuski glina przedstawił jej z dziwnym oderwaniem, jakby mówił o kimś innym, jakby to nie jemu przytrafiły się te wszystkie potworności, jakby cała sprawa go nie dotyczyła. W jego zachowaniu było coś niewytłumaczalnego.

– Przedstawiam wam Kirsten Nigaard z policji w Oslo – zaczął. I postanowił dodać: – W Norwegii.

Gdy streszczał im to, czego sam się przed chwilą dowiedział, przyglądała się ich twarzom. Miała wrażenie, że wszyscy wpatrują się w Servaza z najwyższą uwagą. Nie ograniczali się do słuchania; oni go obserwowali. Interesowały ich nie tylko jego słowa, ale on

sam.

Potem, gdy powiedział, że w Norwegii odnaleziono ślad Juliana Hirtmanna, zachowanie audytorium wyraźnie się zmieniło. Przestali wpatrywać się w Servaza i wymienili spojrzenia. Całe rozprężenie, które można było zaobserwować w pierwszych minutach spotkania, zniknęło. Poczują, że atmosfera stała się ciężka, zapanował ponury nastrój i wszyscy spoglądali to na Servaza, to na nią.

– Kirsten – powiedział wreszcie, zwracając się w jej stronę.

Przez chwilę milczała. Z zewnątrz dochodził dźwięk padającego deszczu przypominający bicie serca. Odwróciła się do zebranych i podniosła głos:

– Zwróciliśmy się do Eurojustu – oświadczyła. – Powoli rusza międzynarodowe śledztwo, na początek w pięciu krajach: Norwegii, Francji, Polsce, Szwajcarii, Austrii.

Eurojust jest jednostką współpracy sądowej na poziomie europejskim, zajmującą się zwalczaniem przestępczości międzynarodowej. W jego skład wchodzi urzędnicy ze wszystkich państw Europy, którzy inicjują śledztwa międzynarodowe i angażują sądy oraz policje w swoich krajach.

Kobieta przez chwilę milczała. Czuła ciężar ich spojrzeń. Wiedziała, co sobie myślą. Czyż Norwegia nie jest jednym z tych krajów skandynawskich, gdzie więzienia przypominają północną wersję luksusowych Club Med i gdzie policjanci nigdy nie zadają krępujących pytań? Obecni tutaj gliniarze z pewnością nie wiedzieli, że Norwegia przez dziesiątki lat była krytykowana za nadużycia w zakresie stosowania aresztu na komisariatach i zasądzania kary więzienia. Ani że norweski ekstremista Kristian Vikernes, aresztowany we Francji, a następnie zwolniony, doświadczył przykładowego traktowania ze strony francuskich policjantów, które porównywał z zachowaniem „bandy drani znanych jako norweska policja”. Osobiście Kirsten chętnie wbiłaby elektryczną gitarę tego pieprzonego naziola w któryś z jego otworów przeznaczonych do innych celów. Poza tym słyszała, że na francuskich komisariatach dzieją się niezłe szopki.

Wcisnęła guzik pilota, by włączyć monitor w głębi sali. Wszystkie głowy obróciły się w tamtą stronę. Zaczekała. Po kilku sekundach śnieżenia pojawiły się pierwsze obrazy. Metalowe łączniki, kładka, której podłogę stanowiła stalowa kratownica, wzburzone morze: ujęcia z kamer monitoringu na platformie.

Na końcu kładki pojawiła się jakaś postać idąca w kierunku kamery. Kirsten zatrzymała obraz. Servaz wpatrywał się w unieruchomionego na ekranie ducha, który wyłonił się z przeszłości. Bez dwóch zdań, to był on. Miał teraz nieco dłuższe włosy, które tańczyły wokół jego twarzy na morskim wietrze. Poza tym wyglądał tak samo jak w jego wspomnieniach.

– Hirtmann pracował na tej platformie przez dwa lata. Adres, który podał pracodawcy, był fałszywy, podobnie jak nazwisko i dowód tożsamości. Dokumenty znalezione w jego kabinie nie dostarczyły nam wielu informacji poza jedną, którą zaraz przedstawię. Na podstawie danych z banku prowadzącego konto, na które było przelewane jego wynagrodzenie, udało nam się odtworzyć część jego podróży. Tylko część, ponieważ Hirtmann wyprowadzał sporo pieniędzy na inne konta w rajach podatkowych. Obecnie próbujemy podążać ich śladem. Norweska policja podejrzewa go nie tylko o zamordowanie tej kobiety, ale także o uprowadzenie kilku innych w okolicach Oslo. To jeden z powodów, dla których jestem tutaj. – Na tym etapie postanowiła nie wspominać o drugiej przyczynie. Omiotła salę spojrzeniem. – Z całą pewnością Hirtmann już dawno wyjechał z Norwegii. Uciekł z Instytutu... eee... – zajrzała do notatek – Wargniera w grudniu 2008 roku. W czerwcu 2010 znowu pojawił się w waszych okolicach. Następnie, w 2011, w Polsce. Szczątki kilku jego ofiar znaleziono w samotnym domu w pobliżu Puszczy Białowieskiej. Same młode kobiety. Od tamtego czasu minęło pięć lat. Trzy lata, które są jak czarna dziura, plus dwa ostatnie, kiedy najwyraźniej pracował na tamtej platformie na Morzu Północnym. Nie łudźmy się: ktoś taki jak Julian Hirtmann potrafi zniknąć na długo i możliwe, że trafimy na jego trop dopiero za kilka miesięcy lub lat.

– Zerknęła na Servaza, który jednak, pogrążony we własnych myślach, wciąż wpatrywał się w ekran: zjawa tkwiła w takiej pozycji, w jakiej unieruchomiła ją Kirsten, a w tle unosiła się zatrzymana w locie mewa. – Skądinąd niemożliwe, żeby taki człowiek przeżył pięć lat bez zabijania. To nie do pomyślenia. To śledztwo ma na celu odtworzenie jego przestępczej drogi. Korzystając z faktu, że wreszcie mamy świeże informacje na jego temat, możemy się o to pokusić. Założmy, że przez cały czas pozostawał na terenie Europy, ale i to wcale nie jest pewne, jako że wykonywany zawód pozwalał mu na gromadzenie mil w programach lojalnościowych linii lotniczych, a co za tym idzie, na podróżowanie tanim kosztem po całym świecie. Tak na marginesie, to idealny zawód dla człowieka takiego jak on. Więcej dni wolnych niż roboczych, świetne zarobki i niemal nieograniczony obszar działania dzięki zniżkom na samoloty. Roześlemy jego zdjęcie. Znamy jego sposób działania, znamy też profil poprzednich ofiar. Wszystko to młode kobiety mieszkające w pobliżu granicy ze Szwajcarią: Dolomity, Bawaria, Alpy austriackie... A także w Polsce. Pod fałszywym nazwiskiem mógł mieszkać i zabijać wszędzie. Poprzednie wysiłki, by znaleźć jego trop, nic nie dały. Nie muszę wam mówić, że nasze szanse na powodzenie są dramatycznie znikome.

Przerwała i spojrzała na Servaza, który tłumaczył, tak jak umiał, tym, którzy nie znali angielskiego. Następnie wręczyła zdjęcie Gustava sąsiadce z prawej strony.

– Podajcie dalej – powiedział Martin.

– Drugi punkt śledztwa dotyczy tego chłopca. Zdjęcie zostało znalezione wśród rzeczy Hirtmanna na platformie. Nie wiemy, kto to jest. Ani gdzie się znajduje. Ani czy jeszcze żyje... Nic o nim nie wiemy.

– Hirtmann nigdy nie zabijał dzieci – wtrąciła się brzydka młoda kobieta, która miała na imię Samira i mówiła perfekcyjnym angielskim. – Nie jest pedofilem. Jego ofiarami zawsze były dorosłe kobiety, młode i atrakcyjne, jak pani podkreśliła.

Samira huśtała się na krześle, oparłszy o krawędź stołu buty z imitacji skóry pytona. Miała na sobie skórzaną kurtkę i naszyjnik z małą trupa czaszką.

– Właśnie. Sądźmy, że ten chłopiec może być jego synem. Albo synem którejś z jego ofiar.

– Co jeszcze o nim wiemy? – zapytał potężny łysol, nie przestając skrobać w notesie.

Kirsten nie miała wątpliwości, że rysuje jej portret.

– Kompletnie nic poza imieniem. Nie znamy nawet jego narodowości. Wiemy natomiast, gdzie zostało zrobione to zdjęcie. W Hallstatt, w Austrii. Austriacka policja federalna trzyma rękę na pulsie. Ale ponieważ jest to miejsce bardzo chętnie odwiedzane przez turystów, możliwe, że dzieciak był tam tylko przejazdem.

– Hirtmann bawiący się w turystę? – Kobieta imieniem Samira nie kryła sceptycyzmu.

– W tłumie innych turystów – skomentował ten, który przedstawił się jako Vincent. – To całkiem niegłupie... Najlepiej ukryć drzewo w lesie.

– Dobra, to na czym polega nasza rola? – zapytał łysy dryblas. – Czy przypadkiem nie tracimy czasu? Nie wiem jak wy, ale ja mam też inną robotę.

Mężczyzna mówił po francusku i Kirsten nie rozumiała jego słów, ale na podstawie tonu wypowiedzi i zakłopotania pozostałych domyśliła się, że mężczyzna rzucił jakąś obraźliwą uwagę – prawdopodobnie na jej temat lub na temat norweskiej policji.

– Oczywiście gruntownie przesłuchaliśmy jego współlokatora i kolegów z platformy – dodała. – Wygląda na to, że był raczej samotnikiem, a w sprawie swoich pobytów na łądzie zachowywał skrajną dyskrecję. Czas wolny na pokładzie spędzał na czytaniu i słuchaniu muzyki. Poważnej. – Zerknęła na Servaza. – Jednak najważniejszą sprawą są zdjęcia waszego komendanta. Są dowodem na to, że Hirtmann przez długi czas przebywał w waszym mieście. I że jakaś niezrozumiała siła wciąż przyciąga go do Tuluzy i, hmmm... do pana, Martin. Analiza operacji na jego koncie

bankowym potwierdza tę intuicję: w ciągu dwóch ostatnich lat Hirtmann często się tutaj pojawiał. – Znowu na niego zerknęła. – Niewykluczone, że Szwajcar znowu zamierza tu wrócić – rzuciła w stronę sali. – Robił to już wiele razy. Powtarzam: znamy jego sposób działania. I profil ofiar. Szukajmy w całym regionie, przyglądajmy się nawet morderstwom o nieco innym charakterze. Zniknięciom kobiet w ciągu ostatnich miesięcy.

– Ta praca już została wykonana i nic nie dała – zauważyła Samira.

Kilka głów kiwnęło na znak aprobaty.

– Ale to było parę lat temu – wtrącił się Servaz. – Potem zajęliśmy się innymi sprawami.

Kirsten zauważyła, że facet, który przedstawił się jako Vincent, wymienił z Samirą porozumiewawcze spojrzenie. Wiedziała, co myślą: to zbyt łatwe, zbyt proste.

– Wiem, że wykonaliście kawał dobrej roboty, mimo że nie przyniosła efektów – odparła dyplomatycznie. – Mam zamiar zostać tu przez jakiś czas. Komisarz Stehlin zgodził się, żebym pracowała z komendantem Servazem. Wiem, że macie inne sprawy na głowie i że to nie jest priorytet, jednak pomyślcie: jeśli Hirtmann tutaj jest, to może warto mieć oczy szeroko otwarte i trochę się przyłożyć, prawda?

„Jeśli Hirtmann tutaj jest”. Sprytne, pomyślał. Bardzo sprytne. Zobaczył, że zdanie ścięło umysły jego kolegów jak lodowa powłoka. To był blef, ale zadziałał: Servaz wyczytał to w ich oczach. Duch Szwajcara zatrjuje ich myśli, jak zrobił to wcześniej z jego myślami. I nie da im spokoju. Tego właśnie chciała Norweżka.

Na Karlplatz w Wiedniu neoklasycystyczna fasada Musikverein – pełna nazwa budowli brzmi Haus der Wiener Musikverein, Dom Wiedeńskiego Towarzystwa Muzycznego – odcinała się na tle nocnego nieba, z którego sypały się płatki śniegu. Zalane światłem doryckie kolumny, wysokie okna ostrołukowe i trójkątny fronton sprawiały, że budynek przypominał świątynię, i o to właśnie chodziło: to była świątynia muzyki, sala koncertowa o jednej z najlepszych akustyk świata, zapewniająca uszom melomanów wyjątkowe wrażenia. Przynajmniej oficjalnie, bo między sobą wiedeńscy koneserzy czasem skarżyli się na bezbarwny program, na granych *ad nauseam* Beethovena i Mozarta, na całą tę papkę dla turystów o leniwych uszach.

Tego jednak wieczoru we wnętrzu Musikverein Filharmonicy Wiedeńscy pod batutą Bernharda Zehetmayera grali *Kindertotenlieder, Pieśni na śmierć dzieci* Gustava Mahlera. Cesarz, jak go nazywano, mimo osiemdziesięciu trzech wiosen na karku nie stracił nic ze swego rozmachu. Ani ze swojego przesadnego umiłowania czystych tonów, które sprawiało, że czasem w trakcie próby bezlitośnie beształ muzyka, który jego zdaniem nie był dość perfekcyjny. Legenda głosi, że któregoś razu odszedł od pulpitu, przecisnął się między członkami orkiestry do kiepskiego drugiego skrzypka rozmawiającego z sąsiadem i wymierzył mu tak siarczysty policzek, że muzyk spadł z krzesła. „Słyszałeś, jak czysto brzmiał ten policzek?”, miał zapytać, a następnie wrócić do pulpitu.

To oczywiście tylko jedna z legend. Na temat najbardziej „mahlerowskiego” spośród dyrygentów Filharmoników

Wiedeńskich od czasów Bernsteina krążyło też wiele innych opowieści. Z uwagi na intymny charakter utworu koncert grano nie w prestiżowej Złotej Sali, ale w mniejszej Sali Brahmsa. Tak postanowił Cesarz, choć administrator się temu sprzeciwiał, ponieważ Złota Sala liczy tysiąc siedemset miejsc siedzących, podczas gdy Sala Brahmsa tylko sześćset. W istocie Zehetmayer jedynie naśladował w tym względzie samego mistrza, który w styczniu 1905 roku dyrygował pierwszym wykonaniem swojego utworu. Podobnie, choć w naszych czasach większość tych trenów wykonują głosy żeńskie, on na wzór Mahlera zaprosił jednego tenora i dwóch barytonów.

Pod sufitami Sali Brahmsa rezonowały ostatnie takty kody, przejmujące i pełne spokoju w porównaniu z nieokiełznanym wzburzeniem początku utworu. Przytłumiony głos rogu przyłączył się do gasnącego tremola wydających ostatnie tchnienie wiolonczeli. Na kilka sekund zapadła cisza, a potem sala eksplodowała. Cała widownia wstała, by oklaskiwać Cesarza i jego orkiestrę. Zehetmayer przyjął te owacje z nieskrywaną przyjemnością. Starzec przez całe swoje życie był próżny. Ukłonił się tak nisko, jak tylko pozwalały mu sztywne plecy, ból w krzyżu oraz duma, a dostrzegłszy na sali znajomą twarz, dał dyskretny znak jej właścicielowi i zniknął w swojej garderobie.

Dwie minuty później rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść!

Mężczyzna, który stanął na progu, był niemal w tym samym wieku – osiemdziesiąt dwa lata – jednak w przeciwieństwie do prawie łysego Zehetmayera jego głowę zdobiła piękna biała czupryna. Miał też krzaczaste brwi i był niski i krępy, podczas gdy dyrygent był wysoki i szczupły. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy nazywać dyrygenta Filharmoników Wiedeńskich „Cesarzem”. Jeśli w tym pokoju był jakiś cesarz, to był nim właśnie on – Josef Wieser, który zbudował jedno z najpotężniejszych imperiów przemysłowych w Austrii. Działał w branży petrochemicznej, celulozowej i papierniczej. Swój sukces zawdzięczał hojności austriackich lasów,



a także znakomitemu ożenkowi, dzięki któremu zyskał kapitał oraz niezbędne dojscia do wąskiego kręgu wiedeńskich spekulantów i decydentów (od tamtego czasu miał jeszcze dwie żony, a obecnie, w wieku osiemdziesięciu dwóch lat, planował poślubić czwartą – młodszą o czterdzieści lat dziennikarkę ekonomiczną).

– Co się dzieje? – zapytał gość.

– Są nowe wieści – odparł dyrygent, wkładając na podkoszulek czystą, wykrochmaloną białą koszulę.

– Nowe wieści?

Zehetmayer spojrział na niego lśnącymi, rozgorączkowanymi oczami, niczym aktor niemieckiego kina ekspresjonistycznego.

– Trafili na jego ślad.

Przemysłowiec stał przez chwilę z otwartymi ustami.

– Co?! Gdzie? – zapytał drżącym z emocji głosem.

– W Norwegii. Na platformie wiertniczej. Dostałem wiadomość od jednego z moich kontaktów. – Ponieważ Wieser nie zareagował, dyrygent mówił dalej: – Wygląda na to, że ten drań tam pracował. Zabił jakąś kobietę w kościele w Bergen i się ulotnił.

– Udało mu się uciec?

– Tak.

– Cholera...

– Łatwiej będzie go dopaść na zewnątrz niż w więzieniu – zauważył Zehetmayer.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Jest coś jeszcze.

– Co?

– Dziecko.

Wieser spojrział na kolegę nierozumiejącym wzrokiem.

– Jak to: dziecko?

– Wśród jego rzeczy było zdjęcie pięciolatka. Zgadnij, jak ma na imię?

Miliarder pokręcił głową na znak, że nie ma pojęcia.

– Gustav.

Wieser wpatrywał się w muzyka szeroko otwartymi oczami.

Widać było, że intensywnie się zastanawia oraz że targają nim sprzeczne emocje: bezradność, nadzieja i niezrozumienie.

– Uważasz, że to może być...?

– Jego syn? Możliwe. – Dyrygent patrzył w lustro, kontemplując swoje surowe i smutne oblicze, a następnie zatopił spojrzenie w złośliwych oczkach, nad którymi, podobnie jak u jego gościa, królowały siwe, krzaczaste brwi. – To otwiera pewne perspektywy, prawda?

– Co jeszcze wiadomo o tym dzieciaku?

– Na razie nic szczególnego. – Cesarz się zawahał. – Poza tym, że najwyraźniej zależy mu na tym małym, skoro miał przy sobie jego zdjęcie – dodał, podając Wieserowi odbitkę, na której widać było chłopca na tle gór, jeziora i dzwonnicy w Hallstatt.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. „Odnaleźli się” – zrządzeniem Opatrzności albo przez przypadek – po zakończeniu innego wykonania *Kindertotenlieder*, które było wielkim sukcesem Zehetmayera. Josef Wieser był do głębi poruszony tą interpretacją. Kiedy muzyka umilkła, miliardier płakał rzewnymi łzami, co mu się od dawna nie zdarzyło. *Pieśni* przemawiały bowiem wprost do serca ojca, który stracił córkę. Sposób wykonania utworu świadczył zaś o tym, że ten, kto dyrygował orkiestrą, głęboko i osobiście rozumiał jego proroczą wymowę (proroczą, ponieważ Mahler krótko po napisaniu i wykonaniu tego dzieła musiał patrzeć na śmierć własnej córki, którą zabrała szkarlatyna).

Po zakończeniu koncertu Wieser poprosił o możliwość osobistego podziękowania słynnemu wiedeńskiemu dyrygentowi. Został zaprowadzony do jego garderoby. Wciąż bardzo poruszony pogratulował mistrzowi i poprosił go, by zdradził mu sekret wielkiego autentyzmu tego wykonania.

– Trzeba przeżyć stratę dziecka, to wszystko – odparł Zehetmayer.

Wieser był wstrząśnięty.

– Stracił pan dziecko? – zapytał drżącym głosem.

Dyrygent obrzucił go zimnym spojrzeniem.

– Córkę. Najśłodsze, najpiękniejsze ze stworzeń. Studiowała w konserwatorium w Salzburgu.

– Jak to się stało?

– Zamordował ją pewien potwór...

Miliarder miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

– Potwór?

– Julian Hirtmann. Prokurator z Genewy. Zabił więcej...

– Wiem, kim jest Julian Hirtmann – przerwał mu Wieser.

– Ach tak, czytał pan o nim w gazecie.

Wieserowi kręciło się w głowie.

– Nie. Moja córka także została zamordowana... przez tego potwora. Przynajmniej takie są podejrzenia. Jej ciała nie odnaleziono, ale kiedy zniknęła, Hirtmann kręcił się w okolicy. Policja jest prawie pewna.

Mówił tak cicho, że nie był pewien, czy dyrygent go słyszy. Cesarz jednak spojrzał na niego osłupiały, a następnie dał znak innym obecnym, by opuścili garderobę.

– I co pan czuje? – zapytał, gdy zostali sami.

Wieser spuścił głowę i wbił wzrok w podłogę.

– Rozpacz, gniew, ogromną tęsknotę, złamaną ojcowską miłość...

– A pragnienie zemsty? Nienawiść?

Wieser wyprostował się i spojrzał dyrygentowi głęboko w oczy. Zobaczył w nich olbrzymią, dziką nienawiść i błysk szaleństwa.

– Ja nienawidzę go od dnia, w którym się dowiedziałem, co spotkało moją córkę – oświadczył Zehetmayer. – To było piętnaście lat temu. Od tamtej chwili budzę się z tą nienawiścią każdego ranka. Czystą, nietkniętą, niezmienną. Sądziłem, że z czasem osłabnie, ale dzieje się coś wręcz przeciwnego. Zdarzyło się panu myśleć, że policja go nie znajdzie, jeśli ktoś jej trochę nie pomoże?

Zostali przyjaciółmi. Dziwna przyjaźń, zamiast na miłości oparta na nienawiści, przyjaźń dwóch starców połączonych komunią żałoby i kultem zemsty. Dwóch maniaków dzielących tę samą skrywaną

fantazję. I podobnie jak inni potrafią poświęcić wszystkie oszczędności na swoją pasję, żyjąc tylko dzięki niej i dla niej, tak i oni nie liczyli wydatków. Na początku chodziło jedynie o spotkanie się od czasu do czasu na polowaniach i rozmowach w wiedeńskich kafejkach. Stawiali hipotezy, wymieniali się informacjami. Początkowo wymiana była jednokierunkowa: Zehetmayer przeczytał i obejrzał prawie wszystko, co zostało opublikowane i wyemitowane na temat Szwajcara w języku niemieckim: książki, artykuły, programy telewizyjne, filmy dokumentalne. Ale szaleństwo jest zaraźliwe i Wieser bardzo szybko z rosnącym zainteresowaniem zaczął zgłębiać przepastną dokumentację dostarczoną przez dyrygenta. Kontynuowali rozmowy. Mijały tygodnie, miesiące. Z tych dyskusji wyłonił się plan. Z początku chodziło tylko o zainwestowanie pieniędzy i kontaktów – zwłaszcza należących do Wiesera – w próbę odnalezienia śladu Szwajcara. Zaangażowali prywatnych detektywów, jednak bez wielkiego sukcesu. Wieser skontaktował się też z kilkoma znajomymi austriackimi policjantami. Bez skutku. Postanowili zatem wykorzystać Internet, sieci społecznościowe. Udało im się zebrać ponad dziesięć milionów euro. Dziesięć milionów miało być nagrodą dla osoby, która trafi na jego ślad. Za każdą wartościową informację oferowali milion. Stworzyli stronę internetową, za której pośrednictwem mieli się z nimi kontaktować pretendenci do tej fortuny. Otrzymywali setki bezsensownych wiadomości, ale odezwały się także poważne osoby. Profesjoniści. Detektywi, dziennikarze, a nawet policjanci z kilku krajów.

– To Hallstatt, prawda? – rzucił Wieser, pokazując na zdjęcie.

– Jasne, że Hallstatt – odparł sucho Zehetmayer, jakby miliarder zapytał go, czy to wieża Eiffla. – Trochę zbyt jasne, nie uważasz?

– Jak to?

– Przestań! To tak jakby wysłał nam pocztówkę z Austrii i podpisał: „Tutaj jestem”.

– To zdjęcie nie miało wpaść w nasze ręce. Ani w ręce policji.

– Hirtmann zostawił je w swojej kabinie. Załóżmy, że to jego

syn. – Zawahał się. Wciąż nie potrafił sobie wyobrazić, że Szwajcar mógłby mieć syna. – Dlaczego nie trzymał zdjęcia przy sobie?

– Może miał inne...

Muzyk prychnął ze złością.

– Albo chciał, żeby ktoś je znalazł. Żeby skierować wszystkie policje świata na fałszywy trop. Bo w rzeczywistości ten dzieciak jest zupełnie gdzie indziej.

Dyrygent wziął do ręki flakonik z gruszką, który stał na konsoli – była w nim woda toaletowa, którą specjalnie dla niego skomponował słynny francuski perfumiarz.

– Co robimy? – zapytał Wieser i zatkał nos, gdy muzyk nacisnął na gruszkę, uwalniając wonną chmurę.

Zehetmayer spojrzał na niego z pogardą. Jak ten imbecyl zdołał się dorobić miliardów, skoro wydaje się niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji?

– Odszukamy tego dzieciaka – powiedział. – Na początek wrzucimy na stronę jego zdjęcie. A potem zaangażujemy wszystkie środki.

– Martin, przemyślałem to – powiedział Stehlin. – Jednak dam tę sprawę komu innemu.

Servaz sądził, że się przesłyszał.

– He?

– Jeśli rzeczywiście stoi za tym Hirtmann, nie jesteś w stanie...

– Nie rozumiem – wtrąciła się nagle norweska policjantka. – Nikt nie zna tego człowieka lepiej niż komendant Servaz. I to on jest na zdjęciach. Więc dlaczego?

– Ekhm... No cóż. Komendant Servaz był na leczeniu.

– Ale wyzdrowiał, prawda? Skoro wrócił na służbę.

– Tak, tak, oczywiście, ale...

– Chciałabym pracować z komendantem Servazem, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu – oświadczyła stanowczo. – Wydaje mi się, że jest najbardziej kompetentną osobą do zajęcia się tą sprawą.

Stehlin się zasepił, czym wywołał uśmiech Servaza.

– W porządku – powiedział niechętnie dyrektor. – Ile dni dali pani przełożeni?

– Pięć. Potem wracam. Jeśli na nic nie trafię, ma się rozumieć.

Servaz zastanawiał się, co zrobi z norweską policjantką przyssaną do niego jak pijawka. Nie miał ochoty bawić się w przewodnika ani bełkotać po angielsku z nadzieją, że go zrozumie. Powrót na służbę i udowadnianie wszystkim, że jest gotów do pracy, były już wystarczającym obciążeniem. Tak naprawdę, zwalając mu na głowę tę cudzoziemkę, zostawiali go na aucie. No tak, ale przecież to on był na zdjęciach, które przywiozła. A myśl, że zrobił je Hirtmann, działała na niego jak płachta na byka.

– Oczywiście, gdybyście jakimś cudem trafili na coś ważnego, chcę być o tym natychmiast poinformowany – powiedział Stehlin.

„Jakimś cudem”. Servaz zadumał się nad słowami dyrektora.

– A jeśli *jakimś cudem* to zdjęcie ma wprowadzić nas w błąd?

Kirsten i Stehlin patrzyli na siebie przez chwilę.

– Chcesz powiedzieć, że miałoby nas skierować na fałszywy trop? – zapytała Norweżka.

Przytaknął.

– Czyli zostawiłby zdjęcie dzieciaka z premedytacją? Oczywiście, pomyśleliśmy o tym – odparła, mrużąc oczy. – To wygląda na trochę zbyt oczywiste, prawda? Jakby za łatwe...

– A o czym jeszcze pomyśleliście? – zapytał.

– Jak to?

– W związku z tym zdjęciem.

– Do czego zmierzasz?

– Może da się stąd wyciągnąć inne wnioski?

Stehlin i Norweżka wpatrywali się teraz w Servaza. Kirsten z mieszaniną ciekawości i zakłopotania, dyrektor z miną mówiącą, że chciałby już zakończyć i przejść do innych tematów. Najwyraźniej tuluska policja miała co innego na głowie. Takie samo wrażenie Servaz odniósł w sali zebrań, kiedy wszyscy wstali. Nawet Vincent i Samira okazali raczej umiarkowane zainteresowanie i nie omieszkawszy zapytać go o zdrowie, czym prędzej wrócili do bieżących spraw.

– Dlaczego Hirtmann miałby chcieć nas skierować na fałszywy trop, jeśli może się ukryć razem z tym dzieciakiem w dowolnym miejscu na świecie? Jaki miałby w tym interes? Nie potrzebuje tego.

Kirsten nie spuszczała Servaza z oczu.

– Słucham cię – powiedziała.

– Znam go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie zastosowałby tak prymitywnego wybiegu. Jedna rzecz natomiast wydaje mi się oczywista: moje zdjęcia i pani... twoje nazwisko na tej karteczce... Chciał, żebyśmy się spotkali. Pytanie brzmi: po co?

Zamknęła drzwi na łańcuch. Położyła walizkę na łóżku i otworzyła ją. Wyjęła bluzki, spódnice, spodnie. Dwa swetry, kosmetyczkę z przyborami toaletowymi, kosmetyczkę z akcesoriami do makijażu, piżamę: ciepłe bawełniane spodnie z nadrukiem kwiatów i T-shirt. Rozłożyła wszystko na łóżku. Do tego koronkowa bielizna, którą kupiła w butiku Steen & Strøm i inna, z metkami Agent Provocateur i Victoria's Secret. Wiedziała, że nikt nie będzie oglądał majtek z delikatną satynową kokardką na granicy pleców, ale miała to gdzieś: kręciło ją skrywanie tych prowokacyjnych ozdób pod surową powierzchownością – niczym skarbu zarezerwowanego dla tego, kto będzie miał odwagę zajrzeć głębiej. Układając rzeczy w szafie, zastanawiała się, czy podczas pobytu we Francji trafi na takiego śmiałka.

Przyjrzała się Vincentowi Espérandieu. I od razu go zaszufadkowała. Biseksualista. W tych sprawach Kirsten dysponowała szóstym zmysłem. Wyłożyła krem na dzień, perfumy, szampon (nie miała zaufania do hotelowych) i szczoteczkę do zębów na półkę w łazience. Spojrzała w lustro i pokiwała głową. Zobaczyła ładną twarz, której rysy zdradzały jednak nadmiar kontroli i tendencję do psychicznej sztywności. Krótko mówiąc, kobieta około czterdziestki, poważna i nieco spięta. Znakomicie. Zobaczyła to, co chciała, by widzieli inni.

Dwaj mężczyźni razem: to mogłoby być ciekawe doświadczenie, pomyślała, zmywając makijaż. W Oslo byłoby to niewykonalne. W ten czy inny sposób informacja dotarłaby do uszu kolegów i w ułamku sekundy obiegałaby całą sekcję. Ale tutaj, daleko od domu...

Wyjęła też „zabawkę”. Znalazła ją w Kondomeriet na Karl Johans gate, naprzeciwko arkad bazaru, w głębi sklepu, gdzie szczebiocąc i trącając się łokciami, kłębiły się młode dziewczyny, a także kobiety w jej wieku i pary. Kobieta z jednej z par powoli objęła dłonią imponującą sekszabawkę, naśladując gest masturbacji. Na lotnisku Oslo-Gardermoen Kirsten obserwowała reakcję faceta, który patrząc w ekran monitora, skanował jej bagaż podręczny.



Przyłapała jego spojrzenie, kiedy jej się przyglądał, jak odbierała torbę wyjeżdżającą na taśmie ze skanera.

Nagle poczuła silne pożądanie. Wchodząc do łazienki, pomyślała o Servazie. Tego oczywiście trudniej było rozgryźć. Hetero, bez cienia wątpliwości. Było w nim jednak coś, co opierało się analizie. Jakaś wrażliwość; a zarazem siła. No i jeszcze ta Samira – taka brzydka, a jednocześnie taka seksowna. Również trudna do rozpracowania. Zsunęła majtki i rajstopy do kostek. Usiadła i sięgnęła po telefon, a następnie wystukała numer, którego nie powinna znać.

Chłopiec patrzył, jak księżyc w pełni oświetla warstwę świeżo spadłego śniegu. Pierwszego tej zimy. Oglądał też ślady jakiegoś zwierzęcia, które okrążyło stodołę i odeszło w stronę lasu. Śnieg połyskiwał, wyglądał jak złoty puch. Góry po drugiej stronie doliny wznosiły się niemal nieprzekraczalną granicą, którą malec mgliście postrzegał jako szaniec, gwarancję, że bezpieczeństwo i przytulny świat jego dzieciństwa na zawsze zostaną ochronione. Nie oglądał dzienników telewizyjnych, ale jego dziadek owszem, i od czasu do czasu chłopiec widział na ekranie różne obrazy. I mimo młodego wieku wyobrażał sobie wojny i bitwy toczące się za tymi spokojnymi, opiekuńczymi górami. Miał dopiero pięć lat, wszystko to było dość niewyraźne, ale jak młode zwierzę potrafił wyczuć zagrożenie.

A wiedział, że zagrożenie może nadejść spoza doliny, ze strony obcych, którzy żyli tam, daleko, za górami. Tak powiedział mu dziadek: nigdy nie odzywać się do nieznanomych, nie pozwalać się zagadywać obcym ani nawet turystom przyjeżdżającym do ośrodków narciarskich. Zresztą poza zerówką chłopiec nie spotykał się prawie z nikim, jeśli nie liczyć lekarza i dziadków. Miał niewielu kolegów, a ci, którzy go odwiedzali, byli pieczołowicie wyselekcjonowani przez dziadka.

Sto metrów dalej unieruchomione na noc wagoniki kolejki wisiały na kablach, czekając kolejnego dnia, oświetlone bladą

poświatą księżycy. Ilekroć malec na nie spoglądał, wyobrażał sobie, że ktoś siedzi uwięziony w środku, narażony na zimny wiatr, który wył i dobijał się do zaparowanych okien, i daje mu znaki. I tylko chłopiec mógł go usłyszeć. Patrzył na niego, uśmiechał się, by dać mu do zrozumienia, że zauważył, a potem odwracał się na pięcie i zostawiał go tak, samotnego pośród zimnej nocy, rozmyślając o prawie zamarznętym trupie, którego ktoś znajdzie nazajutrz. I o tym, co ten człowiek zobaczył przed śmiercią: o małym chłopcu, który do niego pomachał i wrócił do domu. Długo, na pewno aż do ostatniego tchnienia człowiek miał nadzieję, że chłopiec sprowadzi pomoc.

Malec wszedł do domu, gdzie od razu powitało go i otuliło przyjemne ciepło. Na wycieracze strząsnął z siebie zaskorupiały śnieg. Następnie zdjął buty, czapkę, kurtkę puchową oraz szalik wilgotny od śliny i roztopionego śniegu. Powiesił ubrania na ściennym wieszaku. Już z przedpokoju słyszał trzaskanie drewna w kominku, a gdy znalazł się w salonie, poczuł na czerwonej twarzy fale gorącego powietrza.

– Co robiłeś o tej porze na zewnątrz, Gustavie? – zapytał dziadek, nie ruszając się z fotela.

– Oglądałem ślady wilka – odparł wnuk, podchodząc bliżej.

Pozwolił, by mężczyzna chwycił go wielkimi dłońmi i posadził sobie na kolanach. Dziadek nie pachniał zbyt ładnie. Rzadko się mył i zmieniał ubrania, ale Gustav się tym nie przejmował. Lubił głaskać jego brodę i słuchać czytanych przez niego bajek.

– Tutaj nie ma wilków – oświadczył dziadek.

– Są. W lesie. Wychodzą w nocy.

– Widziałeś?

– Nie. Tylko ślady.

– Nie boisz się, że cię zjedzą?

– One nie są złe. I lubią mnie.

– Skąd wiesz?

– Pilnują domu...

– Ach tak, rozumiem. Chcesz, żebym ci poczytał?

– Brzuch mnie boli – poskarżył się chłopiec.

Dziadek przez chwilę milczał.

– Bardzo?

– Trochę. Kiedy przyjedzie tata?

– Nie wiem, kochanie.

– Chcę do taty.

– Zobaczysz go niedługo.

– A kiedy to jest niedługo?

– Wiesz, że twój tata nie może robić tego, na co ma ochotę.

– A mama?

– Mama też.

Nagle w oczach malca zaśniły łzy.

– Nigdy nie przyjadą.

– To nieprawda. Tata niedługo przyjedzie. Albo my pojedziemy do nich.

– Do mamy i taty? – zapytał chłopiec pełen nadziei.

Dawno już nie widział obojga rodziców razem.

– Do mamy i taty, obiecuję.

– Nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać – odezwał się surowy głos od progu kuchni.

– Przestań się czepiać – odparł mężczyzna poirytowany.

– Mieszasz temu biednemu dziecku w głowie.

Babcia wycierała ręce o fartuch. Pod skórą jej dłoni rysowały się grube żyły. Gustav odwrócił wzrok i zafascynowany wpatrywał się w płomień liżące szczapy w kominku. W jego wyobraźni języki ognia wiły się jak węże, albo raczej jak smoki, które tańczyły, na przemian kurcząc się i rozwijając. Próbował odciąć się od słów babci. Nie lubił jej. Przez cały czas narzekała i krytykowała dziadka. Wiedział, że nie jest jego prawdziwą babcią. Dziadek też nie był prawdziwy, ale przynajmniej grał swoją rolę do końca i kochał Gustava, a babcia ledwie udawała. Nie była to świadoma wiedza – miał na to za mało lat – raczej niewyraźne przeczucie, którego nabrał na podstawie ich zachowania. Chłopiec rozwinał w sobie instynkt wilczęcia, który sprawiał, że czuł wiele rzeczy, choć ich nie

rozumiał.

– Nie wolno ci się bać tego, kim jesteś, Gustavie – powiedział pewnego dnia jego tata, i tego także chłopiec dokładnie nie zrozumiał, a przecież doskonale wiedział, co tata ma na myśli. O tak.

O wpół do dziesiątej obudził go blask słońca przebijający się przez żaluzje. Servaz zasnął dopiero około czwartej nad ranem. A potem śnił o chłopcu imieniem Gustav. Chłopiec stał na zaporze wodnej w Pirenejach. Była to zapora łukowa. Była zima i zapadł już zmrok. Gustav przeszedł za barierkę. Jego buty dotykały krawędzi, pod którą znajdowała się ponadstumetrowa przepaść.

Servaz stał po drugiej stronie poręczy, w odległości jakichś pięciu metrów od chłopca.

– Gustav – odezwał się.

– Nie podchodź, bo skoczę.

Na tle mroźnego nieba tańczyły rzadkie śnieżne płatki, a zapora, podobnie jak góry, była biała od śniegu i lodu. Z poziomych listew barierki zwisały niewielkie stalaktyty. Servaz był osłupiały. Betonową krawędź, na której stał chłopiec, pokrywała gruba warstwa lodu. Gdyby puścił poręcz, mógł się ześlizgnąć i spaść w otchłań. Roztrzaskałby się o skały wyrastające między jodłami sto metrów niżej.

– Gustav...

– Chcę do taty.

– Twój tata to potwór – odpowiedział we śnie.

– Kłamiesz!

– Jeśli mi nie wierzysz, wystarczy, żebyś przeczytał gazetę.

Servaz trzymał egzemplarz „La Dépêche”, którą coraz silniejszy wiatr usiłował mu wyrwać z dłoni. Papier nasiąkał od roztopionego śniegu i druk zaczynał się rozpuszczać.

– Chcę do taty, inaczej skoczę – powtórzył malec. – Albo do

mamy...

– A jak ma na imię twoja mama?

– Marianne.

Otoczające ich góry, niemal fosforyzujące w świetle księżyca, zdawały się na coś czekać. Na jakieś rozwiązanie. Serce Servaza waliło jak szalone. Marianne...

Jeszcze jeden krok. I kolejny.

Chłopiec stał tyłem do niego i spoglądał w otchłań. Servaz widział smukły kark oraz miękkie, niesforne blond włosy targane porywami wiatru. I przepaść poniżej.

Jeszcze jeden krok. Wyciągnął rękę. I wtedy chłopiec się odwrócił. To nie był on. To nie była niewinna buzia Gustava. Zobaczył twarz kobiety. Duże, pełne trwogi zielone oczy. Marianne...

– To ty, Martin? – zapytała.

Jak mógł ich pomylić? Był pewien, że widział Gustava. Co to za podstęp? Marianne puściła poręcz, by się odwrócić i podać mu rękę, ale poślizgnęła się na lodzie. Wyrzeshczyła oczy z przerażenia, a jej usta rozwarły się w niemym krzyku. Runęła w przepaść.

I wtedy się obudził.

Z sercem bijącym z prędkością stu sześćdziesięciu uderzeń na minutę, mokry od potu rozejrzał się po pokoju poprzecinanym pasmami słonecznego światła. Co mówił Xavier na temat jego snów? „A kiedy się budzisz i wspomnienie snu jest jeszcze bardzo świeże, jesteś zadziwiony siłą tego snu, który wydawał się... taki realny”. Tak, to było to. Taki realny. Ten chłopiec – przecież go widział, a nie tylko śnił.

Myślał o nim przez całą noc, dlatego tak trudno mu było zasnąć. Zadrzał z zimna. Pot na jego piersi był lodowaty. Ale także ze strachu i smutku. Zrzucił kołdrę i wstał. Kim jest ten dzieciak? Czy naprawdę jest synem Szwajcara? Ta myśl sama w sobie była dość przerażająca, jednak w jego głowie już kiełkowała nowa, jeszcze bardziej przyprawiająca o rozpacz. Jej ilustracją był ten sen. A jeśli matką jest Marianne? Servaz poczuł, jak opuszczają go wszystkie

siły.

Wszedł do kuchni. Margot zostawiła mu na blacie wiadomość. *Running*. Co jest z tą modą na angielskie słówka, która niezmordowanie zawłaszcza naszą codzienność? Gdy jedno wychodzi z użycia, jego miejsce zajmuje dziesięć nowych. Po chwili znowu poczuł niepokój, który zagnieździł się w nim po obejrzeniu tamtych zdjęć i utrudniał oddychanie. Dziecko... Kogo teraz szukać? Mordercy-zwyrodnialca czy chłopca? A może obu? I gdzie? Tuż obok czy gdzieś daleko? Z filiżanką kawy w dłoni podszedł do biblioteczki. Puścił wodze fantazji i swobodnie błądził spojrzeniem wśród rzędów książek. Jego wzrok zatrzymał się na jednym z grzbietów. Stare wydanie *Opowieści niesamowitych* Poe'go, w tłumaczeniu Charles'a Baudelaire'a. Wrócił do kuchni, usiadł przy stole i dokończył kawę.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi. Weszła Margot, rumiana od wysiłku. Uśmiechnęła się do niego, podeszła do zlewu i nalała sobie szklankę wody, którą wypijała niemal jednym haustem. Potem usiadła przy kuchennym stole naprzeciwko ojca. Mimo woli Servaz poczuł lekką irytację. Lubił jadać śniadania sam, a odkąd Margot była w Tuluzie, taka okazja nadarzyła mu się po raz pierwszy.

– Co ty robisz całymi dniami? – zapytał nagle.

Wyglądało na to, że dziewczyna w lot pojęła jego intencję. Natychmiast stała się czujna.

– Przeszkadza ci moja obecność? Jestem dla ciebie zbyt kłopotliwa? – zapytała prosto z mostu.

Margot zawsze była bardzo bezpośrednia. I czasem niesprawiedliwa. Uważała, że w każdej sytuacji należy mówić prawdę; ale przecież zdarza się, że istnieje więcej niż jedna prawda, a tego już jego córka nie potrafiła pojąć. Zawsze musiała obstawać przy swoim zdaniu. Servaz poczuł się zawstydzony i gwałtownie zaprzeczył.

– Ależ skąd! Dlaczego tak uważasz?

Przyjrzała mu się bez uśmiechu. Był dla niej przezroczysty.

– Nie wiem... Takie mam wrażenie od jakiegoś czasu. Wezmę

prysznic.

Wstała i wyszła.



Servaz przeglądał „440”, gdy do jego gabinetu weszła Kirsten. Serwis o nazwie „440” to podręczny biuletyn, aktualizowany codziennie o komunikaty wydawane w sprawach o zasięgu krajowym. Zawiera informacje o zaginięciach nieletnich, morderstwach, podpaleniach, prośby o poszukiwanie i większość glin z policji kryminalnej codziennie go przegląda. Servaz nie wiedział, kto nazwał serwis w ten sposób. Nazwa strony pochodzi od nuty A, która ma częstotliwość 440 Hz i służy za punkt odniesienia podczas strojenia instrumentów w orkiestrze (skądinąd Servaz wiedział, że praktyka się zmieniła i obecnie większość orkiestr stroi się do częstotliwości 442 Hz) i analogicznie biuletyn „440” służy dostrojeniu działań poszczególnych służb i obiegowi informacji.

Nie znalazł niczego szczególnego. Oczywiście nie spodziewał się, że za sprawą biuletynu trafi na ślad Szwajcara – po prostu wrócił do starych dobrych przyzwyczajień w miejscu, w którym je zostawił. Zadrzał. Nie potrafił się pozbyć uczucia niepokoju, które pozostawił w nim tamten sen. Wrażenia, że w ten czy inny sposób przeszłość zaraz wypłynie na powierzchnię. Poczucia nieuniknionej katastrofy. Przez wiele miesięcy po tym, jak odkrył, że serce przesłane w pudełku izotermicznym nie należało do Marianne, próbował trafić na trop jej i Hirtmanna. Wysłał setki e-maili do kilkudziesięciu gliniarzy w całej Europie, pilnie pracował nad swoim angielskim, telefonował, spędzał nieprzespane noce na przeglądaniu otrzymanych w odpowiedzi raportów, przekopał się przez furę ogólnokrajowych i międzynarodowych kartotek i śledził

w serwisach internetowych wszystkie wydarzenia, które mogłyby nosić ślad szwajcarskiego potwora. Na próżno. Nie uzyskał żadnych rezultatów.

Skontaktował się nawet z Irène Ziegler z żandarmerii. To ona kiedyś pomogła mu wytropić Szwajcara. Ale była w tym samym punkcie co on. Zero. A przecież zaangażowała cały arsenał najprzemysłniejszych środków, by go odnaleźć. Jak mu powiedziała, użyła między innymi sztuczki polegającej na nałożeniu na siebie kartotek zaginionych młodych kobiet z całej Europy oraz informacji o salach koncertowych, w których grano Mahlera. Klapa. Julian Hirtmann zniknął z powierzchni ziemi, a razem z nim zniknęła Marianne. Po miesiącach frustracji Servaz postanowił uznać, że Marianne nie żyje. Może nawet zginęli oboje w jakimś wypadku czy pożarze, kto wie? Zdecydował, że wymaże ich z pamięci, zmuszał się do odpędzania każdej myśli na ich temat. I mniej więcej mu się udało, bo czas, jak to zwykle bywa, dopełniał swego dzieła. Dwa lata, trzy, cztery, pięć... Marianne i Hirtmann zapadli się we mgłę, zepchnięci daleko, tam gdzie wspomnienie istnieje już tylko jako niewyraźny krajobraz w tle. Cień, ślad uśmiechu, głosu, gestu, nic więcej.

I oto wszystko, co z takim trudem wymazał, znowu się wyłania. Czarne serce, które czało się w czasie przeszłym, by znów zacząć bić w teraźniejszości i zatruć każdą jego myśl.

- Dzień dobry – przywitała się Kirsten po francusku.
- Cześć.
- Wypałeś się?
- Nie bardzo.
- Co robisz?
- Nic. Przeglądam biuletyn.
- Jaki biuletyn?

Wyjaśnił jej, jak działa „440”. Powiedziała, że w Norwegii też mają coś takiego. Zamknął „440” i wystukał coś na klawiaturze. Przystudiował wyniki. Za pomocą suwaka po prawej stronie ekranu przewinął stronę w dół.

– W Tuluzie jest sto szesnaście przedszkoli. I mniej więcej tyle samo podstawówek. Policzyłem.

Uniosła brwi.

– Myślisz, że Hirtmann gdzieś go zapisał?

– Nie wiem.

– I zamierzasz w każdej placówce pokazywać jego zdjęcie?

– Jeśli liczyć dwie szkoły na godzinę plus czas na przemieszczenie się z jednej do drugiej, znalezienie kogoś, kto mógłby nam udzielić informacji, i pokazanie zdjęcia personelowi, zajmie to wiele tygodni. Poza tym będzie nam potrzebny nakaz.

– Co?

Servaz puścił do niej oko i podniósł słuchawkę.

– Roxane, możesz do mnie przyjść? Dziękuję. Nie możemy węszyć bez pozwolenia – wyjaśnił, odwracając się do Kirsten. – Ponieważ chodzi o dziecko i nie mamy do czynienia z przestępstwem, sprawa należy raczej do kompetencji brygady do spraw nieletnich i wydziału bezpieczeństwa.

Przez chwilę zastanawiał się, czy w jej kraju jest to równie skomplikowane. Dwie minuty później pojawiła się Roxane Varin. Była drobną, raczej ładną kobietą o ciemnej czuprynie i okrągłych policzkach: Kirsten widziała ją na zebraniu. I podobnie jak poprzedniego dnia, pomyślała o francuskiej aktorce Juliette Binoche. Varin miała na sobie dżinsową koszulę i szare dżinsy skinny.

– Cześć – powiedziała i pocałowała Servaza na powitanie.

Odrobinę nieśmiało uścisnęła dłoń Kirsten. Norweżka pomyślała, że kobieta zapewne lepiej się czuje w towarzystwie dzieci niż dorosłych. Roxane trzymała zdjęcie Gustava. Opadła na ostatnie wolne krzesło.

– Poprosiłam wydział oświaty o sprawdzenie szkół. To oni się zajmują takimi rzeczami – poinformowała. – Niestety w bazie uczniów nie ma zdjęć. Pozostaje szukanie po imieniu, a to nie będzie łatwe – dodała, nie kryjąc pesymizmu.

– Co to jest baza uczniów? – zapytał Servaz.

– Aplikacja komputerowa. Pozwala na śledzenie przebiegu edukacji uczniów z pierwszego poziomu nauczania, to znaczy od przedszkola do drugiej klasy kursu średniego, i zarządzanie nim.

– We wszystkich placówkach? Państwowych i prywatnych?

– Tak.

– Jak to działa?

– Dane są gromadzone na poziomie wydziału oświaty i uzupełniane przez wszystkich dyrektorów szkół oraz merostwa, które zajmują się zapisywaniem uczniów i wyborem szkół: uzupełniają dane osobowe dziecka, czyli nazwisko, imiona, data i miejsce urodzenia, adres dziecka oraz dane opiekuna bądź opiekunów, przebieg edukacji, INE.

– INE?

– Każde dziecko we Francji ma swój numer identyfikacyjny. Dzięki tej aplikacji poszukiwaniem uczniów zarządzają kuratoria. Wcześniej niektóre szkoły, w zależności od rejonu, w którym się znajdowały, otrzymywały nawet dziesięć wniosków dziennie. Odkąd istnieje baza uczniów, liczba ta wyraźnie się zmniejszyła i łatwiej znaleźć dziecko, gdy na przykład z wnioskiem występuje rozwiedziony rodzic, który dysponuje prawami rodzicielskimi. Pod tym względem aplikacja jest bardzo przydatna. Oczywiście na początku niektóre związki zawodowe i rodzice głośno sprzeciwiali się zakładaniu dzieciom teczek, wywiązała się afera medialna i minister wykreślił niektóre pola, takie jak narodowość, frekwencja, rok przyjazdu do Francji, kultura ojczysta, zawody rodziców. Przeciwnicy utrzymywali, że aplikacja ma służyć wyłącznie polityce bezpieczeństwa i policji, że w rzeczywistości ma umożliwiać kontrolowanie migracji. W 2010 roku paryski sąd umorzył ponad dwa tysiące skarg złożonych przez rodziców uczniów. Dwa tysiące... Mimo to baza jest bardzo przydatna do zarządzania nauczaniem i obserwacji uczniów.

– Masz do niej dostęp?

Kirsten zobaczyła, że kobieta się uśmiecha. Ładnym uśmiechem, od którego jej oczy rozbłysły.

– Nie. Żaden urząd niepodlegający Ministerstwu Edukacji nie ma tam wglądu. Poza merostwami, które zapisują uczniów. Ale nawet one nie mają dostępu do niektórych danych, na przykład do informacji, czy dziecko potrzebuje pomocy psychologicznej. Problem polega na tym, że imiona i nazwiska są widoczne z wydziału oświaty, ale na wyższych poziomach już nie. Również z uwagi na ochronę poufności.

Roxane odwróciła się do Kirsten i streściła po angielsku to, co powiedziała przed chwilą, często się przy tym wahając i poprawiając. Norweżka nie wszystko rozumiała, czemu dawała wyraz, marszcząc brwi.

– Druga sprawa to fakt, że okres przechowywania danych nie przekracza czasu edukacji dziecka na pierwszym poziomie. Gdy uczeń przechodzi wyżej, wszystko znika.

Znowu tak jak umiała, przetłumaczyła swoją wypowiedź. Norweżka skinęła głową.

– Oczywiście wysłałam także zwyczajną prośbę o poszukiwanie ze zdjęciem, która, mam nadzieję, zostanie przekazana do szkół i przedszkoli, jeśli otrzymamy negatywny wynik z bazy uczniów. Ile to zajmie czasu, to już inna para kaloszy. – Wstała. – Martin, ty naprawdę wierzysz, że ten chłopiec tutaj jest?

W tonie jej głosu słyhać było ten sam sceptycyzm, który wyrażali podczas spotkania jego koledzy. Servaz nie odpowiedział. Wziął tylko zdjęcie, które podała mu Roxane, i postawił je w widocznym miejscu na swoim biurku. Wyglądał, jakby błędził we własnych myślach. Roxane uśmiechnęła się i mrugnęła do Kirsten, a następnie wzruszyła ramionami i wyszła. Najwyraźniej miała pilniejsze sprawy na głowie. Norweżka odwzajemniła uśmiech i spojrzała na Servaza, który stał teraz odwrócony do niej plecami i wyglądał przez okno.

– Co byś powiedziała na mały wypad? – zapytał nagle.

Patrzyła na jego plecy.

– Znasz *Skradziony list* Poego?

Zacytował tytuł po angielsku: *The Purloined Letter*. Sprawdził to

poprzedniego wieczoru w Internecie. Odwrócił się.

– Wyłumacz mi, co masz na myśli – poprosiła.

– *Nil sapientiae odiosius acumine nimio*: Nic nie jest bardziej wrogie mądrości niż dzielenie włosa na czworo. Aforyzm Seneki, którego Poe użył jako motta do swojego opowiadania. *Skradziony list* jest o tym, że coś, czego szukamy daleko, często mamy pod nosem.

– Naprawdę uważasz, że Gustav może tutaj być?

– W opowiadaniu policja nie może znaleźć listu w pewnym mieszkaniu, ponieważ sądzi, że został on dobrze ukryty – ciągnął, nie zważając na jej pytanie. – Dupin, bohater Poego, przodek Sherlocka Holmesa i innych detektywów o ponadprzeciętnych zdolnościach analitycznych, uznaje, że wręcz przeciwnie, najlepszym sposobem na ukrycie listu jest pozostawienie go w widocznym miejscu na biurku. Kartka została po prostu złożona na drugą stronę, na której widnieją inna pieczęć i inne pismo.

– Jesteś stuknięty, wiesz? – powiedziała po angielsku. – Nic z tego nie rozumiem. Do czego zmierzasz?

– Zastąp biurko z opowiadania przez Saint-Martin-de-Comminges, gdzie wszystko się zaczęło. Sama to powiedziałaś: Hirtmann odwiedzał te okolice wiele razy. Dlaczego?

– Ze względu na ciebie. Ma bzika na twoim punkcie.

– A gdyby istniał jakiś inny powód? Potężniejszy niż obsesja na punkcie zwykłego gliny. Na przykład syn...

Kirsten nic nie odpowiedziała. Czekwała na dalszy ciąg.

– Ukryty, ale jednocześnie pozostający na widoku, jak skradziony list z opowiadania. Wystarczy zmiana nazwiska. Chodzi do szkoły i jest wychowywany przez kogoś, kto opiekuje się nim pod nieobecność Hirtmanna, to znaczy przez większość czasu.

– I nikt by niczego nie zauważył?

– Co miałyby zauważyć? To chłopiec jak inni. Który chodzi do szkoły.

– Właśnie. I nikt w szkole nie próbowałby się dowiedzieć, kim jest ten dzieciak?

– Zakładam, że ktoś go codziennie odprowadza. Ministerstwo Edukacji nie jest nawet w stanie zrobić ewidencji nauczycieli oskarżonych o akty pedofilskie. Poza tym, nie wiem, może ci, którzy go odprowadzają, przedstawiają się jako rodzice adopcyjni.

– Saint-Martin, mówisz?

– Saint-Martin.

– Dlaczego akurat tam?

Rzeczywiście, dlaczego? Nawet jeśli przyjąć, że Szwajcar wraca w te okolice, by odwiedzić syna, dlaczego Gustav miałby mieszkać właśnie w tym miasteczku? Dlaczego nie w innej miejscowości tego regionu?

– Ponieważ Hirtmann spędził w Saint-Martin wiele lat.

– Zamknięty w zakładzie.

– Tak. Ale miał na zewnątrz współników, takich jak Lisa Ferney.

– Naczelną pielęgniarką w Instytucie Wargniera, tak? Ona tam pracowała. Nie była zwykłą mieszkanką Saint-Martin.

Zamyślił się. Dlaczego zawsze był zdania, że Hirtmann musiał mieć innych współników? Że w tamtym czasie nie odkryli wszystkich figurantów? Wiedział, że jego rozumowanie nie trzyma się kupy, że nie ma w nim żadnej logiki. A w każdym razie, że jego logika jest jakaś mętna, pokręcona, że widzi znaki i zbiegi okoliczności tam, gdzie ich nie ma, jak paranoik. Ale jego umysł i tak wciąż wracał do Saint-Martin, przyciągany jak igła kompasu.

– Saint-Martin, to tam o mało nie zginąłeś, prawda? – zapytała.

Była dobrze poinformowana. Skinął głową.

– Zawsze sądziłem, że był tam ktoś jeszcze, kto mu pomógł – powiedział. – Jego ucieczka tamtej nocy... Pieszko przez góry, wśród zamieci, bo samochód rozbił w wypadku. Bez pomocy nie dałby rady uciec daleko.

– I ten współnik miałby wychowywać Gustava? – jej ton był równie sceptyczny jak wcześniej głos Roxane.

– A któż by inny?

– Zdajesz sobie sprawę, że to jest cholernie słabe?

– Tak.

Opuścili autostradę na wysokości Montréjeau, zostawiając za sobą monotonię równiny. Zanurzyli się w górskim krajobrazie, który zapowiadały zaokrąglone pagórki pokryte gęstym, zaśnieżonym lasem. Okolica była biała, czysta. Droga to wiodła przez rzadkie zagajniki, to wiała się wśród pokrytych śniegiem łąk, innym razem biegła skrajem pogrążonych w zimowym letargu wiosek albo brzegiem wartkiej rzeki. Góry zbliżały się, były coraz wyższe, ale prawdziwą, nieprzekraczalną barierę było widać w głębi, gdzie rysował się postrzępiony, dziki profil najwyższych szczytów Pirenejów.

Na rondzie zjechali z czteropasmówki, przejechali przez rzekę i za następnym znakiem stopu skręcili w lewo. Góry jeszcze bardziej się przybliżyły. Droga biegła teraz nad rwącym potokiem, okolonym wysokimi kamiennymi ścianami. Zauważyli niewielką tamę z kłębiącą się wodą oraz czarny otwór hydroelektrowni wyżłobionej w skale na drugim brzegu i wjechali w wąski tunel. Wyłoniwszy się z niego na drugim końcu, poniżej kamiennej balustrady, zobaczyli je: Saint-Martin-de-Comminges, 20 863 mieszkańców. Droga poprowadziła ich w dół i wjechali do miasta.

Zaspy na ulicach nie zrobiły na Kirsten żadnego wrażenia. Pochodziła przecież z Nesny, miasta w środkowej Norwegii, na północ od Oslo. Na ulicach było sporo ludzi: narciarzy, którzy zjechali kolejką linową ze stacji sportów zimowych na szczyt góry, kuracjuszy, którzy porzucili termy na rzecz kafejek i restauracji w centrum miasta, rodzin z dziećmi i wózkami. Servaz zastanawiał się, czy Hirtmann mógłby spacerować tymi ulicami niezauważony. Jego twarz znalazła się na pierwszych stronach lokalnej, a nawet ogólnokrajowej prasy – a nie była to twarz, którą łatwo zapomnieć. Czy zmienił wygląd? Czy to możliwe, żeby poddał się operacji plastycznej? Servaz niewiele wiedział na ten temat, słyszał jednak, że nowoczesna medycyna estetyczna potrafi czynić cuda. Nawet jeśli jej skutki wyłaniające się czasem spod pięknych rysów aktorki, która z dnia na dzień zmieniała się nie do



poznania, sprawiały, że wątpił w prawdziwość owych cudów.

Kiedy zaparkowali przed merostwem i wysiadali z samochodu (usłyszał śpiew wodospadu, który srebrną nitką pionowo spadał z zalesionego górskiego zbocza), poczuł wzdłuż kręgosłupa lekki dreszcz: powrót na miejsce wydarzeń i wmieszanie się incognito w tłum to zachowanie bardzo w stylu Hirtmanna. Gdy tylko ta myśl przemknęła przez jego głowę, omiótł wzrokiem plac, skwer, kawiarniane ogródki, pawilon muzyczny w parku i twarze – jakby między nim a tym anonimowym tłumem istniało jakieś połączenie elektryczne. Odziane w jodłową szatę góry obserwowały ponad dachami ich przyjazd z taką samą obojętnością, z jaką przyjęły zbrodnie, które wydarzyły się tu tamtej pamiętnej zimy.

– Co my tutaj robimy? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

– Jak to?

– Skoro jesteśmy tu we dwójkę, to dlatego, że on tego chciał. Dlaczego? Dlaczego połączył nas ze sobą?

Kirsten rzuciła mu pytające spojrzenie. Weszli do merostwa.

Od tamtych zdarzeń mer się zmienił. Funkcję piastował teraz młody, wysoki i korpulentny mężczyzna z gęstą brodą zakrywającą dużą część twarzy i wielkimi worami pod bladymi, nieco wodnistymi oczami, które świadczyły o braku snu, niewłaściwym trybie życia lub uciążliwym dziedzictwie genetycznym. Jego broda miała trudny do określenia kolor: coś między brązowym a rudym z białymi pasmami pośrodku.

– Servaz. To nazwisko coś mi mówi – odezwał się donośnym głosem.

Chwycił dłoń policjanta w wielką łapę, która okazała się zimna i wilgotna. Spojrzał na Kirsten i obdarzył ją najpiękniejszym ze swoich uśmiechów. Servaz zerknął na jego grube palce: nie nosił obrączki. Grubas znowu mu się przyjrzał.

– Sekretarka mówiła mi, że szukają państwo jakiegoś dziecka. – Obejrzał się przez ramię, wprowadzając ich do imponujących rozmiarów biura, którego oświetlenie i wentylację zapewniały dwa

wielkie okna wychodzące na balkon z widokiem na najwyższe szczyty górskiego łańcucha.

Stanowisko mera Saint-Martin miało swoje dobre strony. Zajął miejsce za biurkiem. Servaz położył na blacie zdjęcie Gustava i usiadł.

– Możliwe, że chodził tutaj do przedszkola – powiedział.

– Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

– Przykro mi. Tajemnica śledztwa.

Mer wzruszył ramionami i zaczął stukać w klawiaturę komputera.

– Jeśli jeszcze chodzi, powinien być w bazie uczniów. Proszę tutaj podejść.

Podnieśli się z krzeseł i ominęli biurko, by stanąć za plecami mera. Mężczyzna wyjął z szuflady coś, co przypominało plastikowy klucz z małym elektronicznym ekranem pośrodku, i zrobił im miniwykład na temat rzeczonyj bazy.

– Oczywiście jest zabezpieczona.

Na monitorze komputera zobaczyli słowa „identyfikacja”, „login” i „hasło”.

– Muszę wprowadzić mój login. A następnie hasło, które składa się z mojego indywidualnego czterocyfrowego kodu oraz sześciocyfrowego numeru, który wyświetla się na tym kluczu bezpieczeństwa. Każdy wydział oświaty ma inny adres.

Servaz zobaczył stronę główną. Na górze znajdował się pasek w trzech kolorach: pomarańczowym, niebieskim i zielonym, a poniżej podpisy „Szkoła” lub „Przedszkole” (pod pomarańczowym), „Uczniowie” (pod niebieskim) i „Bieżące zarządzanie” (pod zielonym).

– Moduł merostwa dotyczy tylko zapisów – wyjaśnił.

Servaz zobaczył, że mężczyzna klika na zakładkę „Śledzenie zapisów i przyjęć”.

– Jak on się nazywa?

– Znamy tylko imię.

Mer odwrócił się razem z fotelem i zaskoczony zerkał wodnistymi oczami to na Kirsten, to na Servaza.

– Serio? Tylko imię? Do tej pory zawsze wpisywałem imię i nazwisko. Zresztą zobaczcie, tutaj jest gwiazdka. Pole „nazwisko” jest obowiązkowe.

Punkt dla Roxane. Śledztwo, ledwie rozpoczęte, zaraz utknie w ślepej uliczce.

– Ma na imię Gustav. Na pewno ma pan gdzieś archiwa z listami uczniów z ostatnich lat: w Saint-Martin nie ma aż tak wielu szkół.

Mer się zadumał.

– Macie nakaz? – zapytał nagle.

Servaz wyjął dokument z kieszeni.

– Powinno się udać – powiedział urzędnik. – Poza tym imię Gustav nie jest dziś zbyt często spotykane.

Servaz wiedział, że szanse, by Hirtmann zapisał chłopca pod jego prawdziwym nazwiskiem, były niewielkie. Ale ostatecznie, dlaczego nie? Kto miałby skojarzyć dziecko ze szwajcarskim mordercą? Kto mógłby sobie wyobrazić, że potwór zostawił dziecko w Saint-Martin? Czy istnieje kryjówka bardziej niewzbudzająca podejrzeń?

Rzucił okiem na plac. Najwyraźniej nad szczyty nadciągnęły chmury, bo teren przed merostwem zasnuł cień i wszystko przybrało dziwny zielonkawy odcień, tak że Servaz miał wrażenie, jakby patrzył przez filtr. Tylko dach pawilonu muzycznego lśnił słabym blaskiem.

– Zobaczą, co da się zrobić. To może trochę potrwać, okay?

– Poczekamy.

Ktoś był na dole. Z powodu słabego światła Servaz nie widział wyraźnie. Facet był wysoki, ubrany w ciemny, być może czarny zimowy płaszcz. Stał z twarzą skierowaną w stronę okien merostwa. Servazowi wydało się nawet, że mężczyzna na niego patrzy.

– *Try Gustav Servaz* – odezwał się nagle głos Kirsten za jego plecami.

Zadrżał. Odwrócił się gwałtownie. Mer znowu wpatrywał się w Norweżkę, zdumiony, a następnie przeniósł wzrok na Martina.

– Mam spróbować Gustav Servaz?

– *Yes. Gustav Servaz.*

– A jak się pisze Servaz? *How do you write this?*

Przeliterowała.

– To przecież pańskie nazwisko? – zwrócił się do niego mer, najwyraźniej nie rozumiejąc, co się dzieje.

Servaz również nie wiedział. Huczało mu w uszach. Miał ochotę powiedzieć merowi, żeby przestał, ale skinął głową.

– Niech pan zrobi tak, jak ona mówi.

Serce zaczęło mu bić szybciej. Oddychał z największym trudem. Wyrzął przez okno. Teraz był pewien, że mężczyzna go obserwuje. Stał nieruchomy i wyprostowany na samym środku jednej z alejek skweru z twarzą zwróconą w kierunku merostwa, a dorośli i dzieci przechodzili obok niego na podobieństwo potoku opływającego wielki kamień.

– Poszło – oświadczył mer.

Cisza trwała tylko kilka sekund.

– Servaz Gustav – obwieścił tryumfalnie.

Servaz poczuł lodowaty dreszcz. Miał wrażenie, jakby ten sam cień, który przysłonił krajobraz, otulił teraz całunem jego myśli. Spojrzał za okno. W miejscu, gdzie przed sekundą stał tamten człowiek, nie było nikogo. Tylko zwyczajna rzeka przechodniów.

Kim, na Boga, jest ten dzieciak?

– Był zapisany do Szkoły imienia Juliusza Verne’a do zeszłego roku. Do zerówki – oznajmił mer, jakby odpowiadał na pytanie. – Ale już nie jest.

– I nie wie pan, gdzie teraz przebywa? – odezwała się Kirsten.

– Wiem tylko, że nie ma go w zasięgu naszego wydziału oświaty – odparł mężczyzna po angielsku. – W przeciwnym razie by się pojawił.

Odwrócił się w stronę Servaza. Policjant zauważył, że mer mruży oczy. Z pewnością zwrócił uwagę na jego bladość i malujące się na twarzy przygnębienie, i zastanawiał się, co się dzieje.

– Szkoła imienia Juliusza Verne’a, niech nam pan pokaże, gdzie ona jest – poprosiła Kirsten, wskazując na wiszący na ścianie plan miasta.

Widząc brak inicjatywy i odrętwienie Servaza, wzięła sprawy w swoje ręce. Zastanawiał się, jak mogła wpaść na ten pomysł z nazwiskiem. Najwyraźniej zna Szwajcara i jego sposób działania lepiej, niż wcześniej twierdziła.

– Okay, pokażę wam – zgodził się mer.

Długa biała aleja między dwoma rzędami platanów ogołoconych z liści przez zimę. Ich wielkie, sękaty konary przysypane śniegiem

przypominały mu – jak w kreskówkach Disneya z dzieciństwa, gdzie cała przyroda była antropomorficzna – ludzkie ręce. Środek alejki prowadzącej do szkoły był odśnieżony przez pług. Minęli niewielkiego bałwana, którego z całą pewnością ulepiły bardzo małe dzieci, ponieważ był krzywy i miał dziwnie uformowaną głowę. Przypominał niezgrabnego, złośliwego krasnala.

Na końcu alei, za bramą, znajdował się szkolny dziedziniec w dawnym stylu i Servaz przypomniał sobie książkę *Mój przyjaciel Meaulnes* i własne dzieciństwo na południowym zachodzie kraju. Ile dzieci przewinęło się przez to miejsce, ile osobowości ukształtowało się tutaj i odkryło swoją tożsamość, po tym, jak wyrzucone poza rodzinny kokon nagle spostrzegły, że świat istnieje i jest pełen ostrych kantów? Ile osób wyszło stąd gotowych, by stawić czoło życiu, ujarzmić nieprzychylny los, a ile jako przyszłe ofiary niepowodzeń, bezustannie miotane przypadkowością egzystencji, niezdolne do tego, by ją przewyciężyć? Od czego to zależy? Czy to właśnie tutaj, jak sądzą niektórzy, wszystko się rozgrywa? Jak wiele dzieci doświadczyło tu po raz pierwszy życia w społeczności, odkryło niegodziwość współplemieńców albo pokazało własną? Co do Servaza, nie miał żadnych wspomnień z tego okresu.

Podwórze było puste, trwały lekcje. Podążali naprzód smagani wiatrem, który strząsał śnieg z gałęzi drzew, a para lecąca im z ust tworzyła białe pióropusze. Na dziedziniec wyszła jakaś kobieta, przyciskając do siebie poły płaszcza. Servaz oszacował ją na pięćdziesiątkę. Miała farbowane blond włosy i szczerą, ale surową twarz.

– Mer uprzedził mnie, że państwo przyjdą. Jesteście z policji, tak?

– Policja kryminalna z Tuluzy – odpowiedział, podchodząc bliżej i pokazując jej legitymację. – A to jest Kirsten Nigaard z policji norweskiej.

Dyrektorka zmarszczyła brwi.

– Mogę zobaczyć?

Servaz podał jej dokument.

– Nie rozumiem. To samo powiedział mi dyrektor. Ma pan to samo nazwisko co Gustav. To pański syn?

– Zbieg okoliczności – odparł, ale od razu zobaczył, że kobieta mu nie wierzy.

– Hmm. Czego chcecie od tego dzieciaka?

– Zniknął. Może być w niebezpieczeństwie.

– Ach tak. Może pan mówić odrobinę jaśniej?

– Nie.

Zobaczył, że się obruszyła.

– Co chcecie wiedzieć?

– Może byśmy weszli do środka? Jest zimno.

Godzinę później wiedzieli o Gustavie nieco więcej. Dyrektorka naszkicowała im dość dokładny portret chłopca. Był bardzo inteligentnym dzieckiem, ale zdarzały mu się dziwne wahania nastroju. Był melancholijny i dość samotny, na szkolnym podwórku miał niewielu kolegów, w związku z czym w pewnym momencie stał się kozłem ofiarnym. Niech Rousseau spada, pomyślał Servaz. Dzieci nie potrzebują nikogo, by stać się okrutne, złe, dwulicowe. Jak reszta ludzkości mają to w sobie. W kontakcie z innymi dzieje się czasem coś wręcz przeciwnego: człowiek uczy się być lepszym i przy odrobinie szczęścia pozostaje taki do końca życia. Albo nie. On sam, jak sądzi, nauczył się prawości w wieku dziesięciu lat, czytając *Boba Morane*'a i śledząc przygody nieskazitelnych bohaterów Juliusza Verne'a.

Opiekunami Gustava byli jego dziadkowie. Podobnie jak mer, dyrektorka znalazła tę informację w bazie uczniów. Wyjaśniła im, że urzędnicy z merostwa zatwierdzili przyjęcie do placówki bez przypisania chłopcu rodziców, dlatego pewnego dnia, kiedy sprawdzała jego kartotekę, w programie pojawił się alert, ponieważ pole z danymi opiekunów zawsze powinno być uzupełnione. Otworzyła plik i zobaczyli, że wypełniono jedynie okienko z nazwiskami. Nie było adresu.

– Pan i Pani Mahler – przeczytał Servaz.

Miał wrażenie, że krew w jego żyłach zastyga, a w uszach słyszał narastający huk wodospadu. On i Kirsten wymienili spojrzenia. Servaz był pewien, że w jego oczach maluje się takie samo zdumienie, jakie wyczytał we wzroku Norweżki. W rubryce „stopień pokrewieństwa” zaznaczono okienka „dziadek” i „babcia”. To wszystko.

– Rozmawiała pani z nimi? – zapytał. Miał tak ściśnięte gardło, że jego głos przypominał zgrzyt piły. Odchrząknął.

– Tylko z dziadkiem – odparła i zmarszczyła brwi, dostrzegłszy jego poruszenie. – Martwiłam się. Jak już mówiłam, uczniowie często szturchali Gustava na podwórku. Rozdzielanie ich niewiele pomagało, następnego dnia znów było to samo. A on się nie skarżył, nie płakał. – Rzuciła im spojrzenie przepełnione bólem. – Był też wątłym i chorowitym dzieckiem, wzrostu poniżej średniej. Wyglądał, jakby był o rok młodszy od reszty. Bardzo często opuszczał zajęcia. Grypa, przeziębienie, ból brzucha: powód zawsze się znalazł. Dziadek na wszystko miał wytłumaczenie. A do tego dzieciak był smutny. Nigdy się nie uśmiechał. Serce bolało, gdy się go obserwowało na podwórku. Możecie sobie to wyobrazić: dziecko, które nigdy się nie uśmiecha? W każdym razie widzieliśmy, że coś z nim jest nie w porządku. Musiałam się dowiedzieć, o co chodzi. I dlatego przeprowadziłam rozmowę z dziadkiem.

– Jakie zrobił na pani wrażenie?

– To znaczy?

– Jaki to typ człowieka?

Zawahała się. Jej spojrzenie zdradzało, że w jej głowie pojawiła się bardzo konkretna myśl.

– Oczywiście kochającego dziadzia... Chłopiec zawsze rzucał mu się w ramiona, widać było, że istnieje między nimi duże porozumienie i czułość. Ale... – Znowu się zawahała. – Nie wiem.... Miał w sobie coś jeszcze, patrzył na człowieka jakoś tak... Nie ulegało wątpliwości, że bardzo kocha tego dzieciaka, ale ilekroć próbowałam go trochę wypytać... Jak by to powiedzieć? Jego



zachowanie się zmieniało. Zastanawiałam się nawet, czym się zajmował przed emeryturą.

– Jak to?

– Cóż, nie był to ten typ człowieka, do którego miałyby się ochotę przytulić, rozumie pan? Był niewiele przed osiemdziesiątką, ale pomyślałam, sama nie wiem dlaczego, że gdyby do jego domu włamali się złodzieje, to raczej oni mieliby powody do obaw...

Servaz wyczytał zakłopotanie na jej twarzy. Uświadomił sobie, że pod płaszczem jest kompletnie mokry. Czy to następstwo śpiączki?

– Udzielił pani wyjaśnień w sprawie Gustava?

– Tak. Powiedział mi, że jego syn często jest poza domem. Ze względu na pracę. I że to źle wpływa na chłopca, który ciągle dopytuje o tatę. Ale powiedział też, że ojciec niedługo przyjedzie oraz że ma długie urlopy, dzięki czemu może spędzać z małym dużo czasu.

– Powiedział pani, jaki zawód wykonuje ojciec chłopca? – Servaz mówił szybko, jego słowa zderzały się ze sobą.

– Tak, właśnie miałam to powiedzieć. Pracował na platformie wiertniczej. Na Morzu Północnym, jeśli się nie mylę.

Servaz i Kirsten znowu wymienili spojrzenia, co nie umknęło dyrektorce.

– O co chodzi? – zapytała.

– To potwierdza niektóre informacje, które już mamy.

– I naturalnie nie możecie mi nic więcej powiedzieć – zirytowała się.

– Dokładnie tak.

Kobieta się zaczerwieniła.

– A może ma pani ich adres?

– Nie.

– A babcia, czy kiedykolwiek ją pani widziała?

– Nie. Nigdy. Tylko dziadka.

Skinął głową.

– Będzie pani musiała przyjechać do Tuluzy, na komendę policji,

żeby sporządzić portret pamięciowy i odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań. Zgłosi się pani do kapitan Roxane Varin z brygady do spraw nieletnich.

– Kiedy?

– Jak najszybciej. Niech pani sobie zarezerwuje cały dzień. A matka? Rozmawiała pani z nim o matce?

– Oczywiście.

– I co powiedział?

Dyrektorka się zasepiła.

– Nic. To jeden z tych momentów, o których mówiłam, kiedy się czuło, że nie należy bardziej drążyć.

– I nie nalegała pani? – Servaz powiedział to takim tonem, że kobieta wyprostowała się na krześle.

– Nooo... nie.

Zobaczył, że się zaczerwieniła.

– Czy Gustavowi coś się stało? Znalaziono jego...? – zapytała.

– Nie, nie. Prasa już by o tym napisała. Zniknął, to wszystko.

Dziękuję pani za współpracę.

Wstali, uścisnęli jej rękę.

– Komendancie, mam jeszcze jedno pytanie – powiedziała, gdy byli już na progu.

Servaz się odwrócił.

– Co pana łączy z tym dzieckiem?

Spojrzał na nią osłupiały. Nagle spadło na niego przerażające przeczucie.

Wrócili do samochodu platanową aleją rodem z komiksu. Dziwne, ktoś utracił bałwanowi głowę – a może zrobił to wiatr – i teraz leżała na ziemi, a co jeszcze dziwniejsze, ten obraz skojarzył się Servazowi z propagandowymi zdjęciami kolportowanymi przez Państwo Islamskie, które za biernym lub czynnym przyzwoleniem mediów zdołały już zatruć zachodnią wyobraźnię. W innych czasach, nie tak odległych, takie obrazy nigdy nie ujrzałyby światła dziennego, a tym bardziej nie zostałyby upublicznione. Czy fakt, iż

wszyscy mają do nich dostęp, jest błogosławieństwem czy przekleństwem?

– A zatem mieszkał tutaj – stwierdziła Kirsten po tym, jak Servaz przetłumaczył jej rozmowę, która odbyła się w gabinecie dyrektorki. W jej głosie słychać było napięcie. – Servaz, Mahler... Wszystko wyreżyserował... Wiedział, że pewnego dnia trafisz tutaj na jego ślad. Jak to możliwe?

Bez słowa przekręcił kluczyk w stacyjce. Ostrożnie cofnął na wilgotnej, miejscami oblodzonej nawierzchni. Zanim wrzucił jedynekę, zapytał:

– Jak wpadłeś na to, żeby połączyć jego imię z moim nazwiskiem?

Jechali autostradą A61, „La Pyrénéenne”. Servaz prowadził w milczeniu, wciąż przeżuując w głowie odpowiedź Kirsten. „Intuicja”. Była niczym wolno działająca toksyczna substancja – rycyna albo amatoksyny – która stopniowo się rozchodziła i zatrzymywała wszystkie jego myśli. Przebłysk intuicji podobny do tego, który poczuł on sam, gdy dyrektorka szkoły zapytała, co go łączy z Gustavem.

Marsac... Claire Diemar, nauczycielka filozofii starożytnej, odnaleziona martwa we własnej wannie z zapaloną latarką w ustach. Kilkadziesiąt lalek unoszących się na powierzchni wody w basenie. I Marianne, która wezwała go na pomoc, ponieważ jej syna Hugona przyłapano w domu denatki w stanie głębokiego szoku. W czasie tego śledztwa Servaz ewidentnie dał ciała. Pozwolił się wciągnąć w historię z przeszłości, która już raz zdemolowała jego życie, i przespał się z matką głównego podejrzanego, depreczując wszystkie swoje zasady. Drogo za to zapłacił. O tak. Potrzebował wielu miesięcy, żeby się pozbierać. Ale czy rzeczywiście się pozbierał?

A co jeśli... jeśli Marianne zaszła w ciążę, *zanim* została porwana przez Szwajcara? Na tę myśl zalała go fala strachu i zrobiło mu się słabo. Otworzył usta, jakby brakowało mu powietrza. Nie, to niemożliwe, to nie mogło się zdarzyć. Nie ma mowy. Na coś takiego nie może sobie pozwolić, przecież psychiatra go ostrzegał, że jest zbyt słaby, zbyt wrażliwy.

Skupił wzrok na wyprzedzanych ciężarówkach. Jedno było pewne: Hirtmann porozrzucił wskazówki, które mieli znaleźć, niczym mnóstwo drobnych kamyków. A więc bywał tutaj,

potwierdził to dziadek w rozmowie z dyrektorką: regularnie przyjeżdżał w trakcie urlopu, by spotkać się z synem, a pracownicy platform wiertniczych mają dużo wolnych dni. Możliwe zatem, że zmienił wygląd, by nie rozpoznano go w Saint-Martin. Mógł też korzystać ze zwykłych charakterystycznych sztuczek. A Marianne? Gdzie jest Marianne? Czy w ogóle żyje? Uwierzył w to, gdy odkrył, że serce przysłane w pudełku izotermicznym nie należało do niej, ale teraz zaczął mieć wątpliwości. Po co Szwajcar miałby tak długo utrzymywać ją przy życiu? To nie w jego stylu. I zwyczajnie bardzo skomplikowane. Z drugiej strony, gdyby zginęła, czy w jakiś sposób nie powiadomiłby go o tym? Na pewno nie pominąłby milczeniem zdarzenia, które dla jego „przyjaciela” z policji miało tak wielką wagę. Zaciskał palce na kierownicy. Wydawało mu się, że jego głowa zaraz eksploduje.

– Hej, hej! Spokojnie! – odezwała się siedząca obok Kirsten.

Spojrzał na licznik. Cholera! Sto osiemdziesiąt na godzinę! Zdjął nogę z gazu i ryk silnika ucichł.

– Jesteś pewien, że wszystko gra?

Ze ściśniętym gardłem skinął głową. Zerknął na nią. Obserwowała go chłodno, spokojnie. Jej spódnica podsunęła się trochę powyżej kolan, ale ciemny płaszcz, którym Norweżka szczelnie się otuliła, był starannie zapięty aż po samą szyję. W jej blond włosach o ciemnej nasadzie widać było wyraźny przedziałek; paznokcie miała nienagannie wypielęgnowane. Zastanawiał się, co się kryje pod tym chłodem. Czy ten rygoryzm i surowość są typowe dla norweskiego charakteru? Czy po prostu ona jest taka? Czy to jakiś ślad po jej dzieciństwie, po otrzymanym wychowaniu?

Wyglądało na to, że raczej nie potrzebuje bliskości i nie szuka okazji do kontaktu. Powiedziała, że spędzi tutaj pięć dni. Czego oczekiwała norweska policja w tak krótkim czasie? Z pewnością podobnie jak we Francji była to kwestia budżetu. Tym lepiej: choć sam bynajmniej nie był gadułą ani duszą towarzystwa, absolutnie nie czuł się na siłach, by znosić tę lodowatą obecność dłużej. Czuł się bez przerwy obserwowany i oceniany i to mu się nie podobało.

Przypominała mu nauczycielkę w szkole albo szefową, która musi sobie zapewnić respekt męskiego środowiska. Jest taka z natury czy też dostosowuje swoje zachowanie do sytuacji? Jakkolwiek by było, im prędzej wróci do Norwegii, tym lepiej.

– Niefajne – odezwała się nagle.

– Co? Co jest niefajne?

– Jeśli ten dzieciak jest jego synem... Niefajne.

Zastanowił się nad tymi słowami. Tak, to prawda. Ale być może jest jeszcze gorzej.

Kiedy uczestnicy wycieczki dotarli do szałas, zapadał zmierzch. Była prawie osiemnasta. Temperatura spadła do jednego stopnia poniżej zera. Słońce już dawno skryło się za górami, a oni od kilku godzin szli białą ścieżką przez las. Sunęli gęsiego na nartach, torując sobie drogę między drzewami, pogrążeni w ciszy, pięć postaci opatulonych w kurtki puchowe, w czapkach i kapturach na głowie, w szalikach i ocieplanych rękawiczkach. Samotni w sercu tej białej pustyni. Mieli za sobą długi, bardzo długi dzień i przestali już rozmawiać. Byli zbyt zmęczeni. Oddychali tylko coraz szybciej, a para unosząca się z ich ust układała się w fantazyjne wzory.

Ujrzawszy szałas, ożywili się. Widok jego ciemnej bryły na zaśnieżonej polanie tchnął w nich ostatni przypływ sił. Konstrukcja z bali, łupka i kamienia, a dookoła, jak okiem sięgnąć, jodły: w przedwczesnej szarówce zbliżał się do nich obraz jak z kanadyjskiej pocztówki – a właściwie to oni zbliżali się do niego. Gilbert Beltran przypomniał sobie *Białego Kłosa* i *Zew krwi* – lektury z dzieciństwa pełne przygód, rozległych przestrzeni i wolności. Jako dziesięciolatek sądził, że życie właśnie tym jest: przygodą i wolnością. Tymczasem odkrył, że swoboda ruchu jest niewielka, że zmiana raz obranego kierunku graniczy z niemożliwością oraz że wszystko razem wzięte jest znacznie mniej ekscytujące, niż wyglądało na początku. Przekroczył pięćdziesiątkę i właśnie rozstał się z dziewczyną, która miała dwadzieścia sześć lat (a właściwie to ona się z nim rozstała). Należała do tych bardziej rozrzutnych, co w połączeniu z alimentami, jakie przelewał trzem byłym żonom, prawie doprowadziło go do bankructwa. Zanim zatrzasnęła za sobą

drzwi, poinformowała go, że jest zwykłym idiotą. Nie, tak naprawdę ujęła to znacznie dosadniej. Był bliski wyczerpania, paliły go mięśnie i spragnione tleno płuca. Oddychał łapczywie.

Był na kuracji w termach w Saint-Martin, podobnie jak pozostali uczestnicy wycieczki. Leczył się z depresji i zaburzeń snu i był jeszcze daleki od optymalnej kondycji fizycznej. Przypomnił sobie, że wszyscy bohaterowie książek i kreskówek z czasów jego dzieciństwa – zwierzęta i ludzie – byli odważni, prawi, uczciwi. Tymczasem protagoniści współczesnych seriali i filmów, które oglądał, to tchórze, manipulatorzy i cynicy. Na giełdzie wartości abstrakcyjnych prawość, odwaga i szlachetność już się nie liczyły.

Za jego plecami odezwał się kobiecy głos, który wyrwał go z rozmyślań.

– Jestem nieżywa.

Odwrócił się. Blondynka. Niczego sobie, zdrowa, niezmanierowana. Mniej więcej trzydziestopięciolatka. Pomyślał, że chętnie usłyszałby te słowa w łóżku. Właściwie dlaczego nie? Ostatecznie jest wolny. Wieczorem spróbuje się do niej zbliżyć. Oczywiście pod warunkiem, że w środku będą mieli wystarczająco dużo intymności.

Zauważył, że szalas jest o wiele większy niż się wydawało. Z jednej strony dach sięgał niemal ziemi przykrytej osiemdziesięciocentymetrową warstwą śniegu. Z drugiej prawie się stykał ze skalną ścianą, której szczyt zasłaniały jodły. Między drzewami przelewał się cień, przypominający atrament zmieszany z wodą. Wyglądał, jakby ściekał z gór. Z chwili na chwilę robiło się ciemniej i bryła szalasu odcinała się od panującej szarości nie bardziej niż okoliczne drzewa. Nagle poczuł się jak mały chłopiec, który czyta w łóżku Jacka Londona. Psiakrew, co mnie opętało, żeby tak się roztkliwiać nad własnym losem? Skąd te durnowate wspomnienia lektur z dzieciństwa?

Ich przewodnik, młody blondyn mniej więcej w wieku jego byłej partnerki, otworzył szalas i przekreślił włącznik. Żółta kałuża światła wylała się przez próg na wydeptany przez nich śnieg. Były tam też



inne ślady – rakiet i butów – świeże i głębsze: zauważył, że okrążają szalas, to krzyżując się, to nachodząc jedno na drugie. Ktoś był tutaj przed nimi. Pewnie po to, by uruchomić agregat. Albo sprawdzić, czy pomimo grubej warstwy śniegu na panelach słonecznych w środku jest prąd. A może przeprowadzić jakieś drobne naprawy przed otwarciem sezonu zimowego, kiedy w przeciwieństwie do lata szalas był pozbawiony obsługi, ale można było w nim znaleźć materace, koce, jakieś naczynia, drewno na opał i radiotelefon alarmowy.

W każdym razie ślady były świeże... Rozejrzał się dookoła. Jego spojrzenie zatrzymało się na dziwnym typku, który wokół ust i na lewym policzku miał ślady oparzeń, na głowie zawsze nosił kaptur i patrzył odrobinę szalonym wzrokiem. W sanatorium dowiedział się, że poparzenia są skutkiem porażenia prądem z sieci trakcyjnej. Beltran słyszał też, że gość przed przyjazdem do Saint-Martin spędził kilka tygodni w ośrodku leczenia ciężkich oparzeń, a następnie w specjalistycznym ośrodku zajmującym się rehabilitacją po ciężkich urazach i oparzeniach. Normalnie, gdyby spotkał człowieka ze zdeformowaną częścią twarzy, współczułby mu, ale ten gość miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że krew zastygała w żyłach prawie jak w zimową noc. Może była to kwestia tego odrobinę szalonego spojrzenia, które spoczywało raz po raz to na jednej, to na drugiej osobie, pełne czegoś, co Beltranowi kojarzyło się z czystą wrogością. A może chodziło o sposób, w jaki przy każdej okazji gapił się na tyłki i piersi dwóch dziewczyn w tej grupie – blondynki i brunetki? A może o to, że odrobinę obscenicznie lizał skręty, patrząc przy tym człowiekowi prosto w oczy?

Beltran zauważył, że gość na niego patrzy, i zadrżał. Wszedł do środka jako pierwszy. Czuł się niepewnie w tym lesie pośród zapadającej nocy; był małym Gilbertem, który czyta w łóżku Jacka Londona. Totalny regres, biedny staruszk...

Emmanuelle Vengud uśmiechnęła się do młodego przewodnika

i wyjęła z kurtki paczkę papierosów. Uznała, że zakurzenie jednego na świeżym powietrzu jest dokładnie tym, na co teraz ma ochotę. Aktem rozkosznej transgresji. Chciało jej się palić od co najmniej godziny. Cały ten tlen, którym napompowała płuca w trakcie wysiłku, oraz wysokość sprawiły, że kręciło jej się w głowie. Ogólne otumanienie. Nagle nocną ciszę rozdarł jakiś ponury, wysoki dźwięk, zgrzytliwy niczym cięcie piły.

– Co to było?

Matthieu, młody przewodnik, spojrział w kierunku lasu i wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie znam się na ptakach.

– A to był ptak?

– A cóż by innego? – Sięgnął dłonią w rękawiczce w stronę paczki papierosów. – Mogę?

– To tacy młodzi i wysportowani mężczyźni jak ty palą?

Czy nie przeszła z nim na ty zbyt obcesowo? Jeśli tak, to trudno, pomyślała.

– Nie jest to moja jedyna słabość – odparł, patrząc na nią.

Odważemniła jego spojrzenie. Czyżby to była propozycja? Czy tylko niewinna gra? Gdyby takie słowa padły z ust jej męża, nie wahałaby się ani przez chwilę. W mentalnych scrabble'ach tego ostatniego za słowo „niewinność” nie zdobywało się ani jednego punktu, w przeciwieństwie do takich wyrazów, jak „cudzołóstwo”, „oszustwo”, „bzykanie”, „cipka”, „pornografia”, a zwłaszcza „zdrada”. Słowo na sześć liter skrzyżowane przez „z” z wyrazem „bzykanie”, jeśli był on już na planszy. Taka kombinacja gwarantowała całe mnóstwo punktów. Zdrada. Punkty za zdradę liczyły się podwójnie. Do kogo się zwrócić, kiedy twoja najlepsza przyjaciółka sypia z twoim mężem? Do domowego zwierzątka? Do szwagierki? Wdychała dym, zaciągając się aż po najgłębsze zakamarki płuc.

– Pani mąż nie lubi wycieczek narciarskich?

Przeszedł ją dreszcz. Mężczyzna stał za nią i wypowiedział te słowa niemal wprost do jej ucha.

– Nie, nie bardzo.

– A pani? Podobało się?

Znowu zadrżała, ale tym razem z innego powodu. Ten głos... To nie był głos młodego przewodnika, który słyszała przed chwilą. Ten był syczący i świszczący jak... Wzdrygnęła się. Głos należał do faceta o poparzonej twarzy, gościa o dziwnym spojrzeniu, z bliznami wokół ust i na lewym policzku. Dopiero teraz zorientowała się, że są na zewnątrz sami. Że młody przewodnik zostawił ją i wszedł do środka. Było zimno i wilgotno, ale ona w jednej chwili poczuła gorąco na szyi, na policzkach i po wewnętrznej stronie ud. To wcale nie było przyjemne. Przyływ adrenaliny sprawił, że odrobinę kręciło jej się w głowie. Jej serce pompowało krew potężnymi, gwałtownymi uderzeniami. Ciepły oddech pieścił jej ucho. Nie odwracała głowy, by nie patrzeć na jego blizny.

– Dlaczego twojego męża tutaj nie ma?

Była zaskoczona zarówno przejściem na ty, jak i zamierzoną niedyskrecją tego pytania. Teraz ona wzruszyła ramionami.

– Lubi swoje małe wygody. Spanie w śpiworze na wspólnej sali wśród odgłosów chrapania to coś stanowczo nie w jego guście. Poza tym mówiłam już, że nie bardzo lubi narty śladowe. Woli zjazdówki. – (Lubi też dostawać po twarzy, pomyślała).

– A co robi teraz?

Zesztywniała. Tym razem posunął się za daleko (Bzyka się z moją najlepszą przyjaciółką, pomyślała. Może gdybym to powiedziała, gość zamknąłby dziób). Zauważyła, że w trakcie wycieczki poparzony zerkał na jej piersi i tyłek. Choć było jej przykro z powodu tego, co go spotkało – cokolwiek to było – i tak uważała, że jest dziwny i krótko mówiąc, stuknięty. Odwróciła się i spojrzała na niego, przede wszystkim po to, by nie czuć, że facet gapi się na nią od tyłu. Jego blizny natychmiast przyciągnęły jej uwagę i było jej trudno patrzeć mu w oczy.

– Dlaczego cię to interesuje?

– Tak sobie... Wiesz, że dziesięć lat temu w tym schronisku

wydarzyło się coś strasznego? Coś przerażającego...

Zadrżała. Ostatnie zdanie wypowiedział jakimś dziwnym głosem: cichszym, niższym. Zmysłowym... Tak, o to chodzi. Co też ci przychodzi do głowy, kochana. Lekki wiatr musnął jodły. Teraz one zadrżały i rzuciły odrobinę śniegu, tak jak przestraszona krowa zostawia za sobą placki gnoju. Było coraz ciemniej. Nagle uznała, że chce wrócić do środka.

– Co to za strasne zdarzenie? – zapytała.

– Zgwałcili tutaj kobietę. Dwaj turyści. Na oczach jej męża. Trwało to prawie całą noc, dopóki goście nie padli ze zmęczenia.

Poczuła w żołądku skurcz przerażenia.

– Straszne. Złapali ich?

– Tak. Kilka dni później. Obaj mieli grube kartoteki. I wiesz co? Skorzystali z przedterminowego zwolnienia za dobre sprawowanie.

– A kobieta? Zmarła?

– Nie. Wyszła z tego.

– Wiesz, co się z nią stało?

Pokręcił głową. Mrok stał się jeszcze gęstszy.

– Podobno jej mąż popełnił samobójstwo. Ale to pewnie tylko głupie plotki. Tutejsi ludzie uwielbiają plotki. Dzięki za papierosa – powiedział cichym, świszczącym głosem. – I za resztę.

– Za jaką resztę?

– Swobodna rozmowa, tylko ty i ja... Podobasz mi się.

Podszedł jeszcze bliżej. Podniosła wzrok i nie spodobało jej się to, co ujrzała. Jakby mrok przepływający między pniami drzew zalał nagle jego źrenice. Stały się tak wielkie, że przykryły tęczówkę. Jego spojrzenie było czarne i matowe jak otwór studni bez dna. Wyrażało tak czystą, żarłoczną pożyłkość, że kobieta zrobiła krok w tył.

– Hej, hej, spokojnie – usłyszała własny głos.

– Co spokojnie, Emmanuelle? – Sposób, w jaki wymówił jej imię, również jej się nie spodobał. – Jarasz mnie już od jakiegoś czasu.

Głos poparzonego mężczyzny brzmiał teraz gwałtowniej,

bardziej dziko. Jej serce zaczęło bić szybciej.

– Co?! No nie, pan jest jakiś chory!

Zobaczyła, że w miejsce dzikości w jego oczach pojawił się gniew. A potem na usta natręta powrócił ironiczny uśmieszek. Jego wargi się rozchyliły, naciągając blizny, i kobieta spodziewała się, że zaraz usłyszy słowa, które miałyby ją zbrukać, wbić w ziemię. Ale żadne słowa nie padły. Facet odwrócił się na pięcie, wzruszył ramionami i wszedł do szałas.

Serce waliło jej tak mocno, że czuła je w gardle. Skierowała spojrzenie na drzewa i wyżej, na czarny zarys gór. W głębi lasu znowu odezwał się ptak i wzdłuż jej kręgosłupa, od karku aż po kość ogonową, przeszedł zimny dreszcz. Jak wyładowanie elektryczne. Pośpiesznie dołączyła do pozostałych.

Beltran patrzył, jak blondynka staje w progu i zdejmuje buty. Ona i poparzony spędzili na dworze ponad pięć minut i teraz kobieta była czerwona jak kratki obrusu, o który opierał się łokciem. Tam na zewnątrz coś się wydarzyło, ale wyglądało na to, że w odczuciu blondynki nie było to zabawne ani nawet przyjemne.

– Wszystko w porządku? – zagadnął.

Odpowiedziała mu skinieniem głowy, jednak wyraz jej twarzy mówił coś wręcz przeciwnego.

Emmanuelle Vengud bez słowa rozłożyła śpiwór na materacu z dala od innych. Na pryczach nie było wystarczająco dużo miejsc, a ona źle znosiła nocne zapachy i chrapanie. Poza tym nie miała ochoty spać w pobliżu poparzonego. Przez sześć dni w tygodniu była samodzielną księgową. Pracowała w domu, w spokoju. Po raz pierwszy była w sanatorium i po raz pierwszy wybrała się na wycieczkę narciarską całą grupą. Sądziła, że po dotarciu do szałas ludzi będą zmęczeni, zbyt zmęczeni na pogaduszki, jednak szmery rozmów nie cichły. Szczególnie przodowało w nich trzech facetów.

– Mówisz, że zgwałcili ją na oczach męża? – zapytał gość koło pięćdziesiątki, który nazywał się Beltran.

– Aha. Najpierw przywiązali ją tutaj. – Poparzony wskazał na główną belkę, na której opierał się dach szałas. Napełnił kubki kompanów.

– Jak do pręgierza, nie? – powiedział młody przewodnik. Zrobił zniesmaczoną minę i opróżnił kubek jednym haustem, jakby pił wodę.

Podeszła do pieca. Poczwała, jak bijące od niego przyjemne ciepło rozluźnia jej przesycone kwasem mlekowym mięśnie.

– Kiedy to się stało? – chciał się dowiedzieć Beltran.

– Dziesięć lat temu.

Na obliczu poparzonego pojawił się dziki uśmiech. Facet nie zdjął kaptura, pewnie po to, by ukryć łyse placki na głowie albo głębsze blizny, pomyślał Beltran.

– Dokładnie dziesiątego grudnia.

– Dzisiaj jest dziesiąty grudnia – zauważyła drżącym głosem krótko ostrzyżona, opalona brunetka imieniem Corinne.

– Żartuję – powiedział, puszczając do niej oko.

Nikt jednak jakoś nie uznał żartu za śmieszny i zapadła cisza.

– Skąd znasz tę historię? – zapytał Beltran.

– Wszyscy ją znają.

– Ja nie znałam, a przecież jestem stąd – zaoponowała brunetka.

– Miałem na myśli przewodników, górali. Ty jesteś dentystką.

– Możliwe, że była moją pacjentką... Jak się nazywała?

– Nie mam pojęcia.

– Nie moglibyśmy porozmawiać na inny temat? – W jej głosie słyhać było poirytowanie zmieszane z innym, głębszym uczuciem: to był strach.

Nagle nad ich głowami rozległ się jakiś huk. Emmanuelle i pozostali wzdrygnęli się i podnieśli głowy. Wszyscy oprócz poparzonego.

– Co to było? – zapytała.

– Co?

– Niech pan nie mówi, że pan nie słyszał.

– Co miałem słyszeć?

– To uderzenie o dach.  
– Pewnie czapa śniegu.  
– Czapa śniegu nie powoduje takiego huku.  
– Może jakaś gałąź się złamała – rzuciła brunetka, patrząc z pogardą na blondynkę. – Jakie to ma znaczenie?

Zamilkli na chwilę. Wiatr grał w gontach, a w piecu śpiewały płomienie. Emmanuelle puściła wodze wyobraźni: nad ich głowami dach pokryty grubym materacem śniegu, nad dachem gałęzie jodeł, nad wierzchołkami jodeł milczące szczyty, a nad szczytami nieme gwiazdy. I oni, maleńcy, śmieszni, przycupnięci na dnie tej doliny niczym pierwsi jaskiniowcy.

– Została nie tylko zgwałcona – zaczął znowu poparzony ukryty pod zasłoną kaptura, tym swoim osobliwym syko-świstem. – Ona i jej mąż byli też torturowani. Przez całą noc. I pozostawieni na śmierć. Następnego dnia znalazł ich przewodnik. Mój przyjaciel.

Emmanuelle zauważyła, że oczy brunetki płoną z ciekawości. A także z pożądania, gdy zerkała na młodego przewodnika.

– To okropne – powiedziała, ale jej głos wyrażał coś więcej, zawierał przekaz dla przewodnika: „To okropnie podniecające rozmawiać o tym z tobą w tym miejscu i wiedzieć, że będziemy spać obok siebie”.

Miała około czterdziestu pięciu lat, włosy w nieładzie, obcięte na krótkiego boba, przy uszach prawie po męsku, matową cerę i lekko skośne orzechowe oczy. Jej łokieć bez przerwy muskał łokieć przewodnika, Emmanuelle zauważyła też stopę kobiety wykonującą analogiczne ruchy pod dużym stołem i poczuła, że się czerwieni. Chyba nie będą tego robić tej nocy, przy wszystkich!

– Najgorsze – podjął przewodnik – jest to, że...

– Dość tego, do cholery!

Zobaczyła, jak pozostała czwórka odwraca się w jej stronę. Młody przewodnik uśmiechał się ironicznie.

– Przepraszam – powiedziała.

– Myślę, że wszyscy są zmęczeni – włączył się Beltran. – Może byśmy się położyli?

Brunetka rzuciła mu poirytowane spojrzenie. Jej flirt z przewodnikiem nie wszedł jeszcze we właściwą fazę.

– Dobry pomysł – odparł mężczyzna o poparzonej twarzy zimnym i wysokim głosem.

– Pójdę na ostatniego dymka przed spaniem – powiedział przewodnik, wstając. – Idziesz ze mną? – zwrócił się prosto z mostu do brunetki.

Skinęła głową z uśmiechem na ustach i ruszyła za nim. Była od niego o dobre piętnaście lat starsza. Zdzira, pomyślała Emmanuelle. Młody przewodnik otworzył drzwi i zanim zamknął je z drugiej strony, przez chwilę wszyscy słyszeli szum wiatru w gałęziach jodeł.

– Mimo wszystko trochę cierpie skóra od tej jego historii – przyznała brunetka, gdy znaleźli się na zewnątrz.

Uśmiechnął się i wyjął papierosa z paczki. Wyciągnęła rękę, by go chwycić, ale mężczyzna cofnął dłoń i ostentacyjnie possał filtr. Teraz ona się uśmiechnęła. Nie odrywała oczu od ładnych ust przewodnika, których czerwień odcinała się na tle jego jasnej brody. Mężczyzna wsunął papierosa do jej ust i ani na sekundę nie spuszczać jej z oczu, przybliżył do niego chwiejny płomień zapalniczki.

– Matthieu, tak? – zapytała.

– Yeap.

– Nie lubię spać sama, Matthieu.

Stali bardzo blisko siebie, jednak z powodu papierosów dalej, niżby sobie życzyła. Była rozwiedziona, miała wolną rękę i nie marnowała żadnej okazji, by skorzystać ze swojej swobody.

– Wcale nie jesteś sama, będziesz miała koło siebie aż trzech facetów – odpowiedział.

– Chodziło mi o to, że nie lubię być sama w śpiworze.

Prawie jednocześnie wyjęli papierosy z ust i ich twarze przysunęły się do siebie. Poczwała jego oddech pachnący winem.

– Chcesz to robić, podczas gdy inni będą spali obok, to cię kręci



– stwierdził.

To nie było pytanie.

– Mam nadzieję, że przynajmniej jeden nie będzie spał – odparła.

– A gdybyśmy zrobili to tutaj, teraz?

– Za zimno.

Spojrzała mu głęboko w oczy. Były nieobecne, pozbawione wyrazu i zajmowały prawie całe pole widzenia brunetki, jednak zdołała też dostrzec jakiś ruch w zaroślach za jego plecami, w kąciku, jaki tworzyły jego szyja i ramię. Zauważyła przemieszczający się cień i zadrżała, brutalnie wyrwana z romantycznego upojenia.

– Co to było?

– Co? – zapytał, podczas gdy ona już się wyślizgiwała z wąskiej przestrzeni między nim a ścianą.

– Widziałam coś.

Przewodnik odwrócił się niechętnie i spojrzał na ciemny las.

– Nic tam nie ma.

– Jestem pewna, że coś widziałam! Tam, między drzewami. – Jej głos drżał ze strachu.

– Nic tam nie ma, mówię ci. Pewnie zobaczyłaś gałąź poruszającą się na wietrze i tyle.

– Nie, to było coś innego – nalegała.

– No to może jakieś zwierzę... Cholera, w co ty grasz?

– Wróćmy do środka – powiedziała, rzucając niedopałek na śnieg.

– Ktoś jest na zewnątrz – oznajmiła.

Wszyscy spojrzeli na nią, a młody przewodnik za jej plecami wzniosł oczy ku niebu.

– Widziałam kogoś – powtórzyła. – Ktoś tam był.

– Jakieś cienie – powiedział chłopak, mijając ją i dołączając do pozostałych. – Cienie w lesie, drzewa kołyszące się na wietrze. Nikogo tam nie ma. Zresztą kto zostałby na zewnątrz w taki mróz? I po co? Żeby nam ukraść iPhone'y i narty?

– Jestem pewna, że kogoś widziałam – nalegała zirytowana,

straciwszy wszelką ochotę na flirtowanie z tym dupkiem.

– Chodźmy sprawdzić – zaproponował Beltran. – Mamy światło?

Przewodnik westchnął, podszedł do swojego plecaka i wyjął dwie latarki.

– Chodźmy – powiedział.

Dwaj mężczyźni ruszyli do drzwi.

– Miałem rację, nikogo tu nie ma – powiedział młody przewodnik.

Wiązki światła z ich latarek wykonywały przerywany stroboskopowy balet między drzewami, odsłaniając przed nimi niepokojące głębiny lasu. Panowały tam bezdenne ciemności. A ciemność, tak jak śnieg, wszystko wyrównuje, wchłania, zakrywa.

– Tutaj są jakieś ślady. Wyglądają na świeże.

Młody przewodnik niechętnie podszedł bliżej. Rzeczywiście skrajem lasu biegły głębokie ślady butów. Tam gdzie śnieg był najgłębszy, w miejscu, w którym brunetka rzekomo coś zobaczyła. Śnieg połyskiwał w blasku ich latarek.

– I co z tego? Ktoś tędy szedł. Jeśli rzeczywiście tak było, ślady są wczorajsze. Przy takim mrozie śnieg się nie topi, wcale nie są takie świeże.

Beltran patrzył na przewodnika z kwaśną miną. Nie podobało mu się to, ale chłopak musiał mieć rację. Poza tym, co to ma do rzeczy? Może w pobliżu są jakieś ludzkie siedziby, jakieś gospodarstwo? Ślady na śniegu, i co? Gdyby nie opowieści tamtego świra, nie wyobrażaliby sobie teraz wszyscy cholera wie czego.

– To co, idziemy? – zapytał przewodnik.

Beltran skinął głową.

– Tak, wracajmy.

– Niczego nie widzieliśmy, okay? Żadnych śladów. Nie ma potrzeby straszyć reszty.

Kirsten wróciła do hotelowego pokoju niedługo przed północą. Weszła pod prysznic i długo się mydliła pod strumieniem gorącej wody, szczególną uwagę poświęcając miejscom intymnym. Martin wracając do domu, zostawił ją w centrum miasta, ponieważ powiedziała mu, że chce się przewietrzyć.

Myślała o studencie spotkanym w barze na place Saint-Georges. Spędzała wieczór przy okrągłym stoliku w rogu, samotnie popijając Kamikadze – wódka, triple sec, sweet & sour – a chłopak, który siedział wśród kolegów, długo się jej przyglądał. Nie, nie przyglądał się: on jej nie spuszczał z oczu, pożądał jej, gapił się na nią, pożerał ją wzrokiem pełnym rozedrganej, młodzieńczej zachłanności. W końcu odwzajemniła jego spojrzenie. Uśmiechnął się do niej, a ona mu nie odpowiedziała, ale też nie odwróciła wzroku. Wtedy opuścił swoją paczkę i ruszył ku niej między stolikami. Nie wyglądał na onieśmiałego jej chłodną i surową powierzchownością, która najczęściej zniechęcała mężczyzn.

Powiedział kilka słów po francusku z uśmiechem, który musiał sam uważać za obezwładniający i który rzeczywiście prawie taki był.

– Nie mówię po francusku – odparła.

Przeszedł na angielski, raczej szkolny, z południowo-zachodnim akcentem.

– Czeka pani na kogoś?

– Nie.

– W takim razie czekała pani na mnie.

W odpowiedzi na ten raczej marny podryw zmusiła się do

uśmiechu.

– *Who knows?* – rzuciła zachęcająco i zobaczyła, że oczy chłopaka natychmiast rozblęskły.

Wyglądał niewinnie, rysy jego twarzy były jeszcze prawie dziecięce, ale mroczny blask, który pojawił się w jego źrenicach, śpiewał zupełnie inną pieśń.

– Mogę się przysiąc? – Wskazał na puste krzesło.

Godzinę później wiedziała o nim wszystko. I zaczynał ją już nudzić. Przygotowywał się do stopnia Master of Science, jeśli dobrze zrozumiała jego słaby angielski, w ISAE, Instytucie Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej w Tuluzie. Chciał pracować przy wyrzutniach satelitów czy czymś takim. Nie przestawał mówić na temat swojego przyszłego zawodu, a ona przez chwilę udawała, że jest zainteresowana, ale potem dała spokój. Wyjęła swojego iPhone'a szóstkę i sprawdzała wiadomości.

– Co, nudzę panią?

– Trochę.

Zbladł. Wyczytała z jego spojrzenia, że niewiele brakuje, a stanie się nieprzyjemny. Że wcale nie jest aż tak miły. Czubkiem buta musnęła jego kostkę. Pochyliła się w jego stronę. Zrobił to samo. Ich twarze dzieliło teraz zaledwie kilka centymetrów. Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Mam ochotę na coś innego.

Natychmiast zauważyła fizjologiczną reakcję na te słowa w jego rozszerzonych źrenicach, domyśliła się, że jego tętno i ciśnienie podskoczyły. Czubek jej buta ześlizgnął się w miejsce, w którym kończyła się nogawka jego dżinsów: młodzieńcza twarz chłopaka stała się purpurowa i Kirsten prawie widziała krew napływającą do jego genitaliów.

– Jeśli pani chce, możemy zmienić lokal – zaproponował.

Elegancki eufemizm zastępujący: „U ciebie czy u mnie?”.

– Nie, tutaj jest dobrze – odparła.

Ruchem podbródka i wzrokiem wskazała na drzwi w głębi klubu. Wstała. Czekala na niego w ciasnym zakamarku między toaletą

damską i męską, oparta biodrami o jedyną ceramiczną umywalkę, a on rzucił się na nią, gdy tylko wszedł za próg. Wpakował zbyt rozgorączkowane, bezceremonialne dłonie pod jej sukienkę, między uda. Dość tych uprzejmości. Była już tylko przedmiotem rozkoszy, a on zamierzał to wykorzystać i zrobić sobie dobrze. Pozwoliła, by dotykał ją tam, gdzie mu się podobało, i poczuła, że jej pochwa staje się wilgotna. Pomogła mu włożyć prezerwatywę. Wziął ją na stojąco w jednej z kabin, gdy stała z rękami opartymi o ściankę, nad deską klozetową. Żadnych ozdób, zrobił to gwałtownie, dążąc do szybkiego finału. Ledwie zdawała sobie sprawę z tego, że z jej gardła wydobywają się jęki, że czka i drapie drewnianą ściankę, wskutek czego pod paznokieć lewego palca wskazującego wbiła jej się drzazga. Doszła bardzo szybko. On również. Pocałowała go, podziękowała i ruszyła wprost w deszczową noc.

Wyszedłszy spod prysznic, sięgnęła po telefon, który wcześniej podłączyła do ładowarki, i usiadła na zamkniętym sedesie.

– Cześć, Kasper – odezwała się, gdy jej rozmówca odebrał połączenie.

– No i jak tam? – zapytał glina z Bergen.

Wysadziwszy Kirsten w centrum, Servaz pojechał do siebie. Stał pod swoją kamienicą na place Victor-Hugo i palił papierosa. Gdy podniósł głowę, widział własny balkon i oświetlony salon oraz sylwetkę pojawiającą się od czasu do czasu na tle balkonowych drzwi: Margot. Czekwała na niego. Przygotowywała kolację. Niebo nad dachami było bezchmurne. Za plecami czuł zawsze odrobinę niepokojącą obecność zamkniętego do następnego ranka targowiska Victor-Hugo oraz wznoszącego się nad nim czteropiętrowego parkingu. Taki miał widok z okna: samochody zaparkowane rzędami niczym śpiące zwierzęta.

Pałac, rozmyślał o Gustavie. Przeżuwał pytanie dyrektorki: „Co pana łączy z tym dzieckiem?”. I tę przerażającą niepewność, potworną obawę, która naszła go w samochodzie i od tej pory nie opuszczała: „A co jeśli Marianne zaszła w ciążę, zanim została

porwana przez Szwajcara?”. Nie, to niemożliwe. Nie potrafił się jednak powstrzymać i co chwilę sięgał po fotografię, by przyglądać się chłopcu. Wolał nie liczyć, ile razy zrobił to tego dnia, gdyż musiałby przyznać, że znalazł się na skraju jakiegoś szaleństwa. Czego szukał w tych rysach? Podobieństwa czy przeciwnie, jego braku, dowodu, że to Hirtmann jest ojcem?

Stał ze zdjęciem w dłoni i mimo słabego oświetlenia placu bez końca wpatrywał się w dziecięcą buzię, gdy w kieszeni spodni poczuł wibracje telefonu. Spojrzał na wyświetlacz: nieznany numer, spoza jego spisu kontaktów.

– Halo?

– Jak tam serce?

Drgnął, rozejrzał się dookoła po opustoszałym placu i bezludnych chodnikach. Na horyzoncie nie było żywej duszy, z telefonem w dłoni czy bez.

– Słucham?

– To była cholerna noc, co, Martin? Na tym wagonie...

Znał ten głos. Gdzieś go już słyszał.

– Kto mówi?

Przejechał motocykl, ryk jego silnika zagłuszył głos rozmówcy, tak że Servaz nie był pewien, czy dobrze zrozumiał:

– ...o mało nie usmażyliśmy się obaj...

– Jensen?

– Kurwa, przez ciebie wyglądam jak Freddy Krueger. Niewątpliwie wreszcie mam gębę, która pasuje do tego, kim jestem.

Servaz wstrzymał oddech i wyteżył słuch.

– Jensen? Gdzie jesteś? Mówili mi, że jesteś na leczeniu, że...

– Dokładnie tak. Ostatni etap mojej rehabilitacji. Saint-Martin-de-Comminges, mówi ci to coś? Widziałem cię tam dzisiaj, przyjacielu. Jak wchodziłeś do merostwa i stamtąd wychodziłeś.

Postać na skwerze w czarnym płaszczu, z podniesioną głową, mijana przez przechodniów... Jednak tamten mężczyzna wydał mu się wysoki, podczas gdy Jensen był drobny.

– Czego chcesz?

Rozmówca na chwilę zamilkł.

– Porozmawiać.

Servaz miał ochotę przerwać połączenie, ale się powstrzymał. Niech idzie do diabła. Powinien trzymać się od tego gościa z daleka. Za wszelką cenę. Został oczyszczony z zarzutów – obrona konieczna – był jednak pewien, że psy z Inspekcji węszą i tylko czekają na jego potknięcie. Schował się w cieniu galerii biegnącej wokół targowiska, jakby chciał się ukryć przed czymś wzrokiem.

– O czym?

– Przecież wiesz.

Zamknął oczy i zacisnął zęby. To był blef. Jensen chce go wciągnąć w pułapkę, oskarżyć o nękanie.

– Przykro mi, mam inne sprawy na głowie.

– Wiem, córka...

Tym razem miał wrażenie, że czuje w splocie słonecznym znajome ciepło: gniew.

– Coś ty powiedział?

– Ile czasu potrzebujesz na dojazd do Saint-Martin? O północy będę na ciebie czekał przy termach. Tymczasem, *amigo*. – Chwila milczenia. – I pozdrów córkę.

Spojrzał na telefon. Miał ochotę go roztrzaskać o betonowe ogrodzenie targowiska.

Jensen się rozłączył.

Jechał o wiele za szybko. Autostrada była pusta, jeśli nie liczyć kilku ciężarówek, których tylne światła przybliżyły się do niego w zdecydowanie zbyt dużym tempie. Wyprzedzał je, nie opuszczając lewego pasa, niesiony gniewem, przekraczając o ponad trzydzieści kilometrów dozwoloną prędkość.

Pomyślał, że będzie musiał sporządzić raport z tego wypadu. Co w nim napisze? Że nie miał wyboru, ponieważ Jensen mówił o jego córce? Żaden pies z Inspekcji nie będzie chciał słuchać takiego argumentu. Powiedzą, że nie powinien był tam jechać. Powinien powiadomić przełożonych, a przede wszystkim nie działać

w pojedynkę. Jasna sprawa... I co teraz będzie? Czego chce Jensen?

Gdy zjechał z autostrady, znalazł się w ciemnej, ponurej okolicy, gdzie odległości między ludzkimi siedzibami były o wiele większe, a jedyne widoczne źródło światła często stanowił księżyc. Otoczył go górski mrok. Jechał tą samą szeroką aleją co poprzednio, jakby poruszał się wśród ruin wielkich świątyń, przytłoczony obecnością gór i ciężarem nocy.

Wjechał do Saint-Martin. Miasto było opustoszałe. Na ulicach żywego ducha, wszystkie okna, z nielicznymi wyjątkami, ciemne. Centrum spało ciężkim snem pełnym tajemnic i nocnych marzeń charakterystycznych dla miasteczek na prowincji. Jechał alejami d'Étigny w górę, w kierunku term, mijając puste kawiarniane ogródki i spuszczone metalowe rolety sklepów. Ten prowincjonalny sen miał w sobie jakiś przedsmak śmierci. Ale Servaz już się jej nie bał. On już spotkał się ze śmiercią twarzą w twarz.

Zatrzymał samochód przy wjeździe na duży plac. Jak okiem sięgnąć, pusto. Po lewej ręce miał drzewa i krzaki rosnące na obrzeżach publicznego ogrodu, w których z łatwością mógłby się ktoś ukryć, po prawej – luźno inspirowaną architekturą grecko-rzymską kolumnadę term z górami na drugim planie; w głębi znajdowało się nowe, całkowicie przeszklone prostopadłościenne skrzydło, którego szyby błyszcząły w świetle księżyca.

Nagle naszła go ochota, by uciekać. Nie chciał tu być. Nie chciał rozmawiać z Jensenem bez świadków. To był fatalny pomysł.

„Pozdrów córkę”.

Wysiadł. Zamknął drzwi samochodu, starając się nie trzaskać. Wokół panowała głucha cisza. Spodziewał się, że za chwilę zobaczy Jensena wychodzącego zza którejs kolumny. Gdyby to był film, tak by się właśnie stało. Jensen ruszyłby do przodu, a kontrastowy światłocien wypracowany przez oświetleniowca uwypukliłby jego postać, potęgując trwogę widza. Zamiast tego Servaz omiatał wzrokiem krzewy i cienie ogrodu po przeciwnej stronie. Wiatr ucichł i nagie gałęzie drzew były teraz nieruchome jak kończyny szkieletu. Ruszył przez plac i odwrócił się, by obserwować długą



perspektywę, którą miał za plecami. W ciągu dna biło tu żywe serce miasta, jednak o tej porze miejsce przywodziło na myśl dekorację porzuconą przez ekipę na planie filmowym.

– Jensen!

Krzyknął i przypomniał sobie tamtą burzową noc. Wtedy wołał tak samo. Opadł go strach. Teraz też zostawił broń w schowku. Poczł pokusę, by wrócić do samochodu, ale zamiast tego ruszył w stronę zabudowań i kolumnady po prawej stronie. Jedynym świadkiem jego poczynań był księżyc. Chyba że... Zadrżał na myśl, że Jensen mógłby się znajdować o krok od niego. Nagle w przebłysku pamięci ujrzał deszcz walący o dach wagonu, błyskawice na niebie i odwracającego się Jensena, płomień z lufy jego pistoletu i pocisk, który przeszył mu serce. Prawie nic w tamtej chwili nie poczuł... Tylko uderzenie, jakby cios pięścią, w klatkę piersiową. Czy Jensen będzie do niego strzelał tak jak poprzednio? „Jak tam serce?” Nie ma żadnego powodu, by to zrobić. Został oczyszczony z zarzutów w sprawie tamtych trzech gwałtów. Wtedy czuł się przyparty do muru, osaczony. Ale po co Jensen chciał się z nim spotkać? I dlaczego się nie pokazuje?

– Jensen?

Krużganek za kolumnadą również był pusty. Servaz przeszedł między dwiema kolumnami i znalazłszy się z powrotem na placu, znowu obserwował cienie w ogrodzie. Nagle jego wzrok zatrzymał się na jednym z nich, jakieś trzydzieści metrów dalej. To nie był krzak. To była jakaś postać. Czarna. Nieruchoma. Na granicy ogrodu. Zmrużył oczy. Sylwetka między drzewami stała się wyraźniejsza: to był jakiś człowiek.

– Hej!

Puścił się biegiem. Postać szła teraz bardzo szybko między rzędami żywopłotu, odwracając się od czasu do czasu, by ocenić dzielący ich dystans. Servaz także ruszył ogrodową alejką, a gdy znalazł się bliżej, ona również zaczęła biec. Przyśpieszył. Nagle zobaczył, że tamten zbacza w prawo i pędzi w stronę dużego szklanego pawilonu. Uciekinier ruszył pod górkę wysypaną

drobnymi kamykami alejką, która następnie zamieniła się w szlak turystyczny prowadzący w głąb lasu. Pobiegł za nim i poczuł klucie w boku, jakby ktoś wbijał mu tam gwóźdź. Minął szklany pawilon i zwolnił, ujrzawszy przed sobą czarną ścianę jodeł.

Powyżej wznosiły się zalesione góry, których ogromny masyw oświetlony blaskiem księżyca odcinał się na tle czystego nieba. Wszystko dookoła pogrążone było w cieniu i ciemnościach. Servaz oparł dłonie na kolanach i uspokoił oddech, zdając sobie sprawę ze swojej mizernej kondycji. Zaczął się zastanawiać. Jeśli wejdzie między drzewa, będzie jak ślepiec. Nie ma przy sobie ani broni, ani latarki. W tym lesie może się wydarzyć wszystko. Czego chce Jensen? W co gra? Nagle uświadomił sobie, że Jensen ma poważny powód, by strzelić do niego po raz drugi, że na jego miejscu czułby do siebie nienawiść. Na pewno obwinia Servaza za to, co mu się stało: jego twarz została trwale oszpecona. Jego życie zmieniło się na zawsze i to on, Servaz, jest przyczyną tej zmiany. Na pewno ukrył się tutaj i czeka. Ale po co? Zamierza go ukarać? Jeśli tak, to w jaki sposób? Czyżby był aż tak zdesperowany, by zdecydować się na zabójstwo?

Servaz poczuł, jak jego przedramiona pokrywają się gęsią skórką. Jednak ruszył przed siebie. Szedł ścieżką, zanurzając się w głęboki cień lasu. Było tu ciemno jak w grobie. Przeszedł kilka metrów. Zatrzymał się. Pusto. Nic nie widział. Nagle uświadomił sobie, że jego przyśpieszony oddech nie jest tylko wynikiem biegu. Że jest tutaj jedyną żywą osobą – poza tą drugą, która bynajmniej nie życzy mu dobrze.

– Jensen?

Ton własnego głosu zdecydowanie mu się nie spodobał. Usiłował ukryć niepokój, ale był pewien, że głos go zdradził, że ukryty o krok od niego Jensen z pewnością delektuje się strachem, jaki w nim wzbudził.

Prawie dwadzieścia minut stał w tym miejscu. Ani drgnął. Wyczulony na każde poruszenie cieni, gdy w koronach drzew zrywał się wiatr. Kiedy nabrał przekonania, że jest sam, wyszedł

z lasu i ruszył przez ogród publiczny w kierunku term. Sfrustrowany, ale i z ulgą wrócił do samochodu. Wtedy na przedniej szybie zauważył wsunięty za wycieraczkę kawałek papieru:

*Baleś się?*

Kasper Strand czekał na północ. Mieszkał w trzypokojowym apartamencie z balkonem w położonej wyżej części Bergen, niedaleko kolejki, skąd rozciągał się widok na miasto i port. To była główna zaleta tego niebotycznie drogiego mieszkania. Nawet gdy padał deszcz, co w Bergen zdarza się praktycznie rzecz biorąc co drugi dzień, on nigdy nie nudził się podziwianiem, jak miasto siedmiu wzgórz i siedmiu fiordów rozbłyska światłami, gdy zapada wieczór. A wiadomo, że zimą w Bergen szybko robi się ciemno.

Wiedział, że właśnie depcze wszystkie zasady, które do tej pory przyświecały mu w życiu zawodowym, i że nie będzie mógł spojrzeć na siebie w lustrze. Ale potrzebował kasy. A informacja, którą zamierzał spieniężyć, była dla tych konkretnych osób na wagę złota, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. To, co właśnie powiedziała mu Kirsten, było po prostu niewiarygodne. Teraz musiał się dowiedzieć, ile z tego będzie miał.

Spojrzał na kipsz na środku salonu: cholerna komoda w częściach do samodzielnego złożenia, jeden z tych mebli, na których szwedzcy producenci zbili fortunę. Po dwóch godzinach pracy zorientował się, że odwrotnie zamontował szyny podtrzymujące szuflady. To nie była jego wina: najwyraźniej ilustracje do instrukcji rysowali ludzie, którzy nigdy nie kupują mebli w kawałkach. Ścianki z płyty wiórowej, wkręty, śrubokręt, nóżki: wszystko rozwalone na środku salonu, jakby doszło tu do eksplozji. Kopnął śrubokręt w kąt i pomyślał, że tak właśnie wygląda jego życie, odkąd został wdowcem: egzystencja w kawałkach z niezrozumiałą instrukcją montażu. Nie był przygotowany do samotnego życia. A tym bardziej do

wychowywania czternastolatki przechodzącej apogeum kryzysu dojrzewania. Od czasu, gdy umarła jego żona, wiele rzeczy robił na opak.

Spojrzał na zegarek. Marit powinna była wrócić już ponad godzinę temu. Jak zwykle się spóźnia. I nawet nie przeprosi. Próbował wszystkiego: napomnień, grożenia szlabanem, pedagogiki, ugody. Nic nie pomagało. Jego córka była nieprzemakalna na wszelkie argumenty. A przecież to dla niej, po to, by zachować to mieszkanie, które uwielbiała i które było stanowczo zbyt drogie jak na ich możliwości – zmarła żona zarabiała o wiele więcej od niego i to z jej pensji opłacali raty – zamierzał zadzwonić pod tamten numer. A także po to, by pozbyć się długu zaciągniętego podczas gry...

Podszedł do loggii, gdzie umieścił kiedyś fotel i stolik, na którym stawał whisky. Mżawka sprawiła, że Bergen lśniło tysiącem rozmazanych świateł, których liczbę podwajało odbicie w czarnym lustrze wody, a jego słynne drewniane domy niwelowały brzydotę metalowych konstrukcji portowych. Usiadł i wyjął z kieszeni kartkę z numerem telefonu znalezionym w Internecie. Dlaczego nie dodał go po prostu do spisu kontaktów? Czy jeśli któregoś dnia zażądadają od niego wyjaśnień, ten fakt będzie miał jakieś znaczenie? Skoncentrował się na pieniądzach – potrzebuje ich, potrzebuje ich pilnie i nie może sobie pozwolić na zgrywanie płóczego dziewczęcia – i ze ściśniętym żołądkiem wystukał numer.

Ze snu wyrwało ją sapanie i westchnienia. Bolała ją głowa. Choć w szalasiu było zupełnie ciemno, wydawało jej się, że wszystko wokół wiruje z szaloną prędkością. Znowu westchnienia i sapanie. To pewnie brunetka i ten dupek przewodnik. Zauważyła, co się święci, jeszcze zanim wyszli zapalić. Po chwili zdała sobie sprawę, że sapie tylko jedna osoba. Druga nie wydawała żadnych odgłosów. Leżeli bardzo blisko niej, w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów.

Nagle poczuła strach. Miała ochotę krzyknąć. Ale co sobie o niej pomyśla, jeśli bez powodu obudzi całe schronisko? A potem sapanie nagle ucichło. Nie słyszała już nic poza dudnieniem krwi w uszach. Czyżby jej się przyśniło?

Później wydało jej się, że słyszy jakiś inny dźwięk. Tak bardzo się bała, że mimo zmęczenia nie była w stanie zasnąć. W pomieszczeniu panowały zupełne ciemności, ale była przekonana, że przy kuchni ktoś się kręci. Poruszał się prawie bezszelestnie, pośpiesznie, jak złodziej. Nie chce ich obudzić czy ma inny powód? Poczuła, że jej puls przyśpiesza. W sposobie, w jaki poruszał się cień, było coś, co ją paraliżowało. Jakby biła od niego jakaś negatywna energia: jakaś przebiegłość, nieszczerłość. Wrogość... Przełknęła ślinę. Uświadomiła sobie, że żołądek zwinął jej się w supeł. Pomyślała o dźwięku, jaki słyszeli wieczorem, o przekonaniu brunetki, że widziała kogoś na zewnątrz. Zanurzyła się głębiej w śpiworze, mówiąc sobie, że rano, kiedy się obudzi, sama uzna własne zachowanie za śmieszne, nieracjonalne,

dziecinne, złoży je na karb nocnych koszmarów. To jej jednak nie uspokoiło. Przeciwnie. Miała ochotę zniknąć albo obudzić resztę... Nie była jednak w stanie wydać z siebie głosu. Teraz bowiem mimo ciemności doskonale go widziała: cień zmierzał w jej stronę...

Czyjaś dłoń zasłoniła jej usta. Jej szyi dotknęło coś ostrego.

– Cicho.

Poczuła metaliczny, cierpki zapach jego dłoni. To dziwne, ale zapach skojarzył jej się z zapachem miedzianej rury: kiedyś samodzielnie naprawiała starą instalację hydrauliczną w swoim domu i знаła tę woń. Wkrótce zrozumiała jednak, że to zapach krwi, która cieknie jej z nosa: zdarzało jej się to w sytuacjach, gdy doświadczała gwałtownych emocji.

Głos – jeszcze bardziej syczący, jeszcze bardziej świszczący niż poprzednio, szeptał jej do ucha:

– Jeśli będziesz krzyczała albo próbowała się wyrwać, zabiję cię. A potem zabiję pozostałych.

Jakby chciał ją przekonać, że mówi prawdę, mocniej docisnął nóż. Poczuła, jak ostrze wbija jej się w szyję. Miała wrażenie, jakby na jej piersi ktoś położył wielką płytę, która uniemożliwiała jej oddychanie. Usłyszała dźwięk rozsuwanego zamka śpiwora.

– Wstań i chodź, tylko nie rób hałasu...

Próbowała, chciała – ale nogi tak bardzo jej się trzęsły, że potknęła się i uderzyła kolanem o drewnianą ławkę. Z jej ust wydobył się cichy jęk. Mężczyzna chwycił ją w locie i ścisnął jej szczupłe ramię. Miała na sobie tylko piżamę.

– Uspokój się w tej chwili albo zdechniesz! – zgromił ją cicho.

Widziała go teraz dość wyraźnie. Przez cały czas miał na głowie kaptur. Wyglądało na to, że nawet się nie rozebrał, czekał tylko, aż pozostali zasną. Z prycz dobiegały odgłosy chrapania. Podłoga szalała pod jej bosymi stopami była lodowata. Trzymał ją za ramię.

– Idziemy.

Wiedziała dokąd: na zewnątrz. Tam, gdzie będzie mógł ją zgwałcić bez obaw, że ktoś mu przeszkodzi. I co dalej? Zabije ją?

Powinna coś zrobić. Musiał wyczuć jej opór, bo znowu mocniej przycisnął ostrze do lewej strony jej szyi.

– Tylko spróbuj się wyrwać, a poderżnę ci gardło.

Nagle pomyślała, że jest jak gazela albo słońiatko, które drapieżniki zdołały oddzielić od reszty stada. Nigdy nie należy opuszczać kręgu. Gdy znaleźli się na zewnątrz, poczuła, jak przez jej grubą pizamę przenika lodowate zimno. Stała na śniegu, a palce jej stóp samoistnie się przykurczyły. Zaczęła drżeć jeszcze mocniej. Nigdy nie czuła się tak straszliwie samotna.

– Dlaczego pan to robi? – zapytała. Zdawała sobie sprawę, że mówi żalonym, płaczącym tonem. Czuła potrzebę słów. Może go powstrzyma, jeśli zdoła przemówić mu do rozsądku... – Dlaczego? Dlaczego?

– Zamknij się! – Teraz, na dworze, gdy wokół nich wył wiatr miotający płatki śniegu, poparzony nie obawiał się już podnieść głosu.

– Niech pan tego nie robi! Proszę! Błagam pana! Niech mi pan nie robi krzywdy!

– Stul pysk!

– Dam panu pieniądze, nikomu nic nie powiem... Chcę panu...

– Nie wiedziała już, co mówi, z jej ust wydobywał się niespójny, chaotyczny potok słów.

– Milcz, do cholery!

Uderzył ją pięścią w brzuch. Straciła dech w piersi i przykucnęła na śniegu. Żółć podeszła jej do gardła i cofnęła się, paliło ją w żołądku. Nagle poczuła, że napastnik ciągnie ją za stopy i upadła do tyłu. Uderzyła potylicą o kamienną podmurówkę szałas, zobaczyła mroczki przed oczami. Na chwilę straciła przytomność. Leżała na plecach, jej tyłek wciskał się w biały puch. Mężczyzna błyskawicznie znalazł się na niej. Gorączkowo usiłował zdjąć jej spodnie od pizamy i poczuła, że śnieg dostaje jej się między pośladki. Widziała oczy dzikiego zwierzęcia połyskujące pod kapturem. Miał cuchnący oddech i zrobiło jej się niedobrze. Jedną dłonią przyciskał do jej gardła zimne ostrze noża, niemal

uniemożliwiając jej oddychanie; drugą zaczął się rozbierać. Drzewa za jego plecami były ciemne, ale zauważyła, że kołyszą się na wietrze.

Kiedy poczuła między udami jego dłoń, zaczęła się wrywać, krzyknęła: „Nie, nie, nie!”, a wtedy mocniej przycisnął nóż do jej gardła. Leżała z otwartymi ustami. Mężczyzna właśnie miał się pochylić, by ją pocałować, kiedy za jego plecami coś się wydarzyło. W pierwszej chwili nie byłaby w stanie powiedzieć, co zobaczyła, poza tym, że przestraszyła się tego jeszcze bardziej niż poparzonego napastnika. Zauważyła jakiś cień, który oderwał się od pozostałych cieni i ruszył w stronę leżącej dwójki, z nieprawdopodobną prędkością pokonując dzielącą ich odległość. Poparzony niczego nie widział, nie miał pojęcia, co się dzieje, nie zdążył pomyśleć ani tym bardziej jej pocałować. Cień, który wybiegł z lasu, prawie położył się na jego plecach, jakby zamierzał go zgwałcić, i zobaczyła dłoń w czarnej rękawiczce, a na jej przedłużeniu pistolet, którego lufa dotknęła prawej skroni mężczyzny.

Wcześniej widziała broń tylko w filmach, nie miała jednak najmniejszych wątpliwości, że właściwie zidentyfikowała przedmiot, który miała przed oczami. Kino i telewizja przyzwyczały nas do świata, który większości z nas pozostaje nieznanym: do świata przemocy, broni palnej i przelewu krwi.

– Co jest...? – zdążył tylko powiedzieć mężczyzna o poparzonej twarzy, czując na plecach ciężar czyjegoś ciała.

W następnej chwili cały świat przewrócił się do góry nogami: między lufą pistoletu a kapturem pojawił się płomień i – BANG! – noc rozdarł jeden, jedyny strzał, potężny, ogłuszający. Poczowała napór na bębniaki, a po chwili zaczęła słyszeć świst. Szyja agresora jakby się złamała, jego głowa opadła na bok jak u martwej kury i po drugiej stronie kaptura trysnął czarny gejzer złożony z krwi, odłamków kości i mózgu, a potem całe ciało osunęło się sztywnie na śnieg, uwalniając ją od swego ciężaru. Teraz dopiero zaczęła wrzeszczeć, choć po jakimś czasie nie była już pewna, czy głos rzeczywiście wydobywał się z jej krtani. Brzęczało jej w uszach,



jakby w każdym z nich panoszył się rój owadów. Wysokie tony. Cień zdążył już wstać i wpatrywał się w nią z dymiącym pistoletem w dłoni. Sądziła, że ją także zabije, ale zamiast tego zniknął tak szybko, jak się pojawił. Tym razem krzyczała na całe gardło, była tego pewna.

Potężny huk i jej histeryczne wrzaski obudziły wszystkich śpiących w szałasie. Uczestnicy wycieczki kolejno podnosili się na pryczach, sięgali po kurtki i wybiegali na zewnątrz. Najpierw zaczęli ją wołać, a ponieważ nie odpowiadała, obeszlili budynek dookoła.

– Kurwa! – zawołał młody przewodnik, który jako pierwszy zobaczył Emmanuelle w samej piżamie i nieboszczyka. Cofnął się.

Krew wsiąkała w śnieg, dlatego kałuża wokół głowy gwałciciela była niewielka: ciepły mózg zmieszany z krwią wyłobził w białym puchu małe zagłębienie, prawie pionowy lejek. Kobieta wstrząsały gwałtowne dreszcze wywołane szokiem i zimnem. Siedziała z otwartymi ustami, na przemian szlochając i czkając. Wyglądała jak tonący, który usiłuje złapać powietrze. Przewodnik ukląkł przy niej i wziął ją w ramiona.

– Już po wszystkim. Już po wszystkim.

Ale po czym właściwie? Kurwa. Nie miał bladego pojęcia, co się tutaj stało. Ewidentnie ktoś rozwalil gościowi łeb. Przyciągnął Emmanuelle do siebie i przytulił ją, by dodać jej otuchy i ją ogrzać.

– To ty? – zapytał łagodnie. – Ty to... zrobiłaś? Ty strzelałaś?

Zaprzeczyła energicznym ruchem głowy, nie przestając czkać i szlochać w ramię przewodnika, niezdolna wydusić z siebie słowa. Podeszli do nich pozostali. Jak przerażone zwierzęta patrzyli to na trupa, to na Emmanuelle, to na las.

– Nie powinniśmy niczego dotykać. I trzeba wezwać policję – oświadczył Beltran. – Wyjął komórkę i spojrział na wyświetlacz. – Cholera, nie mam zasięgu. Nie połączę się.

– Użyj telefonu alarmowego, jest w szałasie – odparł młody przewodnik, spoglądając na niego, ciągle na kolanach. Potem znowu skierował uwagę na Emmanuelle. – Możesz wstać?

Pomógł jej się podnieść, podtrzymał ją, ponieważ nogi kobiety trzęsły się i mogły odmówić jej posłuszeństwa. Ostrożnie ominęli ciało, skęcili za róg budynku i mężczyzna wprowadził ją do środka, gdzie schronili się już pozostali.

– Co się stało? – zapytała brunetka, starając się mówić najłagodniej, jak tylko potrafiła.

– Miałaś... miałaś rację... tam rzeczywiście... ktoś był. – Emmanuelle gwałtownie szczykała zębami.

– Tak. Na zewnątrz ktoś jest. A w dodatku ma broń – potwierdził przewodnik i zadrżał.

Pierwszy brzask barwił już na różowo niebo i chmury wiszące między górkimi szczytami, gdy wreszcie pojawili się technicy żandarmerii i funkcjonariusze z wydziału dochodzeniowego. Kapitan Saint-Germès ucieszył się na widok latarek migocących wśród drzew. Razem ze swoimi ludźmi dokonał już pierwszych ustaleń, oddzielił perimetr. O mało się nie zesrali ze strachu. Nie co dzień brygada żandarmerii z Saint-Martin-de-Comminges otrzymuje takie zadania.

Poranne powietrze było zimne i rześkie, szczypało w policzki i pachniało jodłowym lasem. Niebo z każdą chwilą stawało się jaśniejsze i wszystkie szczegóły górkiego krajobrazu wyłaniały się z cienia. Spojrzał na nadciągający kondukt, który kołysał się, jadąc po śniegu. Pięć samochodów, w tym furgonetka z podwyższonym dachem, którą zidentyfikował jako mobilne laboratorium wydziału dochodzeniowego z Pau. Saint-Germès nigdy nie widział takiego desantu. Jak wszyscy tutejsi funkcjonariusze słyszał o wypadkach, które rozegrały się w tej okolicy na przełomie 2008 i 2009 roku – były one częścią lokalnej legendy i miejscowi lubili o nich wspominać, zwłaszcza gdy zbliżała się zima – ale on jeszcze wtedy tu nie pracował. Całą sprawę nadzorował kapitan Maillard, jego poprzednik, we współpracy z dochodzeniówką z Pau i policją kryminalną z Tuluzy. Maillard został przeniesiony, podobnie jak wielu funkcjonariuszy zatrudnionych wtedy w Saint-Martin.

Ta śmierć była pierwszym zabójstwem, z jakim służby miały do czynienia od tamtego czasu. Co się wydarzyło minionej nocy? Nie miał zielonego pojęcia. Wszystko było kompletnie pogmatwane.

Totalny chaos. A zeznania świadków tylko komplikowały sprawę. Obraz, który się z nich wyłaniał, nie miał żadnego sensu: uczestnik wycieczki, który o trzeciej nad ranem wyciąga na zewnątrz jedną z kobiet, by ją zgwałcić, oraz cień, który pojawia się znikąd, strzela mu w skroń i znika. To się nie trzymało kupy.

Samochody zaparkowały przed szalasem i Saint-Germès patrzył, jak wysiada z nich kilkunastu członków dochodzeniówki. Na początku szedł okularnik o kwadratowej szczęce. Podobnie jak pozostali miał na sobie kamizelkę taktyczną z mnóstwem kieszeni, a pod nią gruby sweter. Gdy się zbliżał, jego jasnoniebieskie oczy uważnie przyglądały się kapitanowi zza okularowych szkieł. Świadomie z wielką siłą uściśnął jego dłoń.

– Gdzie?

– Chodźmy zobaczyć. Kobieta twierdzi, że ofiara wyprowadziła ją na zewnątrz, grożąc nożem, zamierzając zgwałcić, i że ktoś wyskoczył z lasu i zabił ofiarę strzałem w głowę, tak jest?

– Zgadza się.

– Nigdy nie słyszałem czegoś równie absurdalnego – stwierdził niebieskooki mężczyzna o nazwisku Morel.

– Przecież znaleziono nóż – zaproponował Saint-Germès, który zdążył już znienawidzić tego faceta i jego ważniactwa.

– I co z tego? Równie dobrze mogła go tam podłożyć sama. Trzeba sprawdzić, czy ta dziewczyna przechodziła w przeszłości leczenie psychiatryczne, czy należy do jakiegoś klubu strzeleckiego, czy miała już problemy w relacjach z mężczyznami oraz czy ona i ofiara znali się przed wycieczką. To wszystko nie trzyma się kupy.

W domyśle: „Źle pan przesłuchał świadków”. Saint-Germès wzruszył ramionami: to już nie był jego problem. Spojrzał na panującą dookoła kotłownicę. Wszędzie walały się przewody elektryczne, reflektory oświetlały miejsce zbrodni i budynek jasnym blaskiem, jakby nie był to górski szałas, ale jakiś pomnik. Lśniąca poświata dosięgała ściany pokrytych śniegiem jodeł; wydobywała z mroku każdy kamień, każdą dachówkę, każdą gałąź i każdą

postać. Białe stroje techników niemal zlewały się ze śniegiem, jak kombinezony maskujące. Technicy chodzili w tę i z powrotem wokół nich, przekopywali śnieg, pobierali odciski palców, ślady powystrzałowe, próbki biologiczne, mierzyli, nawoływali się. Wrażenie chaosu było jednak mylne: każdy doskonale wiedział, co ma robić. Dziwna praca, pomyślał kapitan. Wstali rano i na jednej nodze zjedli śniadanie, wiedząc, że czeka na nich trup i kolejny dowód nieskończonego ludzkiego okrucieństwa. Lekarz sądowy pochylony nad głową ofiary podniósł ku nim oczy i zsunął na brodę niebieską maseczkę. W dłoni trzymał małą latarkę ksenonową.

– Pocisk przeszedł przez czaszkę na wylot, wyłączając czynności życiowe. Gość nie zdążył niczego poczuć. Jakby ktoś przekręcił włącznik. *On/Off*. Wygląda na to, że ten rok nie był dla niego dobry – dodał, wskazując dłonią w rękawiczce ledwie zabliźnione ślady po oparzeniach wokół ust i na jednym z policzków. – Biorąc pod uwagę temperaturę, która przez całą noc utrzymywała się mniej więcej na stałym poziomie, powiedziałbym, że zdarzenie miało miejsce między trzecią a piątą nad ranem.

Zeznania świadków potwierdzały jego słowa.

– Są tutaj ślady, które nie pasują ani do butów ofiary, ani kobiety – rzucił technik pracujący kawałek dalej. – Ktoś wyszedł z lasu, podszedł do nich i wrócił tą samą drogą. – Wskazał palcem ślady. – Biegł: czubek buta jest wyraźnie bardziej zagłębiony niż obcas. Potem stał tutaj bez ruchu: ślady są równomierne. Odwrócił się w jego stronę – technik wskazał na trupa – i odszedł tą samą drogą, którą przyszedł. Tym razem nie biegł.

Saint-Germès zerknął na Morela, który nie reagował.

– Gdzie jest brygada z psami? – rzucił.

– W drodze – odpowiedział ktoś inny.

– Hej! Chodźcie zobaczyć! – rozległ się głos kilka metrów dalej.

Odwrócili się w stronę technika, który pracował z kamerą termowizyjną. Termografia podczerwieni, pomyślał Saint-Germès. Zobaczył, jak technik odkłada urządzenie, wyjmując z kieszeni kombinezonu szczypczyki i kucając, daje im znak, by podeszli

bliżej. Gdy wstał, w dłoni odzianej w niebieską rękawiczkę trzymał wgłębioną łuskę naboju. To była ta łuska, ponieważ wystrzelono tylko jeden pocisk.

– Co to jest? – zapytał Morel.

Technik, podobnie jak wcześniej lekarz, zsunął niebieską maseczkę na podbródek. Zakłopotany zmarszczył brwi.

– Pocisk ekspansywny.

Saint-Germès drgnął. We Francji amunicję ekspansywną mogą kupować tylko myśliwi, strzelcy sportowi i gliny...

– 9 milimetrów parabellum – dodał technik, powoli obracając łuskę przed oczami. Miał coraz bardziej niewyraźną minę. – Kapitanie – odezwał się nagle zmienionym głosem.

– Co jest? – zapytał Morel.

– Kurwa, to wygląda na pocisk Speer Gold Dot...

– Jest pan pewien?

Technik wolno pokiwał głową. Saint-Germès i Morel wymienili spojrzenia. No, no, no, Morelowi zrzęda mina. Czuje, że zbliżają się kłopoty, pomyślał Saint-Germès. Niedobrze. Bardzo niedobrze. We Francji jest właściwie tylko jedna kategoria obywateli, którzy mogą strzelać pociskami Speer Gold Dot: policjanci i żandarmi.

– Mówi pani, że ofiara grożąc nożem, wyprowadziła panią na zewnątrz, podczas gdy inni spali?

– Tak.

– Że uderzyła panią pięścią i przewróciła na śnieg z zamiarem... zgwałcenia?

– Tak.

– Że położyła się na pani i zdjęła pani spodnie od piżamy?

– Tak.

– I że właśnie w tamtym momencie ktoś wyskoczył z lasu z pistoletem i do niej strzelił?

– Tak jest.

– Przyłożywszy jej lufę pistoletu do skroni? – Zilustrował pytanie gestem.

– Tak.

– Był wkurzający. Wyglądał... nie wiem... jak świr – powiedział Beltran. – Miał naprawdę dziwny wzrok. Straszny nawet. Tak...

– Było widać, że gość jest stuknięty – oświadczyła brunetka. – Powinniśmy byli bardziej na niego uważać. Kiedy pomyślę o tym, co Emmanuelle... – Chlipnęła. – Boże! Przecież im mówiłam, że na zewnątrz ktoś jest. Nie chcieli mi wierzyć.

– Zapisał się na wycieczkę tak jak pozostali – wyjaśniał młody przewodnik. – To wszystko kuracjusze. Leczą się w termach w Saint-Martin. Każdy z innych powodów. Trochę się wahałem. Miał za sobą poważne porażenie prądem, przeszedł rehabilitację, zastanawiałem się nawet, czy ma wystarczającą kondycję. Ale nalegał, żeby mu pozwolić na udział w wycieczce. Więc sam pan rozumie, taki gość, po tym wszystkim, przez co przeszedł... nie miałem odwagi odmówić.

– No i? – zapytał Saint-Germès po drugiej turze przesłuchań.

Morel spojrzał na niego z byka.

– Wszystko się zgadza – przyznał niechętnie.

– Ma pan na myśli, że wszystko pokrywa się z tym, co panu powiedziałem?

Bez odpowiedzi. Saint-Germès zawahał się przed kolejnym pytaniem.

– Wierzy pan w to? Wierzy pan, że to zrobił... glina?

Morel nadal milczał.

Mimo panującego chłodu Kirsten jadła śniadanie w restauracyjnym ogródku na place du Capitole. Przynajmniej nie padało. Śniadanie było typowo francuskie: kawa ze śmietanką, croissanty i sok pomarańczowy. Zobaczyła idącego w jej kierunku Servaza. Od razu odgadła, że coś się stało. I że niewiele spał. Choć od ich pierwszego spotkania w gabinecie dyrektora policji kryminalnej rzadko widziała, by się uśmiechał, teraz wyglądał naprawdę kiepsko. I najwyraźniej coś go gryzło.

Kiedy usiadł na krześle naprzeciwko niej, uświadomiła sobie, że jest gorzej, niż sądziła: na jego twarzy malował się wyraz kompletnej dezorientacji. Jak u dziecka, które właśnie zgubiło rodziców w tłumie.

– Co się dzieje? – zapytała po angielsku.

Sprawa miała wrażenie, jakby bardzo potrzebował kawy, poprosiła więc kelnera o dwie kolejne filiżanki. Martin skierował na nią wzrok, a ona miała wrażenie, że choć patrzy na nią, wcale jej nie widzi, jakby w tej chwili była dla niego przezroczysta. A potem bezbarwnym głosem opowiedział jej nie tylko o wydarzeniach ostatniej nocy, ale także o tym, co się stało, zanim przyjechała do Tuluzy.

– Dlaczego nie poprosiłeś, żebym pojechała z tobą? – zapytała, kiedy skończył.

– Ponieważ to nie ma nic wspólnego z powodem twojego pobytu w tym mieście.

– Powiedziałeś Stehlinowi?

– Jeszcze nie.



– Mhm. Ale zrobisz to?

– Tak.

Kelner przyniósł kawę. Zauważyła, że gdy Martin podnosił filiżankę do ust, jego ręka tak drżała, że kilka kropel płynu rozlało się na stolik i na jego spodnie.

– A więc przez cały ten czas byłeś w śpiączce? To dlatego na początku wydałeś mi się taki... dziwny?

– Możliwe.

– Cholera, to faktycznie paskudna historia.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Przyznaję.

– Martin...

– Tak?

– Musisz mi ufać, a przede wszystkim chciałabym, żebyś traktował mnie jak partnerkę, a nie tylko jak policjantkę, która przyjechała z zimnego kraju i nie mówi ani słowa po francusku. Słyszysz?

Tym razem obdarzył ją szczerym uśmiechem. Kobieta patrzyła na niego surowo, a on wiedział, że za tą surowością kryje się szczególny rodzaj serdeczności.

– Jezu Chryste, kurwa, Martin, pojechałeś tam w środku nocy, nikogo nie informując!

Stehlin wyglądał, jakby zaraz miał eksplodować. Dosłownie. Na jego prawej skroni uwidoczniła się gruba, kręta żyła, a twarz mu poczerwieniała jak arbuz.

– Nie miałem wyboru – tłumaczył się Servaz. – Zagroził, że zrobi krzywdę Margot.

Jensen nie wyraził się dokładnie w ten sposób, ale mniejsza o to.

– Owszem, miałeś! – warknął dyrektor, a z jego ust trysnęło kilka kropelek śliny. – Powinieneś był nas powiadomić. Do cholery, wysłalibyśmy kogoś zamiast ciebie!

– Chciałem usłyszeć, co ma mi do powiedzenia.

– Ach tak? Wybacz, ale wydaje mi się, że ten gość cię wystawił

i ani trochę nie posunąłeś się do przodu, popraw mnie, jeśli się myłę.

Servaz nie odpowiedział.

– Problem polega na tym, że jeśli psy z Inspekcji się o tym dowiedzą, znajdziesz się w czarnej dupie, a ja razem z tobą – ciągnął dyrektor.

No to jesteśmy w domu, pomyślał Martin.

– Dlaczego mieliby się dowiedzieć? Kto im powie? Jensen? Wyjaśni im, że dla zabawy kazał mi biegać po nocy i że rozmawiał ze mną przez telefon o mojej córce?

Stehlin ostrożnie rzucił okiem na Kirsten, jakby jej obecność nie pozwalała mu powiedzieć pewnych rzeczy.

– Martin, nie mamy wyboru. Musisz spisać raport, a Florian Jensen musi zostać przesłuchany. Co powie twoim zdaniem?

– Nie mam pojęcia.

– Nie podoba mi się ta historia.

– Mnie również.

– Myślisz, że w sprawie twojej córki blefował?

– Nie wiem. Facet ma do mnie pretensje. Uważa, że całe to porażenie i to, jak teraz wygląda, to moja wina.

– Chcesz, żebym przydzielił kogoś Margot?

Servaz się zawahał. Pomyślał o Hirtmannie.

– Tak – powiedział w końcu. – Nie tylko z powodu Jensena. Jeśli Hirtmann jest w pobliżu, nie chciałbym, żeby skończyła tak jak Marianne Bokhanowsky. Do czasu, aż ją przekonam, żeby wróciła do Quebecu. Tam będzie bezpieczna.

Bernhard Zehetmayer podziwiał z okna ogrody wiedeńskiego Belwederu w strugach deszczu. Opadały łagodnie w stronę Rennweg, poprzecinane przystrzyżonym żywopłotem, usiane sadzawkami i rzeźbami. Na dużym tarasie tajemnicze sfinksy jak co dzień ofiarowywały każdemu inny uśmiech, obojętne na rzęsistą ulewę. To jest Wiedeń, jaki kocha, nieśmiertelny Wiedeń, który od czasów Canaletta niewiele się zmienił. Obojętny na mody, na dekadencję, na upadek obyczajów, który rządzi dzisiejszym

światem. Ostatnimi czasy dyrygent zauważył jednak pewne jaskółki nadziei: w całej Europie do głosu dochodziły radykalne ruchy, które wkrótce miały przywrócić dawne wartości; tendencja była nie do zatrzymania i potężniała z roku na rok. Nawet tutaj, w Austrii, zaledwie w zeszłym tygodniu kandydat sił reakcyjnych otarł się o zwycięstwo. Zehetmayer go nie lubił, tak samo jak nie lubił tego skretyniałego ekologa, który wygrał po niekończącej się trzystupięćdziesięciodniowej kampanii. Wiedział jednak, że nadejdzie taka chwila, gdy w całej Europie siły reakcyjne zatryumfują – i wyczekiwał jej niecierpliwie.

Zehetmayer się odwrócił. Tłum zwiedzających w ociekających wodą kurtkach tłoczył się na schodach muzeum. Większość z nich przyszła tu, by podziwiać marne dzieła Klimta. Takie nabożeństwo dla zwykłego dekoratora wnętrz. Co za banda idiotów. Jeszcze jeden Gustav. Ale w porównaniu z tamtym karzeł. Zamiast *Pocałunku* Klimta wolał *Śmierć i dziewczynę* Schielego. Schiele przynajmniej nie stosował złotego konfetti, błyskotek i sztuczek godnych co najwyżej kabaretowych plakatów. Jego styl był surowy, bez ozdobników, brutalny, suwerenny. Ostatnimi dziełami Schielego były szkice jego żony Edith, w szóstym miesiącu ciąży i w agonii na łożu śmierci, wykonane na trzy dni przed tym, jak sam umarł na hiszpankę. Ależ do tego trzeba było mieć jaja, mój Boże... Fakt, iż Klimt został artystycznym symbolem Wiednia, dowodził, jak nisko upadło jego ukochane miasto.

W tłumie ludzi zauważył zbliżającą się niską, kręłą sylwetkę Wiesera. Cały ten cyrk, to spotkanie się w miejscach publicznych, zaczynały go męczyć. Przecież równie dobrze mogliby porozmawiać w jakieś kafejce, prawda? Informacje, które niedawno otrzymał, rozpraszały jednak jego zły humor.

– Cześć – powitał go Wieser, gdy znalazł się na jego wysokości.  
– Coś nowego?

Wyglądało na to, że miliarder również nie jest zachwycony tym, że musiał przyjść w to miejsce. Zehetmayer powstrzymał irytację. Co ten Wieser sobie myśli? Że mam za dużo czasu? Że robię to dla

zabawy? A może po to, żeby go zapytać, jak się miewa ta dziwka, którą zamierza wziąć za czwartą żonę – chyba po to, żeby po raz kolejny dać się oskubać, ale to ostatecznie jego forsa...

– Jest ślad Gustava – oświadczył.

Wieser drgnął.

– Tego chłopca?

Zehetmayer wzruszył ramionami, podenerwowany. Nie, Gustava Klimta, dupku.

– Mieszkał na południowym zachodzie Francji, w małym górskim miasteczku. Chodził tam nawet do zerówki, aż do ostatniego lata.

– Skąd wiemy, że to on?

– Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości: dyrektorka rozpoznała jego zdjęcie. Chłopiec ma na nazwisko tak samo jak ten policjant, na którego punkcie Hirtmann chyba ma obsesję.

– Co? Nie rozumiem.

Wcale mnie to nie dziwi, pomyślał Cesarz.

– Najważniejsze, że jesteśmy coraz bliżej – powiedział Zehetmayer, usiłując zachować spokój. – Tak naprawdę nigdy nie byliśmy tak blisko. To jedyna szansa. Możliwe, że Hirtmann odwiedzi małego, kiedy tylko będzie mógł. Jeśli znajdziemy jego ślad, będziemy znać miejsce, w którym prędzej czy później pojawi się Szwajcar. Musimy iść na całość. Ten dzieciak spadł nam z nieba.

– Widziała pani jego twarz?

Emmanuelle Vengud zmarszczyła brwi. Morel widział, że kobieta próbuje sobie przypomnieć.

– Miał na głowie kaptur, tak jak... tak jak tamten – odparła po chwili namysłu. – Było ciemno. Niewiele widziałam. Ale tak, widziałam go pod tym kapturem... Rozumie pan, był bardzo blisko i...

– Ile lat by mu pani dała?

Znowu się zawahała.

– Powiedziałabym, że jakieś czterdzieści, może pięćdziesiąt...

W każdym razie nie był młody.

– Blondyn, brunet?

– Miał na głowie...

– Kaptur, tak, wiem – dokończył wyrozumiałym, ale zniecierpliwionym tonem. – Zna się pani trochę na broni?

– Nie. Wcale.

Westchnął i wystukał coś na klawiaturze.

– Chwileczkę – powiedziała.

Morel podniósł oczy.

– Wydaje mi się, że coś widziałam...

Ton jej głosu sprawił, że żandarm natychmiast stał się czujny. Przekreślił fotel i dyskretnie skinął głową, żeby jej nie rozpraszać.

– To ma związek z bronią.

– Tak?

– Myślę, że miał kaburę... Zauważyłam to, gdy wstał i pochylił się nad... ofiarą.

– Kaburę...?

Morel poczuł się tak, jakby dostał pięścią w brzuch. Zaczerpnął spory haust powietrza i strzelił knykциями splecionych palców.

– Tak. Tutaj, na biodrze – dodała, wskazując miejsce.

Teraz Morel zbladł.

– Jest pani pewna?

Wiedział, że ton jego głosu sprawił, iż tym razem ona stała się czujna.

– Dlaczego? To ważne?

– Raczej tak – odpowiedział.

– Tak, jestem pewna. Miał kaburę przytroczoną do paska, o tutaj. Jezu!

– Przepraszam na chwileczkę. – Sięgnął po telefon. – Panie pułkowniku, tu kapitan Morel – powiedział po chwili oczekiwania.

– Muszę z panem porozmawiać, ale nie przez telefon. Jak najszybciej. – Odwrócił się do młodej kobiety. – Spróbujemy sporządzić portret pamięciowy. Proszę się nie bać, nie stresować: chodzi po prostu o to, żeby wydobyć ukryte wspomnienia, dobrze? Nigdy nic nie wiadomo. Być może widziała pani więcej, niż pani sądzi.

Stehlin odłożył słuchawkę. Był bardzo blady. Właśnie zadzwonił do żandarmerii w Saint-Martin, by poprosić o zatrzymanie Jensena. Za obopólną zgodą ustalili w końcu, że Servaz spisze raport: wspomni o telefonie od Jensena i pośredniej groźbie dotyczącej Margot, ale zaprzeczy, gdyby tamten twierdził, że widział Servaza w Saint-Martin. Ostatecznie nie miał świadków. Jedyne niebezpieczeństwo stanowił telefon Martina, który na pewno logował się w kilku miejscach po drodze, ale Stehlin uznał, że żaden adwokat nie uzyska nakazu wyłącznie na prośbę klienta. To było ryzyko. Niewielkie. W razie czego Stehlin miał się usprawiedliwić, mówiąc, że nie był na bieżąco. Servaz zaakceptował taki *deal*.

– Co jest? – zapytał komendant, widząc minę dyrektora.

Stehlin patrzył na niego, jak na obcą osobę. Zagadkę. Servaz miał

wrażenie, jakby do jego rdzenia kręgowego wstrzyknięto jakiś zimny płyn. Wyglądało na to, że przez głowę dyrektora przetacza się burza myśli.

– Co ci powiedzieli?

Stehlin jakby się ocknął. Popatrzył na Servaza, potem na Kirsten i znowu na Servaza.

– Jensen nie żyje. Ktoś go zabił. Tej nocy. Strzałem w głowę, z przyłożenia. Myślą, że to był glina.

A potem nikt nie był w stanie wyjaśnić, jak to możliwe, by wiadomość wyciekła tak szybko. Czy źródłem przecieku była żandarmeria, prokuratura czy policja? W każdym razie do wieczora plotka obiegała już wszystkie służby, wzbogacona o rozmaite warianty zdarzeń, jednak jej podłoże zawsze było z grubsza takie samo: jakiś glina załatwił tego gnojka Jensena w chwili, gdy ten właśnie się przymierzał do kolejnego gwałtu. Jak w komiksach *DC vs. Marvel* czy *DC Comics*, gdzie zamaskowani obrońcy uciśnionych w ostatniej chwili wyłaniają się z mroku, by przyjść z pomocą dobrym obywatelom Gotham czy Nowego Jorku.

Według niektórych wersji zdążyło dojść do gwałtu, według innych nie. Jensen zginął od strzału w głowę albo w serce lub też – wedle najśmielszego z wariantów – mściciel-rewolwerowiec najpierw rozwalił mu jaja. Wszyscy zgodnie twierdzili, że nikt na tym świecie – może poza starą matką – nie będzie opłakiwał śmierci tego drania, dzięki której z całą pewnością powietrze stało się czystsze, a drogi bezpieczniejsze dla wielu kobiet mieszkających w tej okolicy. Nie zmieniało to faktu, że w szeregach służb porządkowych narastało napięcie, ponieważ mściciel (nikt lub prawie nikt nie używał słowa „morderca”) był jednym z nich i Inspekcja już przebierała nogami, by zająć się sprawą.

We wszystkich rozmowach przewijało się też inne nazwisko: Servaz. Każdy glina w Tuluzie wiedział, co się wydarzyło na dachu wagonu. Wiedziano także o śpiączce, w którą zapadł dowódca grupy śledczej po strzale Jensena. Wystarczyło kilka godzin, by zaczęły krążyć najśmielsze hipotezy. Nikt jednak nie był bardziej



zaniepokojony i wstrząśnięty od komisarza Stehlina. Dyrektor policji kryminalnej nieustannie powracał w myślach do rozmowy, którą odbył z Martinem po jego przebudzeniu, kiedy to Servaz podzielił się z nim swoim przekonaniem, że to Florian Jensen zabił kobietę w Montauban; to była ta śmieszna historia o kocie bez ucha.

Jego uwadze nie umknął też fakt, że śpiączka zmieniła Martina. Zauważyli to zresztą wszyscy, nawet jeśli unikali rozmów na ten temat. Przynajmniej przy nim, bo za jego plecami języki z pewnością się rozwiązywały. Jeśli chcesz zachować coś w tajemnicy, nie zwierzaj się z tego glinie. Podczas tej śpiączki coś się wydarzyło, coś, co sprawiło, że człowiek, który opuścił Szpital Uniwersytecki w Ranguel to nie był ten sam człowiek, który do niego trafił. Czy to możliwe, by ten człowiek stał się mordercą? Stehlinowi trudno było w to uwierzyć, ale niepewność ani na chwilę całkiem go nie opuszczała, a niepewność jest trucizną po stokroć gorszą niż wszelkie pewniki, nawet te negatywne. Stehlin wiedział, że Martin przed śpiączką nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Ale Martin dzisiaj?

Czytał gdzieś, że naukowcy za pomocą skanera i komputera zdołali odekodować sygnały wysyłane przez mózgi badanych i zrekonstruować obrazy z oglądanego przez nich filmu, a inni uczeni stworzyli interfejs mózg–komputer, który w ten sam sposób pozwala odtworzyć słowa, które czyta badany. „Kolejnym etapem będzie odekodowanie słów, które ludzie sobie wyobrażają”, zapowiedział jeden z badaczy. Niedaleko stąd do czytania w myślach... Absolutny koszmar: życie bez tajemnic, bez możliwości kłamania, udawania. Życie pozbawione kłamstwa albo przynajmniej możliwości targowania się z prawdą stałoby się nie do zniesienia. Ale dla policji byłby to olbrzymi postęp. Tyle że w takiej sytuacji śledczych wkrótce zastąpiono by maszynami i technikami. Ale akurat dzisiaj Stehlin chciałby mieć dostęp do takiej technologii.

Kiedy wieczorem wyszedł z komendy, czuł się zmęczony i niespokojny. Jechał do sądu okręgowego na jedno z tych niezliczonych zebrań, dzięki którym francuska administracja może

żyć złudzeniem, że coś robi. Gdy opuścił parking i jechał avenue de l'Embouchure, zanim znalazł się po drugiej stronie Canal du Midi i skręcił w kierunku bulwarów, trucizna niepewności znowu się uaktywniła. Co w opisie Servaza było prawdą, a co kłamstwem? Jedno jest pewne: jego podwładny udał się minionej nocy do Saint-Martin-de Comminges. Znalazł się w pobliżu Jensena. I tej samej nocy, kilka godzin później, ten ostatni zginął od strzału z broni należącej do policjanta.

Nikt w tuluskiej policji kryminalnej nie był bardziej niespokojny i wstrząśnięty od komisarza Stehlina – może poza Vincentem Espérandieu i Samirą Cheung. Jak wszyscy, słyszeli plotkę: Jensen został zabity tej samej nocy, gdy Martin spotkał się z nim bez świadków. Dzielili jeden gabinet i odkąd plotka dotarła do ich uszu, każde z nich zmuszało się do milczenia. Nie potrafili jednak myśleć o niczym innym.

W końcu Samira odchrząknęła.

– Myślisz, że on mógłby to zrobić?

Espérandieu zdjął słuchawki, w których duet M83 dawał właśnie popis swojej wirtuozerii.

– Co?

– Myślisz, że on mógłby to zrobić?

Posłał jej mroczne spojrzenie.

– Żartujesz sobie.

– Tak wyglądam?

Espérandieu obrócił się razem z fotelem.

– Kurwa, Samira! Mówimy o Martinie!

– Wiem o tym – zdenerwowała się. – Pytanie, o którym Martinie mówimy. O tym przed śpiączką czy o tym po?

Machnął ręką na ten argument i odwrócił się z powrotem do monitora.

– Daj spokój. Nie mam ochoty tego słuchać.

– Nie mów mi, że nie zauważyłeś...

Westchnął. Znowu się odwrócił.

- Czego?
- Że się zmienił...
- ...
- Nawet się już z nami nie liczy.
- Daj mu czas. Dopiero wrócił do służby.
- A ta laska? Co tutaj robi?
- Ta Norweżka? Słyszałaś tyle co ja.
- To nie zmienia faktu, że tylko ona mu w głowie, nie mów, że tego też nie zauważyłaś.
- Jesteś zazdrosna.
- Samira się nachmurzyła.
- Kurwa, ale ty czasem potrafisz być dupkiem. Nie wydaje ci się dziwne, że on bardziej ufa jakiejś cudzoziemce niż nam?
- Nie wiem...
- Samira pokręciła głową.
- Wkurwia mnie to. Naprawdę mnie to wkurwia. Nawet jeśli to nie on, wszystko na niego zwałą. To do przewidzenia.
- Chyba że znajdziemy tego, kto to zrobił – odpalił Vincent.
- Ach tak? Niby jak? A jeśli odkryjemy, że to on?

Olga Lumbroso, zastępczyni prokuratora Sądu Okręgowego w Saint-Gaudens, wyglądała na wyczerpaną. Nie ukrywała swojego zmęczenia. Sprawa taka jak ta była spełnieniem marzeń dla każdego sędziego śledczego, ale urzędniczka sprawująca tę funkcję przy sądzie w Saint-Gaudens, nie była sędzią śledczym. Lumbroso wysłuchała właśnie siedzącego naprzeciw niej żandarma, który odczytał swój raport, i uznała, że młoda sędzina, która na co dzień zajmuje się sprawami rodzinnymi, nie byłaby w stanie tego udźwignąć. Została oddelegowana do spraw kryminalnych w zastępstwie prawdziwego śledczego. Przy okazji ponownego otwarcia sądu w 2014 roku duży regionalny dziennik tryumfalnie ogłosił „powrót sprawiedliwości do Comminges”, jednak od tamtego czasu niewielki sąd działał wyłącznie w oparciu o własne środki. Do dyspozycji było wszystkiego jedenastu urzędników.

A obciążenie pracą wciąż rosło. Postępowania się mnożyły, a oni dzielili się nimi, jak mogli. I oto teraz spadła na nich ta gigantyczna afera.

– Policjant, mówi pan?

– Albo ktoś, kto chce uchodzić za policjanta – uściślił Morel. – Ale ta hipoteza jest niezbyt prawdopodobna: kto używa takich pocisków i nosi na biodrze kaburę poza funkcjonariuszami policji?

– Albo żandarmerii – zauważyła.

– Tak.

Morel trochę się nastroszył. Kobieta, która siedziała naprzeciw niego, z powrotem pogrążyła się w lekturze raportu. Zauważył na jej lewym palcu serdecznym jaśniejszy ślad po obrączce. Ale obrączka zniknęła. Nie wiedział, że zbyt duża ilość pracy i zaangażowanie pani prokurator w obowiązki służbowe wygrały z jej małżeństwem. I że statystyki spraw rozwodowych prowadzonych przez Sąd Okręgowy w Saint-Gaudens utrzymują się na w miarę stałym poziomie około stu sześćdziesięciu rocznie, oprócz tajemniczego spadku w roku 2002.

– I ten człowiek wyskoczył z lasu o trzeciej nad ranem przy kilkustopniowym mrozie, żeby zastrzelić Jensena i zniknąć?

Przy lekturze tej części raportu miała wrażenie, jakby czytała bajkę pana Perrault.

– Wiem, wiem... Myślałem tak samo jak pani. To brzmi absurdalnie. Ale właśnie tak było.

– Czyli mamy do czynienia z jakimś cholernym nocnym superbohaterem. Jak w tych idiotycznych filmach. Który wkracza do akcji w trakcie gwałtu. To jest to. – Nie kryła sceptycyzmu. – A nie miał na sobie peleryny albo przynajmniej kolorowego opływowego kombinezonu?

Morel nie odpowiedział. Przypomniał sobie, jak sam zareagował, gdy kapitan Saint-Germès przedstawił mu fakty. Poza tym nie był mocny w żartach.

Schowała papiery i zdecydowanie nakryła raport piegowatymi dłońmi, jakby teczka mogła się otworzyć wbrew jej woli.

– To jest sprawa dla sądu apelacyjnego – ucięła. – Nie mamy środków technicznych ani ludzi, żeby prowadzić ją tutaj. Zadzwoń do Cathy d’Humières w Tuluzie. Sądzę, że zwrócą się do IGPN i IGGN.

Inspekcja Generalna Policji Narodowej i analogiczna instytucja dla żandarmerii. Policja policji. Morel ostrożnie skinął głową. Sprawa śmierdziała siarką, gównem i kłopotami. I nieprzyjemnościami w rozmiarze XXL. Kobieta siedząca naprzeciw niego była tego absolutnie świadoma.

– Ile osób wie o broni i kaburze?

– Za dużo. Na miejscu zbrodni było sporo ludzi. Próbowaliśmy zminimalizować straty, ale nie sposób powiedzieć, kto ile usłyszał.

Zobaczył, że kobieta się zasępiła.

– Zatem prędzej czy później sprawa wycieknie do prasy. – Sięgnęła po telefon. – Trzeba działać szybko. Przynajmniej pokazać, że nie daliśmy się zaskoczyć, że zareagowaliśmy od razu. – Jej dłoń na chwilę zamarła w powietrzu. – Tak czy owak, nie łudźmy się: nadciąga huragan, który porwie ze sobą wszystko. Glina, który zgrywa obrońcę uciśnionych. Co za pierdzielnik: prasa oszaleje.

Cathy d’Humières jadła właśnie obiad w tuluskiej restauracji Sales Gosses. Delektowała się znakomitym jajkiem i jagnięcą golonką, gdy w jej torebce zadzwonił telefon. Co jej przepowiedział dzisiejszy horoskop? „Będziesz musiała podjąć pilną decyzję. Upewnij się, że masz w dłoni wszystkie karty”. Prezes Sądu Okręgowego w Tuluzie ślepo wierzyła gwiazdom i w miarę możliwości głosiła tę wiarę wszystkim, z którymi spotykała się przy okazji swej pracy – sędziom i glinom. Wystartowała na samym dole hierarchii i pokonała wszystkie stopnie kariery: zastępcy i pierwszego zastępcy prokuratora, asystenta prokuratora, zaczynając od sądu w Saint-Martin-de-Comminges, gdzie sprawa z koniem bez głowy i ośrodkiem kolonijnym przysporzyła jej przelotnej sławy. Ale Saint-Martin było sądem zbyt małym i – jak na jej nieposkromioną ambicję – zbyt rzadko budzącym

zainteresowanie mediów, więc w ciągu kilku lat awansowała na prezeskę sądu w Tuluzie, stanowisko bardziej odpowiadające jej apetytom.

Urodę miała niemal stereotypową: surowa twarz, orli profil, błysk w oku, wąskie usta i wysunięty podbródek. Większość tych, którzy jej nie znali, uważała, że jej powierzchowność onieśmiela, znajomi zaś podziwiali ją albo się jej bali, a często jedno i drugie. Była jeszcze trzecia kategoria: ci, których upokorzyła – głównie ignoranci i intryganci – oni jej nienawidzili.

Cathy d’Humières wyjęła telefon i bez słowa wysłuchała szefowej sądu z Saint-Gaudens. Kiedy Olga Lumbroso skończyła, powiedziała tylko:

– W porządku, proszę mi dostarczyć dokumentację.

Na jej czole pojawiła się jeszcze jedna zmarszczka.

– Podać pani ulubiony deser? – zaproponował kelner.

Miał na myśli banoffee pie z chrupiącą praliną i lodami Carambar.

– Nie, nie tym razem. Podwójne espresso. Nie: potrójne. I gdyby pan miał aspirynę...

– Boli panią głowa?

Przenikliwość młodzieńca wywołała uśmiech na jej twarzy.

– Jeszcze nie. Ale niedługo zacznie.

W książce *Zasada Lucyfera* Howard Bloom, niegdyś spec od reklamy, a obecnie specjalista od zachowań masowych, przedstawił hipotezę, że Matka Natura jest okrutną suką, a przemoc i zło stanowią integralną część jej planu, że w świecie ewoluującym w stronę form coraz wyższych i bardziej złożonych nienawiść, agresja i wojna są motorami, a nie hamulcami owej ewolucji. W takim razie, pomyślała Cathy d’Humières, która wciąż miała książkę Blooma gdzieś na półce, w ostatnim czasie ewolucja musiała potężnie przyśpieszyć. W Tuluzie na przykład poziom przemocy osiągnął w minionym roku niepokojący próg trzech tysięcy pięciuset prowadzonych spraw, w tym dotyczących

przypadków użycia białej broni w centrum miasta. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy był fakt, że wraz z nadejściem wieczoru ilość alkoholu i kokainy na tych ulicach osiąga poziom równy zawartości EPO w żyłach Lance'a Armstronga. W tym samym czasie liczba funkcjonariuszy sądu okręgowego spadła z dwudziestu trzech do osiemnastu. Faktem jest, że centrala zawsze traktowała Tuluzę jak prowincję i że prokuraturze dramatycznie brakowało środków, podczas gdy demografia galopowała, a poziom przestępczości stale rósł. W efekcie Sąd Okręgowy w Tuluzie stawał wobec wszelkiego rodzaju nierozwiązywalnych problemów, na przykład zbyt małej liczby posiedzeń, które pomogłyby stawić czoło coraz większej liczbie spraw karnych. Wskutek braku środków możliwości trzech wydziałów karnych były zbyt małe, by się nimi wszystkimi zająć. Do tego dochodziła jeszcze zwiększająca się liczba spraw cywilnych, znacznie bardziej dochodowych dla panów z adwokatury. Efekt był taki, że w ostatnich latach udział umorzonych postępowań znacznie wzrósł, osiągając poziom dziewięćdziesięciu pięciu procent dla poważnych kradzieży i dziewięćdziesięciu trzech procent dla innych spraw.

Wieczne utrapienie dla szefowej sądu. Kiedy wokół szaleje burza i wieje wiatr o sile sześćdziesięciu węzłów, a człowiek macha czerpakiem w łodzi, która ze wszystkich stron nabiera wody, nie potrzeba już wielkiej fali wpadającej przez prawą burzę. A tymczasem fala właśnie wpadła, pomyślała Cathy d'Humières, czytając raport.

Prokurator Metzger siedział naprzeciwko niej. Jak zwykle nienagannie ubrany, z perfekcyjnie zawiązanym krawatem i włosami świeżo od fryzjera. Zanim przyszedł, zdążył się zapoznać z raportem i kobieta zauważyła w jego oczach łapczywy blask. Ten świr się cieszył. Metzger, jak wielu prokuratorów, kochał medialny cyrk, uwielbiał widzieć swoje nazwisko w gazetach, a zwłaszcza pokazywać się w telewizji. Ulotna to sława, jednak działa jak magnes na wszystkie motyle pragnące upalić sobie skrzydełka w blasku reflektorów.

– Niech mi pan nie mówi, że to pana cieszy, Henri – powiedziała. Wyprostował się na krześle, jakby go obraziła.

– Ależ skąd! Oczywiście, że nie! Jakby jeszcze tego nam było trzeba!

Był wiarygodny jak dzieciak, którego matka przyłapała przed obiadem z ustami umazanymi nutellą.

– Kto pańskim zdaniem powinien poprowadzić śledztwo? – zapytała ostrożnie.

– Desgranges.

Skinęła głową. Tak, Desgranges... A któż by inny? Logiczny wybór. Zmrużyła oczy, patrząc na Metzgera: on i Desgranges nie cierpieli się nawzajem. Desgranges o siwych, nieco za długich włosach, w kolorowych marynarkach i z ognistym temperamentem, był jego fizycznym i psychologicznym przeciwieństwem. Wysoko niósł sztandar niezależności sądownictwa i każdego prokuratora traktował jak potężnego wroga. Metzger zaś, z obsesją na punkcie swojej kariery i notatnika z adresami, był doskonałym wcieleniem wszystkiego, czego Desgranges nienawidził. Ileż to razy jeden z nich wpadał do jej gabinetu, by się poskarżyć na drugiego! Wiedziała, do czego Metzger zmierza: ta sprawa to zatruty prezent. Ale tak się składało, że Desgranges wydawał jej się najlepszym wyborem. Poprowadzi śledztwo energicznie, media zobaczą w nim tego, kim rzeczywiście jest, niezłomnego i bardzo niezależnego sędziego, i właśnie taki obraz wymiaru sprawiedliwości należało w takiej chwili przedstawić. Poza tym Desgranges był z pewnością najbardziej kompetentnym spośród sędziów śledczych.

– Desgranges – potwierdziła. – Sądzę, że zwróci się do IGPN w Bordeaux.

Inspekcja miała siedem oddziałów: w Paryżu, Lyonie, Marsylii, Lille, Bordeaux, Rennes i Metz.

– Nie wiem, co innego miałby zrobić – przyznał jadowicie Metzger. – I do IGGN.

Pewnie oczami wyobraźni już widział, jak jego największy wróg grzęźnie w sądowym bagnie, co kończy się trwałą plamą w CV.



– Będziesz musiał zmodyfikować swój raport – powiedział Stehlin, który wrócił właśnie z kolejnego zebrania i był po rozmowie z prokuratorem.

Servaz nic nie odpowiedział.

– Prędzej czy później się tobą zainteresują. I twoimi podróżami tamtej nocy. Wyobrażasz sobie, co będzie, jeśli zauważą, że pojechałeś do Saint-Martin i o tym nie wspomniałeś?

– Wiem.

– Całe szczęście, że jeszcze go nie wysłałem...

Servaz poczuł, jak narasta w nim gniew. Wyczuł nieufność Stehlina, gdy tylko tamten wrócił z sądu. Jakby jego szef usłyszał tam coś, co zmieniło jego stanowisko. Czy nie powinien na wstępie przyznać większego kredytu zaufania swojemu podwładnemu, człowiekowi, z którym pracuje od lat? Servaz zastanawiał się, co się stało i czy rzeczywiście jest aż tak źle. Czy Stehlin będzie o niego walczył, czy przeciwnie, będzie usiłował się wykpić, myśląc przede wszystkim o własnej karierze? Stehlin był uczciwym gościem, nie to, co jego poprzednik Vilmer, i Servaz dobrze się z nim dogadywał. Ale prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, szefów także.

– Martin...

– Tak?

– Czy przedwczoraj w nocy w Saint-Martin widziałeś go czy nie?

– Jensa? Nie. – Zawahał się. – Cóż, widziałem jakąś postać... jeszcze raz ci mówię: goniłem kogoś, to mógł być Jensen. Ale nie musiał. Widziałem tylko tę postać, która mnie obserwowała z ogrodu. Kiedy ruszyłem w jej stronę, zwiąła. Pobiegłem za nią, ale zniknęła w lesie za termami. Było już po północy. Wróciłem do samochodu i znalazłem kartkę na przedniej szybie.

– Kartkę? Nic mi o niej nie wspomniałeś.

– Tak. Było na niej napisane: „Bałeś się?”.

– Chryste. – Stehlin wyglądał, jakby zobaczył ducha swojej żony zmarłej przed dwoma laty. – Jensen został zastrzelony z policyjnej broni – powiedział. – Będą szukać motywu. I twój od razu rzuci im

się w oczy.

Servaz zeszywniał. Przypomniął sobie o pierwszej rzeczy, którą zrobił, gdy się dowiedział, że Jensen został zabity z broni policjanta: sprawdził, że jego pistolet leży na swoim miejscu.

– Co? Jaki motyw?

– Martin, na Boga! Ten facet wpakował ci kulkę w serce i o mało cię nie zabił! Kiedy wyszedłeś ze śpiączki, sam mi powiedziałeś, iż jesteś przekonany, że to on zabił tę kobietę w Montauban. A więc wymigał się od więzienia! I groził twojej córce!

– Właściwie to wspomniiał o...

– A ty w te pędy pojechałeś do Saint-Martin – przerwał mu Stehlin. – W środku nocy, kurwa! I widziałeś Jensena kilka godzin przed tym, zanim się przekręcił. Ja pierdołę! – Dyrektor nie przyzwyczaił ich do takiego języka. Musiał być cholernie wściekły – albo czuć się osaczony. – Siedzimy po uszy w gównie – dodał ponuro.

Stehlin pokazał wreszcie, gdzie go naprawdę boli. W jego głosie pobrzmiwały delikatne nuty strachu. Nie po raz pierwszy Servaz zauważył, że jego szef jest zbyt ostrożny, zbyt bojaźliwy – i podejrzewał, że za wszelką cenę chce uniknąć burzy. Nawet jeśli miałyby to osłabić skuteczność działania. W jednej chwili poczuł pewność, że Stehlin bez wahania go opuści, byle tylko ocalić własną skórę. Spojrzał na niego. Dyrektor miał poszarzałą twarz: już wrócił do swojej skorupy.

– Biorę to na siebie – powiedział Martin stanowczym głosem.

– Chcę mieć nowy raport bez żadnych białych plam – oświadczył Stehlin, podnosząc na niego oczy, jakby właśnie się obudził. – Musisz dokładnie napisać, co się wydarzyło.

– Czy mam ci przypomnieć, że to nie ja wpadłem na pomysł, żeby przemilczeć mój wyjazd do Saint-Martin? – odparował Servaz, wstając i trochę zbyt gwałtownie odsuwając krzesło.

Stehlin nie zareagował. Znowu był gdzie indziej. Może właśnie kombinuje, jak by się tu zabezpieczyć, pomyślał Martin. Pewnie zastanawia się nad tym, jakie ta sprawa może mieć konsekwencje

dla jego kariery, która do tej pory szła jak po sznurku. Jak odciąć spróchniałą gałąź, od której choruje całe drzewo. Jak wznieść między nimi zaporę przeciwogniową.

– No i? – zapytała Kirsten, gdy spotkali się w ogródku Cactusa.

– No i nic. Będzie śledztwo wewnętrzne – odparł Servaz, siadając.

– Och!

Ostatnie śledztwo wewnętrzne w Norwegii, jakie sobie przypomniała, zostało przeprowadzone po wypadkach na wysepce Utøya – na którą przyplłynął Anders Breivik i dokonał masakry, w której zginęło sześćdziesiąt dziewięć osób, w większości nastolatków – w celu wyjaśnienia, dlaczego policja pojawiła się tak późno. Policja dotarła tam dopiero półtorej godziny od otrzymania informacji o strzelaninie na wyspie, zostawiając młodzież na pastwę opętanego morderczym szaleńcem Breivika. Policjanci musieli wyjaśnić, dlaczego użyli samochodu i łodzi, zamiast pożyczyć helikopter, i dlaczego ich łódź się zepsuła (miała za małą ładowność na taką liczbę osób i sprzętu, tak że zaczęła nabierać wody!).

– Co powiedział?

– Że muszę sporządzić raport. W którym napiszę, że zaledwie na trzy godziny przed tym, jak ten gość został zabity z policyjnej broni, spotkałem się z nim w środku nocy i że był to ten sam gość, który kilka miesięcy wcześniej posłał mnie do szpitala, a potem groził mojej córce, a ja podejrzewałem, że jest sprawcą morderstwa, które nie zostało wyjaśnione. Tyle z grubsza.

W jego głosie było słycać fatalizm. Kirsten powstrzymała się od poinformowania go, że w minionym roku jedenaście tysięcy funkcjonariuszy norweskiej policji wyjęło pistolet z kabury tylko czterdzieści dwa razy oraz że wystrzelono w sumie tylko dwa pociski. I nikt nie został ranny! Po raz ostatni norweska policja zabiła człowieka trzynaście lat temu...

– Myślę, że wrócę do Norwegii. Nie mam tu już nic do roboty – powiedziała. – Utknęliśmy w ślepej uliczce.

Spojrzała na Servaza. Mimowolnie dotknął zdjęcia Gustava w kieszeni.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro. O siódmej rano mam lot do Oslo, z godziną na przesiadkę na Paris-Charles-de-Gaulle.

Skinął głową. Nic nie powiedział. Kirsten wstała.

– Tymczasem trochę pozwiadam. Zjemy razem kolację?

Zgodził się. Patrzył, jak się oddala na zgrabnych nogach wystających spod nienagannego ciemnego płaszcza, który był tak dobrze skrojony, że podkreślał linię jej bioder. Servaz pomyślał, że wielu mężczyzn widząc te plecy, chciałoby wiedzieć, jaką twarz ma ich właścicielka. Kiedy zniknęła mu z oczu, sięgnął po telefon.

– Wyobraźnia mieści się w zakresie od normy do patologii. Wyobraźnię patologiczną cechują marzenia, urojenia, halucynacje – odezwał się Xavier ze swojego fotela.

– Nie mówię o halucynacjach, ale o amnezji – odparł Servaz. – Amnezja jest przeciwieństwem wyobraźni, prawda?

Usłyszał, że Xavier za jego plecami lekko się poruszył. Z miejsca, w którym siedział psychiatra, unosił się zapach mydła marsylskiego.

– A o czym właściwie rozmawiamy?

Minęła chwila, zanim zadał to pytanie. Servaz miał wrażenie, że Xavier dobiera słowa, tak jak wybiera się kolory z wzornika.

– Załóżmy... Załóżmy, że pewnej nocy przyjechałem do Saint-Martin. I że myślę, że zrobiłem jedną rzecz, a w rzeczywistości zrobiłem inną, o wiele gorszą, ale o niej zapomniałem.

– Nie mógłbyś wyrażać się bardziej precyzyjnie?

– Nie.

– Okay. Istnieje kilka form amnezji. Te, które mogą odpowiadać temu, co opisałeś, przynajmniej przy niewielkiej liczbie informacji, jaką mam do dyspozycji, to: amnezja czasowa, czyli utrata pamięci w określonym czasie, która zasadniczo występuje po urazie czaszki albo epizodzie splątania. Czy tej... hmm... pamiętnej nocy doznałeś

urazu czaszki?

– Nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

– No tak, oczywiście. Po drugie jest coś takiego jak amnezja częściowa, która odnosi się do jednego lub kilku konkretnych faktów. Podobnie jak amnezja selektywna. Ten rodzaj amnezji obserwuje się u pacjentów cierpiących na hmm... zaburzenia nerwicowe... – Xavier umilkł na chwilę. – Wreszcie istnieje amnezja fiksacyjna, która polega na niemożności tworzenia nowych wspomnień... To, o czym myślisz, że zapomniałeś...

– Nie, nie. Ja myślę, że tego nie zrobiłem. Moje pytanie jest czysto teoretyczne.

– Okay, okay. A czy owa „czysto teoretyczna” hipoteza ma jakiś związek ze śmiercią tego faceta, który przedwczoraj w nocy został zastrzelony niedaleko stąd z policyjnej broni?

Siedemnasta. Kiedy wyszedł z gabinetu doktora Xaviera, nad Saint-Martin zapadał już zmierzch. Pachniało jodłami porastającymi zbocza pobliskich gór, drewnem palonym w kominkach i spalinami, a w mroźnym powietrzu unosiły się płatki śniegu. Balkony z rzeźbionego drewna, frontony na wzór górskich schronisk i kostka brukowa nadawały tej części miasta na poły dziecinny, na poły mroczny, bajkowy charakter. Skierował się nad rzekę, gdzie zaparkował samochód. Poczował chłód i wilgoć unoszące się znad wody, która wartkim nurtem płynęła w ciemności poniżej promenady.

Gdy usiadł za kierownicą, na chwilę zamarł. Co jest? W kabinie samochodu unosił się dziwny zapach... Jakby wody po goleniu. Odwrócił się, ale z tyłu nikogo nie było. Schylił się do schowka – broń leżała na swoim miejscu, w kaburze. Czyżby zapach dochodził z zewnątrz? Czy otwierając drzwi, wpuścił go do środka?

Zapalił, objechał skwer przed merostwem i ruszył przyległymi do niego uliczkami w kierunku alej d'Étigny, a następnie w stronę wyjazdu z miasta. Na ostatnim rondzie, tuż przed tablicą wskazującą drogę na równinę i autostradę, poczuł mrowienie z tyłu głowy.

Minął drogowskaz i drugi zjazd, prowadzący do kempingów i małej strefy przemysłowej. Sam opuścił rondo na trzecim. Kawałek dalej droga zaczęła się wznosić. Pokonawszy dwa ostre zakręty, zobaczył w dole dachy Saint-Martin.

Mrowienie narastało. Nie jechał tędy od lat. Teraz zmierzch zapadał już bardzo szybko. Świątełka Saint-Martin na białym obrusie śniegu poniżej przypominały rzekę brylantów na wystawie sklepu jubilerskiego, otoczoną ze wszystkich stron czarnym aksamitem gór. Pomyślał, że takie krajobrazy na pewno są Kirsten dobrze znane, i nagle pożałował, że jej tu nie ma. Potem światła zniknęły. Jechał przez las, pod dachem z gałęzi.

Minął osadę złożoną z czterech domów. I kolejną, kilometr dalej, z dachami pokrytymi śniegiem i zamkniętymi okiennicami – ach, ta francuska mania zamykania się, odgradzania, gdy tylko zapadnie zmrok – jakby na zewnątrz czaili się rabusie, którzy tylko czekają, aż zrobi się ciemno, by rzucić się na biednych ludzi. Na następnym rozwidleniu skręcił w lewo, gdzie droga prowadziła z boczem lekko w dół. Zaśnieżone łąki lśniły w półmroku delikatnie niebieskim blaskiem, a z zagłębień terenu zaczęły się unosić pasma mgły. Zjechał z boczem i znalazł się w kolejnej miejscowości, nieco większej od poprzednich, ale tak jak one pogrążonej we śnie. Poza kawiarnią na placu, w której zauważył sylwetki stałych bywalców stłoczone za oświetlonymi oknami, ulice były kompletnie opustoszałe. Po chwili opuścił miasteczko i znowu jechał przez las.

Wkrótce je dostrzegł – po lewej stronie drogi, w oddali, między drzewami. Zrujnowane zabudowania ośrodka kolonijnego Les Isards. Jednak zardzewiała tablica przy wjeździe na prowadzącą do nich drogę zniknęła. Las pogrążał się w coraz gęstszej ciemności. Servaz poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Ale nie przyjechał tu ze względu na ośrodek kolonijny. Minął go. Reflektory jego samochodu drążyły wśród jodeł jasny tunel, rysując wzory na ciężkich od śniegu, zwieszających się tuż przy drodze gałęziach, które przez chwilę wyglądały jak wycinanki z papieru, i przebijając się przez coraz gęstszą mgłę. Oprócz nich jedynym źródłem światła

był niebieski blask zegarów na desce rozdzielczej. Poczł się tak, jakby pojęcia czasu i przestrzeni nagle zostały zniesione.

Ale nie pamięć... Obrazy zaczęły się wyświetlać w jego głowie, jakby umieszczono w niej ekran. Wkrótce wjechał do tunelu wykutego w litej skale. Zastanawiał się, czy tablica, która znajdowała się za tunelem, ciągle jeszcze tam jest. Była. Przykręcona do poręczy kładki przerzuconej nad potokiem: OŚRODEK PSYCHIATRII PENITENCJARNEJ DR. CHARLES'A WARGNIERA. Tak jakby wjeżdżając na tę stromo wznoszącą się drogę, pokonując w jodłowym lesie kilka ostrych zakrętów z wysokimi zaspami na poboczach, a potem wyjeżdżając spomiędzy drzew na łagodniejszy odcinek z widokiem na góry w tle i budynki na pierwszym planie, siedział w wehikule czasu.

W wyniku pożaru zaproszonego przez naczelną pielęgniarkę Lisę Ferney po zabudowaniach zostały tylko kikuty ścian. Kiedy Servaz wysiadł z samochodu, ich widok w blasku księżyca w pełni skojarzył mu się z wielkimi głazami w Stonehenge. Z budynku niewiele zostało, ale jego imponujących rozmiarów można się było domyślić, jak podczas spaceru po Forum Romanum. Była to jedna z tych monumentalnych budowli pochodzących z pierwszej połowy XX wieku, od których roi się w Pirenejach: są wśród nich hotele, elektrownie wodne, termy, ośrodki narciarskie... Tutaj jednak nie goszczono turystów ani kuracjuszy: Instytut Wargniera przez kilkanaście lat był miejscem pobytu osiemdziesięciu ośmiu szczególnie niebezpiecznych osobników z problemami psychicznymi przejawiającymi się zachowaniami przemocowymi i kryminalnymi, zbyt agresywnych nawet dla oddziałów psychiatrycznych o wzmocnionych środkach bezpieczeństwa, skazanych, których psychozy były tak poważne, że nie mogli przebywać w więzieniu, gwałcicieli i morderców, których wymiar sprawiedliwości uznał za niepoczytalnych. Pochodzili z całej Europy. Instytut Wargniera był projektem pilotażowym. Przetrzymano ich tutaj w całkowitej izolacji, z dala od świata. Próbowano na nich wszelkiego rodzaju mniej lub bardziej

eksperymentalnych terapii... Servaz przypomniał sobie, że Diane Berg, młoda psycholożka, przyrównała ich do uwięzionych w górach tygrysów. I w środku tego stada on – samiec alfa. Król Lew, najwyższe ogniwo łańcucha pokarmowego. Julian Hirtmann...

Servaz nie wyłączył reflektorów samochodu, które rzucały jasne kręgi na najbliższą ścianę: zauważył, że mur pokrywają graffiti. Niebo nad majestatycznymi, groźnymi szczytami było rozgwieżdżone, wszystko przenikał obojętny chłód, a kamienne bożki oświetlone blaskiem księżyca, przypominające historię pełną obłędu i śmierci, skojarzyły mu się z książkami Lovecrafta, które czytał w młodości. Nagle poczuł, jak jego serce ścina lód: pomyślał o Gustavie, który żyje u boku jednego z tych potworów. I o Jensenie zabitym z policyjnej broni. O duchach przeszłości i cieniach teraźniejszości. Jego niepokój narastał. Cel manipulacji był dla niego jasny: ktoś chce go zrobić. Ale w co?

Gdy po świeżym śniegu ruszył w kierunku ruin, usłyszał trzask suchego drewna. Zatrzymał się i wyostrzył wszystkie zmysły. Poczuł, jak całe jego ciało pokrywa się gęsią skórą. Nagle uświadomił sobie, że jest jedynym żywym człowiekiem w okolicy i że z nadejściem nocy to miejsce z pewnością przyciąga niemało świrów i wykołajeńców żądnych mocnych wrażeń. Nie ruszając się z miejsca, nadstawił uszu, wszystko jednak pogrążone było w ciszy. Na pewno to jakieś zwierzę, kilka przecież przebiegło mu przed maską, gdy jechał doliną.

Po co go tutaj przyniosło? Co mu strzeliło do głowy? Jaki to ma sens? Co spodziewa się tu znaleźć? Wokół panował absolutny spokój, nagle jednak usłyszał odległy, stłumiony dźwięk dochodzący z głębi doliny. Jak brzęczenie owada. Warkot silnika... Mógł dobiegać wyłącznie z drogi, którą tutaj przyjechał. Wyteżył wzrok, patrząc na górną część doliny, na wysokości opuszczonego ośrodka kolonijnego, i zadrżał: pomiędzy drzewami mignęło światło – raz, a po kilku sekundach kolejny. Doliną zbliżał się jakiś samochód.

Zmrużył oczy, aż światła w lesie znowu się pojawiły. Przez kilka minut obserwował, jak migają wśród drzew, coraz bliżej. Zniknęły



w tunelu i już ich nie widział, ponieważ ta część drogi była zasłonięta górskim zboczem. Czekał, aż wyłonią się sto metrów dalej i ruszą prosto na niego. Kto mógł tu przyjechać o tej porze? Czyżby ktoś go śledził? Przez całą drogę między Saint-Martin a doliną ani razu nie spojrział we wsteczne lusterko. Po co miałyby to robić?

Szybko wrócił do samochodu, otworzył drzwi od strony pasażera i sięgnął do środka po pistolet. Gdy wyjął go z kabury, zauważył, że jego dłoń na rękojeści jest mokra. Kładąc pokrowiec z kordury na fotelu pasażera, usłyszał odgłos wytężonej pracy silnika na podjeździe po drugiej stronie. Nagle, gdy jedyną przeszkodą do pokonania pozostał las, ryk silnika się wzmógł i po kilku chwilach Servaz zobaczył między drzewami blask reflektorów. Kiedy samochód skręcił i wycelował w niego światła jasne jak finałowa salwa pokazu sztucznych ogni, Martina oślepiło. Załadował pocisk, odbezpieczył pistolet i czekał z ręką opuszczoną wzdłuż tułowia.

Samochód jechał prosto na niego. Droga była wyboista i blask reflektorów tańczył przed jego oczami jak świetliste smagnięcia batem. Servaz zasłonił oczy wolną dłonią. Gdy kierowca nacisnął na pedał gazu, rozległ się ryk silnika. Podniósł broń. Samochód szybko jechał w jego kierunku, ale nagle zwolnił. Martin mrugnął, ponieważ pot ściekał mu do oczu, tak że widział jak przez łyżę. Nie był nawet pewien, czy gdyby strzelił, trafi w samochód: był najgorszym strzelcem w całej tuluskiej policji kryminalnej. Otarł pot mankietem. Pieprzona śpiączka, pomyślał.

Wtem dźwięk silnika przycichł, kierowca zrzucił na dwójkę i samochód zwolnił, a następnie zahamował, zgrzytając oponami na mieszance żwiru i śniegu. Dziesięć metrów od niego. Servaz czekał. Słyszał własny oddech, ciężki i niespokojny. Obok świecących wściekłym blaskiem reflektorów ujrzał otwierające się drzwi. Nie widział już nic prócz sylwetki odcinającej się na jaśniejszym tle nocy.

– Martin! – zawołała postać. – Nie strzelaj! Proszę, opuść broń!

Wykonał polecenie. Nagły spadek stężenia adrenaliny we krwi

sprawił, że zakręciło mu się w głowie, tak że musiał się oprzeć o maskę swojego wozu. Xavier szedł ku niemu w świetle reflektorów, a z jego ust unosił się pióropusz pary.

– Doktoru – wydyszał. – Ale mi napędziłeś stracha!

– Przepraszam! Przepraszam!

Xavier miał przyspieszony oddech, z pewnością z powodu stresu spowodowanego widokiem wycelowanego w siebie pistoletu.

– Co ty tu robisz?

Psychiatra podszedł jeszcze bliżej. W dłoni trzymał jakiś przedmiot, ale Servaz nie potrafiłby powiedzieć, co to jest.

– Często tutaj przyjeżdżam. – Głos lekarza był dziwny, napięty, niepewny.

– Co?

– Bardzo często... pod koniec dnia... przyjeżdżam i patrzę na te ruiny. Ruiny mojej minionej chwały, poronionego, martwego marzenia. Rozumiesz, to miejsce wiele dla mnie znaczy...

Xavier wciąż się zbliżał. Servaz spojrzał w dół na jego rękę opuszczoną wzdłuż ciała. W dłoni lekarza spoczywał cylindryczny przedmiot. Nie był w stanie wyraźnie go zobaczyć, dzieliły ich już tylko trzy metry.

– Kiedy zobaczyłem, że ktoś tu jest, o mało nie zawróciłem. Taka sytuacja już raz mi się zdarzyła i to nie było przyjemne spotkanie: były pacjent, który ciągle ma obsesję na punkcie tego miejsca. Wyobrażam sobie, że nie on jeden. Ja także. No i... widzę, że ty też...

Psychiatra podniósł rękę. Servaz poczuł rosnący stres. Spojrzał na przedmiot w jego dłoni. Latarka.

– Może się przejdziemy? – zaproponował Xavier, celując w ruiny wiązką światła. Chodźmy, muszę ci coś powiedzieć.

Na ostatnim piętrze dawnej cesarskiej willi przy Elsslergasse w wiedeńskiej dzielnicy Hietzing paliło się tylko jedno światło. Bernhard Zehetmayer w jedwabnej piżamie, wzorzystej podomce i pantoflach słuchał przed snem *Trzech nokturnów* Debussy'ego.

W pałacyku szalały przeciągi, dlatego dyrygent urządził luksusowy apartament z dwiema łazienkami na ostatnim piętrze, a na pozostałe części budynku machnął ręką. Marmurowe fontanny, potargany bluszcz na fasadzie, okna wykuszowe i ogród o charakterze parku nadawały całości nieco przebrzmiałego arystokratycznego wyglądu.

Cesarz był w swoim wietrznym pałacu zupełnie sam: Maria wróciła do siebie przed dwiema godzinami po przygotowaniu mu kolacji, kąpieli i posłaniu łóżka. Jego kierowca Tassilo miał wrócić dopiero nazajutrz rano, a pielęgniarka Brigitta – widok jej nóg zawsze go poruszał i przyprawiał o nostalgię – wieczorem za dwa dni. Wiedział, że do świtu jeszcze daleko, że noc będzie długa, niezbyt obfita w sen, za to pełna czarnych myśli i ponurych rozważań. Których głównym motywem będzie – jak zawsze – wspomnienie Anny. Jego ukochanej córki. Jego światełka.

Była jego światłem przez całe swoje dzieciństwo i młodość, teraz zaś należy do ciemności. Taka ładna, taka zdolna. Urodzona jako późne dziecko kobiety, która pielęgnowała w sobie wyjątkową zdolność do mówienia mężczyznom tego, co chcieli usłyszeć. Nad jej kołyską przysiadły wróżki urody, inteligencji i talentu. Otworem stała przed nią przyszłość, która miała budzić dumę jej rodziców i zazdrość ich przyjaciół. Czasem się zastanawiał, skąd u niej ten

gruby warkocz czarnych włosów, tak innych niż włosy jej matki, i brązowe oczy o spojrzeniu tak wyrazistym, a zarazem nieprzeniknionym. Uśmiechał się do tej myśli świadom, że mimo niewierności żony nie mogła być dzieckiem nikogo innego: miała kropka w kropkę jego charakter, tę samą co on niezłomność, a przede wszystkim zdumiewający talent do muzyki, większy niż on sam, gdy był w jej wieku.

Gdy dziewczynka miała trzy latka, osobiście odkrył u niej słuch absolutny, co omal nie wprawiło go w ekstazę. Następnie Anna zadziwiająco wcześnie zaczęła zdradzać talent do pianina, na którym grała, komponowała i improwizowała. Jako piętnastolatka została uczennicą Mozarteum w Salzburgu. Salzburg... Miasto, w którym nie był już kilkadziesiąt lat. Miasto przeklęte, miasto sprzedajne, miasto zbrodni. To właśnie na ulicach Salzburga musiał ją wypatrzeć Hirtmann. W jaki sposób się do niej zbliżył? Prawdopodobnie poprzez muzykę: pewnego dnia Zehetmayer ze zdumieniem odkrył, że Szwajcar podobnie jak on jest miłośnikiem Mahlera.

Nikt nie wiedział, co wydarzyło się potem, ale dyrygent wyobrażał to sobie tysiąc razy: znaleziono prywatny dziennik, w którym Anna pisała o „tajemniczym nieznanym”, z którym jest umówiona na „trzecią sekretną randkę”. Zastanawiała się „czy właśnie się w nim zakochuje”, czy nie jest to „szaleństwo ze względu na różnicę wieku”. Zastanawiała się też, dlaczego do tej pory jeszcze jej „nie dotknął ani nie pocałował”. Siedemnaście lat. Miała siedemnaście lat... I świetlaną przyszłość. Kilka dni później zniknęła.

Jej zwłoki znaleziono po ciągnącym się bez końca miesiącu w zaroślach, w miejscu, w które można dojść pieszo, przy szlaku turystycznym biegnącym powyżej miasta. Była naga. Zehetmayer o mało nie oszalał, gdy się dowiedział, ilu i jakiego rodzaju torturom została poddana. Przeklął Boga, Salzburg, ludzkość, naubił policję i dziennikarzy – uderzył nawet jednego, który ośmielił się zapytać go o ból przeżywany po stracie córki – chciał ze sobą

skończyć. Śmierć Anny rozdzieliła też małżonków, zniszczyła ich związek, jakie to jednak miało znaczenie wobec utraty najdroższej osoby na świecie? Gdy poznał nazwisko tego, który to zrobił – a zrobił to także dziesiątkom innych ofiar – wreszcie miał przeciw komu zwrócić swój gniew.

Nigdy by nie uwierzył, że można tak bardzo nienawidzić. Że nienawiść to uczucie czystsze niż miłość, którą to prawdą literatura od czasu historii Kaina i Abla nie przestaje nas karmić. Gdyby nie muzyka, byłbym zgubiony, pomyślał, słuchając ostatnich taktów *Nokturnu*. Ale nawet ona nie zdołała zahamować obłędu, który rozwijał się niczym zatruty kwiat, furii na miarę Starego Testamentu, szekspirowskiej żądzy zemsty. Zehetmayer był człowiekiem aroganckim, upartym i pamiętliwym. Gdy jego żonę zabrał rak, w samotności wieży z kości słoniowej jego obłęd znalazł urodzajną glebę. Jednak do momentu spotkania z Wieserem nigdy sobie nie wyobrażał, że ów obłęd mógłby przerodzić się w czyn.

I oto pojawienie się dziecka ożywiło jego nadzieję. Wstał, ponieważ ostatnie nuty właśnie milkły w sferycznych białych głośnikach umieszczonych po dwóch stronach salonu – były one jedynym futurystycznym elementem w tym miejscu i gryzły się z resztą wystroju. Gdy podchodził do francuskiej wieży hi-fi z najwyższej półki, poczuł silne ukłucie w żołądku i na chwilę przystanął, krzywiąc się z bólu. Tego popołudnia znowu zauważył krew w kale. Do tej pory jednak nie wspominał o tym pielęgniarce. Nie ma mowy, żeby miał na kilka tygodni utknąć w szpitalu, tak jak poprzednim razem. Wyłączył urządzenie, pogasił światła i ruszył do sypialni, która mieściła się na końcu długiego korytarza. On, który publicznie zawsze prezentował się jako silny i pełen werwy, w zaciszu swojego pałacu trochę powłóczył nogami na ułożonym w gwiazdzisty wzór parkiecie. Wślizgując się do łóżka, nagle sprowadzony do kruchej kondycji zwykłego śmiertelnika, zastanawiał się, czy ten sam rak, który zabrał Annę-Chistinę i który wraca po niego, zostawi mu dość czasu, by mógł posmakować zemsty.

Kirsten Nigaard dla zabicia czasu oglądała wystawy sklepowe w centrum. Znowu zobaczyła w szybie odbicie męskiej sylwetki. To już czwarty raz, a może piąty? Facet w okularach. Z dzieciennym kosmykiem włosów opadającym na oczy. Stał plecami do niej i udawał, że interesuje się inną witryną, ale nie była naiwna: co jakiś czas odwracał się, by zerknąć w jej stronę.

Czyżby Martin przydzielił jej ochroniarza? Powiedziałałby jej o tym. Poza tym gość nie wyglądał na glinę. Raczej na zboczeńca. Jego oczka chodziły w tę i z powrotem za grubymi szklami okularów podobnych do tych, które noszą Minionki. Uśmiechnęła się. Tak, to jest to. Śledzi ją Minionek.

Kirsten ruszyła dalej brukowaną ulicą z ciągiem sklepów. Przeszła do kolejnej witryny i przelotnie zerknęła na szybę. Zobaczyła go: on również ruszył z miejsca i był jakieś dziesięć metrów za nią. Nad Tuluzą zapadł już zmrok, ale na ulicach centrum miasta wciąż roiło się od ludzi. Mimo to poczuła nieprzyjemny dreszcz. Wiedziała z doświadczenia, że tłum stanowi mizerną ochronę przed gwałtem czy napaścią. Poza tym prędzej czy później tłum się rozproszy i ulice opustoszeją. To przypadkowy natręt czy chodzi o coś innego? Zboczeniec? Nieśmiały wielbiciel? A może... Istniała jeszcze jedna hipoteza, ale nie, to było niemożliwe.

Doszła do placu Wilsona i skręciła w stronę jednego z kawiarnianych ogródków. Usiadła przy stoliku i skinęła na kelnera. Przez chwilę rozglądała się za natrętem i uznała, że zniknął. Potem jednak go zauważyła. Siedział na ławce w środkowej części placu, w pobliżu fontanny. Zza żywopłotu otaczającego skwer widać było tylko jego głowę. Jakby ktoś mu ją odciął i położył na krzakach. Przeszył ją lodowaty dreszcz. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę z jego obecności, gdy jadła lunch na place Saint-Georges. Siedział trzy stoliki dalej i nie spuszczał jej z oczu, wbijał zęby w gigantycznego cheeseburgera.

Gdy kelner przyniósł jej colę zero, na chwilę odwróciła wzrok, a potem znowu spojrzała tam, gdzie siedział poprzednio, ale już go

nie było. Rozejrzała się po placu. Facet się ulotnił. Nieprzyjemne uczucie, jakby nagły wzrost stężenia amoniaku we krwi, sprawiło, że poczuła drżenie wszystkich mięśni. Przekląła Servaza, który wystawił ją do wiatru, i zadzwonił z informacją, że nie będzie mógł zjeść z nią dzisiaj kolacji, ale przyjedzie nazajutrz, żeby ją pożegnać. Poczuła, jak ogarnia ją niezwykle smutek. Wróci taksówką i poprosi kierowcę, żeby zaczekał, aż znajdzie się za drzwiami hotelu. Nie miała najmniejszej ochoty wracać pieszo w taki wieczór, z cieniem deptającym jej po piętach.

Roxane Varin patrzyła na pismo z oficjalnym nagłówkiem, które spoczywało rozłożone na jej biurku, i nie wierzyła własnym oczom. Wbrew wszelkim oczekiwaniom w odpowiedzi na wniosek o poszukiwanie ucznia za pośrednictwem wydziału oświaty odezwała się jedna placówka: szkoła podstawowa w Hospitalet-en-Comminges. Dyrektor twierdził, że Gustav jest jej uczniem. W piśmie podano numer telefonu. Roxane sięgnęła po komórkę.

– Jean-Paul Rossignol – odezwał się mężczyzna po drugiej stronie.

– Roxane Varin, brygada do spraw nieletnich w Tuluzie. Dzwonię w związku z tym uczniem, Gustavem Servazem. Jest pan pewien, że jest zapisany do pańskiej szkoły?

– Oczywiście, że jestem pewien. O co chodzi z tym dzieciakiem?

– To nie jest sprawa na telefon. Wyjaśnimy to panu. Kto jeszcze oprócz pana widział list z wydziału oświaty?

– Wychowawca Gustava.

– Niech pan posłucha: proszę nikomu więcej o tym nie mówić. I przekazać to samo wychowawcy. To bardzo ważne.

– Nie mogłaby mi pani...?

– Później – odpowiedziała Roxane i się rozłączyła.

Wystukała inny numer, ale trafiła na pocztę głosową. Martin, do cholery, gdzie jesteś?

– Zawsze marzyłem o podróży do Norwegii – powiedział

mężczyzna, który trzy minuty wcześniej przysiadł się do jej stolika.

Kirsten posłała mu powściągliwy uśmiech.

Około czterdziestki, ubrany w garnitur z krawatem i żonaty, jak wskazywała obrączka na jego palcu. Najpierw siedział przy stoliku obok i zagadnął ją, a następnie zapytał, czy może jej towarzyszyć ze swoim piwem.

– Fiordy, wikingowie, triathlon...

Powstrzymała się od złośliwego pytania, czy w jego kraju rzeczywiście je się żaby i spleśniałe sery, czy strajk jest tutaj sportem narodowym i czy to prawda, że jego rodacy w ogóle nie znają języków obcych. Ogólnie rzecz biorąc, facet miał ciekawą urodę, nie klasyczną, ale ciekawą. Może udałoby się jej upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: zabrać go do hotelu i odwiedzić „Minionka” od zamiaru zrobienia jej krzywdy. No tak... Ale uroda to jednak nie wszystko, nawet jeśli chodzi o jedną noc... Poza tym od jakiegoś czasu jej myśli zajmował już inny Francuz.

Czuła cholerny mętlik w głowie, nie wiedząc, jak się zachować, gdy odezwał się leżący na blacie smartfon. Zauważyła irytację na twarzy żabojada. Proszę, proszę, pan „król-stereotypów-na-temat-Norwegii” nie znosi konkurencji ani przeszkód.

– Kirsten – przedstawiła się.

– Kirsten, tu Roxane – odezwała się Roxane Varin mniej więcej po angielsku. – Wiesz, gdzie jest Martin? Znalazłam Gustava!

– *What?*

Księżyc, który wcześniej oświeślał zimnym blaskiem szkielet budynku, zniknął za chmurami i zaczęło sypać. Z biegiem czasu białych płatków, które wirując, spadały z nieba na mury byłego Instytutu Wargniera, było coraz więcej. Fruwały po zrujnowanych korytarzach chaotycznymi, nieuporządkowanymi stadami, jakby nie wiedziały, gdzie osiąść. Kikuty schodów, zwęglone i zdeformowane przez pożar futryny drzwi, dawne sale dla pacjentów teraz otwarte na oścież i pogrzebane pod śniegiem... Wyglądało na to, że Xavier nie zapomniał topografii budynku, gdyż orientował się w tym



labiryncie bez trudu.

– Wydaje mi się, że go spotkałem – odezwał się nagle, gdy szli między dwiema długimi ścianami.

– Słucham?

– Hirtmanna. Myślę, że kiedyś go spotkałem.

Servaz przystanął.

– Gdzie?

– W Wiedniu. W dwa tysiące piętnastym, przy okazji dwudziestego trzeciego Europejskiego Kongresu Psychiatrii: ponad tysiąc delegatów należących do EPA, European Psychiatric Association. Stowarzyszenie liczy ponad siedemdziesiąt tysięcy członków.

Wiedeń... Servaz miał w kieszeni zdjęcie z Austrii: przedstawiało Gustava pozującego na tle jednego z najsłynniejszych krajobrazów tego kraju.

– Nie wiedziałem, że w Europie jest tylu psychiatrów – powiedział.

Miotący śniegiem wiatr wył coraz głośniejsze wśród ruin budowli. Servaz postawił kołnierz, ponieważ lodowate zimno kąsało go w kark.

– Bo obłąd jest wszędzie, Martin. Powiedziałbym nawet, że to on rządzi światem. Co ty na to? Próbuje racjonalizować, rozumieć, ale tu nie ma nic do rozumienia: świat z dnia na dzień staje się coraz bardziej szalony. Cóż, w każdym razie wśród ponad tysiąca delegatów nietrudno pozostać niezauważonym.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

– Bo przez długi czas sądziłem, że sobie to wymyśliłem. Że sam się wkręcałem. Ale im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że to był on. A myślę o tym często...

– Opowiadaj.

Xavier zawrócił i szli teraz po własnych śladach, przekraczając gruz i metalowe belki leżące na ziemi. Płatki śniegu osiadały im na ramionach jak łupież.

– Akurat trwał wykład, gdy jakiś gość zapytał, czy może usiąść

obok. Przedstawił się, nazywał się Hasanović. Był bardzo sympatyczny i szybko zaczęliśmy żartować po angielsku, bo wykład był dość nudny, a mówca słaby. zaproponował, żebyśmy poszli do bufetu na kawę. – Xavier przerwał na chwilę i poczekał, aż przejdą na drugą stronę kupy gruzu. – Powiedział mi, że pracuje jako psychiatra w Sarajewie. Dwadzieścia lat od zakończenia wojny w Bośni wciąż leczył bardzo poważne objawy stresu pourazowego. Według niego obserwuje się je u piętnastu procent bośniackiego społeczeństwa, a w niektórych miastach, oblężonych podczas wojny, odsetek ten może sięgać nawet pięćdziesięciu procent. W Sarajewie stowarzyszenie, w którym pracował, organizowało terapie grupowe.

– I myślisz, że ten gość to był Hirtmann? Jak wyglądał?

– Był jego wzrostu i w jego wieku. Oczywiście zmieniony nie do poznania. Kolor oczu, kształt twarzy, nosa, przeszczepione włosy. Nawet głos. I nosił okulary.

Servaz się zatrzymał. Usiłował zapanować nad emocjami.

– Przytył? Schudł?

– Można powiedzieć, że pod tym względem się nie zmienił. Wieczorem spotkaliśmy się na przyjęciu. Przyszedł w towarzystwie bardzo pięknej kobiety, z klasą, w sukience, która zwracała powszechną uwagę. Kontynuowaliśmy rozmowę i kiedy się przyznałem, że byłem dyrektorem Instytutu Wargniera, natychmiast wykazał ogromne zainteresowanie: trzeba powiedzieć, że po tym, co się stało, Instytut jest w psychiatrycznym świecie prawie legendą. Powiedział mi, że historia ośrodka przez długi czas go pasjonowała i że rozpoznał moje nazwisko, ale nie wiedział, czy będę miał ochotę poruszać ten temat, dlatego o nim nie wspomniał.

Legenda... Nie tylko wśród psychiatrów, pomyślał Servaz. Ale nic nie powiedział.

– Zadawał mnóstwo pytań. O sposoby leczenia, o pacjentów, o to, co się wydarzyło na koniec... Oczywiście doszliśmy też do Hirtmanna. – Głos Xaviera był teraz bardziej napięty. Światło latarki tańczyło na ścianach. Ich podeszwy skrzypiały na kupkach kamieni i Servaz zobaczył, że dolna część nogawek lekarza jest uwalana

śniegiem. Zbliżali się do wyjścia. – I po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że facet wie zaskakująco dużo, zarówno na temat tamtych wydarzeń, jak i samego Szwajcara. Nie ograniczał się do zadawania pytań, miał jasno sprecyzowane poglądy i zadziwiającą wiedzę. Moją uwagę zwróciły zwłaszcza niektóre szczegóły. Nie przypominam sobie, żeby mówiła o nich prasa.

– Jakie?

– Na przykład wiedział, jaki był widok z okna celi Hirtmanna w Instytucie.

– To mogło wyciec do gazet...

– Naprawdę? Do których? I czy ta informacja dotarłaby do bośniackiego psychiatry?

– To wszystko?

– Nie. Ze szczególnym naciskiem mówił o tej potężnej jodle, której czubek Szwajcar widział z okna, o symbolice drzewa w ogólności, jako „łącznika trzech poziomów kosmosu: podziemnego, w który zapuszcza korzenie, ziemi i nieba”, o drzewie życia i drzewie poznania dobra i zła w Biblii. O drzewie, pod którym Budda doznał oświecenia, i drzewie śmierci w kabale. Był bardzo wyczulony na kwestię symboli.

– No i?

– I wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że Hirtmann mówił mi kiedyś o tym wszystkim, używając niemal tych samych słów...

Servaz znowu przystanął. Zadrżał – być może z zimna.

– Jesteś tego pewien?

– Tak, w tamtym momencie byłem pewien. Byłem zszokowany. I zauważyłem, że Hasanović odczuwa złośliwą przyjemność, widząc moje poruszenie. A potem, sam wiesz, jak to jest: zacząłem wątpić w to, co właściwie słyszałem. Powinienem był zrobić notatki, ale nie zrobiłem. Psiakrew, byliśmy na bankiecie. Zacząłem się zastanawiać, czy pamięć nie płąta mi figli, czy rzeczywiście to powiedział, czy sam sobie później odtworzyłem naszą rozmowę w taki sposób. Z upływem dni miałem coraz większe wątpliwości.

– Powinieneś był mi o tym powiedzieć.

– Tak, być może. Ale co by to zmieniło?

Wyszli z labiryntu ruin. Sypało teraz bardzo obficie: miliardami wielkich płatków, pozlepianych i puszystych. Maski ich samochodów były białe.

– A dzisiaj jak sądzisz? – zapytał Servaz, brnąc przez śnieżycę do swojego wozu.

Xavier przystanął i policjant musiał się odwrócić.

– Dzisiaj sądzę, że to był on – powiedział psychiatra, patrząc na niego.

– Sprawdzałeś, czy w Sarajewie w ogóle pracuje psychiatra o nazwisku Hasanović?

– Tak, sprawdziłem. Pracuje.

– I jak wygląda?

– Nie wiem. Nie drążyłem dalej. W tamtej chwili nabrałem przekonania, że konfabulowałem.

– Ale dzisiaj uważasz, że nie?

– Tak.

Nagle w kieszeni Servaza rozdzwonił się telefon. Wrócił zasięg. W czasie, gdy telefon był poza siecią, ktoś kilka razy próbował go złapać. Policjant wyjął komórkę. Miał też dwie wiadomości głosowe: Kirsten i Roxane.

– Co ty robisz?

Podniósł wzrok. W drzwiach pokoju, oparta o futrynę, stała Margot.

– Muszę wyjechać na kilka dni. Robota – odparł, składając sweter i umieszczając go na kupce ubrań w walizce.

– Musisz... co?

Znowu na nią spojrział. Margot była czerwona z wściekłości. Jej oczy błyszczały. Cała ona: w pół sekundy potrafiła wpaść w złość z zupełnie nieoczekiwanego powodu, a w każdym razie takiego, który u niego nigdy nie wywołałby podobnej reakcji. Przerwał pakowanie.

– No co jest? – zapytał, wzdychając.

– Wyjeżdżasz?

– Tylko na parę dni.

Pokręciła głową.

– Nie mogę w to uwierzyć. Odkąd tutaj jestem... prawie cię nie widuję. Znikasz, wracasz w środku nocy. Godzinę temu przyszedłeś do domu, tato. A teraz się pakujesz i informujesz mnie, że nie będzie cię przez kilka dni. Może mi wyjaśnisz, po co ja tutaj jestem. Do czego służę? Cały czas spędzam sama, do cholery! Przypominam ci, że nie tak dawno temu byłeś w sypialni i lekarze kazali ci się nie forsować!

Teraz on poczuł narastający gniew. Nie cierpiał być strofowany. Jednak wiedział, że jego córka ma rację.

– Nie martw się – powiedział, usiłując zachować spokój. – Czuję się dobrze. Nie powinnaś się tym przejmować. Właściwie mogłabyś

już wrócić do poprzedniego życia, do życia młodej kobiety. Nie jesteś tutaj szczęśliwa.

Natychmiast pożałował ostatniego zdania. Wiedział, że Margot rzuci się na niego jak pies na kość. Potrafiła wyciągnąć zdanie z kontekstu i wycelować nim w człowieka jak bumerangiem. Byłaby świetnym prokuratorem.

– Co?! – zawołała jeszcze głośniej. – Kurwa, nie wierzę!

Wiedział, że w tej chwili powinien ugryźć się w język. Zamiast tego, wpychając do walizki zimowe spodnie, rzucił:

– Przestań zgrywać kwokę, proszę cię. Dobrze się czuję.

– Wal się!

Usłyszał, jak dziewczyna oddała się szybkim krokiem. Zamknął walizkę i wyszedł z pokoju.

– Margot!

Chwyliła przewieszoną na oparciu krzesła kurtkę i zabrała iPoda, który leżał na stoliku w salonie.

– Dokąd idziesz?

Stała tyłem do niego. Domyślił się, że manipuluje przy urządzeniu, bo nagle ze słuchawek ryknęły jakieś piekielne dźwięki. Zgrzyt gitar elektrycznych, który słyszany z zewnątrz przypominał tysiąckroć spotęgowane skrobanie termita wgrzyzającego się w drewno. Na chwilę zdjęła słuchawki z uszu.

– Możesz być spokojny. Kiedy wrócisz, już mnie tutaj nie będzie.

– Margot...

Już go nie usłyszała. Włożyła słuchawki i unikała jego spojrzenia. Zastanawiał się, co może jej powiedzieć w tej chwili. Była na granicy płaczu, a on nigdy nie miał talentu do radzenia sobie z uczuciami innych. Tym bardziej z częstymi smutkami własnej córki.

– Margot! – zawołał głośniej, ale dziewczyna już szła do wyjścia.

Zobaczył, że po drodze sięgnęła po klucze. Trzasnęła drzwiami i nawet na niego nie spojrzała.

– Cholera! – zawołał. – Cholera, cholera, cholera!

Minęło pół godziny, a Margot wciąż nie wracała. Zamknął walizkę i wysłał jej z tuzin esemesów. Gdy zadzwonił jego telefon, Servaz rzucił się, by odebrać.

– Jestem na dole – oświadczyła Kirsten.

– Idę – powiedział, nie kryjąc rozczarowania.

*Muszę już iść. Kirsten czeka na dole. Oddzwon, proszę.*

Chciałby jej powiedzieć, że ją kocha – i że spróbuje się zmienić – ale mimo że jego serce przepęłniała miłość do córki i czuł się zdruzgotany, zamknął telefon. Gdy dochodził do drzwi, przypomniał sobie, że Stehlin obiecał mu ochronę dla Margot i do tej pory nic w tym kierunku nie zrobił. Jutro przycisnie go, żeby podjął stosowne działania.

– Jesteś pewna, że cię śledził? – zapytał Servaz, wpatrując się w czarną wstęgę szosy znikającą pod światłami samochodu razem z linią ciągłą i przerywaną, które przesuwają się przed jego oczami z hipnotyczną natarczywością.

Obok, wśród mroku, rozległ się głos Kirsten:

– Tak.

– To mógł być zwykły świr zabawiający się łażeniem za kobietami na ulicach.

– Możliwe. Ale...

Zerknął na Norweżkę. Ona także wpatrywała się w autostradę za przednią szybą, a słaby blask deski rozdzielczej podkreślał jej profil. Na chwilę zapadła cisza, w której słyszał tylko warkot mijanej właśnie ciężarówki. Na tej wysokości nie sypało – wręcz przeciwnie, zanosilo się na deszcz: o szybę rozbiła się duża kropla wody, potem druga i trzecia...

– Ale ty tak nie uważasz – dokończył.

– Nie.

– Bo to mimo wszystko dość dziwny zbieg okoliczności, że w takiej chwili jakiś facet śledzi cię na ulicach Tuluzy.

– Właśnie.

Opuścili miasto godzinę wcześniej i jechali autostradą A64 na zachód, do miasteczka Hospitalet-en-Comminges. Wiatr, który targał drzewami po obu stronach drogi, wskazywał na to, że zdmierzają także w stronę burzy.

– Naprawdę myślisz, że znajdziemy tam Gustava? – zapytała.

– Zbyt proste, co?

– Powiedzmy, że niepodobne do Hirtmanna.

Servaz skinął głową, ale nie znalazł słów, by jej odpowiedzieć.

– I co zrobimy, kiedy już tam dotrzemy?

– Najpierw poszukamy hotelu. A jutro rano do dzieła: merostwo, szkoła... Może tym razem ktoś będzie coś wiedział. W Hospitalet jest dwustu mieszkańców. Jeśli tam jest, znajdziemy go.

Czy sam w to wierzy? Kirsten miała rację: to zbyt proste. Sprawy często są proste, ale nie wtedy, gdy chodzi o Szwajcara. O nie.

Margot siedziała w VC Café i przez szybę zobaczyła, że jej ojciec wyszedł z budynku i na chodniku spotkał się z norweską policjantką. Ruszyli w kierunku parkingu, żywo o czymś rozmawiając. Poczowała lekkie ukłucie w sercu. Zazdrość. Od razu skarciła się za to uczucie.

Zadziałała impulsywnie, chcąc wystawić ojca na próbę. Chciała go zmusić do reakcji, chciała, żeby wreszcie dokonał wyboru między nią a pracą. Miała nadzieję, że z jej powodu zrezygnuje z wyjazdu. To było idiotyczne. Spuściła wzrok i spojrzała na wyświetlacz telefonu leżącego między nią a lampką wina. Na ekranie widać było jeszcze jego ostatnią wiadomość:

*Muszę już iść. Kirsten czeka na dole. Oddzwon, proszę.*

No to ma swoją odpowiedź.

– Musimy się zatrzymać – odezwał się nagle i wskazał na tablicę



z informacją o miejscu obsługi podróżnych w odległości kilometra.

– Nie starczy nam benzyny.

– W porządku. Skorzystam z toalety.

Ostrożnie zjechał wąską, zalaną deszczem drogą prowadzącą do parkingu, rozbryzgując pióropusze wody przed samym nasypem, w miejscu, gdzie droga była lekko spadzista. Tuż przed nim z prędkością poniżej dwudziestu kilometrów na godzinę toczył się granatowy van i Servaz powstrzymywał chęć wciśnięcia klaksonu. Zatrzymał się pod zadaszeniem z dystrybutorami paliwa. Na zewnątrz było urwanie chmury. Wiatr wiał z taką siłą, że karoseria samochodu wpadała w wibracje. Przed niewielkim sklepem w strugach deszczu parkowało około dziesięciu samochodów. Gdy tylko Servaz wyłączył silnik, Kirsten odpięła pasy, otworzyła drzwi, postawiła kołnierz i pobiegła w stronę światła. On także wysiadł. Choć znajdował się pod dachem, docierały do niego niesione wiatrem krople deszczu. Oprócz vana przy sąsiednich dystrybutorach stały jeszcze dwa samochody. Zapamiętał numer swojej pompy i chwycił pistolet. Machinalnie nacisnął spust i powrócił myślami do tego, co powiedział mu doktor Xavier w ruinach.

Oczywiście, najłatwiej było przyjąć, że Szwajcar zmienił wygląd. Pomyślał jednak o obrazie z kamery monitoringu. Mężczyzna przypominał tamtego Hirtmanna, którego Servaz znał, a przecież nagranie było późniejsze niż spotkanie Xaviera z bośniackim psychiatrą. Może doktor Hasanović to jednak nie Hirtmann? Może rzeczywiście pamięć płata jego przyjacielowi figle? Szwajcar mógł też zastosować kamuflaż: przyklejona broda, szkła kontaktowe w innym kolorze, zdejmowane protezy szczęki czy nosa, jakich używa się w kinie.

Spojrzał na granatowego vana ze śladami rdzy na drzwiach, który stał dokładnie po drugiej stronie dystrybutora. Drzwi były otwarte na oścież i w środku było ciemno jak w grobie. Najwyraźniej kierowca poszedł zapłacić, bo samochód był pusty. Servaz machinalnie zerknął przez ociekające wodą okno sklepu w kierunku

kas: tam także nikogo nie było. Zadrzał. Nienawidził vanów. Podobnym wozem porwano Marianne. Znaleźli samochód na terenie identycznego jak ten punktu postoju na autostradzie. Granatowy van ze śladami rdzy. Taki jak ten. Servaz przypomniał sobie, że na lusterku wstecznym wisiał różaniec z paciorków z drzewa oliwnego ze srebrnym krzyżykiem. Przeniósł wzrok na kabinę vana. Na lusterku coś wisiało. W ciemności, przez brudną szybę, nie potrafił zidentyfikować przedmiotu. Ale założyłby się, że to różaniec.

Nabrał powietrza. Odwiesił pistolet. Przecisnął się między dwoma dystrybutorami i powoli okrążył samochód. Rzucił okiem na tablicę rejestracyjną i zamarł. Kilka startych liter i cyfr sprawiało, że była kompletnie nieczytelna. Kirsten, pomyślał. I puścił się biegiem w strugach deszczu.

Wchodząc do damskiej toalety, Kirsten zwróciła uwagę na unoszący się w powietrzu zapach zmieszany z wonią przemysłowego detergentu. Męskie perfumy. W środku nikogo nie było. Może zapach pozostał po jakimś sprzątaczu albo mężczyźnie, który wszedł i zaraz wyszedł, spostrzegłszy swoją pomyłkę. W pomieszczeniu najwyraźniej przeciekał dach, bo na samym środku, przed dwojgiem drzwi, na których wisiała informacja „nieczynne”, stało wiadro z mopem. Kirsten podniosła głowę, ale nie zauważyła plamy na suficie. Dostrzegła za to w głębi uchylone okienko, przez które słyhać było szum deszczu. Spośród trzech lamp, które miały oświetlać toalety, działała tylko jedna: rzucała skąpy, przerywany blask. Kąty pomieszczenia tonęły w głębokim cieniu.

Wzdrygnęła się, ale weszła do trzeciej kabiny, jedynej czynnej, zamknęła za sobą drzwi, zdjęła majtki i usiadła. Pomyślała o tym, co powiedział Servaz: zbyt proste. Zdjęcie Gustava pozostawione na platformie, a teraz ta szkoła. Zbyt proste, myślała. Oczywiście, to jest zbyt proste.

Nagle podskoczyła. Wydało jej się, że usłyszała jakiś dźwięk. Skrzypnięcie zawiasów. Miała wrażenie, że źródłem dźwięku nie były sąsiednie drzwi, ale pierwsze, które minęła. Wyteżyła słuch,

jednak szum ulewy za oknem zagłuszał wszystkie inne odgłosy.

Kirsten podtarła się, wstała, wciągnęła majtki i nacisnęła na spłuczkę. Wahala się przez chwilę, nim otworzyła drzwi, ale poza stukaniem deszczu z zewnątrz nie dochodziły już żadne dźwięki. Wyszła, spojrzała na rząd umywalek i luster naprzeciwko. W jednym z nich, na lewo od niej i nieco wyżej, zobaczyła odbicie jakiejś postaci. Odwróciła głowę i wstrzymała oddech. Stał obok wiadra z mopem w dłoni – ten sam wysoki okularnik, który chodził za nią ulicami Tuluzy. Uniósł kij mopa i zbił ostatnią działającą lampę nad swoją głową.

Wszystko pogrążyło się w ciemnościach. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, mężczyzna był przy niej i przyciskał ją do ściany w głębi pomieszczenia, obok uchylonej lukarny. Kilka metrów od niej deszcz siekł w okienko z taką siłą, że krople pryskały jej na twarz jak kropelki płwociny.

– Cześć, Kirsten.

Przełknęła ślinę. Kirsten. Próbowwała oddychać spokojnie, ale nie była w stanie. W jej skroniach waliła krew i przed oczami zaczęły pojawiać się mroczki. W poświacie dochodzącej z parkingu zdołała dostrzec rysy jego twarzy. Serce zamarło jej w piersi: teraz, gdy stali tak blisko siebie, rozpoznała go. Zrobił coś z ustami i oczami, zmienił fryzurę i kolor włosów – chyba że to była peruka – ale z całą pewnością to był on.

– Czego chcesz? – zapytała przez ściśnięte gardło.

– Ciiiiicho.

Błyskawicznie sięgnął pod jej płaszcz i spódnicę. Kirsten najpierw poczuła, jak przez rajstopy pieści jej nogę nad kolanem, następnie jego duża, ciepła dłoń przesunęła się wyżej. Kobieta przygryzła wargi.

– Od dawna miałem na to ochotę – szepnął jej do ucha.

Nie odpowiedziała, ale jej serce waliło jak szalone, a nogi zaczęły drżeć. Przez rajstopy i majtki dotknął palcami jej krocza, tak że odruchowo zacisnęła uda. Zamknęła oczy.

Servaz wbiegł do sklepu, potrącając parę, która w porę nie zeszła mu z drogi.

– Hej! – zawołał mężczyzna za jego plecami, gotów do bójki.

On jednak już wbiegł do wnęki, w której znajdowały się drzwi toalet. Męska po prawej, damska po lewej. Pchnął drzwi. Wszedł do środka. Zawołał. A potem ją zobaczył. Siedziała na podłodze w głębi, niedaleko okienka, jedyne źródła słabego światła, przez które wpadały krople deszczu. Szlochała histerycznie. Idąc w jej stronę, obserwował troje zamkniętych drzwi naprzeciwko umywalek. Minął je, przyklęknął i wyciągnął rękę, a ona natychmiast się w niego wtuliła. Klęczeli na posadzce spleceni niczym aktorzy dziwnej pantomimy.

– Co ci zrobił?

Była ubrana i nie zauważył śladów walki, nie miała też potarganej odzieży.

– Tylko mnie... macał.

– Na pewno jest już daleko – powiedział. – Wszystko przewidział.

Szukali wszędzie, w środku i na zewnątrz, zauważyli też, że kierowca wana porzucił samochód.

– Nie można zamknąć autostrady?

– Trzy kilometry stąd jest zjazd. Na autostradzie już go dawno nie ma.

Kilka minut wcześniej, gdy prowadzili poszukiwania, jeden z klientów sklepu poskarżył się, że nie może znaleźć swojego samochodu. Servaz zamierzał przekazać numery wozu żandarmom, ale był pewien, że zanim zorganizują blokady, Szwajcar zdąży się ulotnić. Wahał się, czy dzwonić do brygady identyfikacji. Wiedział, że jeśli to zrobi, Stehlin i cała hierarchia błyskawicznie się o wszystkim dowiedzą. Że odbiorą mu śledztwo i prześlą komuś, kto nie jest „w trakcie rekonwalescencji”. Nie ma mowy. Zresztą nie potrzebował potwierdzenia: był pewien, że tu, na tym postoju, ich droga właśnie przecięła się z drogą Szwajcara.

– Niewiarygodne. Jak on to zrobił, że znalazł się tutaj w tej samej

chwili co my?

Jej oczy wciąż były wilgotne. Przez ociekające deszczem okna Servaz obserwował samochody, które opuszczały parking, rozchlapując brudne kałuże. Siedzieli na plastikowej pomarańczowej ławce w kącie restauracji, która o tej porze była pusta.

– Musiał jechać przed nami od jakiegoś czasu. A wcześniej nas śledził. Przypuszczam, że kiedy w lusterku wstecznym zobaczył, że wrzucam kierunkowskaz, zrobił to samo. A wszystko, co było dalej, to po prostu kwestia okazji. Wykorzystał ją. Hirtmann jest mistrzem improwizacji.

Zerknął na drzwi do toalet.

– Jak się czujesz?

– Może być.

– Jesteś pewna? Chcesz, żebyśmy wrócili do Tuluzy? Może chciałabyś z kimś pogadać?

– Z kimś? To znaczy? Z jakimś pieprzonym świrologiem? Czuję się dobrze. Zaręczam ci, Martin.

– Okay. No to w drogę. Nie mamy tu już nic do roboty.

– Nie powiadomisz innych?

– Po co? On jest już daleko. Gdybym o tym powiedział, Stehlin odebrałby mi śledztwo – dodał. – Poszukajmy hotelu. Jutro pojedziemy dalej.

– Jednego przynajmniej możemy być pewni: on tutaj jest, całkiem blisko. I depta nam po piętach – podsumowała.

Tak, pomyślał. Czai się jak kot na mysz. Spojrzał na wiadomość, którą otrzymał kilka minut wcześniej. Po tym, jak się zatrzymali, dwukrotnie dzwonił do Margot. Za każdym razem trafiał na pocztę głosową. Napisała:

*Przestań wydzwaniać. U mnie wszystko okay.*

Na zewnątrz wciąż lało jak z cebra i chcąc wyrzeć przez hotelowe

okno, Servaz zobaczył w nim swoje odbicie. Ujrzał człowieka goniącego resztkami sił, ale także pełnego gniewu. Był sam. Nie tylko przy stoliku, ale w całej restauracji. Kirsten poszła prosto do swojego pokoju, informując, że zamierza wziąć prysznic. Zamówił antrykot i frytki. Danie było trochę za tłuste. Nie był już głodny i zostawił połowę porcji na talerzu.

– Nie smakowało? – zapytała kelnerka.

Zapewnił ją, jak tylko potrafił, że jedzenie było bardzo dobre, i kobieta odeszła, zrozumiawszy, że klient nie ma ochoty na rozmowę. Nagle zaczął myśleć o Gustavie. Czy Hirtmann wie, dokąd jada, kogo chcieliby spotkać? Przestraszył się, że Szwajcar znowu ukryje dzieciaka. Jak magik, który pokazuje króliczka, a potem sprawia, że zwierzę znika. A jeśli jutro chłopiec nie przyjdzie do szkoły? Miał ochotę zadzwonić na najbliższy posterunek żandarmerii, poprosić o odnalezienie dziecka i umieszczenie go w bezpiecznym miejscu. Był jednak zbyt zmęczony, by tego wieczoru podjąć jeszcze jakiegokolwiek działanie. Poza tym nie mógł pojąć, dlaczego Hirtmann postąpił w ten sposób. Jaki miał powód? Jeżeli znał ich plany, w jego interesie było działać dyskretnie i zabrać dzieciaka bez robienia szumu. Chyba że ta sprawa już została załatwiona. A jeśli tak, nic na to nie poradzą.

Myślenie o Gustavie źle na niego podziałało. W jego umyśle pojawił się inny obraz, który wcale mu się nie spodobał. Przez chwilę wyobraził sobie, jak wychowuje małego chłopca, i ta perspektywa była dla niego tak przerażająca, że czym prędzej przegnał ją ze swoich myśli. Niepokoiła go sprawa śmierci Jensena. Policyjna amunicja. Jego obecność tamtej nocy w pobliżu miejsca zbrodni. I podejrzenia, których z całą pewnością stanie się głównym obiektem.

Nagle poczuł się bardzo samotny. Wokół panowała głucha cisza i zastanawiał się, czy on i Kirsten nie są jedynymi klientami w całym hotelu. Od czasu zdarzenia na autostradzie coraz mocniej bolała go głowa. Zajrzał do filiżanki po kawie, jakby tam mógł znaleźć rozwiązanie swojego problemu, gdy nagle rozległ się

dźwięk telefonu. Kirsten.

– Boję się – powiedziała po prostu. – Czy mógłbyś przyjść na górę?

Wysiadł z windy i ruszył do drzwi z numerem trzynastcie. On mieszkał pod czternastką, dokładnie naprzeciwko. Zapukał. Bez odpowiedzi. Odczekał kilka sekund i zapukał ponownie. Dalej nic. Zdenerwował się i już zamierzał zacząć głośno się dobijać, gdy drzwi się otworzyły. W progu stanęła Kirsten Nigaard w szlafroku, z mokrymi włosami.

Wpuściła go, zamknęła drzwi, wycofała się do pokoju i oparła biodrami o niewielkie biurko, na którym stał dzbanek elektryczny i leżały saszetki neski. Nie wiedział, co robić. Jaką pomoc jej zaoferować i w jakiej formie? W hotelowym pokoju czuł się niezbyt swobodnie. Była naprawdę atrakcyjną kobietą, ale zważywszy na to, co właśnie przeżyła, za żadne skarby nie chciał jej stawiać w kłopotliwej sytuacji.

– Będę naprzeciwko. Zamknij się na cztery spusty i nie wahaj się do mnie dzwonić. Telefon mam przy sobie – powiedział.

– Wolałabym, żebyś spał tutaj – odparła.

Rozejrzał się dookoła. Zauważył jedynie fotel, który wyglądał na wyjątkowo niewygodny.

– Możemy wziąć połączone pokoje, jeśli takie tu mają – zaproponował.

Kiedy już było po wszystkim, zastanawiał się, które z nich zrobiło ten pierwszy krok, przełamało lody. Pamiętał, że gdy wtulała się w niego, widział ponad jej ramieniem niebieski neon hotelu odbijający się w karoseriach samochodów. Przypomniawszy sobie, że przy wjeździe na parking rosły dwie czarne jodły, i wiedział, że gdzieś za nimi, na wprost, powinny być Pireneje, ale w nocy niczego nie było widać.

Gdy się całowali, zobaczył jej szeroko otwarte oczy, a ich spojrzenia znalazły się tak blisko siebie, że niemal zlały się w jedno. Tak jakby każde z nich czekało, że to partner zamknie oczy jako

pierwszy. Jej wzrok przeszywał go na wylot, jakby szukała prawdy ukrytej pod warstwami nabudowanymi przez lata wychowania. Ugryzła płatek ucha Servaza i polizała jego wnętrze. Raz, potem drugi. Rozchylił jej szlafrok i zaczął pieścić piersi, które okazały się mniejsze, niż się spodziewał. Nakryła dłonią twardą wypukłość rysującą się pod jego spodniami. Przesunęła palcami w dół i w górę. (Kiedyś jako dziecko wyłowiła z rzeki otoczak i owinęła w szmatkę. Przechowywała go przez długi czas, ponieważ dotykając go, miała to samo przyjemne wrażenie jednoczesnej twardości i delikatności). Cofnęła się w stronę łóżka.



Cofnęła się w stronę łóżka. Położyła się, zgięła kolana i mocno oparła stopy o podłogę. Rozchyliła szlafrok.

W pokoju paliła się tylko mała nocna lampka, tak że kąty pomieszczenia, w których kryły się upiory jej życia, spowijał głęboki cień. Otoczyła ich ciemność. Kiedy się zbliżał, Kirsten zobaczyła poświatę lampki odbijającą się w jego oczach, które straciły już całą swoją niewinność. Zdjął marynarkę, rozpiął koszulę. Słyszała stukanie kropli deszczu o szybę. Nie zamknęła drzwi balkonowych i teraz poczuła powiew wilgotnego, zimnego powietrza. Zadrżała. Gdy zamierzał się nad nią pochylić, uniosła prawą nogę i oparła stopę na jego splocie słonecznym. Servaz pieścił jej łydkę, potem stopę, musnął palce i piętę. Nie spuszcżając go z oczu, wodziła stopą wzdłuż jego tułowia, między połami rozpiętej koszuli. Zsunęła ją niżej, pokonując wystającą klamrę paska, i przeciągnęła po spodniach opinających wyprężoną męskość.

Ledwie jej stopa spoczęła z powrotem na podłodze, był już na niej. Pocałowała go, odpinając pasek jego spodni i suwak rozporaka. Wziął do ust jej sutek, wsunął dłoń między jej uda i poczuł, jaka jest gorąca. Prawie natychmiast zrobiła się mokra. To podnieciło go jeszcze bardziej i miał ochotę natychmiast w nią wejść, ale zwilżył palce językiem i kontynuował pieszczoty. Kirsten jęknęła i skuliła się na łóżku, jakby jednocześnie chciała oddać się jeszcze bardziej i odsunąć. Pieścił ją przez chwilę, po czym wsunął palce głębiej.

Kirsten wiła się i wydawała z siebie przeciągłe jęki – to chrypliwe, to piskliwe. Jej wagina tonęła w sokach. Tarzali się po łóżku, zupełnie tracąc orientację w przestrzeni. Usiłowała uciec od

jego pieścizot i je przyjąć, ocierała się o niego, to mocniej wsuwała sobie jego palce do pochwy, to się odsuwała, aż wreszcie przyciągnęła go do siebie, by w nią wszedł. Silniej przywarła do jego miednicy i zaczęła się poruszać. Narzuciła tempo, szybkie, frenetyczne, wbijając paznokcie w jego plecy i boki. Znowu polizała i chwyciła zębami jego ucho, a on poczuł, jak jego członek twarzenie jeszcze bardziej. A potem ugryzła go naprawdę. Najpierw w płatek ucha – ból przeszył go jak błyskawica – a następnie w ramię. Jej mroczne, dzikie oczy wpatrywały się w niego prowokująco i z zainteresowaniem. Przygwoździł ją do materaca i wbił się w nią najgłębiej, jak mógł. Nie przestawała dyktować szaleńczego rytmu, a nawet przyśpieszyła, przyciskając dłoń do jego pośladków. Szukała rozkoszy w tempie niemal zbyt dużym dla niego, pozbawiając go części doznań, wyglądało jednak na to, że nie jest w stanie przerwać, dopóki nie osiągnie orgazmu – a gdy to nastąpiło, uniosła się i wygięła w łuk, z całej siły zaciskając powieki i wykrzywając usta, z których wydobył się przeciągły, wysoki jęk.

Zmieniłi pozycję i położyła się na nim, przyciskając piersi do jego torsu. Gdy znowu w nią wszedł, poczuł jej ciepło i wilgoć, a także dotyk wzgórek łonowego, którym się o niego ocierała. Była zadziwiająco lekka. Zwinna i lekka. Pieścił jej piersi, kiedy się podniosła, by go dosięść. Miała tatuaż wzdłuż boku, między pachą i biodrem, jakieś zdanie, prawdopodobnie po norwesku, złożone z liter i cyfr.

Oto Kirsten Nigaard, która pod pozorami surowości ukrywa swą prawdziwą osobowość, pomyślał. Ogień pod lodem. Wyświechtany frazes. Pochwalił się jednak za to, że ani przez chwilę nie był naiwny. Od początku wyczuł jej porywczą naturę. Jedno wszakże pozostało bez zmian: lubiła mieć kontrolę, także w łóżku.

Kirsten zbudziła się o szóstej rano i spojrzała na śpiącego Servaza. To dziwne, ale po wydarzeniach poprzedniego dnia czuła się wypoczęta. Włożyła bawełniane hipsterki z nazwą norweskiego

zespołu rockowego na pośladkach, T-shirt i dres do joggingu, i gdy tylko znalazła się na zewnątrz, ruszyła biegiem po śniegu i żwirze przez niewielki park otaczający hotel. Okrążenie zajęło jej pięć minut, powtórzyła je jeszcze sześć razy, nigdzie się nie oddalając.

Mroźne powietrze paliło ją w płucach, ale czuła się dobrze. Zatrzymała się obok ławki i rzeźby fauna, by się rozciągnąć. Przed nią rozpościerał się widok na Pireneje, których szczyty oświetlało wschodzące słońce. Brakowało jej boksu. Był jednocześnie jej odskocznią i sposobem na zachowanie równowagi. Boksowanie gruszki treningowej lub sparringpartnera pozwalało jej na rozładowanie frustracji związanych z wykonywanym zawodem. Gdy tylko znajdzie się w Oslo, wróci na ring. Przez jej głowę przemknął obraz ciemnej damskiej toalety z wiadrem i mopem na środku, ale przegnała go, skupiając się na tym, co ich czekało.

O szóstej trzydzięci obudził się Servaz i zobaczył, że miejsce obok niego jest puste. Na pościeli zachował się kształt ciała Kirsten, a w powietrzu unosił się jej zapach. Wytężył słuch, ale zarówno pokój, jak i łazienka pogrążone były w ciszy. Doszedł do wniosku, że nie chciała go budzić i zeszła na śniadanie. Wstał, ubrał się i wrócił do swojego pokoju.

Pod prysznicem zaczął rozmyślać o minionej nocy. Po seksie rozmawiali, częściowo na balkonie, gdzie razem palili jednego papierosa, a częściowo w łóżku, i w końcu opowiedział jej o kobiecie, która mogła być matką Gustava. Wtedy Kirsten długo wypytywała go o wydarzenia z Marsac, o Marianne, o jego przeszłość. Otworzył się przed nią tak, jak od czasu tych strasznych wypadków w Marsac prawie tego nie robił, a ona słuchała, patrząc na niego ze spokojem i życzliwością. Był jej wdzięczny za to, że się nad nim nie lituje. On również unikał uzalania się nad sobą. Przecież Kirsten na pewno ma własne problemy. Kto ich nie ma? Potem przypomniał sobie pytanie, które mu zadała. Była inteligentna. Prawie natychmiast namierzyła kluczowy temat. Pytanie, wokół którego on sam krążył od dłuższego czasu, nie odważając się go

sobie zadać: „A więc to mógłby być twój syn?”.

Włożył czyste ubrania i zjechał windą na parter. Gdy wszedł do sali, w której serwowano śniadanie, rozejrzał się, ale Kirsten nigdzie nie było. Nie mogła odejść daleko. Poczł lekkie, słodko-gorzkie ukąszenie rozczarowania, ale przegnał je i ruszył w stronę bufetu i ekspresów z kawą i herbatą. Gdy usiadł, wyjął telefon i zadzwonił do Margot. Poczta głosowa.

Otworzyła drzwi pokoju kartą elektroniczną i zdziwiła się na widok pustego łóżka.

– Martin?

Cisza. Wrócił do swojego pokoju. Poczł ból, jakby ktoś wymierzył jej lekki cios w żołądek. Wolala o tym nie myśleć. Rozebrała się szybko, by wejść pod prysznic. Zaczynała być naprawdę głodna. Gdy weszła do łazienki, zauważyła, że Martin nawet się tutaj nie wykapał. Ręczniki leżały poskładane na swoim miejscu, kabina była nietknięta i sucha. Ból powrócił, tym razem silniejszy. Przespali się ze sobą, świetnie. Spędzili miło czas, ale nic więcej z tego nie wyniknie. Nie będzie dalszego poznawania się: oto wiadomość, jaką jej zostawił.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad umywalką.

– Okay – powiedziała głośno. – To było do przewidzenia, nieprawdaż?

Gdy weszła do sali restauracyjnej, zobaczyła go przy stoliku i ruszyła w jego stronę.

– Cześć. Wypałeś się? – zagadnęła, sięgając po filiżankę.

– Tak. A ty? Gdzie byłaś?

– Pobiegać – odparła i poszła do ekspresu.

Servaz patrzył na nią. Powitanie było krótkie i pozbawione serdeczności. Nie miała potrzeby więcej o tym mówić, zrozumiał to w mig: tego, co wydarzyło się w nocy, nie należy przeceniać. Poczł silną frustrację. Miał zamiar powiedzieć jej, jak dobrze mu zrobiła ich nocna rozmowa i że od dawna nie było mu z nikim tak dobrze.

Słowa, które człowiek czasem mówi... niezobowiązująco. Poczul się idiotycznie. Okay, pomyślał. Wracamy do roboty. Zachowujemy dystans.

Kirsten zjadła kilka kromek chleba, konfiturę, kiełbaski i jajecznicę, wypila dużą kawę i dwie okazałe szklanki soku pomarańczowego wypełnione po brzegi – w Norwegii śniadanie jest najobfitszym posiłkiem w ciągu dnia – podczas gdy Servaz zadowolil się espresso, połówką croissanta i szklanką wody.

– Nie jesz dużo – zauważyła.

Spodziewała się, że tak jak ten kretyn, który zaczepił ją na placu Wilsona, zasunie jej któryś z tych pieprzonych stereotypów o Norwegach zbudowanych jak drwale, ale on tylko się uśmiechnął.

– Z pełnym żołądkiem gorzej się myśli – odparł po chwili.

Nie wiedziała, że czasem gdy ktoś wspominał przy nim o jedzeniu, Servazowi wciąż jeszcze zdarzało się myśleć o tej wspaniałej kolacji podlanej wybornymi, ale zatrutymi winami, którą poczęstował go kiedyś pewien sędzia <sup>1</sup>.

Hospitalet leżało na dużej wysokości pośród pięknego górskiego krajobrazu, niedaleko granicy z Hiszpanią. Musieli się wspiąć w górę nużącymi zakosami, które wznosiły się nad głęboką, porośniętą gęstym lasem doliną, na wysokości prawie tysiąca ośmiuset metrów pokonać przełęcz, przejechać przez ciemne, wietrzne jedliny, gdzie spłoszone wrony wykrzykując mroczne proroctwa, podrywały się w niebo. Szosa była wąska, kręta, miejscami biegła nad samą przepaścią, nie było żadnej barierki gotowej zatrzymać samochód, którego szofer nagle stracił panowanie nad kierownicą.

Po drugiej stronie przełęczu ich oczom ukazała się dzwonnica kościoła i dachy położonej niżej wioski, tulące się do siebie pośród białego, lśniącego krajobrazu jak stado owiec, które grzeją się jedna od drugiej.

Mieścina od pierwszej chwili wydała im się odosobniona, smutna, nieprzyjazna gościom. Domy stały na zboczu, więc słońce

musiało docierać do wąskich, stromych uliczek zaledwie przez kilka godzin w ciągu dnia. Znaleźli się na pospolitym placu z pomnikiem ku czci poległych. Miejsce było jednak przyjemne: otaczały je bezlistne platany, a przede wszystkim stał tu pawilon, z którego rozciągała się piękna panorama. Niebo było czyste, chmury się rozproszyły i wzrok sięgał daleko, aż do zbiegu trzech dolin, gdzie widać było ulice i dachy Saint-Martin-de-Comminges. Budynek merostwa był skromny, szary i prosty, ale z jego okien roztaczały się wspaniałe krajobrazy.

Wysiedli, zatraskując drzwi samochodu. Uderzył w nich podmuch mroźnego wiatru. Podczas drogi obydwójce milczeli, zabetonowani w swojej ciszy i zamknięci we wspomnieniach minionej nocy. Gdy jednak minęli tablicę informującą o wjeździe do miasteczka, Servaz myślał już tylko o jednym: o Gustavie.

Rozejrzył się dookoła, jakby chłopiec w każdej chwili mógł się tu pojawić. Na placu nie było żywego ducha. Zauważyli dziedziniec romańskiego kościółka, podobnego do tych, których wiele było po hiszpańskiej stronie. Policjant przez chwilę przyglądał się bramie ozdobionej tympanonem ze starożytnymi motywami: Stwórca w otoczeniu Słońca, Księżycy i symboli Ewangelistów. Obok kościoła znajdowała się piekarnia oraz fryzjer męski i Servaz zastanawiał się, skąd w takim miejscu jego właściciel bierze klientów.

Wszedłszy po schodach na ganek merostwa, nad którym powiewała nieco wyblakła flaga Francji, nacisnął na klamkę przeszklonych drzwi, które jednak okazały się zamknięte. Zapukał w szybę, ale nikt mu nie odpowiedział. Stopnie były tylko z grubsza uprzątnięte ze śniegu i musiał uważać, by się nie poślizgnąć.

W rogu placu, u wylotu wąskiej, krętej uliczki, zauważyli jednak tablicę z napisem „Szkoła Podstawowa imienia Ludwika Pasteura”. Servaz spojrzął na Kirsten, która skinęła głową, i ruszyli przed siebie, ostrożnie pokonując stromą i śliską pochyłość. Zauważył, że na pierwszym piętrze jednego z domów poruszyła się firanka, ale nie zobaczył za nią nikogo, jakby miasteczko zamieszkiwały duchy.

Gdy minęli zakręt, poniżej dostrzegli szkolny dziedziniec. Podobnie jak z pawilonu na placu, rozciągał się stąd zapierający dech w piersiach widok na dolinę. Jeszcze jedno podwórko, dziedziniec i zardzewiały dzwonek przy bramie, które przypominały mu dzieciństwo. Servaz poczuł, jak ściska mu się serce.

Trafili na przerwę i dzieci biegały dookoła jedyne rosnącego tu platana, potracając się i wesoło pokrzykując. Asfalt wokół starego drzewa był wybrzuszony przez korzenie; także tutaj ktoś uprzątnął śnieg, zgarniając go w kąty podwórza. Zauważył mężczyznę, który stojąc na dziedzińcu, pilnował dzieci. Miał na sobie szary fartuch i okulary. W całym tym obrazie było coś dziwnie anachronicznego: jakby czas cofnął się o sto lat.

Nagle Servaz stanął. Poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go pięścią w twarz. Kirsten szła dalej, ale po chwili zatrzymała się i obejrzała na niego. Zobaczyła, jak stoi bez ruchu, a z jego otwartych ust wydobywają się obłoczki pary. Odgadła wymowę jego spojrzenia i odwróciła się, by popatrzeć na szkolne podwórko i poszukać wzrokiem tego, co zobaczył Servaz.

Zrozumiała.

Gustav.

Był tam, wśród innych dzieci.

Jasnowłosy chłopiec ze zdjęcia. Który mógł być jego synem.

1. Zob. *Bielszy odcień śmierci*, op. cit. ↩

– Martin.

– ...

– Martin! – odezwał się niski, miły, nagłący głos.

Otworzył oczy.

– Tata?

– Wstawaj i chodź ze mną – powiedział jego ojciec.

– Która godzina?

Tata, który stał przy jego łóżku, tylko się uśmiechnął. Martin wstał, ogłupiały i na wpół śpiący, z ciężkimi powiekami. Miał na sobie niebieską piżamę. Stanął boso na chłodnej posadzce.

– Chodź za mną.

Wykonał polecenie. Szli przez pogrążony w ciszy dom: korytarz, schody i salon – w oknach nie było zasłon i pokój zalewały promienie wschodzącego słońca. Rzucił okiem na zegar. Pięta rano! Był straszliwie senny. Chciał tylko jednego: znaleźć się z powrotem w łóżku i przyłożyć głowę do poduszki. Wystarczyłyby trzy sekundy, a pogrążyłby się we śnie. Wyszedł jednak na dwór za ojcem, ponieważ nigdy nie ośmieliłby się okazać nieposłuszeństwa. W tamtych czasach nie było się nieposłusznym. A także dlatego, że go kochał. Najbardziej na świecie. No, może mamę kochał bardziej.

Na zewnątrz, nad położoną pięćset metrów dalej doliną wisiało słońce. Lato. Wszystko trwało w absolutnym bezruchu. Nawet dojrzałe zboża. Postrzępionymi liśćmi dębów nie poruszał najmniejszy powiew wiatru. Mrugnął, spoglądając na krajobraz lśniący w promieniach słońca. Wśród porannej ciszy rozbrzmiewały ptasie trele.



– O co chodzi? – zapytał.

– O to – odpowiedział tata, szerokim gestem wskazując na okolicę.

Nie zrozumiał.

– Tato?

– Co, synku?

– Gdzie mam patrzeć?

Ojciec się uśmiechnął.

– Wszędzie. – Potargał jego włosy. – Po prostu chciałem, żebyś raz w życiu to zobaczył: wschodzące słońce, świt, poranek...

Zauważył, że jego tata jest wzruszony.

– Tato, ale moje życie dopiero się zaczyna.

Ojciec spojrzał na niego z uśmiechem na twarzy i położył dużą dłoń na jego ramieniu.

– Mam bardzo inteligentnego synka – powiedział. – Ale czasami trzeba zapomnieć o inteligencji i pozwolić, by przemówiły zmysły, serce.

Wtedy był za mały, by to pojąć, ale dzisiaj rozumiał. A potem coś się wydarzyło: z doliny wyłoniła się łania. Cicha, ostrożna, powolna. Jak zjawa. Ale zjawa cudowna, delikatna, pełna godności. Wyszła z lasu na otwartą przestrzeń z napiętą szyją, czujna. Mały Martin nigdy nie widział czegoś tak pięknego. Jakby cała przyroda nagle wstrzymała oddech. Jakby miało nastąpić coś, od czego ten czar rozprysnie się na tysiąc kawałków. Pamięta, że jego serce waliło w tamtej chwili jak werbel.

I rzeczywiście coś się wydarzyło. Rozległ się głuchy huk. Nie od razu zrozumiał, o co chodzi. Ale zobaczył, że łania znieruchomiała, a potem upadła.

– Tato, co się dzieje?

– Chodźmy do domu – odpowiedział jego ojciec gniewnym głosem.

– Tato? Co to było?

– Nic. Chodź.

To był pierwszy wystrzał, jaki usłyszał w życiu. Ale nie ostatni.

– Ona nie żyje, tak? Zabili ją.

– Płaczesz, synku? No, chodź już. Nie płacz. Chodź. Już po wszystkim. Już po wszystkim.

Chciał podbiec do łani, ale ojciec przytrzymał go za ramię. Wtedy w dole doliny zobaczył wychodzących z lasu mężczyzn ze strzelbami i poczuł, jak ogarnia go gniew.

– Tato! – zawołał. – Czy oni mają prawo to robić? Czy mają prawo?

– Tak. Mają prawo. Chodź, Martin. Wracamy.

Otrząsnął się. Stał na środku ulicy. Zauważył spojrzenie Kirsten, która szła w jego kierunku. A Hirtmann? Czego uczy swojego syna? Albo mojego? – pomyślał.

Wstrzymała oddech. Miała wrażenie, że czas stanął w miejscu. Że sekundy płyną wolniej niż zwykle. Dziecięce krzyki, które jak odłamki szkła cięły mroźne powietrze, szkoła, która wydawała się jedynym żywym miejscem w tym wymarłym miasteczku. Wokół nich wszystko trwało w bezruchu, poza tym niewielkim dziedzińcem i podwórkiem oraz samochodem w oddali, nisko w dolinie, maleńkim jak mrówka na prostej drodze, którego dźwięk ledwie do nich docierał. Nawet Servaz zamienił się w słup soli. Podeszła do niego.

– Jest tam – powiedziała.

Milczał. Obserwował zachowanie Gustava na szkolnym podwórku. Odgadła wszystkie jego emocje. Stał cicho i nie poruszał się. Tylko jego oczy przemieszczały się w ślad za chłopcem, a wełniany szalik tańczył na wietrze. Odczekała kilka chwil, także patrząc na Gustava. Był niższy i drobniejszy od pozostałych dzieci. Miał na sobie ciepłą niebieską kurtkę puchową i gruby czerwony szal. Tryskał radością życia. Oprócz tego, że był niski, w niczym nie przypominał chorowitego dziecka, jakie im opisano. Nie wyglądał też na samotnego: z entuzjazmem brał udział we wspólnych zabawach. Kirsten przez chwilę obserwowała chłopca, czekając na

reakcję Martina. Była jednak z natury zbyt niecierpliwa, by móc długo czekać.

– Co robimy? – zapytała w końcu.

Rozejrzał się dookoła.

– Idziemy? Moglibyśmy pogadać z tym gościem.

– Nie.

To było bardzo zdecydowane „nie”. Servaz znowu się rozejrzał.

– Co jest?

– Nie możemy tutaj zostać. Ktoś nas zauważy.

– Kto?

– Ci, którzy opiekują się Gustavem, do diabła!

– Nikogo tu nie ma.

– Na razie.

– Więc co robimy?

Wskazał na ulicę, którą przyszli.

– To ślepy zaułek, jedyna droga prowadząca do szkoły. Osoby, które się zjawiają, by odebrać Gustava, będą musiały tędy przejść. Albo mieszkają w miasteczku i przyjdą pieszo, albo zaparkują na placu. – Ruszył z powrotem w górę uliczki po śliskim bruku. – Zaczekamy na nich. Ale jeśli zostaniemy w samochodzie, w ciągu mniej niż godziny całe miasto dowie się, że tu jesteśmy – powiedział, wskazując na okno, w którym wcześniej poruszyła się firanka.

Znaleźli się na placu. Servaz wyciągnął rękę w kierunku merostwa, którego fasada wychodziła na wschód.

– To byłby dobry punkt obserwacyjny.

– Zamknięte.

Zerknął na zegarek.

– Już nie.

Mer okazał się niewysokim, przysadzistym mężczyzną o blisko osadzonych oczach i solidnej zuchwie, dużych, owłosionych dziurkach od nosa i cienkim jak sznurówka brązowym wąsiku. Najwyraźniej był miłośnikiem prawa i porządku, ponieważ przyjął

ich prośbę z entuzjazmem.

– Tam, jak państwo myślą? – zapytał, wskazując na okna na pierwszym piętrze.

Ujrawszy długi stół z woskowanego drewna i sporą liczbę krzeseł, domyślili się, że ta niewielka sala jest miejscem spotkań rady miasta. Pachniało pastą do podłogi. Przy ścianie naprzeciw okien stał duży, przeszklony regał, w którym lśniły grzbiety miejskich rejestrów o wyglądzie równie wiekowym jak sam mebel. Jego gałki były wykonane z ciętego szkła, a ciemne drewno ozdobiły inkrustacje w kształcie arabesek i kwiatów. Servaz pomyślał, że w tym miasteczku musi być mnóstwo takich mebli – ciężkich, niemodnych, które wyszły ze spracowanych rąk stolarzy, dziś już nieżyjących, ale dumnych ze swojego dzieła. Nie to co składane z gotowych elementów meble w dużych miastach. Zaopatrzone w kretonowe zasłony okna wychodziły na plac i wylot uliczki prowadzącej do szkoły był stąd doskonale widoczny.

– Znakomicie. Dziękujemy.

– Proszę nie dziękować. W tych niespokojnych czasach każdy powinien spełniać swoje obywatelskie obowiązki. Musimy sobie pomagać i nawzajem się chronić. Robicie, co możecie, ale dziś każdy powinien się troszczyć o bezpieczeństwo wszystkich. Jesteśmy na wojnie...

Servaz ostrożnie skinął głową. Kirsten, która nie zrozumiała ani słowa, zmarszczyła brwi i spojrzała na Martina, który wzruszył ramionami, gdy tylko barczysty mer odwrócił się i ruszył do wyjścia. Przykleił nos do szyby, na której pojawiło się kółko pary i spojrzał na zegarek.

– Pozostaje czekać.

Około południa rodzice uczniów zaczęli się pojawiać na placu i jeden po drugim kierowali się w stronę uliczki prowadzącej do szkoły. Gdy Norweżka i glina z Tuluzy usłyszeli zardzewiały dźwięk dzwonka zmieszany z głosami dzieci, przywarli do okna. Po kilku chwilach rodzice pojawili się z powrotem, prowadząc

rozszczebiotane latorośle. Wyglądało na to, że szkoła nie dysponuje półinternatem ani stołówką.

Servaz przełknął ślinę. Ze strachu miał ściśnięty żołądek. Gustav na pewno się pojawi, trzymając kogoś za rękę. Strumień rodziców i dzieci jednak wysechł, a chłopiec wciąż się nie pokazał. Coś było nie tak. Spojrzał na zegarek. Pięć po dwunastej. Plac opustoszał, a Gustava nie było. Cholera, czyżby to znaczyło, że chłopiec mieszka w jednym z budynków na uliczce? Jeśli tak, to przy współpracy mera łatwo będzie zorganizować tu kryjówkę.

Właśnie odsunął się od okna, gdy na plac z trochę zbyt dużą prędkością wjechało szare volvo metallic, które zahamowało z piskiem opon. Kirsten i Servaz jednocześnie się odwrócili. Zdążyli zobaczyć, jak z samochodu pośpiesznie wysiada zadbany mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu, czterdziestu lat, w eleganckim, dobrze skrojonym płaszczu. Przybysz biegiem wpadł w uliczkę, zerkając na zegarek.

Wymienili spojrzenia. Servaz poczuł, że jego puls przyśpieszył. Czekali w milczeniu. Gdy dziecięce głosy umilkły, od ciszy, w jakiej pograżył się plac, aż dzwoniło w uszach. Rozległ się dźwięk kroków i usłyszeli niesione echem głosy – dorosły i dziecięcy. Servaz uchylił okno, by lepiej słyszeć. Kilka sekund później mężczyzna z bródką wyłonił się z uliczki. Trzymał za rękę Gustava.

– *Dammit!* – zawołała Norweżka.

Człowiek z bródką przeszedł pod oknem, ciągnąc Gustava do samochodu.

– Za dużo ganiałeś. Wiesz, że jesteś chory i nie powinieneś się przemęczać – usłyszał Servaz.

– Kiedy przyjedzie tata? – zapytał chłopiec, który wyglądał teraz na bladego i wyczerpanego.

– Cicho! Nie tutaj – powiedział mężczyzna ze zdenerwowaną miną, rozglądając się dookoła.

Z bliska wydawał się starszy, niż można było wnioskować na

podstawie jego sylwetki i sposobu chodzenia: zbliżał się do pięćdziesiątki, a może już ją przekroczył. Kadry zarządzające w banku lub handlu, szef firmy informatycznej, wysoko opłacany konsultant bądź wykładowca uniwersytecki: śmierdział pieniędzmi zarobionymi bez wielkiego wysiłku. Chłopiec miał głębokie cienie pod oczami i – mimo zaróżowionych od mrozu policzków – woskową, żółtawą cerę. Servaz przypomniał sobie słowa dyrektorki szkoły: „Był też wątłym i chorowitym dzieckiem, wzrostu poniżej średniej. Bardzo często opuszczał zajęcia. Grypa, przeziębienie, ból brzucha...”. Odwrócił się do Kirsten i prawie jednocześnie rzucili się do drzwi, zbiegli dwa piętra po schodach pokrytych przytrzymywanym przez miedziane pręty wyłysiałym dywanem, pokonali śliski, wypastowany hol. Otworzyli drzwi merostwa w chwili, gdy szare volvo wyjeżdżało z placu. Do budynku wpadło kilka płatków śniegu.

Puścili się pędem do samochodu, z nadzieją, że jest tylko jeden wyjazd z miasteczka. Servaz trochę przekraczając prędkość, ruszył tą samą drogą, którą przyjechali na plac. Gdy zauważył volvo, zdjął nogę z gazu. Stwierdził, że jest mu gorąco. Wolną ręką odwiązał szalik i rzucił go na tylny fotel, rozpiął suwak grubej kurtki. Zwolnił jeszcze trochę, by nie zmniejszać zbyttno odległości, jaka dzieliła ich od volvo. Nie wiedział, czy mężczyzna za kierownicą ma się na bacności, ale przypuszczał, że Szwajcar poinstruował go w tej sprawie.

Kto to jest? Jedno było pewne: nie Hirtmann. Chirurgia ma swoje ograniczenia. Oczywiście można dodać wystające kości policzkowe, łuki brwiowe, zmodyfikować kształt nosa albo powierzchni owłosionej czy zmienić kolor oczu, ale nie można kogoś skrócić o piętnaście centymetrów.

Servaz czuł uniesienie, ale także dezorientację, miał nieprzyjemne wrażenie, że wbrew sobie są kierowani ku rozdrożom i wyborom narzuconym przez innych, jak myszy w labiryncie, podczas gdy gdzieś jest ktoś, kto ma szerszy i pełniejszy ogłąd sytuacji. I jeszcze to śledztwo w sprawie śmierci Jensena. Czasowa

zbieżność obu zdarzeń – zabójstwa gwałciciela i pojawienia się w okolicy Szwajcara – nie dawała mu spokoju. Tak czy owak, nie tyle miał wrażenie, że kogoś śledzi, ile że sam jest śledzony, obserwowany, szpiegowany, a nawet – prowadzony. Prosto do pułapki?

Glina z IGPN nazywał się Rimbaud. Jak poeta. Ale Roland Rimbaud nigdy nie czytał wierszy Arthura. Jego lektura ograniczała się do „L'Équipe” (ze szczególnym naciskiem na działy poświęcone piłce nożnej i rugby), która brudziła mu palce tuszem, oraz e-maili. Nie wiedział, że poeta, który nosił takie samo nazwisko jak on, napisał *Sezon w piekle*. Ale i bez tej wiedzy z pewnością uznałby ten tytuł za świetnie pasujący do doświadczenia, jakie zamierzał zafundować jednemu z kolegów.

Rimbaud siedział w gabinecie sędziego Desgranges'a i węszył zapach krwi. Pachniało grubą aferą. Komisarz, przezywany „Rambo” przez część kolegów równie rozmiłowanych w poezji jak on sam, był wygłodniałym wilkiem, niezmordowanym tropicielem skorumpowanych policjantów. Przynajmniej sam lubił postrzegać siebie w ten sposób. Odkąd dowodził regionalnym wydziałem policji nad policjami, sprawił, że poleciało kilka głów w wydziale bezpieczeństwa publicznego i brygadzie antynarkotkowej oraz pogrążył brygadę do spraw walki z przestępczością, której członkom przedstawiono zarzuty „udziału w zorganizowanej grupie dokonującej kradzieży, wyłudzeń, zdobywania oraz nielegalnego przechowywania substancji odurzających”. Fakt, iż oparł swoje śledztwo na wątpliwym zeznaniu dilera i że moc jego oskarżeń z czasem osłabła, oraz że korzystał z metod, które gdzie indziej zostałyby uznane za znęcanie się, nieszczególnie niepokoił jego przełożonych. Nie ma dymu bez ognia itd. Dla Rimbauda policja nie była jedną instytucją, ale nagromadzeniem kapliczek, przyczółków, rywalizacji, wybujałych ego, słowem dżunglą pełną wielkich drapieżników, małp, węży i pasożytów. Wiedział też, że psom stróżującym nie piłuje się kłów. Że od czasu do czasu trzeba tylko

sprawić, by poczuły długość własnej smyczy.

– Co wiadomo? – zapytał Desgranges, który lubił trzymać się faktów.

Jeśli któryś z tej dwójki miałby przypominać poetę, to właśnie sędzia ze swoimi zbyt długimi włosami, czarnym, skreconym krawatem z dzianiny i w kraciastej marynarce, która wyglądała, jakby z tysiąc razy przeszła czyszczenie chemiczne.

– Że Jensen wedle wszelkiego prawdopodobieństwa został zastrzelony z policyjnej broni, gdy usiłował zgwałcić młodą kobietę w schronisku wysokogórkim, że był już podejrzewany, a potem oczyszczony z zarzutów, o gwałty na trzech biegaczkach i zamordowanie jednej z nich, że został porażony prądem przez przewody trakcji kolejowej w trakcie zatrzymania, w którym coś poszło nie tak. – Przerwał. Do tej pory poruszał się po solidnym terenie faktów. Teraz zamierzał się zapaść na bardziej śliski, a nawet grząski grunt. – I że podczas tego zatrzymania strzelił do komendanta Servaza z policji kryminalnej w Tuluzie, który, postrzelony w serce, wiele dni był w śpiączce; tenże komendant podejrzewał go o zabicie Monique Duquerroy, lat siedemdziesiąt dziewięć, zamordowanej w czerwcu we własnym domu w Montauban. Warto wspomnieć, że Servaz, ten oficer...

– Wiem, kim jest Servaz – przerwał mu Desgranges. – Niech pan kontynuuje.

– Hmm... Wiemy, że adwokat Jensena chciał oskarżyć policję: twierdzi, że Servaz, eee... groził jego klientowi bronią i kazał mu wejść na dach tego wagonu, mimo że padał deszcz i dobrze wiedział, że Jensenowi grozi porażenie prądem...

– A jemu nie? – odparował Desgranges. – Jeżeli się nie mylę, on również był na tym dachu. I to Jensen do niego strzelił, prawda? Wydaje się więc, że też miał pistolet.

Rimbaud zobaczył, że na pokrytym zmarszczkami czole sędziego pojawiła się jeszcze jedna głęboka bruzda.

– Tak naprawdę adwokat Jensena utrzymuje, że komendant Servaz zamierzał zabić jego klienta przez porażenie prądem –



wypalił.

Sędzia zakasłał.

– Komisarzu, chyba nie zamierza pan wierzyć w takie gadanie, prawda? Wiem, że większą wagę przywiązuje pan do słów dilera niż do zdania policjantów, ale mimo wszystko...

Rimbaud zastanawiał się, czy sędzia rzeczywiście powiedział to, co on właśnie usłyszał. Zrobił oburzoną minę. Desgranges obserwował go niewzruszony. Policjant wyjął kartkę z tekturowej teczki i podsunął ją pod nos urzędnika.

– Co to jest? – zapytał tamten.

– Żandarmeria sporządziła portret pamięciowy człowieka, który zabił Jensena. Na podstawie zeznań Emmanuelle Vengud, tej kobiety, która prawie została zgwałcona.

Desgranges zareagował mruknięciem, którego znaczenia Rimbaud nie potrafił zinterpretować. Sięgnął po kartkę. Twarz o regularnych rysach ukryta w cieniu kaptura. Na rysunku można było rozróżnić tylko usta, nos i oczy. Żadnych punktów zaczepienia.

– Powodzenia – skwitował, oddając mu kartkę.

– Nie uważa pan, że podobny?

– Co? Do kogo?

– Do Servaza.

Desgranges westchnął i zrobił się czerwony na twarzy.

– Rozumiem – odparł powoli. – Komisarzu, niech pan posłucha. Opowiadano mi o pańskich metodach... Proszę przyjąć do wiadomości, że ich nie pochwalam. Jeśli chodzi o brygadę, którą pan zniszczył, wygląda na to, że moi koledzy stopniowo zmieniają zdanie w sprawie zebranych akt. Obciążające zeznania, na których oparł pan śledztwo, są wątpliwe, to najłagodniejsze, co można o nich powiedzieć. Krótko mówiąc, nie chcę się znaleźć w takiej sytuacji. W dodatku grupa policjantów z innych wydziałów złożyła na ręce dyrektora departamentalnego wydziału bezpieczeństwa publicznego pismo, w którym jest mowa o, jak to nazywają, znęcaniu się z pańskiej strony. Niech pan posłucha mojej rady i tym razem działa delikatnie. – Desgranges nie podnosił głosu, ale w jego

wypowiedzi dało się wyczuć zawołaną groźbę. – Proszę mnie jednak źle nie zrozumieć. To nie znaczy, że zamierzam przymykać oko na takie zachowania, gdyby istniały, albo zaprzeczać ujawnionej prawdzie. Niech pan prowadzi śledztwo w granicach, które nakreśliłem. Jeśli dostarczy mi pan konkretnego, czegoś rzeczywistego, namacalnego, to niezależnie od tego, czy to będzie Servaz czy nie, zapewniam pana, że sprawiedliwości stanie się zadość.

– Potrzebowałbym nakazu, żeby przeprowadzić analizę balistyczną – oświadczył Rimbaud niezbity z tropu.

– Analizę balistyczną? Czy pan wie, ilu w tym departamencie jest policjantów? Chce pan przebadać wszystkie pistolety?

– Tylko broń komendanta Servaza.

– Komisarzu, powiedziałem panu...

– On był tamtej nocy w Saint-Martin-de-Comminges! – przerwał mu Rimbaud. – Tej samej nocy kilka kilometrów od miasta zastrzelono Jensena. Tak jest napisane w jego raporcie! Właśnie się o tym dowiedziałem.

Glina z IGPN wyjął z teczki plik kartek i podał go sędziemu.

– Tu jest napisane, że Jensen w środku nocy do niego zadzwonił! Powiedział Servazowi, że widział go wcześniej w Saint-Martin. Napomknął też o tamtym pamiętnym wieczorze, gdy został porażony prądem na dachu wagonu, i wyrzucał mu, że przez niego ma zniszczone życie. Potem powiedział, że chce się z nim spotkać, a gdy Servaz odmawiał, wspomniał o jego córce.

– O czyjej córce?

– Servaza.

Nagle Desgranges okazał zainteresowanie.

– To znaczy co powiedział?

Rimbaud zajrzał do swojej odbitki raportu.

– Nic szczególnego. Servaz powiedział mi, że ma inne sprawy na głowie. Na co tamten: „Wiem, córka...”. To najwyraźniej wystarczyło, żeby Servaz się wściekł i w te pędy pojechał w środku nocy do Saint-Martin. Jego telefon na pewno logował się przy wjeździe do miasta. A potem... No właśnie, potem zaczyna być

ciekawie...

Glina zerknął na sędziego. Desgranges patrzył na niego chłodno. Wydawał się absolutnie niewzruszony. Ale Rimbaud wiedział, że to, co teraz nastąpi, zmąci jego spokój.

– Servaz twierdzi, że dostrzegł kogoś w ogrodzie przy termach w Saint-Martin oraz że kiedy chciał podejść do tej osoby, rzuciła się do ucieczki. Pobiegł za nią, ale zniknęła w lesie za termami. Nie odważył się zapaść dalej, tak przynajmniej mówi. Jasne. Wrócił do samochodu i za wycieraczką znalazł liścik.

– I co tam było napisane?

– „Bałeś się?” Tak twierdzi.

– Zachował ten liścik?

– Raport nic nie mówi na ten temat.

Urzędnik wciąż patrzył na niego sceptycznie.

– A zatem rozmawiał z Jensenem w tę noc, kiedy Jensen został zabity, tak?

– Z broni należącej do policjanta – podkreślił Rimbaud.

– Albo ukradzonej policjantowi. Dowiadywał się pan, czy ktoś nie zgłosił zaginięcia broni?

– Sprawa jest w toku.

– Nie rozumiem. Jensen został zabity o trzeciej nad ranem w górach, a Servaz twierdzi, że był w Saint-Martin około północy. Co pana zdaniem wydarzyło się między północą a trzecią?

– Być może skłamał. To nam powiedzą informacje o logowaniu jego telefonu. Ale istnieje też inna hipoteza: nie jest głupi, wie, że telefon go zdradzi. I że w Saint-Martin ktoś mógł go zobaczyć. Wraca więc do Tuluzy, zostawia telefon i znowu przyjeżdża na miejsce...

– Sprawdził pan, co Jensen robił około północy?

– Jesteśmy w trakcie.

To było kłamstwo. Rimbaud już to wiedział. Według zeznań wszystkich świadków, Jensen nie mógł o północy znajdować się w Saint-Martin: o tej porze był z innymi w schronisku. Chyba żeby wyszedł, gdy zasnęli. Jednakże istniała inna możliwość: Servaz nie

widział w mieście Jensena ani nikogo innego, wymyślił to wszystko. Skądś się dowiedział, gdzie przebywa jego ofiara. Przejechał w tę i z powrotem, żeby jego telefon dwukrotnie się zalogował. I wrócił na miejsce bez komórki... Trochę pokrętne alibi, ale właśnie nie do podważenia, ponieważ jeśli jest się gliną, trzeba być idiotą, żeby za pierwszym razem przyjechać z telefonem w miejsce, w którym zamierza się popełnić przestępstwo.

Jeszcze raz wziął do ręki portret pamięciowy. Zgoda, niewiele na nim widać, ale równie dobrze to może być Servaz. Albo nie... Broń. Broń powie wszystko. Jeśli tylko Servaz nie zgłosi, że zgubił swoją. Pomyślał też o śladach na śniegu.

– Nie wiem – powiedział Desgranges, który siedział z dłońmi splecionymi pod brodą i drapał kciukami okolice dolnej wargi – nie mogę się oprzeć wrażeniu, że uchwycił się pan tylko jednego tropu.

– Ale przecież wszystko świadczy przeciwko niemu! – zaprotestował Rimbaud, wznosząc oczy ku niebu. – Był tam tej nocy, kiedy popełniono morderstwo! I ma motyw!

– Niech pan mnie nie traktuje jak idioty! – zbeształ go sędzia. – Jaki motyw? Własnoręcznie wymierzyć sprawiedliwość? Sprzątnąć kogoś, ponieważ wspomniał o jego córce i kiedyś kogoś zgwałcił? Zemścić się, bo do niego strzelał? W przeciwieństwie do pana znam Servaza. To nie w jego stylu.

– Przesłuchałem już część jego kolegów: wszyscy mówią, że po wyjściu ze śpiączki się zmienił.

– Niech będzie, przychylę się do pańskiego wniosku. Ale w żadnym wypadku nie życzę sobie, by Servaz został wydany na pożarcie prasie. O przeciek bardzo łatwo. Niech pan trochę zamąci i zamówi analizę balistyczną w całym wydziale kryminalnym.

Funkcjonariusz IGPN skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

– Chcę przesłuchać też jego i jego przełożonych oraz członków grupy śledczej.

– W charakterze świadków – uciał sędzia i wstał, dając do zrozumienia, że spotkanie się skończyło.

Wymienili oficjalny uścisk dłoni.

– Komisarzu – odezwał się Desgranges, gdy Rimbaud był już przy drzwiach.

– Tak?

– Pamiętam, że wiadomość o zniszczeniu przez pana tamtej brygady znalazła się na pierwszych stronach gazet. Nie życzę sobie, żeby coś takiego teraz się zdarzyło, słyszy pan? Żadnych informacji w prasie. Zrozumiano? Przynajmniej na razie.

Kręta droga wiodła przez lśniący, zmarznięty stok góry, żłobiąc głęboką bruzdę we wszechobecnej nieskalanej bieli. Wyjechali już z lasu i teraz zbocze było gładkie, nagie i ośnieżone. Servaz poczuł narastające napięcie. Jeśli sytuacja się nie zmieni i nie przestaną być jedyną kolorową plamą na tej białej pustyni, w końcu zostaną zauważeni.

Wąską szosą jechali tylko oni i volvo. Zobaczyli, jak samochód skręca do osady przyklejonej do górskiego zbocza: przy wjeździe znajdował się opuszczony tartak, dalej około trzydziestu domów, jakieś sklepy i hotel. Gdy Servaz pokonał ostry zakręt przy wyjeździe z wioski, przed hotelem, gwałtownie zwolnił: volvo zatrzymało się przed górującą nad doliną dużą willą w stylu alpejskim, za sporym garbem, mniej niż trzysta metrów dalej. Tam droga się kończyła.

Zaparkowali przed opustoszałym hotelowym tarasem z pozamykanymi parasolami, którego podmurówka przylegała do zakrętu. Obserwowali dwie postaci wysiadające z samochodu i obłoczki pary ulatujące z ich ust. Willa była duża, luksusowa, obita nieobrobionym drewnem, z licznymi tarasami i balkonami, na wzór tych, które można zobaczyć w Megève, Gstaad czy Courchevel. Wyglądała, jakby mieszkało w niej wiele osób, ale garaż był otwarty i Servaz zauważył w środku jeszcze tylko jedno auto.

Małżeństwo? Czy Gustav naprawdę tutaj mieszka? Z tym mężczyzną? Z kim jeszcze? Servaz zobaczył, jak wchodzi do środka. Otworzył drzwi samochodu.

– Nie masz ochoty na kawę? – zapytał.

Chwilę później siedzieli na hotelowym tarasie jak dwoje turystów na wycieczce, on przy podwójnym espresso, ona przy coli zero (wyrzuciła ze swojej szklanki kostki lodu, jakby byli w jednym z tych krajów, w których woda jest niezdatna do picia i można od niej złapać jakieś świństwo). Było zimno jak w psiarni, ale promienie słońca odbijały się od migocącego śniegu i trochę ich rozgrzewały. Servaz obserwował willę zza okularów słonecznych, czyhając na najdrobniejszy ruch.

W pewnej chwili dał znak Kirsten, by się odwróciła. Na jednym z balkonów pojawiła się wysoka blondynka. Miała na sobie sweter w kolorze ecru i brązowe spodnie. Byli trochę za daleko, by oszacować jej wiek, ale Servaz oceniał ją na mniej więcej czterdziestkę. Była szczupła, nawet smukła, i miała włosy związane w koński ogon.

Choć na tarasie nie było innych klientów, właściciel hotelu znowu się pojawił i Servaz skinął na niego.

– Ta duża willa, tam: nie wie pan, czy jest do wynajęcia?

– Nie. Nie jest do wynajęcia. Należy do profesora z uniwersytetu w Tuluzie.

– I mieszkają tam we dwójkę? – zapytał Servaz z udawanym podziwem i zazdrością.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– We trójkę. Mają synka. Adoptowanego. Tak, tak, niektórzy mają kasę...

Servaz wahał się, czy zadawać więcej pytań. Na razie nie chciał zwracać na siebie uwagi.

– A czy u pana są wolne pokoje?

– Oczywiście.

– *What?* – zapytała Kirsten, gdy właściciel się oddalił.

Przetłumaczył jej.

Godzinę później mężczyzna z bródką wyszedł z domu w towarzystwie Gustava, by odwiedzić chłopca z powrotem do szkoły. Najwyraźniej tego dnia nie pracował w Tuluzie. Servaz

i Norweżka siedzieli na tarasie już od godziny. Najwyższy czas, by się ruszyć, jeśli nie chcą wzbudzić nadmiernego zainteresowania.

– Weźmiemy pokój, przejdziemy się i wieczorem wrócimy – powiedział po angielsku.

– Jeden pokój czy dwa? – zapytała.

Spojrzał na nią. Wyglądało na to, że nie ma zamiaru kontynuować tego, co wydarzyło się ostatniej nocy. Pięknie wyglądała w naturalnym świetle. Miała na sobie golf, który uwydatniał jej biust, i okulary słoneczne zasłaniające dużą część twarzy. Nagle poczuł lekkie ukłucie w żołądku. Nie był pewien, co się między nimi wydarzyło, ani tym bardziej, co wydarzy się dalej. Trudno było ją rozgryźć. Czy to, co się stało, było reakcją na przyływ adrenaliny i strach? Czy Kirsten po prostu potrzebowała w tamtej chwili znaleźć się z kimś w łóżku? Właśnie w bardzo wyraźny sposób dała mu do zrozumienia, że zamierza na tym poprzestać. Postanowił odłożyć tę sprawę na później.

– Cała broń, jaką dysponuje wydział kryminalny? – powtórzył Stehlin z niedowierzaniem w głosie.

– Tak jest.

– I sędzia Desgranges się pod tym podpisał?

– Tak.

Dyrektor wydziału podniósł do ust filiżankę z kawą, by zyskać czas do namysłu.

– Kto przeprowadzi analizę balistyczną? – zapytał.

– A ma pan z tym problem? – odparował Rimbaud.

– Nie. Pytam. Jak pan to zrobi? Wrzuci pan całą broń naraz do opancerzonej ciężarówki? I zawiezie ją do Bordeaux? Autostradą? Serio?

Rimbaud poruszył się w fotelu i pochylił się nad imponującym biurkiem rozmówcy.

– Nie rozbiorimy wszystkich pana ludzi jednocześnie. Broń nie opuści tego budynku: analiza zostanie przeprowadzona na miejscu, w waszym laboratorium. Pod naszą kontrolą.



– Dlaczego kryminalni? Dlaczego nie żandarmeria albo wydział bezpieczeństwa publicznego? Na jakiej podstawie sądzi pan, że winowajca znajduje się tutaj? Nie wierzę, by któryś z moich ludzi mógł być w to zamieszany – powiedział Stehlin, choć przemknęła mu przez głowę myśl o Servazie.

– Podobno najciemniej jest pod latarnią – odparł tajemniczo Rimbaud.

Przez całe popołudnie wałęsali się po Hospitalet i Saint-Martin, snując rozmaite hipotezy, i wypili tyle kawy, że Servazowi robiło się niedobrze. Gdy tylko zaczęło się ściemniać, wpadli do hotelu i pod pretekstem, że są zmęczeni, zamknęli się w pokoju. Stały w nim dwa łóżka, jedno duże, drugie węższe, co obydwójce uznali za znak. Servaz nie chciał zamawiać osobnych pokoi, by nie zwracać na siebie uwagi. Był nawet gotów spać w fotelu, ale oto sprawa się rozwiązała.

Mimo to czuł się zmieszany. Nie przewidzieli, iż po tym, co zaszło ostatniej nocy, będą dzielić jeden pokój, a fakt, że zmusiły ich do tego okoliczności, czynił sytuację jeszcze bardziej kłopotliwą. Zauważył, że Kirsten jest tak samo skrępowana jak on. W tej ograniczonej przestrzeni kontrolowała każdy swój ruch, niczym astronauta w Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. W dodatku pokój miał tylko jedno okno, przez co wciąż byli tak blisko siebie, że Martin niemal czuł ciepło bijące od jej ciała, a także zapach perfum, którymi spryskała szyję i nadgarstki.

W trakcie spaceru Servaz zdobył potwierdzenie numerów rejestracyjnych i uzyskał więcej informacji na temat małżeństwa: Roland i Aurore Labarthe, lat czterdzieści osiem i czterdzieści dwa. Oficjalnie bezdzietni. Według Espérandieu mężczyzna wykładał psychologię międzykulturową i psychopatologię na Uniwersytecie Jeana Jaurès'a w Tuluzie. Kobieta formalnie była bez zawodu. Muszą poszukać informacji na temat adopcji Gustava – czy była fikcyjna czy prawdziwa. W jakich warunkach się odbyła? Gdzie są papiery? Co o tej sytuacji wiedzą mer i szkoła? Czy w 2016 roku

można mieszkać z obcym dzieckiem? Prawdopodobnie tak. Przynajmniej przez pewien czas. Pośród wszechobecnego chaosu i administracyjnych zawłości całe grupy społeczne są pozostawione samym sobie i pozbawione kontroli.

Na zewnątrz mroźny górski krajobraz szybko pogrążał się w mroku, ciemności na szczytach i w zagłębieniach terenu gęstniały, a w kilku pokojach willi zapaliło się światło. Jednak Labarthe i Gustav jeszcze nie wrócili. Servaz i Kirsten od czasu do czasu widzieli wyniosłą, smukłą sylwetkę pani domu, przechodzącą z jednego pomieszczenia do drugiego, to z telefonem przy uchu, to wystukującą wiadomości. Servaz pomyślał, że powinien poprosić sędziego o założenie jej podsłuchu. Potem przed ich oknem nagle pojawiło się volvo, sunące ostrożnie i cicho białymi koleinami zaśnieżonej szosy. Nie słyszeli, jak się zbliżało. Jego światła stopu, które wyglądały jak dwoje czerwonych, płonących ślepi, oddaliły się w stronę willi i na ganku w świetle reflektorów pojawiła się uśmiechnięta blondynka. Przytuliła Gustava na powitanie i delikatnie pchnęła go do środka, po czym ucałowała męża. Servaz zauważył, że w ich mowie ciała jest coś sztucznego i wymuszonego. Przyniósł z samochodu lornetkę i podał ją Kirsten.

Teraz Aurore Labarthe widać było wyraźniej. Wyzwolona kobieta. Piękna, ale na sposób szablonowy, zimny: odrobinę za długi nos, wąskie usta, łabędzia szyja, bardzo blada cera. Oceniał, że ma co najmniej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, pewnie więcej. Umieśniona, ale chuda. Miała na sobie długą kremową tunikę do kostek, w której wyglądała jak rzymska westalka. Servaz zauważył, że ma bose stopy, nawet gdy wychodzi na schody, na których leżały jeszcze resztki śniegu. W jej rysach, spojrzeniu, zachowaniu było coś, co przyprawiało go o głęboki dyskomfort. Pomyślał, że zamiast Aurore powinna mieć na imię „Cień” albo „Noc”.

– *Look* – powiedziała nagle Kirsten, która siedziała obok niego.

Na kolanach trzymała laptop i już od jakiegoś czasu sprawdzała coś w Internecie. Odwróciła monitor w jego stronę. Oczom Servaza ukazała się strona księgarni wysyłkowej. Na wszystkich okładkach

widniało nazwisko Labarthe. Przebiegł wzrokiem tytuły: *Sade, wyzwolenie poprzez uwięzienie, Czyń, co chcesz: Thelema Rabelais'go u Aleistera Crowleya, Pochwała zła i wolności, Ogród rozkoszy, od Sacher-Masocha do BDSM*. Nagle jego spojrzenie zatrzymało się na piątym tytule: *Julian Hirtmann albo Kompleks Prometeusza*.

Zadrżał. Przypomniał sobie pewien cytat: „Demony są złe i potężne”. Gdzie on to przeczytał? Mieli przed oczami brakujące ogniwo. Pomijając górnolotne tytuły, jakich akurat można się było spodziewać po wykładowcy uniwersyteckim, stanowiły one bezpośredni łącznik między dwoma mężczyznami. Szwajcar był tematem studiów Labarthe'a. Czy jego intelektualna ciekawość urosła do rozmiarów fascynacji? Czy doprowadziła do współpracy? Servaz miał przed oczami niezbity dowód. Wiedział, że Hirtmann ma wielu fanów w Internecie – wspaniałym wynalazku, który zmienił oblicze świata i pozwala na to, by ISIS sączyło do wrażliwych umysłów swoją morderczą ideologię, by dzieciaki nękały inne dzieciaki, by pedofile przesyłali sobie zdjęcia nagich dzieci, a miliony osób pod osłoną anonimowości wylewały swoją nienawiść na innych.

Musi zdobyć tę książkę. *Kompleks Prometeusza*... Servaz mgliście sobie przypominał wykłady z filozofii, z tych odległych czasów, gdy zamierzał zostać pisarzem i studiował literaturę współczesną. O kompleksie Prometeusza mówiła książka Gastona Bachelarda *Psychoanaliza ognia*. To było dawno, ale wydawało mu się, że pamięta, iż według Bachelarda, aby zdobyć ogień, to znaczy przekroczyć próg wiedzy i seksualności, mały Prometeusz musiał złamać rodzicielski zakaz. Kompleks Prometeusza opisuje dążenie synów do rywalizacji z ojcami w zakresie poznania i inteligencji, pragnienie, by wiedzieć tyle samo lub więcej niż oni. Mniej więcej... Czyżby Labarthe odkrył coś w przeszłości Szwajcara? Czy to Hirtmann skontaktował się z profesorem po przeczytaniu poświęconej sobie książki?

Spojrzał przez okno. Na zewnątrz panował już zupełny mrok.

Tylko niebieskawy śnieg odcinał się na jego tle, jak prześcieradło narzucone na meble w ciemnym pokoju. Z okien willi sączyło się światło. Nagle do jednego z nich zbliżył się Gustav, przykleił nos do szyby i wyjrzał na zewnątrz. Servaz zobaczył przez lornetkę, że chłopiec ma na sobie piżamę i wygląda, jakby błędził myślami w swoim wewnętrznym świecie. Przez chwilę Servaz nie mógł oderwać oczu od zmęczonej, smutnej buzi i poczuł, jakby w jego żołądku otwierała się otchłań. Odwrócił wzrok. Czy istnieje choćby minimalne prawdopodobieństwo, że w tej chwili obserwuje własnego syna? Ta perspektywa przerażała go najbardziej. Co będzie, jeśli to prawda? Nie chciał nieplanowanego dziecka. Nie godził się na taką odpowiedzialność. Jego syn... Żyjący pod opieką zbikowanego na punkcie transgresji intelektualisty i jego lodowatej żony. Nie, to absurd. A jednak zwrócił się do Kirsten:

– Będzie nam potrzebne jego DNA.

Przytaknęła. Nie pytała, czyje DNA Servaz ma na myśli: wiedziała, co mu chodzi po głowie.

– W szkole na pewno mają przedmioty, które do niego należą – powiedziała.

Pokręcił głową.

– To zbyt ryzykowne. A jeśli powiedzą Labarthe’owi? Nie, nie możemy się tak narażać.

– To co zrobimy?

– Nie wiem. Ale musimy je zdobyć.

– Chcesz się dowiedzieć, czy jesteś jego ojcem, tak?

Nie odpowiedział. W kieszeni Kirsten zadzwonił telefon. Pierwsze akordy *Sweet Child of Mine* Guns N’Roses. Norweżka przesunęła w prawo symbol zielonej słuchawki na wyświetlaczu samsunga.

– Kasper?

– Dzwonię, żeby się dowiedzieć, co u ciebie. Coś nowego? – odezwał się policjant z Bergen.

Siedziba policji kryminalnej, Tuluza. O osiemnastej dwanaście

Samira Cheung podała Rimbaudowi swojego sig-sauera. Tego dnia miała na sobie koszulkę z logo The Misfits, dawno rozwiązanej grupy grającej horror punka, oraz dwa nowe kolczyki: kółeczka z czarnej stali, jedno w lewej dziurce od nosa, drugie w dolnej wardze.

– Zdaje mi się, czy śmierdzi tu zdechłym szczurem?

– Masz rację. Pewnie wszedł przez kanalizację – odparł Espérandieu, sięgając do szuflady po swój pistolet.

– Poeci, co? – odparował Rimbaud.

– No tak, z takim nazwiskiem na pewno jest pan znawcą, komisarzu.

– Cheung, niech się pani tym za bardzo nie przejmuje. To rutynowa kontrola. Nie mam nic przeciwko pani. Jest pani dobrym gliną.

– Co pan wie o byciu gliną? Hej, komisarzu, ostrożnie. To nie zabawki, może pan sobie zrobić krzywdę – powiedziała, gdy wychodził z ich pistoletami w dłoni.

– Gdzie Servaz? – zapytał, nie zważając na przytyk.

– Nie wiem. Vincent, ty coś wiesz?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Jak tylko go zobaczycie, powiedzcie mu, że potrzebna mi jego broń.

Samira wybuchła donośnym śmiechem.

– Martin nie trafiłby w Gwiazdę Śmierci, gdyby miał ją przed nosem. Jego wyniki na strzelnicy są po prostu śmieszne. Mógłby sobie strzelić w stopę.

Rimbaud miał później pożałować swoich słów, ale w tej chwili nie mógł się oprzeć:

– Możliwe, że właśnie to zrobił.

O osiemnastej dziewiętnaście Servaz się rozłączył.

– Muszę zejść do auta. Zaraz wracam – zwrócił się do Kirsten.

– Co się dzieje?

– Nic. Chce mi się palić. Mam paczkę w samochodzie.

W jednej chwili podskoczyło mu ciśnienie: dzwoniła Samira z informacją, że sprawdzają broń. A przecież nie miał powodu do nerwów, jego broń przez cały czas leżała na swoim miejscu. Gdy wychodził z hotelu, uderzył go nagły podmuch lodowatego wiatru, który targał flagami – z pewnością mimo przestarzałych instalacji w tym przybytku miały one informować o jego światowych ambicjach – i przenikał przez jego zbyt cienki sweter. Servaz plął sobie w brodę, że nie włożył kurtki na podpince. Potężny podmuch pchnął go z powrotem w stronę drzwi, ale policjant szedł dalej po śniegu ku stopniom prowadzącym na ulicę, tuż przy tarasie. Podniósł wzrok i zobaczył ich: Labarthe’a i Gustava. Wyszli z domu i śmiejąc się, brnęli pod wiatr. Zmierzali do hotelu, to znaczy wprost na niego.

Cholera. Nie może teraz wrócić. Nie chciał, by Labarthe zobaczył z bliska jego twarz. To by skomplikowało całą obserwację. Ostrożnie zszedł po zaśnieżonych stopniach, otworzył drzwi wozu od strony pasażera, zajrzał do schowka. Paczka była na swoim miejscu. Podniósł głowę i wyciągnął szyję, by spojrzeć ponad kamienną podmurówką. Labarthe i Gustav wchodzili innymi schodami. Natychmiast schylił się do samochodu, udając, że czegoś szuka. Kiedy się wyprostował, byli już w środku.

Mroźny wiatr owiewał go ze wszystkich stron i jego ciałem wstrząsały dreszcze. Znowu podniósł głowę. Serce gwałtownie podskoczyło mu do gardła, gdy ujrzał, że Aurore Labarthe stoi na balkonie i obserwuje hotel. Cholera! Czy zauważyła jego manewry? Na pewno, podobnie jak mąż, jest czujna. Servaz nie mógł dłużej zostać w tym miejscu. Będzie musiał przejść koło mężczyzny i chłopca, bo mieszcząca się przy barze recepcja była maleńka, a winda wielkości pudełka od zapalek znajdowała się tuż obok.

Ukradkiem zerknął na postać na balkonie. Czyżby go obserwowała? Czy po prostu patrzy na hotel? Niepewnym krokiem pokonał schody i przeszedł przez taras. Labarthe i Gustav stali tyłem do niego. Wykładowca rozmawiał z właścicielem, który coś mu podawał.

– Dziękuję, bardzo nam pan pomógł – powiedział. – Ile się należy?

Szperał w portfelu. Servaz ruszył przez hol. Gustav musiał usłyszeć jego kroki na śniegu, bo odwrócił się i spoglądał na niego dużymi, jasnymi oczami. Servaz poczuł się tak, jakby całe jego ciało opróżniało się w środku, a żyły napełniały się powietrzem. Zakręciło mu się w głowie. Chłopczyk wciąż na niego patrzył.

– *Jesteś moim synem, prawda?*

Małec nie odpowiedział.

– *Jesteś moim synem, wiem o tym.*

Otrząsnął się. Przegnał nagły miraż. Przeszedł obok nich. Kiedy ich mijał, Labarthe odwrócił głowę.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – odpowiedział.

Właściciel hotelu, Labarthe i chłopiec patrzyli na niego. Wcisnął guzik przy windzie i oparł się pokusie, by się odwrócić.

– Przepraszam – odezwał się Labarthe za jego plecami.

Zwraca się do niego czy do właściciela?

– Przepraszam.

Tym razem nie było wątpliwości: głos dobiegał z za jego pleców. Odwrócił się. Labarthe mu się przyglądał.

– *Zabawimy się tak, że będzie pan płakał?*

– Co?

– Obawiam się, że zostawił pan światło w samochodzie – powtórzył mężczyzna.

– Och!

Podziękował i wrócił do wozu. Zobaczył, że Aurore Labarthe zniknęła z balkonu. Wrócił do pokoju.

– Co się stało? – zapytała Kirsten.

– Nic. Spotkałem Labarthe'a. I Gustava. Na dole, w holu.

Zehetmayer siedział w jednej z tych wiedeńskich kafejek, które wyglądały tak, jakby czas się w nich zatrzymał, i do złudzenia przypominały lokal opisany przez Stefana Zweiga w *Świecie*

wczorajszym, książce powstałej na krótko przed jego śmiercią. Kafajki te według dyrygenta należały do nielicznych pozostałości dawnego Wiednia – Wiednia miłującego teatr, literaturę i sztuki piękne – i niegdyś rozbrzmiewały rozmowami na wyższym poziomie niż dzisiaj. Bo cóż dziś zostało po tym mieście? Co pozostało po tych Żydach, którzy je rozślawili? Po Mahlerach, Schönbergach, Straussach, Hofmannsthalach, Schnitzlerach, Beer-Hofmannach, Reinhardtach, Altenbergach, Zweigach – a nawet po Freudzie, tym wachaczu damskich majtek?

Dyrygent siedział na kanapie w głębi starej galerii Café Landtmann (za nic w świecie nie usiadłby na zewnątrz, w nowej przeszklonej sali wśród turystów) i jadł eskalopkę, czytając „Krone” i od czasu do czasu zerkając między ciężkimi zasłonami na plac Ratuszowy, który błyskawicznie pokrywał się bielą. Po chwili ujrzał w szybie własne odbicie; wyglądał na tego, kim był: starca o pożółkłej, nakrapianej skórze i spojrzeniu płonąącym wrogością, który jednak – odziany w długi płaszcz z kołnierzem z lutrów – prezentował się nienagannie. W lewej kieszeni jego płaszcza rozległy się pierwsze nuty *Tańca węgierskiego numer 1* Brahmsa. Każdy z jego ważnych znajomych miał przypisany inny dzwonek. Ta melodia oznaczała szczególnie ważnego rozmówcę.

– Halo? – odezwał się po prostu.

– Chłopiec został odnaleziony – poinformował głos po drugiej stronie.

– Gdzie?

– W wiosce w Pirenejach.

– A on?

– Jeszcze nie. Ale prędzej czy później się pokaże.

– Kto idzie po śniegu, nie może ukryć swoich śladów – podsumował Zehetmayer, cytując chińskie przysłowie. – Dobra robota.

Zamiast odpowiedzi usłyszał w słuchawce tylko sygnał: uprzejmość także była już pojęciem z przeszłości. Być może nadszedł czas, by zadzwonić pod inny numer. Numer, który



otrzymał, gdy dawał lekcje muzyki w więzieniu. Pomagał więźniom „uciec” dzięki kompozycjom Mahlera. Ostatecznie on sam także to robi: za pośrednictwem muzyki ucieka od współczesnego świata, który przyprawia go o wymioty.

Tej nocy w górskim hoteliku Servazowi śniło się, że jest w paryskim metrze i w tłumie ludzi zauważył Gustava. Z sercem walącym jak werbel zerwał się z miejsca i rozpychając się łokciami, przedzierał się środkiem, by dogonić chłopca, gdy tymczasem metro wjechało na stację Saint-Martin. Nie przypomina sobie, żeby istniała taka stacja. Saint-Michel, Saint-Sulpice, Saint-Ambroise, Saint-Germain-des-Prés, Saint-Philippe-du-Roule, owszem, ale nie Saint-Martin. W jego śnie wszakże istniała. Poszturchiwani pasażerowie rzucali mu wrogie, karcące spojrzenia. Gdy po pokonaniu licznych przeszkód był już prawie u celu, pociąg stanął. Drzwi się otworzyły i tłum wysiadł. Servaz wypadł na peron. Gustav szedł w stronę ruchomych schodów. Servaz dalej się przepychał, ale coraz bardziej zwarty tłum spowalniał go, a chwilami wręcz odsuwał od chłopca.

– GUSTAV! – zawołał.

Malec się odwrócił i spojrział na niego. Servaz miał wrażenie, że jego serce zaraz eksploduje z radości. Ale w oczach dziecka malował się strach i po chwili zaczęło się przepychać do przodu, uciekając przed nim! Pięcioletni chłopiec. Sam w metrze. Servaz pokonywał teraz po dwa schody, z rozpaczliwą siłą odpychając ludzi, którzy stanęli mu na drodze. Dotarł do skrzyżowania korytarzy na górze. Zatrzymał się. Wokół niego nie było już nikogo. Nagle zrobiło się pusto.

Był sam. Popatrzył na niekończące się korytarze, ale na horyzoncie nie widział żywej duszy. Wydawało mu się, że cisza dookoła niego ma jakąś szczególną częstotliwość. Odwrócił się. Ruchome schody, którymi przyjechał, także były puste, podobnie

jak peron w dole. Zawołał Gustava, lecz odpowiedziało mu tylko echo. Czuł się zagubiony. Samotny. Nagle wydało mu się, że z tych korytarzy nie ma wyjścia. Nie ma nadziei. Że już na całą wieczność zostanie zamknięty w podziemiach. Chciał krzyknąć, ale zamiast tego się obudził. Kirsten spała. Słyszał jej oddech.

Nie zaciągnęli zasłon i na wysokości okna, w niebieskawym, nierzeczywistym półmroku zalewającym pokój, rysował się lśniący prostokąt. Podeszedł do niego, zrzuciwszy z siebie puchową pierzynę. Przywarł nosem do szyby. Naprzeciwko wszystkie okna były pogaszone i willa tonęła w mroku. Czarny kształt budynku odcinał się na tle jaśniejszej od niego nocy. Było w nim coś nieprzyjaznego i złowieszczonego. Pomyślał, że cały ten śnieżny pejzaż jest jak fosa warownego zamku, chroniąca mieszkańców przed najeźdźcą. Po chwili niewiele już widział przez zaparowaną szybę i wrócił do łóżka.

– Zostaję tu – oświadczyła Kirsten następnego dnia w trakcie śniadania. – Zobaczę, czy można jednocześnie chodzić na raketach i obserwować willę. Żeby nie siedzieć przez cały czas w zamknięciu.

– Świetnie.

Zamierzał wrócić do Tuluzy, by oddać broń, a potem wpaść do mediateki albo księgarni, żeby zdobyć książkę Labarthe'a, i wrócić przed wieczorem. Była sobota, mimo to chciał też zadzwonić do Roxane Varin, żeby w poniedziałek rano wywiedziała się wszystkiego na temat adopcji Gustava. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Espérandieu, który słuchał właśnie *We are on Fire* w wykonaniu Airplane.

– Roland i Aurore Labarthe, sprawdź mi ich w TAJ<sup>1</sup>, w FIJAIS i ewentualnie w rejestrze...

Prace Labarthe'a potwierdzały jego zainteresowanie praktykami seksualnymi, które czasem prowadziły ich miłośników do łamania prawa.

– Hola! A co to za ptaszki? Wiesz, że mamy sobotę?

– Wykładowca uniwersytecki i jego żona. W poniedziałek skoro świt. Ucałuj Charlène – powiedział.

– Wykładowca? Poważnie? I co oni zrobili?

– Właśnie tego chcę się dowiedzieć.

– To ma jakiś związek z tym małym?

– Znaleźliśmy go. Jest pod ich opieką.

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.

– I mówisz mi to ot tak, po prostu?

– Wczoraj się dowiedzieliśmy.

Domyślił się, że jego zastępca jest poirytowany.

– Martin. Odkąd jest przy tobie ta Eskimoska, jakbyś zapomniał o przyjaciółkach. W końcu będę zazdrosny. Uważaj, ktoś tu na ciebie czeka. Mam wrażenie, że ma cię na muszce. Czeka też na twoją spluwę.

– Wiem. Jestem z nim umówiony.

Nie miał ochoty na dłuższą rozmowę. Nie teraz. Rozłączył się, przekręcił kluczyk i ostrożnie ruszył oblodzoną drogą. Dotarcie do komendy policji w Tuluzie zajęło mu dwie godziny. W sobotni poranek budynek był w trzech czwartych pusty, ale Rimbaudowi zależało, by przesłuchać Servaza jak najszybciej. Ponieważ nie mógł tego zrobić na własnym terenie, czekał na niego w niewielkim gabinecie na uboczu, który zajął specjalnie na tę okazję. Szeroki nos i żuchwa buldoga nadawały mężczyźnie wygląd byłego boksera. Boksera, który otrzymał więcej ciosów, niż sam wymierzył. Servaz wiedział jednak, że teraz to jemu przypadnie rola worka treningowego.

– Telefon, komendancie – zaczął Rimbaud.

– Słucham?

– Telefon. Proszę go wyciszyć.

Servaz podał mu urządzenie.

– Proszę. Nie wiem, jak to się robi.

Rimbaud spojrzał na niego z taką miną, jakby się zastanawiał, czy Servaz sobie z niego kpi. Niechętnie spełnił prośbę komendanta i oddał mu telefon.

– Zamierzam pana przesłuchać na okoliczność zabójstwa Floriana Jensena – oświadczył. – Jak się pan domyśla, chodzi o sprawę najwyższej wagi; ponieważ prawdopodobnie został zastrzelony z broni służbowej, jest ona szczególnie delikatna.

– W jakim charakterze? Podejrzanego?

Rimbaud nie odpowiedział. Servaz zastanawiał się, jaką przyjąć strategię. Konfrontacji czy współpracy? Siedzieli naprzeciwko siebie po dwóch stronach biurka: a zatem konfrontacja.

– Chciałbym, żeby opowiedział mi pan przede wszystkim o tym, co się wydarzyło na dachu wagonu i oczywiście o tej nocy, kiedy pojechał pan do Saint-Martin.

– Wszystko jest w moim raporcie.

– Czytałem. Podobno przez wiele dni był pan w śpiączce. Jak się pan czuje?

Pytanie otwarte, pomyślał Servaz. Jak uczą podręczniki, „pytania otwarte zachęcają do mówienia i udzielenia jak największej liczby informacji”. Następnie stopniowo przechodzi się do pytań zamkniętych: technika lejka. Problem polega na tym, że bandziory znają techniki przesłuchania niemal tak samo dobrze jak gliny. Problemem policjantów z IGPN jest natomiast fakt, iż przesłuchują innych policjantów. Muszą więc być bystrzejsi, sprytniejsi i przebieglejsi. Ale to już był problem Rimbauda.

– Jak się czuję? Naprawdę chce pan to wiedzieć?

– Tak.

– Niech pan da spokój, Rimbaud. Poszukam sobie psychologa, jeśli będę miał taką potrzebę.

– Hmm. Potrzebuje pan psychologa, komendancie?

– Aha, na tym polega pana metoda: powtarzać to, co powiedział przesłuchiwany?

– A pańska metoda? Na czym polega?

– Boże! Długo będziemy się w to bawić?

– Ja się nie bawię, komendancie.

– Daj pan spokój.

– Okay, więc co pan robił na tym dachu? Dlaczego wszedł pan

tam w czasie burzy? Mógł się pan upiec jak grzanka.

– Goniłem podejrzanego, który groził nam bronią, a potem uciekał.

– Ale w tamtej chwili już nie tylko on groził, prawda?

– Co pan ma na myśli? Że miałem pozwolić, żeby uciekł?

– Czy wchodząc na ten wagon, miał pan przy sobie pistolet?

Celował pan w Jensena?

– He? Co? Nie miałem broni! Została... w schowku, w samochodzie.

– Twierdzi pan, że gonił pan bez broni podejrzanego, który był naćpany i już wcześniej do pana celował?

Pytanie zamknięte, ale przydługie i retoryczne, pomyślał Servaz.

– Tak, można to ująć w ten sposób – odparł.

– Można to ująć w ten sposób?

– Znowu pan zaczyna po mnie powtarzać?

– W porządku. A zatem Jensen strzela do pana i w tej samej chwili kopie go ten cholerny prąd i facet płonie jak bożonarodzeniowa choinka.

– Lubi pan metafory, Rimbaud. To musi mieć związek z pańskim nazwiskiem.

– Niech pan nie pajacuje, Servaz. Nie miał pan szczęścia: gdyby usmażył się sekundę wcześniej, nie spędziłby pan tyle czasu w śpiączce.

– Albo zgrillowałyby mi mózg.

– Nie uważa pan, że od czasu tej śpiączki się pan zmienił?

Servaz przełknął ślinę. Może ten Rimbaud jest sprytniejszy, niż się zdaje?

– Komisarzu, wszyscy się zmieniamy, w śpiączce czy nie.

– Miał pan jakieś wizje? Spotkał pan zmarłych rodziców czy coś w tym stylu?

Drań, pomyślał Servaz.

– Nie.

– Wszystko jest tak jak dawniej?

– A u pana, Rimbaud?

Rimbaud tylko skinął głową. Był przyzwyczajony do takich cwanych bestii i nie zamierzał dać się łatwo wyprowadzić z równowagi. Ja też się nie dam, skwitował Servaz w duchu.

– Czy przypomina pan sobie, jakie były pierwsze słowa Jensena w tamten wieczór, gdy do pana zadzwonił?

Servaz się zastanowił.

– „Jak tam serce?”

– Okay. A dalej?

– Dalej mówił o tamtej nocy... na wagonie... Powiedział „cholerna noc” czy coś takiego.

– Okay. Niech pan kontynuuje.

– Powiedział, że przeze mnie wygląda jak ktoś tam, użył imienia, które nic mi nie mówiło. I że ma gębę, która do niego pasuje.

– Okay.

– Powiedział, że widział mnie tamtego dnia w Saint-Martin.

– Ach tak? A co pan tam robił?

– Miałem sprawę. W merostwie. Zaginiony chłopiec.

– To brygada kryminalna zajmuje się zaginionymi chłopcami?

– Nieważne. To nie ma nic wspólnego z Jensenem.

– Założmy. Dobrze. I jak pan zareagował?

– Zapytałem go, czego chce.

– I co panu odpowiedział?

– Że chce ze mną porozmawiać.

Rimbaud spojrzał na niego zdziwiony.

– Zapytałem o czym – dodał Servaz bez ponaglenia, choć wiedział, że nie powinien ułatwiać pracy inkwizytorowi.

– I co on na to?

– Że wiem.

– I tak było?

– Nie.

– Okay. I co mu pan wtedy powiedział?

– Że mam inne sprawy na głowie.

– I wtedy wspomniał o pana córce – wypalił Rimbaud. Od samego początku do tego zmierzał.

- Tak.
- Jakich słów użył?
- Powiedział tylko: „Wiem, córka”.
- I to był ten moment, kiedy postanowił pan tam pojechać?
- Nie.
- Jak pan zareagował na tę wzmiankę?
- Poprosiłem go, żeby powtórzył.
- Zdenerwował się pan?
- Tak.
- I co on powiedział?
- Że będzie na mnie czekał przy termach w Saint-Martin o północy.
- Wspomniał jeszcze o córce?
- Tak.
- Okay. Co powiedział?
- „Pozdrów córkę”.
- Hmm. I to zdenerwowało pana jeszcze bardziej.
- Tak.

Oczy Rimbauda przypominały teraz dwie szparki. Servaz miał nieprzeniknioną minę, ale czuł się urażony insynuacjami rozmówcy. Samo istnienie Rimbauda uważał za osobistą obrazę.

– Sprawdził, o jakich porach pański telefon logował się między Tuluzą a Saint-Martin. Proste obliczenia pozwoliły nam ustalić, że tamtej nocy jechał pan znacznie powyżej dozwolonej prędkości, komendancie. O czym pan myślał, kiedy pan tak pędził do Saint-Martin?

- O niczym.
- O niczym?
- O niczym szczególnym. Chciałem po prostu spotkać się z nim oko w oko i powiedzieć, żeby się nie zbliżał do mojej córki.
- Więc zamierzał pan mu grozić?

Servaz czuł, dokąd Rimbaud chce go doprowadzić, podobnie jak ryby wyczuwają, dokąd ciągnie je węcierz – ale w tej chwili jest już dla nich za późno.



– Nie użyłbym tego słowa.  
– A jakiego słowa by pan użył?  
– Ostrzec. Chciałem go ostrzec.  
– Przed czym?  
– Przed kłopotami, jakie mogłyby go spotkać, gdyby się zbliżył do mojej córki.

Rimbaud jakby się delectował tym zdaniem. Uśmiechnął się, zapisał coś w notatniku, a potem wystukał na klawiaturze.

– Jakiego rodzaju kłopoty miał pan na myśli?  
– Po co te spekulacje, skoro i tak się z nim nie spotkałem?  
– O jakich kłopotach pan mówił, komendancie?  
– Niepotrzebnie się pan wysila, Rimbaud. Chodzi mi o kłopoty z prawem.

Komisarz skinął głową bez przekonania.

– Proszę mi opowiedzieć o Saint-Martin. Co się tam wydarzyło?  
– Wszystko już opowiedziałem.  
– Jaka pogoda była tamtej nocy? Padał śnieg?  
– Nie.  
– Niebo było bezchmurne? Pełnia księżyca?  
– Tak.  
– A zatem było jasno jak w dzień.  
– Nie, nie, nie jak w dzień. Ale tak, to była dosyć jasna noc.  
– Okay. To niech mi pan powie: skoro noc rzeczywiście była dość jasna, jak to możliwe, że nie rozpoznał pan Jensena z tą jego spaloną gębą à la Freddy Krueger?

– O, to było to nazwisko.

– Co?

– Kiedy powiedział mi, że przeze mnie wygląda jak ktoś tam, wypowiedział właśnie to nazwisko.

Rimbaud pokręcił głową z poirytowaną miną. Servaz powstrzymał uśmiech.

– Dobra, dobra. W każdym razie mimo pełni księżyca nie rozpoznał pan tej jego gęby.

– Stał pod drzewami w ogrodzie, dobre trzydzieści metrów ode

mnie. Jeśli to był on.

– Ma pan wątpliwości?

– Jak mógłby być jednocześnie w tym schronisku i tam?

– No właśnie, jak? A zatem sądzi pan, że to nie był on?

– To się wydaje oczywiste, nie?

– A czy przychodzi panu do głowy, kto by to mógł być?

– Nie – skłamał.

– Niech pan przyzna, Servaz, że to jednak dość dziwna historia.

Milczał.

– A ten głos w telefonie? Kto to był?

– W tamtej chwili uznałem, że to Jensen. Ale kiedy znowu o tym pomyślę... Równie dobrze mógłby to być ktoś inny. Ostatecznie wszystko, o czym wspomniał, w którymś momencie można było znaleźć w gazetach.

– Hmm. Jednego nie potrafię zrozumieć. Kto miałby interes, żeby zrobić coś takiego?

Servaz poczuł, jak narasta w nim gniew. Miałby ochotę wybuchnąć, ale wiedział, że jeśli to zrobi, Rimbaud wykorzysta ten fakt przeciwko niemu, żeby udowodnić, że jest cholerykiem i łatwo traci panowanie nad nerwami. Komisarz doskakiwał do niego jak torreador, który czeka na najlepszy moment, by zadać śmiertelny cios.

– Gdzie pan był tamtej nocy o trzeciej?

– W swoim łóżku.

– W Tuluzie?

– Tak.

– Czy pańska córka słyszała, jak pan wszedł do domu?

– Nie. Spała.

– A zatem wrócił pan z Saint-Martin i poszedł pan spać?

– Tak jest.

– Jaki ma pan rozmiar buta, Servaz?

– Co?

– Rozmiar buta.

– Czterdzieści dwa. Dlaczego?

– Hmm. Znakomicie. Na razie nie mam więcej pytań. Broń będzie pan mógł odebrać za kilka dni. Poinformujemy pana.

Servaz wstał.

– Komendancie... – Rimbaud zawołał go tak cicho, że ledwie było go słyszeć. – Nie wierzę ani jednemu pańskiemu słowu. I udowodnię, że pan kłamał.

Spojrzał na glinę z IGPN, powstrzymał się od komentarza, wzruszył ramionami i wyszedł.

1. TAJ (Traitement des antécédents judiciaires) – elektroniczny rejestr przestępców prowadzony na użytek policji i żandarmerii. [↩](#)

– Ci twoi Labarthe’owie to ciekawe ptaszki.

Siedział w ogródku Café des Thermes, przy boulevard Lazare-Carnot, w towarzystwie Lhoumeau, gliny z brygady do spraw walki ze stręczycielstwem. Wypowiedziawszy ów zwięzły osąd, mężczyzna podniósł do ust kufel z piwem. Wskutek pracy, która zaczynała się po zachodzie słońca i polegała na węszeniu na ulicach oraz w nocnych barach rewiru Matabiau-Bayard-Embouchure, miał cerę szarą jak popiół i olbrzymie wory pod oczami. Zapadnięte policzki i kościsty nos – na którym Servaz dostrzegł gęstą siatkę żyłek niewątpliwie zdradzających zamiłowanie do mocnych trunków – tym bardziej upodobniały go do nocnego ptaka. Jego ruchliwe oczy były wiecznie czujne.

– Kilka razy byli przymykani za kupowanie kurew.

– Obydwoje?

– Obydwoje. Ona wybierała.

Servaz wiedział, że w Tuluzie pracuje około trzydziestu prostytutek – w większości Bułgarki, Rumunki, Albanki i Nigeryjki. Prawie wszystkie należą do jakichś siatek i co pewien czas zmieniają miasto czy kraj. „Europa od dupy strony”, jak mawiał Lhoumeau. Zaciągnął się papierosem, by się rozgrzać.

– Była też skarga złożona przez jedną z dziewczyn: podobno wbrew własnej woli znalazła się na imprezie sado-maso i padła ofiarą nadużyć. Ale wycofała pozew. Potem małżeństwo się gdzieś wymknęło.

– Wiem – powiedział ponuro Servaz.

– Dlaczego się nimi interesujesz?

– Pojawili się w związku z jedną sprawą...

Glina o ptasiej głowie wzruszył chudymi ramionami.

– Okay, rozumiem, nie możesz powiedzieć więcej. Ale wiedz, że ci Labarthe'owie to straszliwe zboki. W końcu na któryś z ich pieprzonych przyjęć dojdzie do nieszczęśliwego wypadku. Zawsze uważałem, że pewnego dnia zajmą się tym kryminalni.

– Jak to?

Servaz położył książkę Labarthe'a na stoliku między sobą a kolegą. Szare niebo wisiało nisko nad Tuluzą. W grudniowym świetle ptasia twarz Lhoumeau wyglądała jak maska.

– Imprezy, które organizowali, były bardzo ostre. Czasem aż za bardzo. Labarthe'owie mieli sporo kontaktów w seksualnym półświatku Tuluzy. Oni i ich bogaci goście byli spragnieni nowych doświadczeń, nowych doznań.

„Nowe doznania”. To brzmi wręcz jak coś godnego polecenia, pomyślał. Przypomniawszy sobie o podobnych przyjęciach organizowanych przez Juliana Hirtmanna w jego willi nad Jeziorem Genewskim, w czasach gdy był prokuratorem. Kolejne podobieństwo.

– Skąd wiesz?

Nocny ptak znowu wzruszył ramionami, tym razem unikając wzroku Servaza.

– Wiem i już. Taką mam robotę.

– Co to znaczy, że były ostre?

– Standardowe sztuczki. Ale czasem to się wymykało spod kontroli, szło trochę za daleko. Dziewczyny chciały wnieść skargę, ale im to wyperswadowano.

– Jak?

– Przede wszystkim forszą. Goście Labarthe'ów mieli jej pod dostatkiem. Płacili nawet za wstęp. Poza tym byli wśród nich wpływowi ludzie, urzędnicy, politycy, a nawet gliny...

Wciąż te same plotki, pomyślał Servaz. To miasto uwielbia plotki. Zmrużył oczy, by lepiej przyjrzeć się Lhoumeau.

– Nie mógłbyś być bardziej precyzyjny?

– Nie.

Zachowanie nocnego ptaka zaczynało go wkurzać. Podejrzewał, że tylko się przechwala i wcale nie wie aż tak dużo. Spojrzał na parę młodych ludzi całujących się pięć metrów od kawiarnianego ogródka: mężczyzna opierał się plecami o samochód, kobieta tuliła się do niego. A potem znowu popatrzył na Lhoumeau i zrozumiał: on tam był. Nie pierwszy i nie ostatni wśród glin bywalec nielegalnych szulerni, kasyn czy orgietek.

– Najgorsza była ta kobieta – powiedział nagle Lhoumeau.

– W jakim sensie?

– Typ dyktatorki, rozumiesz. Ale to nie wszystko. Jeśli tylko u którejś z dziewczyn zobaczyła słabość, nie odpuszczała jej. Dopingowała facetów jak pasterz, który pogania woły szpikulcem. Podjudzała słowami, gestami. Zachęcała, żeby się wyluzowali, szli na całość. Czasem przy jednej lasce było ich dziesięciu. Prawdziwe zoo... A im większe było przerażenie dziewczyny, tym bardziej ona się podniecała. Potrafiła napędzić strachu, o tak...

– Byłeś tam?

Lhoumeau odchrząknął. Wyglądał, jakby chciało mu się wymiotować.

– Tak, raz. Tylko raz... Nie pytaj mnie dlaczego. – Mężczyzna przełknął ślinę i spojrzał na niego dziwnym wzrokiem. – Ta laska... Naprawdę. Trzymaj się od niej z daleka.

– A on?

– Yntelektualysta. Ważniak. Arogancki, zarozumiały, ale usłużny w stosunku do najbardziej wpływowych gości. Denerwujący. Ma się za autorytet, ale tak naprawdę jest zwykłą papugą. To ona nosi spodnie.

Czarująca para, skwitował w duchu Servaz, zgniatając niedopałek. Dwójka młodych na bulwarze odsunęła się od siebie. Nagle ona wymierzyła chłopakowi policzek i odeszła. Pomyślał o Margot. Tamta dziewczyna była o kilka lat młodsza od jego córki, ale była do niej trochę podobna. I najprawdopodobniej też miała charakterek. Jadąc do Tuluzy, był zdecydowany, że wpadnie do

domu, by zobaczyć się z Margot. Teraz się zastanawiał, jak córka zareaguje, gdy oświadczy jej, że nie zostaje. Na pewno źle. Nie jest z tych, co dbają o polityczną poprawność. Nagle poczuł, że nie ma odwagi zmierzyć się z jej kolejnym wybuchem.

Wrócił pod koniec dnia. Słońce już jakiś czas wcześniej schowało się za górami. Tuż nad szczytami niebo było czerwone. Także śnieg przybrał różowawy odcień, a woda w rzece, której brzegiem biegła droga, miała kolor miedzi. Gdy wyjechał z doliny i ruszył pod górę, powitały go wirujące puszyste płatki śniegu. Najwyraźniej nie przejechał tędy pług i Servaz do samego hotelu musiał zachowywać najwyższą ostrożność. Raz czy dwa nieźle się przestraszył, gdy tylne koła ześlizgnęły się z drogi na dość stromym zboczu, tak że kiedy zaparkował, trochę trzęsły mu się nogi.

Jak co wieczór, cień spowijał wszystko wokół i rozmywał kontury. Dolina powoli tonęła we mgle. Drobne światła wiosek zapalały się i przebijały na powierzchnię, a opar wyglądał jak niebieskawa wata, pod którą ktoś podłożył ogień. Drzewa nad hotelem stały się jeszcze ciemniejsze. W związku ze zbliżającą się Gwiazdką właściciel powiesił pod dachem hotelu żółto-czerwoną girlandę, której migotanie było jedynym przejawem życia pośród pogłębiającego się mroku.

Zastał Kirsten przy barze, w trakcie rozmowy z właścicielem hotelu. Nabrała kolorów, a jej włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze wskutek działania słońca i barowego oświetlenia. Siedziała przy gorącej czekoladzie. Piękna, pomyślał. A przed nami jeszcze jedna noc.

– I jak? – zagadnął.

– Flauta. Rano ta babka odstawiła Gustava do szkoły i w południe przywiozła go z powrotem. Chłopak ulepił bałwana i jeździł na sankach. Faceta nie ma od rana. Musi być w Tuluzie. – Zawahała się. – Naprawdę, to zbyt normalne.

– Jak to?

– Zastanawiam się, czy nas nie zauważyli.

– Tak szybko?

– Są czujni. Możliwe, że ten twój Labarthe rozmawiał wczoraj z właścicielem.

Wzruszył ramionami.

– Para turystów w hotelu, to mu się chyba od czasu do czasu zdarza. Wymyślasz. To normalne, że zachowują się normalnie – skwitował z uśmiechem.



Odłożył książkę Labarthe'a. Był rozczarowany. Fikcja oparta na faktach, pisana na wzór pamiętnika – nieciekawa bujda. Wszystkie przedstawione zdarzenia były prawdziwe, jednak Labarthe okraszył je własnymi przemyśleniami, próbując wejść w skórę mordercy. W efekcie powstała górnolotna szmira aspirująca do miana wielkiej literatury. Przypomnił sobie, co podczas jego pierwszych pisarskich prób zawsze powtarzał mu ojciec: „Nie używaj uczonych i wyszukanych słów tam, gdzie wystarczą najprostsze”. Po latach odkrył, że ojciec cytował Trumana Capote'a. To, co miał przed oczami, było rozwlekłe, lizusowskie, napuszone.

Czyżby Hirtmann dał się uwieść takiej lekturze? Pycha oślepia. Jego portret naszkicowany przez Labarthe'a w fałszywym dzienniku był niemal hagiograficzny. Dało się w nim wyczuć fascynację postępkami Szwajcara. Może wykładowca marzył o podobnych wyczynach, ale brakowało mu śmiałości? Z pewnością to nie moralność powstrzymywała Labarthe'a, raczej lęk przed więzieniem. Wszyscy wiedzą, co robi się z takimi jak on w pudle, a facet nie wyglądał na szczególnie odważnego. Dlaczego w takim razie zgodził się zaopiekować Gustavem? Dlaczego podjął takie ryzyko? Czyżby Szwajcar w jakiś sposób go do tego zmusił?

Servaz odkrył już dwa dowody na powiązania między tymi mężczyznami: przyjęcia sado-maso i książkę. Czy istnieją jakieś inne? Kirsten spała. Przyjrzał się jej profilowi. Podobnie jak wielu dorosłych, we śnie przypominała dziecko – tak jakby każdej nocy człowiek wracał do swoich początków.

Sięgnął po lornetkę i przywarł do szyby. Na pierwszym piętrze

willi, w pobliżu jedyne go okna, w którym jeszcze paliło się światło, stała Aurore Labarthe. Była ubrana w opływowy strój z czarnej skóry – wyglądała w nim jak motocyklistka – i spoglądała w kierunku hotelu. Przez środek tej swoistej zbroi, aż do krocza, biegł metalowy zamek. Kobieta podniosła dłoń do uchwytu suwaka i powoli go rozpięła. Servaz poczuł, że zaschło mu w gardle. Odsunął się od okna, by go nie zauważyła.

Gdy zamek został rozpięty do wysokości pępka, Aurore Labarthe zsunęła miękki strój z lewego obojczyka, odsłaniając nagi bark. Odwróciła się. Zauważył rysujący się pod jej skórą trójkąt łopatki. Widział też szyję, ponieważ włosy miała upięte w kok. Miękki skórzany kostium nadal się zsuwał, odsłaniając drugi bark i górną część ramienia. Przypominała przepoczwarczającego się motyla. Gdy górna połowa jej ciała całkowicie wyswobodziła się ze skórzanej osłony, Servaz przełknął ślinę.

Była naga do pasa. Pod wpływem grawitacji strój jednak nadal opadał i u dołu okna, dokładnie na wysokości parapetu, Servaz ujrzał dwie doskonale bliźniacze półkule. Poczuł falę ciepła zstępującą do podbrzusza. Chciał zwilżyć sobie język i podniebienie, ale brakowało mu śliny. I wtedy znowu się odwróciła. Była zupełnie wydepilowana. Wsunęła dłoń między uda, nie przestając patrzeć w stronę hotelu.

To jakiś rytuał, pomyślał. Ktoś musi ją oglądać. Właściciel? Wyglądało na to, że ekshibicjonizm to jeszcze jedna drobna przyjemność, której Aurore Labarthe oddaje się w wolnych chwilach. Czy jej mąż o tym wie? Prawdopodobnie tak. Nadają na tych samych falach. Powiększył obraz, kierując lornetkę na cipkę, w której poruszały się jej palce o długich pomalowanych paznokciach. Kobieta odrzuciła głowę do tyłu i mimo że obraz był lekko rozmazany, Servaz doznał szoku, uderzony srogim, dzikim wyrazem jej twarzy. Miał przed sobą twarz drapieżnego ptaka, czarownicy. Odruchowo pomyślał o Lhoumeau. Całe jego podniecenie natychmiast opadło. Wszystkich tych ludzi pociąga mroczne jądro człowieczeństwa. Poczuł lekkie mdłości i pożądanie

zupełnie go opuściło. Jak daleko potrafią się posunąć?

Zobaczył już wystarczająco dużo. Odsunął się od okna. Spojrzał na Kirsten, wciąż pogrążoną w niewinnym śnie, który był jak schronienie przed dziennymi koszmarami. Poczuł do niej jakąś dziwną wdzięczność.

Zajął pozycję w kącie targowiska Victor-Hugo, w ciemnym zakamarku, gdzie jego cień mieszał się z innymi cieniami, za rzędem wysokich kontenerów na śmieci. Z miejsca, w którym stał, doskonale widział balkon, przeszklone drzwi łączące go z salonem, jasne kuchenne okna, ale także okolice budynku.

Od czasu do czasu ulicą przejeżdżał samochód, przechodziła jakaś para czy osoba spacerująca z psem, a wtedy on jeszcze głębiej zanurzał się w cień. Dużo wcześniej zauważył gościa w aucie, które stało około dziesięciu metrów dalej, zwrócone przodem w stronę wejścia do kamienicy, facet nie mógł go więc zauważyć. Siedział do niego tyłem. Chyba żeby patrzył we wsteczne lustro. Dlatego mężczyzna starał się nie poruszać. Wyglądało na to, że mimo śmierci Jensena nie zdjęli ochrony.

Ze słuchawek na jego uszach płynęły dźwięki *VII Symfonii: langsam, allegro risoluto, ma non troppo*. Pomyślał o Martinie i uśmiechnął się. Czy policjant pieprzy Norweżkę w tamtym hotelu? Hirtmann był gotów się założyć, że nie. Tymczasem obserwował balkon i okna, za którymi od czasu do czasu pojawiała się sylwetka Margot. Jeszcze nie zdecydował, co zrobi. Powtórzenie numeru z Marianne wydało mu się nędzną podróbką. W dodatku ta ochrona wszystko komplikowała.

Martin był mu jednak potrzebny. W ten czy inny sposób będzie musiał wyrzucić na niego presję. Dla Gustava. Dobra, do roboty, powiedział do siebie. Wszedł z kryjówki i z butelką szampana w dłoni, krokiem spóźnionego gościa ruszył chodnikiem. Minął samochód. Wyczuł, że siedzący za kółkiem glina odwrócił głowę i spojrzał na niego przelotnie.

Na ostatnim piętrze budynku, czyli dwie kondygnacje nad

mieszkaniami Servaza trwała impreza. Najwyraźniej świętujący otworzyli okna, bo muzykę było słychać aż na chodniku. Hirtmann zatrzymał się przed przeszklonymi drzwiami. Udał, że naciska guzik domofonu i coś mówi. Tak naprawdę nauczył się kodu na pamięć już dawno temu, kiedy jakaś starsza pani naciskała na klawisze, gdy tymczasem on, stojąc obok, w nienagannym garniturze i pod krawatem, najgłośniejszym jak potrafił mówił do telefonu: „Tak, to ja, domofon nie działa, proszę, podaj mi kod”.

Wystukał kombinację cyfr i zamek zabrzęczał. Pchnął drzwi. W holu wejściowym nie było żadnego policjanta. Julian Hirtmann podszedł do windy i wcisnął guzik przywołania, ale sam ruszył schodami biegnącymi wokół zakratowanego szybu. Na drugim piętrze w kącie przy drzwiach siedział na krześle inny glina. Podniósł oczy znad gazety. Hirtmann zrobił zdziwioną minę: nie co dzień na klatce schodowej spotyka się faceta czytającego gazetę.

– Dzień dobry – przywitał się. – Eee... gdzie ta bibka?

Glina bez słowa, znużonym gestem wskazał na schody powyżej. Ile razy robił to już tego wieczoru? Jednak jako profesjonalista przyjrzał mu się spod zmrużonych powiek.

– Dziękuję – powiedział Hirtmann i ruszył po schodach.

Nie zatrzymał się przed mieszkaniem, w którym odbywała się impreza, ale dotarł do niewielkich drzwi – miały najwyżej metr trzydzieści wysokości – prowadzących na strych. Usiadł na ostatnim stopniu, odkorkował szampana, włożył słuchawki na uszy i podniósł szyjkę butelki do ust. Trunek był doskonały. Wytrawny blanc de blancs Armand de Brignac.

Po dwóch godzinach rozbolał go tyłek, a kiedy wstał, skrzypnęło mu w kolanach. Otrzeptał pośladki i chwiejnym krokiem zszedł na piętro Servaza.

– Jeszcze pan tu jest? – odezwał się zapijaczonym głosem do strażnika, który akurat raczył się filiżanką kawy. – Ssso pan tu robi? Może pan tu mieszka?

Glina rzucił mu poirytowane spojrzenie. Hirtmann podszedł do

niego, zataczając się i kołysząc głową.

– Dlaczego pan siedzi na klatce? Żżżona pana wywaliła, szszy jak? – Parsknął głupkowato i podniósł palec na wysokość nosa. – Zamierza pan tutaj nosssować, serio? Mam fffto uwierzyć?

– Proszę pana, proszę stąd odejść – odparł rozdrażniony glina.

Hirtmann zmarszczył brwi i jeszcze bardziej się zatoczył.

– Hej, hej! Nie mów tak do mnie, słyszysz?

W dłoni mężczyzny pojawiła się niebiesko-biało-czerwona karta.

– Niech pan już idzie, powiedziałem panu.

– Aha, rozumiem. A kto tutaj, kurna, mieszka?

– Wypierdalaj!

Hirtmann udał, że się potknął, i przy okazji wytrącił kubek z dłoni mężczyzny. Na jasnoniebieskiej koszuli i szarej marynarce gliniarza pojawiły się brunatne plamy.

– Kurwa! – krzyknął policjant, odpychając Szwajcara. – Mówiłem ci, żebyś spadał, dupku!

Hirtmann upadł na pośladki. Wówczas drzwi mieszkania się otworzyły i stanęła w nich Margot Servaz w piżamie i podomce. Była bosa i rozczochrana. Mimo podkrążonych oczu i wyraźnego zmęczenia jej twarz była świeża i promienna niczym wiosenny poranek. Szwajcar rozpoznał w niej charakterystyczne cechy rodu Servazów, na przykład ten niewielki garb na nosie.

– Co się dzieje? – zapytała, stojąc z dłonią na klamce i patrząc najpierw na niego, a potem na policjanta.

– Proszę wejść do środka! Proszę wejść do środka! I zasunąć zamek! – Glina celował teraz do Hirtmanna z pistoletu i mówił przez zestaw bluetooth: – Chodź tutaj, mam problem!

Po chwili Szwajcar, który wciąż siedział na podłodze, zobaczył drugiego policjanta. Tego z samochodu. Czyli było ich tylko dwóch.

– Zabierz mi stąd tego pijaka i wywal za drzwi, do cholery!

W niedzielny poranek Servaz i Kirsten zauważyli w willi ruch i przygotowania do wyjazdu: na dachu volvo zamocowano narty i deskę snowboardową, bagażnik był wypakowany ubraniami, a na

tylnym fotelu leżał kosz piknikowy. Małżonkowie kursowali między domem i samochodem. Potem oni i Gustav wsiedli do środka, Labarthe wykonał zawrotkę i volvo przejechało obok hotelu.

Wyjeżdżali na cały dzień. Servaz i Kirsten wymienili spojrzenia.

– Bardzo zły pomysł – podsumowała.

Okolo południa z gór zeszła gęsta mgła i willa była już tylko niewyraźnym kształtem pośród wszechobecnego smogu. Kirsten i Servaz spacerowali na raketach po zboczu nad osadą, w pobliżu Col du Couret. Właściciel hotelu zapewnił ich, że pokrywa śnieżna jest stabilna. Servaz zatrzymał się na granicy lasu i spojrzał w dół na ledwie mające dachy. Następnie popatrzył na Kirsten.

– Przy takiej pogodzie na pewno wrócą – dodała, by wybić mu z głowy zamiar, który wyczytała w jego oczach.

– Weź samochód i zjedź do doliny. Daj mi znać, gdybyś widziała, że przejeżdżają. – Pokazał jej wyświetlacz swojego telefonu. – W porządku. Mam zasięg.

A potem zanurzył się we mgle, pokonując zbocze wielkimi krokami.

Zobaczył, jak czarny kształt willi powoli wyłania się z mgły, jeszcze potężniejszy, niż mu się wydawało. Ile ten dom ma pokoi? Okrążył budynek od strony niewidocznej z hotelu. Przyglądając mu się z bliska, zrozumiał, że jest to przerobione górskie gospodarstwo: kamienny parter początkowo musiał być mieszkaniem dla ludzi i zwierząt, w drewnianej nadbudówce składowano zaś słomę i ziarno. Wszystko zostało przebudowane i przeprojektowane, zapewne przez jakiegoś modnego architekta i za ogromne pieniądze: duże przeszklone powierzchnie doświetlały wnętrze, nadając budynkowi wygląd jakby rodem z architektonicznego żurnala. Ten trend miał w sobie coś z chirurgii estetycznej: wszystkie te zliftingowane fasady ostatecznie były do siebie podobne.

W niektórych alpejskich kurortach taka willa kosztowałaby miliony euro. Z bliska jednak widać było, że drewniana elewacja szerniała i wymaga odświeżenia, wydawało się też, że wyłaniające

się z mgły futryny są w opłakanym stanie. Kupno i utrzymanie takiej budowli nawet przy pensji profesora uniwersyteckiego musiało stanowić potężne obciążenie dla budżetu. Czyżby Labarthe'owie cierpieli na manię wielkości? Mają jakieś ukryte środki? A może są bankrutami? Servaz obiecał sobie, że nazajutrz skontaktuje się z DEF, wydziałem ekonomiczno-finansowym.

Stanął na placyku, na którym posadowiony był dom. Jego nawierzchnię stanowiły grube pnie zalane cementem. Po stopniu wchodziło się na podest z surowego drewna, który otaczał cały dom. W kątach leżał śnieg. Metr od miejsca, w którym stał Servaz, znajdowały się drewniane boczne drzwi. Nie zauważył żadnego systemu alarmowego ani czujnika. Samo dotarcie do tego miejsca stanowiło wystarczający wyczyn. Rozejrzał się dookoła. Nikogo. Podobnie jak przed domem Jensena, wyjął z kieszeni kurtki komplet wytrychów. Jeśli tak dalej pójdzie, będzie mógł zmienić fach. Przyjrzał się zamkowi. W przeciwieństwie do drzwi był nowy. Tym lepiej. Zardzewiałe zamki stanowiły większe wyzwanie.

Po siedmiu minutach i trzydziestu pięciu sekundach był w środku, w małym pomieszczeniu przeznaczonym na kotłownię i pralnię, wyposażonym w pralkę i suszarkę, w którym panowało przyjemne ciepło i ładnie pachniało praniem. Przeszedł między metalowymi regałami i korytarzem dotarł do wielkiego salonu o katedralnym sklepieniu. Na środku królował kominek w kształcie piramidy, podwieszony nad otwartym paleniskiem. Przy ładnej pogodzie za przeszklonymi ścianami musiały się rozciągać oszałamiające widoki. Kremowe skórzane sofy, kamień, jasne drewno, czarno-białe zdjęcia, sklepienie godne kościoła, punktowe oświetlenie. Jeśli chodzi o wystrój, Labarthe'owie najwyraźniej podzielali upodobania większości.

Na zewnątrz nad tarasem jak nad mostkiem statku-widma przepływały pasma mgły. Zrobił kilka ostrożnych kroków. Panująca w domu cisza miała w sobie coś nierzeczywistego. Rozejrzał się w poszukiwaniu czerwonego światła detektora ruchu. Niczego takiego nie wypatrzył. Zaczął przeszukiwanie, starając się nie zbliżyć

do wschodnich okien, które nawet przy tej pogodzie były widoczne z hotelu. Szesnaście minut później musiał przyjąć do wiadomości, że ani w salonie, ani w kuchni niczego nie znajdzie. Obejrzał i wypróbował trzy piloty: od dużego telewizora o przekątnej stu dwudziestu centymetrów, od dekodera nad nim i od wieży stereo. Dalej nic.

Gabinet pana domu rozczarował go trochę mniej. Pokój z dwóch stron przeszklony, wciśnięty jak zakamarek między dwa skrzydła willi. Lektury Labarthe'a, zważywszy na jego zainteresowania, nie zaskakiwały: Bataille, Sade, Guyotat, a także Deleuze, Foucault, Althusser. Poczesne miejsce zajmowały książki autorstwa gospodarza. Na biurku macbook, lampka, nożyk do papieru ze skórzanym trzonkiem. Kupka faktur i nieczytelnych notatek – przygotowanie do wykładów, a może do kolejnej książki, kto wie.

Za gabinetem znajdował się niewielki korytarzyk. Na jego końcu Servaz ujrzał łazienkę oraz saunę i pomieszczenie przekształcone na siłownię, z wioślarem, ławeczką do wyciskania na leżąco, gruszką bokserką i stojakiem z hantlami. Zawrócił. Wszedł po schodach. Na pierwszym piętrze były trzy pokoje, łazienka i toaleta. Dwa pierwsze pomieszczenia były puste. Trzecie okazało się pokojem Gustava, jak głosiły duże niebieskie litery na drzwiach. Newralgiczne centrum cichego domu. Servaz nacisnął na klamkę i poczuł, że temperatura jego ciała rośnie i ogarnia go mieszanka zdenerwowania i ekscytacji.

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać pokój małego chłopca. Na ścianach plakaty, na półce ilustrowane książki, kołdra z nadrukiem niezliczonych Spider-Manów w najrozmaitszych pozycjach akrobatycznych, zabawki i pluszaki, w tym metrowej długości łoś albo renifer. Servaz podszedł bliżej i przeczytał metkę: *Made in Norway*.

Nie zostawaj tu, odezwał się cichy głos w jego głowie. Zerknął na zegarek. Czas uciekał. Podszedł do łóżka, obejrzał je, to samo zrobił z dziecięcymi ubraniami w komodzie. Wreszcie znalazł to, czego szukał: jasny włos. Jego puls przyśpieszył. Wyjął z kieszeni



kurtki przezroczystą torebkę i wsunął włos do środka. Miał ochotę przetrząsnąć gruntownie cały pokój, ale wyszedł, zastanawiając się, ile czasu mu zostało. Wrócił do schodów prowadzących na poddasze. Trzęsły mu się nogi. Dotarł na niewielkie pięterko. Za otwartymi drzwiami zobaczył część mieszkalną należącą do rodziców. Ruszył przed siebie po grubej pętelkowej wykładzinie w kolorze piasku. Przez drzwi balkonowe widać było biały, zamglony pejzaż i Servaz zauważył wysoką jodłę o przyprószonych śniegiem gałęziach. Przypomniał sobie widok z okna celi Hirtmanna.

Prawie wszystko w tym pokoju było białe: boazeria na spadzistym suficie, łóżko, wykładzina. Pomyślał o kremowej tunice, którą miała na sobie Aurore Labarthe, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Łóżko było niezaścielone. Na nim i na krześle leżały ubrania. Podeszedł bliżej i powąchał pościel po obu stronach. Kobieta spała z prawej. Jej zapach był z gatunku tych ostrych, upajających. Pościel była nim przesiąknięta. Zajrzał do szuflad w nocnych szafkach. Czasopisma, zatyczki do uszu, maseczka na oczy, fiołka paracetamolu, okulary do czytania. I więcej nic. Przylegające do sypialni garderoby – jedna dla niej, jedna dla niego – miały powierzchnię studenckich kawalerek. Dżinsy, sukienki, kilka białych i czarnych skórzanych kombinezonów w garderobie damskiej oraz marynarki, koszule, swetry i garnitury w męskiej. Cholera.

Gdy był pewien, że nie znajdzie tu nic więcej, wrócił na parter. Wszedł do kuchni. Obok olbrzymiej zamrażarki znajdowały się drzwi, które zauważył już wcześniej. Otworzył je. Kręte schody z surowego betonu. Zapalił światło i ruszył w dół. Gdy zagłębiał się we wnętrzości domu, puls mu przyśpieszył. Może wreszcie na coś trafi... Schody doprowadziły go do metalowych drzwi. Jego serce włączyło trzeci bieg.

Drzwi stawiały lekki opór, ale ustąpiły ze zgrzytem. Znowu rozczarowanie. Za nimi był duży garaż, który było widać z hotelu. Stał tu drugi samochód, który okazał się niewielkim SUV-em.

Servaz szybko obszedł go dookoła, opuścił pomieszczenie i wrócił na parter. Czuł coraz większą frustrację i zniecierpliwienie.

Wyjrzał na zewnątrz. Dzień chylił się ku zachodowi. Przez chwilę się zastanawiał. I nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. No oczywiście, dlaczego nie wpadł na to wcześniej? Wrócił na ostatnie piętro. Niewielki podest przed pokojami rodziców. Uniósł głowę i zobaczył kłapę włazu na strych. Z sąsiedniego pomieszczenia przyniósł krzesło, wszedł na nie i złapał za uchwyt. Poza zasięgiem Gustava, pomyślał. Kłapa otworzyła się ze zgrzytem jak paszcza otchłani i ze środka wysunęła się metalowa drabinka. Odstawił krzesło na miejsce.

Wszedł po szczeblach, które drżały pod jego butami. W pobliżu otworu znalazł włącznik. Uruchomił go. Nad jego głową zamrugła świetlówka. Wspiął się wyżej i wychylił głowę przez otwór. Znalazł. Sekretna kryjówka Labarthe'ów, ich „ogród rozkoszy”. Nie było wątpliwości. Na ścianie naprzeciwko niego widniał obramowany napis, wykonany gotyckim pismem:

PORZUĆ WSZELKĄ DUMĘ  
KTÓRY TUTAJ WCHODZISZ  
WEJDŹ DO KRYPTY TYRANII  
NIE LITUJ SIĘ NAD NAMI  
SZUKAJ WIEDZY I PRZYJEMNOŚCI  
SPRAW, BY KAŻDA GODZINA BYŁA WYJĄTKOWA  
CIERP I KRZYCZ  
ZAŻYWAJ ROZKOSZY

Ten widok napełnił go przygnębieniem. Pokrętność, wybiegi i meandry ludzkiego umysłu mogą przyprawić o zawrót głowy. W każdych innych okolicznościach ten żargon byłby śmieszny, ale tutaj miał w sobie coś mrocznego.

Podciągnął się na rękach i stanął na podłodze pokrytej gładką, zmywalną wykładziną. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie przypominało prywatny dansing. Ławki, parkiet do tańca, bufet,

sprzęt grający, izolacja wygłuszająca, taka jak ta, którą się stosuje w studiach nagrań. Panował tu duszący upał, a w powietrzu unosił się zapach podgrzanego kurzu.

Następnie jego wzrok padł na drabinkę przytwierdzoną do ściany w głębi sali. Wyglądała jak przyrząd gimnastyczny, ale domyślił się, że służy nie tylko do robienia brzuszków. Zauważył też bloczek i dwa haki przymocowane do skośnego sufitu. I dwa inne haki w ścianie. Kamerę na statywie i sprzęt do nagrywania filmów. Nieco dalej, tuż przed pozbawionym drzwi przejściem do innego pomieszczenia, stała duża wiekowa szafa z dębowego drewna z fazowanymi lustrami.

Zajrzał głębiej: luksfery, przebieralnie i prysznic. Wrócił do pierwszej sali. Otworzył szafę. Sam poczuł się jak podglądacz, gdy ujrzał lśniące ponurym blaskiem bicze, dyscypliny, kneble, skórzane bransolety, połyskujące łańcuchy i karabińczyki – wszystko to spoczywało w nienagannym porządku jak narzędzia na półce majsterkowicza. Labarthe'owie mieli dość sprzętu, by obdzielić cały batalion. Przypomniał sobie opowieść Lhoumeau na temat Aurore Labarthe i przeszedł go dreszcz. Jak daleko posuwają się uczestnicy tych figli na strychu?

Zerknął na zegarek. Spędził tu już ponad godzinę i jak do tej pory nie znalazł żadnego śladu Hirtmanna. Powiniennem stąd wyjść, pomyślał. Gdy szedł w kierunku wjazdu, usłyszał jakiś dźwięk. Warkot silnika. Zamarł. Auto jechało w kierunku willi. Nie, już tutaj było. Silnik właśnie ucichł. Cholera! Usłyszał trzaśnięcie samochodowych drzwi i głosy na zewnątrz, wygłuszone przez warstwę śniegu. Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Dlaczego Kirsten go nie ostrzegła? Brak zasięgu! Strych musiał być wyposażony w zakłócacz sygnału telefonicznego.

Zatrzymał się na brzegu wjazdu. Drzwi wejściowe na dole właśnie się otworzyły i usłyszał trzy głosy, w tym jeden czysty, wesoły: głos Gustava. Był w potrzasku. Najciszej, jak to było możliwe, wilgotnymi dłońmi przyciągnął do siebie metalową drabinkę i klapę. Zanim ją zatrasnął, wystawił rękę na zewnątrz i przekręcił

wyłącznik. Ogarnęły go ciemności. Starał się oddychać regularnie, ale nie potrafił.

Od dłuższego czasu było już ciemno. Kirsten obserwowała z hotelu rozświetloną willę. Raz po raz na tle okna widziała przechodzącą postać. Martin, co ty wyprawiasz? Odkąd volvo minęło ją w dolnej części serpentyn, próbowała się do niego dodzwonić z dziesięć razy. Wysłała mu mniej więcej tyle samo wiadomości. Bez odpowiedzi. Za każdym razem trafiała na pocztę głosową.

Teraz już od ponad godziny była w hotelowym pokoju, a on wciąż nie wracał. Coś się wydarzyło. Czy po prostu gdzieś się ukrył, czy może go przyłapali? Z upływem czasu odpowiedź na to pytanie miała coraz bardziej kluczowe znaczenie. Czy powinna wezwać posiłki? Wchodząc tam, Martin złamał wszelkie zasady. Jeśli sprawa wyjdzie na jaw – zważywszy na zarzuty ciężące na nim w związku ze śmiercią Jensena – z pewnością będzie to oznaczać koniec jego kariery. Ale jakie to ma znaczenie? Nie ma mowy, by Martin pozostawał tam na łasce tych indywiduów.

Poczuła, że ze stresu sztywnieje jej kark i zaczyna ją boleć głowa. Rozmasowała szyję i poszła do łazienki, by zażyć gram paracetamolu, a następnie wróciła do okna. Dopóki Gustav nie śpi, nie mogą nic zrobić. Zaczekają, aż uśnie. Chyba że już... Przegnała tę myśl. Czy Hirtmann powiedział im o Martinie? Powinna działać, zrobić coś. Ale co? Znowu wystukała wiadomość:

*Gdzie jesteś? Odezwij się!*

Rozpaczliwie wpatrywała się w nieruchomy wyświetlacz. *Shit!* Najchętniej wybiegłoby na zewnątrz, mięśnie miała napięte jak

postronki. Dlaczego musiał wejść do tej willi? Widziała przez okno, jak Labarthe huśta Gustava w ramionach, a potem puszcza chłopca, który odbiega roześmiany. Wzruszająca scenka rodzinna, pełna spokoju i szczęścia.

Leżał na boku, w absolutnych ciemnościach, z uchem przyciśniętym do podłogi. Czasami podnosił głowę, gdyż wibracje pochodzące od centralnego ogrzewania lub jakiegoś innego urządzenia nagle przenikały przez ściany, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Kłapę okalała cieniutka wiązka światła, tak że właz wyglądał jak prostokąt wycinany palnikiem.

Od czasu do czasu słyszał wysoki głosik Gustava, głosy dorosłych były mniej wyraźne. W którymś momencie położą chłopca do łóżka. Ile czasu minie, nim sami zapadną w głęboki sen? Nawet gdyby usnęli, właz znajduje się obok ich pokoju. Przypomniał sobie skrzywienie rozkładanej drabiny: nie będzie mógł jej użyć. Miał tylko jedną możliwość: zeskoczyć na podłogę i uciec. Przecież nie będzie tu czekał całą noc. A co, jeśli ktoś wejdzie na strych?

Poczuł wilgoć pod pachami. Na strychu było bardzo gorąco. Czuł też dojmujące pragnienie, od którego jego język zeszywniał i napuchł jak wygotowana tektura. Łokieć i bark zdrętwiały mu od długiego leżenia w jednej pozycji. Zerknął na telefon. Żadna z wiadomości, które napisał, nie została wysłana. Mankietem otarł z czoła krople potu i wyteżył słuch. Na dole właśnie włączono telewizor. Kreskówka. Docierały do niego dźwięki z dużego salonu. Nagle na piętrze pod nim rozległy się głośnie kroki. Ktoś wszedł na górę. Potem Servaz usłyszał odgłosy prysznicia dochodzące z części domu zajmowanej przez rodziców. Po pięciu minutach ta osoba wyszła z łazienki. I zatrzymała się tuż pod włazem.

Jego grdyka gwałtownie podskoczyła i opadła. Założyłby się, że to Aurore Labarthe. Czyżby co wieczór wchodziła na górę, by kontemplować swój tajemniczy ogród, swój mały piekielny raj? A może go usłyszała? Błyskawicznie przetoczył się w bok: ktoś

właśnie chwycił rączkę z drugiej strony klapy i otworzył właz.

Kirsten spojrzała na zegarek. Upłynęły już dwie godziny, odkąd wróciła do hotelu. Cholera, nie może dłużej czekać. Mgła się rozproszyła, jej pasma wisiały jeszcze tylko tu i ówdzie w zagłębieniach terenu, ale z nieba zaczęły lecieć grube płatki śniegu. Krajobraz za oknem przypominał pejzaż z animowanych kartek świątecznych, które wysyła się przez Internet. Wszystko tonęło w żółtawym mroku.

W salonie willi widać było migoczące światło: telewizor. Norweżka siedziała jak na szpilkach. Jej umysł snuł wszelkie możliwe scenariusze, część z nich była dość ponura. Pewne amerykańskie badanie dowiodło, że niepewność powoduje w psychice większe spustoszenia niż potwierdzone negatywne fakty. Teraz będzie mogła to sprawdzić. Najważniejsze pytanie brzmiało, czy Szwajcar powiedział Labarthe'om o Martinie, czy wiedzą, jak wielką wartość ma dla niego ten glina. Niezbyt prawdopodobne. Najpewniej Hirtmann przekazał im tylko niezbędne informacje.

Światło, które wpadło przez otwór, przypominało blask lawy tryskającej nocą z krateru wulkanu. Servaz wstrzymał oddech. Właz był otwarty na oścież. Ale osoba, która pod nim stała, nie rozłożyła jeszcze drabinki. Nagle przestraszył się, że na dole słyszc jego oddech i przyśpieszone bicie serca. Nie miał wątpliwości, to Aurore Labarthe. Czuł jej upajający, przemożny zapach. Na dole panował bezruch, było zupełnie cicho. Czyżby stała pod włazem, wpatrując się w otwór? Prawdopodobnie tak. Wyczuła jego obecność? Domyśla się, że tam, w ciemności, ktoś się ukrywa?

I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Jakikolwiek były plany kobiety, zrezygnowała z nich i klapa się zatrzasnęła. Servaz, który leżał z policzkiem przyklejonym do linoleum, znowu zaczął oddychać.

Zadzwońska drugi raz. W końcu drzwi się otworzyły i w progu

pojawiła się Aurore Labarthe. Była jeszcze wyższa, niż Kirsten sądziła, musiała mieć około metra osiemdziesięciu. Choć była boso. Miała na sobie stary szlafrok, który wyglądał na ciepły i wygodny, a po obu stronach jej surowej twarzy opadały jak zasłona zamoczone w trakcie kąpieli włosy w kolorze wilgotnego siana. Stała na wprost Kirsten. Długonoga postać o ciele zbudowanym wyłącznie z kości i mięśni. Bładoniebieskie oczy absolutnie pozbawione ciepła.

– *Hi* – przywitała się Kirsten po angielsku, uśmiechając się szeroko.

Nadstawił uszu. Jakiś nowy głos. Znajomy... Nie potrafił uchwycić znaczenia słów. Po kilku sekundach zrozumiał dlaczego. To angielski. Kirsten. Psiakrew! Co ona zamierza zrobić? Servaz uświadomił sobie, że już od dłuższej chwili strasznie chce mu się sikać. Wstał, po omacku podszedł do kabiny prysznicowej i opróżnił pęcherz, nie przejmując się, czy trafia we właściwe miejsce. Zapiął rozporek i wrócił na stanowisko. Wszyscy byli na dole. Musi zaryzykować. Uchylił klapę o kilka centymetrów i głosy stały się o wiele wyraźniejsze.

– Mówi pani po angielsku? – zapytała Kirsten od progu.

Żona Labarthe'a w odpowiedzi tylko skinęła głową, wciąż zaciskając szczęki i nie przestając świdrować jej wzrokiem.

– Ja... Mieszkam w hotelu. Jestem... z Oslo, w Norwegii. Zajmuję się architekturą. I od rana przyglądam się waszej willi.

Blondynka słuchała jej niewzruszona, zupełnie obojętna na te wyjaśnienia.

– Uważam, że jest zachwycająca. Gdy państwa nie było, pozwoliłam sobie zrobić kilka zdjęć. Chciałabym prosić o pisemne pozwolenie na ich publikację w norweskiej prasie, jako przykład francuskiego budownictwa góralskiego. A także, jeśli państwo pozwoli, rzucić okiem na wnętrze.

To wszystko, co była w stanie wymyślić. Było to tak



nieprawdopodobne, że aż wiarygodne. Jej atutem był fakt, że w niczym nie przypominała francuskiej policjantki – żaden z poznanych przez nią funkcjonariuszy nie posługiwał się tak perfekcyjną angielszczyzną – oraz cudzoziemska uroda. Jej rozmówczyni nie wypowiedziała dotąd jednak ani słowa, a jej twarz pozostawała nieprzenikniona. Patrzyła Kirsten prosto w oczy. Norweżka poczuła, że włosy na jej karku stają dęba. Ta kobieta miała w sobie coś mrozącego. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna jej powiedzieć, kim naprawdę jest.

– Wiem, że już późno i że państwu przeszkadzam. Przepraszam. Przyjdę jutro.

Ni stąd, ni zowąd jednak twarz Aurore Labarthe się rozjaśniła.

– Ależ skąd. Proszę, niech pani wejdzie – powiedziała i uśmiechnęła się szeroko.

Servaz słyszał dochodzące z dołu głosy, ale nie potrafił odróżnić słów. Najwyraźniej rozmowa przybrała lekki charakter. Żadnej agresji ani pogroźek. To go jednak nie uspokoiło. Bóg jeden raczy wiedzieć, do czego mogą się posunąć Labarthe'owie, mając przed sobą tak atrakcyjną kobietę jak Kirsten. Wchodząc do ich kryjówki, sama rzuciła się w paszczę lwa. Zapoznawszy się z wyposażeniem strychu, zastanawiał się, czy ktoś wszedł już tutaj inaczej niż z własnej woli.

Był wyczerpany stresem. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Czy Kirsten zdaje sobie z tego sprawę? Nie mógł tak stać z założonymi rękami. Wytężył słuch. Rozmowa na dole trwała, telewizor wypluwał z siebie kreskówkę, której bohaterowie przekrzykiwali się na tle rozmaitych „big”, „bam!”, „wrrrum!”, „dong!”, „piiiiiii”, „bęęę!”. Oznaczało to, że Gustav nie śpi. A dopóki nie śpi, Kirsten nie stanie się krzywda. Otworzył kłapę, opuścił się na rękach, zrobił wymyk i zeskoczył. Gdy zwalniał uchwyt palców, usłyszał odgłos rozdzieranej koszuli na plecach.

Mimo amortyzującego działania wykładziny jego lądowanie na podłodze było trochę za głośne. Zastanawiał się, czy ktoś go

usłyszał, ale oprócz jazgotu kreskówki jego sprzymierzeńcem okazała się też tłukąca się gdzieś okiennica. Nasłuchiwał przez chwilę. Do jego uszu dotarł mroczny śmiech Aurore Labarthe. Wyjął telefon. Znalazł numer Kirsten w spisie i wystukał po angielsku:

*Uciekaj!*

– To ciekawe – powiedziała Aurore Labarthe, dolewając Kirsten słodkiego białego wina, które, jak twierdziła, jest specjalnością Południowego Zachodu. – Architektura to jedno z moich hobby – dodała, uśmiechając się i puszczając do niej oko. – Santiago Calatrava, Frank Gehry, Renzo Piano, Jean Nouvel... Wie pani, co mówił Churchill? „Ludzie budują mury, ale potem to mury tworzą ludzi”.

Jej angielski był bez zarzutu. Przez chwilę Kirsten czuła się spanikowana. Tak naprawdę architektura bynajmniej nie należała do jej zainteresowań. Podniosła kieliszek do ust i posłała Aurore Labarthe pobłażliwy uśmiech; miał to być uśmiech zawodowca, który tysiąc razy słyszał już te słowa z ust odczytanego, pełnego entuzjazmu amatora. Do głowy przyszło jej tylko jedno nazwisko.

– Cóż, mamy w Norwegii paru wybitnych architektów. Choćby taki Kjetil Thorsen Trædal – powiedziała lekko.

Współprojektant opery w Oslo, znany wszystkim mieszkańcom stolicy. Aurore ostrożnie skinęła głową, mrużąc oczy. Wciąż się w nią wpatrywała. Kirsten nie podobało się to spojrzenie. Zauważyła, że siedzą we dwie naprzeciw siebie w kącie salonu, natomiast Roland Labarthe stoi nieco na uboczu. Ze swojego miejsca mógł obserwować Kirsten do woli, sam nie będąc widziany. Odstawiła kieliszek. Dość już wypiała. Poczwała w kieszeni wibracje telefonu. Jakaś wiadomość.

– Może byśmy położyli Gustava? – odezwała się Aurore Labarthe do męża.

Kirsten zauważyła ich wymianę spojrzeń. Domyśliła się, że zawiera ona znacznie więcej znaczeń, niż mogłoby się wydawać, i natychmiast stała się czujna. Gdzie jest Martin? Jego nieobecność coraz bardziej ją niepokoiła. Znowu się zastanawiała, czy nie powinna ujawnić swojej tożsamości. Rozpaczliwie usiłowała pochwycić jakiś dźwięk, jakiś sygnał. Miała wielką nadzieję, że Martin ją usłyszał i korzystając z faktu, że skupiła na sobie uwagę Labarthe'ów, znajdzie sposób, by się wymknąć. A jeśli go związali? Była na granicy paniki.

Labarthe wyłączył telewizor.

– Gustav, idziesz?

Gustav... Przełknęła ślinę.

Jasnowłosy chłopczyk wstał.

– Macie ślicznego synka. I bardzo grzecznego – powiedziała.

– O tak – odparł Labarthe. – Gustav to grzeczny chłopczyk.

Prawda, skarbie?

Pogłaskała go po blond włosach. Mógłby być jej dzieckiem. Małżonkowie ruszyli po schodach na górę, Gustav szedł między nimi.

– Zaraz wrócimy – rzuciła jej Aurore Labarthe, odwracając się.

Para zniknęła. Kirsten zdała sobie sprawę z ciszy, która nagle ogarnęła dom. Wyjęła telefon. Miała zasięg. Cztery kreski. Zobaczyła esemesa. Martin! Pisał po angielsku, ale przekaz był absolutnie jasny:

*Uciekaj!*

Zanim się pojawili, ledwie zdołał umknąć do jednego z pomieszczeń na pierwszym piętrze. Przez szparę w otwartych drzwiach zobaczył, jak idą korytarzem w kierunku dziecinnego pokoju – kobieta o wiele wyższa od mężczyzny – w towarzystwie ubranego w piżamę Gustava.

– Chcę ją mieć – powiedziała blondynka.

– Aurore, nie przy dziecku.

– Podoba mi się – nalegała, nie zważając na jego uwagę. – Naprawdę mi się podoba.

– O czym ty myślisz? – zapytał Labarthe, gdy przechodzili obok, ciepłym głosem kulturalnego człowieka, który Servaz słyszał po raz pierwszy. – To trochę zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, nie uważasz?

– Chcę, żebyś mi ją przyprowadził na górę – oświadczyła kobieta bez ogródek. – Będzie doskonała.

– Ale czy to nie jest zbyt niebezpieczne? Przypominam ci, że ona mieszka w hotelu.

Odeszli w stronę pokoju Gustava.

– Po tym, co wsypałam do jej wina, jutro nie będzie o niczym pamiętać.

– Naćpałaś ją? – zapytał Labarthe z niedowierzaniem.

Nagle Servaz poczuł się tak, jakby ktoś zanurzył jego żołądek w wannie pełnej kostek lodu. Pochylił się w stronę drzwi, by usłyszeć dalszy ciąg rozmowy, ale wzrost ciśnienia sprawił, że huczało mu w uszach.

– O czym rozmawiacie? – zapytał Gustav.

– O niczym, skarbie. Wskakuj do łóżka.

– Brzuch mnie boli.

– Dam ci jakieś lekarstwo.

– Coś na rozluźnienie dla Gustava, tak? – zapytał mężczyzna beznamiętnie.

– Tak, przyniosę szklankę wody.

Usłyszał, że kobieta wraca, i szybko się cofnął. Weszła do łazienki po drugiej stronie korytarza i odkręciła kran. Znowu go minęła ze szklanką w dłoni. Zobaczył jej ostry profil, pozbawione ciepła oczy i miał wrażenie, jakby jego środek ciężkości przesunął się bardzo nisko. Zamiary Labarthe'ów były więcej niż oczywiste. A Kirsten już wypła ten cholerny narkotyk.

– Czy mogę skorzystać z toalety? – rozległ się głos Norweżki tuż pod nim, na parterze.

– Idę – powiedział mężczyzna. – Sprawdź, czy Gustav zasnął.

Gdy Labarthe przechodził obok Servaza, policjant powstrzymał chęć rzucenia się na niego. Przez krótką chwilę miałby przewagę dzięki zaskoczeniu, ale była jeszcze ta kobieta: przeczuwał, że we dwójkę mają dość sił, by rozwiązać ewentualny problem. Przypomniawszy sobie o wioślarzu, ławeczce, hantlach i worku treningowym. Nie dałby rady. Nie sam przeciwko dwójce, zwłaszcza że zostawił broń na komendzie, a Kirsten jest sztywna. Będzie musiał się wykazać większym sprytem.

– Czy mogę skorzystać z toalety? – zawołała w kierunku piętra.

Ciężkie kroki na schodach. Pojawił się Labarthe. Najpierw jego nogi, a potem wąska twarz z dwuznacznym uśmiechem.

– Tutaj, proszę – powiedział, wskazując jej drzwi.

Znalazłszy się w środku, Kirsten odkręciła kran, pochyliła się i włożyła twarz pod zimną wodę. Co się z nią dzieje? Czuła się otepiała. Wydawało jej się, że zaczyna być chora, jej czoło było zroszone potem. Zsunęła spodnie i majtki, usiadła na sedesie. Gdy sikała, miała wrażenie, jakby jej serce co chwilę zmieniało bieg, to przyspieszało, to zwalniało. Chryste, co się ze mną dzieje? – pomyślała. Wstała z trudem, głęboko odetchnęła i wyszła.

Labarthe'owie siedzieli teraz we dwójkę w kącie salonu. Ich twarze i oczy jak jeden mąż zwróciły się w jej stronę, jakby poruszał nimi ten sam lalkarz, tak że o mało nie parsknęła śmiechem. Kochana, nie ma żartów. Powinnaś mieć się przed nimi na baczności. Na twoim miejscu czym prędzej bym się stąd związała, podpowiedział jej wewnętrzny głos.

Była pewna, że gdyby w takim stanie puściła się biegiem w stronę drzwi, w jednej chwili by ją złapali. Poza tym właśnie mówili coś o tym, żeby wypić szklaneczkę oraz że pokażą jej zdjęcia willi w trakcie budowy – a raczej przebudowy, bo budynek był starym gospodarstwem. O tym wszystkim myślała, zmierzając ku nim przez duży salon. Nagle zaczęła się zastanawiać, jak długo to trwało. Straciła orientację w czasie i przestrzeni. O kurwa, zaklęła

w duchu. Wydawało jej się, że podłoga faluje. Aurore Labarthe pokazała jej miejsce obok siebie i Kirsten opadła na sofę.

Blondynka się uśmiechała; ani ona, ani jej mąż nie spuszczała Norweżki z oczu. Jeśli sądzicie, że straciłam kontrolę, to się grubo mylicie, pomyślała Kirsten.

– Jeszcze wina? – zaproponowała gospodyni.

– Nie, dziękuję.

– A ja sobie doleję – odezwał się mężczyzna.

– Proszę, tutaj są zdjęcia z przebudowy willi – powiedziała Aurore Labarthe, kładąc iPada na jej kolanach.

– Ach!

Kirsten spojrzała na ekran, usiłując skupić wzrok na pokazie slajdów, ale miała kłopot z uzyskaniem ostrości obrazu, a kolory wydały jej się dziwnie przesycone, jak w źle dostrojonym telewizorze: ostro kontrastujące z sobą, krzyczące czerwienie, zielenie i żółcienie.

– Jakies dziwne te kolory, nie? – rzuciła nieopatrnie. Zauważyła, że jej sposób mówienia stał się rozwlekły.

Usłyszała ostry, ironiczny śmiech Rolanda Labarthe’a, dziwacznie zniekształcony przez jakiś pogłos w jej uszach. Co go tak rozbawiło? Miała ochotę sobie odpuścić, położyć się na sofie. Czowała się słaba, wypruta z sił. Nagle przypomniała sobie wiadomość od Martina:

*Uciekaj!*

Weź się w garść, do cholery.

– Niezbyt dobrze się czuję – powiedziała.

Usłyszała echo własnego głosu. Aurore Labarthe pogładziła ją palcem wskazującym po policzku. Schyliła się nad nią, opierając pierś na jej ramieniu.

– Proszę spojrzeć – powiedziała, przesuwając zdjęcia.

Miała czarne, bardzo długie paznokcie.

– To jest... – zaczęła Kirsten.

Co ja gadam? Wymieszała norweski z angielskim! Gospodarze obserwowali ją rozbawieni. Nagle przeszył ją dreszcz. W ich bliźniaczo podobnych spojrzeniach widać było nie tylko wesołość: zobaczyła w nich przebiegłość, fałsz, pożądanie... Powiedzieli coś i roześmiali się, ale jej umysł musiał się na chwilę wyłączyć, bo nie pamiętała, co ich rozśmieszyło.

Nagle uprzytomniła sobie, że stoi, a oni ciągną ją pod rękę w stronę schodów. Kiedy ja wstałam? Nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Dokąd idziemy? – zapytała.

– Musi pani odpocząć – odparła łagodnie Aurore Labarthe. – Tam, dokąd panią zaprowadzimy, będzie pani miała więcej spokoju.

– Taaa... taaak – wybełkotała. – Chcę, żeby dano mi spokój, chcę mieć spokój...

Nagle Aurore Labarthe odwróciła się do niej, chwyciła ją za podbródek i pocałowała. Kirsten poczuła, jak język kobiety wślizgnął się do jej ust. Nie stawiała oporu. Coś w mózgu, jakaś bariera, zapora, nie pozwalało jej zareagować.

– Podoba ci się – powiedział mężczyzna za jej plecami.

– O tak. Bardzo. Chodźmy.

Servaz patrzył na Gustava. Malec spał z zaciśniętymi piąstkami w łagodnym niebieskawym blasku nocnej lampki. W tym świetle wirujące postaci Spider-Mana na kołdrze były fioletowe. Po raz kolejny zastanawiał się, kim jest ten chłopiec, a przede wszystkim: kto jest jego ojcem. W kieszeni, w plastikowej torebce, miał jego włos.

Usłyszał z dołu głos Kirsten, który stał się rozwlekły i raz po raz zmieniał oktawy. Mieszała norweski z angielskim, skarżyła się na złe samopoczucie. Słyszał śmiechy Labarthe'ów, ich przymilne głosy, i zapłonął gniewem. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli rzuci się teraz, by ją odbić, obydwójce skończą skuci łańcuchami w kryjówce na górze.

Nagle usłyszał jakieś odgłosy na schodach i ukrył się za otwartymi drzwiami. Głuche uderzenie. Kirsten.

– Pomóż mi, ona nie może ustać na nogach – poprosił mężczyzna.

Zaryzykował i wyrzwał na zewnątrz. Zobaczył, jak idą w stronę drugiego piętra, trzymając Kirsten między sobą. Norweżka była na wpół przytomna i pozwalała się ciągnąć. Usłyszał dochodzący z góry dźwięk otwieranego włazu i rozkładanej drabinki.

– Piękna jesteś, wiesz? – odezwała się Aurore.

– Naprawdę? – zapytała Norweżka, jakby komplement jej się spodobał.

– Będziesz musiała nam trochę pomóc – powiedział już chłodniej Labarthe.

– Oczywiście, ale nie czuję nóg – wybełkotała Kirsten.

– To nic – pocieszała ją pieszczotliwie Aurore Labarthe.

– Idź zobaczyć, czy Gustav śpi – zakomenderował małżonek.

Servaz poczuł przyływ paniki. Usłyszał kroki Aurore Labarthe na schodach. Schował się za drzwiami, które otworzyły się na oścież. Przywarł do ściany. Drzwi powróciły jednak do poprzedniej pozycji i kroki się oddaliły. Gustav mruknął coś cicho przez sen i przekręcił się na łóżku. Włożył kciuk do buzi. Servaz poczuł, że jego mózg za chwilę eksploduje. Cały czas było mu duszno. Przede wszystkim musi stąd wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem.

Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę schodów. Z góry słyhać było skrzypienie drabinki, po której Labarthe'owie prowadzili Kirsten na strych. Na palcach zszedł na parter i skierował się ku drzwiom wyjściowym.

Uderzenie zimnego nocnego powietrza obudziło go. Oddychał wielkimi haustami, oparłszy dłonie na kolanach, jak po sprincie. Następnie zszedł z ganku po stopniach, nabrał pełne garście śniegu i natarł sobie twarz. Odblokował telefon. Zadzwoić po posiłki. Rozmyślił się. Ile im zajmie przyjazd tutaj? I co w międzyczasie stanie się na górze? A jeśli żandarmi odmówią wejścia do domu? Bywały już takie przypadki. Poza tym, po tym wszystkim będą



spaleni. Nie będzie już szans, by Hirtmann się pokazał. Servaz zastanawiał się przez chwilę, a potem wrócił po schodach na górę, odetchnął głęboko i mocno nacisnął na guzik dzwonka.

Drzwi otworzyły się dopiero po piątym długim dzwonku.

– Na Boga! – zawołał Labarthe. – Co się...?

Servaz wyjął niebiesko-biało-czerwoną kartę i podstawił ją mężczyźnie pod nos. Schował legitymację wystarczająco szybko, by tamten nie zaczął się zastanawiać, dlaczego w drzwiach stoi glina, a nie żandarm.

– Otrzymaliśmy skargę z hotelu – powiedział. – Ma pan tu jakąś imprezę? Ludzie zgłosili hałas. Wie pan, która jest godzina?

Labarthe patrzył na niego coraz bardziej zbity z tropu. Najwyraźniej usiłował zrozumieć, co się dzieje. Dom za jego plecami był pogrążony w absolutnej ciemności i ciszy.

– Co? Hałas? Jaki hałas? – Z niedowierzaniem wskazał w stronę wnętrza. – Przecież pan widzi, że to nie może być tutaj! – Wyglądał, jakby chciał jak najszybciej skończyć rozmowę. – Właśnie mieliśmy się kłaść do łóżka – dodał i po chwili zmrużył oczy. – Myśmy się już spotkali, prawda? To pan jest tym gościem z hotelu... tym, który zostawił włączone światło...

– Ma pan coś przeciwko temu, żebym się rozejrzał? – drążył Servaz, ignorując pytanie.

Miał. Ewidentnie. Dało się to wyczytać z jego twarzy. Mimo to uśmiechnął się.

– Nie sędzę, by miał pan do tego prawo. Miłego wieczoru.

Zanim jednak zdążył się cofnąć i zamknąć drzwi, Servaz odepchnął go i wszedł do środka.

– Hej! Dokąd, kurwa? Nie ma pan prawa! Niech pan wraca! Na piętrze jest dziecko!

Które naćpaliście, skurwysynu, pomyślał Servaz, ruszając w stronę katedralnie sklepionego salonu. Pogasili wszystkie lampy na parterze i jedyna poświata pochodziła od śniegu za oknami, na której tle słabo odcinały się ciemne kształty mebli. Najwyraźniej Labarthe'owie byli już gotowi na bibkę w bardzo prywatnym gronie. Oparł się pokusie, by się odwrócić i wymierzyć kopniaka w genitalia profesorka, co z pewnością ugasiłoby jego pożądanie.

– Nie wolno panu tu wchodzić z powodu zwykłej skargi sąsiadów tylko po to, by stwierdzić, że nic się nie dzieje, i poprzewracać wszystko do góry nogami. Spieprzaj pan!

Wyglądało na to, że Labarthe jest raczej zaniepokojony niż wściekły. Servaz usłyszał jakiś dźwięk na górze, być może odgłos wciąganej drabinki.

– Co to było? – zapytał.

Labarthe się usztywnił.

– Co?

– Słyszałem jakiś dźwięk.

Odwrócił się, zamierzając wejść na górę. Wykładowca stanął między nim a schodami.

– Stop! Nie ma pan prawa!

– Skąd te nerwy? Coś pan tam ukrywa?

– Co? O czym pan mówi, do diabła? Mówiłem panu: tam śpi mój syn.

– Pański syn?

– Tak! Mój syn!

– Co jest na górze?

– He? Ależ nic, u licha! Co panu odbiło? Nie wolno panu...

– Co pan ukrywa?

– Pan jest jakiś chory! Chryste, coś pan za jeden? Nie jest pan żandarmem... I był pan wczoraj w hotelu. Czego pan od nas chce?

Nagle telefon w kieszeni Servaza zaczął wydawać rozpaczliwe dźwięki. Martin wiedział, co to jest: wszystkie wiadomości, które Kirsten wysłała do niego, kiedy był na strychu, wszystkie jej nieskuteczne próby dodzwonienia się do niego. Urządzenie wybrało

akurat ten moment, by dać o sobie znać.

– Co się...? Pański telefon dzwoni – powiedział mężczyzna coraz bardziej podejrzliwym tonem.

Nie mógł pozwolić na to, by Labarthe zyskał przewagę...

– Okay, sprawdzę – powiedział, omijając gospodarza i kierując się ku schodom.

– Chwileczkę! Chwileczkę!

– Co?

– Musi pan mieć rozkaz, nie ma pan prawa tego robić!

– Rozkaz? Za dużo filmów pan ogląda, kolego.

– Nie, nie... Nakaz sądowy. Coś w tym stylu, jakkolwiek to się nazywa, nie znam się. Wie pan, co mam na myśli. Nie może pan w ten sposób nachodzić ludzi. Nie wiem, kim pan jest, ale dzwonię po żandarmów – rzucił, wyjmując telefon.

– W porządku, niech pan to zrobi – odparł Servaz niewzruszony.

Labarthe włączył telefon, odczekał sekundę i wyłączył go.

– Okay. Czego pan chce?

– Dlaczego nie dzwoni pan po żandarmów?

– Bo...

– Ma pan jakiś problem? Na górze jest coś podejrzanego. Jakaś śmierdząca sprawa. I ja się dowiem, o co chodzi. Będę miał jasność. Zjadę tylko do Saint-Martin, wyciągnę sędziego z łóżka i wrócę tutaj z nakazem.

Ruszył do wyjścia. Gdy szedł przez zimną noc w stronę samochodu, który stał przed hotelem, czuł na plecach spojrzenie Labarthe'a.

Kiedy Labarthe zajrzał na strych przez otwór wjazdu, był mokry od potu. Zobaczył, że Norweżka stoi z uniesionymi rękami, przywiązana już za nadgarstki do bloczka. Aurore właśnie przecierała wilgotnym ręcznikiem jej twarz, włosy i szyję, by ją obudzić. Wykonywała każdy ruch z wielką czułością i dopiero na koniec wymierzyła kobiecie policzek, który klasnął jak uderzenie z bata i zostawił ślad na skórze.

– Ona nie może tutaj zostać! – zawołał mąż Aurore, wchodząc do pomieszczenia. – Trzeba ją odstawić do hotelu!

Blondynka się odwróciła.

– Kto to był?

Labarthe zerknął ostrożnie na Kirsten, która kiwała głową i mrugała, kompletnie otumaniona.

– Glina!

Zobaczył, że jego żona zamarła.

– Co? Czego chciał?

– Twierdzi, że ktoś z hotelu poskarżył się na hałasy! Co za bzdury! – Labarthe wymachiwał rękami. – Wczoraj widziałem go w hotelu. Co on tu robi? Powiedział, że wróci. Nie jest dobrze!

– Co to za historia? – zapytała Aurore bez przesadnego niepokoju.

Jej mąż wyglądał na znacznie bardziej przestraszonego.

– Musimy ją stąd wynieść! Trzeba ją zaprowadzić do hotelu! Natychmiast! Powiemy, że za dużo wypła.

Teraz kobieta spojrzała na Kirsten. Pokazała Labarthe’owi jej telefon. Na wyświetlaczu widniała wiadomość:

*Uciekaj!*

– Przecież cały czas ci to mówię! Trzeba...

– Zamknij się – przerwała mu. – Może opowiesz mi wszystko od początku? Oddychaj. Uspokój się. I opowiadaj.

Servaz obserwował willę przyklejony do okna. Jeśli za trzy minuty nic się nie wydarzy, wróci tam. Udał, że odjeżdża, zaparkował samochód niżej, za pierwszym zakrętem, i poszedł do hotelu.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze dwie minuty. Marzył, by mieć przy sobie broń. Zastygł. Na ganku właśnie pojawiła się jakaś postać. Labarthe. Patrzył w kierunku hotelu. Potem dał znak żonie. Po chwili wyszła Aurore, podtrzymując Kirsten. Pomogli jej pokonać schody i ruszyli w drogę, podpierając ją z obu stron, jakby była

pijana. I rzeczywiście tak wyglądała. Servaz głęboko odetchnął. Odkąd wyszedł z willi, upłynęło czternaście minut. Nie zdążyli wyrządzić jej wielkiej krzywdy.

Przetarł mokrą od potu twarz Kirsten wilgotnym ręcznikiem. Wstał, poszedł do łazienki po kolejną porcję wody i spróbował ją napić, ale po drugim łyku odbiło jej się i odsunęła szklankę.

Przyprowadził ją właściciel hotelu. Labarthe'owie poinformowali go, że norweska architektka, która mieszka w hotelu i której zaproponowali lampkę wina, jest kompletnie pijana. Zapewne w jej kraju panuje zwyczaj, by pić ponad miarę. Tak mu powiedzieli. Servaz nie wiedział, jakiej odpowiedzi udzielił im właściciel, ale idąc do willi, kilka razy odwracali się za siebie, by spojrzeć na hotelowe okna. A on za każdym razem się odsuwał.

Byli spaleni. Od teraz Labarthe'owie będą mieć się na baczności bardziej niż kiedykolwiek. Na pewno już poinformowali Hirtmanna o tym, co zaszło. W jaki sposób się z nim kontaktują? Być może za pośrednictwem fałszywego konta e-mail, dostępnego tylko z poziomu ukrytej strony internetowej, czatu za pośrednictwem aplikacji Telegram lub ChatSecure. Szyfrowane, przekierowywane połączenia: Vincent demonstrował mu liczne opcje, jakie Internet oferuje miłośnikom poufności.

– *Fuck*, czuję się naprawdę do dupy – oświadczyła nagle kobieta.

Odwrócił się. Leżała na łóżku wsparta na trzech poduszkach. Była blada, a spoczone włosy przykleiły jej się do czoła i skroni.

– Kiepsko wyglądam, co?

– Fatalnie – potwierdził.

– Daliśmy ciała na całej linii – podsumowała tymi lub podobnymi słowami, Servaz nie bardzo potrafił przetłumaczyć dalszy ciąg. – Ta pieprzona sadystka Labarthe nas wyruchała.

Miałabym ochotę ją zamordować.

Ja też, pomyślał.

– Wstrętna ta kawa – dodała. – Chyba się porzygam.

Wstała i pobiegła do łazienki. Słyszał, jak trzykrotnie wymiotuje, głośno sapiąc w przerwach. Wreszcie spuściła wodę.

Zehetmayer jadł śniadanie w praskim Sheratonie. W otoczeniu chińskich turystów. Nie cierpiał tego. Spał w pokoju 429 po wieczorze spędzonym na spacerze po Malej Stranie, Starym Mieście i Josefovie. Zrobił oczywiście przystanek na cmentarzu żydowskim i jak zawsze, gdy stał pośród chaosu kamiennych macew, w posepnej ciszy i świetle chylącego się dnia, między starymi fasadami, które strzegły wielowiekowej pamięci, czas przestał istnieć i mężczyzna popłakał się ze wzruszenia. Przez krótką chwilę wstydził się, kiedy poczuł, że łzy płyną mu po policzkach, ale nie miał nic, czym mógłby je wytrzeć, pozwolił więc, by zmoczyły kołnierz jego koszuli, i skosztował ich słonego smaku. Nie było się czego wstydzić: w ciągu swojego długiego życia widział bardzo odważnych mężczyzn, którzy płakali, i tchórzy, którzy nie uronili ani jednej łzy. Poczuł, jak przenikają go i oczyszczają światło, cisza i wspomnienie o wszystkich tych ludziach i ich historii. Pomyślał o Kafce, o Golemie – o swojej córce zabitej przez potwora. Bo w nienawiści jest jakaś czystość, tak jak w miłości. Człowiek, na którego czekał tego ranka, miał na imię Jiří. Był Czechem.

Zehetmayer zobaczył, jak mężczyzna idzie ku niemu między stolikami. Jiří miał twarz brodatego fauna, którą niełatwo zapomnieć – co w jego zawodzie mogło być nieco kłopotliwe – policzki pocięte głębokimi zmarszczkami przypominającymi ślady po cięciu katera, potężną klatę i płonące spojrzenie. Nie wyglądał jak morderca, raczej jak poeta, człowiek teatru. Mógłby być aktorem u Czechowa, śpiewakiem operowym. I, jak wynikało z wiedzy Zehetmayera, Jiří był na swój sposób artystą.

Świetnie. Zehetmayer nie wierzył w te romantyczne brednie o mordercach i złodziejach. W całą tę mitologię dla mieszcuchów



marzących o zbrataniu się z hołotą. Jiří usiadł naprzeciw niego i skinął na kelnera.

– Kawę. Czarną.

Wstał, podszedł do bufetu i wrócił z talerzem wypełnionym kiełbaskami, jajecznicą, boczkiem, bułeczkami i owocami.

– Uwielbiam hotelowe śniadania – wyjaśnił i zaczął pożerać swoją porcję.

– Słyszałem, że jest pan wybitnym zawodowcem – oświadczył Zehetmayer tytułem wstępu.

– Kto panu to powiedział?

– Nasz wspólny przyjaciel.

– To nie przyjaciel – poprawił go Jiří. – To klient. Kocha pan swoją pracę, panie Zehetmayer?

– To coś więcej niż praca. To...

– Kocha pan swoją pracę? – powtórzył Jiří.

– Tak, przepadam za nią.

– To ważne, żeby kochać to, co się robi. Kochać... Nie ma w życiu nic ważniejszego.

Zehetmayer zmarszczył brwi. Oto wczesnym rankiem, w Pradze, siedzi naprzeciw mordercy, który mówi mu o miłości.

Poniedziałkowy ranek. Kilka minut po dziewiątej Roland Labarthe włączył na swoim iPhone aplikację Telegram. Ostatnio stała się ona słynna za sprawą prasy, która ujawniła, że jest to ulubiony komunikator terrorystów. Choć dzięki tej darmowej reklamie Telegram trafił na chwilę do czołówek aktualności, przy dziesięciu miliardach wysyłanych dziennie wiadomości bynajmniej nie jest to usługa poufna. Jedna z jego opcji pozwala jednak na wysyłanie całkowicie zaszyfrowanych wiadomości, które ulegają samozniszczeniu po upływie czasu określonego przez użytkownika.

Tego ranka Labarthe wybrał właśnie opcję „secret chats”. Jego rozmówca po drugiej stronie miał nick „Mary Shelley”. Labarthe doskonale jednak wiedział, że nie chodzi o kobietę. Jedyнным punktem wspólnym między Hirtmannem i autorką *Frankensteina*

była gmina Cologny w kantonie genewskim, gdzie obydwójce mieszkali. Pierwsza wiadomość od Szwajcara pojawiła się niemal natychmiast.

[Dostałem alert. Co się dzieje?]

[Dziś w nocy wydarzyło się coś dziwnego]

[Czy to ma związek z Gustavem?]

[Nie]

[Gdzie?]

[W willi]

[Opowiadaj. Dokładnie. Konkretnie. Rzeczowo]

Labarthe przedstawił wydarzenia z poprzedniego wieczoru, zdradzając minimum szczegółów: opowiedział o odwiedzinach Norweżki, rzekomej architektki, potem o glinie, którego dzień wcześniej widział w hotelu, i o tym, jak mężczyzna chciał wszędzie wściubić nos.

Nie wspomniał jednak, że próbowali wciągnąć kobietę na strych. A przede wszystkim pominął fakt, iż podali Gustavowi środek usypiający. Gdy zrobili to po raz pierwszy, pomysłodawczynią była Aurore. On był przeciwny. Bał się nawet pomyśleć, co by było, gdyby Szwajcar się o tym dowiedział. Sama perspektywa sprawiała, że krew ścinała się w żyłach. Ale jego żona jak zwykle zrobiła po swojemu.

[Bez paniki. To normalne]

[Normalne? Czy oni zaczynają się interesować Gustavem?]

[Owszem]

[Jak to?]

[Są tu ze względu na Gustava. I na mnie]

[Skąd pan to wie?]

[Wiem]

Labarthe zaklął w duchu. Chwilami Mistrz działał mu na nerwy.

[Co mamy robić?]

[Bądźcie czujni. Wy też ich obserwujcie. Zachowujcie się, jakby nigdy nic]

[Jak długo?]

[Dopóki się nie pokażę, nic nie zrobią]

[A zamierza pan się pokazać?]

[Zobaczycie]

[Wie pan, że może pan mieć do nas pełne zaufanie]

Odpowiedź przyszła po dłuższej chwili.

[A myślicie, że w przeciwnym razie powierzyłbym wam Gustava? Kontynuujcie bez zmian]

[Oczywiście]

Roland chciał coś dodać, ale zobaczył, że rozmówca się rozłączył. Zrobił to samo. Za kilka sekund ich rozmowa ulegnie samozniszczeniu i nigdzie nie będzie po niej śladu. Chyba że Telegram przechowuje zaszyfrowane wiadomości na swoich serwerach bez wiedzy użytkowników, o co zresztą jest oskarżany przez organizację pozarządową Electronic Frontier Foundation.

Szwajcar wyłączył telefon i podniósł wzrok. W odległości kilku metrów od niego Margot spacerowała alejkami dużego krytego targowiska Victor-Hugo pełnego dźwięków i zapachów, zatrzymując się przy stoiskach z owocami, rybami i serami – towary wyglądały niezwykle apetycznie. Oglądała, ważyła w dłoni, szacowała, kupowała i odchodziła. Trzy metry za nią, ukryty w tłumie, siedł policjant, który nie spuszczał dziewczyny z oczu.

Błąd, pomyślał Hirtmann, popijając kawę przy niewielkim blacie. Lepiej by zrobił, gdyby zwrócił uwagę na to, co się dzieje wokół niej. Odstawił filiżankę, zapłacił i wrócił na alejkę. Margot zatrzymała się przy stoisku wytwórni wędlin Garcia. Hirtmann

przeszedł za nią, minął trójboczną ladę i ruszył wprost do miejsca, w którym sprzedawca kroił hiszpańską szynkę *pata negra*, która kosztowała krocie. Kosztowała krocie, ale była przepyszna. Szwajcar zamówił dwadzieścia deko, tej najdroższej, przyglądając się Margot, która pakowała swoje zakupy do torby. Była naprawdę śliczna, w jego guście. W tym zimowym płaszczu wyglądała równie świeżo jak ryby leżące w lodzie, krucho jak szynka od Garcii, a jej policzki, rumiane i błyszczące od zmieniającej się temperatury, przypominały piękne jabłka w dziale z wczesnymi owocami.

Martin, twoja córka mi się podoba, pomyślał. Ale wyobrażam sobie, że zięć taki jak ja nieszczególnie by ci odpowiadał, co? Cóż, pozwolisz, żebym ją tylko zabrał na bal?

Servaz obserwował willę. Słyszał, jak Kirsten wymiotuje w łazience, i zastanawiał się, co też Labarthe'owie dodali do jej wina. Pytał ją o to, ale pamiętała tamten wieczór bardzo mgliście.

Zadzwoił jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz i zaklął w duchu. Margot! Ostatnie wydarzenia sprawiły, że zupełnie o niej nie myślał. Przesunął zielony guzik na ekranie, szykując się na kolejne połączenia.

– Tato – odezwała się jego córka zmartwionym głosem. – Czy możemy porozmawiać?

Kirsten w łazience puściła pawia, a potem zaczęła coś do niego mówić przez drzwi łazienki. Nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Oczywiście. Oddzwonię za pięć minut, dobrze? Pięć minut.

Rozłączył się. Kirsten wciąż mówiła, ale jego myśli krążyły wokół Margot.

– Martin? – zawołała w końcu.

– Margot dzwoniła – odparł, nadal odwrócony plecami, czekając, aż drzwi łazienki się otworzą.

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem. Zejdę i do niej oddzwonię. Trochę świeżego powietrza dobrze mi zrobi.

– Martin...

Ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Na progu łazienki stała Kirsten i patrzyła na niego pytającym wzrokiem.

– Co?

– Czy mógłbyś mi przynieść lekarstwo? Jeśli to dla ciebie nie kłopot.

– Jakie lekarstwo? – zapytał lekko ogłupiały.

– Mówiłam ci już, że przy wjeździe do wsi, trzysta metrów stąd, jest apteka. Mógłbyś tam podejść i kupić mi coś na powstrzymanie tych wymiotów? – powtórzyła cierpliwie.

– Tak, oczywiście.

– Dzięki.

Uświadomił sobie, że Kirsten najprawdopodobniej wiele razy mówiła do niego to samo. Jego mózg był jednak przełączony na inny kanał. Nagle przestraszył się nie na żarty: czy coś takiego może być następstwem śpiączki? Czy to zwykłe roztargnienie? Czyżby śpiączka uszkodziła jakiś obszar w jego mózgu i teraz ten obszar nie działa? Rozpaczliwie próbował sobie przypomnieć, czy od chwili jego przebudzenia podobna sytuacja już się zdarzyła.

Zaniepokojony ruszył do windy. Wchodząc do kabiny, sięgnął po telefon. Miał kilka nieodebranych wiadomości. Wszystkie od Margot. W ciągu ostatniej nocy parę razy dzwoniła, a ostatnią wiadomość wysłała na krótko przed ich rozmową.

*Tato, nie mówiłam poważnie. Wiem, że Ty też. Ale proszę, daj znać, czy u Ciebie wszystko w porządku. Martwię się.*

Wychodząc do holu, zauważył, że właściciel hotelu zmierza w jego kierunku.

– Jak się miewa pańska koleżanka?

Servaz zamarł.

– Moja... kto?

– Jesteście z policji, nie?

– ...

– Obserwujecie willę?

Servaz milczał, wpatrując się w mężczyznę.

– Nic nie powiedziałem – uspokoił go rozmówca. – Kiedy w nocy przyprowadzili pańską... koleżankę, nie wspomniałem o panu. Zamknąłem moją cholerną gębę, udałem, że łykam ten ich kit. Nie wiem, co im zarzucacie, ale powiem panu tylko, że ci dwoje nigdy mi się nie podobali. Strzał w dziesiątkę, jeśli chce pan znać moje zdanie.

Ta mania dzisiejszych ludzi, by wyrażać swoją opinię na każdy temat, nawet jeśli nikt ich o nią nie pyta... Servaz spojrzął w ślad za oddalającym się mężczyzną.

Spędzamy życie na porównywaniu. Porównujemy domy, telewizory, samochody; hotele, zachody słońca, miasta, kraje. Porównujemy filmy i ich kolejne wersje, różne wykonania tej samej roli. Porównujemy nasze dawne życie z dzisiejszym, porównujemy naszych przyjaciół – jacy byli niegdyś i jak się zmienili. Policja porównuje odciski linii papilarnych, ślady DNA, zeznania, kolejne wersje oświadczeń aresztantów, a także – jeśli nadarzy się taka okazja – broń i amunicję.

Nazywa się to strzałami porównawczymi. W Tuluzie procedurę tę przeprowadza sekcja balistyczna laboratorium kryminalistycznego, znajdująca się na trzecim piętrze komendy. Strzelnica i kulochwyty mieszczą się z kolei w podziemiach. Pierwszy etap polega na obejrzeniu broni. Na przykład obecność bądź nieobecność kurzu może wskazywać na czas, jaki upłynął od ostatniego strzału, zwłaszcza jeśli w lufie jest więcej kurzu niż w okolicach zamka – wówczas można przypuszczać, że broń nie była w użyciu od dłuższego czasu. Co ciekawe, pistolet poddawany właśnie oględzinom przez inżyniera nie był takim przypadkiem. A przecież jego właściciel, komendant Servaz, utrzymywał, że nie korzystał z broni od miesiący. Ostatni raz, jak twierdził, użył jej na strzelnicy, jak wiadomo z marnym rezultatem. Dziwne, skrzywił się Torossian. Bardzo lubił Servaza. Ale ta spluwa wyglądała na używaną całkiem niedawno. Zapisał ten fakt w notatniku, a następnie położył pistolet obok pozostałych egzemplarzy. Kiedy skończy, przystąpi do strzałów porównawczych.

*Zadzwoń do Margot.* Wybrał numer i czekał, schodząc po stopniach tarasu, a następnie pokonując zaśnieżoną ulicą kilkaset metrów dzielących go od pawilonów handlowych.

– Tato – odebrała w końcu. – Powiedz, że wszystko w porządku. Martwiłam się.

Mówiła przez ściśnięte gardło, jakby zaraz miała się rozpłakać. Poczul falę wzruszenia.

– Wszystko w porządku – odpowiedział, niezdarnie drepcząc po kopnym śniegu na poboczu. – Ta noc była... dość pracowita. Nie widziałem esemesów od ciebie. Dopiero teraz je zauważyłem, przepraszam.

– To nic, byłam bardzo zła. Wcale nie miałam na myśli tych wszystkich rzeczy, o których napisałam.

– Nieważne – powiedział.

Nieprawda, to było ważne. Właśnie przeczytał te wiadomości. Były pełne smutku i wyrzutów. Po raz pierwszy w życiu jego córka otwarcie się zastanawiała, czy się dla niego liczy, informując go, że czuje się, jakby była na ostatnim miejscu w kolejce jego ważnych spraw. Kto wie, czy nie ma w tym ziarnka prawdy, pomyślał. Czy mimo woli nie stał się beznadziejnym ojcem...

– Jak to: nieważne? – zareagowała natychmiast.

Kurwa, zaklął w duchu. To niemożliwe, niech to się znowu nie zacznie. Chciałby jej powiedzieć, już, w tej chwili, że ją kocha, że znajdzie czas, że musi mu dać szansę. Zamiast tego przez ostatnie trzysta metrów, dwukrotnie o mało nie wpadając w śnieżną zaspę, słuchał kazania Margot. Tylko raz czy dwa odpowiedział coś monosylabami, nie będąc w stanie zatamować lawiny córczyny wymówek. Ponieważ niewyczerpany potok wciąż płynął do jego ucha, Servaz przez dobre pięć minut tkwił przed apteką jak kołek, zanim zdecydował się wejść. Zakrył mikrofon dłonią i poprosił o primperan.

– Czyżby tej nocy była we wsi jakaś impreza? – zapytał rozbawiony aptekarz.

Servaz uniósł brwi na znak, że nie zrozumiał pytania.



– Jest pan drugą osobą w ciągu pięciu minut, która kupuje ten lek.

Monolog w słuchawce ani nie zwolnił, ani nie umilkł. Servaz wyszedł z apteki, skierował się w stronę kawiarnianego ogródka i mimo zimna usiadł przy stoliku. Margot dalej wylewała wszystko, co leżało jej na sercu.

– Dzień dobry – przywitał go kelner.

– Poproszę o kawę.

– Do kogo mówisz? – zapytała nagle jego córka, przerywając monolog.

– Do kelnera w kawiarni – odparł z lekką irytacją.

– Świetnie. Dam ci spokój. Proszę cię, nigdy więcej nie mów mi, że ci matkuję. Prawda jest taka, że to ty zachowujesz się jak mały chłopiec. Wszystko utrudniasz, tato.

– Przepraszam – odparł wbrew sobie.

– Nie przepraszaj. Zmień się. Buziaki.

Z niedowierzaniem wpatrywał się w telefon. Rozłączyła się! Po trwającym dobry kwadrans kazaniu, podczas którego on nie zdołał się włączyć nawet na minutę, nie mówiąc już o okazji do wytłumaczenia się czy obrony.

Kirsten wciąż miała skurcze żołądka, ale już słabsze: wymioty ustąpiły. A przynajmniej udawało jej się je powstrzymać. Gdzie się podziewa Martin? Wyszedł do apteki ponad dwadzieścia minut temu. Teraz bolała ją głowa, miała wrazenie, że jej usta wypełnia piasek i kłuło ją między łopatkami, jakby ktoś wbił jej tam gwóźdź – to zapewne efekt gwałtownych torsji. Weszła do łazienki. Czuła, że musi się odświeżyć.

Umyła zęby, rzuciła na podłogę ręcznik, rozebrała się i weszła pod prysznic. Cztery minuty później wyszła owinięta ręcznikiem. W pokoju panował zaduch. Kirsten otworzyła okno na oścież. Zimne powietrze podziałało na nią jak balsam, a słońce niczym pieszczota. Wiatr unosił tumany śniegu i gonił po niebie drobne chmury. Gdzieś szczekał pies, z oddali dochodziło bicie dzwonu

i jakieś nawołujące się głosy. Jak przyjemnie jest żyć, pomyślała.

W dole po lewej stronie zobaczyła samochód jadący w kierunku hotelu. Natychmiast skierowała uwagę na willę. Volvo zniknęło. Cholera... Kirsten poszła po lornetkę leżącą na rozkopanym łóżku Martina, wróciła do okna i dokonała bilansu sytuacji. Okazało się, że zbliżający się samochód to właśnie volvo, z tej odległości nie była jednak w stanie ocenić, kto siedzi w środku. Wycelowała lornetkę w willę i jej pole widzenia wypełniły okna budynku. Jedno z nich było otwarte na oścież, a firanki łopotały na zewnątrz unoszone wiatrem. Przez kilka sekund jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ich biały, świetlisty taniec, aż nagle pojawiła się Aurore Labarthe i czar prysł. Kobieta wychyliła się, złapała firany, wciągnęła je do pokoju i zamknęła okno. Wszystko to trwało mniej niż dziesięć sekund, ale Kirsten zdołała uzyskać część informacji, na których jej zależało. W sprawie osób podróżujących samochodem istniały tylko dwie możliwości:

1. ten dupek Labarthe
2. ten dupek + Gustav.

Aurore Labarthe zamknęła okno, rzuciwszy okiem na wracające z apteki volvo, z którego rury wydechowej unosiły się gęste, czarne spaliny. Co on, kurwa, wyprawia? Do apteki jest mniej niż kilometr. Nie powinien jechać tak szybko! Rozlazła fajtłapa... Doprowadzał ją do szalu, ale tym razem musiała mu przyznać rację. Dali ciała. I to, co wkurzało ją jeszcze bardziej, z jej winy. Zupełnie nie doceniła ubocznych skutków działania środka usypiającego na Gustava. A przecież wiedziała, że chłopiec jest chory, że ma bardzo wrażliwą wątrobę. Hirtmann udzielił im na ten temat szczegółowych pouczeń.

Schorzenie nosiło nazwę „atrezja dróg żółciowych”. Jest to choroba o nieznanym pochodzeniu, która dotyka mniej więcej jednego na dziesięć do dwudziestu tysięcy dzieci. Charakteryzuje się niedrożnością dróg żółciowych i uniemożliwia usuwanie żółci z wątroby. Nieleczona może doprowadzić do zgonu dziecka

w wyniku wtórnej marskości żółciowej. Aurore nie sądziła, że zdołają ocalić skórę, jeśli Szwajcar kiedykolwiek się dowie, iż dwukrotnie naćpali Gustava, żeby mieć spokój podczas swoich orgietek. Będzie bezlitosny. Hirtmannowi bardziej zależało na tym chłopcu niż na własnym życiu. Kim właściwie jest to dziecko? Często się nad tym zastanawiała. Czy to naprawdę jego syn? A jeśli tak, to gdzie jest matka? Ani ona, ani Roland nigdy jej nie widzieli.

Ruszyła korytarzem i weszła do pokoju Gustava. Zatkąła nos, bo w pomieszczeniu cuchnęło wymiocinami. Chwyliła za jeden róg brudne prześcieradło i zrzuciła pościel na podłogę. Z łazienki przylegającej do sypialni usłyszała bulgotanie. Minęła łóżko i weszła do środka. Gustav, w niebieskiej piżamce, klęczał z głową nachyloną nad muszlą i wymiotował.

Biedak sapał, jego oddech był świszczący, a pomiędzy jasnymi włosami, które od potu posklejały się w kępki, prześwitywała różowa skóra. Usłyszawszy ją, podniósł się i posłał jej smutne, przepełnione bólem spojrzenie. Chryste, ten dzieciak nigdy się nie skarży, chyba że z tęsknoty za ojcem, pomyślała. Mało się nie zadławiła nagłym przypiływem wstydu. Podeszła bliżej i położyła mu dłoń na czole. Było gorące. Z dołu dobiegł ją odgłos otwierających się drzwi, a następnie kroki Rolanda na schodach. Pomogła chłopcu się rozebrać, wierzchem dłoni sprawdziła temperaturę wody pod prysznicem i delikatnie pchnęła go do kabiny.

– To ci dobrze zrobi, skarbie.

Gustav w milczeniu skinął głową i wszedł pod strumień wody. Wzdrygnął się.

– Gorąca!

– To ci dobrze zrobi – powtórzyła, regulując temperaturę.

Labarthe wszedł do pokoju. Zobaczył na podłodze stertę brudnej pościeli i ruszył do łazienki.

– Ten glina był w aptece! – zawołał od progu.

Odwróciła się do niego i rzuciła mu ostre jak brzytwa spojrzenie. Nie przestając mydlić Gustava, wolną ręką wskazała na torebkę,

którą Labarthe trzymał w dłoni.

– Daj mi to.

– Słyszałaś, co mówiłem? – rzucił, podając jej primperan.

– Gustav, popatrz na mnie – zwróciła się łagodnie do chłopca, nie zważając na słowa męża.

Odkręciła plastikową butelkę i przytknęła szyjkę do ust dziecka. Malec się skrzywił.

– Niedobre.

– Wiem, kochanie. Ale to ci pomoże.

– Ostrożnie! – zawołał Labarthe. – Za dużo mu dajesz!

Blondynka odsunęła butelkę od ust Gustava i spiorunowała męża wzrokiem.

– Pobrudziłem łóżko – odezwał się chłopiec skruszony.

Spuściła wzrok i pogłaskała jego mokre włosy.

– Nic nie szkodzi, zaraz zmienimy pościel. – Zwróciła się do męża: – Czy możesz mi pomóc? I doprowadzić pokój do porządku?

Jej ton był ostry. Labarthe skinął głową, zaciskając zęby. Wyszedł. Aurore wytarła Gustava, wysmarowała kremem i podała mu czystą piżamę.

– Lepiej?

– Tak, trochę.

– Gdzie cię dokładnie boli?

Położył dłoń na brzuchu. Dotknęła. Był twardy i wzdęty.

– Jesteś bardzo dzielnym chłopcem, wiesz?

Zobaczyła, że słabo się uśmiechnął. Tak, to naprawdę dzielne dziecko, pomyślała. Na pewno ma to po ojcu. Stawia czoło chorobie z walecznością małego żołnierza. Ale czy w swoim krótkim życiu w ogóle doświadczył czegoś innego poza tym dziadostwem? Kucnęła przed nim i przez chwilę patrzyła na niego z uśmiechem. Potem wstała.

– Chodź, położymy cię z powrotem do łóżka – powiedziała. – Dzisiaj nie idziesz do szkoły.

Kiedy wyszli z łazienki, na łóżku leżała świeża pościel, a okno było otwarte na oścież. I tutaj firanki łopotały, jakby chciały

wyfrunąć na zewnątrz.

– Wskakuj – powiedziała Aurore, pospiesznie zamykając okno.

– To prawda, że czujesz się lepiej?

Gustav, który zdążył się już położyć, z wielką powagą skinął głową.

– Genialnie. Powiedz mi, jeśli będziesz głodny.

– Ten facet, który w nocy... – zaczął Labarthe, gdy tylko weszła do kuchni.

– Tak. Słyszałam. Jest silny wiatr. Dlaczego zostawiłeś u małego otwarte okno?

– Bo śmierdziało...

– A może chcesz, żeby oprócz wymiotów jeszcze się przeziębził?

– Kiedy wychodziłem, zauważyłem, że się zbliża, więc czekałem, żeby zobaczyć, dokąd pójdzie potem – powiedział, jakby jej nie usłyszał. – Ten glina... Nie widział mnie. Miał telefon przyklejony do ucha i wyglądał na bardzo niezadowolonego. Chciałem zobaczyć, czy wróci do hotelu.

– No i?

Włożyła czarną kapsułkę z kawą do dozownika ekspresu i włączyła urządzenie.

– Usiadł w ogródku i zamówił kawę. Zostawiłem go i wróciłem, bo... tutaj były pilniejsze sprawy.

Powiedział to niemal przeproszającym tonem, czego od razu pożałował: okazanie słabości wobec Aurore oznaczało ryzyko, że obudzi się w niej pragnienie wbicia kłów w łydkę ofiary.

– Tak, a ja myślałam, że oni tam dopiero robią ten pieprzony syrop – powiedziała. – Ten dzieciak ściągnie na nas kupę problemów. Bez przerwy wymiotuje. Mam nadzieję, że to lekarstwo mu pomoże.

Nacisnęła guzik i ekspres zaczął wypluwać z siebie brunatny płyn, jęcząc przy tym i prychając. Labarthe'owi nie umknęła wymówka w głosie żony. Zastanawiał się, dlaczego go tym obarcza. Co prawda to on jako pierwszy zaproponował Mistrzowi, że

przyjmą chłopca, kiedy dyrektorka poprzedniej szkoły zaczęła zadawać „dziadkowi” zbyt wiele pytań, ale Aurore powitała ten pomysł z wielkim entuzjazmem. Nie mogli mieć dzieci. Widział, jak jego żona opiekuje się Gustavem, jak spędza z nim czas, cieszy się z jego towarzystwa. Co nie zmienia faktu, że to ona wpadła na pomysł, by naćpać chłopca. A on próbował wybić jej to z głowy. Wiedział jednak, że dyskusowanie z Aurore nie ma sensu. Zwłaszcza w chwilach napięcia. Dlatego powstrzymał się od odwzajemniania jej pretensji.

– Może trzeba by go powiadomić? – zapytał za to.

Zapadło milczenie, które wzbudziło w nim złe przeczucia. Odpowiedź spadła jak uderzenie biczem:

– Powiadomić go? Zwariowałaś do reszty czy tylko jesteś głupi?

Kirsten zobaczyła, że Martin wraca. Zgasła papierosa, zamknęła okno i zdjęła płaszcz, który wcześniej narzuciła na ramiona. Weszła do łazienki, by zerknąć w lustro. Nie dało się nie zauważyć brunatnych cieni pod jej oczami ani trupiobladej cery. Przyłożyła dłoń do ust, by sprawdzić, czy nie ma cuchnącego oddechu.

Martin wszedł do pokoju zdyszany. Podał jej torebkę z apteki. Wyjęła primperan i ku jego zaskoczeniu zaczęła pić prosto z butelki, jakby to była woda.

– A właśnie, widziałam, jak Labarthe wyszedł z willi i dokądś pojechał, a potem wrócił. Miał w ręku torebkę. Podobną do tej...

Zmarszczył brwi.

– Torebkę z apteki? Jesteś pewna?

– Pewna to nie. Był za daleko. Ale podobną. W każdym razie wyglądał, jakby mu się śpieszyło.

Servaz podszedł do okna i spojrzął na willę. Uświadomił sobie, że się martwi o Gustava.

Na biurku zabręczał telefon. Ale nie ten, którego używał na co dzień. To był ten drugi telefon. Labarthe zadrzał. Cholera, czy to możliwe, żeby Szwajcar w jakiś sposób dowiedział się, co się

dzieje? Hirtmann zaczął go wpędzać w paranoję. Spojrzał na wyświetlacz.

[Jesteś tam?]

Wystukał odpowiedź środkowym palcem.

[Tak]

[To dobrze. Jest pewna zmiana]

[Jaka?]

[Chcę się spotkać z Gustavem. Dziś wieczorem. Tam gdzie zwykle]

Chryste. Labarthe wypuścił powietrze. Nagle poczuł się tak, jakby jakiś wielki kłak utknął mu w gardle i utrudniał oddychanie.

[Co się dzieje?]

[Nic. Chcę się spotkać z Gustavem. To wszystko. Dziś wieczorem]

Mężczyznę ogarnęła panika. Miał ochotę zawołać Aurore na pomoc. Ale upływały kolejne sekundy. Musi odpowiedzieć. W przeciwnym razie Szwajcar zacznie coś podejrzewać. Następna wiadomość była zresztą dowodem na to, że już zaczął.

[Jakiś problem?]

Kurwa mać! Odpowiedz! Cokolwiek! – odezwał się głos w głowie Labarthe'a.

[Gustav jest akurat chory, podłapał grypę]

[Ma gorączkę?]

[Tak. Trochę]

[Od kiedy?]

[Od wczorajszego wieczoru]

[Był u lekarza?]

[Tak]

Serce Labarthe'a waliło jak werbel. Wpatrywał się w jasny ekran, czekając na kolejną wiadomość.

[U tego samego co zwykle?]

Labarthe się zawahał. Czy Szwajcar się czegoś domyśla? Czy usiłuje go przyłapać?

[Nie. U innego. Była niedziela]

[Co mu podajecie?]

[Aurore się tym zajęła. Chce pan, żebym po nią poszedł?]

[Nie. Nie trzeba. Wpadnę wieczorem]

[Co? Ale przecież willa jest obserwowana przez tych policjantów]

[To już mój problem]

[Mistrzu, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł]

[Ja o tym decyduję. Dziś wieczór. O dwudziestej]

Hirtmann się rozłączył. Cholera! Labarthe przełknął ślinę. Miał wrażenie, jakby po jego szyi wspinały się tysiące mrówek. Potrzebował powietrza... Podeszedł do okna, otworzył je. Oddychał głęboko, spoglądając na zaśnieżony krajobraz.

Wieczorem przyjedzie Szwajcar. Psiakrew, dlaczego powiedziałem o grypie? Dlaczego nie o bólu brzucha? Cholera, co mi strzeliło do łba? A jeśli Gustav powie ojcu, że nie był u żadnego lekarza? Pisząc książkę, Labarthe przez cały czas starał się wchodzić w skórę Hirtmanna, czuł się tak, jakby nim był. Kiedy krążył ulicami Tuluzy i patrzył na kobiety, patrzył na nie oczami Hirtmanna, czuł się silny, potężny, okrutny i bezlitosny. Co za brednie! To tylko słowa. Czy ma pietra? Mało powiedziane!



Szwajcar nie jest fikcją, jest pieprzoną rzeczywistością – która wdarła się w ich życie.

Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Podpisywał książkę w jednej z tuluskich księgarni. A w każdym razie miał podpisywać, bo od pół godziny nikt nie przyszedł. I wreszcie pojawił się czytelnik, który poprosił o autograf. Kiedy Labarthe zapytał go o imię, tamten odparł: „Julian”. Labarthe się zaśmiał. Jednak mężczyzna po drugiej stronie stolika miał nieprzeniknioną minę, a sposób, w jaki patrzył na niego zza okularowych szkieł, sprawił, że po jego plecach przeszedł zimny dreszcz.

Potem Labarthe wsiadał do samochodu na drugim poziomie parkingu podziemnego Jean-Jaurès, gdy facet nagle wyłonił się z jakiegoś ciemnego kąta. Roland aż podskoczył.

– Kurwa, przestraszył mnie pan!

– Zrobił pan błąd na stronie sto pięćdziesiątej trzeciej. To nie było tak – powiedział Hirtmann.

Nie wiedząc czemu, być może z powodu tonu, olimpijskiego spokoju intruza, słów, jakich tamten użył, Labarthe natychmiast uświadomił sobie, że nie ma do czynienia ze zwykłym natrętem. Że ma przed sobą Juliana Hirtmanna we własnej osobie...

– To pan? – wybełkotał.

– Niech się pan nie boi. Książka jest dobra. W przeciwnym razie pański strach byłby uzasadniony.

W odpowiedzi Labarthe próbował się zaśmiać, ale śmiech uwiązł mu w gardle.

– Ja... ja... nie wiem, co powiedzieć. To dla mnie wielki... zaszczyt.

Podniósł oczy, spoglądając na twarz wyłaniającą się z cienia: Labarthe miał niespełna metr siedemdziesiąt wzrostu. Hirtmann sięgnął do kieszeni po telefon i podał mu.

– Proszę. Niedługo znowu się spotkamy. Tylko niech pan nikomu nie mówi.

Ale Labarthe powiedział. Aurore. Nie miał przed nią sekretów.

– Chcę go poznać – powiedziała od razu.

Roland wyszedł z gabinetu i na próżno szukał jej na parterze. Głosy na piętrze... Wszedł na górę i pędem puścił się korytarzem. Aurore i Gustav byli w łazience przylegającej do sypialni.

– Jest coraz gorzej – rzuciła, przecierając czoło chłopca wilgotną gąbką. – I gorączka rośnie.

Tylko nie to! – pomyślał.

– Właśnie rozmawiałem z Hirtmannem.

– Zadzwoń do niego? – zapytała z niedowierzaniem.

– Nie. Sam się odezwał. Nie wiem, co mu przyszło do głowy.

Chce się spotkać z małym.

– Co?

– Będzie tutaj wieczorem.

– Co mu powiedziałeś?

– Że Gustav jest chory, że ma... grypę.

– Grypę? Ale dlaczego grypę?

– Nie wiem! Tylko tyle potrafiłem w tamtej chwili wymyślić!

Chciał wiedzieć, czy Gustav był u lekarza.

Kobieta ostrożnie spojrzała na chłopca, a następnie podniosła oczy na męża.

– I co mu powiedziałeś?

– Że tak.

Zobaczył, że Aurore zbladła. Popatrzyła na chłopca, a on odwzajemnił jej spojrzenie. Jego wzrok był smutny, znużony, wyczerpany, na granicy łez, ale pełen miłości i zaufania. Kobieta o lodowatym sercu po raz pierwszy w życiu poczuła żal i wyrzuty sumienia. Pogłaskała go po policzku, potem, idąc za odruchem serca, przytuliła go do siebie i poczuła na policzku mokre włosy dziecka. O mało się nie rozbeczała.

– Nie martw się, skarbie. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Odwróciła się do Labarthe'a. – Musimy go zabrać na pogotowie – rzuciła.

– Jasne, do cholery.

– Wychodzą – powiedziała Kirsten.

Servaz stanął obok niej przy oknie.

– Zobacz, jak opatulili Gustava. Nie wygląda dobrze, nawet stąd widać.

Servaz znowu czuł niepokój. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piętnasta. Labarthe wrócił z apteki już ponad trzy godziny temu, jeśli rzeczywiście tam był. Nie było wątpliwości, że stan dziecka się pogorszył. Martin wiele by dał, żeby się dowiedzieć, na co chłopiec choruje. Strach dosłownie go zżerał. Posadzili Gustava z tyłu. Aurore przykryła mu kolana kocem i pogłaskała go po głowie. Jej mąż usiadł za kierownicą. Nie omieszkał rzucić okiem w kierunku hotelu.

– Co robimy? – zapytała Kirsten.

Servaz szybko się zastanawiał.

– Niech jadą. Są czujni, na tych drogach bardzo szybko nas zauważą. A ty i tak nie jesteś w stanie. Zaczekamy, aż wrócą.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Ale tak naprawdę chciał tylko jednego: pobiec do samochodu. Zrozumiał, że długo nie zniesie takiej niepewności. Dokąd go zabierają? W tej chwili miał głęboko w nosie państwa Labarthe'ów, a nawet Hirtmanna, myślał tylko o Gustavie. Dlaczego aż tak się niepokoję? – zastanawiał się. Jeśli to nie mój dzieciak, dlaczego tak bardzo mnie obchodzi?

Aurore siedziała na tylnej kanapie i tuliła Gustava do siebie. Ubrała się w biegu, włożyła pierwsze spodnie i sweter, jakie wpadły jej w ręce. W samochodzie było wilgotno i przenikliwie zimno. Owinęła chłopca w koc, ale nie przestawał dygotać.

– Chcesz nas zamrozić, czy jak? – rzuciła przed siebie.

Labarthe bez słowa rozkręcił ogrzewanie do maksimum, uważając na śliskiej szosie. Na dole za serpentynami wjechali na szerszą, odśnieżoną drogę. Skręcił w lewo, w kierunku Saint-Martin. Przyśpieszył.

– Chce mi się wymiotować – powiedział chłopiec.

Doktor Franck Vassard był właśnie na przerwie w pokoju socjalnym, gdy przyszła po niego pielęgniarka.

– Mamy chłopca, który bez przerwy wymiotuje. Właśnie przyjechał.

Vassard usiadł na sfatygowanej sofie i przeciągnął się, rozkładając szeroko ręce. Spojrzał na nią. Był młodym internistą, lekarzem dyżurnym Szpitalnego Oddziału Ratunkowego. Widać w nim było energię – energię młodości, ale także energię człowieka, którego nie zniechęciły jeszcze lata walki z dwoma niepokonanymi wrogami: chorobą i śmiercią. Do których często dochodziło jeszcze dwóch: ignorancja i nieufność pacjentów. Nie spuszczać z oczu pielęgniarki, podrapał się po hipsterskiej brodzie.

– W jakim wieku?

– Pięć lat. Ma też lekkie objawy żółtaczki. To może być niewydolność wątroby.

Żółtaczka, czyli żółtawe zabarwienie skóry i białkówki oczu wskutek wzrostu stężenia bilirubiny we krwi.

– Jest z rodzicami?

– Tak.

– Ma gorączkę?

– Trzydzieści osiem i pięć.

– Idę.

Wstał i podszedł do ekspresu do kawy. Do licha, miał nadzieję na dłuższą sjęstę. Szpital w Saint-Martin był mały, a SOR rzadko musiał się zmagać z mniej lub bardziej niekontrolowanym chaosem, jaki spotyka się w większych miastach. Dwie minuty później Vassard wyszedł z pokoiku i przemierzał korytarz, na którym było pełno wózków, pielęgniarek i panował ogólny rozgardiasz. Dziecko siedziało na noszach. Małżeństwo spoglądało na nadchodzącego lekarza. Nie wiedzieć czemu, ludzie ci wydali mu się jacyś dziwni i źle dobrani (kobieta była wyższa od mężczyzny o prawie dziesięć centymetrów). Poczował się nieswojo.

– Państwo jesteście rodzicami?

– Nie, przyjaciółmi – odparł mężczyzna z bródką. – Ojciec wkrótce tu będzie.

– Świetnie. Co mu dolega? – zapytał, podchodząc do chłopca o jasnych włosach i rozgorączkowanym spojrzeniu.

– Podamy mu węgiel aktywny i środek przeciwwymiotny – powiedział. – Nie jestem fanem płukania żołądka. Zresztą stosuje się je już niemal wyłącznie w przypadku zatrucia substancjami o wysokiej toksyczności, a lek, który mu podaliście, się do nich nie zalicza – nie omieszkał nieco ubarwić swojej wypowiedzi, zwracając się do nich tonem pełnym dezaprobaty. – Zostawimy go na obserwacji do jutra rana. Najbardziej niepokoją żółtaczka, obrzęk wątroby i bóle brzucha. Z niedrożnością dróg żółciowych nie ma żartów. Czy jest leczony?

Napotkał posępne, w najwyższym stopniu czujne spojrzenie blondynki.

– Przeszedł operację metodą Kasai – odparła. – Jest pod opieką doktora Barrota.

Młody internista skinął głową. Znał Barrota. To kompetentny lekarz. Metoda Kasai polega na chirurgicznym umożliwieniu odpływu żółci do jelita poprzez połączenie wnęki wątroby z dwunastnicą za pomocą dalszej części jelita cienkiego. Zabieg jest skuteczny w jednej trzeciej przypadków. Ale nawet jeśli się uda, marskość wątroby może stopniowo postępować. Ta cała atrezja dróg żółciowych to cholerne paskudztwo, pomyślał młody internista, patrząc na chłopca.

– Wygląda na to, że operacja się nie powiodła – powiedział, marszcząc brwi. – Może trzeba by się przymierzyć do przeszczepu. Nie wiedzą państwo, czy są takie plany? Co doktor Barrot sądzi na ten temat?

Przyglądali mu się, jakby mówił po chińsku. Ciekawa para, pomyślał.

– Następnym razem proszę zapomnieć o lekach usypiających.

Nawet jeśli będzie bardzo pobudzony – powiedział z naciskiem, nie doczekawszy się odpowiedzi na swoje pytanie.

Spojrzał najpierw na jedno, potem na drugie. Miał ochotę odrobinę nimi potrząsnąć. Kobieta skinęła głową. Była od niego wyższa. Skórzane spodnie i obcisły sweter podkreślały jej kształty. Zastanawiał się, co czuje bardziej, gdy na nią patrzy: pociąg fizyczny czy odrazę. Nigdy nie doświadczał tak ambiwalentnych emocji w obecności płci przeciwnej.

Stał w bramie kamienicy i obserwował znajdujące się sto metrów dalej wejście do szpitala oraz duży plac. Zapadł już zmierzch. Latarnie przed budynkiem rzucały jasne kręgi światła na ceglana fasadę. W ich poświacie tańczyły zabłąkane płatki śniegu. Nerwowo zaciągnął się papierosem, wciąż z najwyższą czujnością śledząc okolicę zza okularów.

Wokół panowała głęboka cisza, ciemności i bezruch. Gdzie znikają mieszkańcy Saint-Martin-de-Comminges, gdy zapada zmrok? Rozejrzał się dookoła. Ruszył przed siebie. Choć gotował się z niecierpliwości, przeciął plac spokojnym krokiem. Pchnął drzwi recepcji.

– Chłopiec, pięć lat, przyjęty na oddział ratunkowy dziś po południu – powiedział, gdy pielęgniarka za ladą raczyła zwrócić na niego uwagę. – Gustav Servaz. Jestem jego ojcem.

Kobieta spojrzała na monitor komputera.

– Świetnie – odparła, wskazując na przeszklone drzwi na lewo od lady. – Pójdzie pan tędy, potem korytarzem do końca i na prawo. Zobaczy pan tablicę. Proszę tam zapytać. Odwiedziny kończą się za piętnaście minut.

Przyglądał jej się odrobinę za długo. Przez ułamek sekundy wyobrażał sobie, jak pochyla się nad ladą, chwytając kobietę za włosy, sięga do kieszeni po kater i podrzyna jej gardło.

– Dziękuję – odpowiedział Julian Hirtmann.

Odszedł i zastosował się do jej wskazówek. Na końcu drugiego korytarza zobaczył kolejną ladę. Ponowił prośbę.

– Proszę za mną – powiedziała pielęgniarka o zmęczonej twarzy i włosach pozbawionych blasku.

W głębi zobaczył Labarthe'ów. Roland wybiegł mu na spotkanie, a Aurore ostrożnie przyglądała mu się z dystansu. Uściskał tego kretyna profesorka jak papież udzielający błogosławieństwa, ale patrzył w oczy kobiety. Na chwilę w jego głowie pojawiło się wspomnienie, jak brał ją na strychu, przywiązaną za nadgarstki do przytwierdzonych u sufitu pierścieni, zupełnie nagą i zdaną na jego łaskę, podczas gdy jej mąż w salonie na dole cierpliwie czekał, aż skończą.

– Gdzie on jest?

Labarthe wskazał na drzwi.

– Śpi. Dali mu coś na uspokojenie i środek przeciwwymiotny.

Nie wspomniał o węglu, ale miał świadomość, że Mistrz prędzej czy później dowie się, co się wydarzyło.

– Co się stało? – zapytał tamten, jakby rezonując z jego myślami.

Labarthe napisał mu, że sprawy się skomplikowały i musi przyjechać do szpitala.

– Jego stan nagle się pogorszył – włączyła się Aurore, podchodząc do nich. – Był bardzo pobudzony, więc podałam mu delikatny lek usypiający.

– Co zrobiłaś...? – głos Hirtmanna nagle stał się ostry.

– Lekarz powiedział, że to nie wpłynęło na stan małego – skłamała. – A Gustav czuje się dobrze.

Ogarnęła go ochota, by chwycić ją za szyję, przygnieść do ściany i dusić tak długo, aż jej twarz zrobi się fioletowa.

– Porozmawiamy o tym później. Wracajcie do domu. Ja tutaj zostanę – powiedział niebezpiecznie spokojnym tonem.

– My też możemy zostać, jeśli pan chce – zaproponował Labarthe.

– Jedźcie do siebie. I podrzućcie to do hotelu.

Labarthe przelotnie spojrział na kopertę. Była zaadresowana na Martina Servaza. Oczywiście dobrze znał to nazwisko. Twarz faceta, który poprzedniego wieczoru przyszedł do willi, wydała mu

się zresztą dziwnie znajoma, tak że w jego głowie zaczęły się kłębić domysły. Na Boga, co się dzieje? Płonął z ciekawości.

Hirtmann popatrzył za nimi. A potem wszedł do pokoju. Gustav spał spokojnie. Przez dłuższą chwilę stał w nogach łóżka, a następnie usiadł na jedynym dostępnym krześle.

Servaz zajął stanowisko przy oknie. Ze wszystkich sił wyteżał wzrok i słuch. Wpatrywał się w pustą, ciemną willę, w głuchą noc. Czuł mrowienie w żołądku. Gdzie oni są? Na co choruje Gustav? Od ich wyjazdu minęło już kilka godzin. Zaczynał żałować, że nie pojechał za nimi. W dodatku Kirsten dwukrotnie zwróciła mu uwagę, że być może podjęli złą decyzję. Ona także siedziała jak na szpilkach. Teraz zmęczona stresem i nudnościami poprzedniej nocy padła na łóżko i cicho pochrapywała.

Nagle usłyszał zbliżający się warkot silnika. Przykleił nos do szyby i zobaczył, że samochód Labarthe'ów wraca. Volvo zwolniło i zatrzymało się przed hotelem. Widział tylko dach, nie był w stanie dojrzeć, kto jest w środku. Labarthe wysiadł i ruszył do hotelu. Po kilku chwilach wyszedł i samochód odjechał w stronę willi. Kiedy drzwi wozu się otworzyły, serce podskoczyło Servazowi do gardła. Labarthe i jego żona przyjechali sami. Gustava nie było. Gdzie on się podział? Co z nim zrobili?

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Nie komórka, ale duży, przedpotopowy aparat stojący na konsolce pełniący honory biurka. Servaz odebrał, zanim Kirsten zdążyła się obudzić.

– Ktoś zostawił dla pana kopertę – powiedział właściciel hotelu.

Labarthe... Co się dzieje? Znowu miał wrażenie, że ktoś pociąga za niewidzialne sznurki. Po raz kolejny byli o jeden krok do tyłu.

– Już idę.

Minutę później wpadł do recepcji. Czekająca na niego szara koperta. Odręcznie podpisana:

*MARTIN SERVAZ*



– Tamten świr ją zostawił – wyjaśnił właściciel.

Lekko drżącą ręką Servaz rozerwał kopertę i wyjął złożoną na czworo kartkę. Nagle poczuł, jakby hol zaczął wirować, a wraz z nim wszystkie planety, gwiazdy, cała przestrzeń i pustka... Jakby w ułamku sekundy runęły posady świata i zniknęły wszelkie punkty odniesienia. Na kartce było tylko kilka zdań:

*Gustav jest w szpitalu w Saint-Martin. Czekam na Ciebie. Przyjedź sam. Nie będzie Kindertotenlieder, jeśli połączymy siły.*

J.

Zostawił Kirsten śpiącą w hotelu. Krew pulsowała mu w skroniach. Jakby dostał wlew z adrenaliny. Jechał szybko. Pokonując serpentyny, porządnie się przestraszył, kiedy samochód stracił przyczepność na oblodzonej jezdni, otarł się o zaspę na poboczu i niebezpiecznie zbliżył się do przepaści.

Wciąż miał przed oczami zdanie: „Nie będzie *Kindertotenlieder*, jeśli połączymy siły”. *Pieśni na śmierć dzieci*. Gustav Mahler. „J”. Znał tylko jednego człowieka, który mógł coś takiego napisać. I ten człowiek informuje go, że Gustav jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. I że we dwóch mogą go uratować. Przyszło mu do głowy, że to może być pułapka, ale przegnał to podejrzenie. Jaki miałyby być jej cel? Szwajcar całymi miesiącami go fotografował, mógł na niego zastawiać tyle pułapek, ile mu się żywnie podobało. Poza tym istniało wiele miejsc lepiej się do tego nadających niż szpital.

Wjeżdżając do Saint-Martin, zdjął nogę z gazu. Zobaczył tablicę z literą „H” i przejechał przez rondo na wprost. Po sześciu minutach zaparkował na miejscu przeznaczonym dla personelu i wpadł do szpitalnego holu.

– Odwiedziny się skończyły – rzuciła w jego stronę osoba siedząca za ladą, nie podnosząc nosa znad smartfona.

Pochylił się nad blatem, wyciągnął rękę i wetknął legitymację policyjną między jej nos a wyświetlacz.

– Nie musi pan być niemiły – powiedziała. – Czego pan chce?

– Po południu na oddział ratunkowy został przyjęty pięcioletni chłopiec.

Zmrużyła oczy, przyglądając mu się nieufnie, a następnie zajrzała do kartoteki.

– Gustav Servaz – potwierdziła.

Gdy po raz drugi usłyszał to imię w połączeniu z własnym nazwiskiem, znowu poczuł się tak, jakby otrzymał cios prosto w żołądek. Teraz, gdy jego obawy i nadzieje zaczynały oblekać się w ciało, zastanawiał się, czego bardziej by sobie życzył: żeby Gustav okazał się jego synem czy wręcz przeciwnie. Jednocześnie budziła się w nim inna, bardziej rozproszona i bardziej niebezpieczna nadzieja. Od wielu lat wygasła, jednak w ukryciu czekała na tę chwilę, aby się obudzić: Marianne. Czy wreszcie dowie się, co się z nią stało? Jego umysł na próżno usiłował odsunąć to pytanie, zepchnąć je w jakiś ciemny kąt, z dala od światła.

– Proszę iść tym korytarzem, a potem następnym na prawo.

– Dziękuję.

Kobieta zdążyła już na powrót utkwic wzrok w wyświetlaczu. Wciąż poruszony skojarzeniem imienia chłopca ze swoim nazwiskiem pchnął drzwi. Ruszył korytarzem. Jego kroki rozbrzmiewały na lakierowanej posadzce. Panowała tu absolutna cisza. Kolejne drzwi. Następny korytarz. W głębi podświetlona tablica: SZPITALNY ODDZIAŁ RATUNKOWY. W niewielkim zagraconym gabinecie o ścianach obwieszonych harmonogramami, których kolumny wypełniały kolorowe karteczki, siedziała tylko jedna osoba. Znowu wyjął kartę.

– Gustav – powiedział, nie mając odwagi, by dodać własne nazwisko. – Chłopiec, który trafił tu dziś po południu.

Patrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Wreszcie skinęła głową, wstała, wyszła z ciasnego pomieszczenia i wskazała na drzwi.

– Trzecie po prawej.

Gdzieś rozległ się ostry sygnał i kobieta oddaliła się w tamtym kierunku. Servaz ruszył przed siebie. Nogi miał miękkie jak bałwan w trakcie odwilży. Nie opuszczało go poczucie odrealnienia. Od wskazanych drzwi dzieliły go mniej niż cztery metry. Minął dwoje

noszy stojących pod ścianą i pełen przycisków aparat na kółkach. Zdusił w sobie głos, który szeptał mu, by zawrócił i uciekał. Puls tłukł mu się w skroniach, w głowie czuł powiew paniki.

Trzy metry.

Dwa...

Metr...

Odgłosy wentylacji, drzwi otwarte na oścież. W pokoju jakaś postać siedząca na krześle, plecami do niego. Męski głos:

– Wejź, Martin. Czekałem na ciebie. Witaj. Kopę lat. Zajęło ci to sporo czasu. Nasze drogi przecinały się tysiąc razy, a ty tysiąc razy mnie nie zauważyłeś. Ale wreszcie jesteś. Wejź, nie wstydz się! Podejź bliżej... chodź, zobacz swojego syna.

– Wejdz, Martin. – Ten sam głos aktora, trybuna. Głęboki, ciepły. Ten sam uprzejmy ton. Prawie już go zapomniał. – Wejdz.

Ruszył przed siebie. Po lewej szpitalne łóżko, na nim śpiący Gustav, z beztroską, spokojną miną, ale z zaczerwienionymi policzkami; ciepło panujące w pokoju, w głębi okno, blask latarni przesączający się poziomymi pasami między listwami żaluzji. Żadnych innych źródeł światła. Ledwie widział postać siedzącą plecami do niego.

– Nie aresztujesz mnie, prawda? Przynajmniej zanim porozmawiamy.

Nic nie odpowiedział. Zrobił jeszcze krok. Miał Hirtmanna po lewej. Servaz przyjrzał się jego profilowi. Szwajcar nosił okulary, zapuścił grzywkę, która opadała mu na czoło, jego nos zmienił kształt. Nie rozpoznałby go na ulicy. Kiedy jednak mężczyzna odwrócił głowę i uniósł podbródek, by na niego spojrzeć zza okularów korekcyjnych, Servaz rozpoznał jego uśmiech i lekko kobiecy kształt ust.

– Witaj, Martin. Cieszę się, że cię widzę.

Znowu nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy Szwajcar słyszy, jak wali mu serce.

– Odesłałem Labarthe'ów. To dobre żołnierzyki, ale straszni z nich idioci. Ten gość to prawdziwy dupek. Jego książka jest beznadziejna, wiesz? Czytałeś? Kobieta jest o wiele groźniejsza. Wiesz, że próbowali naćpać Gustava? – Nagle jego głos stał się jak strużka lodowatej wody. – Myślą, że dostaną tylko burę i się z tego wywiną. Ale ty wiesz, że tak nie będzie...

Servaz milczał.

– Jeszcze nie zdecydowałem, jak to załatwię. Zobaczymy. Stawiam na spontaniczność.

Policjant nadstawił uszu. Próbował usłyszeć jakieś inne dźwięki poza jego głosem. Dookoła jednak panowała zupełna cisza.

– Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę? – zapytał nagle Szwajcar.

Jeszcze jak pamiętał! W ciągu tych ośmiu lat nie było właściwie dnia, by w ten czy inny sposób nie myślał o tamtej chwili. Czasem trwało to kilka sekund, czasem dłużej.

– Przypominasz sobie pierwsze słowo, jakie wypowiedziałeś?

Przypominał sobie. Pozwolił jednak, by Hirtmann je powtórzył.

– Mahler <sup>1</sup>. – Szwajcar podniósł ku niemu rozpromienioną twarz.

– Powiedziałeś „Mahler”. I wtedy natychmiast uświadomiłem sobie, że coś się dzieje. Pamiętasz, jaki to był utwór?

O tak, pamiętał.

– *Czwarta Symfonia*, pierwsza część – odpowiedział Servaz głosem tak ochryłym, jakby od kilku dni w ogóle go nie używał.

Hirtmann z satysfakcją skinął głową.

– *Bedächtig... Nicht eilen... Recht gemächlich...* – Uniósł dłonie i poruszał nimi, jakby słyszał muzykę.

– Miarowo, bez pośpiechu, bardzo spokojnie – przetłumaczył Servaz.

– Muszę przyznać, że tamtego dnia zrobiłeś na mnie spore wrażenie. Tak. A mnie niełatwo zaskoczyć.

– Jesteśmy tutaj, żeby wspominać stare dobre czasy?

Szwajcar zachichotał dobrotliwie. Prawie zakasłał. Potem odwrócił się w stronę łóżka.

– Mów ciszej. Obudzisz go.

Servaz poczuł skurcz żołądka.

– Kim jest ten chłopiec? – zapytał.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Nie domyślasz się?

Policjant przełknął ślinę.

– Opowiadałem ci, jak w mojej dawnej pracy raz zobaczyłem

zwłoki dziecka? – ciągnął Szwajcar. – Byłem wtedy młody, zaczynałem robotę w genewskim sądzie. Policja zadzwoniła do mnie w środku nocy. Gość po drugiej stronie wydawał się wstrząśnięty. Przyjechałem pod wskazany adres. Przygnębiające miejsce. Nędzny barak zamieszkały przez ćpunów. Kiedy wszedłem do środka, od razu poczułem fetor. Cuchnęło wymiocinami, kocimi siuškami, jedzeniem, gównem, papierosami, brudem, ale także paloną folią aluminiową. W przedpokoju i w kuchni widziałem karaluchy. Mieszkanie było zarobaczone. Wszedłem do salonu. Wszyscy byli naćpani, rozwaleni na sofach, matka leżała na kolanach dwóch typków i kiwała jej się głowa, jeden z tych gości wyzywał policję, na stoliku wałały się jeszcze opaski zaciskowe i strzykawki. Zdążyli sobie wstrzyknąć całe gówno, jakie mieli pod ręką. Dziewczynka była w swoim pokoju, na końcu korytarza, leżała na łóżku. Ocenilem ją na cztery, pięć lat. W rzeczywistości, jak się później dowiedziałem, miała siedem... Ale lata przemocy i niedożywienia sprawiły, że wyglądała na znacznie drobniejszą i młodszą. – Zerknął w stronę łóżka. – Medyk sądowy, facet tuż przed emeryturą, który już niejedno widział, był bardzo blady. Badał ją bardzo delikatnie, być może chciał jej wynagrodzić okrucieństwo, z jakim została pobita. Pogotowie było jeszcze na miejscu, przed budynkiem. Jeden z ratowników wymiotował na trawę. Zrobili wszystko, żeby przywrócić ją do życia, masaż serca, defibrylator. Któryś z nich chciał wejść do środka i pobić rodziców, gliny musiały go powstrzymać. Pokój dziewczynki był pełen śmieci, jak reszta mieszkania: butelki, puszki, pleśniejące jedzenie w kartonach, wszędzie plamy, nawet na łóżku. – Hirtmann na chwilę zamilkł, pograżając się we własnych myślach. – Sprawca śmiertelnego pobicia w końcu został złapany. Nie był nim żaden spośród tej trójki wykolejeńców, ale ojciec, który pojawił się na miejscu, też naćpany, i zastał matkę śpiącą z tamtymi dwoma. I postanowił zemścić się na dziecku. Dwa miesiące później zabiłem matkę. A przedtem ją torturowałem. Nie zgwałciłem jej. Za bardzo się brzydziłem.

– Dlaczego mi o tym wszystkim opowiadasz?

Szwajcar jakby nie usłyszał.

– Masz córkę, Martin. I od dawna wiesz...

Servaz poczuł, jak całe jego ciało sztywnieje. Ani słowa o Margot, draniu.

– Co wiem? – zapytał lodowatym głosem.

– Że kiedy człowiek ma dziecko, jego myślenie się zmienia. Kiedy ma się dziecko, świat znowu staje się groźny, prawda? Człowiek, który ma dziecko, na nowo uświadamia sobie, że jest delikatny, dziecko sprawia, że staje się kruchy. Popatrz na niego, Martin. Co się stanie, jeśli zniknę? Jeżeli umrę? Albo pójdę do więzienia? Co z nim będzie? Kto się nim zaopiekuje? W jakiej rodzinie wyląduje, stabilnej czy patologicznej?

– To twój syn? – zapytał Servaz ze ściśniętym gardłem.

Hirtmann odwrócił wzrok od dziecka i spojrzał na niego zza okularów, mrużąc oczy.

– Tak, to mój syn. Wychowałem go, widziałem, jak rośnie. Nie wyobrażasz sobie, jaki wspaniały z niego dzieciak. – Zamilkł na chwilę. – Gustav to mój syn, ale także twój. Wychowałem go jak własne dziecko, bo nim jest, ale jego komórki zawierają twój kod genetyczny. Nie mój.

Martin przestał słuchać. Słyszał tylko dudnienie, jakby cierpiał na szumy uszne. Miał wrażenie, jakby jego gardło było wyściełane papierem ściernym.

– Możesz to udowodnić? – zapytał nagle.

Hirtmann wyjął przezroczystą torebkę. W środku znajdował się kosmyk jasnych włosów. Identyfikacyjnych jak włos, który Servaz miał w kieszeni.

– Spodziewałem się tego pytania. Masz, wykonaj test. Ale już to za ciebie zrobiłem: chciałem wiedzieć, czy jest twój czy mój... – Hirtmann przez chwilę nic nie mówił. – Gustav. Twój syn. Potrzebuje cię.

– Ach, więc to dlatego...

– Co i dlaczego?



– Dlatego tak łatwo na niego trafiliśmy... Rzeczywiście, zrobiłeś wszystko, żebyśmy go znaleźli.

– Sprytny jesteś, Martin. Bardzo sprytny.

– Ale nie tak jak ty, prawda?

– To prawda, ja również jestem dość sprytny. Znasz mnie wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że zazwyczaj nie popełniam aż tylu błędów. To musiało wzbudzić twoje podejrzenia.

– Wzbudziło. Ale choć podejrzewałem, że to ty pociągasz za sznurki, że stoisz za tym wszystkim, pomyślałem, że widocznie masz swoje powody i że lalkarz w końcu wystawi czubek nosa. Miałem rację, prawda?

– Brawo. I dlatego tutaj jesteście.

– Problem polega na tym, że wszystkie wyjścia z tego szpitala są obstawione przez policję. Nie dasz rady uciec.

– Nie, nie sądzę. Aresztujesz mnie? Tutaj, w pokoju twojego chorego syna? To by było, ogłędnie mówiąc, niesmaczne.

Servaz spojrział na łóżko, na którym leżał Gustav. Jasne, spoczone włosy chłopca wciąż były przyklejone do czoła, jego wargi były rozchylone, a szczupła klatka piersiowa unosiła się pod ocieplaną piżamą. Jasne rzęsy na zamkniętych powiekach przypominały włosie pędzelka.

Hirtmann wyprostował się na całą wysokość swojego metra i osiemdziesięciu ośmiu centymetrów. Servaz zauważył, że Szwajcar przytył parę kilogramów. Miał na sobie niemodny zakardowy sweter i nieforemne sztruksy. Ale wciąż emanowała z niego jakaś magnetyczna, groźna siła.

– Jesteś zmęczony. Martin. Proponuję ci, żebyś...

– Co mu jest? – przerwał mu Servaz zmienionym głosem.

– Niedrożność przewodów żółciowych.

Servaz nigdy nie słyszał o takiej chorobie.

– To poważne?

– Śmiertelne, jeśli nie będzie się tego leczyć.

– Mów – zażądał.

– To trochę potrwa.

– Mam to gdzieś. Nie śpieszy mi się.

– Niedrożność dróg żółciowych to choroba, która dotyka jedno na dwadzieścia tysięcy dzieci. To cholerne dziadostwo zaczyna się jeszcze przed narodzeniem, gdy dziecko jest w brzuchu matki. Z grubsza rzecz ujmując, kanały, które pozwalają na odprowadzanie żółci z wątroby zwężają się i zatykają, zatrzymanie żółci w wątrobie powoduje nieodwracalne zmiany, które, jeśli nic się nie zrobi, są śmiertelne. Jak wszyscy słyszałeś o marskości wątroby u alkoholików. Tutaj też się to dzieje: obecność żółci w wątrobie powoduje zwłóknienie, a następnie wtórną marskość żółciową. I właśnie na to umiera dziecko: na starą dobrą marskość wątroby. – Hirtmann zrobił przerwę i zerknął na Gustava. Po chwili wrócił do swojego wywodu: – Przyczyna niedrożności dróg żółciowych do dziś pozostaje nieznana. Dzieci dotknięte tą chorobą wciąż mają problemy zdrowotne. Są niższe niż średnia, często łapią choroby. Cierpią na bóle i wzdęcia żołądka, żółtaczkę, mają zaburzenia snu i krwawienia żołądkowo-jelitowe. Cóż, tak jak powiedziałem: cholerne dziadostwo. – W jego głosie nie było słyhać żadnego szczególnego poruszenia, po prostu brutalnie przytaczał fakty. – Pierwszy zabieg polega na przywróceniu odpływu żółci. Nazywa się go metodą Kasai, od nazwiska chirurga, który ją opracował. Chodzi o usunięcie niedrożnego przewodu i zastąpienie nowym, wykonanym z fragmentu jelita czczego. Chirurgia jest jak hydraulika. Gustav przeszedł tę operację. W jednym na trzy przypadki kończy się ona sukcesem. Ale wygląda na to, że u niego się nie udało. – Znowu przerwał. – W wyniku niedrożności rozwija się niewydolność wątroby i jeśli objawy się zaostrzą, dziecku grozi śmierć.

Servaz miał wrażenie, że cisza panująca w szpitalu wywołuje jakieś dziwne wibracje. Ale może wibrowało mu w uszach?

– Istnieje jakieś inne leczenie?

Hirtmann spojrzał mu głęboko w oczy.

– Tak. Przeszczep.

Servaz czekał na dalszy ciąg. Serce podeszło mu do gardła.

– Niedrożność dróg żółciowych jest pierwszą przyczyną transplantacji wątroby u dzieci – wyjaśnił Szwajcar. – Głównym utrudnieniem, z jakim zmagają się transplantolodzy, jest, jak się domyślasz, brak martwych dawców w tej grupie wiekowej.

Korytarzem przeszła kobieta ubrana w pielęgniarską bluzę. Servaz miał wrażenie, że gumowe podeszwy jej butów stukające o podłogę wtórują głuchym uderzeniom jego serca.

– A w przypadku Gustava oznaczałoby to całe mnóstwo formalności; trzeba by przestać ukrywać jego tożsamość i z pewnością pogodzić się z faktem, że trafi do rodziny zastępczej, to znaczy, kurwa, do obcych ludzi. Których nie wybrałem i których nie będę mógł kontrolować.

Servaz powstrzymał się od uwagi, że osobiście bynajmniej nie uważa wyboru Labarthe'ów za najlepszy.

– Istnieje jednak inna możliwość, tak naprawdę jedyna dla Gustava: przeszczep od żyjącego zgodnego dawcy. Od zdrowego człowieka pobiera się około sześćdziesięciu, siedemdziesięciu procent wątroby: to nie problem, wątroba odrasta. I przeszczepia się ją dziecku. Ale dawcą nie może być byle kto. To musi być bliski krewny: brat, matka, ojciec...

A więc o to chodziło... Servaz powstrzymał chęć, by chwycić Szwajcara za szyję. A Marianne? – pomyślał nagle. Powiedział: „matka, ojciec...”. Dlaczego nie Marianne?

– A dlaczego nie matka? Czemu nie Marianne?

Hirtmann spojrzał na niego z poważną miną, jakby szukał w głowie dobrej odpowiedzi.

– Powiedzmy, że jej wątroba się nie nadaje.

Servaz głęboko wciągnął powietrze.

– Nie żyje, tak?

Spojrzenie Szwajcara było pełne udawanego współczucia i policjant znowu miał ochotę złapać go za gardło.

– A jeżeli odmówię? – zapytał. – Co się wtedy stanie?

– Cóż, Martin. Wtedy twój syn umrze.

– Dlaczego? – powiedział nagle.

– Słucham?

– Dlaczego go nie zabiłeś? Dlaczego wychowałeś go jak własnego syna?

Przez cały czas stali obok siebie przy łóżku. Wpatrywali się w chłopca, który przez sen poruszał wargami, jakby coś mówił.

– Nie zabijam dzieci – odparł zimno Szwajcar. – A los umieścił tego chłopca w moich rękach. Mówiłem ci, że kiedy się dowiedziałem, że Marianne jest w ciąży, wpadłem we wściekłość? Głodziłem ją całymi tygodniami, żeby poroniła. Nie chciałem zabijać tego dziecka, chciałem, żeby umarło naturalną śmiercią. Ale ten mały diabeł uczeplił się życia. Tyle że Marianne była w opłakanym stanie po tych wszystkich narkotykach, jakimi ją faszzerowałem. Musiałem zrobić jej detoks, karmić ją, podłączyć ją do kroplówki z witaminami.

– W Polsce? – zapytał Servaz.

Hirtmann spojrzał na niego.

– Marianne nigdy nie była w Polsce. Chciałem się tylko trochę nad tobą poznać. Pobrałem jej DNA i umieściłem obok innego, to wszystko.

– W jaki sposób zginęła?

– Kiedy chłopiec się urodził, gdy zrobiłem badania na ojcostwo i odkryłem, że nie jest mój – ciągnął Szwajcar, nie udzielając odpowiedzi na jego pytanie – zrozumiałem, że to na pewno twój syn. Wtedy przyjechałem do Tuluzy i po kryjomu pobrałem trochę twojego DNA. To nie było trudne. Podobnie jak wypożyczenie twojej broni. W obu sytuacjach wystarczyło wejść do twojego samochodu.

Servaz wstrzymał oddech. Próbował pomyśleć.

– Bo Jensen zginął od strzału z twojej broni – potwierdził Szwajcar. – To ja pociągnąłem za spust. Pożyczyłem twój pistolet tamtej nocy, kiedy gonieś mnie po ogrodzie przy termach. Zastąpiłem go innym, identycznym, a kilka dni później odłożyłem go na miejsce.

Servaz przypomniał sobie zapach, jaki poczuł w samochodzie, gdy wyszedł od psychiatry, o swoim pistolecie w rękach Rimbauda, o strzałach porównawczych, które wkrótce miały zostać wykonane. Popatrzył na leżącego w łóżku chłopca.

– Przy tej okazji sprawdziłem też zgodność waszych grup krwi – dodał Szwajcar.

Policjant słuchał tych słów, nie mogąc się pozbyć poczucia odrealnienia. Miał wrażenie, że to sen i że wkrótce się obudzi.

– Załóżmy... Załóżmy, że to zrobię. Jaką mogę mieć pewność, że po operacji mnie nie zlikwidujesz?

Słaby blask jarzeniówki nad łóżkiem odbijał się w szklach Szwajcara jak światło księżycy w powierzchni stawu.

– Nie możesz mieć takiej pewności. Ale po operacji Gustav będzie ci zawdzięczał życie. Życie za życie. Powiedzmy, że będzie to mój sposób na spłacenie długu. Oczywiście nie musisz mi wierzyć. Być może zmienię zdanie i zlikwiduję was obu. To by uprościło moją sytuację.

– Mam jeden warunek – powiedział Servaz po chwili milczenia.

– Nie sądzę, by twoje położenie dopuszczało możliwość negocjacji, Martin.

– Do diabła, jak mogłeś powierzyć go tym świtom Labarthe'om!  
– zawołał nagle z wściekłością.

Hirtmann drgnął, ale nie skomentował tego wybuchu.

– A co proponujesz? – zapytał zaskoczony.

– Ostatecznie to mój syn.

– No i? – Hirtmann patrzył na niego z osłupieniem.

– To ja powinienem go wychować.

– Słucham?

– Dobrze usłyszałeś. W jaki sposób ty miałbyś to zrobić? Gdzie odbędzie się operacja?

Zauważył, że Szwajcar się zastanawia.

– Za granicą. Tutaj to zbyt ryzykowne. I dla niego, i dla mnie.

Teraz Servaz wyglądał na zaskoczonego.

– Za granicą to znaczy gdzie?

– Zobaczysz.

– A w jaki sposób zamierzasz wywieźć go z kraju?

– Więc zrobisz to? – zapytał Szwajcar, zamiast odpowiedzieć policjantowi.

Servaz nie odrywał oczu od chłopca. Zżerał go niepokój. To uczucie przypomniało mu, jak bardzo bał się o Margot, gdy była w wieku Gustava.

– W sumie nie mam wyboru, prawda?

1. Zob. *Bielszy odcień śmierci*, op. cit. ↩

– Sądzisz, że Ktoś zesłał nam to dziecko, Martin? Wierzysz w Boga? Wydaje mi się, że już kiedyś zadałem ci to pytanie. To byłby kompletnie pomyłony Bóg, gdyby istniał, nie?

Wyszli odetchnąć nocnym powietrzem i patrzyli na sypiące się z nieba płatki śniegu. Hirtmann zaciągnął się papierosem.

– Martin, a słyszałeś o Marcjonie? Marcjon był chrześcijaninem, który żył tysiąc osiemset lat temu w Rzymie. Rozglądając się wokół siebie, patrząc na świat wstrząsany cierpieniem, masakrami, chorobami, wojnami i przemocą, heretyk Marcjon doszedł do wniosku, że Bóg, który to wszystko stworzył, nie może być dobry, że zło stanowi część składową stworzenia. Reżyserzy chrześcijaństwa znaleźli dość mętne wytłumaczenie, by odbić się od problemu zła: wymyślili Lucyfera. Ale wersja Marcjona była o wiele lepsza: Bóg jest odpowiedzialny za zło tak samo jak za całą resztę, jest więc odpowiedzialny także za chorobę Gustava. Zło nie tylko stanowi część stworzenia, ale jest jedną z jego dźwigni. To dzięki przemocy i konfliktom stworzenie ewoluuje do coraz wyżej zorganizowanych form. Popatrz na Rzym. Według Plutarcha Juliusz Cezar podbił ponad osiemset miast, poddał sobie trzysta narodów, wziął milion jeńców i zabił milion wrogów. Rzymianie byli zepsutym narodem, z pewnym upodobaniem do okrucieństwa. A jednak rozwój potęgi Rzymu przyczynił się do rozwoju świata, cesarstwo zjednoczyło narody, pozwoliło na przepływ idei, stworzyło nowy kształt społeczeństw.

– Męczę mnie te twoje dywagacje – powiedział Servaz, sięgając po własną paczkę papierosów.

– Marzymy o pokoju, ale pokój jest ułudą – ciągnął Szwajcar, nie zwracając uwagi na jego słowa. – Na każdym poziomie rządzą rywalizacja, współzawodnictwo i walka. William James, ojciec amerykańskiej psychologii, stwierdził, że dzięki współczesnej cywilizacji rzesze ludzi w całym okresie od narodzin aż do śmierci nigdy nie doświadczają prawdziwego strachu. W efekcie wiele z tych osób nie rozumie natury przemocy, nienawiści i zła, które jednak są wokół nich. Jakie to cudowne uczucie być wilkiem pośród stada owieczek, prawda?

– Co zrobiłeś z Marianne? W jaki sposób zginęła?

Tym razem Szwajcar spojrział na niego poirytowany, jakby fakt, iż Servaz przerwał mu już dwukrotnie, uznał za przejaw złego wychowania.

– Mówiłem ci, że kiedy byłem w wieku Gustava, uderzyłem młotkiem wujka? Siedział w salonie z moją mamą. Wpadł pod jakimś pretekstem pod nieobecność ojca i rozmawiali sobie. Do dziś nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak postąpiłem. Zresztą zapomniałem o tym fakcie, dopiero matka przypomniała mi o tym wiele lat później, na łożu śmierci. Nie wiem... pewnie chodziło po prostu o to, że młotek akurat był pod ręką. Chwyciłem go, podszedłem od tyłu i bach! Uderzyłem solidnie. Według mojej matki krew tryskała jak z sikawki.

Servaz wyjął zapalniczkę i podpalił swojego papierosa.

– Jedna z ostatnich rzeczy, jakie powiedziała mi matka, zanim rak ostatecznie dokonał swojego dzieła, brzmiała: „Zawsze byłeś zły”. Miałem szesnaście lat. Odparłem z uśmiechem: „Zły jak rak, mamó”.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, Szwajcar wyrwał papierosa z ust Servaza i cisnął nim w śnieg leżący cienką warstwą na chodniku. Zdeptał niedopałek obcasem.

– Co ty...

– Nigdy nie słyszałeś, że dawca nie może palić? Już trochę późno, ale od dziś koniec z fajkami – zadekretował Hirtmann i zawrócił do drzwi. – Bierzesz jakieś leki na serce?



Servaz chciał się odgryźć, ale pomyślał o Gustavie. Czy to się dzieje naprawdę? Czy ja rzeczywiście rozmawiam z Hirtmannem o zażywanych lekach?

– Nie całkiem na serce – odpowiedział. – To nie jest tak, jakbym przeszedł operację wstawienia bajpasów albo przeszczep. Nie biorę antykoagulantów ani leków immunosupresyjnych. A środki przeciwbólowe i przeciwzapalne już odstawiłem. Nie sądzę, żeby zdążyły mi uszkodzić wątrobę, jeśli o to się martwisz. Gdzie ona jest? Co zrobiłeś z Marianne? – warknął, ruszając w ślad za Szwajcarem.

Drzwi zamknęły się za nimi. Boczne wejście. Servaz rozejrzał się dookoła. Byli sami.

– Gdzie ona jest? – zapytał, chwycił Hirtmanna za kołnierz i przycisnął do ściany.

Szwajcar nie stawiał oporu.

– Marianne – powtórzył Servaz, wykrzywiając twarz w grymasie wściekłości.

– Chcesz uratować syna czy nie? Zostaw mnie. Dowiesz się w stosownym czasie, nie martw się.

Ścisnął mocniej. Miał ochotę go uderzyć, pobić, zrobić mu krzywdę.

– Jeśli nic nie zrobimy, twój syn umrze. Nie możemy dłużej czekać. Ostatnia rzecz, gdyby przyszło ci do głowy, że Gustav równie dobrze może być operowany tutaj... Pomyśl o Margot. Przedwczoraj w nocy widziałem ją w bieliźnie. Obląłem kawą garnitur jej ochroniarza, a ona otworzyła drzwi. Ależ z niej śliczna dziewczyna!

Tym razem uderzył. Nos Szwajcara eksplodował. Hirtmann ryknął jak dzikie zwierzę i Servaz go puścił. Szwajcar pochylił się do przodu, wyjął chusteczkę i przytknął ją sobie do nozdrzy, z których ciekła krew.

– Mógłbym cię za to zabić – warknął. – Dobrze wiesz, że nie da się ustrzec twojej córki przed kimś takim jak ja – ciągnął mimo bólu. – À propos Margot, nie uważasz, że wygląda na zmęczoną?

Widziałeś te cienie pod jej oczami?

– Ty gnido!

Był gotów wymierzyć kolejny cios. Serce niebezpiecznie tłukło się w jego piersi. Wtedy na ścianie obok przesuwanych drzwi zauważył napis:

*Wszelka przemoc fizyczna i / bądź werbalna  
w stosunku do personelu szpitala  
będzie przedmiotem postępowania sądowego.  
Art. 222-7 i 433-3 Kodeksu karnego*

Przecież Hirtmann nie należy do personelu szpitala, pomyślał. W okamgnieniu wyciągnął kajdanki.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Szwajcar. Jego oczy lśniły.

Nie udzieliwszy mu odpowiedzi, zatrzasnął jedną z obręczy na nadgarstku mężczyzny i zwinnie go odwrócił.

– Daj spokój. To idiotyczne.

Uczyniwszy to samo z drugą obręczą, chwycił go za ramię i pociągnął w stronę wyjścia.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – denerwował się Hirtmann. – Pomyśl o Gustavie! O czasie, który tracimy.

Głos Szwajcara był gładki i zimny i Servaz miał wrażenie, że stąpa po cienkim lodzie, który w każdej chwili grozi załamaniem. Pielęgniarka w ciasnej dyżurce zobaczyła, jak przechodzą i wyskoczyła na korytarz. Nie odwracając się, Servaz wyciągnął w jej kierunku dłoń z legitymacją policyjną i oddalił się, prowadząc jeńca.

– Wyglądasz na wstrząśniętego, Martin – odezwał się Szwajcar. Jego głos był jednocześnie zły i szyderczy, złośliwy i podstępny. – Wyglądasz jak kot, któremu ktoś przytrzasnął ogon w drzwiach. Zdejmij to ze mnie. Nie tknąłem twojej córki. I nie tknę jej. Jeśli zrobisz to, co powinieneś zrobić... Czyli ostatecznie wszystko, absolutnie wszystko zależy od ciebie.

– Zamknij się.

Pchnął drzwi wahadłowe prowadzące do holu, tak jak poprzednio wyciągając legitymację w stronę kobiety w recepcji – na widok zakrwawionej twarzy Hirtmanna, kajdanek i karty pielęgniarka zrobiła wielkie oczy – a następnie, ciągnąc za sobą Szwajcara, skierował się ku drzwiom i wyszedł na zewnątrz.

Uderzyło ich mroźne powietrze, ale Servaz nie zwracał na to uwagi. Zszedł po stopniach i ruszył w stronę samochodu.

– Zastanów się – powiedział idący obok niego Szwajcar. – Zostaniesz oskarżony o zabójstwo. Jediną osobą, która może zdjąć z ciebie podejrzania, jestem ja.

– No właśnie, i wolę, żebyś był wtedy w pudle, a nie na zewnątrz – odparował, otwierając drzwi od strony pasażera.

– A Gustav?

– To już mój problem.

– Ach tak? To w jaki sposób, kiedy cię zamkną, oddasz wątrobę do przeszczepu?

Szwajcar opierał się plecami o samochód, trzymając na brzuchu skute kajdankami dłonie. Mierzył go wzrokiem. Servaz się zawahał.

– Zgoda, ale na moich warunkach – powtórzył.

– A jakie one są?

– Ty w więzieniu, ja na zewnątrz. Będę się stosował do twoich instrukcji. Pojadę do tej kliniki. Oddam wątrobę. Uratujemy Gustava. Ale ty w tym czasie będziesz spał w pudle.

Szwajcar wydał z siebie dźwięk, który przypominał ni to śmiech, ni to ryk.

– Sądysz, że możesz dyktować warunki? Nie masz wyboru, Martin. Nie masz już ruchu. Jeśli chcesz uratować swojego syna. I córkę. Nawet jeżeli ja będę w pudle, pomyśl o tym, co mogą zrobić Labarthe'owie. A jeśli nie oni, to inni ludzie ich pokroju, których znam. O, nagle zrobiłeś się bardzo blady, Martin...

Plac smagał nieprzyjemny wiatr, który porywał z ust Szwajcara słowa i obłoczki pary. Oczy Hirtmanna przypominały dwie szparki, ale Servaz dostrzegał między jego powiekami metaliczny blask. Ani przez chwilę nie wątpił, że mężczyzna spełni swoją groźbę. Z całej

siły wymierzył mu cios w wątrobę i Szwajcar zgiął się wpół, rycząc z bólu i wściekłości.

– Zapłacisz mi za to – wycedził przez zęby. – Prędzej czy później mi za to zapłacisz. Ale jeszcze nie teraz.

Servaz zdjął kajdanki.

O czwartej nad ranem wrócił do hotelu. Od razu zobaczył światło w oknie ich pokoju. Kirsten nie spała. Kiedy wszedł, siedziała na krześle przy niewielkim biurku plecami do niego, przed włączonym laptopem.

– Gdzie byłeś? – zapytała, nie odwracając się.

Nie odpowiedział od razu. Kirsten spojrzała na niego.

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś się postarzał o dziesięć lat.

– I nie pomyślałeś, że warto by mnie o tym poinformować? – Była wściekła. Najwyraźniej krótko spała i cienie pod oczami sprawiały, że wyglądała na delikatniejszą niż zwykle. – Spędziliście w tym cholernym szpitalu przy łóżku pięć godzin i nie znalazłeś chwili, żeby do mnie zadzwonić?

– Spałaś...

– *Fuck off!*

Uznał jej rację i postanowił nie odpowiadać.

– I gdzie on teraz jest?

– Nie wiem...

– Co?!

– Nie wiem.

– Pozwoliłeś mu... odejść? Tak po prostu?

– Nie słuchałeś tego, co mówiłem? Gustav jest prawdopodobnie moim synem. I grozi mu śmierć...

– No i?

– Hirtmann wszystko załatwił. Ta klinika za granicą, lekarz, który go zoperuje...

– Martin! *Shit!* Jeśli ty będziesz dawcą, ten dzieciak może być równie dobrze operowany tutaj. Nie ma potrzeby...

– Nie – uciął.

Spojrzała na niego.

– Dlaczego?

– Mam swoje powody.

– *Bloody hell!* – zaklęła.

– Zagroził, że zrobi krzywdę Margot.

– Wystarczy poprosić, żeby wzmocnili jej ochronę.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że nie da się zapewnić człowiekowi stuprocentowego bezpieczeństwa – powiedział, przypominając sobie słowa Hirtmanna na temat Margot. – Nawet jeśli ma się najlepszych ludzi na świecie. A co dopiero, gdy mowa o dwóch czy trzech gliniarzach, którzy nie zostali do tego przeszkoleni. Nie podejmę takiego ryzyka. Poza tym, kto wie, ile potrwa legalizacja statusu Gustava we Francji. On jest chory. Nie mamy czasu do stracenia. Musi przejść operację teraz, nie za pół roku.

Mówił tonem zdecydowanym, nieznoszącym sprzeciwu. Kirsten z przejęciem pokiwała głową.

– Zatem pozwolisz mu uciec, tak? Będziesz go słuchał?

– Na razie tak... Nie mam wyboru.

– Zawsze mamy wybór.

Wyglądała na bardzo niezadowoloną.

– Kiedy masz się z nim spotkać?

– Sam się odezwie.

Znowu skinęła głową, tym razem patrząc na niego przenikliwie.

– Muszę jechać – powiedział, zbierając swoje rzeczy.

– Dokąd? – zapytała, wściekła i zaskoczona jednocześnie.

– Spotkać się z córką.

Podkręcił ogrzewanie na cały regulator i włączył radio. Jakiś samozwańczy ekspert – jeden z tych, którzy nie potrafili przewidzieć, jaki będzie wynik wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych – wyjaśniał, dlaczego Donald Trump zwyciężył i dlaczego to samo może się wydarzyć we Francji, absolutnie zaprzeczając tezom, które on sam i jego koledzy po fachu głosili przez ostatnie kilka miesięcy.

Gdy dotarł do Tuluzy, było jeszcze ciemno. Zostawił samochód na kilkupoziomowym parkingu Victor-Hugo, zszedł na ulicę i ruszył do swojej kamienicy po drugiej stronie. Przywitał się z ochroniarzem przy drzwiach mieszkania, zastanawiając się, od jak

dawna mężczyzna tu siedzi. Była szósta dwanaście.

– Kawy? – zapytał.

Glina przyjął propozycję i wstał. Servaz cicho otworzył drzwi, by nie zbudzić Margot. Usłyszał jakiś ruch od strony kuchni.

– Margot?

W drzwiach pojawiła się twarz jego córki.

– Tata? Co ty tutaj robisz?

– Dzień dobry pani – przywitał się glina zza jego pleców.

– Dzień dobry – odpowiedziała. – Chcecie kawy?

– A ty? Już wstałaś? – zapytał ojciec, przyglądając się jej zmęczonej twarzy i podkrążonym oczom.

Spojrzała na niego bez słowa. Odwróciła się, by wejść z powrotem do kuchni. Nawet jej plecy pod sfatygowanym szlafrokiem były bardziej przygarbione niż zazwyczaj. Przypomniał sobie słowa Szwajcara: „Nie uważasz, że wygląda na zmęczoną?”.

Nie spał w nocy, nic więc dziwnego, że był nieco przymulony, miał poczucie odrealnienia, wrażenie, jakby poruszał się gdzieś na granicy snu i czuwania. Pomyślał o tych wszystkich rannych ptaszkach, tych biednych robotnikach, głównie cudzoziemcach, którzy wychodzą z domu przed świtem i odkurzają biura i fotele, żeby inni mogli na nich posadzić swoje łaskawe cztery litery.

– Pójdę się jeszcze położyć – powiedziała Margot, tłumiąc ziewnięcie.

Ucałowała go i oddaliła się w stronę salonu. Powiódł za nią oczami. Wyglądało na to, że jest naprawdę nie w formie. Zauważył też, że brak aktywności odbija się na jej figurze: od czasu przyjazdu przybrała parę kilogramów, a jej twarz się zaokrągliła. Czyżby Hirtmann wiedział więcej niż to, do czego się przyznał? Od Szwajcara jego myśli powędrowały do Gustava. Chłopiec miał zostać w szpitalu na obserwacji do końca dnia. A potem wrócić do siebie. To znaczy do Labarthe'ów... Ta perspektywa sprawiła, że żołądek Servaza skrzywił się w supeł.

Był głodny. Zajrzał do zamrażarki w poszukiwaniu pizzy, ale jej nie znalazł. Zniknęły też gotowe dania do mikrofalówki. Znowu

poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Lodówka także była opróżniona ze wszystkich hamburgerów, które przechowywał w niej do tej pory, a ich miejsce zajęły warzywa i owoce w hurtowych ilościach. Oczywiście ekologiczne.

Nagle zachciało mu się sikać. Wyszedłszy z toalety, skierował się do pokoju córki. Drzwi były uchylone. Pchnął je delikatnie. Spała. Nawet we śnie wyglądała na wyczerpaną.

– Twój syn – powiedział Espérandieu z niedowierzaniem. Zajrzał do filizanki z kawą, jakby na jej dnie była zapisana jakaś wiadomość. – Martin, to niewiarygodne. Twój syn...

– Być może jest moim synem – poprawił go Servaz, kładąc na stoliku dwie torebki. Pierwsza zawierała jasny kosmyk, druga tylko jeden włos. – A może to blef. Potrzebuję wyników najszybciej jak się da. Dla obu próbek.

– Dlaczego dla obu? Nie rozumiem.

– Później ci to wyjaśnię.

Tego dnia było zbyt zimno, by usiąść w ogródku, dlatego zajęli miejsca w środku, przy oknie. Za szybą, na place du Capitole, z rzadka pojawiali się przechodnie.

– Nie uważasz, że mogłeś mi o tym powiedzieć wcześniej?

Servaz milczał. Zerknął na zastępcę. Choć Vincent zbliżał się do czterdziestki, nie było po nim widać upływu czasu: z opadającą na czoło grzywką i puciołowatą buzią wyglądał jak nastolatek. Nie zmienił się od dnia, gdy dziesięć lat wcześniej przekroczył próg biura Servaza. Był prawdziwym geekiem i dość zmanierowanym chłoptasiem. Z początku stanowił obiekt wielu niewybrednych żartów i homofobicznych wyzwisk, aż wreszcie Servaz położył im kres. W efekcie zostali najlepszymi przyjaciółmi. Tak naprawdę Espérandieu był jego jedynym przyjacielem – w pracy i poza nią. Martin został nawet chrzestnym ojcem jego syna.

– Przepraszam – powiedział.

– A więc to prawda, tak? Martin, od jak dawna się znamy?

– Co?



- Kurczę, ty mi już nic nie mówisz. Ani mnie, ani Samirze.
- Nie jestem pewien, czy nadążam.
- Zmieniłeś się, Martin. Po tej śpiączce.

Zesztywniał.

– Wcale nie – odparł stanowczo. – Tobie powiedziałem o tym jako pierwszemu, oto dowód.

– I bardzo dobrze zrobiłeś. Kurwa, nie wiem, co ci powiedzieć. Widziałeś Hirtmanna, spotkałeś się z nim. Byłeś z nim w jednym pokoju. I pozwoliłeś mu uciec... Martin, do cholery! To jakiś obłęd!

– A chciałbyś, żebym co zrobił? Sądzisz, że zrezygnowałem z zatrzymania go? Temu dzieciakowi grozi śmierć... I być może to jest mój syn.

- Nie ma sposobu, żeby leczyć go tutaj?
- Pomożesz mi czy nie?
- Czego ode mnie oczekujesz?
- Do czego doszedł ten koleś z Inspekcji?
- Rimbaud? Jest przekonany, że to ty załatwiłeś Jensena.
- To bez sensu.

Espérandieu przeszył go wzrokiem.

– Jasne, że bez sensu. Ale ten dupek nie ma innego tropu. Więc się do niego przyczepił. Tak czy owak, po wykonaniu strzałów porównawczych już nic nie będzie na ciebie miał.

Servaz odwrócił oczy. Nagle uderzyła go pewna myśl. Czyżby Vincent miał rację? Czyżby od czasu śpiączki rzeczywiście tak bardzo się zmienił? Do tego stopnia, że nie rozpoznają go nawet przyjaciele?

– Powstaje pytanie – ciągnął jego zastępca – kto miał interes w załatwieniu tego śmiecia.

- Kto poza mną? O to ci chodzi?
- Martin, kurwa, nie chciałem tego powiedzieć.

Servaz skinął głową. Ale Vincent Espérandieu nie zamierzał na tym poprzestać.

– Od kiedy interpretujesz na opak słowa własnych przyjaciół? Cholera, wiesz co ci powiem? Odkąd wyszedłeś ze śpiączki,

zastanawiam się, z kim właściwie rozmawiam: z tobą czy z kimś innym.

Sam sobie zadaję to pytanie, pomyślał Servaz.

– Możesz mieć tego Rimbauda na oku? – poprosił.

– To będzie trudne. Jest podejrzliwy w stosunku do mnie i Samiry.

– Kto się zajmuje strzałami porównawczymi?

– Torossian.

– Jego znamy. Mógłbyś go wybadać, sprawdzić, na jakim jest etapie.

– Dobra – zgodził się Vincent. – Zobaczę, co się da zrobić.

Potrząsnął dwoma woreczkami.

– Co zrobisz, jeśli się okaże, że to twój syn?

– Nie mam pojęcia.

– A Margot? Jak ona się ma?

Servaz natychmiast stał się czujny.

– A dlaczego pytasz?

– Przedwczoraj widziałem ją w centrum i wyglądała naprawdę kiepsko.

Zawahał się. Spojrzał na zastępcę.

– Ty też to zauważyłeś? – Spuścił wzrok, a po chwili znów go podniósł. – Czuję się winny – powiedział. – Zrobiła wszystko, żeby być przy mnie, a ja ciągle zostawiam ją samą. W dodatku zastanawiam się, czy... Nie wiem, mam wrażenie, że coś się z nią dzieje. Wygląda na wykończoną, jest nerwowa. Ale nic mi nie mówi. Przechodzimy trudny moment. Nie wiem, co zrobić.

– To proste.

Servaz spojrział na przyjaciela zaskoczony.

– Zapytaj ją. Wprost. Nie owijaj w bawełnę. To nie przesłuchanie: ona jest twoją córką.

Servaz skinął głową z aprobatą. Vincent miał rację.

– A ta Norweżka? Coś jest między wami?

– A co cię to obchodzi?

Espérandieu westchnął. W jego oczach pojawił się błysk irytacji.

– Rzeczywiście, nic. Tyle że dawniej nie odpowiedziałbyś mi w ten sposób. Nie, serio, wkurzasz mnie. – Wstał. – Muszę już iść. Mam robotę. Dam ci znać, co z tym DNA.

Około piętnastej Kirsten zobaczyła, że Labarthe'owie przywieźli Gustava. Przez chwilę ich obserwowała, a potem nagle miała dość. Po co? Rzuciła lornetkę na łóżko i zamierzała się położyć, gdy odezwał się jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz.

Kasper. Zadzwoił, żeby zapytać, co nowego. Nie odebrała. Akurat teraz nie miała ochoty na rozmowę z kolegą z Bergen. To chwalebne, że tak interesuje się śledztwem, ale jego częste telefony zaczęły budzić jej podejrzliwość. Jakoś gdy przyjechała do Bergen, aż tak mu się nie śpieszyło. Dlaczego więc tak się podnieca? Nie powiedziała mu, że znaleźli Szwajcara. Nie omieszkałby poinformować o tym przełożonych. Zresztą Servaz także nie zawiadomił swoich. Dlaczego? Nie chce, by odebrali mu śledztwo i przekazali je komuś innemu, czy z innego powodu? Ona sama też niewiele powiedziała szefom w Oslo. Bardzo by sobie nie życzyła, żeby Kripos wetknęła nos w tutejsze sprawy.

Patrzyła w sufit i rozmyślała o Labarthe'ach. O tym, co jej zrobili. A przede wszystkim o tym, czego nie zdążyli jej zrobić... Na tę myśl budziły się w niej mordercze instynkty. To nie powinno było się wydarzyć. Coś poszło nie tak. Nie należy do osób, które łatwo odpuszczają. Przypomniała sobie swoje początki, gdy jako policjantka w mundurze patrolowała ulice Oslo. Razem z kolegą prowadziła interwencję w związku z bójką w barze na Rosenkrantz' gate i przesłuchiwała pijanego typka. Co było do przewidzenia, facet od razu przyskoczył do niej i rzucił jej w twarz słowa, jakich niektórzy mężczyźni odruchowo używają w stosunku do sprzeciwiających im się kobiet. Mimo to następnego dnia został zwolniony, a przed opuszczeniem komisariatu szydził sobie z policjantów. Z całą pewnością nie zrozumiał, dlaczego nazajutrz, gdy znowu wracał zygżakiem do domu, nagle rzuciła się na niego jakaś postać. Pijak miał połamanych kilka żeber, wybitą żuchwę,

wywichnięty bark i skręcone palce u ręki. Pewnie do tej pory się zastanawia, co się stało.

Naprawdę zaczynała ją już nosić. Włożyła botki, kurtkę i czapkę i wyszła, by przespacerować się po śniegu. Zapadając się w dwudziestocentymetrowej warstwie puchu, rozmyślała o Martinie, o nocy, którą spędzili razem. To było coś więcej niż zwykły numerek. W tamtej chwili miała wrażenie, że coś rodzi się między nimi. Czy on również to poczuł?

– Co robimy? – zapytała Aurore Labarthe.

– Jak to: co robimy?

Popatrzyła na męża znużona. Była dwudziesta pierwsza, a ona przed chwilą położyła Gustava do łóżka. Ściemniło się już przed kilkoma godzinami i willa była pogrążona w ciszy.

– Nie widziałeś, jak na nas patrzył? On wróci. Wróci, aby nas ukarać.

– Jak to: aby nas ukarać?

– Długo jeszcze będziesz się bawił w papugę? – ofuknęła go.

Nie zobaczyła morderczego spojrzenia, jakie jej rzucił, ponieważ odwróciła się do okna.

– Musimy stąd spadać – oświadczyła.

– Co?

– Zanim przyjedzie, żeby się nami zająć.

– Dlaczego... Dlaczego... miałby to zrobić?

Labarthe prawie meczał. Co za ciota!

– A jak sądzisz? Karanie to jego specjalność. Powinieneś o tym wiedzieć, jesteś jego biografem. – Zarechotała szyderczo. – Spieprzyliśmy to.

– Ty spieprzyłaś – ośmielił się ją poprawić. – To ty wpadłaś na to, żeby go naćpać. A potem powiedziałaś o tym jego ojcu, to był twój drugi błąd.

– A myślisz, że ten pieprzony doktor by tego nie zrobił? Zamknij się. I przestań robić w gacie.

– Aurore, nie mów do mnie w ten sposób.

– Stul pysk. Pozostało nam tylko jedno: zabrać, co tylko się da, i spadać.

– A dzieciak?

– Jak wyjedziemy, zadzwonisz do Hirtmanna i powiesz mu, żeby po niego przyjechał. Że klucze są w rurze wydechowej, a Gustav śpi w swoim łóżku.

– Ale dokąd my, u diabła, pojedziemy?

– Byle dalej stąd. Zmienimy wygląd. A jeśli będzie trzeba, zmienimy też nazwisko. Tyle osób tak robi, znika z dnia na dzień. Mamy wystarczająco dużo oszczędności.

– A moja robota na uniwersytecie?

– Mam się tym przejmować? – odparła.

– Mimo wszystko przypominam ci, że to dzięki niemu kupiliśmy ten dom i jeśli...

Warkot silnika. Umilkli. Aurore znowu odwróciła się do okna. Po raz pierwszy zobaczył jej twarz wykrzywioną strachem. On również wyjrzał na zewnątrz i zamarł. Po śniegu bardzo wolno jechał jakiś samochód. Minął hotel i kierował się w stronę willi, a jego światła lśniły jak dwa potężne słońca.

– To on... – powiedziała, gdy samochód zatrzymał się u stóp domu, przed zaspami, a reflektory zgasty.

– Co robimy?

– To samo co z tą Norweżką – zarządziła. – A potem trochę się zabawimy i go zabijemy.

Odwróciła się w jego stronę. Labarthe'a zmroziło: oczy Aurore płonęły okrucieństwem.

Kirsten zobaczyła, jak wysiadł z samochodu i wszedł po zaśnieżonych stopniach na ganek. Julian. Przesunęła lornetkę i w jednym z okien na pierwszym piętrze dostrzegła Aurore Labarthe. Rysy jej twarzy zdradzały niepokój, ale było w nich coś jeszcze: przebiegłość, perfidia, wyrachowanie... Kirsten nagle poczuła, że wszystkie jej zmysły znalazły się w stanie najwyższego pogotowia. Coś miało się wydarzyć.

Najwyraźniej Aurore Labarthe doskonale zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie groziło jej i jej mężowi. Czyżby Hirtmann nie wiedział, co go czeka? Kirsten miała wrażenie, jakby jej myśli zalał czarny atrament. Co robić? Wyszła z hotelu bez broni. Gdzie jest Martin? Pewnie w drodze. Wybrała jego numer. Odezwała się poczta głosowa. *Shit.*

Stał na ganku, opatulony w ciemny zimowy płaszcz przyprószoney śniegiem, z kosmykiem włosów tańczącym nad czołem powyżej oprawy okularów. Aurore Labarthe miała na sobie czarny jedwabny szlafrok z czerwonymi lamówkami, który tak bardzo lubił, ale kiedy otworzyła drzwi, nawet na niego nie spojrział. Nie zwrócił też uwagi na jej ciało, które zazwyczaj pożerał wzrokiem. Za to przez cały czas patrzył jej prosto w oczy.

– Dobry wieczór, Aurore – powiedział tonem zimnym jak noc panująca na zewnątrz.

Poczuła, jak przez wszystkie jej kręgi, od karku do kości krzyżowej, przebiega dreszcz, niczym pieszczota lodowatego palca. Zobaczyła spuchnięty, obity nos Hirtmanna i gazę wystającą z jego nozdrzy. Co się stało?

– Dobry wieczór, Julianie. Wejdz.

Wpuszczając go, zastanawiała się, w której chwili się na nią rzuci, ale nic takiego się nie wydarzyło i Szwajcar ruszył do dużego salonu o katedralnym sklepieniu. Pomyślała o Rolandzie, który właśnie przygotowywał w kuchni drinki. Jej spietranemu mężowi na pewno trzęsły się teraz ręce. Ale pomylenie dawki nie było teraz w jego interesie.

Kiedy Julian ją mijał, mimo wszystko poczuła tę zniewalającą mieszankę podniecenia i lęku, której zawsze doświadczała w jego obecności. Szedł przed siebie jak zwierzę – węsząc, niuchając, pociągając nosem, badając. Pewien własnej siły, ale czujny. Gotów do akcji i reakcji. Aurore zacisnęła pasek szlafroka wokół talii i ruszyła w jego stronę. Z kuchni wyszedł właśnie Roland, który niósł tacę z trzema dużymi kieliszkami do drinków, i od razu

poznała, że wypił trochę dla kurażu.

– Mistrzu, zechciej spocząć – przemówił ceremonialnie Labarthe.

– Dajmy spokój tym błazeństwom, dobrze, Rolandzie? – odparł Szwajcar, zdejmując wilgotny płaszcz i rzucając go na sofę.

Jego oczy za grubymi szklami, w których odbijały się płomienie tańczące w kominku, lśniły czystą, lodowatą pobłażliwością. Labarthe tylko skinął głową, nie śmiać na niego spojrzeć. Postawił przed nim kieliszek z białym drinkiem.

– Biały Rosjanin, jak zwykle?

Hirtmann przytaknął, nie spuszczać Labarthe'a z oczu. Ten postawił na stoliku Champagne Cocktail dla Aurore i swojego drinka Old Fashioned. Drinki, kolejna pasja Rolanda. Wiele razy serwował je gościom, by pomóc im się odprężyć przed wspólną zabawą.

– Nigdy wam nie mówiłem, że mam rosyjskie korzenie? – zapytał Szwajcar, podnosząc kieliszek.

Roland nie odrywał oczu od napoju Hirtmanna. Aurore miała ochotę krzyknąć na niego, żeby był bardziej dyskretny. Zamiast tego przeniosła wzrok na Szwajcara, który zatrzymał dłoń z kieliszkiem kilka centymetrów od ust.

– Rosyjskie i arystokratyczne. Mój dziadek ze strony matki był ministrem w rządzie Kierenskiego przed rewolucją październikową. Rodzina mieszkała w Sankt Petersburgu, przy ulicy Bolszaja Morskaja, dwa kroki od Nabokowów. – Wreszcie upił jeden, a potem kolejny łyk mikstury, która przypominała wyglądem krem z bitej śmietany. – Wyśmienite, Rolandzie. Doskonałe.

Odstawił kieliszek. Roland ukradkiem zerknął na Aurore. Wlał do drinka prawie trzy gramy GHB. Końska dawka. Za kilka minut substancja utoruje sobie drogę do jego mózgu, zmieni jego nastrój, wprawi go w euforię, rozproszy jego obawy i paranoję i osłabi zdolności motoryczne. A wtedy ich gość ze straszliwego Juliana Hirtmanna przeobrazi się w łatwiejszą ofiarę. Ale łatwiejszą w jego wypadku nie oznaczało niegroźną.

Aurore usiadła naprzeciwko Szwajcara i ostentacyjnie rozchyliła

kolana. Oczy Hirtmanna zatrzymały się tym razem między jej udami i na chwilę zapłonęły najczystsza żądzą. Ale również gniewem.

– To, co zrobiliście, jest niewybaczalne – rzucił nagle głosem ostrym jak brzytwa.

Aurore zeszywniała. Labarthe zadrżał. Ton głosu Szwajcara zmroził ich nawet bardziej niż jego słowa. Pomyślała o naładowanej broni, którą zostawiła za jego plecami, w otwartej szufladzie kredensu. Zastanawiała się, czy zdąży po nią sięgnąć.

– Nie powinniście byli. Naprawdę. Bardzo... się na was zawiodłem. – Jego głos był teraz słodki jak miód, aksamitny, miękki jak pieszczota.

– Mistrzu... – zaczęła Aurore.

– Zamknij się, szmato.

Obruszyła się. Nigdy nie mówił do niej w ten sposób. Nikt nigdy do niej tak nie mówił. I nikt nie miał prawa tego robić. Nawet on. Ale nic nie odpowiedziała.

– Naprawdę, to jest coś, czego nie mogę... wybaczyć. I za co, jak nietrudno zrozumieć, musicie ponieść karę.

Aurore miała ochotę się odezwać, ale zrozumiała, że to nie ma sensu. Teraz mógł ich uratować tylko narkotyk. Pod warunkiem, że zdąży zadziałać... Oczy Szwajcara wędrowały od niej do Rolanda i z powrotem. Na razie nie widać było najmniejszych oznak osłabienia przytomności umysłu.

– Zostaniecie... – nagle przerwał. Uniósł dłoń do twarzy i potarł powieki. Kiedy znowu otworzył oczy, jego spojrzenie było już inne. Rozszerzone źrenice wyglądały jak dwie czarne dziury. Oczy Szwajcara były zamglone i trudno mu było skupić wzrok. – Ten drink – powiedział – ten drink jest absolutnie... przepyszny... – Odchylił się na oparcie i położył głowę na poduszkach. Wlepił wzrok w sufit i uśmiechnął się. – U ludzi, podobnie jak u szczurów, kontrola działa stymulująco na mózg, wiedzieliście o tym? Podobno brak kontroli może paraliżować zdolności umysłowe. Ale utrata kontroli może mieć czasem swoje dobre strony, prawda? – Zachichotał, wyprostował się, znowu podniósł kieliszek do ust i upił



duży łyk. Nagle wybuchnął śmiechem. – Cholera, nie wiem, czego tam dodałeś, ale nigdy nie czułem się tak dobrze! – W jego głosie nie było już żadnej groźby. – Teraz wiem, kiedy ostatni będzie poranek... gdy światło już nocy i miłości nie spłoszy, gdy wiecznie sen jeden tylko będzie niewyczerpany... Znużenie niebiańskie czuję w sobie... <sup>1</sup> – Odstawił kieliszek i położył się na boku, podkurczając kolana. – Cholera... Chyba się prześpię.

Aurore bacznie mu się przyglądała. Otwierał oczy. Zamykał je i znowu otwierał. Przez chwilę milczała. Następnie spojrzała na męża i podbródkiem wskazała na kuchnię. Labarthe właśnie miał wstać, gdy Szwajcar otworzył oczy i spojrzał na niego. Mężczyznę zmroziło. Powieki Hirtmanna znowu się jednak zamknęły, a głowa opadła na poduszkę. Na drżących nogach Labarthe ruszył za Aurore do kuchni.

– Coś ty najlepszego zrobił? – rzuciła w jego stronę, gdy tylko wszedł. – Widzisz, w jakim on jest stanie? Jak my go teraz zaniemiemy na górę?

Roland szeroko otworzył oczy.

– No i co z tego? Jest w naszych rękach! Wystarczy go załatwić. Teraz, już.

Pokręciła głową.

– Mówiłam ci przecież, że chcę się z nim zabawić.

Labarthe nie wierzył własnym uszom. Czy jego żona zwariowała? W oczach Aurore zobaczył niezadowolenie i zawód.

– Cholera, ten facet jest niebezpieczny, nawet kiedy jest naćpany! Trzeba z tym skończyć, Aurore! Teraz! Na wypadek gdybyś nie zauważyła, tym razem chodzi o morderstwo.

Przeszyła go ostrym spojrzeniem.

– Jesteś pierdolonym tchórzem, nikim więcej, wiesz? Wszystkie twoje pieprzone fantazje to zwykła ściema. Dlaczego ty zawsze musisz wszystko spięprzyć? Dlaczego wszystko robisz źle?

– A co on takiego źle zrobił? – rozległ się jakiś głos za plecami Labarthe'a.

Roland zobaczył, że Aurore zbladła i znieruchomiła, patrząc

przez jego ramię w kierunku wejścia do kuchni. Odwrócił się i zadrżał. W progu stał Hirtmann, jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech. Serce Labarthe'a waliło jak szalone. Czy Szwajcar słyszał początek ich rozmowy?

– Pomyślałem, że moglibyśmy się trochę zabawić, zanim zabiorę Gustava – odezwał się niepewnym głosem. – Co o tym myślicie? Tak na pożegnanie... Idziemy na górę?

Jego głowa kiwała się na wszystkie strony. Mrugał, jakby miał problem z utrzymaniem otwartych oczu, które znajdowały się w ciągłym ruchu, nie mogąc się zatrzymać. Aurore przyjrzała mu się nieufnie, a potem się uśmiechnęła. Ten kretyń sam się pakuje w pułapkę, oto wielki Julian Hirtmann został wydany na jej łaskę! Przeszedł ją dreszcz podniecenia na podobieństwo porażenia prądem.

– Oczywiście...

Labarthe spojrział na nią wzrokiem, który miał oznaczać: „No widzisz?”. Olbrzym wyszedł z kuchni i chwiejnym krokiem ruszył ku schodom.

– Jesteś pewna, że on nie udaje? – szepnął Labarthe za plecami Szwajcara.

Aurore wskazała na kieliszek po drinku. Był pusty.

– Ile wsypałeś?

– Prawie trzy gramy.

– Niemożliwe. Nawet w tym przypadku – stwierdziła.

Jakby na potwierdzenie jej słów Hirtmann zatoczył się na pierwszym stopniu, prychnął, wszedł na następny i znowu się potknął.

– Kurwa, co się ze mną dzieje?!

Labarthe'owie wymienili spojrzenia. Roland podszedł do Szwajcara i objął go w pasie. Hirtmann położył wolną rękę na jego ramionach i serdecznie go uściskał. Labarthe wyglądał przy nim jak krasnoludek. Szwajcar mógłby jednym ruchem zmiażdżyć mu kark i mężczyzna poczuł, jak całe jego ciało pokrywa gęsia skórka.

– Mój przyjacielu – odezwał się Hirtmann. – Mój ty wierny

i lojalny przyjacielu.

– Na zawsze – odpowiedział Labarthe pod wpływem dziwnego, przemożnego uczucia, i chodziło tu nie tylko o strach.

– Na zawsze – zawtórował uroczyście Szwajcar pijackim głosem.

Szli na górę, Aurore za nimi. Na ostatnim piętrze, przed otwartymi drzwiami do części sypialnej Labarthe'ów, Szwajcar wyciągnął rękę. Był tak wysoki, że sięgał klamki wjazdu. Otworzył go i pociągnął za metalową drabinkę, która rozłożyła się z piskiem. Pod dachówkami świstał wiatr. Strych był niczym paszcza ciemności. Szwajcar chwycił drabinkę i wspiął się na pierwsze stopnie jak dziecko, któremu śpieszy się do zabawy. Aurore wpatrywała się w jego tyłek rysujący się pod spodniami. W połowie drogi zatrzymał się nagle i schylił się do nich z zatroskaną miną.

– Jesteście pewni, że Gustav śpi?

Aurore rzuciła mężowi badawcze spojrzenie.

– Pójdę sprawdzić – oświadczył Labarthe. – Zaczniście beze mnie.

Chciała mu powiedzieć, żeby nie szedł. Nie podobała jej się perspektywa znalezienia się na strychu sam na sam ze Szwajcarem... Ale Hirtmann ją obserwował, więc chcąc nie chcąc, skinęła głową.

Labarthe zszedł piętro niżej. Usłyszała jego kroki w korytarzu prowadzącym do pokoju chłopca. Hirtmann włączył światło i zniknął na strychu. Drabinka zaskrzypiała. Kobieta stanęła na stopniu. Dlaczego ma wrażenie, jakby wchodziła na szafot? Wspinając się, pomyślała, że to jednak wcale nie jest taki dobry pomysł. Roland chyba miał rację: powinni byli zakończyć sprawę na dole. Gdy wsunęła głowę przez otwór, zadrżała: Hirtmann stał przy włączniku, dominując nad nią całą wysokością swojej sylwetki i obserwując ją małymi lśniąco-ciemnymi oczami. Zauważyła własne odbicie w szklach jego okularów. Przez chwilę miała chęć uciekać. Zobaczyła żalony napis na ścianie:

PORZUĆ WSZELKĄ DUMĘ

KTÓRY TUTAJ WCHODZISZ  
WEJDŹ DO KRYPTY TYRANII  
NIE LITUJ SIĘ NAD NAMI

Jeszcze jeden pomysł Rolanda. Co za imbecyl! Roland zawsze był mózgowcem, facetem z głową w obłokach, nie człowiekiem czynu. Nawet podczas ich pełnych przemocy imprez dla bywalców nigdy nie był pierwszy, zawsze trzymał się na uboczu – to inni nadawali ton zabawie.

Pokonała ostatnie stopnie drabiny i stanęła wyprostowana. Hirtmann patrzył na nią pożądliwie. Na zewnątrz wył wiatr. Musiał tam panować polarny chłód, ale na strychu było tak ciepło, że zakręciło jej się w głowie i natychmiast poczuła, że ma plecy wilgotne od potu.

– Zdejmij to – powiedział.

Wykonała polecenie i jedwabny szlafrok z niemal niesłyszalnym szelestem wylądował u jej stóp. Długo przyglądała się Hirtmannowi, tym razem spojrzeniem pełnym żądy, nie omijając żadnej części jego ciała.

– Nie zapominaj, że tutaj to ja rozkazuję – rzuciła.

Przytaknęła.

Głowa wciąż mu się kiwała i widać było, że ciężą mu powieki. Oparła płasko dłoń o jego klatkę piersiową, w okolicy serca, delikatnie, ale zdecydowanie pchnęła go do tyłu, a on posłusznie się cofnął. Sięgnęła po skórzaną bransoletę wiszącą na lince, pociągnęła za bloczek i zapięła ją wokół jego lewego nadgarstka. Poddał się temu zabiegowi z uśmiechem na twarzy. Pożerał ją wzrokiem.

– Zbliź się. Pocałuj mnie – poprosił.

Zawahała się, ale podniosła twarz do jego twarzy. Pochylił się, położył wolną dłoń na jej karku i pocałował ją w usta. Odwzajemniła pocałunek. Smakował wódką i likierem kawowym. Miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Nagle wielka łapa Szwajcara chwyciła ją za gardło.

– Czego dodaliście do mojego drinka?

Otworzyła usta, gdyż jego dłoń ścisnęła ją jak imadło. Próbowła łapać powietrze. Krew napłynęła jej do głowy. Przed oczami zobaczyła czarne punkciki, jakby rój małych muszek.

– Puść mnie!

– Odpowiadaj.

– Nic... przy... sięgam...

Sprytnym ruchem uwolnił się z bransolety. Uderzył ją pięścią w klatkę piersiową, z zadziwiającą siłą przy tak niewielkiej odległości, ale nie rozluźnił uścisku. Chciała krzyczeć, ale jedynym dźwiękiem, jaki zdołała z siebie wydobyć, był ni to świst, ni to rżenie. Dłoń Szwajcara miażdżyła jej tętnice. Do mózgu dopływało coraz mniej krwi. Od utraty przytomności dzieliły ją sekundy. Ból krtani był nie do zniesienia. Próbowła oddychać, ale nie mogła. Serce waliło jak werbel.

Nagle Hirtmann ją puścił. Chciała się cofnąć, ale zanim uświadomiła sobie, co się dzieje, Szwajcar jednym ciosem rozwalił jej nos. Upadła, a na linoleum momentalnie zaczęła rosnąć kałuża prawie czarnej krwi. Umysł Aurore zgasł jak zdmuchnięty knot.

Szwajcar zapalił jedną z pozostawionych na strychu świec. Podeszedł do niej. Przesunął płomień przed jej oczami w odległości kilku centymetrów, oświetlając rogówkę, najpierw w jednym oku, potem w drugim, jakby miał w dłoni latarkę okulistyczną.

– Lśnią bardziej niż moje – stwierdził.

Wyrywała się słabo, naga, zdana na jego łaskę, trzęsąc się mimo panującego na strychu gorąca: stała z rękami uniesionymi nad głową w kształcie litery V, przypiętymi za nadgarstki, w jej ustach tkwił knebel, a oczy miała opuchnięte i zażawione. Bolał ją złamany nos, a w ustach czuła smak krwi. Z dołu dobiegł odgłos kroków Rolanda na drżącej stalowej drabinie i Hirtmann podeszedł do włazu.

– Wchodź – odezwał się zachęcająco.

Za jego plecami rozległy się jęki Aurore, które było słycać mimo knebla. Labarthe zamarł. Jego oczy stały się wielkie z przerażenia. Zamierzał rzucić się do ucieczki, ale Hirtmann

chwycił go za fraki i bez wysiłku przeciągnął przez otwór. Pchnął go jednym kuksańcem i mężczyzna poturlał się po podłodze.

– Mistrzu, błagam, niech pan mi nie robi krzywdy! – Wskazał palcem na żonę. – To ona! To ta szmata! Ja... Ja nie chciałem!

Jego oczy napełniły się łzami. Hirtmann odwrócił się do Aurore. Dostrzegł w jej spojrzeniu wściekłość i morderczą nienawiść. Prawie ją podziwiał.

– Wstawaj – rzucił Szwajcar.

Roland wykonał polecenie. Jego nogi i dolna warga gwałtownie drżały. Prawie płakał. Gdzieś w głębi domu słyhać było stukanie miotanej porywami wiatru okiennicy. Przez chwilę Hirtmann bał się, czy hałas nie obudził Gustava. Nadstawił uszu, ale przez otwór wjazdu nie dochodził żaden inny dźwięk.

Zaprowadził Labarthe'a na środek pomieszczenia. Ten, zrezygnowany i rozdygotany, nie stawiał oporu, niczym baranek prowadzony na rzeź. Hirtmann go związał. Wykładowca nawet nie próbował się bronić. Jagnię, które miało się za wilka. Teraz już otwarcie szlochał, przypięty w tej samej pozycji co jego żona, z tą tylko różnicą, że on był ubrany.

Hirtmann wyjął knebel z ust Aurore, a ona plunęła mu w twarz. Szwajcar nonszalancko starł ślinę. Zobaczył ślad krwi na wierzchu dłoni i uśmiechnął się. Kobieta zwróciła się do męża:

– Jesteś zwykłym gównem, Roland! Pieprzoną ciotą!

Jej oczy miotają pioruny.

– Hola, hola! – wtrącił się Hirtmann. Mówił już normalnym głosem. – Kiedy indziej wyrównacie rachunki. Cóż... a może i nie...

– Idź się pierdol – odpowiedziała.

– To raczej ty będziesz się pierdolić, kochanie. A potem zdechniesz – oznajmił spokojnym głosem.

– Chuj ci w dupę, Hirtmann,

Nagle w dłoni Szwajcara pojawił się mały, szpiczasty nóż i Hirtmann błyskawicznym ruchem wyciął w policzkach Aurore dwie pionowe szramy. Krew zalała jej podbródek i szyję, a po

chwili zaczęła kapać na piersi. Kobieta zawyła. Była zupełnie mokra. Pot wypływał wszystkimi porami jej ciała, które było teraz jak pień drzewa broczący sokami. Dyszała. Jej broda i klatka piersiowa były zakrwawione, blond włosy posklejane potem, a brzuch drżał jak membrana wzmacniacza.

– No widzisz, nie powinnaś mi się stawiać – mówił spokojnie. – Wasze pieprzone prochy zaczynają działać. Kręci mi się w głowie. Najwyższy czas, żebym stąd spadał. Całe szczęście, że zanim tu przyjechałem, zżarłem kilo smalcu i parę tabletek amfy, prawda, kochanie? Smalec jest bardzo skuteczny: spowalnia wchłanianie narkotyku z żołądka. A amfa osłabia działanie GHB. I rohypnolu. Bo właśnie którymś z tych góvien mnie poczęstowaliście, mam rację? Tak jak tę Norweżkę tamtego wieczoru. Ładne rzeczy się dzieją w tej waszej willi... – Zerknął na Labarthe'a. – Wracam za minutkę.

W rzeczywistości upłynęły trzy minuty. Przez cały ten czas Aurore przeklinała męża. Zobaczyli, że Hirtmann wrócił z kanistrem benzyny w dłoni, i zadrżeli. Postawił pojemnik przed Aurore, zapalił inną świeczkę, podszedł do aksamitnej granatowej kotary i przystawił do niej płomień. Tkanina natychmiast się zajęła. Ogień, strzelając, pochłaniał materiał i w okamgnieniu dosięgnął sufitu. Hirtmann wrócił do małżonków. Jego sylwetka odcinała się na tle coraz potężniejszego blasku. Odkręcił kanister i wylał całą jego zawartość na Aurore. Kobieta się wzdrygnęła.

– Kurwa, nie! Tylko nie to! – zawołała. – NIE TO...

Szwajcar, jakby nie usłyszał, postawił otwarty kanister u jej stóp i zwrócił się do Rolanda.

– A tobie może uda się z tego wywinąć, kto wie?

Wykładowca rzucił mu niewyraźne spojrzenie. Był rozdarty między nadzieją a absolutną trwogą. Już miał otworzyć usta, by błagać o łaskę, gdy małe ostrze w dłoni Hirtmanna pokonało półkolisty, niemal poziomy tor i utkwilo w jego tętnicy szyjnej. Szwajcar zostawił je tam na chwilę, spoglądając Labarthe'owi prosto w oczy, a następnie wyjął i znowu uderzył, tym razem

w tętnicę podobojczykową. A wtedy, jak przez dwie dziury w beczce, z tułowia i szyi wykładowcy trysnęły dwie cienkie rubinowe fontanny. Wyczytał w oczach Labarthe'a zaskoczenie i słabość, niedowierzanie, jakie niektórzy ludzie odczuwają w obliczu śmierci, i zobaczył, jak szybko uchodzi z niego życie.

– Ale nie sądzę – dodał.

Hirtmann rzucił zakrwawiony nóż na podłogę i ruszył w stronę wjazdu.

1. Novalis, *Hymny do nocy*, przeł. Tadeusz Nowlin-Wagner, Warszawa 1923 (przyp. tłum.). ↩



W niebo strzelały wysokie płomienie, rozjaśniając noc i pożerając to, co pozostało z willi. Blask pożogi odbijał się od ściany zaczynającego się nieco wyżej lasu. Kirsten opierała się o policyjny radiowóz, owinięta w folię bezpieczeństwa, popijając kawę, która parowała na mrozie. Dziesięć metrów dalej woda z gaśnic strażaków spadała na płomienie i pozostałości konstrukcji, wzniecając syczące słupy pary. Gdy tylko pożar przygasł z jednej strony, natychmiast pojawiał się z drugiej.

Norweżka obserwowała to widowisko, a w jej oczach tańczyły odblaski ognia. Wiedziała, że będzie musiała zdać raport, że Martin zażąda od niej wyjaśnień. Słyszała krzyki dochodzące z płonącej willi. Nieludzkie wycie pochłanianej przez płomienie Aurore, której oczy wychodziły z orbit, a skóra topiła się jak wosk. Kirsten wstrzymała oddech, czuła, że od tych wrzasków pękają jej bębunki. A potem nagle wszystko umilkło. Po chwili spora część budynku runęła pod własnym ciężarem, a wszystkie pozostałe hałasy zagłuszył ryk strażackich syren.

– Co się stało? – odezwał się głos obok niej.

Odwróciła się i zobaczyła go.

– Zostawił ich tam, żeby spłonęli. Musiał ich przywiązać – odparła. – Gdzie byłeś?

– A ty? Co z tobą? – zapytał, ujrawszy jej twarz czarną od sadzy.

– Chciałam tam wejść...

– Żeby ich... ratować?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– No co? Przecież nie...

– A Hirtmann, widziałaś go?

Skrzywiła się.

– Tak. Odjechał z Gustavem. Już się paliło, z dachu unosił się dym.

Servaz wpatrywał się w nią uporczywie.

– Bez broni nie mogłam nic zrobić. To znaczy, żeby go zatrzymać. Minał mnie bez słowa, szedł, trzymając dzieciaka za rękę. A potem posadził go na tylnym fotelu i odjechali. – Pokręciła głową. Miała łzy w oczach. – Martin, on ich zabił. A ja pozwoliłam mu uciec!

Nie odpowiedział.

– Nie stójcie tutaj, odejdźcie dalej – odezwał się jakiś głos. – To się zaraz zawali.

Ruszyli w stronę hotelu. Taras był pełen gapiów, którzy ściągnęli z wioski. Można by pomyśleć, że to noc świętojańska, gdyby nie ten wilgotny chłód, który przenikał przez ubrania. Servaz objął Kirsten ramieniem. Nie stawiała oporu i dalej szli przytuleni.

– Nie martw się – powiedział. – To się niedługo skończy.

Poczuł w kieszeni wibracje telefonu. Wyjął go i odczytał esemesa. Miejsce i godzina, nic więcej. I dwa słowa: *Bądź sam*. Podniósł oczy na Kirsten.

– To on. Chce, żebym przyjechał sam.

– Dokąd?

– Później ci powiem.

Norweżka się zasepiła. Przez chwilę Servaz widział w jej oczach dziki gniew, a jej twarz zmieniła się prawie nie do poznania. Potem zrobiła jedną ze swoich zwykłych min i chcąc nie chcąc, skinęła głową.

– Ufasz mi, synu?

Gustav wpatrywał się w ojca. Skinął głową. Z przekonaniem. Szwajcar spojrzał na stumetrową przepaść poniżej potężnej zapory łukowej, na zmrożone korony jodeł w dole, na przyprószone śniegiem skały i koryto rzeki pokryte lodową bielą. Była pełnia księżyca.

– Jesteś gotów?

– Boję się – powiedział nagle chłopiec drżącym głosem.

Był bardzo ciepło ubrany. Miał na sobie puchową kurtkę z kapturem. Zakutany w gruby szalik, wyglądał jak matrioszka.

– Boję się! – powtórzył Gustav. – Tato, proszę, nie chcę tego robić!

– Tajemnica życia polega na przekraczaniu własnych lęków, synu. Ci, którzy słuchają swojego strachu, daleko nie zajdą. Jesteś gotowy?

– NIE!

Przełożył Gustava przez oblodzoną barierkę i trzymał go nad mrozącą krew w żyłach przepaścią. W uszach świstał im wiatr.

Chłopiec krzyknął. Otaczające ich białe góry skierowały wysoki dźwięk w stronę ciągnącej się niżej doliny. Echo przechwyciło go i odesłało jak piłkę do squasha. W promieniu kilku kilometrów nie było jednak nikogo, kto mógłby go usłyszeć. Tylko ponadczasowa obojętność gór. Porywisty wiatr przeganiał chmury i w prześwitach pojawiały się gwiazdy, które rzucały im odwieczne spojrzenie. Księżyc wydawał się gnać między chmurami w zawrotnym tempie, jak okręt wśród podwodnych skał, choć w rzeczywistości to one

przesuwały się przed nim.

Wreszcie Hirtmann zobaczył parę świateł zbliżających się wolno po serpentynach. Uśmiechnął się. W przeciwieństwie do jego samochodu wóz Martina najwyraźniej nie był przystosowany do jazdy po nieodśnieżonej nawierzchni. Nikt, poza samochodami służb technicznych, nie miał prawa tutaj wjeżdżać zimą. Szlaban na dole był zazwyczaj opuszczony. Na tę okazję jednak Szwajcar odstrzelił łańcuchy i podniósł go.

Przełożył Gustava z powrotem przez barierkę i postawił na ziemi. Chłopiec przywarł do niego, obejmując mocno ramionami.

- Tato, proszę, nigdy więcej tego nie rób.
- Zgoda, synu.
- Chcę wracać do domu!
- Już niedługo.

Zbliżające się reflektory były na ostatnim odcinku oblodzonej drogi. Samochód wjechał na niewielki parking, gdzie latem znajdowała się tymczasowa restauracja z ogródkiem.

- Chodź – powiedział Szwajcar.

Spojrzał na wysiadającego z auta Martina, który był o wiele za lekko ubrany jak na panujący na tych wysokościach arktyczny chłód. Servaz ich zauważył. Zostawił otwarte drzwi. Wrócił do samochodu i przez chwilę Hirtmann myślał, że zamierza zabrać broń. Ale on tylko odwrócił wóz w ich stronę, tak że znaleźli się w strumieniu oślepiającego światła, którego biały blask zalał całą tamę.

Gustav zasłonił oczy dłonią. Hirtmann tylko mrugnął. Martin schodził teraz po stopniach prowadzących do zapory. Szedł w ich stronę. Widzieli jedynie jego sylwetkę odcinającą się w blasku reflektorów i czarny cień przed nim. On natomiast widział ich doskonale.

– Dlaczego tutaj? – rzucił, gdy był już bliżej. – Ta droga jest zimą naprawdę niebezpieczna. A zjeżdżanie tędy będzie jeszcze trudniejsze. Sądziłem, że moja wątroba coś znaczy!

- Ufam ci, Martin. Mam w bagażniku łańcuchy. Założysz je

w drodze powrotnej. Podejdź tu.

Servaz wykonał polecenie. Nie patrzył na Hirtmanna, ale na chłopca. Malec zaś uniósł twarz w jego stronę i obserwował go spod kaptura. Stał przytulony do Szwajcara i nie spuszczał Servaza z oczu, a daszek z dłoni rzucał cień na jego buzię.

– Dobry wieczór, Gustavie – powiedział policjant.

– Dzień dobry – odparł Gustav.

– Wiesz, kto to jest? – zapytał Julian Hirtmann.

Chłopiec pokręcił głową na znak, że nie wie.

– Niedługo ci powiem. To ktoś bardzo ważny dla ciebie.

Servaz miał wrażenie, jakby dłoń jakiegoś filipińskiego szarlatana-uzdrowiciela zanurzyła się w jego brzuchu i grzebała mu we wnętrznościach. Wyjący wiatr porywał słowa Szwajcara. Ten sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej jakąś zadrukowaną kartkę oraz paszport.

– Jutro rano na lotnisku Toulouse-Blagnac będzie na ciebie czekał wynajęty samochód. Pojedziesz nim do Hallstatt w Austrii. Zajmie ci to około piętnastu godzin. Na miejscu, na Marktplatz koło fontanny ktoś się z tobą spotka. Pojutrze w południe. Nie martw się, rozpoznasz go.

– Hallstatt? To miejscowość ze zdjęcia...

Zobaczył uśmiech na twarzy Hirtmanna.

– Znowu *Skradziony list* Poego. Nikt nie będzie tam szukał – powiedział Servaz.

– W każdym razie nie teraz, bo policja już zdążyła wywrócić miasteczko do góry nogami – odparł Hirtmann.

– Tam jest ta klinika?

– Wystarczy, że będziesz się stosował do instrukcji. Oczywiście gdyby ci przyszło do głowy, żeby prosić tę Norweżkę, by za tobą jechała... Ach, właśnie, lepiej nie kręć się w pobliżu komendy: pewnie są już blisko stwierdzenia, że zabójstwa dokonano z twojego pistoletu.

Nagle Servaz pomyślał, że podwójny test DNA, o który poprosił Vincenta, był niepotrzebny: gdyby Hirtmann nie był na sto procent

pewien, że to on jest ojcem, nie wybrałby go na dawcę. Gustav to jego syn. Na tę myśl zakreśliło mu się w głowie. Spojrzał na chłopca nieco zagubionym wzrokiem.

– Tato, to on mi da wątrobę? – zapytał Gustav, jakby czytał w jego myślach.

– Tak, to on, synu.

– To znaczy, że dzięki niemu będę zdrowy?

– Tak. Widzisz, mówiłem ci: jest dla ciebie bardzo ważny. Musisz mu zaufać, tak samo jak ufasz mnie, Gustavie. To też jest bardzo ważne.

Kirsten patrzyła, jak samochód Martina podjeżdża i parkuje przed tarasem. U stóp zaśnieżonego zbocza światła w dolinie migotały jak potok lśniącej magmy. Po chwili Servaz wszedł do pokoju. Jego oczy płonęły i Kirsten domyśliła się, że coś się stało.

– To rzeczywiście mój syn – powiedział.

Spojrzał na nią, jednocześnie spłoszony i wzruszony. Kobieta nie odpowiedziała.

– Jutro wyjeżdżam – dodał.

– Jutro? Dokąd?

– Nie mogę ci powiedzieć.

Zobaczył, że się zasepiła, i wyczytał smutek w jej oczach. Położył jej dłonie na ramionach.

– Kirsten, to nie jest sprawa braku zaufania.

– Ale tak to wygląda.

Zrobiła obrażoną minę, a jej spojrzenie stało się o kilka stopni chłodniejsze.

– Kirsten, nie chcę ryzykować, to wszystko. Kto wie, czy ktoś nas nie obserwuje?

– Ktoś poza Labarthe'ami? Co ty sobie wyobrażasz? Że on ma do dyspozycji armię ludzi? Przeceniasz go, Martin. Poza tym tak czy owak jesteś mu potrzebny. A dokładniej... twoja wątroba.

Miała rację. Dopóki nie przeprowadzono przeszczepu, Hirtmann nic mu nie zrobi. A potem? – zastanawiał się. Co będzie potem? Kto

wie, czy Szwajcar nie zechce zlikwidować drugiego ojca, który stanie się dla niego zbyt kłopotliwy?

– Hallstatt – powiedział.

– Miasteczko ze zdjęcia? – zdziwiła się.

Skinął głową.

– Cholera. Sprytne. Gdzie masz spotkanie?

– Na rynku, pojutrze w południe.

– Mogłabym wyjechać dziś wieczorem. I gdzieś się zaszyć – powiedziała.

Nagle poczuł niepokój. A jeśli właściciel hotelu jest zamieszany w sprawę? Psiakrew, zaczynam mieć paranoję, pomyślał.

– Czym zamierzasz tam dojechać?

– Wynajętym samochodem. Z lotniska.

– Wracajmy do Tuluzy. Labarthe’owie nie żyją, Gustav zniknął.

Nie mamy tu już nic do roboty, a ty i tak musisz być jutro rano w mieście. Podrzucisz mnie do hotelu. A ja się jakoś wymknę i dotrę na miejsce kilka godzin przed tobą...

Zgodził się. Zobaczył w jej oczach mieszankę łagodności i zrozumienia i wyczuł, że Kirsten pragnie bliskości. On także jej potrzebował. Przez chwilę stali w milczeniu z opuszczonymi rękami. Ich dłonie stykały się i szukały nawzajem, palce muskały się i spletały. Zbliżyła się do niego i ich usta się spotkały. Pieściła jego szyję, a on zaczął ją rozbierać i pociągnął w stronę łóżka. Było inaczej niż za pierwszym razem, czulej, nie tak gwałtownie. Jednak Kirsten i teraz ugryzła go i podrapała, jakby znowu chciała zostawić swój ślad na jego ciele. Dopasowała się do jego rytmu i zaczęła, aż dojdzie.

– Jest coś, czego ci nie powiedziałam – zaczęła, gdy już leżeli przytuleni pod kołdrą ze splecionymi nogami, a ona głaskała go po świeżym zaroście. – Mam młodszą siostrę... Jest artystką.

Servaz milczał, czując, że kobieta zamierza powiedzieć coś ważnego, co przez długi czas zachowywała tylko dla siebie.

– Jest podobna do Kirsten Dunst, ale tej z roli w *Spider-Manie*, nie w *Fargo*. Choć wewnętrznie przypomina raczej bohaterkę

*Melancholii*. – (Servaz powstrzymał się od uwagi, że nie oglądał żadnego z tych filmów). – Na pierwszy rzut oka promienna, znasz ten wyświechtany obrazek, kobieta wchodzi do pomieszczenia i nagle wszystkie oczy zwracają się na nią, a w środku mroczna. Moja siostra zawsze miała pociąg do cienia, do czerni, nie wiem dlaczego. Regularnie przechodzi epizody depresyjne, choć jest wszechstronnie uzdolniona i wszyscy faceci leżą u jej stóp. Ale ciągle jej mało. Zawsze chce więcej: więcej miłości, więcej seksu, więcej prochów, więcej ryzyka... Maluje, fotografuje i jako osoba, która ma trochę talentu i dużo znajomości, wystawiała już swoje prace w Oslo, Nowym Jorku i Berlinie. Pisali o niej nawet w „ARTnews”, w „Frieze”, w „Wallpaper”... Ale ona ma to gdzieś. Sztuka jest dla niej tylko sposobem na zarabianie pieniędzy. Gdy zmarł nasz ojciec, nie przyszła ani do szpitala, ani na pogrzeb. Powiedziała, że bała się, że to ją za bardzo przybije. Zamiast tego namalowała cykl obrazów, coś jakby remake Bacona w wykonaniu Davida Lyncha. Ojciec był na tych obrazach przerażający, nadęty, groteskowy, arogancki. Powiedziała, że właśnie tak go postrzegała. Nasza matka nigdy nie doszła po tym do siebie. – Wzruszyła ramionami pod kołdrą. – Ale nie myśl, że nie kocham siostry. Uwielbiam ją. Mimo że przez całą młodość naprawiałam skutki jej wybryków, ukrywałam je przed rodzicami, sprzątałam po niej i służyłam jako alibi, gdy spotykała się z najgorszymi popaprańcami. Aż pewnego dnia w ubiegłym roku zauważyłam, że się zmieniła. – Kirsten oparła się na łokciu. Dotąd patrzyła w okno, teraz zaś skierowała wzrok na Servaza. – Podpytałam ją i w końcu przyznała się, że kogoś poznała... Facet był starszy od niej, inteligentny, szarmancki, zabawny... Nigdy nie słyszałam, by mówiła o kimś w ten sposób. Ale nie chciała mi go przedstawić i wyczułam, że jest jakiś problem. Że z tym gościem musi być coś nie tak, skoro bała się nas poznać. Pomyślałam, że to kolejny popapraniec, jeden z tych świrów, którzy zawsze tak ją pociągali. Aż nagle w marcu zniknęła. Wyparowała. Dotychczas jej nie odnaleziono...



Spojrzał jej w oczy.

– Hirtmann?

Skinęła głową.

– A ktoś by inny? Po zaginięciu mojej siostry w okolicach Oslo zniknęło jeszcze kilka kobiet. Jej przyjaciel z opisu jest do niego podobny.

– Więc to jest powód, dla którego tak się angażujesz. Nie chodzi tylko o to, że na tej kartce było twoje nazwisko... To sprawa osobista. Powinienem być się tego domyślić. Ale dlaczego Hirtmann wybrał akurat ciebie? Po co cię tu ściągnął? Dlaczego włożył karteczkę z twoim nazwiskiem do kieszeni ofiary? Jaki to ma związek z Gustavem?

Nie odpowiedziała. Zanurzyła smutne, pełne rozpaczy spojrzenie w jego oczach. Zerknął na zegarek, odsunął ją delikatnie i usiadł na brzegu łóżka.

– Martin, zaczekaj, zaczekaj – zatrzymała go. – Wiesz, co odpowiedział Barack Obama jednej ze swoich dziewczyn, gdy ta wyznała mu, że go kocha?

Odwrócił się i popatrzył na nią.

– Co?

– Dziękuję. Taka była jego odpowiedź. Proszę, nie mów mi dziękuję.

Po zakończonej próbie poematów symfonicznych Smetany Zehetmayer wrócił do swojej garderoby. Jak zwykle zażyczył sobie czekoladek, japońskiej whisky i róż. Stawiał takie wymagania, by utrzymać własną legendę. Był tak pyszny, iż miał przekonanie, że ta legenda go przeżyje, nie zmniejszało to jednak trwogi, jaka ogarniała go w związku z przyszłym unicestwieniem, wiekuistą nocą – a w ostatnim czasie nie mógł myśleć na te tematy bez drżenia. Rak już dwukrotnie rozluźnił zaciśnięte szczypce, ale tym razem nie puści.

Przez długi czas, tak jak ten nieszczęśnik Ivan Illich, był w stanie ukrywać myśl o śmierci za tapetami i złotem, rzucając się w wir

hiperaktywności i sławy. Blask tej ostatniej był wystarczający, by rozproszyć ciemności. Aż do pewnego momentu, który nastąpił właśnie tego dnia. Choć przepełniona sala pękała od oklasków, on widział przed sobą tylko pustą, cichą przestrzeń – fotele wypełniały szkielety. Sto miliardów: tyle ludzi umarło od początków ludzkości. To liczba czternastokrotnie przewyższająca liczbę żyjących. W gronie zmarłych byli Mozart, Bach, Beethoven, Einstein, Michał Anioł, Cervantes. Taka perspektywa potrafi człowieka usadzić, prawda? Kimże on jest przy nich wszystkich? Nikim. Szkieletem takim jak inne, który szybko popadnie w niepamięć.

Nie wierzył w Boga – był na to stanowczo zbyt pyszny. Jego starczy umysł cechowała przerażająca bystrość, bystrość tak czysta, że granicząca z szaleństwem. Pośród wiedeńskiej nocy otaczającej Musikverein – w takie śnieżne i wietrzne zimowe noce od kilku lat obawiał się, że nie ujrzy kolejnej wiosny – ktoś zapukał do drzwi garderoby. Starzec pomyślał o posągu komandora stukającym do drzwi Don Juana, o piekielnych płomieniach, i zaczął się zastanawiać, czy człowiek, który stoi po drugiej stronie w ciemnym korytarzu, człowiek, który tak często zadaje śmierć, czasem rozmyśla o własnym końcu. A kto nie rozmyśla? Mimo potężnej postury Czech wślizgnął się do garderoby lekko jak cień. Zehetmayerowi wydawało się, że wraz z Jiřím zleciały się tu wszystkie inne cienie tego budynku. Ilu zmarłych zdążył poznać? Jak wielu muzyków, w swoim czasie sławnych, dziś popadło w zapomnienie? Przypomniwał sobie pierwsze rozmowy z tym mężczyzną w więzieniu. Niewinne. Nie przyszłoby mu wówczas do głowy, że kiedyś odnowi ten kontakt ze znacznie bardziej mrocznych powodów. Od początku jednak czuł, że Jiří nigdy się nie zmieni, że znalazłszy się na zewnątrz, powróci do swojego „fachu”. To w nim siedziało. Muzyk także nigdy nie porzuci muzyki.

– Dobry wieczór, Jiří. Dziękuję, że przyszedłeś – powiedział.

Morderca nie raczył odpowiedzieć. Podeszedł do stojącego pod lustrem pudełka z czekoladkami.

– Można?

Zehetmayer skinął głową.

– Mam nowe informacje – ciągnął niecierpliwie. – Oni są w drodze. Przyjeżdżają tutaj, do Austrii.

Jiří przeżuwał czekoladkę, słuchając dyrygenta jednym uchem, jakby temat go nie interesował. Przełknąwszy, natychmiast sięgnął po następną.

– Dokąd? – zapytał.

– Do Hallstatt. Wygląda na to, że ten chłopiec, Gustav, jest chory. Ma być tam operowany.

– Dlaczego? – zapytał Czech.

– Przypuszczam, że Hirtmann ma w Hallstatt jakiegoś znajomego z dawnych czasów. Zanim go aresztowano, często bywał w Austrii.

– I czego pan ode mnie oczekuje?

– Pojedziemy tam.

– A potem?

– A potem zobaczymy. – Starzec na chwilę zamilkł. Następnie spojrzał Czechowi prosto w oczy.

– Zostawiam panu wybór: albo zabije pan jego, albo jego syna. Jednego lub drugiego, wszystko mi jedno.

– Co?

Znowu nastała cisza. Dolna warga dyrygenta lekko drżała.

– Jeśli nie będzie pan mógł zabić jego, zabije pan dziecko. Ma pan dwie możliwości.

Przez chwilę Jiří jakby się zastanawiał.

– Zwariował pan – powiedział.

– Musi być jakiś sposób – nalegał starzec.

Jiří pokręcił głową.

– Zawsze jest jakiś sposób. Chcę więcej.

Twarz Zehetmayera rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Tak myślałem. Milion euro.

– Skąd pan tyle weźmie?

– Trochę w życiu zaoszczędziłem. I nie mam dzieci. Uważam, że to będzie pożyteczny wydatek.

– Mówi pan, że ile lat ma ten dzieciak?

– Pięć.

– Jest pan pewien, że pan tego chce?

– Milion i sto tysięcy euro zaliczki. Reszta po wykonaniu zadania.

Drzwi garderoby nagle się otworzyły. Mężczyźni zobaczyli w nich zmęczoną, przypominającą teatralną maskę twarz jakiejś kobiety o oczach lśniących jak dwa kamyczki. Za jej plecami widać było wózek z przyborami do sprzątania.

– O, przepraszam. Myślałam, że nikogo tu nie ma.

Zamknęła za sobą. Przez kilka chwil milczeli.

– Dlaczego? – zapytał Jiří. – Dlaczego tego chłopca też gotów jest pan zabić? Chciałbym zrozumieć.

– On odebrał mi córkę, ja odbiorę mu syna. – W głosie dyrygenta słychać było poruszenie. – Zwykła arytmetyka. A jemu bardziej zależy na tym dzieciaku niż na własnym życiu.

– Aż do tego stopnia go pan nienawidzi?

– Ponad wszystko. Wie pan, nienawiść to bardzo czyste uczucie.

Jiří wzruszył ramionami. Ten dyrygent jest na sto procent szalony, pomyślał. Ale cóż, skoro płaci...

– Nie wiem – odparł. – Nigdy nie daję się ponosić emocjom. Zgoda na milion euro. I dwieście pięćdziesiąt tysięcy zaliczki.

Następnego dnia inżynier Bernard Torossian niechętnie opuścił swój dom i rodzinę w Balmie na przedmieściach Tuluzy – żonę, pięcioletnią córeczkę ruchliwą jak żywe srebro, nieco spokojniejszego dwunastoletniego syna i anorektycznego greyhouna o imieniu Winston – by udać się na komendę policji. Zostawił samochód na parkingu i dojechał naziemną linią metra A do stacji Jean-Jaurès, a następnie przesiadł się w linię B, kierunek Borderouge. Wsiadł na stacji Canal du Midi i ostatnie metry dzielące go od komendy pokonał pieszo, na nogach jak z ołowiu. Nigdy jeszcze nie przyszedł do pracy z tak ciężkim sercem.

Torossian przyłożył kartę magnetyczną do bramki, wszedł do windy i wcisnął guzik trzeciego piętra, gdzie mieściła się sekcja balistyki laboratorium kryminalistycznego policji. Znalazłszy się w swoim biurze, powiesił kurtkę na haku, usiadł przed komputerem i zmusił się do myślenia. W ostatnich godzinach jego nerwy zostały poddane ciężkiej próbie, tak że zasnął dopiero o czwartej nad ranem. Żona pytała go, co mu jest, ale nie odpowiedział. Obudził się z gulą w gardle.

Poprzedniego dnia skończył strzały porównawcze. Ich wynik był obciążający dla kogoś, kogo bardzo lubił. Nie tylko z tego powodu, że ten ktoś od czasu spraw w Saint-Martin i Marsac stał się niemal legendą policji kryminalnej, ale również dlatego, że cenił go jako człowieka, jako mieszkańca tej przeklętej planety – a to nie zdarzało się często. Ale fizyka i balistyka mają gdzieś ludzkie uczucia. Są zimne, konkretne, wiarygodne, niepodważalne. I właśnie za to Torossian dotąd lubił swój zawód: w przeciwieństwie do kolegów

z innych sekcji nie musiał się zmagać z dżunglą ludzkich uczuć, intuicji, hipotez, kłamstw i półprawd. Aż do tej pory. Dziś nienawidził faktów. Ponieważ fakty mówiły same za siebie: Jensen został zastrzelony z pistoletu Servaza. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Nauka nie kłamie. Pokręcił głową, spoglądając na deszcz smutno ściekający po szybach. Servaz, który chwyta za broń, by z zimną krwią zabić człowieka: nie, to naprawdę absurd. Sięgnął po telefon i wystukał numer Rimbauda.

Odstawił Kirsten do hotelu i zatrzymał się na parkingu przy komendzie. Było krótko przed świtem. Chciał poprosić Espérandieu, by ten czuwał nad Margot pod jego nieobecność – jego córka lubiła Vincenta i miała do niego zaufanie – i miał na oku jej ochroniarzy. Policja cierpiała na brak środków i Servaz wiedział, że gdy zniknie, środki bezpieczeństwa na pewno zostaną ograniczone.

Idąc do budynku, przypomniał sobie słowa Hirtmanna. Czy wchodzi prosto w paszczę lwa? Gdyby mieli już wyniki analizy balistycznej, Vincent by do mnie zadzwonił, pomyślał. Szybkim krokiem przeciął hol, w którym stała już kolejka poszkodowanych, przeszedł przez bramkę po lewej, wszedł do windy i dojechał na drugie piętro, gdzie mieściła się brygada kryminalna. Wychodząc z kabiny, spotkał Mangina, gościa z wydziału identyfikacji, z którym nie łączyła go szczególna zażyłość. Zazwyczaj wymieniali krótkie, konwencjonalne pozdrowienie. Tym razem Mangin obrzucił go ciężkim spojrzeniem i odszedł bez słowa. Nie, nie ciężkim: zdziwionym, zakłopotanym.

Servaz natychmiast wyczuł panującą nerwowość. Kilka nieśmiałych „dzień dobry” w odpowiedzi na jego powitanie sprawiło, że zaczął czuć się nieswojo. Oparł się pokusie, by zawrócić i wziąć nogi za pas. Pryskaj stąd, mówił głos w jego wnętrzu. Teraz. Pryskaj. Wyjął telefon. Nie dostał żadnej informacji od Rimbauda. Ani od Vincenta. Ani od Samiry. Przyśpieszył kroku i zastał kolegów w pokoju.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał od drzwi.

Samira siedziała przed monitorem, Vincent zaglądał jej przez ramię. Obydwoje zastępcy Servaza dyskutowali z ożywieniem i nagle przerwali. Odwrócili się w jego stronę, wytrzeszczając oczy. Wymienił z nimi spojrzenia. I zrozumiał. Poczł gulę w gardle.

– Miałem do ciebie zadzwonić – zaczął Vincent z pewnym wahaniem. – Miałem zadzwonić... Twoja broń...

Ciągle stał na korytarzu, na progu pomieszczenia. Vincent patrzył na niego, jakby ujrzał ducha. Zarejestrował jakiś ruch po lewej... Odwrócił głowę w stronę korytarza. Zamarł. Dużymi krokami zmierzał ku niemu Rimbaud. Z wrogą miną.

– Twoja broń... – powtórzył oszołomiony Espérandieu. – Kurwa, Martin, ty...

Nie słuchał dalszego ciągu. Puścił futrynę, odwrócił się w kierunku wind i ruszył przed siebie. Z początku powoli, potem coraz szybciej.

– Hej, Servaz! – usłyszał za plecami.

Drzwi się rozsunęły. Wszedł do kabiny. Przyłożył kartę do czytnika.

– Servaz! Dokąd! Niech pan wraca!

Rimbaud biegł, wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa. Z biur jedna po drugiej wyłaniały się głowy pracowników. Winda nie chciała ruszyć. Jedź, no jedź! Kiedy Rimbaudowi zostało już tylko kilka metrów, drzwi się zamknęły. Na twarzy inkwizytora malował się gniew, ale także zadowolenie człowieka, który ma rację.

W kabinie odetchnął głęboko. Próbował pomyśleć na chłodno. Ale cały spokój ulatywał z niego jak powietrze z przebitej opony. Oto siedzi w windzie bez możliwości ruchu, gdy tymczasem Rimbaud na pewno obdzwania służby, ogłasza alarm, zbiera ludzi. Jego puls przyśpieszył. Złapią mnie na dole: jeden telefon i zablokują wyjście, pomyślał. Od czasu zamachów z 13 listopada 2015 roku ochroniarze stali nie tylko na zewnątrz; również w środku znajdowali się strażnicy, którzy otwierali drzwi przyciskiem. Był w potrzasku. Po chwili przyszła mu do głowy inna myśl. Ma jednak pewną przewagę: budynek jest duży, a łączność między wydziałami

rzadko funkcjonuje bez zarzutu. Drzwi windy otworzyły się na parterze przed bramką, ale on został w środku, przyklejony do tylnej ściany. Znowu przyłożył kartę do czytnika i wcisnął inny guzik. Urządzenie lekko zadrżało i ruszyło. Podziemia. Cele aresztu tymczasowego.

Nie myśleć o upływających sekundach... Na pewno już zadzwonili do recepcji. Ile czasu minie, zanim zrozumieją, dokąd pojechał? Drzwi się otworzyły. Wyskoczył na zimny, nieprzyjemny korytarz oświetlony wyłącznie sztucznym światłem. Skręcił w prawo. Przeszkłone cele, w jednych jasno, w innych ciemno. Ludzie leżący za szkłem na gołej podłodze, jak szczeniaki w sklepie zoologicznym. Obojętne, znużone, gniewne albo po prostu zaintrygowane spojrzenia.

Nieco dalej duża dyżurka ze strażnikami w jasnych mundurach. Pozdrowił ich, spodziewając się, że zaraz wyskoczą, by go zatrzymać, ale oni tylko – z zaafektowanymi minami – odwzajemnili jego powitanie. Ranek był raczej spokojny. Bez krzyków i zgietku. Właśnie przyjmowano kogoś do aresztu – mężczyzna przechodził przez bramkę, za którą miał zostać przeszukany. Towarzyszyło mu trzech gliniarzy z brygady kryminalnej. Jego puls przyśpieszył. To może być szansa... Minął bramkę i szedł dalej. Skręcił w prawo. Drzwi wychodzące na parking. Otwarte. O kurwa!

W półmroku, niedaleko wyjazdu, stał ford mondeo czekający na powrót patrolu. Pusty... Servaz przełknął ślinę, okrążył samochód i zajrzał do środka od strony kierowcy. Chryste! Na desce rozdzielczej zobaczył kluczyki. Miał chwilę na podjęcie decyzji. Jeszcze nie jest zbiegłym kryminalistą, ale jeśli wsiądzie do tego wozu, nie będzie już odwrotu. Obejrzał się: goście z brygady kryminalnej pilnowali aresztanta, który miał trafić do celi, nie zwracając uwagi na niego ani na samochód. Z oddali usłyszał dzwonek telefonu. Decyduj się! Otworzył drzwi, usiadł za kierownicą, uruchomił silnik. Włączył wsteczny bieg. Zobaczył, że z tyłu ktoś się odwrócił. Kiedy ruszył, jego wzrok napotkał oszołomione spojrzenie brygadiera.



Wykręcił z piskiem opon, przerzucił bieg i wystartował między rzędami samochodów w kierunku wyjazdu. Trzydzieści sekund... Oceniał, że tyle czasu potrzebuje, by dotrzeć do szlabanu otwierającego się automatycznie dla samochodów opuszczających parking, których kierowcom na ogół bardzo się śpieszyło. Jechał szybko, o wiele za szybko. Przed wyjazdem o mało nie stracił panowania nad kierownicą i prawą stroną maski zawadził o jakiś motocykl. Wpadł w mniej lub bardziej kontrolowany poślizg, najpierw skręcając w lewo, a potem skrajnie w prawo. Wielki motor, który przed chwilą potracił, runął na sąsiedni, a tamten na kolejny, i tak – pośród niesionego echem podziemnego parkingu huku zderzającej się blachy – przewróciły się wszystkie motocykle.

Prawie tego nie słyszał: z całym impetem wpadł na podjazd i chybotąc się, wyjechał na zewnątrz obok dystrybutorów paliwa. Następnie gwałtownie zahamował i skręcił w prawo, w stronę bramki i szlabanu zagrządzającego wyjazd na bulwar. Uciekam jak bandyta z własnego miejsca pracy! Pisk opon na pewno było słychać w całej komendzie! Zaciskając mokre palce na kierownicy, starał się przegnać tę myśl, przekonany, że szlaban się nie podniesie, że ktoś się nagle pojawi, że coś pójdzie nie tak i skończy swoje dni w...

Skup się, do cholery! Szlaban... Podniósł się! Nie wierzył własnym oczom. Nadzieja odżyła i Servaz poczuł solidnego kopa adrenaliny. Wypadł na bulwar, przejechał na czerwonym świetle przed wjeżdżającym z prawej strony na skrzyżowanie mini cooperem, który zahamował z piskiem opon, wściekle trąbiąc. Skręcił w lewo, ocierając się o krawężnik, i pomknął w kierunku mostu Minimes. Dwadzieścia sekund. Tyle zajęło mu pokonanie trzystu metrów, jakie dzieliły go od mostu. Piętnaście sekund później był już po drugiej stronie kanału.

Jechał avenue Honoré-Serres. Samochody przesuwwały się wolno, przez co upłynęło kolejne pięćdziesiąt niekończących się sekund. Wycia syren nie było jeszcze słychać, ale jego serce waliło jak werbel. Przez chwilę chciał nawet zawrócić i zameldować się na komendzie ze słowami: „Okay, chłopaki, zrobiłem głupstwo,

przepraszam”. Wiedział jednak, że od momentu, gdy sam dobrowolnie wstąpił na szafot, nie ma już odwrotu.

Był prawie na miejscu: dwieście metrów dalej skręcił w lewo w rue Godolin – wydawało mu się, że w oddali słyszy wycie syren – przejechał jakieś sto pięćdziesiąt metrów i wjechał w rue de la Balance po lewej, na chwilę zgubił się w labiryncie dzielnicy les Chalets, a następnie porzucił samochód i biegiem ruszył przed siebie. Chciało mu się palić. Pragnął też spotkać się z córką, ale i to stało się niemożliwe. Drzwi – w tym wypadku niewidzialne – zamknęły się także tutaj. Pomyślał o Hirtmannie, który zabronił mu palenia. Ale miał straszną ochotę na papierosa. Nie zatrzymując się, sięgnął po paczkę, wydany na pastwę absolutnej samotności.

W wypożyczalni samochodów, której biuro mieściło się w przeszklonej budce pośrodku parkingu naprzeciw lotniska Toulouse-Blagnac, ustawił się w ogonku za grupą Azjatów: nie potrafił odróżnić Japończyków od Chińczyków czy Koreańczyków. Gdy nadeszła jego kolej, pokazał paszport wystawiony na nazwisko Émile Cazzaniga, wypełnił papiery i odebrał samochód. Wrzucił do bagażnika niewielką walizkę i kilka drobiazgów, które kupił w Galeries Lafayette w centrum miasta i włączył silnik.

Piętnaście minut później jechał w kierunku Morza Śródziemnego. Niewielki peugeot 308 gti był nowiutki, bak był pełny, a słońce świeciło. Przez chwilę doświadczał upajającego uczucia wolności, zauważając przy tym, że jedzie z prędkością znacznie niższą od dozwolonej. A potem nagle pomyślał o zaleceniach lekarzy: unikać długich podróży samochodem. Miał przed sobą jakieś piętnaście godzin drogi. A jeśli się przekręcę, zanim dojadę? A jeśli moje serce przestanie bić na autostradzie, przy prędkości stu trzydziestu na godzinę? Wolał o tym nie myśleć. Pomyślał za to o Gustavie i Hirtmannie na zaporze, o swojej córce, która wyglądała na tak wykończoną, i o słowach Rimbauda: „Nie wierzę ani jednemu pańskiemu słowu. I udowodnię, że pan kłamał”, o siostrze Kirsten, artystce, która lubiła ciemności i do nich dołączyła, oczami

wyobraźni ujrzał też samą Kirsten i usłyszał, jak mówi: „Proszę, nie mów mi dziękuję”.

Czy naprawdę chciała to powiedzieć? A ja? Co ja właściwie czuję? Na pewno nie był zakochany, musiał jednak przyznać, że ostatnimi czasy Norweżka zajmowała wiele miejsca w jego myślach. Co teraz będzie? Jestem zbiegiem, a ona wkrótce będzie musiała wrócić do Norwegii. Czy nasze drogi na zawsze się rozejdą?

Upłynęło kilka godzin. Minąwszy Nîmes i Orange, jechał smaganą porywami mistralu doliną Rodanu. Na wysokości Valence-Sud zjechał z autostrady A7 na A9. Zatrzymał się na parkingu niedaleko Bourgoin-Jallieu na lunch złożony z kanapki z tuńczykiem i majonezem oraz podwójnego espresso, a następnie ruszył dalej w kierunku Alp, Annecy i Genewy, gdzie dotarł po zachodzie słońca. Jechał brzegiem Jeziora Genewskiego, za Morges odbił i wziął kurs na północ, na jezioro Neuchâtel, a potem ruszył w stronę nieskalanej bieli Alp Berneńskich. Górskie masywy odcinały się na tle bezchmurnego nieba jak wielkie bezy na czarnym prześcieradle. Minąwszy Zurych, około dwudziestej pierwszej na wysokości Lustenau przekroczył granicę szwajcarsko-austriacką, a następnie w Lindau niemiecką, objechał Jezioro Bodeńskie, zatankował do pełna i koło dwudziestej drugiej dotarł w okolice Monachium.

Po dwudziestej trzeciej w pobliżu Salzburga znowu przekroczył granicę z Austrią i wjechał między potężne szczyty Salzkammergut – giganty, które od czasów paleolitu czuwały nad lokalną ludnością i które teraz, choć pokryte śniegiem, były ledwie widoczne pośród głębokiej alpejskiej nocy. I wreszcie po północy wjechał do Hallstatt, miasteczka rodem z austriackiej pocztówki 3D przycupniętego nad jeziorem, które o tej porze pogrążone było we mgle i ciemnościach. Brukowane wąskie uliczki, fasady tyrolskich willi, fontanny i pawilony: wszystko przypominało kinową dekorację, żywcem wziętą z *Heidi* albo z *Dźwięków muzyki*. Znalazł wskazany przez Szwajcara hotel – Pension Göschlberger –

i dwadzieścia minut później padł jak kłoda na wysokie łóżko zasłane puchową pościelą, które wyglądało jak wyjęte z bajki.

– Wczoraj rano zapłacił kartą Visa w wypożyczalni samochodów w Blagnac – rzucił glina o nazwisku Quintard. – Kilka godzin później w miejscu obsługi podróżnych na wysokości Bourgoin-Jallieu i ostatni raz na bramce Annemasse-Saint-Julien przed granicą szwajcarską.

– Chryste Panie! – zawołał Rimbaud.

– Samochód, peugeot 308, został wynajęty na nazwisko Émile Cazzaniga...

– Super – powiedział policyjny inkwizytor. – Może być w dowolnym miejscu Europy.

– Albo nawet wrócił do Francji. Jest sprytny, mógł to zrobić – zasugerował inny glina z IGPN.

Stehlin przysłuchiwał się tej rozmowie z ponurą miną. Nie wtrącał się. To był jakiś koszmar.

– Czy komuś przychodzi do głowy, dokąd on mógł pojechać? – zapytał Rimbaud, spoglądając ostrym wzrokiem na zgromadzonych wokół stołu.

Ani Vincent, ani Samira nie zareagowali, ale kiedy mężczyzna przeniósł uwagę na innych, wymienili spojrzenia.

– Żeby się poruszać po szwajcarskich autostradach, musi mieć winietę – zauważył Rimbaud. – Może nie miał i zatrzymali go do kontroli? Ktoś może zadzwonić do tamtejszych glin?

Przy stole panowała dekadenccka atmosfera: trwała agonia wydziału, któremu żaden prokurator nie powierzy już poważnego śledztwa. Espérandieu pomyślał, że podobne nastroje muszą panować teraz w administracji w Waszyngtonie, gdy stanowiska zajmują urzędnicy Trumpa. Zawsze może poprosić o przeniesienie... Ale Martin? Co z nim będzie? Czy rzeczywiście załatwił Jensena? Ciągle nie mógł w to uwierzyć. Wzrokiem poszukał wsparcia Samiry i młoda Francuzko-Chinko-Marokanka na chwilę dyskretnie położyła dłoń na jego kolanie. Poczuł bezbrzeżny

smutek. Co poszło nie tak od czasu tego strzału na dachu wagonu? Widział już skończonych policjantów. Ale Martin był jego najlepszym przyjacielem – przynajmniej przed śpiączką.

– A ta norweska policjantka, ktoś wie, gdzie ona jest? – zapytał Rimbaud, patrząc na dyrektora policji kryminalnej.

Stehlin wolno pokręcił głową, jak skazaniec zapytany, czy ma ostatnie życzenie przed śmiercią.

– Super – powiedział znowu inkwizytor. – Poprosimy Interpol o rozesłanie za komendantem Servazem czerwonej noty.

Tylko nie to, pomyślał Espérandieu. Prasa błędnie nazywa czerwoną notę „międzynarodowym nakazem aresztowania”. W rzeczywistości nie jest to nakaz aresztowania – ponieważ policjanci danego kraju mogą aresztować człowieka wyłącznie na wniosek tamtejszego wymiaru sprawiedliwości – ale informacja ostrzegawcza, która pomaga namierzyć delikwenta. Potem można się zwrócić do lokalnych władz o jego aresztowanie.

– Chcę mieć dokładny rysopis, zdjęcie, odciski palców i całą resztę. – Odwrócił się w stronę Vincenta i Samiry. – Możecie się tym zająć? – zapytał jadowicie.

Nastała chwila ciszy. Potem Samira efektownie wystawiła nad blat środkowy palec zdobny w pierścionek z trupią czaszką i wyszła.

– Taka sama odpowiedź – powiedział Espérandieu, wstając z miejsca.

Martin spędził rano na wałęsaniu się malowniczymi uliczkami oraz brzegiem jeziora, w taniej czapce z daszkiem kupionej za resztki gotówki w sklepie z pamiątkami, w okularach przeciwsłonecznych na nosie i grubym wełnianym szaliku na szyi. Zatrzymywał się w kawiarnianych ogródkach i w efekcie wypił takie ilości kawy, że ostatnią filiżankę odsunął od siebie z obrzydzeniem. Nie ryzykował, że zwróci na siebie uwagę: turyści, których w niewielkiej osadzie wciśniętej między jezioro i góry było sto razy więcej niż mieszkańców, dosłownie objali się o siebie na ulicach. Słyszał dookoła wszystkie możliwe języki, ale bardzo mało niemieckiego.

Mimo wszystko musiał przyznać, że otaczający go krajobraz robi wrażenie: białe dachy piętrzące się jedne nad drugimi, urocze drewniane pomosty, które zdawały się uśmiechać – w zestawieniu z nieprzyjazną, przytłaczającą obecnością pokrytej lodem ściany w kolorze bieli poprzecinanej prążkami przypominającymi wykonany drżącą ręką rysunek; ściany, która jak kamień nagrobny schodziła do lekko przymglonych wód Hallstättersee.

Za pięć dwunasta ruszył w kierunku Marktplatz, który znajdował się pięćdziesiąt metrów dalej, w pobliżu kościoła luterańskiego. Było tam mnóstwo turystów, którzy obfotografowywali aparatami i telefonami wszystko, co choćby przypominało stary kamień albo kawałek Austrii. Przez kilka minut czekał prawie bez ruchu, udając, że podziwia fontannę i okolice. Zastanawiał się, gdzie jest Kirsten. Raz po raz rozglądał się za nią z nadzieją, że się pojawi, przebrana tak jak on za turystę, ale się nie pokazała i zaczynał się niepokoić. A potem pomyślał, że to logiczne: równie dobrze może być obserwowany i Kirsten woli nie ryzykować.

– Mahler tutaj przyjeżdżał, wiedział pan o tym? – odezwał się nagle jeden z turystów obok, nie przerywając fotografowania.

Servaz spojrział na niego. Gość miał na głowie śmieszny żółty czapkę z pomponem. Opalony blondyn o zdrowym, wysportowanym wyglądzie. Nieco niższy od niego, ale solidniej zbudowany.

– Spakował się pan? – zapytał mężczyzna, nakładając osłonę na obiektyw aparatu.

Servaz skinął głową.

– Świetnie, chodźmy po pański bagaż.

Kilka minut później wyjechali z miasteczka wiekowym range roverem wypluwającym z siebie czarne spaliny i znaleźli się na wąskiej drodze wiodącej zachodnim brzegiem jeziora.

Samira Cheung popatrzyła na Vincenta. Miała tego dnia tyle czerni wokół oczu, że wyglądała jak upiór z historii o nawiedzonym domu.

– Myślisz to co ja?

– O czym ty mówisz?

– O tym, co Quintard powiedział na zebraniu: ślad Martina, jego droga przez Szwajcarię. Ze Szwajcarii jest niedaleko do...

– Do Austrii, wiem – zgodził się. – Hallstatt.

– Naprawdę sądzisz, że on może tam być?

– To brzmi absurdalnie, prawda?

– No ale to jednak ten kierunek – zauważyła.

Spojrzał na dwa pierścionki z trupimi czaszkami na jej prawej ręce i skórzane bransolety z krzyżykami, ćwiekami i miniaturkami czaszek.

– Tak, to ten kierunek – przyznał. – To także droga do Genewy, miasta Hirtmanna. A ta Norweżka, myślisz, że jest z nim?

Samira nie odpowiedziała. Już stukała w klawiaturę.

– Patrz.

Podszedł bliżej i zobaczył jakiś portal. Przeczytał: „Polizei Hallstatt, Seelände 30”. Był tam adres e-mail zakończony na „polizei.gv.at”, a nawet link do strony internetowej. Samira kliknęła w niego i mimo powagi sytuacji obydwójce się uśmiechnęli: ich oczom ukazała się para top modeli w stylu Barbie i Kena w policyjnych mundurach, stojąca przy samochodzie patrolowym, wyglądająca równie wiarygodnie jak Steven Seagal w roli prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Znasz niemiecki? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Ja też nie.

– Ale mówię po angielsku – powiedział, sięgając po telefon. – Austriacy chyba też *speak english*, nie?

Opuściła firankę. Z okna hotelu Grüner Baum zobaczyła, jak Martin rozmawia z gościem w żółtej czapce robiącym zdjęcia. Teraz razem odchodzili. Wypadła ze swojego pokoju na pierwszym piętrze i wyskoczyła na plac. Zdążyła zobaczyć, jak wchodzi w jedną z uliczek. Zamiast pójść za nimi, ruszyła w innym kierunku.

Espérandieu się rozłączył. Austriacki glina – gość nazywał się Reger czy jakoś tak – okazał się zadziwiająco chętny do współpracy. Wyglądało na to, że jest zachwycony, mogąc pomóc francuskiej policji, nawet jeśli prośba kolegi po fachu sprawiła, że na chwilę zaniemówił. Espérandieu pomyślał, że facet nie ma na co dzień styczności z takimi sprawami. Do ilu morderstw rocznie dochodzi w Hallstatt? Chiński turysta zabity czekaniem przez alpinistę-sinofoba? Zazdrosny mąż, który przywiązał donicę z kwiatami do kostek małżonki, a potem wrzucił ją w odmęty jeziora? Reger miał wyraźny austriacki akcent, ale mówił płynnie i bez błędów. Espérandieu dał znak Samirze, a ta wystukała adres e-mail, który znaleźli na austriackiej stronie, oraz załączyła zdjęcie Martina i tekst po angielsku.

Martin i jego przewodnik w żółtej czapce około czternastej wrócili do Hallstatt. Przejechali przez tunel przechodzący pod górą i zostawili samochód na parkingu P1, a następnie drogą prowadzącą brzegiem jeziora doszli do centrum miasteczka. Było zimno. Nad jeziorem sypał drobny śnieg, a światło było szare jak późnym popołudniem.

– Po co ta sztuczka? – zapytał Servaz, znowu ciągnąc za sobą walizkę.

– Żeby się upewnić, że nikt nas nie śledzi.

– I co teraz?

– Niech pan wraca do hotelu i się stamtąd nie rusza. Proszę czekać, aż ktoś po pana przyjdzie. Żadnych telefonów, rozumie pan? Zero alkoholu, zero papierosów. I proszę unikać kawy. Niech pan pije wodę, odpoczywa, śpi.

Ani Servaz, ani blondyn w żółtej czapce nie widzieli lady nivy na praskich numerach, która kilka minut później zatrzymała się na tym samym parkingu. Zehetmayer wysiadł jako pierwszy. Jak zwykle był ubrany w płaszcz z kołnierzem z lutrów, a na łysej czaszce miał elegancki kapelusz, co stanowiło jawny kontrast wobec oplakanego



wyglądu terenówki. Jiří miał na sobie zwykłą kurtkę, dzinsy i ocieplane buty, tak że można by go wziąć za turystę. Zostawili samochód i ruszyli prosto do centrum miasteczka. Usiedli w kafejce i – niepasujący do siebie jak wilk i lis – obserwowali rzekę przechodzących turystów.

Po trzech godzinach zamknięcia w pokoju Servaza zaczynało nosić. Wciąż myślał o Margot. O jej zmęczonej, przygnębionej twarzy. Wyjechał jak złodziej, a ona na pewno umiera z niepokoju. Coraz trudniej znosił własną niecierpliwość. Musi z nią porozmawiać.

Czy dostali od sędziego pozwolenie na założenie jej podsłuchu? W tak krótkim czasie? Zważywszy na okoliczności, było to możliwe. Ale nie pewne. Francuska policja i wymiar sprawiedliwości nie działają tak jak w serialach. I jest tam wielu patałachów. Wystarczy wspomnieć tych terrorystów poszukiwanych przez policje wszystkich europejskich państw, którzy – zanim zostali zatrzymani – całymi dniami albo tygodniami byli na wolności, przemierzali się z kraju do kraju, przekraczali granice i jeździli pociągami.

Musi zaryzykować. Wyjął telefon na kartę, który kupił w centrum Tuluzy, jadąc na lotnisko, i wystukał numer.

– Halo?

– To ja – powiedział.

– Tata? Gdzie jesteś? – Jej głos aż kipiał z niepokoju.

– Nie mogę ci powiedzieć.

Chwila ciszy.

– Słucham?!

Jego córka znowu się złościła. To się nigdy nie skończy... Przez okno zobaczył biały statek zbliżający się do brzegu po szarych wodach zamglonego jeziora. Przewoził turystów ze stacji kolejowej na drugi brzeg.

– Posłuchaj. Będą cię o mnie pytać. Policja... Będą o mnie mówić jak o... kryminaliście...

– Policja? Ale przecież policja to ty. Nie rozumiem.

– To skomplikowana sprawa. Musiałem wyjechać.  
– Wyjechać? Dokąd wyjechać? Nie mógłbyś mówić bardziej...  
– Daj mi powiedzieć – przerwał jej. – Byłem w potrzasku. Oskarżają mnie o coś, czego nie zrobiłem. Musiałem uciekać. Ale... wróć.

Znowu milczenie.

– Przerażasz mnie, tato – powiedziała nagle.

– Wiem. Przepraszam, skarbie.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, nie martw się.

– Oczywiście, że się martwię – odparowała. – Jak mam się nie...

– Chcę ci powiedzieć coś jeszcze.

Umilkła. Servaz się zawahał.

– Masz brata. Ma na imię Gustav. Ma pięć lat.

Kolejna chwila ciszy.

– Brata... Gustav?

Słyszając jej głos, mógł sobie wyobrazić wyraz absolutnego niedowierzania na jej twarzy.

– Kto jest matką? – zapytała po chwili.

Zamarł.

– To długa historia.

Wypił szklankę wody mineralnej, którą nalał sobie z butelki stojącej w barku.

– Nie śpieszy mi się – odparła. Jej głos znów stał się zimny.

– Kobieta, która dawno temu była moją znajomą, a potem została porwana.

– Porwana? Marianne? Chodzi o Marianne?

– Tak.

– Chryste... On wrócił, prawda?

– Kto taki?

– Wiesz kto.

– Tak.

– Och, tato, kurwa, to niemożliwe. Powiedz, że to nieprawda. Ten pieprzony koszmar znowu się zacznie!

– Margot, ja...

– To... dziecko. Gdzie ono jest?

Przypomniał sobie słowa Espérandieu: „Zapytaj ją. Wprost. Nie owijaj w bawełnę. To nie przesłuchanie”.

– Nieważne gdzie jest. Co się stało, to się nie odstanie. A teraz ja cię o coś zapytam. Co się z tobą właściwie dzieje, Margot? Tym razem mi odpowiedz. Chcę znać prawdę.

Milczenie po drugiej stronie trwało dłużej niż poprzednio.

– Cóż. Wygląda na to, że nie tylko masz drugie dziecko, ale na dodatek będziesz dziadkiem.

– Co?

– Niedługo będzie trzeci miesiąc – dodała.

Pomyślał o wszystkich fizycznych i psychicznych zmianach córki, o jej porannych mdłościach, podejrzliwości, zmianach nastroju, o lodówce pełnej zdrowego jedzenia, o kilku dodatkowych kilogramach...

Musiał być ślepy, skoro niczego nie zauważył. Nawet Hirtmann się domyślił.

– A ojciec? Znam go? – zapytał.

– Tak. To Élias.

Przez chwilę nie wiedział, o kim mowa. A potem sobie przypomniał. Oczami wyobraźni ujrzał wysokiego chłopaka z grzywką zasłaniającą pół twarzy, o niezgrabnych ruchach zbyt szybko wyrosniętego dziecka. Byli w jednej klasie przygotowującej do studiów na uniwersytecie i to on pomógł jej w śledztwie podczas wydarzeń w Marsac. W tym samym liceum, do którego w swoim czasie uczęszczał także Martin i którego jedna z wykładowczyń właśnie została zamordowana <sup>1</sup>. Élias przyjechał też razem z Margot po jej ojca, gdy ten uciekł do pewnego hiszpańskiego miasteczka i leczył się alkoholem po zniknięciu Marianne. Servaz pamiętał, że Élias mówił niewiele, ale zawsze z sensem.

– Nie wiedziałem, że ciągle się z nim spotykasz – powiedział.

– Bo się nie spotykałam. W zeszłym roku zjawił się w Montrealu, niby turystycznie... Nie widzieliśmy się od trzech lat, ale od czasu

do czasu się kontaktowaliśmy. Po czterech tygodniach wrócił do Paryża, pisaliśmy do siebie. A potem znowu przyjechał. Tym razem na dobre.

Margot zawsze miała talent do ujmowania najbardziej skomplikowanych historii w kilku zdaniach.

– I zamierzacie się...?

– Nie, tato, nie. To zupełnie nie na czasie.

– Ale... Mieszkacie razem? – zapytał.

– A czy to ważne? Tato, jakkolwiek by było, musisz wrócić. Nie możesz uciekać jak kryminalista.

– Nie mogę – powiedział. – Nie teraz. Słuchaj, ja...

Usłyszał po drugiej stronie jakiś dźwięk, może trzaśnięcie drzwiami, a potem rozległ się głos: „Margot? Kochanie? To ja!”. Alexandra, jego była żona...

– Nie mów nic matce – rzucił i rozłączył się.

Nagle w jego głowie pojawił się szczęśliwy obrazek z bardzo dawnych czasów: ta sama młoda kobieta, która obecnie jest w ciąży, wspina się na ich małżeńskie łóżko, szczebiocąc i gaworząc w znanym tylko sobie języku. Na to łóżko, na które wdrapywała się codziennie, gdy jej matka jeszcze spała. Jej prywatne Kilimandżaro. Zdobywała je, by znaleźć sobie własny dołek, w którym układała swoje ciało – między nimi. Jej niemowlęcy zapach. Jej miękkie włosy. Nie pamięta niczego przyjemniejszego niż zagłębianie nosa w skórze jej pachnącego, pękatego brzuszka. Zapach niemowlaka zmieszany z kwaskowatą wonią mleka z butelki i wody kolońskiej. Zapach poranków. Jego córka... Która znowu będzie mieć pękaty brzuch.

Miał nadzieję, że Margot będzie dobrą matką, że sobie poradzi. I że jej związek nie rozpadnie się tak jak małżeństwo jej rodziców. Że będzie szczęśliwsza jako matka, niż była jako córka. Że dziecko będzie dorastać w pełnej rodzinie. Próbował myśleć, ale wszystko wirowało, widział tylko dwie olbrzymie planety i inne, mniejsze, krążące dookoła. A może to były planeta i słońce. Czarne słońce...

Miał wrażenie, że miejsce jego córki zajęła jakaś inna Margot. Margot, której nie znał.

Podszedł do okna i zobaczył własne odbicie nałożone na obraz białego statku na szarych wodach. Moja córka, pomyślał ze ściśniętym gardłem. Wiem, że będziesz dobrą, wspaniałą matką. I że wasze dziecko będzie szczęśliwe. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie, ale... mam nadzieję, że pomyślisz o mnie od czasu do czasu i zrozumiesz...

Telefon Kirsten zadzwonił, gdy wróciła na stanowisko obserwacyjne, zamówiwszy kawę i ciastko.

Osoba po drugiej stronie przez chwilę milczała. Wydawało jej się, że słyszy wiecznie padający w Bergen deszcz.

– Gdzie jesteś?

– Na kawie i ciastku.

– Ciągle w hotelu?

– A dlaczego o to pytasz? – rzuciła nagle.

– Słucham?

– Dlaczego chcesz wiedzieć, gdzie jestem?

– Nie rozumiem pytania.

– Czemu tak bardzo cię interesuje, w jakim jesteśmy miejscu i co robimy?

Cisza.

– Co cię ugryzło? – zareagował bergeński glina. – Chcę wiedzieć, jak wam idzie, to wszystko...

– Kasper, wczoraj dzwoniłam do Oslo. Wygląda na to, że oni tam o niczym nie wiedzą. Nikt im nie powiedział, że trafiliśmy na ślad dzieciaka. A przecież cię o tym poinformowałam. Dlaczego nikomu nie przekazywałaś informacji? Dlaczego nie rozmawiałaś ze swoimi przełożonymi?

Z głośnika telefonu słychać było tylko szum deszczu.

– Nie wiem... – odezwał się wreszcie jej rozmówca. – Chyba chciałem ci dać czas, żebyś sama to zrobiła. Wygląda na to, że ty też z nikim nie rozmawiałaś.

Punkt dla ciebie, pomyślała.

– Nie tylko ty jesteś zaangażowana w tę robotę. Ja też bardzo bym chciał, żeby ten drań został odnaleziony. Ale mnie nikt nie opłacił podróży do Francji.

Dwa punkty.

– W porządku. Przepraszam. Jestem teraz trochę zakręcona.

– Dlaczego? – Chwila przerwy. – Nie mów mi... Nie mów mi, że on znowu się pojawił?

– Muszę już iść – powiedziała.

– Co zamierzasz?

– Nie wiem.

– Uważaj na siebie.

– Okay.

Rozłączył się i spojrzał w stronę portu. Nie poszedł dziś do pracy. Wziął dzień wolnego, żeby dokończyć składanie komody. Co za dzień... Potem pomyślał o pieniądzach na swoim koncie. Tych, które już zostały przelane w zamian za informacje. Tych, dzięki którym spłacił już część swoich długów. Trochę mało jego zdaniem, ale zawsze coś. Zerknął na zegarek i wystukał kolejny numer. Bynajmniej nie policyjny.

1. Zob. *Kraq*, op. cit. ↩

– Dobrze się czujesz, Gustavie?

Hirtmann popatrzył na chłopca leżącego na szpitalnym łóżku. Podeszedł do okna. Widział białe dachy Hallstatt nad zaśnieżonym parkingiem, a dalej szare wody jeziora. Klinika została wybudowana w najwyższej części miasteczka.

– Tak, tato – odparł głos za jego plecami.

Zobaczył statek płynący od strony przeciwnego brzegu, na którym znajdowała się stacja kolejowa.

– To dobrze. To już dziś wieczorem, wiesz? – powiedział, odwracając się.

Tym razem chłopiec nie odpowiedział.

– Nie musisz się niczego bać, Gustavie. Wszystko będzie dobrze.

– Chodźmy – powiedział człowiek w żółtej czapce. – Niech pan weźmie walizkę.

– Dokąd idziemy?

Servaz miał już dosyć tajemnic. Spędził całe popołudnie i wieczór w pokoju, krążąc jak dziki zwierz po klatce, aż w końcu zapadł w pełen koszmarów sen.

– Do kliniki – odparł blondyn.

– Czym się pan zajmuje?

– Słucham? Jestem pielęgniarzem – odpowiedział mężczyzna zaskoczony. – Co za pytanie. W klinice... Kazali mi pana odebrać.

– A ta przejażdżka wczoraj wieczorem, żeby zobaczyć, czy ktoś mnie nie śledzi? To także należało do powitania?

Servaz zamknął pokój i szli teraz ku mikroskopijnej windzie.

Mężczyzna posłał mu speszony uśmiech.

– Postępuję zgodnie z otrzymaną instrukcją, to wszystko – powiedział.

– Nigdy nie zadaje pan pytań? – rzucił Servaz, wchodząc do kabiny, która była stanowczo zbyt mała dla dwóch dorosłych osób.

– Doktor Dreissinger powiedział mi tylko, że jest pan kimś znanym we Francji i że nie życzy pan sobie... reklamy, paparazzich i tak dalej...

Ku wielkiej uldze Servaza drzwi szybko się otworzyły. Ruszył do niewielkiej recepcji, by oddać klucz na breloczku. Zastanawiał się nad słowami blondyna. Do głowy przyszła mu pewna myśl.

– A po co mi niby ta dyskrecja? – zapytał. – Jakie operacje normalnie wykonuje pańska klinika?

Żółta Czapka spojrzał na niego oszołomiony.

– No, lifting, plastykę nosa, powiek, piersi, implanty, a nawet falloplastykę i labioplastykę... te sprawy.

Teraz Servaz zdębiał.

– Chce pan powiedzieć, że jedziemy do kliniki chirurgii plastycznej?

Ruszyli brukowanymi uliczkami w górę miasta i po przejechaniu zaledwie kilkuset metrów zatrzymali się na niewielkim parkingu górującej nad dachami i jeziorem kliniki. Żółta Czapka wysiadł z volkswagena jako pierwszy i otworzył bagażnik, a następnie podał mu walizkę. Servaz był przerażony. Wyczytał w Internecie, że przeszczep wątroby jest ciężką i ryzykowną interwencją chirurgiczną, zarówno dla żywego dawcy, jak i dla biorcy, operacją, która może trwać nawet piętnaście godzin. Ta informacja sprawiła, że miał ściśnięty żołądek. A może raczej wątrobę. Dodawał sobie otuchy myślą, że Hirtmannowi za bardzo zależy na jego synu, by powierzać go w niedoświadczone ręce.

Jego syn... Wciąż nie mieściło mu się to w głowie. Jest tutaj, żeby oddać wątrobę własnemu synowi. Ta myśl brzmiała dla niego jak science fiction.



– Co to jest falloplastyka? – zapytał nagle, gdy przecięli parking i wspinali się na główne schody.

– Chirurgia penisa.

– A labioplastyka?

– Plastyka warg sromowych. Zmniejsza się je, gdy są zbyt duże.

– Urocze.

Lothar Dreissinger wyglądał jak żywa reklama chirurgii plastycznej. W stylu zdjęć przed/po. Stanowił doskonałą ilustrację stanu „przed”: był jednym z najbrzydszych mężczyzn, jakich Servaz widział w swoim życiu. Jego twarz wyglądała jak rezultat zmieszania wyjątkowo źle dobranych genów. Za duże i zbyt mięsiste uszy i nos, za małe oczy, za wąska żuchwa, wargi jak u ropuchy, a czaszka łyśa i szpiczasta jak wielkanocne jajko... Do tego żółta, nabiegła krwią rogówka i drobne kraterki na skórze, jakby w dzieciństwie przeszedł ospę wietrzną. Servaz zastanawiał się, czy na widok tej twarzy klienci chętniej pędzą na salę operacyjną, czy przeciwnie, zauważają ograniczenia tak wychwalanej przez właściciela tego miejsca chirurgii. Jeśli nie potrafi naprawić tak jawnych niesprawiedliwości natury, to po co?

Miał na sobie bluzę lekarską, a pod spodem białą koszulę. Jego dłonie były zadbane i w przeciwieństwie do twarzy bardzo piękne. Servaz zauważył to, gdy lekarz splótł palce pod brodą.

– Miał pan wygodną podróż? – zapytał po angielsku.

– A czy to ważne?

Żółte oczy dyrektora były nieprzyjemnie nieruchome.

– Właściwie to nie. Jedyna rzecz, jaka mnie interesuje, to żeby był pan zdrowy.

– Piękna ta pana klinika – skomentował Servaz. – Chirurgia plastyczna, tak?

– Owszem.

– To teraz niech mi pan powie: czy pan jest kompetentny, by przeprowadzić taką operację?

– Zanim się przestawiłem na tę działalność, która jest... bardziej

dochodowa, to była moja specjalizacja. Musi pan wiedzieć, że byłem bardzo dobry. Moja sława sięgała daleko poza granice Austrii.

– Czy pan wie, kim jestem?

– Ojcem dziecka.

– Ale poza tym...

– Nie i mam to gdzieś.

– Co on panu powiedział?

– Na jaki temat?

– Na temat tej operacji.

– Że Gustav musi mieć zrobiony przeszczep. Jak najszybciej.

– Co jeszcze?

– Że kilka miesięcy temu został pan postrzelony w serce. I przez wiele dni był pan w śpiączce.

– I to pana nie niepokoi?

– Dlaczego? Przecież to było serce, nie wątroba.

– Ale czy to nie jest trochę... ryzykowne?

– Oczywiście. Każda operacja niesie z sobą ryzyko. – Dreissinger poruszył pięknymi dłońmi pianisty. – A tutaj chodzi o bardzo trudną operację, właściwie potrójną – dodał. – Pierwsza część polega na wycięciu dwóch trzecich pańskiej wątroby, druga na usunięciu nieczynnej wątroby Gustava i trzecia na przeszczepieniu mu zdrowego narządu i zaszyciu wszystkiego. Zawsze jest jakieś ryzyko.

Servaz poczuł ukłucie w żołądku.

– Ale czy fakt, że dwa miesiące temu przeszedłem operację serca, nie oznacza, że ryzyko jest znacząco większe?

– Dla dziecka nie: wątroba równie dobrze mogłaby pochodzić od martwego dawcy, to jest zresztą częstsza praktyka.

– A dla mnie?

– Dla pana bez wątpienia.

Powiedział to figlarnym tonem i Servaz poczuł, że zaschło mu w gardle. Ten gość ma kompletnie gdzieś, czy umrę czy nie! A Hirtmann? Czy jemu też jest to obojętne?

– Ma pan pod swoim dachem mordercę – powiedział nagle. – I to nie byle jakiego.

Chirurg się zasępił.

– Wiedział pan?

Dreissinger skinął głową.

– Dlaczego? – zapytał Servaz.

– Powiedzmy, że mam wobec niego pewien dług.

Servaz uniósł brew.

– Jaki dług może skłonić człowieka do podjęcia tak wielkiego ryzyka?

– Trudno to wyjaśnić...

– Cóż, niech pan jednak spróbuje.

– Dlaczego miałbym to zrobić? Jest pan gliną?

– I owszem.

Dreissinger spojrzał na niego zdumiony.

– Niech się pan nie martwi, nie jestem tu w charakterze policjanta, tylko, jak pan wie, w charakterze dawcy wątroby. A zatem?

– Zabił moją córkę – wypalił lekarz bez chwili wahania.

Servaz patrzył na drobnego mężczyznę, niczego nie rozumiejąc. Brzydką twarz na chwilę przykryła zasłona smutku. Moment słabości, która jednak szybko się ulotniła i Dreissinger znowu patrzył na niego zdecydowanie.

– Nie rozumiem.

– Zabił ją... Na moją prośbę. Ale oczywiście nic więcej jej nie zrobił. To było osiem lat temu.

Servaz patrzył na niego z coraz większym niedowierzaniem.

– Poprosił pan Hirtmanna, żeby zabił pańską córkę?

– Cóż, panie Servaz, wystarczy spojrzeć na moją twarz, by zrozumieć, że natura nie jest tak doskonała, jak twierdzą niektórzy. Moja córka była równie brzydka jak jej ojciec, co sprawiało, że była bardzo... przygnębiona... Jakby tego było mało, cierpiała na nieuleczalną rzadką chorobę, która przyprawiała ją o straszne męczarnie. Do dziś nie ma na to żadnego lekarstwa i jedynym

wyjściem jest śmierć pośród coraz bardziej nieznośnego bólu, w najlepszym wypadku przed czterdziestką. Któregoś dnia powiedziałem o tym Julianowi. A on zaproponował mi, że to zrobi. Sam wielokrotnie miałem takie myśli. Ale w tym kraju dozwolona jest tylko bierna eutanazja, a ja za bardzo się bałem więzienia. Tak jak panu powiedziałem, mam wobec niego dług, którego nigdy nie zdołam spłacić.

– Ale za to też może pan trafić do paki...

Oczy chirurga przypominały teraz dwie szparki.

– Dlaczego? Zamierza pan mnie wydać?

Servaz nie odpowiedział, ale miał wrażenie, jakby połknął żel chłodzący. Na stole operacyjnym jego życie będzie w rękach tego gościa. Który sam powiedział, że dawca może równie dobrze być martwy.

– Chciałby pan wiedzieć więcej o przebiegu operacji? – zapytał Lothar Dreissinger przymilnym tonem.

Servaz ostrożnie skinął głową, choć nie był całkiem pewien, czy rzeczywiście tego chce.

– Najpierw pobierzemy część pańskiej wątroby. Następnie wykonamy hepatektomię.

– Co?

– Usunięcie, wycięcie chorej wątroby Gustava. Polega ono na przecięciu przyczepów więzadeł, naczyń krwionośnych: tętnicy wątrobowej i żyły wrotnej, a także dróg żółciowych. Z tym że w związku z jego niewydolnością wątrobową będziemy musieli być szczególnie czujni, gdyż mogą się pojawić problemy z krzepnięciem. I wreszcie dokonamy wstawienia przeszczepu. W pierwszej kolejności zostaną przyszyte naczynia krwionośne, żeby dostarczyć krew do nowego narządu. Następnie drogi żółciowe. Na koniec, przed zaszyciem, wprowadzimy dreny, by odprowadzić krew, limfę lub żółć, które mogą się zbierać dookoła. Oczywiście wszystko odbędzie się w znieczuleniu ogólnym. Taka operacja może trwać nawet piętnaście godzin.

Servaz nie był pewien, czy zrozumiał medyczną angielszczyznę

Dreissingera, ale nie usłyszał niczego szczególnie istotnego. Gdzie jest Szwajcar? A Gustav? Nie widział tu ani jednego, ani drugiego. Przyprawiono go prosto do doktora. Po drodze minął drzwi z napisami: Anestezjologia – Blok operacyjny 1 – Blok operacyjny 2 – Rentgen – Apteka. Wszystko było białe, aseptyczne, nieskazitelnie czyste.

– Zrobimy panu serię badań – dodał mężczyzna. – Potem będzie pan odpoczywał aż do operacji i przez cały dzień nic nie będzie pan jadł. I oczywiście żadnych papierosów.

– Kiedy odbędzie się operacja?

– Wieczorem.

Servaz uniósł brew.

– Dlaczego wieczorem? Czemu nie jutro? W ciągu dnia?

– Ponieważ taki mam cykl biologiczny, że wtedy jestem w najlepszej formie – odparł Dreissinger, uśmiechając się. – Jedni są rannymi ptaszkami, inni sowami. Moją porą jest noc.

Servaz nic nie odpowiedział. Prawdę mówiąc, czuł się trochę odklejony, a uczucie odrealnienia narastało. Ten gość przyprawiał go o zimne dreszcze.

– Ktoś odprowadzi pana do pokoju. Zobaczymy się na bloku. Proszę mi oddać telefon.

– Co?

– Pański telefon. Proszę mi go dać.

Lothar Dreissinger zaczekał, aż odgłos kroków na korytarzu ucichnie, a następnie wyszedł z gabinetu i pchnął sąsiednie drzwi. Znajdował się za nimi mały pokój pełen regałów, na których stały dziesiątki oznakowanych segregatorów i pudeł. W głębi niewielkie okno. Wysoka postać, stojąca do niego plecami, odcinała się na tle górskich szczytów.

– Jesteś pewien, że on jest w stanie znieść tę operację? – zapytał chirurg, zamykając drzwi za sobą.

– Jeśli się nie mylę, chodzi ci o jego wątrobę, nie? – odparł Szwajcar, nie odwracając się. – A przy martwym dawcy to nawet

łatwiejsze, prawda?

Dreissinger wolno skinął głową za jego plecami. Odpowiedź Hirtmanna wcale mu się nie spodobała.

– Załóżmy, że facet przeżyje. Co będzie, jeśli po powrocie do domu mnie wyda? Pomyślałeś o tym? Nie powiedziałeś mi, że to glina!

– To już twój problem. Na bloku jego życie będzie w twoich rękach. Musisz zobaczyć, które rozwiązanie będzie ci bardziej odpowiadać: żeby żył czy żeby nie żył.

Dreissinger zagderał niezadowolony.

– Jeśli umrze, będę musiał zgłosić zgon i zażądać wyjaśnień: co ten facet tutaj robił? Będzie śledztwo. Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Nie mogę na to pozwolić...

– W takim razie pozostaw go przy życiu.

– Poza tym ja nigdy nikogo nie zabiłem – dodał Austriak bezdźwięcznym głosem. – Jestem lekarzem, do cholery. Nie jestem... taki jak ty...

– Zabiłeś swoją córkę.

– Nie!

– Ależ tak. Ja byłem tylko twoim narzędziem, to ty podjąłeś decyzję. Ty ją zabiłeś.

Chirurg zamilkł. Hirtmann się odwrócił. Lekarz poczuł zimny dreszcz przebiegający wzdłuż całego kręgosłupa – jak zawsze gdy Szwajcar patrzył na niego tym swoim elektryzującym wzrokiem. Mniejsze wrażenie zrobiłoby na nim porażenie taserem. Podał Hirtmannowi telefon policjanta.

– Za to, mój drogi Lotharze, domyślasz się chyba, że gdyby coś się stało Gustawowi, nie dałbym wiele za twoją skórę.

Lothar Dreissinger miał wrażenie, jakby w jego żołądku zaczęło się wić stado zaskrońców. Nie poddał się jednak.

– Ta operacja i bez tego jest trudna. Nie sądzę, by takie pogrożki mi pomagały.

Hirtmann zachichotał.

– Boisz się, przyjacielu?

– Oczywiście, że się boję. Zawsze będę ci wdzięczny za to, co zrobiłeś dla Jasmine. Ale od dnia twojej śmierci będę spał spokojniej.

Niewielkie pomieszczenie wypełnił śmiech głośny niczym ryk.

Tego ranka policjant o nazwisku Reger wyszedł z Pension Göschlberger z uśmiechem na ustach. Jego francuski kolega będzie zadowolony. Piąty z odwiedzonych hoteli okazał się strzałem w dziesiątkę. Reger uznał jednak, że sprawa nie jest na tyle pilna, by nie mógł zatrzymać się u Maislingera na cappuccino i coś słodkiego. Wgryzając się w wypełnione kremem ciastko, pomyślał, że ostatnimi czasy przybrał parę kilogramów i jeśli chce nadal gonić złodziei, będzie musiał wrócić do sportu. Ale jakich złodziei? – zapytał sam siebie. Oczywiście w Hallstatt zdarzają się włamania, pojawiają się też kieszonkowcy, zwłaszcza latem, wraz z napływem turystów, i czasem, rzadziej, bójki. Ale w ciągu swojej dwudziestodwuletniej kariery zawodowej ani razu nie musiał nikogo gonić.

Zakończywszy oddawanie się drobnej przyjemności, ruszył pieszo do kliniki Dreissingera. Właściciel hotelu rozpoznał nie tylko mężczyznę ze zdjęcia, ale również człowieka, z którym tamten rano odjechał: nazywał się Strauch i był tutejszy. Pracował w klinice jako pielęgniarz. Reger z uśmiechem na ustach wspinał się stromą uliczką: ten poranek był znacznie bardziej ekscytujący od pozostałych.

Servaz wszedł do sali. Spojrzał na drugie łóżko znajdujące się w pomieszczeniu. Jego stało przy drzwiach, tamto w pobliżu okna. Dziecięce... Najwyraźniej zajęte, ponieważ kołdra była odsunięta, a na prześcieradle widniał odcisnięty kształt ciała. W tej chwili było jednak puste.

Pobieżnie rzucił okiem na gałęzie za oknem kołyszące się lekko na tle szarego nieba, na rząd samochodów na niewielkim parkingu, a następnie, gdy tylko osoba, która go tu przyprowadziła, wyszła

z pokoju, przykucnął i wyjął ze skarpetki telefon na kartę. Przypuszczał, że odbiorą mu smartfon. Szwajcar musiał mu zaufać, ale tylko w pewnych ramach i na jakiś czas. Rozejrzał się po sali i zobaczył drugie drzwi. Pchnął je: małe łazienka z toaletą. Zajrzał pod pokrywę rezerwuaru. Wrócił do pokoju.

Nad jego łóżkiem znajdowała się oświetlona listwa. Podszedł do wezłowania szpitalnego łóżka i od spodu wsunął dłoń za plastikową obudowę, na której znajdowało się kilka gniazdek elektrycznych. Konstrukcja tworzyła wnękę przy ścianie. Sprawdził, czy telefon łąpie zasięg i jest wyciszony, położył go tam, cofnął się, by się upewnić, że jest niewidoczny, i tak jak go poproszono, zaczął się przebierać w strój, który czekał na niego na łóżku.

Reger uśmiechnął się na widok kobiety w recepcji. Miała na imię Marieke. Dobrze ją znał: grali w brydża w tym samym klubie. Marieke była rozwódką i samodzielnie wychowywała dwójkę dzieci.

– Jak tam chłopcy, Marieke? Matthias ciągle chce zostać policjantem?

Starszy z jej synów miał dwanaście lat i marzył o tym, by pewnego dnia przywdziać policyjny mundur. Lub jakikolwiek inny, byle dostać głany, pas, broń i przynależną do munduru władzę.

– Ma grypę, leży w łóżku – odparła.

– Ach...

Marieke była ładną, pulchnawą blondynką. Po jej rozwodzie nawiązali z Regerem przelotny romans. Głina położył na ladzie zdjęcie, które przesłała mu francuska policja.

– Powiedz, macie tutaj kogoś podobnego?

Marieke zrobiła zakłopotaną minę.

– Tak, a co?

– Kiedy przyjechał?

– Dziś rano.

To się pokrywało z zeznaniami właściciela hotelu. Reger czuł się coraz bardziej podekscytowany.



– Wiesz, w którym pokoju leży?

Sprawdziła w komputerze i podała mu numer.

– Pod jakim nazwiskiem?

– Dupont.

Francuskie nazwisko. Jego podniecenie wzrosło jeszcze bardziej.

– Proszę, zawołaj doktora Dreissingera – powiedział, wyjmując telefon, który rozdzwonił się, zanim zdążył cokolwiek zrobić. – Halo? – zapytał poirytowany. Słuchał przez chwilę. – Wypadek?... Gdzie?... Hallstättersee Landstrasse? A konkretnie?... Coś poważnego?... Już jadę. – Rozłączył się i ze strapioną miną spojrzał na Marieke. – Powiedz doktorowi, że wpadnę później, teraz muszę iść.

– To coś poważnego? – zapytała kobieta.

– Raczej tak: wypadek z udziałem ciężarówki i dwóch samochodów osobowych. Jest ofiara śmiertelna.

– Ktoś stąd?

– Nie wiem, Marieke.

W obiektywie lornetki wyraźnie widać było okna kliniki. Były duże i obejmowały całą szerokość sal, tak że tam, gdzie nie opuszczono żaluzji, można było zajrzeć do wnętrza oświetlonego jarzeniówkami i jasnego jak w biały dzień. Założył, że ciemne okno oznacza, że w pokoju nikt nie mieszka. Jiří doliczył się około sześciu zajętych sal, przynajmniej z tej strony. Łada stała zaparkowana jakieś pięćdziesiąt metrów od kliniki, przy kamiennym murku, na niewielkim wzniesieniu. Z miejsca kierowcy wodził lornetką od jednego do drugiego okna. Nagle zamarł. Francuski glina. Na parterze. O mało go nie przeoczył, ponieważ pierwsze łóżko było puste, a tamten gość leżał na następnym, na drugim planie. Wyostrzył obraz na łóżko przy oknie. Dziecięce... Czech poczuł, że jego ciekawość niepomiarnie rośnie...

Spojrzał na samochody stojące z ośnieżonymi dachami na parkingu i odwrócił się od okna. Zastanawiał się, gdzie jest Kirsten.

Trzykrotnie próbował się z nią połączyć z telefonu na kartę, ale nie odbierała. A Gustav? A Hirtmann? Wszyscy nagle się ulotnili. Nie potrafił usiedzieć w miejscu. Pragnienie, by ujrzeć Gustava, paliło go od środka. Nie mógł dłużej ignorować swojego niepokoju: bał się, że zobaczy chłopca dopiero na stole operacyjnym, odpływającego w krainy nie tak różne od tych, które on sam poznał w śpiączce. Ten obraz przerażał go bardziej, niż jego własna obecność w tej samej sali i perspektywa, że on także będzie znieczulony: już kiedyś był w znacznie gorszym położeniu.

Chciał jednak mieć pewność, że się obudzi. Żeby się dowiedzieć, czy operacja się powiodła. Czy jego syn żyje. Jego syn. Znowu odsunął od siebie tę myśl. Zbyt dziwnie się z nią czuł. Chłopiec wtargnął do jego życia, choć nikt nie spytał Servaza o zdanie. To było bardzo niewłaściwe, ale zdarzało mu się myśleć o tym dziecku jak o raku, który rósł cicho w jego wnętrzu aż do dnia, gdy jego obecności nie dało się już nie zauważyć. Co będzie potem? Co jeśli operacja zakończy się sukcesem i obaj wyjdą z niej cało? Czy Hirtmann pozwoli im odjechać razem? Na pewno nie. Jeżeli tego chce, będzie musiał wydrzeć chłopca z rąk Szwajcara. Ale czy chce? Poza tym po operacji będzie zbyt słaby, by podjąć jakiegokolwiek działania. Gdzie jest Hirtmann? Dlaczego się nie pokazuje? Potem pomyślał, że Szwajcar na pewno jest gdzieś w klinice razem z Gustavem i towarzyszy mu w badaniach, którym mały musi być poddawany, tak jak on.

Ktoś zapukał. Drzwi się otworzyły i stanął w nich jasnowłosy pielęgniarz. Tym razem bez żółtej czapki.

– Chodźmy – powiedział.

To musi być jego ulubione słowo, pomyślał Servaz.

– Zaczniemy od analizy krwi, EKG i echa serca, żeby sprawdzić, w jakim stanie jest pana serce – wyjaśnił. – Ponieważ pan pali, wykonamy prześwietlenie płuc, a potem USG jamy brzusznej, by obejrzeć pański pęcherzyk żółciowy i zmierzyć wielkość wątroby. Na koniec spotka się pan z anestezjologiem. Zajmie to kilka godzin. Dobrze? – zapytał blondyn, spoglądając na niego.

– Ilu pacjentów jest teraz w klinice? – zapytał Martin, podążając za pielęgniarzem.

Czuł się niepomernie głupio w otwartej z tyłu szpitalnej koszuli włożonej na gołe ciało, w papierowym czepku na głowie i plastikowych pantoflach.

– Dziesięcioro.

– I to wystarczy, żeby taki ośrodek mógł działać?

Jasnowłósy pielęgniarz się uśmiechnął.

– Przy rachunkach, jakie wystawiamy, wystarczy.

Gdy wróciła do hotelu, czekała na nią przesyłka. Recepcjonista podał jej paczkę: „Ktoś to dla pani zostawił”. Weszła do pokoju z pakunkiem pod pachą, zdjęła szary papier, otworzyła pudełko i rozłożyła tkaninę, która znajdowała się w środku. Pistolet owinięty był w zatłuszczoną plastikową folię. Półautomat springfield XD. Chorwacka broń, lekka i godna zaufania. Oraz trzy magazynki mieszczące po piętnaście naboji kaliber dziewięć milimetrów.

Około szesnastej odprowadzili go do pokoju. Od razu zajrzał do walizki. Została przeszukana. Jej zawartość była inaczej ułożona niż przed jego wyjściem. Nawet nie zadali sobie trudu, by to ukryć. Na pewno to samo zrobili z jego ubraniami. Podszedł do plastikowej skrzynki nad łóżkiem i wsunął za nią rękę. Telefon leżał na swoim miejscu.

Zbliżył się do okna i wyjrzał na zewnątrz. Nad górskie szczyty nadciągały kłęby chmur. Cały krajobraz okrywał już posępny bezbarwny welon, a znad jeziora wznosiły się wstążki mgły, jakby pod jego powierzchnią wykluwał się gigantyczny pożar. Zanosiło się na śnieg. To się czuło w powietrzu. Nagle drzwi się otworzyły i Servaz się odwrócił.

Spojrzał na nosze, które przystawiono do dziecięcego łóżka. Zobaczył, jak pielęgniarz zachęca Gustava, by się przesiadł. Gdy chłopiec wykonał polecenie, mężczyzna się do niego uśmiechnął.

Przykrył go kołdrą, przybił z chłopcem piątkę i wyszedł. Jego miejsce natychmiast zajęła inna postać.

– Cześć, Martin – powiedział Hirtmann.

Włosy na głowie Servaza stały dęba. Potężny Szwajcar miał czterodniowy zarost, zaczerwienione powieki i ponurą, nieobecną, zatroskaną minę. Coś go gryzie – takie słowa przyszły Servazowi do głowy. Jakaś tajemnicza myśl. Nagle poczuł uderzenie gorąca. Przypisał je temperaturze panującej w pokoju, ale w głębi duszy wiedział, że nie o nią chodzi. Odgadł, że Hirtmann niepokoi się z tego samego powodu co on. A może ma inne zmartwienie? Od razu stał się czujny. Mężczyzna minął go i wyrzwał przez okno. Na zewnątrz zaczynało zmierzchać. Opuścił żaluzję.

– Co się dzieje? – zapytał policjant.

Szwajcar nie odpowiedział. Znowu go wyminął, podszedł do Gustava i pogłaskał go po jasnych włosach, na co chłopiec odpowiedział ufnym uśmiechem. Servaz poczuł przelotne ukłucie zazdrości. Hirtmann podniósł na niego wzrok, który był jak dotknięcie lodowatego palca przesuwającego się wzdłuż kręgosłupa. Julian Hirtmann się czegoś boi. Albo kogoś. Pierwszy raz w życiu Martin zobaczył w jego oczach strach i widok ten zmroził go bardziej niż wszystkie inne spojrzenia Szwajcara. Zrozumiał bowiem, że nie chodzi tylko o niepewny wynik operacji. Przypomnił sobie, jak przed chwilą Hirtmann pośpiesznie podszedł do okna, by wyrzeć na dwór, a potem opuścić żaluzję. Coś się działo – tam, na zewnątrz.

Kirsten stała niedaleko kościoła katolickiego. Obserwowała ładę przez lornetkę. Kto pod kim dołki kopie... Gość za kierownicą siedział tyłem do niej, ale dobrze widziała zarówno jego, jak i jego lornetkę wycelowaną w klinikę. Spojrzała na kark drugiego pasażera. Jej pistolet czekał zatknięty za pasek na plecach, pod kurtką puchową. Potem skupiła się na klinice: okno Martina. Zamarła. Za szybko właśnie pojawił się Julian Hirtmann. Wyrzwał na zewnątrz. W głębi zobaczyła stojącego Servaza oraz Gustava

leżącego w łóżku. Poczowała, że jej puls przyśpiesza. Blask z okna pokoju tworzył żółtą plamę na pokrywanym parking śniegu, który w popołudniowym świetle nabrał niebieskawego odcienia.

Potem Hirtmann opuścił żaluzję i pokój zniknął jej z pola widzenia. Odjęła lornetkę od oczu. Facet w samochodzie wykonał identyczny ruch. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że obserwował to samo okno. Kirsten zastanawiała się, co teraz robić. Szesnasta trzydzieści. Wkrótce nic już nie będzie widać.

Reger patrzył za ostatnimi samochodami służb ratunkowych, oddalającymi się Hallstättersee Landstrasse w oślepiającym blasku wirujących kogutów. Co za chaos! Koszmar pogiętego metalu i zmasakrowanych ciał, złamanego ludzkiego życia, rozbłysków reflektorów, wiadomości trzeszczących jak sztuczne ognie w krótkofalówkach i wizgu pił ratowniczych. Teraz, gdy wreszcie znów zapanowała cisza i gdy po całym tym piekle zostało tylko wspomnienie w postaci kilku plam oleju i krwi na asfalcie oraz śladów startej gumy, poczuł przypływ gigantycznej migreny.

Szczęśliwie ani kierowca fordą, który zginął na miejscu, ani trójka ciężko rannych pasażerów nie należeli do jego znajomych. Będzie musiał napisać sprawozdanie. Jeszcze teraz drżały mu nogi. Szofer ciężarówki jechał zbyt szybko i stracił panowanie nad kierownicą samochodu, który ześlizgnął się jak Sissy Schwarz na lodzie na lewy pas, zderzając się czołowo z nadjeżdżającym z naprzeciwka fordem. Bmw, które jechało za fordem – i które, jak zapamiętał, prowadził pastor – uderzyło w jego tył. To cud, że zginęła tylko jedna osoba.

Nagle przypomniał sobie o tym, co robił przed wypadkiem. Był w klinice i rzucił wszystko, by przyjechać tutaj. Chryste, co za dzień. Tak to jest. Całymi dniami nie dzieje się nic szczególnego, czym można by się zająć, a potem naraz sto spraw zwala się człowiekowi na głowę. Powrócił myślami do kliniki i ogarnął go niepokój. A jeśli ten gość skorzystał z okazji i zwiął? Jak on będzie wyglądał w oczach kolegów z Francji? Przecież tu chodzi też

o reputację austriackiej policji, pomyślał. Sięgnął po telefon. Zadzwoił do swojego zastępcy Andreeasa, byłego funkcjonariusza Bundespolizei w Dolnej Austrii, policjanta z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem, i wyłuszczył mu sytuację.

– Kim jest ten gość? – zapytał zaskoczony Andreas. – Co mu zarzucają?

Reger musiał przyznać, że francuski glina nie wypowiadał się zbyt jasno na ten temat. Za to bardzo wyraźnie nalegał, żeby pacjenta nie pozostawiono bez nadzoru.

– Spotkamy się w klinice – powiedział. – Postawimy straż przy drzwiach jego pokoju i będziesz go miał na oku. W żadnym wypadku nie wolno mu opuścić kliniki – dodał. – Jasne? Za parę godzin wyślę Nene, żeby cię zmieniła.

– A nie może zwać przez okno?

– Sprawdziłem: okna na parterze zawsze są zamknięte.

– Świetnie. Ale wracając do tego francuskiego gliny, nie powiedział, co do niego ma? – nalegał Andreas.

Czasem Reger uważał, że jego zastępca jest upierdliwy. Zwłaszcza wtedy, gdy dopytywał o sprawy, o które on sam powinien był zapytać.

– Powiedział, że wyjaśni mi wszystko, kiedy tu przyjedzie, i że sprawa jest skomplikowana.

– Aha, skomplikowana sprawa. Okay. Ale ten gość został aresztowany czy nie?

Reger westchnął i wcisnął czerwony guzik w swoim telefonie.

– Jest tam – powiedział Espérandieu, skończywszy rozmowę.

Była siedemnasta. Samira przekreśliła się w jego stronę razem z krzesłem.

– Spędził noc w jednym z hoteli. Potem się spakował i wyjechał w towarzystwie jakiegoś człowieka.

Czekała na dalszy ciąg.

– Ale właściciel hotelu rozpoznał tamtego gościa. Mieszka w okolicy. Nazywa się Strauch i jest pielęgniarzem w klinice...

– W klinice – powtórzyła zamyślona.

Vincent skinął głową.

– Ten Reger rozmawiał z osobą, która pracuje w tym miejscu. Martin pojawił się tam rano.

– Co robimy?

– My nic – odpowiedział. – Ale ja biorę dzień wolnego i jadę tam spotkać się z Martinem... Poprosiłem, żeby do czasu mojego przyjazdu go pilnowali.

Zmrużyła oczy.

– I co zamierzasz?

– Przekonać go, żeby wrócił i się poddał. I pogadać z nim.

– Czy po tym, co się wczoraj stało – powiedziała Samira, nawiązując do zdarzenia, o którym wieść lotem błyskawicy obiegała całą komendę w Tuluzie i które stało się niemal jedynym tematem rozmów – uważasz, że jest winny śmierci Jensena?

– Oczywiście, że nie.

– A jeżeli cię nie posłucha?

Zawahał się.

– Poproszę austriacką policję, żeby go zatrzymała – powiedział niechętnie.

– Będą chcieli oficjalnego wniosku.

– Powiem, że im go dostarczymy, ale tymczasem Martin w żadnym wypadku nie może pozostawać bez nadzoru.

– A co będzie, gdy się zorientują, że niczego nie dostali?

– Zobaczymy. W międzyczasie dotrę na miejsce. Poza tym na pewno widzieli czerwoną notę Interpolu, choć nie zdziwiłbym się, gdyby nie co dzień do nich zaglądali. – Zaczął coś stukać na klawiaturze. – Cholera – powiedział.

– Co tam?

– Najbliższy lot z Tuluzi do Wiednia przez Brukselę jest dopiero za trzy dni, to samo z lotami Tuluza–Salzburg i Tuluza–Monachium. Droga do Paryża, przesiadka i podróż wynajętym samochodem z Wiednia do Hallstatt zajmą mi tyle, ile podróż własną bryczką.

– Nie dotrzesz tam wcześniej niż jutro – zauważyła.

- Właśnie. To kolejny powód, żeby wyruszyć natychmiast. Zobaczyła, jak Vincent wstaje i sięga po kurtkę.
- Dawaj mi znać na bieżąco – rzuciła.

Marieke popatrywała to na Regera, to na jego kolegę, czerwonego na twarzy dryblasza. Zapytali ją, gdzie w tej chwili jest Francuz.

- Na bloku – odparła. – Właśnie go operują.
- Nie można przerwać operacji?
- Żartujesz? Jest w znieczuleniu ogólnym. Obudzi się dopiero za kilkanaście godzin.

Reger zmarszczył brwi. A to dopiero klops. Tego się nie spodziewał. Co robić? Po chwili uznał jednak, że to w sumie niczego nie zmienia. Francuski glina będzie tu dopiero za kilkanaście godzin, więc przynajmniej nie ma ryzyka, że facet się ulotni.

- Zostaniesz przy drzwiach bloku – zwrócił się do Andreasa. – Potem pójdziesz za panem... eee... Servazem do sali wybudzeń, a następnie do jego pokoju.

Reger wrócił na komisariat, którego wygląd w stu procentach odpowiadał wyobrażeniom Espérandieu: gdyby nie podjazd dla niepełnosprawnych, wypisz wymaluj przypominałby alpejską willę. Nie brakowało nawet doniczek z kwiatami w oknach. Reger radośnie pozdrowił pracownika służb miejskich, który wymiatał właśnie śnieg z podjazdu. Gdy tylko wszedł do środka, zadzwonił do francuskiego gliny.

- Jestem w drodze – odparł tamten. – Pilnujcie go?
- Jest na sali operacyjnej, w znieczuleniu ogólnym – powiedział Reger. – Ale postawiłem tam człowieka, który nie odstępuje go na krok. Co ten facet właściwie zrobił? Mówił pan, że jest poszukiwanym kryminalistą. Trochę to niejasne...
- Jest podejrzany o zastrzelenie człowieka – odparł Espérandieu.
- Wielokrotnego gwałciciela.
- Aha, wysłano za nim międzynarodowy nakaz aresztowania? –



dopytywał austriacki policjant.

– Coś takiego jak międzynarodowy nakaz aresztowania nie istnieje – poprawił go rozmówca, po czym nastąpiła chwila ciszy. – Ale tak, jest poszukiwany czerwoną notą Interpolu.

– W takim razie poproszę Bundespolizei z Salzburga o nakaz zatrzymania.

– Nie, proszę tego nie robić, dopóki nie przyjadę – zgasił go Francuz. – Ten człowiek nie stanowi zagrożenia dla innych. Niech pan pozwoli, że sam się tym zajmę.

Reger zmarszczył brwi. Coraz mniej z tego rozumiał.

– Jak pan sobie życzy – powiedział wreszcie.

Ale postanowił, że gdy tylko zakończy tę rozmowę, zawiadomi przełożonych.

Marieke się myliła: Servaz nie był znieczulony. Jeszcze nie. Leżał jednak na stole operacyjnym, oddychając przez maskę tlenową, podłączony do kroplówki, gotów na wlew. Przestraszony, niepewny, rozbity. Wokół niego uwijał się zespół operacyjny, a monitory nadzorowały jego ciśnienie tętnicze, ośrodkowe ciśnienie żyłne i temperaturę.

Odwróciwszy głowę, na sąsiednim stole operacyjnym widział uśpionego już Gustava, którego ciało utrzymywane było w odpowiedniej temperaturze dzięki kocowi i materacowi pulsacyjnemu. Chłopiec leżał w otoczeniu całego arsenału akcesoriów współczesnej sztuki magicznej: monitorów takich jak te, które znajdowały się przy stole Servaza, kroplówek, przezroczystych rurek i wężyków przyklejonych plastrami, strzykawek automatycznych i poduszek zabezpieczających. W jednej z rurek buzowała krew Gustava, jakby chciała wymknąć się na zewnątrz.

Przełknął ślinę. Znieczulenie zaczynało działać i intensywny stres, jaki odczuwał w ciągu pierwszych minut, ustępował nienormalnemu poczuciu dobrostanu – nienormalnemu, zważywszy na bezwzględnie nieprzyjazne otoczenie, w jakim się znajdował.

W ostatnim przebiegu jasnego myślenia zrozumiał, że to uczucie jest błędne, zwodnicze i nie powinien mu ufać. Ale i jego świadomość w końcu uleciała.

Servaz znowu spojrzął na dłoń chłopca leżącego na drugim stole. Na tę rurkę, w której krew walczyła, by wydostać się na zewnątrz. Ciągłe to samo: krew burzy się, żeby się wydostać. Czerwony kolor na białej skórze, czerwony kolor w przezroczystej tubie. Czerwony. Czerwony. Czerwony jak szyja konia z odrąbaną głową, czerwony jak woda w wannie astronautki, która podcięła sobie żyły, czerwony jak jego serce przestrelone pociskiem, a jednak wciąż bijące. Czerwony... Czerwony...

Nagle poczuł się dobrze. Okay. To koniec, jak mówi Espérandieu. Nie, on tego nie mówi. On to śpiewa. *This is the end, my friend*. Zgoda. Chodźmy. To koniec... Gustav, syn Kirsten. Nie, to nie tak. Gustav, syn... czyim on właściwie jest synem? Wszystko mi się płacze. Mój mózg się zapętlil. Czerwony... Jak opadająca kurtyna.

– Gdzie oni są? – zapytał Rimbaud.

Blady, wręcz biały na twarzy Stehlin patrzył na komisarza z IGPN. Szef policji kryminalnej w Tuluzie z pewnością odtwarzał w głowie film z przebiegu własnej kariery, która dotąd była nieskazitelnym pasmem awansów. Ale plama, która właśnie rozlewała się na jego CV, miała wkrótce wymazać całe lata dobrej i lojalnej służby. Już niebawem wszyscy będą widzieć tylko ją, nie będą pamiętać o niczym innym. Lata wysiłków, ambicji, kompromisów zniweczone w jeden dzień. Jak cyklon, który w kilka godzin pustoszy rajskie wybrzeże.

– Nie wiem – przyznał.

– Nie wie pan, gdzie jest Servaz? Nie ma pan zupełnie żadnego pomysłu, dokąd mógł się udać?

Milczenie.

– Nie.

– A ta norweska policjantka, Kirsten...?

– Nigaard. Też nie wiem.

– Jeden z pańskich ludzi jest zbiegłym mordercą, a norweska policjantka, która prawdopodobnie z nim współpracuje, także zniknęła. Czy to pana nie niepokoi? – rzucił ostro Rimbaud.

Twarz dyrektora policji kryminalnej miała kolor zsiadłego mleka.

– Przykro mi, robimy wszystko, co w naszej mocy, by ich odnaleźć...

Jego rozmówca parsknął.

– Wszystko, co w waszej mocy – zakpił. – Jeden z waszych policjantów z zimną krwią zastrzelił człowieka, macie w swoich szeregach mordercę. Ten wydział to prawdziwa porażka, hańba, obraz wszystkich wypaczeń policji. A ponieważ pan nim kieruje, to pan ponosi za to wszystko odpowiedzialność – wycedził zimno Rimbaud. – Niech mi pan wierzy, odpowie pan za to. – Wstał. – A tymczasem niech pan uruchomi wszystkie siły, żeby ich znaleźć. Choć tę jedną rzecz niech pan zrobi dobrze.

Gdy tylko inkwizytor wyszedł, Stehlin podniósł słuchawkę i zadzwonił do Espérandieu. Zastępca Servaza był jedyną osobą, która znała go naprawdę dobrze. Słuchawkę podniosła Samira:

– Szefie...

– Samira? Gdzie Vincent?

Chwila ciszy po drugiej stronie.

– Na urlopie.

– Co?

– Wziął wolny dzień na...

– Wolny dzień? Teraz? Niech mi go pani znajdzie. I powie, że chcę z nim mówić. NATYCHMIAST!

Jiří wyciszył kanał z muzyką poważną, na którym od kilku godzin odtwarzano symfonie na przemian z koncertami i kantaty na przemian z operami.

– Niech mi pan to zostawi – powiedział siedzący na fotelu obok Zehetmayer.

– Nie. Nie, dopóki ja jestem w tym aucie – odparował Czech. –

Muzyka poważna mnie nudzi.

Nie bez satysfakcji zauważył, że stary aż puchnie z oburzenia. Dyrygent zaczynał działać mu na nerwy. Jiří położył lornetkę na kolanach. Nie było już czego oglądać: wokół kliniki zapadły ciemności, żaluzja została podniesiona, a pokój był pusty. Najwyraźniej zaczęła się operacja. Zabrali glinę i dzieciaka na blok. Zaczeka, aż wróca, a wtedy uderzy. Gdy będą jeszcze otumanieni, niezdolni do reakcji. Nawet glina nie będzie mógł stawić mu czoła w takim stanie. Gdzie jest Hirtmann? – zastanawiał się. Na pewno na bloku. Razem z tamtymi, obserwuje operację. Według ich informatora chłopiec jest oczkiem w głowie Szwajcara.

Mimo to siedzący w ciemnej ładzie Jiří nie czuł się całkiem uspokojony. Nie podobało mu się, że Szwajcar jest poza zasięgiem jego wzroku. Miał z tego powodu nieprzyjemne wrażenie, że nie wszystko kontroluje. Nie podobało mu się, że bez przerwy musi oglądać się za siebie. I co niepokoiło go jeszcze bardziej, przez cały dzień miał poczucie, iż Szwajcar wie, że oni tutaj są, i bawi się z nimi w kotka i myszkę. I to nie oni są kotkiem.

Próbował dodać sobie otuchy, rozglądając się dookoła samochodu. Wszystkie karty są w ich rękach. W szczególności zaś karta atutowa w tej grze. Na chwilę zamknął oczy i wyobraził sobie, jak jego nóż starannie podcina gardło Szwajcara. Jak z tętnic Hirtmanna tryska krew. Pokaże mu, który z nich jest najlepszy.

Siedzący obok dyrygent zakasał. To zawsze oznaczało, że zamierza coś powiedzieć. Jiří od niechcienia nadstawił uszu.

– Mogę już przelać „K” resztę pieniędzy. Dostaliśmy obiecaną informację – oświadczył Zehetmayer, sięgając po telefon.

Bergen. Kasper Strand zszedł ze swojego wzgórze – tego, na które wjeżdżała kolejka linowa – przez Øvre i Nedre Korskirkeallmenningen, i znalazł się jakieś sto metrów od targu rybnego. Przeciął dużą esplanadę o lśniącym bruku i minąwszy oświetlone fasady kompleksu restauracyjnego Zachariasbryggen, skierował się ku niewielkiemu pubowi po drugiej stronie Torget.

Jedynemu otwartemu. Restauracje i bary w Bergen zamykane są wcześniej.

Siąpiło. Drobniotka mżawka nie opuszczała miasta i okolicznych wzgórz od tygodni. A Kaspra od dnia, gdy postanowił sprzedać informacje, które przekazywała mu Kirsten Nigaard, nie opuszczało poczucie winy. Choć mówił sobie, że nie miał wyboru, nie potrafił się pozbyć coraz bardziej uporczywego wrażenia, że jest gównem. Że sprzedał własną duszę. W dodatku za kilkadziesiąt tysięcy koron. Wszedł do niewielkiego pubu wypełnionego wyłącznie autochtonami. Na lewo od wejścia znajdował się bar, na prawo niewielkie, ciasno ustawione stoliki, a w głębi maleńka sala. Klientela była blada i ożywiona, panie – niemal wszystkie o zmęczonych twarzach – miały zbyt silny makijaż. Na jedną kobietę przypadało około trzech mężczyzn.

Jego kontakt czekał przy stoliku w kącie, między frontową częścią pubu a salą w głębi. Dyskretne miejsce, z dala od innych stolików.

– Cześć – powiedział Kasper.

– Cześć – powitał go dziennikarz.

Młody mężczyzna, ledwie trzydziestolatek, rudzielec o twarzy łasicy albo lisa, trudno powiedzieć. Niebieskie oczy, bardzo jasne i lekko wyłupiaste, których nie odrywał od rozmówcy ani na chwilę, tak jak ani na chwilę nie przestawał się uśmiechać. Kasper zastanawiał się, czy ten uśmiech nie opuści twarzy mężczyzny aż do śmierci.

– Jesteś pewien, że Hirtmann się pojawił? – zapytał od razu.

– Tak – skłamał, ale przypomniał sobie głos Kirsten i jej chwile milczenia, gdy rozmawiali przez telefon, i nabrał przekonania, że to nie było kłamstwo.

– Kurwa, to będzie zajebisty tekst – cieszył się dziennikarz. – I mówisz, że wychował tego chłopca, Gustava, jak własnego syna?

– Tak jest.

– I gdzie oni są?

– Cóż... We Francji. Na południowym zachodzie... –

powiedział.

– Dzieciak, Hirtmann i twoja koleżanka, która ich śledzi, tak?

Młody facet robił notatki.

– Tak jest.

– O szlag, seryjny morderca, który ratuje dzieciaka od śmierci.

Wytropiony przez naszą policjantkę. Nie możemy dłużej czekać.

Tekst ukaże się jutro.

– Jutro?

– Jutro. Wszystko, co mamy na ten temat.

Kasper przełknął ślinę.

– A moje pieniądze?

Młody człowiek rozejrzał się dookoła, wyjął z płaszcza kopertę i podał mu.

– Tu jest cała kwota. Dwadzieścia pięć tysięcy koron.

Kasper spojrzał na smarkacza, który nawet nie próbował ukryć obrzydzenia, jakie budził w nim bergeński glina. Przez chwilę miał ochotę odsunąć od siebie kopertę, odwrócić się od zła. Kłamstwo, pomyślał. Próbujesz oszukać samego siebie. Już dawno porzucił wszelką godność. Popatrzył na kopertę. Cena zdrady. Zapłata za wyrzeczenie się etyki, honoru. Za przekazanie informacji norweskiej prasie. Za systematyczne przekazywanie dziennikarzowi wszystkiego, o czym Kirsten opowiadała mu przez telefon. Wsunął pieniądze do kieszeni wilgotnej kurtki, wstał i wyszedł na deszcz.

Tuluza. Stehlin nie mógł spać. Nie tylko dlatego, że przeżył najbardziej gówniany dzień w całym swoim zawodowym życiu. Jakby tego było mało, na krótko przed tym, jak przygnębiony i ślaniający się od otrzymanych ciosów wyszedł z pracy, wydarzyło się coś jeszcze. I gdy o piątej rano zszedł do kuchni swojego domu w Balmie, by napić się wody, wciąż rozmyślał o rozmowie telefonicznej, którą odbył chwilę przed dziewiętnastą.

– Dzwoni norweska policja – poinformowała go asystentka tym swoim głosem, który przypominał mu głos jego matki. – Miłego wieczoru. Wychodzę.

Co miało oznaczać: „Jest późno, a ja ciągle tutaj jestem, poświęcam życie rodzinne, żeby być do pana dyspozycji, mam nadzieję, że jest pan tego świadomy”. Podziękował jej, odpowiedział: „Również życzę pani miłego wieczoru” i podniósł słuchawkę. Nie dzwonił z Kripos, ale z jednostki, która – jeśli dobrze zrozumiał – odpowiadała francuskiej IGPN. Obdarzony pijackim głosem facet po drugiej stronie był zatem takim norweskim Rimbaudem.

– Kirsten Nigaard, mówi to panu coś? – zapytał.

– Oczywiście.

– Od wczoraj usiłujemy się do niej dodzwonić. Wie pan, gdzie ona jest?

Stehlin westchnął.

– Nie.

– Przykra sprawa. Chcemy, żeby jak najszybciej wróciła do Norwegii.

– Czy mogę wiedzieć dlaczego?

Chwila wahania po drugiej stronie.

– Jest oskarżona o... napaść na pasażerkę w pociągu.

– Co?!

– Na niejaką Helgę Gunnerud, w nocnym pociągu relacji Oslo–Bergen.

– Napaść? To znaczy? – zapytał dyrektor, coraz bardziej zbity z tropu.

– Pobiła ją, krótko mówiąc. Ofiara musiała zostać przewieziona do szpitala. Upłynęło trochę czasu, zanim wniosła skargę, ponieważ napastniczka powiedziała jej, że jest z policji, i kobieta obawiała się konsekwencji. Ta Helga wyjaśniła, że wsiadła do pociągu na dworcu Finse i że z początku ich rozmowa była bardzo przyjazna, ale w pewnym momencie policjantka nagle stała się agresywna. Helga się wkurzyła, przyznaje, że jest dosyć w gorącej wodzie kąpana, i zaczęły się nawzajem wyzywać. A potem Kirsten się na nią rzuciła.

Stehlin nie wierzył własnym uszom. Piękna Norweżka, taka

zimna i zdystansowana, która siedziała w jego gabinecie, miałyby pobić do nieprzytomności inną kobietę... To było bez sensu.

– Jest pan pewien, że ta Helga nie konfabuluje? – zasugerował.

W głosie rozmówcy usłyszał rozdrażnienie.

– Jak się pan zapewne domyśla, przeprowadziliśmy śledztwo. Obawiam się, że zbyt wiele elementów przemawia przeciwko Kirsten Nigaard. Niech mi pan wierzy, jestem pierwszą osobą, która ubolewa z tego powodu. Co za historia... Niedługo będą o niej pisały wszystkie gazety, ta Helga jest zbyt gadatliwa, by utrzymać język za zębami. Na pewno nie poprawi to reputacji naszej policji. Naprawdę nie wie pan, gdzie w tej chwili jest Nigaard? – zapytał wreszcie Norweg.

Z bólem serca Stehlin musiał przyznać, że nie ma pojęcia, że Kirsten się ulotniła, a także, że mają tutaj, w Tuluzie, parę innych drobnych kłopotów.

– Wygląda na to, że świat zwariował – podsumował błyskawicznie norweski rozmówca, gdy Stehlin skończył.

Tak, pomyślał, sącząc szklankę wody, oparty pośladkami o kuchenny blat. Zbiegły Martin podejrzany o morderstwo i ta norweska policjantka według wszelkiego prawdopodobieństwa cierpiąca na jakiś rodzaj psychopatii... Tak, wygląda na to, że świat zwariował.

Espérandieu przekroczył austriacką granicę dwie godziny wcześniej, niż przewidywał. Jechał szybko, nie zważając na radary ani patrole. Jak błyskawica przemknął przez Szwajcarię i Niemcy, a teraz, nie zwalniając, jechał przez Salzkammergut w kierunku Hallstatt. Znowu zaczął sypać śnieg, ale na razie drogi były czarne. Światła jego samochodu przebijały się przez noc. Nie było tak pusto, jak się tego spodziewał, ponieważ akurat wybiła godzina, o której mieszkańcy Salzkammergut udawali się do pracy, a samochody dostawcze zaczynały kursy. Coraz bardziej się denerwował. Nie wiedział, co go czeka na miejscu. Będzie musiał przekonać Servaza do powrotu i poddania się. To było jedyne rozsądne wyjście. Ale



czy Martin go posłucha? W jego głowie pojawiła się jeszcze jedna intuicja: że przybywa za późno. Ale za późno na co?

Od początku coś szło nie tak. Z nieba sypało grubymi, mokrymi, puszystymi płatkami. Jiří wysiadł z łady i zanurzył się w niespokojnym świetle poranka. Nad kliniką przepływała flotylla nabrzmiąłych śniegiem chmur. Było dziesięć po ósmej, ale niebo wciąż nie chciało się przetrzeć. Do oświetlonego pokoju pielęgniarze przywieźli już glinę i chłopca. Jiří wiedział o tym, ponieważ zanim opuszczono żaluzję, zobaczył, jak nosze z policjantem podjechały do większego łóżka.

Przeskoczył przez murek, ostrożnie zszedł po niewysokiej, obludzonej skarpie między drogą a parkingiem i klucząc pomiędzy samochodami, ruszył w stronę wejścia. Lodowaty wiatr poruszał gałęziami drzew jak semaforami. Żwawym krokiem pokonał schody i wszedł do kliniki. Dobrze znał rozkład pomieszczeń, ponieważ był tu już dwukrotnie: za pierwszym razem z bukietem kwiatów w dłoni, za drugim z pustymi rękami: jak w większości szpitali „cywile” byli w oczach personelu przezroczyści, pod warunkiem że nie przekroczyli granic jakiejś zakazanej strefy, takiej jak blok operacyjny.

Minął recepcję, z wyrazem twarzy człowieka, który wie, dokąd idzie, pchnął skrzydło podwójnych drzwi i skręcił na prawo. Z ręką w kieszeni – tej, w której spoczywał pistolet. Niewielkich rozmiarów, małego kalibru, ale wystarczający. Skręcił w korytarz po lewej. Przystanął. Ktoś tam był. W głębi korytarza, przy drzwiach, na krześle. Kobieta. W policyjnym mundurze. Cholera...

Tego nie było w planach. Jiří zawrócił, zanim policjantka zdążyła go zauważyć. Niewidoczny dla niej, oparł się o ścianę, by się

zastanowić. Był dobrym graczem. Oglądając przez lornetkę układ okien kliniki, wziął pod uwagę rozmaite możliwości, zagrywki i ewentualne reakcje ze strony przeciwnika. Ruszył w drugą stronę, pchnął drzwi na boczną klatkę schodową i pokonawszy dwa ciągi stopni, znalazł się na pierwszym piętrze. O tej porze w pokojach i na korytarzach kręcili się pielęgniarze, we wszystkich kątach stały wózki. Musiał się śpieszyć.

Szybkim krokiem szedł korytarzem, mijając kilkoro drzwi, z których jedno były otwarte, a inne zamknięte. Policzył. To te. Zamknięte. Nadstawił uszu, ale z pokoju nie dochodziły żadne dźwięki. Otworzył i wszedł do środka. Rozpoznał kobietę o twarzy owiniętej bandażami. Widział ją wcześniej przez lornetkę. Poza tym w sali nikogo nie było, pielęgniarze jeszcze tu nie dotarli. Kobieta, której spomiędzy bandaży widać było tylko oczy, usta i dziurki od nosa, patrzyła na niego zaskoczona. Jiří szybko podszedł do pacjentki i wyrwał spod jej głowy poduszkę. Nakrył jej twarz i przycisnął. Pod poduszką rozległy się jęki, a przykryte kołdrą nogi zaczęły się gwałtownie poruszać. Odczekał. Jęki i drgania osłabły, a w końcu ustały. Zwolnił ucisk. Nie miał ani chwili do stracenia.

Przystawił oparcie krzesła do klamki, wrócił do łóżka, zdjął kołdrę i prześcieradło i podniósł odziane w szpitalną koszulę ciało nieboszczki. Była lekka jak piórko. Otworzył okno i pod nim ułożył kobietę. Do pokoju wtargnął wiatr, niosąc płatki śniegu, ciepło z zewnątrz zmieszało się z gorącym powietrzem pokoju jak wody rzeki i morza w estuarium. Chwycił linki żaluzji i kilka razy okręcił nimi szyję ofiary. Wrócił po prześcieradło i przywiązał jeden jego koniec do klamki okna, a drugi owinał kobiecie wokół szyi. Gdy skończył, uniósł ciało i wyrzucił je przez otwarte okno, w szarą, śnieżną otchłań.

Zdjął płaszcz. Pod spodem ubrany był w austriacki mundur policyjny kupiony na czarno w sieci. Chwycił krzesło, które stało pod drzwiami, postawił je na środku pokoju, tam gdzie znajdował się czujnik przeciwpożarowy, wszedł na siedzisko i sięgnął po zapalniczkę.

Hirtmann zatrzymał się u wejścia do korytarza. Miejsce dryblasza pod drzwiami pokoju Martina zajęła jakaś kobieta. Jeśli wnioskować na podstawie munduru – również policjantka z Hallstatt. Musi się jej jakoś pozbyć. Inaczej pułapka nie zadziała. Te pieprzone gliny gotowe mu spłoszyć zwierzynę. Po operacji umieścił Gustava w bezpiecznym miejscu. W szpitalnym pokoju za stalowymi drzwiami, do których klucz miał tylko on. Zazwyczaj pomieszczenie zarezerwowane było dla największych celebrytów. Zehetmayer i jego przydupas na pewno myślą, że chłopiec jest w drugiej sali, tam gdzie Martin – Szwajcar kilkakrotnie podnosił i opuszczał żaluzje w tym pomieszczeniu. Ale jeśli zobaczą przed drzwiami glinę, zawrócą. Chyba że...? Na pewno nie powstrzyma ich zwykły funkcjonariusz miejskiej policji. Z zadumy wyrwał go dźwięk alarmu przeciwpożarowego. Cholera, a to co znowu? Gustav, pomyślał. I oddalił się wielkimi krokami.

Jiří ruszył do pokoju chłopca i francuskiego gliny. Drzwi były otwarte. Siedząca na straży policjantka zauważyła go, gdy się zbliżał. Krótco zlustrowała jego mundur.

– Kim pan jest? – zapytała.

– Ktoś włączył alarm – powiedział. – Jakaś kobieta powiesiła się na oknie. Powiedziano mi, że jest tutaj.

Policjantka zmarszczyła brwi. Nagle z pokoju, przez otwarte drzwi, dobiegł ich czyjś krzyk. Na korytarz wybiegła pielęgniarzka.

– Ktoś tam jest... Wisi za oknem! – zawołała.

Oddaliła się biegiem. Policjantka popatrzyła za nią, a potem spojrzała na niego. Podejrzliwie.

– Kim pan jest? – zapytała. – Nie znam pana. I co to za mundur?

Uderzył ją w głowę kolbą pistoletu.

Do jego zamglonej świadomości zaczynają docierać jakieś dźwięki. Ostre. Przedzierają się przez mgłę wypełniającą jego czaszkę. Jego powieki drżą, ale się nie otwierają. Czuje docierające przez nie

światło, a kiedy wciąga powietrze, jego nozdrza wypełnia aseptyczny zapach szpitalnej sali. Mruga kilka razy, świadomy, jak bardzo odbity od śniegu blask drażni nerwy wzrokowe. I ten nieustanny, ostry, irytujący dźwięk, zagłuszający pracę oscyloskopu. Sądził, że jest u siebie i słyszy dzwonek budzika, ale nie, to nie to. Ten sygnał jest silniejszy, bardziej natarczywy.

Otwiera oczy. Patrzy na biały sufit, białe ściany. Na ścianie widzi jakiś kształt, który porusza się, huśta niczym wahadło zegara na tle biało-szarego cienia listewek żaluzji. I nagle wie, gdzie jest. I dlaczego. Prawą ręką wolno unosi kołdrę, a następnie, ostrożnie, szpitalną bluzę. Musi trochę podnieść pośladki, żeby podciągnąć ją wyżej... Czuje napięcie nici. Otworzyli mu jamę brzuszną, wycięli pół wątroby, zamknęli wszystko i zaszyli. Żyje...

Wciąż słyszy te ostre dźwięki. Tupot kroków na korytarzu. Trzaskające drzwi, jakieś głosy. Odwraca głowę. Coś tam jest... Po drugiej stronie okna, za żaluzjami. Jakiś cień, który odcina się na tle porannej szarówki i powoli kołysze: jak wahadło zegara. Ciało... Za oknem wisi ciało! Zdjęty paniką patrzy na sąsiednie łóżko. Gustav jest na miejscu, Servaz widzi nieruchomy kształt pod naciągniętą wysoko kołdrą. Ma ochotę go obudzić, zapytać, jak się czuje, ale wie, że chłopiec był na stole dłużej niż on. Trzeba dać mu czas. A ten duży cień za oknem... To ciało. Kto to jest? Huśta się coraz wolniej. Może to gałęzie drzew kołyszące się pod ciężarem śniegu? Albo efekt działania leków, które wciąż jeszcze znajdują się w jego krwi? Nie, nie: to jest ciało.

Przez bandaż obmacuje ranę, lekko naciska. Odsuwa kołdrę i zaczyna się poruszać. Nie powinien, wie, że to bardzo zły pomysł. Przesuwa stopy na brzeg łóżka, bardzo powoli unosi tułów, siada ze spuszczone nogami. Gdy kładzie stopy na podłodze, czuje bijący od niej chłód. Na chwilę opuszcza podbródek na klatkę piersiową i zamyka oczy. Czy tam w środku wszystko dobrze się trzyma? Czy coś nie pęknie? Cholera, przecież dopiero się wybudził. Boi się zbyt szybkich ruchów, obawia się, że coś rozerwie, ale musi się upewnić, musi wiedzieć, co to za cień wisi za oknem.

Nabiera powietrza. Otwiera oczy, unosi głowę, prostuje się. Zdejmuje klamerkę, którą ma na opuszce palca. Uruchamia się kolejny alarm. Ostrożnie opiera się o szafkę przy łóżku i bardzo pomалу wstaje. Nogi wydają mu się niezbyt godne zaufania, ale jakoś go utrzymują. Wie, że jeśli się przewróci, spowoduje szkody nie do naprawienia. Mimo to rusza w stronę okna. Powoli. Ma wrażenie, że ten wielki cień, teraz już prawie nieruchomy, zakrywa całe pomieszczenie. Przedostaje się nawet do jego głowy, zajmując całą wolną przestrzeń w zmaconym jeszcze mózgu. Martin przypomina sobie podobny cień w kształcie wielkiego i czarnego złowieszczygo motyla, wiszący na najwyższym słupie kolejki linowej.

Ukłucie w okolicach brzucha dobitnie daje mu do zrozumienia, że stoi, podczas gdy powinien leżeć. Servazowi zaczyna się kręcić w głowie i robi mu się niedobrze. Krok za krokiem przesuwa się jednak w stronę okna. Chce podnieść tę cholerną żaluzję i zobaczyć wiszące ciało. Gdy wreszcie dociera do celu, słyszy, jak drzwi się otwierają, a od progu podnosi się kobiecy głos:

– Dlaczego pan wstał? Niech pan wraca! Nie wolno się panu ruszać! Musimy pana stąd zabrać! Wszyscy muszą zostać ewakuowani!

Pociąga za sznurek i listewki żaluzji powoli się podnoszą. Widzi kształt za oknem. Zastanawia się, czy to nie sen, czy nie znajduje się nadal na stole operacyjnym. Bo oto ma przed oczami na wysokości metra od ziemi stopy, nogi i całe ciało cudownie unoszące się w powietrzu. Lewitująca kobieta. Potem pojawia się głowa – owinięta w bandażę głowa mumii – i wreszcie Servaz zauważa prześcieradło zawiązane wokół jej szyi, zwieszające się z piętra.

Pielęgniarka za jego plecami podnosi wrzask. Servaz słyszy jej kroki oddalające się korytarzem, i wciąż ten przeklęty dzwonek, jeszcze głośniejszy, odkąd drzwi zostały otwarte. Odwraca się. Do sali wchodzi jakiś mężczyzna. Ma na sobie mundur austriackiego policjanta, ale z twarzy przypomina brodatego fauna i patrzy przenikliwym wzrokiem. Nie podoba mu się to spojrzenie. Facet

rozgląda się po pokoju, najwyraźniej kogoś szuka. Wpatruje się w łóżko Gustava. Martin staje się coraz bardziej czujny. Rusza w stronę intruza. Za szybko. Kręci mu się w głowie, nogi odmawiają posłuszeństwa. W ostatniej chwili opiera się o ścianę i udaje mu się uniknąć upadku. Robi mu się gorąco, a potem zimno i znowu gorąco... Otwiera usta i chwytą powietrze. Widzi, jak tamten idzie do łóżka Gustava. Wyciąga rękę, by mu przeszkodzić, ale mężczyzna odpycha go i tym razem Servaz upada do tyłu. Gwałtowne ukłucie rozdziera mu żołądek. Krzywi się z bólu.

Podnosi wzrok na intruza, który wyjął broń z kabury i zerknąwszy ponownie na drzwi, zrzuca kołdrę. Servaz chce krzyczeć, ale widzi twarz tamtego i rozumie, co się stało. Nie musi sprawdzać łóżka Gustava, w które brodaty faun wpatruje się z niedowierzaniem. Potem mężczyzna patrzy na niego, a następnie odkłada broń na łóżko, chwytą wielkimi dłońmi za kołnierz szpitalnej bluzy Servaza i unosi go. Brzuch Martina przeszywa potworny ból. Tamten zbliża twarz do jego twarzy i potrząsa nim. Servaz ma wrażenie, jakby tygrys grzebał pazurami w jego wnętrznościach.

– Gdzie oni są? – wrzeszczy faun. – Gdzie chłopiec? Gdzie Hirtmann? Gdzie oni są?

Drzwi do sali się otwierają.

Servaz zobaczył, że drzwi za plecami mężczyzny się otworzyły. Kirsten! Norweżka sięga do tyłu, wyjmując broń i celuje w ich kierunku.

– Puść go! – woła.

Przyjęła klasyczną postawę, na szeroko rozstawionych stopach, trzymając pistolet oburącz, i Martin od razu się zorientował, że jest w te klocki znacznie lepsza niż on.

– *Fuck!* Powiedziała, puszczaj go!

Mężczyzna wykonał polecenie i Servaz upadł na pośladki. Jego wnętrznościami wstrząsnęła eksplozja. Pomyślał, że na pewno dostanie krwotoku wewnętrznego i zdechnie tu, na tej szpitalnej posadzce. Rzęsisty pot spływał mu z czoła do oczu i Martin zamrugał, a potem otarł go rękawem. Czuł się tak, jakby w jego brzuchu rozegrała się powtórka z Czernobyla.

– Jestem z policji – powiedział mężczyzna. – Za oknem wisi kobieta.

– Odwróć się – rozkazała Kirsten. – Ręce za głowę.

– Przecież ci mówię, że...

– Zamknij się. Ręce.

W chwili absolutnej dezorientacji Servazowi wydawało się, że Norweżka zwróciła się do niego, i zaczął podnosić ręce, ale zorientował się, że to nie on był adresatem jej słów. Brodacz spokojnie zrobił to, co mu kazano, i Kirsten ruszyła przed siebie z wycelowaną w niego bronią. Na łóżku, kilka centymetrów od mężczyzny leżał drugi pistolet, ale tamten trzymał ręce na karku.

– Martin, wszystko w porządku?



Skinął głową, ale miał ochotę wrzeszczeć: „Nie, nie w porządku! Boli mnie! Zaraz zdechnę!”. Zacisnął zęby tak mocno, że zaboląły go dziąsła. Jakieś kroki w korytarzu. I znajomy głos od progu:

– Gustav... – odezwał się Hirtmann.

I wtedy się zaczęło. Sytuacja, która ni stąd, ni zowąd wymyka się spod kontroli, nieprawdopodobny ciąg zdarzeń, zwrot akcji, nagle przyspieszenie czasu. Ucieczka do przodu. Chaos. Entropia. Zatrzymanie. Stopklatka. Film wyświetlany od tyłu.

Servaz zauważył biegnącego Hirtmanna, który zatrzymał się w progu. Kątem oka dostrzegł też błąd Kirsten, fatalny w skutkach moment dekoncentracji, kiedy lufa jej pistoletu lekko zboczyła z celu. Dla człowieka pokroju brodatego fauna chwila to aż nadto. Ta chwila była dla niego jak różnica między życiem i śmiercią. Nie rzucił się po broń leżącą na łóżku, jak uczyniłby ktoś mniej doświadczony. Nie, nie był aż tak głupi: instynktownie wyczuł, że nie zdąży i powinien zdobyć inny pistolet – ten, który jest w niego wycelowany. W zamęcie, jaki nastąpił po wkroczeniu Hirtmanna, rzucił się na Kirsten, brutalnie wykręcił jej nadgarstek i zdołał wyrwać z jej dłoni springfielda XD. Wycelował w stronę drzwi, zasłaniając się Kirsten jak tarczą, ale nie nacisnął na spust. Na progu nikogo już nie było. Hirtmann zniknął. Brodacz obrócił Norweżkę o sto osiemdziesiąt stopni, wciąż wykręcając jej rękę. Przyłożył lufę do jej skroni, tak że dotykała jasnych włosów z ciemnymi odrostami.

– A teraz stąd wyjdziemy – szepnął jej do ucha.

Servaz patrzył, jak opuszczają pokój. Spróbował wstać. Jego nogi były tak słabe, że ledwie doniosły go do łóżka. Padł na pościel. Był mokry od potu i paliły go wnętrzności. Podciągnął bluzę i spojrzał na bandaż owinięty wokół brzucha. Przesączała się przez niego czerwona plama.

– Dokąd idziemy? – zapytała.

– Tutaj są boczne drzwi – odparł Jiří, wskazując na metalowe

skrzydło na końcu korytarza. – Wyjdziemy tędy.

– A potem?

Nie odpowiedział, tylko pchnął ją do przodu, często spoglądając za siebie, tam gdzie zgromadziło się kilkoro pracowników kliniki, którzy z roztropnego dystansu patrzyli na nich jak na zombie z *Żywych trupów*. Była wśród nich policjantka, która przedtem pełniła wartę przy drzwiach. Na głowie miała olbrzymiego siniaka. Po Hirtmannie jednak nie było śladu...

– Jestem po waszej stronie – odezwała się nagle jego zakładniczka, tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

– Co?

– To ja przekazałam te wszystkie informacje twojemu szefowi – powiedziała głośnie. – Kurwa, to dzięki mnie znaleźliście tego dzieciaka. Puść mnie.

Gdzie, u diabła, podział się Szwajcar?

– To ty jesteś kontaktem? – Czech był zaskoczony.

– Kurwa, przecież mówię. Jestem w waszym obozie. Wystarczy, że zapytasz Zehetmayera. Puść mnie!

– Gdzie on jest? – spytał. Nacisnął na skobel, otworzył metalowe skrzydło i wypchnął Kirsten za próg.

Natychmiast uderzył ich świszczący wiatr miotający płatkami śniegu. Mróz zaczął ich szczypać w policzki.

– Kto?

– Hirtmann. Gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia!

Zepchnął ją ze schodów, a ona poślizgnęła się na zamrożonej kałuży i o mało nie upadła, pociągając go za sobą.

– Uważaj! – powiedział, pomagając jej wstać.

Jeszcze mocniej wykręcił jej nadgarstek, tak że Norweżka skrzywiła się z bólu. Ich buty zaczęły się zapadać w śniegu.

– Au! Cholera, to boli!

– Szybciej!

Pchnął ją w prawo i ruszyli wzdłuż tylnej ściany kliniki ku drodze, przy której zaparkował ładę. Dookoła nich rozciągał się

pokryty śniegiem jodłowy las.

– Szybciej!

– Ale dokąd idziemy?

– Zamknij się!

Jeszcze nie słyszał syren, ale wiedział, że pościg wkrótce się zacznie. Policjantka w klinice na pewno wszczęła alarm. Jego umysł rozpaczliwie szukał wyjścia, ostatniego zwycięskiego zagrania, które odmieni sytuację na jego korzyść. Pal licha Zehetmayera, pal licha forszę, pal licha Hirtmanna i dzieciaka: nie chciał wrócić do więzienia. Szli po śniegu, a myśli miotają się w jego głowie jak bydło w płonącej oborze. Ogarnięty wewnętrznym zamętem, za późno zauważył postać, która wyskoczyła zza sosny na wprost przed nimi, wycelowwała broń i strzeliła. Na widok płomienia dobywającego się z lufy Kirsten cicho krzyknęła. Kula przebiła jej prawe ramię na wysokości tricepsu, nie napotkawszy oporu, wyszła z drugiej strony i zagłębiła się w ciało brodacza. Rażony bólem Jiří wypuścił z ręki pistolet, który wpadł w śnieg. Przy okazji puścił też Norweżkę. Kirsten wrzasnęła i odskoczyła na bok. Hirtmann ze spokojem celował do Czecha. Ten uniósł ręce na znak, że się poddaje.

– Kurwa, Julian! – wydzierała się kobieta, trzymając się za ramię.  
– Postrzeliłeś mnie!

– Zapewniam cię, ślicznotko, że celowałem dokładnie w twoje ramię – odparł Szwajcar, podchodząc, by podnieść pistolet. – Ale możesz się uważać za szczęściarę. Nie byłem pewien, czy trafię.

– Chodźmy – powiedział Hirtmann, podając Kirsten jej pistolet, gdy tymczasem Norweżka ociągała się i krzywiła z bólu.

Lufą dał znak Czechowi, by ruszył przed nimi przez las. Jiří zmierzył go wzrokiem, a potem wykonał polecenie. Po raz pierwszy w życiu miał okazję spokojnie się przyjrzeć swemu wrogowi. Pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy: Hirtmann to ciekawy przeciwnik – i groźny. Brodacz nie wiedział jeszcze, w jaki sposób odwróci sytuację na własną korzyść. W tym momencie jego los wydawał się niesprzyjający i nieodwołalny, Jiří wiedział jednak z doświadczenia, że nadejdzie jedna, jedyna chwila, w której taka okazja się nadarzy.

Białe jodły dookoła nich przywodziły na myśl syberyjskie lub kanadyjskie lasy. Trudno było sobie wyobrazić bardziej absolutną ciszę. Jiří właściwie się nie dziwił, że jeszcze nie słyhać syren. Wiele razy w swojej karierze spotkał się z odroczonej reakcją policji. To powszechnie obowiązujące prawo. Być może w chwili, gdy nadeszło wezwanie, patrol znajdował się na drugim końcu swojego rewiru. Szkoda. Wyjątkowo wolałby, by gliny bardziej się pośpieszyły. Z podniesionymi rękami wszedł na delikatne wzniesienie, zapadając się po kostki w śniegu. Szwajcar i jego przydupaska szli za nim.

– W prawo – powiedział Hirtmann przed wysoką jodłą.

Ktoś już tędy przechodził. Świadczyły o tym dwa ślady: jeden w tę i z powrotem, a drugi... Jiří zrozumiał, co się stało, zanim go zobaczył: mężczyzna stał przywiązany do drzewa, drżący, biały niemal jak śnieg – i zupełnie nagi. Przed nim na kupce leżały jego

ubrania. Mniej niż pięćdziesiąt metrów od kliniki... Zehetmayer. Dyrygent dygotał, trzął się na całym ciele i szczął zębami tak głośno, że Jiří słyszał ten dźwięk z miejsca, w którym się znajdował. „Cesarz” stracił całą swoją dumę. Słaniał się pod własnym ciężarem, utrzymywany w pozycji stojącej wyłącznie przez sznur, którym był przywiązany do pnia. Jego naga klatka piersiowa wznosiła się i opadała, a jego uda miały niebieskawy odcień lodu. Potwornie się bał. Gdy spojrział w ich kierunku, jego twarz wyrażała wyłącznie przerażenie. Strach – najstarsza spośród ludzkich emocji, pomyślał Jiří. Gdzie się podział ten pyszny i zarozumiały dyrygent?

– Kirsten – powiedział Zehetmayer, zdziwiony na widok Norweżki. – Kirsten, co ty... co ty...? – Słowa przychodziły mu z ogromną trudnością.

– Co ja tutaj robię? – pomogła mu. Nie odpowiedziała, tylko spojrzała na Hirtmanna. – Nie rozumiesz? – powiedziała w końcu.

Zobaczyła ogłupiałe, pełne niedowierzania oczy dyrygenta.

– Ściągnęłam was tutaj, ciebie i twojego najemnika. To była pułapka. Te twoje rojenia na temat zemsty, twoja strona internetowa, twoja forsa... Nawiązałam z wami kontakt tylko w jednym celu: żeby was tutaj sprowadzić.

Hirtmann mrugnął do nagiego starca. Jiří spojrział na Szwajcara i zrozumiał: to był jego pomysł. Od samego początku pociągał za sznurki. Poczuł nowy przyływ szacunku dla swojego wroga. Znalazł godnego siebie przeciwnika.

– Rozbieraj się – polecił mu Hirtmann.

– Co?

– Nie próbuj grać na zwłokę, dobrze słyszałeś.

Czech popatrzył najpierw na jedno, potem na drugie z nich. Wiedzieli, co robią. Może jednak okazja się nie nadarzy. Może po prostu dotarł do końca swojej drogi. Zaczął zdejmować puchówkę i zerknął na Norweżkę. Odzyskała broń, ale trzymała ją w lewej ręce. Na wysokości prawego ramienia przez jej ubrania przesiąkła ciemna plama i kobieta krzywiła się z bólu. Długo nie pociągnie, ale on umrze przed nią. Szkoda. W starciu jeden na jeden może dałby

radę podjąć jakąś próbę. A może nie. Nie z takim przeciwnikiem.

– Teraz buty – powiedział Szwajcar. – Pośpiesz się.

Wykonał polecenie. Gdy jego stopy zapadły się w świeżym śniegu, poczuł wilgotne zimno przenikające przez skarpety. Zdjął sweter, koszulę, podkoszulek... Stał z obnażonym tułowiem, a chłód otulał go jak druga skóra. Mroźny chłód poranka, ale także chłód świtu po przegranej walce, na polu bitewnym usłanym trupami, chłód zbliżającej się śmierci... Zamarł. Jego tułów i twarz otaczały obłoczki pary.

– Resztę też. Spodnie, majtki, skarpetki. Wszystko.

– Wal się, Hirtmann.

Ciszę lasu rozdarł huk wystrzału, spotęgowany echem. Ciało Jiříego zostało odrzucone na kilka metrów do tyłu.

– Błagam pana – wyjąkał Zehetmayer. – Błagam pana, nie... niech mnie pan nie zabija... proszę.

Hirtmann przyjrzał mu się. Popatrzył na pomarszczoną twarz z oznakami wychłodzenia, na fioletowe wargi, zaczerwienione oczy, łzy, które ciekły po pobrużdżonych policzkach i zamarzały, zanim spadły na ziemię, zgięte kolana, skurczone przyrodzenie, zobaczył, jak lina wrzyna się w klatkę piersiową dyrygenta.

– Zabiłem twoją córkę, powinieneś mnie nienawidzić – powiedział.

– Nie, nie... nie nienawidzę pana, ja... ja...

– Chcesz wiedzieć, co z nią zrobiłem przed śmiercią?

– Błagam... niech mnie pan nie zabija...

Starzec powtarzał w kółko to samo. Kirsten zobaczyła parującą, żółtą plamę, która wyżłobiła dołek między jego nagimi stopami. Ujrzała rzadkie białe włosy fruujące nad zsiniałymi uszami jak skrzydła rannego ptaka, który nie może się poderwać do lotu. Wycelowała pistolet i strzeliła. Ciało drgnęło i opadło, z podbródkiem zwieszonym na klatce piersiowej, podtrzymywane tylko przez linę, którą było przywiązane do drzewa.

– Co ty odwalasz? – zapytał Hirtmann, odwracając się w jej stronę.

Zobaczył dymiącą czarną lufę. Wycelowaną w siebie.

– Widzisz: pozbywam się świadków.

Trzymał pistolet w dłoni, ale jego ręka była opuszczona.

– Co to za gra? – zagadnął spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie.

Nadstawiła uszu. Z oddali wreszcie słychać było syreny.

– Myślałem, że lubisz te nasze gierki.

– Powiedzmy, że mi się znudziły. Julian, niedługo będzie tu policja, nie chcę spędzić reszty życia w więzieniu. Ani za ciebie, ani za nikogo innego. Dzięki niemu jestem bogata – dodała, ruchem głowy wskazując na dyrygenta. – A niedługo dostanę medal za to, że cię unieszkodliwiłam.

– Nie będzie ci mnie brakować? – zakpił.

– Ty i ja mamy za sobą dobre chwile, ale nie zamierzam pozostawić cię przy życiu.

Obserwowała pistolet w jego ręce, która wciąż była zawieszona wzdłuż tułowia. Trzymała go na muszce, ale wiedziała, że dopóki nie wpakuje w niego dwóch kulek, Hirtmann nadal jest niebezpieczny, nieprzewidywalny, śmiertelnie groźny.

– Ale to z twojej broni zginął stary – powiedział, wskazując brodą na trupa przywiązanego do drzewa.

– Wymyślę jakieś wytłumaczenie. Poza tym Martin poświadczy, że go uratowałam, że tamten gostek wziął mnie jako zakładniczkę. Jest całkiem sporo świadków...

– Martin? Widzę, że się zbliżyliście...

– Julian, przykro mi, ale czas nagli. To nie jest moment na pogaduszki.

– Pamiętasz swoją siostrę? – zapytał nagle.

Zamarła, a w jej oczach pojawił się nowy błysk.

– Nie cierpiałaś jej, nienawidziłaś... Rzadko widziałem taką niechęć między siostrami. To prawda, miała wszystko: talent, osiągnięcia, mężczyzn, i była ulubienicą rodziców. Twoja siostra traktowała cię jak zwierzątko do towarzystwa. Byłaś tą przeciętnie uzdolnioną, która zawsze żyłaby w jej cieniu. Zabiłem ją dla ciebie,

Kirsten. To był mój prezent. Zwróciłem ci twoją godność. Sprawilem, że odkryłaś siebie. Dzięki mnie zaszłaś dużo dalej, niż kiedykolwiek byś się odważyła. Wszystkiego cię nauczyłem...

– To prawda, byłeś dobrym nauczycielem. Ale zapomniałeś o jednym szczególe. Przypominam ci, że na początku, w tamtej nieczynnej fabryce, zamierzałeś zgwałcić i zabić mnie, nie moją siostrę.

Popatrzył jej prosto w oczy, zerknął na czarne oko na końcu lufy i znowu przeniósł wzrok na nią.

– Tak. A ty mnie przekonałaś, żebym tego nie robił. Nawet się nie bałaś. A wybrałem naprawdę straszne miejsce. Nie było żywej duszy, nikt nie usłyszałby twojego krzyku. Każdy by się przeraził. Ale nie ty. Jakież to było frustrujące patrzeć, że czekasz na tę śmierć jak na wybawienie. Mój Boże, nie zareagowałaś nawet wtedy, kiedy ci powiedziałem, że będziesz cierpieć. To mnie rozwścieczyło. Nie zamierzałem być narzędziem twojego samobójstwa. Zachęcałaś mnie, drażniłaś. Im bardziej cię biłem, tym bardziej zapędzałaś mnie w kosi róg. Muszę przyznać, że jeszcze czegoś takiego nie widziałem. A potem zaproponowałaś mi ten układ: twoje życie za życie twojej siostry. To było takie niespodziewane, takie... szalone. Chcesz wiedzieć, jak ją zabiłem? Nigdy mnie o to nie pytałaś. Chcesz wiedzieć, czy bardzo krzyczała?

– Mam nadzieję, że tak – odparła zimno Kirsten. – Mam nadzieję, że ta szmata porządnie oberwała.

– Och, o to możesz być spokojna. To jak? Nasza wspólna droga dobiegła końca? Podejrzewam, że nie było innego sposobu, żeby nas rozdzielić. Połączyła nas zbrodnia i zbrodnia nas rozłączy.

– Nagle stałeś się romantykiem, Julianie.

– Nie byłaś taka cięta, kiedy błagałaś, żebym ci pozwolił sobie towarzyszyć, złotko. Wyglądałaś jak dziewczynka, której obiecano najwspanialszy prezent. Żebyś widziała ten blask w swoich oczach. Ale to prawda, łatwiej było porywać te kobiety, gdy miałem ciebie jako przynętę. Policjantka, kobieta taka jak one. Poszłyby za tobą wszędzie.



– Myliły się – powiedziała, nasłuchując syren zbliżających się radiowozów. Było ich kilka.

– Co za ironia losu, prawda? Osoba odpowiedzialna za śledztwa w sprawie zaginięć była jednocześnie tą, która się do nich przyczyniała. Ale jesienią i zimą w Oslo jest trochę za zimno na takie rozrywki.

– Powiedz, czy ty przypadkiem nie próbujesz zyskać na czasie? Chyba nie zamierzasz mnie błagać tak jak tamten, co?

Jego śmiech rozdarł leśną ciszę. Syreny były coraz bliżej.

– Gdybym uważał, że to zdoła w czymś pomóc, może bym tak zrobił. I pomyśleć, że to ja przyniosłem ci ten pistolet do hotelu. To też jest ironia losu, nie?

Zlany potem, czepiając się ramy łóżka, usiłował iść w stronę drzwi, gdy nagle stanęła w nich znajoma postać. Servaz zamarł. Zastanawiał się, czy przypadkiem mózg wciąż nie płata mu figli. A potem się uśmiechnął. I skrzywił z bólu.

– Cześć, Vincent.

– Chryste! – zawołał Espérandieu na jego widok. – A dokąd ty się wybierasz w takim stanie?

Stanął obok komendanta i objął go w pasie, by go podtrzymać i położyć z powrotem do łóżka.

– Nie powinieneś wsta...

– Idziemy – przerwał mu Servaz, wskazując na boczne drzwi znajdujące się pięć metrów dalej.

Espérandieu znieruchomiał.

– Co?

– Proszę, rób, co ci mówię. Pomóż mi.

Vincent popatrzył na pokój i łóżko, a następnie na drzwi. Pokręcił głową.

– Nie wiem, czy...

– Zamknij się – uciął Servaz. – Ale dziękuję ci, że tu jesteś.

– Nie ma za co. Nie ma jak miłe powitanie. Wygląda na to, że wpadłem w samą porę. Przyjechałem bezpośrednio tutaj, ale myślę,

że wkrótce będzie tu cała kawaleria.

– Chodźmy – powiedział Martin. Trzęsły mu się nogi.

– Kurwa, ty nie jesteś w stanie. Właśnie wycięli ci pół wątroby, wszędzie masz dreny! To szaleństwo.

Servaz zrobił krok w stronę drzwi, potknął się. Espérandieu złapał go w locie i mocniej przytrzymał.

– Pomóż mi! – wrzasnął jego szef.

Pod ramię, krok za krokiem szli ku metalowym drzwiom jak dwaj kalecy weterani powracający z wojny. Espérandieu wolną ręką trzymał się poręczy przy ścianie.

– Mogę wiedzieć, dokąd idziemy?

Servaz skinął głową, skrzywił się i zacisnął zęby. Ból nie ustawał już ani na chwilę, a nogi ledwie go niosły.

– Tam jest Kirsten... Z jednym facetem... Uzbrojonym... Zostawiłeś swój pistolet w Tuluzie...

Espérandieu posłał mu dziwny uśmieszek. Sięgnął pod kurtkę.

– Nie do końca. Uważasz, że będzie mi potrzebny?

– Mam nadzieję, że nie... Ale trzymaj go w pogotowiu... Facet jest niebezpieczny.

Vincent przesunął się za plecami Martina, by podtrzymać go lewą ręką, a prawą chwycić broń.

– Co to za gość? – zapytał. – Hirtmann?

– Nie... kto inny...

– Może powinniśmy poczekać na posiłki, co?

– Nie ma czasu.

Jego zastępca postanowił, że na razie nie będzie próbował zrozumieć. Martin wyjaśni mu sytuację w stosownym czasie. W każdym razie miał nadzieję, że Servaz zrobi to, zanim coś pójdzie nie tak. Chrzestny jego syna naprawdę kiepsko wyglądał. A perspektywa, że na dworze znajdzie się twarzą w twarz z uzbrojonym i niebezpiecznym człowiekiem, również go nie zachwycała. Ostrożnie zeszli po śliskich stopniach i ruszyli przed siebie po świeżych śladach na śniegu.

Servaz zdążył wzuć buty, a na ramiona narzucił kołdrę, ale

lodowaty wiatr wślizgnął się pod nią, owijając się wokół jego gołych nóg i mroząc go na kość. Pałący ból i nie mniej pałący chłód dziwnie się równoważyły. Nagle pochylił się do przodu i z wymiotował na śnieg.

– Martin, kurwa! – krzyknął Vincent.

Wyprostował się. Jego twarz była mokra od potu. Czuł, że odlatuje, i zastanawiał się, czy zdoła dojść na miejsce. Vincent miał rację: to szaleństwo. Ale przecież ludzie są zdolni do niesłychanych wyczynów, prawda? – pomyślał. Telewizja codziennie o tym informuje. A więc dlaczego nie ja?

– W tej kołdrze i koszuli wyglądam jak Chrystus, nie sądzisz? – Jego twarz skrzywiła się w grymasie, który miał być uśmiechem.

– Masz trochę za krótką brodę – odparował jego zastępca.

Chciał się roześmiać, ale zakasłał i poczuł, że znowu zbiera mu się na wymioty.

Nagle w lesie, niedaleko od miejsca, w którym się znajdowali, rozległy się dwa strzały. Zamarli w bezruchu. Pod wpływem fali dźwiękowej z drzew spadło trochę śniegu. Dźwięk jeszcze chwilę wibrował w powietrzu, a potem znowu wszystko ucichło. To było gdzieś blisko.

– Daj mi swój pistolet.

– Co?

Servaz prawie wyrwał broń z rąk Vincenta i potykając się, ruszył po śladach.

– Przypominam ci, że to ja jestem lepszym strzelcem! – rzucił Vincent, doganiając go.

Kawałek dalej, za jodłami, ktoś się zaśmiał. Martin rozpoznał głos Hirtmanna. Przyśpieszył kroku. Kręciło mu się w głowie i paliły go wnętrzności. Minąwszy potężną jodłę, zobaczył całą czwórkę: dwa trupy, w tym jednego nagiego, przywiązanego do drzewa i drugiego – tego, który napadł na niego w pokoju – leżącego na śniegu, oraz Kirsten z bronią wycelowaną w Szwajcara.

– O kurwa – skomentował Espérandieu za jego plecami.

Z tyłu, w dole, po drugiej stronie kliniki wyły syreny

radiowozów, które były już blisko.

– Martin – odezwała się Kirsten na jego widok i Servaz miał wrażenie, że jest niezadowolona. – Powinieneś być w łóżku.

– Martin – przemówił z kolei Hirtmann. – Powiedz jej, żeby do mnie nie strzelała.

Zobaczył pistolet w opuszczonej dłoni Szwajcara.

– Zabił moją siostrę – powiedziała Kirsten głosem drżącym z nienawiści. – Zasługuje na to, by zdechnąć.

– Kirsten – zaczął Servaz.

– Torturował ją, zgwałcił i zabił. – Jej dolna warga drżała, podobnie jak lufa pistoletu. – Nie chcę, żeby dożył swoich dni w psychiatryku, rozumiesz? Rozpieszczany i odpowiadający na pytania pismaków albo lekarzy. Nie chcę, żeby w dalszym ciągu sobie z nas kpił. Nie chcę...

– Kirsten, opuść broń – powiedział i wycelował w nią swój pistolet.

– Ona strzeli – powiedział Szwajcar. – Martin, nie pozwól jej. Strzel pierwszy.

Popatrzył na Kirsten, potem na Hirtmanna i znowu na Kirsten.

– Nazywa się Kirsten Margareta Nigaard – powiedział bardzo szybko Szwajcar – ma tatuaż od pachwiny do biodra, jest moją kochanką i współniczką. Spałeś z nią, Martin? To wiesz, że...

Nagle zobaczył, jak Norweżka przesuwa dłoń z pistoletem i nie celuje już w Szwajcara, ale w niego. Palec na spust, zgiąć, nacisnąć... Jego dłoń drżała – z zimna, z wyczerpania, z zaskoczenia, z bólu, z wściekłości – drżała zbyt silnie, by mógł dobrze wycelować... O wiele za mocno, żeby mógł wygrać pojedynek...

Szczegóły ukazały mu się w postaci trwającej jedno mgnienie oka porażającej sceny: ciężkie od śniegu gałęzie jodeł rozkołysane nagłym wiatrem, nagie ciało z głową zwieszoną na piersi przywiązane do drzewa, drugie leżące z rozkrzyżowanymi rękami i twarzą skierowaną ku niebu, zimne podmuchy kłuszące jego łydki i ruszająca się w tę i z powrotem lufa pistoletu Kirsten...

Wypalił. Poczuł w ramieniu szarpnięcie odrzutu i ból w żołądku, usłyszał pacnięcie kupki śniegu, która spadła pod wpływem huku lub wiatru. Zobaczył utkwione w sobie niedowierzające spojrzenie Kirsten. Dłoń kobiety opadła i Springfield upadł na śnieg. Jej usta były otwarte na kształt litery O. Potem kolana Norweżki się ugięły, jej ciałem wstrząsnął dreszcz i wreszcie osunęła się na ziemię, a jej piękna twarz zanurzyła się w białym puchu.

– Dobra robota, Martin – pogratulował mu Szwajcar.

Za jego plecami rozległy się krzyki, a raczej gardłowe wrzaski. Po niemiecku. Uznał, że każą mu rzucić broń. Byłoby idiotyzmem dostać kulkę w takiej chwili, prawda? Spojrzał na trzy trupy na śniegu, zatrzymując na dłużej wzrok na ciele Kirsten. Poczuł ukąszenie zdrady. Znowu.

Czuł się głupi, naiwny, łatwowierny, zrujnowany, wycieńczony, chory. Po raz kolejny życie odebrało mu coś, co mu wcześniej ofiarowało. Znowu przelana krew, złość, wyrzuty sumienia. Wściekłość i smutek. Kolejny raz zwyciężyła noc, powróciły cienie – potężniejsze niż kiedykolwiek – a przestraszony dzień uleciał daleko, w miejsce, gdzie normalni ludzie wiodą normalne życie. A potem wszystko zniknęło i nie czuł już nic oprócz ogromnego zmęczenia.

– Ale mogłeś nie strzelać – dodał Szwajcar.

– Co?

Okrzyki po niemiecku za jego plecami brzmiały teraz bardziej nagląco, bardziej nakazująco. Były już całkiem blisko. Rozkazy, bez dwóch zdań. Będą do niego strzelać, jeśli nie posłucha.

– Miała w komorze naboju tylko jedną kulę. I już ją wystrzeliła. Jej magazynek był pusty, Martin. Zabiłeś ją niepotrzebnie – powiedział Hirtmann, pokazując mu pełny magazynek, który wyjął z kieszeni.

Miał ochotę położyć się na śniegu, patrzeć na białe płatki lecące z nieba wprost na niego i zasnąć. Wykonał polecenie, rzucił broń. I zemdlał.

W Hallstatt i okolicach śnieg sypał nieustannie przez kilka dni. Hirtmanna przesłuchiowano na niewielkim komisariacie, który wyglądał jak żywcem wyjęty z *Dźwięków muzyki*. Reger i jego ludzie zaczęli przesłuchanie po niemiecku, ale Espérandieu zapytał ich, czy nie mogliby przejść na angielski. Potem przyjechał jakiś gość z Wiednia czy Salzburga i wziął sprawy w swoje ręce.

Na decyzję, co zrobić ze Szwajcarem (zastrzelił człowieka na terytorium Austrii, sprawa leżała więc w kompetencjach tutejszego wymiaru sprawiedliwości), trzeba było trochę poczekać, postanowili więc tymczasem opróżnić cele niewielkiego komisariatu i zamienić go w coś na kształt Rio Bravo.

Servaz nie brał udziału w przesłuchaniach. Podobnie jak wszyscy pacjenci kliniki został przewieziony do szpitala w Bad Ischl. Klinika w Hallstatt została tymczasowo, a może na zawsze zamknięta, a jej dyrektor zniknął. Servaz trafił najpierw na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej, a następnie na obserwację. Jego przedwczesne wyjście z kliniki spowodowało szkody, mniejsze jednak niż się spodziewano i niż on sam się obawiał, by to jednak sprawdzić, konieczne było powtórne otwarcie jamy brzusznej. Austriacka policja poddała go długiemu przesłuchaniu w związku z tym, co wydarzyło się w lesie: zeznania Espérandieu, Servaza, Regera – a nawet Hirtmanna – nie licząc normalnych w takich sytuacjach rozbieżności, niemal idealnie się ze sobą pokrywały, jednak śledczy mieli ogromną trudność, by pojąć splot zdarzeń, który sprawił, że cztery osoby zaczęły strzelać do siebie nawzajem, a słynnego dyrygenta, nagiego i martwego, znaleziono przywiązanego do drzewa.

Leżąc w szpitalnym łóżku, Martin odbierał liczne telefony: trzy razy dziennie od Margot, od Samiry, od sędziego Desgranges'a, od Cathy d'Humières, a nawet od Charlène Espérandieu i swojej

eksmążonki Alexandry. Vincent wyjechał po dwóch dniach, ale wcześniej wpadał do niego rano, w południe i wieczorem.

– Nie chcą mi dać spokoju – powiedział, uśmiechając się niewyraźnie do Espérandieu, który właśnie poinformował go, że wraca do Francji. – Do czego doszli z Hirtmannem?

– Ciągłe go przesłuchują. Ostatecznie zastrzelił człowieka na ich terytorium, tak szybko nam go nie wydadzą.

– Hmm.

– Dbaj o siebie, Martin. I wracaj do nas wkrótce.

Pomyślał, że spełnienie tego ostatniego życzenia nie zależy tylko od niego, ale nic nie powiedział. Gdzieś za oknami odezwały się dzwony. Cała okolica tonęła w bieli. Brakowało jeszcze tylko kołęd, ale nie miał wątpliwości, że gdy przyjdzie czas, szpital wypełnią dźwięki *Stille Nacht* lub czegoś podobnego. Miał nadzieję, że jego pobyt tutaj zakończy się wcześniej. Niedługo po wyjściu Vincenta zadzwonił telefon.

– Jak się pan miewa? – odezwał się głos w słuchawce, stanowczo zbyt poufały.

– Czego pan chce, Rimbaud?

– Mam dwie wiadomości: dobrą i złą. Od której zacząć?

– Nie zna pan czegoś mniej oklepanego?

– Zacznę od dobrej – zdecydował jego rozmówca. – Dostaliśmy pendrive'a. Wygląda na to, że został wysłany w dniu pańskiej operacji. Z Austrii. Chce pan wiedzieć, co na nim jest?

Servaz się uśmiechnął. Rimbaud nie potrafił przepuścić okazji, by w ten czy inny sposób znęcać się nad ludźmi.

– Mów pan – odparł.

– Filmik – powiedział inkwizytor. – Nagrany kamerką sportową przyczepioną do tułowia operatora... tej nocy, gdy został zabity Jensen. Jest tam wszystko: próba gwałtu... Moment, kiedy autor filmiku rzuca się na Jensena i strzela z przyłożenia w jego skroń... Następnie odchodzi do lasu... Potem kieruje kamerkę na siebie... A na koniec mówi do nas „a kuku”, dupek.

– Hirtmann?

– Tak, psze pana.

Servaz opadł na poduszkę i wpatrując się w sufit, głęboko odetchnął.

– Ten filmik oczyszcza pana z podejrzeń o zabójstwo Jensena, Servaz. Chociaż naprawdę nie wiem, po co Hirtmann nam go wysłał.

– Ale...?

– Ale to nie usprawiedliwia pańskiego zachowania niegodnego funkcjonariusza francuskiej policji, pana ucieczki z komendy, wyjazdu do Austrii pod fałszywym nazwiskiem, zastrzelenia Kirsten Nigaard, oficer norweskiej policji, z pistoletu, który nie był pańską bronią służbową...

– Obrona konieczna – powiedział.

– Być może.

– No proszę, wygląda na to, że nie jest pan już taki szybki w wyciąganiu wniosków.

– Będę się domagał pańskiego zwolnienia – powiedział Rimbaud.

– Policja francuska nie może sobie pozwolić na to, by w jej szeregach znajdowali się ludzie tacy jak pan. Pański przyjaciel Espérandieu także nie uniknie kary. – Co powiedziawszy, rozłączył się.

Śnieg sypał przez całą noc i kolejny dzień. Servaz obserwował z łóżka spadające białe płatki. Na razie nie było mowy o tym, by mógł choćby wstać, a co dopiero chodzić. Lekarze jeden przez drugiego powtarzali mu, że przeżył cudem: po operacji serca w żadnym wypadku nie powinien był tak szybko zostać poddany operacji wątroby. Natomiast fakt, iż wkrótce po wybudzeniu wyszedł i zabił kogoś strzałem z pistoletu, nadawał się do annałów austriackiej medycyny. Miał teraz dwie wielkie blizny, które sprawiały, że wyglądał jak Frankenstein: jedną na klatce piersiowej i drugą, która biegła pionowo sześć centymetrów w dół od splotu słonecznego, a następnie gwałtownie skręcała w bok. Regularnie dopytywał o stan zdrowia Gustava, który przebywał na sąsiednim



oddziale. Chłopiec czuł się dobrze, ale domagał się spotkania ze swoim ojcem – to znaczy z Hirtmannem.

Piątego dnia rano wreszcie mógł wstać. Szwy pod bandażem jeszcze trochę ciągnęły. Pierwsze kroki skierował oczywiście do syna. Dzieciak wyglądał kiepsko, a sińce pod jego oczami były większe niż kiedykolwiek, ale lekarz dyżurny uspokajał: pierwsze rezultaty były zachęcające i Gustav dobrze znosił kurację immunosupresyjną, która miała na celu zmniejszenie prawdopodobieństwa odrzucenia przeszczepu. Servaz uspokoił się tylko połowicznie: tyle mogło jeszcze pójść nie tak.

Kiedy wszedł do pokoju, Gustav jeszcze spał. Trzymał kciuk w buzi, a jego długie, jasne rzęsy lekko drżały. Servaz pomyślał, że sny przepływające przez głowę chłopca są jak nieustannie zmieniające się chmury, które przesuwały się po niebie nad szpitalem, i zastanawiał się, czy jego syn śni o czymś przyjemnym. Przez dłuższy czas przyglądał się małej twarzy, kołdrze podciągniętej aż pod brodę i unoszącej się klatce piersiowej – Gustav wyglądał w tamtej chwili na spokojnego – a następnie wycofał się z pokoju równie cicho, jak do niego wszedł.

Nadeszło Boże Narodzenie. Servaz i Gustav spędzili je w szpitalu, pośród wesołego szczebiotu pielęgniarek, lśniących girland i małych sztucznych choinek. Potem przyszedł mroźny styczeń, zarówno w Austrii, jak i we Francji – jeśli wierzyć informacjom z Internetu – a tymczasem Donald Trump zasiadł w fotelu prezydenckim w Gabinetcie Ovalnym. Wreszcie w lutym Servaz mógł wrócić do Tuluzy. Wkrótce stanął przed komisją dyscyplinarną, która uraczyła go trzymiesięcznym, niepłatnym okresem zawieszenia w obowiązkach służbowych oraz degradacją do rangi kapitana. Przez kilka miesięcy zabiegał o przyznanie prawa do opieki nad Gustavem, którego umieszczono w rodzinie zastępczej. Gdy je uzyskał, Francja była już po wyborach prezydenckich. Próbował oswoić nowego domownika. To były trudne dni. Chłopiec płakał, domagał się prawdziwego ojca, wpadał w kolejne kryzysy, a Servaz czuł się niepewny, bezsilny

i niekompetentny. Na szczęście uratowali go Charlène, Vincent i dwójka ich dzieci – kiedy wrócił do pracy na komendzie, Charlène przychodziła prawie codziennie – i wyglądało na to, że Gustav powoli aklimatyzuje się do nowej sytuacji, a nawet jest z niej zadowolony. Servaz od dawna nie czuł się tak szczęśliwy.

Juliana Hirtmanna przewieziono do Leoben – do ultranowoczesnego zakładu karnego nazywanego „pięciogwiazdkowym więzieniem”. Francja domagała się jego ekstradycji, jednak Szwajcar najpierw musiał zostać osądzony w Austrii. Gdy zbliżało się kolejne Boże Narodzenie, Hirtmann poskarżył się na skurcze żołądka. Sprowadzono lekarza. Ten nie znalazł niczego, co mogłoby wywołać takie bóle, poza może lekkim wzdęciem i, jak sądził, stresem. Dał Szwajcarowi dwie pigułki i wypisał receptę. Krótco po jego odejściu Hirtmann poprosił młodego strażnika o jeszcze jedną szklanekę wody.

– Jak tam pańskie dzieci, Jürgen? – zapytał, biorąc od niego naczynie i upewniając się, że nikt inny go nie słyszy. – Jak tam Daniel i Saskia?

Młody funkcjonariusz zbladł.

– A Sandra, pańska żona, dalej się zajmuje nauczaniem początkowym?

Za oknami, w ciemności sypał śnieg. Monotonna melodia wiatru akompaniowała bardzo wyraźnym słowem Szwajcara. Gdzieś w oddali ktoś się zaśmiał, a potem znowu nastała cisza.

– Skąd pan zna imiona moich dzieci? – wzdrygnął się Jürgen.

– Wiem wszystko o każdym z was. I znam sporo ludzi na zewnątrz – odparł Szwajcar. – Przepraszam, po prostu chciałem być miły.

– Nie, nie sędzę – powiedział młody strażnik, siląc się, by jego głos brzmiał stanowczo, ale z marnym rezultatem.

– To prawda, ma pan rację. Chciałbym pana prosić o drobną przysługę.

– Niech pan o tym zapomni, Hirtmann. Nic dla pana nie zrobię.

– Mam na zewnątrz wielu przyjaciół, a nie chciałbym, żeby

Danielowi czy Saskii przytrafiło się coś złego – szepnął Szwajcar.

– Co pan powiedział?

– To naprawdę bardzo drobna przysługa. Chodzi tylko o kupienie kartki świątecznej... A potem wysłanie jej na adres, który panu podam. Sam pan widzi, że to nic złego.

– Ale co pan powiedział przedtem? – warknął młody mężczyzna, wściekły. – Może pan powtórzyć?

Patrzył na Szwajcara z gniewem, ale jego gniew zamienił się w niepokój, a ten ustąpił miejsca najwyższej trwodze, gdy zobaczył, jak rysy więźnia się zmieniły, dosłownie przeobraziły się w jednej chwili – jego oczy zalał czarny cień i pojawił się w nich złowieszczy blask. W zimnym, ostrym świetle jarzeniówki zmienione spojrzenie Hirtmanna nabrało nieznośnej intensywności, a jego twarz nie miała już w sobie nic ludzkiego, była obliczem czystego obłędu. A potem z jego niemal kobiecych ust popłynął straszliwy szept, słowa, które młody strażnik miał zapamiętać na zawsze:

– Mówię ci, że jeśli nie chcesz znaleźć swojej małej Saskii martwej na śniegu ze spódniczką podciągniętą przez potwora takiego jak ja, będzie lepiej, jeśli mnie posłuchasz.

Elastyczność to wspaniała cecha. Oznacza zdolność ciała, umysłu, całego organizmu lub układu do odzyskania stanu równowagi po poważnym wstrząsie, do dalszego funkcjonowania, życia, posuwania się naprzód i przewycięzania traum.

Martinowi Servazowi dojście do stanu równowagi zajęło sporo czasu, ale się pozbierał. Pomogło mu w tym jedno zdarzenie, do którego doszło krótko po opisanym wyżej okresie. W dzień Bożego Narodzenia 2017 do drzwi domu państwa Espérandieu ktoś zadzwonił. Tego ranka wokół choinki w salonie zebrało się wiele osób i jeszcze więcej upominków, ale najbardziej rozpieszczany był z całą pewnością Gustav.

Jego biologiczny ojciec patrzył, jak chłopiec z rozpromienioną buzią otwiera kolejne prezenty, dopingowany przez Margot, która trzymała na ręku swoje maleństwo, a także przez Vincenta, Charlène

i ich dzieci. Drobnymi paluszkami rozrywał różnokolorowy papier, energicznie i niecierpliwie otwierał pudełka, wydając z siebie trochę przesadzone okrzyki zaskoczenia. Każdy uśmiech na jego buzi oznaczał uśmiech w sercu Servaza. Już po chwili jednak Martin zaczął przeżuwać myśli znacznie mroczniejsze i poczuł na swoich barkach miazdzącą odpowiedzialność, prawdę mówiąc o wiele za dużą dla kogoś takiego jak on.

Tego ranka wspominał też Kirsten. Właściwie to od roku myślał o niej każdego dnia. Po raz kolejny dał się zwieść. Miał do siebie ogromny żal, że znowu pozwolił na to, by do jego życia pod fałszywymi pozorami wtargnęło kłamstwo. Miał sobie za złe, że rozbudził w sobie absurdalną nadzieję, która mogła skończyć się jedynie rozczarowaniem. A jednocześnie zastanawiał się, czy był taki moment, kiedy Kirsten była szczerą. Tak naprawdę pojawiła się tylko po to, by doprowadzić go do swojego kochanka i mistrza. Wciągnęła go w pułapkę, podobnie jak tamtego dyrygenta i jego najemnika. Starał się nie myśleć o chwilach bliskości, wymazać je z pamięci. Ale czy powinien zaprzeczać swoim odczuciom tylko dlatego, że druga strona nie przeżywała tego samego?

– Martin, Martin – odezwała się serdecznie Charlène.

Podniósł wzrok. Gustav wyciągał do niego rękę z ciężarówką Transformers. Servaz się uśmiechnął. Wziął od chłopca zabawkę.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Vincent wyszedł z pokoju. Martin usłyszał dobiegającą z przedpokoju rozmowę, a w końcu Espérandieu powiedział: „Chwileczkę”. Machał zabawką na wszystkie strony pod uważnym – i jak mu się wydawało nieco sceptycznym – spojrzeniem Gustava, gdy od progu dotarł do niego głos Vincenta:

– Martin, możesz przyjść?

– Zaraz wracam – powiedział do syna.

Wstał i ruszył do przedpokoju. Kurier w brunatnej firmowej koszuli. Wyglądało na to, że dwudziesty piąty grudnia jest dla firmy UPS zwykłym dniem pracy. Potem zobaczył twarz swojego zastępcy i jego puls przyśpieszył.

– Z Austrii. Zaadresowane na ciebie. Ktoś wie, że tutaj jesteś... – wyjaśnił Espérandieu.

Martin spojrział na kopertę. Wziął ją do ręki. Otworzył. Wyjął świąteczną kartkę: gałązki ostrokrzewu, girlandy i lśniące bombki. Tania pocztówka. Rozłożył ją.

## *Wesołych Świąt, Martin. Julian.*

W środku było zdjęcie. Rozpoznał ją od razu. Miała na sobie tę samą sukienkę w kolorze khaki z plecionym paskiem, w której widział ją podczas jednego z ich ostatnich spotkań, te same kręcone blond włosy i ten sam kosmyk opadający na lewą stronę twarzy, te same usta lekko pociągnięte czerwoną szminką. Wydawało się, że mimo upływu lat wcale się nie zmieniła, choć na podstawie gazety, którą czytała, można było wnioskować, że zdjęcie zostało wykonane zaledwie przed trzema miesiącami. Uśmiechała się.

– Co za kanalia – wściekał się stojący obok Espérandieu. – Drań. W Boże Narodzenie! Wywal to. To jakiś pieprzony fotomontaż!

Servaz patrzył na niego niewidzącymi oczami. To jasne, że tym razem Vincent się myli: to nie jest fotomontaż i badania tego dowiodą. Osoba, którą ma przed oczami, to Marianne. Czytająca gazetę z dwudziestego szóstego września tego roku. I nagle zrozumiał słowa Szwajcara: „Powiedzmy, że jej wątroba się nie nadaje”. Oczywiście, narkotyki, alkohol – jak mogłaby się nadawać? Marianne żyje... Poczul, jakby jego serce zaczęło opadać. Opadało i opadało bez końca.

Bergen, Norwegia, grudzień 2015; San Luis Potosí, Meksyk, czerwiec 2016

Książka jest przygodą najpierw samotną, a później wspólną. Jak zawsze pragnę wyrazić moją wdzięczność wobec dwóch osób, które od pierwszego dnia towarzyszą mi z niezmienną wspaniałomyślnością: moim wydawcom Édith Leblond i Bernardowi Fixotowi. Na każdym etapie redakcji tej książki wskazywali mi właściwy kurs.

Muszę też podziękować tym, dzięki którym żadna z zapisanych przeze mnie kartek nie zatonała i wszystkie dotarły do właściwego portu. W kolejności ich pojawiania się na pokładzie: Caroline Ripoll – to ona pozwoliła uniknąć podwodnych raf, w których stronę momentami dryfowała ta książka – następnie Amandine Le Goff, Virginie Plantard i Christelle Guillaumot.

A wraz z nimi cała załoga wydawnictwa XO: Valérie Taillefer, Jean-Paulowi Camposowi, Brunonowi Barbette'owi, Catherine de Larouzière, Isabelle de Charon, Stéphanie Le Foll, Renaudowi Leblondowi (nie sposób wymienić wszystkich). Praca z wami to przywilej, kawa zawsze dobrze u was smakuje, a widok z waszej wieży sięga daleko. To najlepszy sposób, by spojrzeć na wszystko z pewnej wysokości.

Wyrazy wdzięczności za niezłomny entuzjazm niech przyjmą Marie-Christine Conchon, François Laurent i Carine Fannius oraz cały zespół Pocket/Univers Poche.

Jak zwykle ta książka nie powstałaby, gdyby nie bezcenna pomoc moich znajomych z policji kryminalnej w Tuluzie – będą wiedzieli, że to o nich mówię. Jeśli popełniłem jakieś błędy, w żadnym razie nie jest to ich wina. Ta w całości spada na autora – marzyciela i fantastę, który lubi żonglować tysiącem i jedną piłeczką.

Dziękuję osobom pracującym w Air France, które dostarczyły mi wielu informacji podczas lotu na trasie Paryż–Meksyk. Będą zaskoczone, że nie wspomniałem o nich w tej książce. Okoliczności

pracy pisarskiej zdecydowały inaczej. Innym razem, przyjaciele.

Mojej żonie Joëlle za zrozumienie, jakie okazywała mi przez wszystkie te lata; dzięki niemu moje życie jest łatwiejsze.

Jo, który odszedł za wcześnie, za jego wspaniałomyślność i temperament. Brakuje cię.

I wreszcie Laurze, za to, że swoim sercem i rozsądkiem pomogła tej książce i jej autorowi przezwyciężyć ciemności.

Ach tak, byłbym zapomniał: jest jeszcze jeden gość, któremu chciałbym podziękować. Nazywa się Martin Servaz.

# Spis treści

Strona tytułowa	2
Spis treści	4
Dedykacja	7
***	8
Preludium	9
KIRSTEN	16
1. Mariakirken	17
2. Osiemdziesiąt trzy dusze	26
3. Teleobiektyw	44
MARTIN	46
4. Porażony	47
5. W strefie nadgranicznej śmierci	64
6. Przebudzenie	75
7. Sefar	83
8. Nocna wizyta	92
KIRSTEN I MARTIN	94
9. Było jeszcze ciemno	95
10. Grupa	101
11. Wieczór	111
12. Wieczór 2	118
13. Sen	125
14. Saint-Martin	129
15. Szkoła	141
16. Powrót	148



17. Ślady	151
18. Zmartwienia	163
19. Strzał	173
20. Gold dot	179
21. Belweder	184
22. Portret pamięciowy	189
MARTIN	191
23. Matka Natura, ta krwawiąca suka	192
24. Drzewo	211
25. Spotkanie	221
GUSTAV	232
26. Kontakty	233
27. Zjawą	240
28. Willa	254
29. Bez litości	266
30. Ptaszki	276
31. Porzuć wszelką dumę, który tutaj wchodzisz	281
32. Jasnooka zakładniczka	293
33. Pokerowa zagrywka	306
34. Pokarmy	311
35. Żółć	319
36. H	338
MARTIN I JULIAN	340
37. Dziecko sprawia, że stajesz się kruchy	341
38. Jak wilk wśród owiec	351
39. Margot	357

40. O dwoje mniej	377
41. Zaufanie	379
42. Alpy	389
43. Przygotowania	407
44. Przynęta	434
45. Żywy albo martwy	440
46. Żywy trup	444
Epilog	454
Podziękowania	462
Strona redakcyjna	3